

Joseph Finder

MOSCOW CLUB

Moim rodzicom  
i, przede wszystkim, Michele

Byli głęboko uwikłani we własną przeszłość, złapani w sieć, którą sami uwili zgodnie z regułami ich pokrętej etyki i równie pokrętej logiki; wszyscy ponosili winę, ale nie za czyny, o jakie sami siebie oskarżali. Nie było dla nich drogi odwrotu.

Arthur Koestler

“Ciemność w południe”

Prolog

Dziesięć minut po północy zręcznie prowadzona przez szofera błyszcząca czarna czajka zaparkowała przed głównym wejściem zbudowanego z żółtej cegły budynku mieszkalnego przy ulicy Tołstoja. Kierowca szybko otworzył drzwi swojemu pasażerowi, wysoko postawionemu członkowi Komitetu Centralnego, który wysiadł nie zwracając uwagi na kierowcę. Ten zasalutował. Wiedział, że jego szef lubi tego rodzaju objawy szacunku. Potem wrócił na miejsce kierowcy z nadzieją, że tamten nie zauważył w jego oczach trwogi. Kiedy odjechał już wystarczająco daleko od budynku, wsunął w magnetofon kasetę, którą jego żona Wiera kupiła na czarnym rynku. Było to nagranie Bruce’a Springsteena. Nastawił odtwarzacz na cały głos, aż drżenia przenosiły się na tablicę rozdzielczą. Potrzebował tej znanej mu muzyki dla uspokojenia nerwów. Jadąc myślał o Wieruszcze, która, kiedy on wróci do domu, będzie już spała. Pomyślał o jej nabrzmiątych piersiach i brzuchu, w którym rosło ich dziecko. Będzie spała głęboko, jak zawsze, nieświadoma tajemnicy męża. Kiedy wśliznie się do łóżka, ona się obudzi. Będzie pachniała perfumami “Moskiewska Noc”, których zawsze używała przed pójściem do łóżka. Potem będą się kochać. Powoli zjechał stromą pochylnią, wprowadzając samochód do podziemnego garażu, gdzie parkowały czajki i wołgi należące do innych mieszkańców budynku, członków radzieckiej elity rządzącej. Światła reflektorów omiotły ciemne wnętrza garażu. Kierowca z ulgą stwierdził, iż wyglądało na to, że nie ma tu nikogo. To doskonale. Zaparkował tyłem na swoim miejscu i ponownie sprawdził wzrokiem garaż. Palcami nerwowo zabębnił po kierownicy, wcale nie w takt muzyki. Zgasił silnik, ale odczekał do końca melodii. Wtedy wyjął kluczyki i siedział w absolutnej ciszy. Serce biło mu mocno. Zdawało mu się, że widzi sylwetkę człowieka pod murem, ale był to jedynie cień jednego z zaparkowanych samochodów. Wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi od strony siedzenia kierowcy. We wnętrzu śmierdziało dymem. Przed kilkoma godzinami było tu ciemno od dymu cygar marki Dunhill, które były ulubionymi jego szefa. Razem ze swoim kolegą szef wracał z tajnego spotkania na przedmieściu Moskwy. Zasunął szybę oddzielającą ich od kierowcy, ażeby mogli rozmawiać nie słyszani. Kierowca, uważnie obserwujący drogę, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że dzieje się coś dziwnego. Wiedział jednak, że jego szef zamieszany jest w coś niebezpiecznego, budzącego trwogę. W coś, o czym nie powinien był wiedzieć nikt z KC i z

Kremla. W coś złego.

W ciągu kilku ostatnich tygodni kierowca wiele razy woził swojego szefa na tajne spotkania z innymi ważnymi figurami. Odbływały się one późnym wieczorem, i zawsze jechali na nie okrężną drogą. Kierowca wiedział, że szef wierzy mu bez zastrzeżeń. Wśród kierowców on miał opinię najbardziej dyskretnego i wiarygodnego. Człowiekowi siedzącemu na tylnym siedzeniu nigdy nie przeszłaby przez głowę myśl, że kierowca mógłby być niełojalny.

Opuścił szybę i za pomocą małego odkurzacza usunął niedopałki. Szef palił ustawicznie, ale nie znosił, kiedy rano samochód pełen był zapachu tytoniu. W wykonywaniu tej prostej czynności było coś kojącego.

Raz jeszcze obrzucił spojrzeniem garaż, by się upewnić, że nikt go nie obserwuje.

Czuł napięcie nerwów. Nadszedł czas.

Sięgnął ręką pod wyściełane skórą siedzenie. Dotykał sprężyn, aż wymacał mały, metalowy przedmiot. Wyciągnął go ostrożnie. Dla nie zorientowanego wyglądało to na mały, czarny kawałek metalu, być może jakąś część nadwozia. Było to jednak coś innego. Nacisnął małą dźwignię i na otwartą dłoń wypadła minikasetka. Szybko włożył w jej miejsce nową, a małą przedmiot, którym był magnetofon produkcji zachodnioniemieckiej, wsunął z powrotem pod siedzenie. Zamknął drzwi samochodu na klucz i cicho gwizdząc ruszył w kierunku wyjścia na ulicę.

\*\*\*

Kierowca przygotował podrzucenie materiałów jak zawsze. Koło południa, kiedy jego szef pracował w budynku Komitetu Centralnego przy placu Starym, poszedł spacerem na Bulwar Czerkaski, gdzie wszedł do sklepu alkoholowego i poprosił łysego sprzedawcę o litr wódki. Gdyby ten wręczył mu zamiast butelki z czystą butelkę z pieprzówką, oznaczałoby to jakieś trudności. Otrzymał jednak butelkę czystej, co było sygnałem, że wszystko w porządku.

Ulice były ciemne i puste. Mokre od deszczu, który spadł przed kilkoma godzinami. Skręcił z moskiewskiej obwodnicy i skierował się na południe w kierunku placu Powstania. Minał grupkę młodych, roześmianych dziewcząt, zapewne studentek. Ucichły na widok jego uniformy, najprawdopodobniej wzięły go za milicjanta. Gdy się oddalił, ponownie zaczęły chichotać.

Kilka minut później schodził po betonowych schodach do publicznego szaletu. Z każdym krokiem wzmagał się kwaśny odór moczu. Betonowe pomieszczenie oświetlała jedna nie osłonięta zawieszona u sufitu żarówka. Rzuciła ciemnożółte światło na ohydne wnętrze. Śmierdziało z brudnych urynałów i rozbitych misek klozetowych.

Kroki mężczyzny odbijały się echem. Szalet był pusty. Trzydzieści minut po północy mogliby tu być jedynie pijacy lub włóczędzy. Wszedł do jednej z kabin i zamknął za sobą na haczyk drewniane drzwi. Smród był bezlitosny i szofer zakrył ręką usta. Przeklął moskwianie! Wstrzymał oddech i ręką wyszukał na ścianie chropawe miejsce. Nacisnął jedną z cegieł i wyciągnął ją. Wyszła, powoli odsłaniając wgłębienie w ścianie... Nie znosił tego miejsca. Wolał inne punkty - sklep z pieczywem, szewca czy sklep papierniczy. Tu czuł się samotny i wystawiony na widok. Wiedział jednak, że była pewna logika w wyborze tego ohydne miejsca. Ostatecznie oni je wybrali, a zawsze wybierali dobrze.

Wyciągnął niewielki pakuneczek owinięty papierem gazetowym i szybko otworzył.

Był to zwitek banknotów rublowych, których nie przeliczył. Nigdy go nie oszukiwali. Obok banknotów leżała zapakowana w celofan kasetka magnetofonowa.

Zauważył, że ręce mu się trzęsą. Schował pakuneczek do kieszeni, a w szczelinę włożył nagrany taśmę. Z powrotem wstawił wyjętą cegłę.

W tym momencie usłyszał jakiś dźwięk. Ktoś wchodził do szaletu. Znieruchomiał na moment i słuchał. Odgłos kroków był miękki, tak jakby ten ktoś szedł w filcowym obuwiu, czasami noszonym przez chłopów lub włóczęgów.

Nie ma się czego obawiać, uspokajał sam siebie. To publiczne miejsce i każdy tu może wejść. To nie ma nic wspólnego z tobą, nie ma się o co martwić. To nie KGB, jesteś całkiem bezpieczny.

Pociągnął za sznurek, chciał spuścić wodę i prawie zemdlilo go, gdy uświadomił sobie, że woda nie leci. Przez chwilę stał nieruchomo, zdrewniał ze strachu. Kroki ucichły. Powoli, ostrożnie uchylił drzwi i zobaczył tamtego. Jakiś stary pijak. Ohydny pijak skurczony w kącie. Miał na sobie filcowe buty, opadające spodnie i tanią nylonową kurtkę. Był brodaty i wyraźnie zdesperowany.

Kierowca poczuł ulgę. Za kwadrans będzie w objęciach Wieruszki. Odetchnął powoli, skinął głową w kierunku pijaka. Ten patrzył na niego.

- Daj mi rubla - wybełkotał.

- Wynoś się, staruchu - odpowiedział mijając tamtego i kierując się ku wyjściu.

Włóczęga szedł za nim, zbliżał się. Śmierdział alkoholem i tytoniem. Wszedł za nim po schodach. Razem wyszli na ulicę.

- Daj mi rubla - powtórzył.

Jego oczy były zdumiewająco bystre i nie pasowały do pijackiej, zmiętej twarzy.

Kierowca odwrócił się rozdrażniony.

- Wynoś się...

Zanim dokończył, poczuł, że głowę rozsadza mu straszliwy ból. Niewypowiedziane ostry drut przeciął mu gardło... Zdążył jeszcze usłyszeć, jak tamten, wcale nie pijany, zasyczał mu do ucha: "Zdrajca" i mocniej zacisnął drut.

Kierowca nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego twarz nabiegła krwią, oczy wyszły na wierzch, a język wysunął się przed zęby. W tych kilku ostatnich sekundach swojego życia, desperacko łaknąc tlenu, poczuł dziką, pozbawioną logiki radość. Wierzył, że jego ostatni kontakt został nie wykryty, a końcowa misja wypełniona. Doznał fałszywego, a wspaniałego uczucia, zanim wszystko pogrążyło się w ciemności.

W Moskwie poszedł do swojego gabinetu na Kremlu... Cicho, z rękami splecionymi na plecach Lenin chodził wokół gabinetu, jakby odpoczywał od tego miejsca, z którego niegdyś kierował losami Rosji. To jedna wersja. Według innej, Lenin wziął z biurka jakieś dokumenty i włożył je do kieszeni. Tej wersji zaprzecza jeszcze inna, trzecia, według której szukał on dokumentów, a nie znajdując ich, rozzłościł się i krzyczał coś bez związku.

David Shub "Lenin"(1948)

Część pierwsza

Testament

1. Góry Adirondack, stan Nowy Jork

Pierwszych sto stóp pokonał łatwo. Była to seria pokrytych mchem występów

skalnych wznoszących się łagodnie w górę. Ostatnie pięćdziesiąt stóp stanowiła jednak niemal pionowa ściana, gładka skała przecięta pośrodku pionową szczeliną. Charles Stone przez dłuższą chwilę odpoczywał na płaskim występie. Równomiernie wdychał i wydychał powoli zimne powietrze, patrząc od czasu do czasu na szczyt i przysłaniając oczy od rażącego go światła.

Nieczęsto zdarza się tak doskonała wspinaczka. Cisza wokół, wysiłek rąk i nóg, wspaniałe uczucie swobody i całkowita koncentracja. A wreszcie, co zrozumiałby każdy alpinista, poczucie jedności z naturą.

Dochodził do czterdziestki, był wysoki i szczupły. Miał silnie zarysowaną szczękę i prosty nos. Spod włóczkowej czapeczki wystawały kręcone włosy. Jego zwykle ogorzała twarz była rumiana od zimnego, jesiennego powietrza.

Stone wiedział, jak ryzykowna jest samotna wspinaczka. Jednak bez lin, haków i klamer, wszelkich innych urządzeń zabezpieczających, wspinanie było czymś innym. Zbliżało go do natury, było bardziej prawdziwe. To sam na sam z górami wymagało całkowitej koncentracji, jeśli chciało się uniknąć katastrofy. Przede wszystkim jednak nie można było myśleć o pracy, co Stone uważał za najlepszy wypoczynek. Szczęśliwie ceniono go tak wysoko, że pracodawca (choć niechętnie) zezwalał mu na uprawianie wspinaczki. Wiedział, że nigdy nie będzie Reinholdem Messnerem, mistrzem, który samotnie i bez maski tlenowej wszedł na Mount Everest. Na tym mu jednak nie zależało, natomiast w takiej chwili jak ta miał wspaniałe poczucie jedności z górami.

Nogą uderzył w zwal kamieni. Tu, powyżej linii drzew, gdzie na grani rosły jedynie krzaki, wiatr był zimny i kąśliwy. Ręce mu nieco zgrabiwały. Rozcierał je przez chwilę, aż się rozgrzały. W gardle czuł suchość, a piersi wypełniało świeże, chłodne powietrze.

Podsunał się do szczeliny, która na różnych wysokościach miała inną szerokość.

Ściana była bardziej niebezpieczna, niż tego oczekiwał. Całkiem pionowa, bez występów, które mogłyby stanowić oparcie. Palcami i końcami stóp szukał miejsca zaczepienia. Zaczął się wspinać. Ręce znalazły oparcie w szczelinie i powoli, centymetr po centymetrze, posuwał się w górę. Wiedział, że tą drogą dotrze na szczyt.

Nagle w ciszę wdarł się jakiś dźwięk, jakby sygnał elektroniczny, którego nie potrafił umiejscowić. Wydawało mu się, że ktoś woła go po imieniu, co było oczywiście niemożliwe, gdyż był tu zupełnie sam. Niemniej... Dźwięk powtórzył się i było oczywiste, że ktoś wypowiada jego imię przez elektroniczny wzmacniacz, a w chwilę potem usłyszał szum śmigieł helikoptera i ponownie swoje imię: "Charlie!"

- Gównu - mruknął sam do siebie i spojrzał do góry.

Nad samym szczytem wisiał pomalowany w biało-żółte pasy helikopter Jet Ranger 206B. Maszyna zniżala się do lądowania.

- Charlie! Mama chce, żebyś wracał do domu! - Pilot posługiwał się elektronicznym wzmacniaczem i jego głos bez trudności przebijał się przez szum helikoptera.

- W najlepszym momencie - ponownie mruknął sam do siebie, podejmując dalszą wspinaczkę. - Cóż za pieprzone poczucie humoru.

Jeszcze dwadzieścia stóp. Mogą chwilę poczekać. Jego alpinistyczny weekend w górach Adirondack już się zakończył. W kilka minut później, kiedy osiągnął szczyt, podszedł do helikoptera schylając głowę pod kręcącym się wirnikiem.

- Przykro mi, Charlie - pilot starał się przekrzyczeć hałas.

Stone uśmiechnął się przelotnie i potrząsnął głową, wdrapując się do kabiny i zajmując fotel koło pilota. Założył słuchawki z mikrofonem i przypiął się pasami.

- To nie twoja wina, Dave - powiedział.

- Musiałem złamać wszelkie przepisy ruchu powietrznego, lądując na tym szczycie - mówił pilot. Jego helikopter zaczął się wznosić do góry. - To nie jest miejsce do lądowania. Przez chwilę myślałem, że nie zdołam tu usiąść.

- Mama nie mogła poczekać do wieczora? - zapytał Stone.
- Wypełniam jedynie polecenia, Charlie.
- Jak, do cholery, znaleźli mnie tutaj?
- Jestem jedynie pilotem.

Stone uśmiechnął się, jak zawsze zdumiony informacjami swojego pracodawcy. Rozparł się wygodnie w fotelu, zdecydowany przynajmniej na odbycie przyjemnego lotu. Przypuszczał, że od Manhattanu dzieliła ich godzina lotu. Nagle wyprostował się.

- Hej, a co z moim wozem? Zaparkowałem tam w dole...
- Już o tym pomyślano - wesoło odpowiedział pilot. - Charlie, to naprawdę coś ważnego.

Stone przytknął oczy, oparł się o poręcz fotela i uśmiechnął z uznaniem. "O niczym nie zapomniano" - powiedział półgłosem, nie kierując tego do kogokolwiek.

## 2. Nowy Jork

Charlie szedł po schodach prowadzących do ładnego budynku z czerwonej cegły przy cichej ulicy po wschodniej stronie Manhattanu. Było ciepłe popołudnie. Zmysłowe promienie słońca obejmowały jeszcze Nowy Jork. Wszedł do przedsionka wykładanego marmurem i nacisnął jedyny znajdujący się tu guzik dzwonka.

Przestępował z nogi na nogę czekając, by zidentyfikowały go kamery dyskretnie rozmieszczone na ścianach. W Fundacji obowiązywały zasady bezpieczeństwa denerwujące Stone'a do momentu, w którym poznał warunki pracy w Langley, gdzie pomieszczenia wyłożone były tanimi, szarymi chodnikami, a korytarzami krążyło się bez końca. Miał ochotę śpiewać z radości, że pracował właśnie tutaj.

Nazwę Fundacja Parnassus musiał wymyślić jakiś dowcipniś w CIA pasjonujący się grecką mitologią. Nazwę tę nadano wydziałowi Centralnej Agencji Wywiadowczej, którego zadaniem było analizowanie najbardziej tajnych problemów, jakimi zajmowała się Agencja. Z wielu różnych powodów, głównie jednak z uwagi na przekonanie poprzedniego dyrektora CIA, że nie cała Agencja powinna być skupiona w Langley, w stanie Virginia, Parnassus został umieszczony w ładnym pięciopiętrowym budynku w Nowym Jorku po wschodniej stronie Manhattanu. Budynek specjalnie wyposażono tak, aby uniemożliwić wszelkie próby elektronicznego czy mikrofalowego podsłuchu.

Wykonywany tu program był odpowiednio finansowany. Fundację założono za czasów dyrektora Williama Colby'ego po tym, jak Senacki Komitet ds. Wywiadu (tzw. Komitet senatora Churcha) zaatakował Agencję. Colby uznał, że Agencja musi pozyskać doskonałych ekspertów do przeprowadzania analiz materiałów wywiadowczych, co było tradycyjnie słabą stroną CIA. Parnassus, z instytucji utrzymywanej kosztem kilku milionów dolarów za czasów Colby'ego, rozrósł się przy Williamie Caseyu i Williamie Websterze i obecnie otrzymywał kilkaset milionów dolarów rocznie. Zatrudniano tu zaledwie 25 doskonałych ekspertów, którzy byli znakomicie opłacani i mieli dostęp do najtajniejszych informacji wywiadowczych. Niektórzy pracowali nad Chinami, niektórzy nad Ameryką Łacińską, a inni nad problemami NATO.

Działką Stone'a był Związek Radziecki. Był kremlologiem, co sam uważał za podobnie naukową dyscyplinę, jak wróżenie z fusów. Szef Fundacji Saul Ansbach chętnie określał Stone'a mianem geniusza, co Charlie osobiście uważał za wyraz ironii. Oczywiście nie był geniuszem. Po prostu lubił zagadki. Lubiał składać fragmenty informacji, które wydawały się do siebie nie pasować, a potem przyglądał się temu tak długo, aż zaczynał dostrzegać jakieś kształty.

Bez wątpienia był doskonały. Miał wycucie tego, jak działa Kreml. To właśnie Stone

w 1984 r. przepowiedział karierę mało znanego wówczas członka Biura Politycznego nazwiskiem Michaił S. Gorbaczow, podczas gdy niemal wszyscy inni w wywiadzie amerykańskim stawiali na starszych i lepiej ustawionych kandydatów. To była legendarna już analiza Stone'a oznaczona jako OAP 121, co stanowiło skrót od Ocena Analityczna Parnassus. Zyskała mu ona sławę wśród tych kilku osób, które wiedziały, kim był autor. W kolejnej swojej analizie Stone zasugerował okazywanie jawnej przyjaźni Gorbaczowowi podczas zbliżającego się spotkania na szczycie. Doradzał, żeby prezydent był tak wylewny, jak niegdyś Leonid Breżniew. Stone był pewny, że tego rodzaju gesty zyskają przychylną Gorbaczowa, który był o wiele bardziej "zachodni" od swoich poprzedników, a tym samym zachowywał o wiele mniej rezerwy. I Stone z satysfakcją patrzył potem, jak Reagan obejmował Gorbaczowa na placu Czerwonym. Niewiele znaczący gest, ale z takich właśnie gestów składa się potem wielka dyplomacja.

Gdy zawalił się mur berliński, niemal wszyscy w Agencji byli zaskoczeni, nawet Stone. Choć właśnie on był najbardziej bliski tego, ażeby wydarzenie to przewidzieć. Bez mała wydedukował to z przechwyconej przez Agencję depechy nadanej z Moskwy, od Gorbaczowa do Niemiec Wschodnich. Nie było w niej konkretnych informacji, ale można się było czegoś domyślać. Jego przewidywania, choć ostrożne, zyskały mu reputację jednego z najlepszych w Agencji.

Sukcesy zawdzięczał wrodzonemu instynktowi. Wspierał go żmudną pracą. Z Moskwy nadchodziło teraz wiele różnych pogłosek. Trzeba było badać źródła, sprawdzać, porównywać. Niektóre sygnały były niemal niedostrzegalne.

Na przykład wczoraj rano. Jeden z członków Biura Politycznego udzielił wywiadu gazecie "Le Monde" sugerując, że jeden z sekretarzy KC może zostać usunięty ze stanowiska. Oznaczało to, że inny musi pójść w górę, a ten inny był twardogłowy i zdecydowanie antyamerykański. Tego samego dnia Stone wykrył, że członek Biura, który udzielił wywiadu, został wyretuszowany ze zdjęcia zamieszczonego w "Prawdzie". Oznaczało to, że niektórzy z jego kolegów polowali już na niego, co z kolei mogło oznaczać, że sieje on dezinformację. Stone nie zawsze trafiał celnie, ale jego przewidywania i oceny okazywały się w około 90 procentach trafne. I to było wystarczające. Lubił swoją pracę i potrafił się na niej w pełni skoncentrować, kiedy to było konieczne.

Wreszcie usłyszał brzęczyk. Pchnął drzwi i wszedł do środka.

\*\*\*

Saul Ansbach, szef biura Parnassus, siedział za swoim wielkim mahoniowym biurkiem. Gdy Stone wszedł, szybko wstał i uściśnął mu rękę.

- Przykro mi, Charlie. - Był to wysoki mężczyzna po sześćdziesiątce, o szpakowatych, krótko przyciętych włosach, w okularach o grubej, czarnej oprawie. - Wiesz, że nie wzywałbym ciebie, gdyby to nie było ważne - mówiąc, gestem zapraszał Stone'a do zajęcia miejsca na ciemnym krześle ustawionym koło biurka.

Ansbach przed ćwierćwieczem studiował w Notre Dame i nigdy nie dopasował się do establishmentu dominującego niegdyś w CIA. Prawdopodobnie dlatego właśnie wysłano go do Nowego Jorku jako szefa Fundacji Parnassus. Ubierał się jednak jak jego szefowie z CIA. Miał na sobie ciemny garnitur pochodzący zapewne z drogiego magazynu, rypсовy krawat i błękitną koszulę.

W gabinecie dominował marmurowy kominek, a pokój zalewało seledynowe światło popołudnia wpadające przez podwójne, dźwiękoszczelne okno.

Ze Stonem spotkali się, kiedy ten był na ostatnim roku studiów w Yale. Stone uczęszczał na seminarium polityki radzieckiej prowadzone przez wielką, hałaśliwą emigrantkę z Rosji, która opuściła swój kraj po II wojnie światowej. Był najlepszy w klasie.

Studiując dziedzinę, która niegdyś była zawodem jego ojca, odnalazł swoje rzeczywiste zainteresowania. To sprawiło, że zaczął się zdecydowanie wybijać.

Pewnego dnia po zajęciach prowadząca seminarium zapytała go, czy zjadłby z nią jutro lunch u Mory'ego, w prywatnym klubie na York Street, gdzie profesorowie konsumowali swoje grzanki z serem, uskarżając się na to, że nie otrzymali stypendium Guggenheima.

Charlie przyszedł. Nie czuł się najlepiej w granatowej marynarce, a na dodatek miał uczucie, że zadusi go krawat, który musiał włożyć.

Przy stoliku obok prowadzącej seminarium siedział wysoki, szczupły mężczyzna ostrzyżony na jeża, w okularach o grubej, ciemnej oprawie. Nazywał się Saul Ansbach. Przez większą część lunchu Charlie nie zdawał sobie sprawy z tego, dlaczego został tu zaproszony. Rozmawiali o Rosji, o radzieckim kierownictwie, o międzynarodowym komunizmie i na podobne tematy, ale z rozmowy tej nic nie wynikało. Dopiero po jakimś czasie Stone zorientował się, że Ansbach, który początkowo przedstawił się jako pracownik Departamentu Stanu, w rzeczywistości sprawdzał go. Gdy doszli do kawy, nauczycielka Stone'a przeprosiła ich i odeszła. Wtedy Ansbach po raz pierwszy usiłował go zwerbować do pracy nad jakimś bliżej nie określonym programem CIA. Wiedział, że Charlie jest synem człowieka potępionego w okresie przesłuchań senatora McCarthy'ego jako zdrajca, ale nie przejmował się tym. Miał przed sobą inteligentnego młodego człowieka, odznaczającego się szczególnymi zdolnościami w interpretowaniu polityki zagranicznej, a w szczególności polityki radzieckiej. Na dodatek był to syn chrzestny Winthrop Lehmana.

Charlie, który czuł nieokreśloną niechęć do CIA, odmówił. Saul Ansbach telefonował jeszcze kilkakrotnie przed zakończeniem roku akademickiego, ale Charlie za każdym razem grzecznie odmawiał.

W kilka lat potem, kiedy Stone rozpoczynał karierę naukową na Georgetown, a następnie w MIT jako ekspert od polityki radzieckiej, Saul odezwał się ponownie i tym razem Stone wyraził zgodę. Były już inne czasy, a CIA nie wydawała się taka groźna. Praca w wywiadzie podobała mu się coraz bardziej.

Postawił swoje warunki. Chciał godzić pracę z uprawianiem wspinaczki, gdy będzie miał na to ochotę; będzie pracował w Nowym Jorku, nie w Waszyngtonie, gdzie rządowe budynki, nie wspominając nawet ohydnej centrali CIA w Langley, przyprawiały go o mdłości. Płacili mu znakomicie, i to za pracę, którą wykonywał z taką radością, że mógłby się jej podjąć bezpłatnie.

\*\*\*

Saul podszedł do ciężkich, mahoniowych drzwi, zazwyczaj otwartych, i zamknął je dla podkreślenia, że ma do powiedzenia coś szczególnego.

- Lepiej, ażeby było to naprawdę ważne. - Stone przybrał ton sztucznej gburowatości i już miał na końcu języka stwierdzenie, że odwołanie ze szczytu góry przypomina przerwanie stosunku seksualnego. Powstrzymał się jednak. Wolał, aby Saul nie zapytał, kiedy po raz ostatni widział Charlotte, żonę, z którą żył w separacji. Nie chciał w tym momencie myśleć o Charlotte.

Po raz ostatni widział ją, jak stała w holu. Jej bagaż był przygotowany do podróży do Moskwy. Nie mógł zapomnieć jej oczu. Płakała. Stone stał obok i również miał łzy w oczach. Wyciągnął ręce, aby raz jeszcze ją dotknąć, przytulić na pożegnanie.

“Teraz chcesz mnie pocałować - powiedziała smutno i odwróciła się - teraz chcesz mnie pocałować”.

Saul zagłębił się w swoim fotelu i wziął z biurka teczkę w niebieskiej oprawie.

Zamachał nią i powiedział:

- Właśnie dostaliśmy coś z Moskwy.

- Znowu jakieś śmiecie?

Większość materiałów wywiadowczych, jakie CIA otrzymywała z Moskwy, to były plotki i pogłoski. Eksperci od spraw Kremla zatrudnieni w Agencji dużo czasu poświęcali na analizę informacji dostępnych dla każdego.

Ansbach uśmiechnął się tajemniczo.

- Powiem tak: te dokumenty widziało jedynie trzech ludzi - dyrektor, szyfrant pracujący na materiałach najbardziej tajnych i ja. Czy to ci wystarczy?

Stone skinął głową z aprobatą.

- Jak rozumiem, nie jesteś dokładnie zorientowany w sposobach zbierania informacji wywiadowczych. - Saul ponownie zagłębił się w fotelu, nie wypuszczając akt z ręki. - Uważam za słuszne rozgraniczenie pomiędzy zbieraniem a analizowaniem.

- Rozumiem.

- Wiesz jednak zapewne, że od czasów Howarda prawie nie mamy dobrych współpracowników w Rosji. - Ansbach mówił o Edwardzie Lee Howardzie, agencie Wydziału Radzieckiego CIA, który w 1983 roku zdezerterował w Moskwie, ujawniając listę niemal wszystkich agentów CIA w ZSRR. Był to dla Agencji cios, z którego nigdy się w pełni nie podniosła.

- Zwerbowałeś innych - wtrącił Stone.

- Nie. Jednym z nielicznych, jacy nam pozostali, był kierowca z IX Departamentu KGB. Pseudonim Jeź. Woził on różnych członków KC. Zgodził się pracować za pieniądze, za ruble. Wypłacanie w twardej walucie byłoby nazbyt ryzykowne.

- W zamian za to podsłuchiwał, o czym się mówiło w samochodzie.

- Otrzymał od nas magnetofon i chował go pod tylne siedzenie.

- Sprytnie pomyślane.

- Być może. Kierowca zauważył, że pewien człowiek, którego obsługiwał, ma wiele nocnych spotkań poza Moskwą z innymi wysoko postawionymi osobami. I nasz kierowca nadstawił uszu. Przesłał nam kilka taśm. Niestety, facet nie wiedział, jak obchodzić się z magnetofonem. Natężenie rejestracji dźwięku nastawione było na minimum i jakość nagrania jest niedobra. W naszym laboratorium zrobiono wszystko, co możliwe. Udało się spisać większą część tekstu, ale nie zidentyfikowano, kto mówi.

- I chciałbyś, aby się domyślić, o co w tym chodzi - stwierdził Stone. - Dlaczego jednak ja? Masz innych, którzy potrafią to zrobić.

Zamiast odpowiedzi Ansbach wręczył mu niebieską teczkę. Stone otworzył ją i zaczął czytać ze zmarszczonym czołem. Po kilku minutach podniósł oczy.

- Widzę, że podkreślałeś fragmenty, na których chciałbyś, żebym się skupił. Mamy tu rozmowę dwóch facetów - odczytał na głos kilka fragmentów podkreślonych żółtym ołówkiem. - Bezpieczne?... Testament Lenina... Winthrop Lehman miał tylko jedną kopię... stary pierdziel dostał ją od samego Lenina... nic nie można zrobić, aby go zatrzymać... - Stone chrząknął. - Winthrop Lehman. Przypuszczam, że mowa o tym Winthropie Lehmanie.

- A znasz innego? - Ansbach rozłożył ręce. - Oczywiście, to twój Winthrop Lehman.

- Tak - powiedział cicho Stone - teraz rozumiem, dlaczego mnie właśnie wezwalesz.

Winthrop Lehman, jego ojciec chrzestny, był doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego Franklina Roosevelta i Harry Trumana. W 1950 roku zaangażował on młodego, zdolnego historyka z Harvardu nazwiskiem Alfred Stone - ojca Charliego - i zrobił go swoim asystentem. Potem wybuchła tak zwana afera Alfreda Stone'a. Senator Joseph McCarthy oskarżył go o zdradę i przekazywanie Związkowi Radzieckiemu tajnych informacji. Nawet wtedy jednak Lehman nie opuścił swojego asystenta. Mąż stanu, arystokrata, nazywany przez prasę "filantropem", Lehman miał obecnie 89 lat. Stone zdawał sobie sprawę z tego, że nie zaangażowano by go do Fundacji Parnassus, gdyby nie popierał go niezwykle wpływowy



Lehman.

Saul Ansbach splótł ręce jak do modlitwy i podparł nimi podbródek.

- Czy domyślasz się, o czym tu mowa, Charlie?

- Tak - odparł powoli. - Zwrot Testament Lenina padł w toku przesłuchań mojego ojca przed Kongresowym Komitetem ds. Działalności Antyamerykańskiej. Nigdy tego nie wyjaśniono i nie powtórzono - zauważył, że bezwiednie zaczyna mówić głośniej. - Zawsze jednak zakładałem...

- Zakładałeś, że to jakiś błąd, czyż nie? - Saul ściszył głos.

- Nie. O ile wiem, Testament Lenina nie jest czymś tajemnym. Został napisany przez Lenina w ostatnich dniach jego życia. To dokument, w którym między innymi przestrzega przed tym, że Stalin może stać się zbyt potężny. Stalin próbował to ukryć, ale w kilka lat po śmierci Lenina rzecz się wydała - zauważył uśmiech, jaki musnął twarz Saula. - Czy sądzisz, że o tym właśnie mowa?

- A ty tak sądzisz?

- Nie, nie o tym - zgodził się Stone. - Dlaczego jednak Jez nie mógłby tego wyjaśnić?

- Przed dwoma dniami został zabity - wyjaśnił Saul. - Przypuszczamy, że to było KGB

- wzruszył ramionami. - Dokonał tego profesjonalista.

- A więc chcesz, żebym wyjaśnił, co mają na myśli mówiąc Testament Lenina, tak?

Chcesz, bym pomówił z ojcem i wydobył z niego jakieś informacje. Nie, Saul. Nie podoba mi się to.

- Wiesz przecież, że twojego ojca wkopano. Czy zadałeś sobie kiedykolwiek pytanie, dlaczego?

- Stale zadaję sobie to pytanie, Saul.

\*\*\*

Alfred Stone, profesor historii w Harvardzie i znawca dziejów Stanów Zjednoczonych XX stulecia, był niegdyś wielką gwiazdą w tej dziedzinie, ale to było przed laty. Od tego czasu, od 1953 roku, był człowiekiem złamanym. Prawie niczego nie opublikował. W ostatnich latach pił zbyt wiele. Był, chociaż brzmi to banalnie, cieniem samego siebie z przeszłości.

Kiedyś, jeszcze przed urodzeniem się Charliego, Alfred Stone był młodym, znakomitym wykładowcą, doskonałym naukowcem i w 1950 roku, kiedy miał 31 lat, zaproponowano mu pracę w Białym Domu w administracji Trumana. Otrzymał właśnie Nagrodę Pulitzera za studium nad historią Stanów pod koniec I wojny światowej. Rektor Harvardu James Bryant Conant zaproponował mu stanowisko dziekana wydziału nauk humanistycznych, ale on zdecydował się wyjechać do Waszyngtonu. Winthrop Lehman, jeden z doradców Trumana, niegdyś członek administracji Roosevelta, słyszał o tej wschodzącej gwiazdzie z Harvardu i zaproponował mu pracę w Białym Domu, a Alfred Stone propozycję zaakceptował.

Charlie Stone miał dziesięć lat, kiedy po raz pierwszy usłyszał o przeszłości ojca. Pewnego popołudnia po szkole zastał otwarte drzwi od gabinetu ojca, w którym nie było nikogo. Wszedł i zaczął szperać w papierach na biurku, ale nie znalazł nic interesującego. Już chciał zrezygnować z dalszego grzebania, gdy uwagę jego zwróciła oprawna w skórę teczka. Otworzył ją, a w chwilę potem serce zaczęło bić mu szybciej. Zrozumiał, że dokonał odkrycia. Kartkował dokumenty z poczuciem winy, ale zaabsorbowany.

Teczka zawierała wycinki z prasy z początku lat pięćdziesiątych dotyczące tej strony życia ojca, o której nigdy nie słyszał. Jeden z artykułów wyciętych z magazynu "Life" nosił tytuł: "Dziwna sprawa Alfreda Stone'a". Tytuł z "New York Daily News" nazywał jego ojca

“czerwonym profesorkiem”. Pochłonięty odkryciem wertował poźółkle wycinki jeden za drugim. Nagle zaczął rozumieć różne strzępy rozmów, jakie niegdyś wpadały mu w ucho, sens tego, co ludzie mówili o jego ojcu, fragmenty kłótni rodziców w sypialni. Kiedyś ktoś na ich domu namalował czerwoną farbą wielki sierp i młot. Przypomnił sobie, że kilkakrotnie rzucono kamieniami w okno kuchenne. Teraz to wszystko stawało się jasne.

Niespodziewanie do gabinetu wszedł ojciec i zastał go nad papierami. Wpadł w dziką złość. Podbiegł do biurka i wyrwał mu skórzaną teczkę.

Na drugi dzień matka, wysmukła Margaret Stone o ciemnych włosach, posadziła obok siebie Charliego i zwięźle, rozsądnie opowiedziała mu, co wydarzyło się w 1953 roku. O działalności Komisji do Badania Działalności Antyamerykańskiej, niezwykle potężnej w owym czasie. Na jej czele stał okropny człowiek, Joseph McCarthy. Uważał on, że Ameryka jest zalewana przez komunistów, którzy mieli być wszędzie, nawet w Białym Domu. Ojciec był bardzo szanowanym człowiekiem, doradcą prezydenta Trumana i dostał się w tryby walki pomiędzy prezydentem a McCarthym. Prezydent nie był w stanie sam prowadzić tej walki. McCarthy zmusił ojca do zeznań przed Komisją i oskarżył go o to, że jest komunistą i rosyjskim szpiegiem.

Były to wierutne kłamstwa, ale w tych trudnych czasach ludzie wierzyli, że wszystkie problemy będzie można rozwiązać rozprawiając się ze szpiegami i z komunistami. Ojciec Charliego był niewinny, ale nie mógł tego udowodnić...

Charlie z żelazną logiką dziesięciolatka zapytał:

- Dlaczego on tego nie powiedział? Dlaczego nie wydał im walki? Dlaczego?

\*\*\*

Ansbach zdjął okulary w czarnej oprawie i czyścił je bibułą wyjętą ze stojącego na biurku pudełka. Zaczął mówić pochylony nad okularami, których nie przestawał polerować:

- Niech to cholera, Charlie, cokolwiek oznacza ten Testament Lenina, jest to oczywiście klucz do zrozumienia powodów, dla których twojego ojca w 1953 roku aresztowano. - Ansbach odrzucił bibułę i włożył okulary na nos. - Jeśli nie chcesz zrobić tego dla Agencji, to myślę, że przynajmniej...

- Nie wiedziałem, Saul, że tak się troszczysz o prywatne życie twoich pracowników. - Saul był mistrzem w manipulowaniu i Stone poczuł ogarniający go przypływ niechęci.

- Nie pokazałem ci ostatniej strony stenogramu, Charlie. Oczywiście nie dlatego, że ci nie ufam... - Podniósł kartkę leżącą przed nim na biurku białą stroną do góry i dał ją Stone'owi.

W górnym rogu miała stempel “Ściśle tajne/Delta”. Oznaczało to, że jedynie kilka osób na samym szczycie hierarchii rządowej miało prawo do przeczytania tego tekstu. Stone zaczął uważnie, powoli czytać. Dosłownie czuł, jak ze zdumienia opada mu szczęka.

- Sam widzisz - Saul z trudem wydobywał z siebie poszczególne słowa. - Gorbaczow ma kłopoty ze swoim Biurem Politycznym od momentu, w którym wybrano go sekretarzem generalnym. Wiesz o tym doskonale. Ostrzegałeś przed tym - położył palce na oczach i przez chwilę je masował. - Wszystkie te zaburzenia w Europie Wschodniej. Ten człowiek ma wrogów. Za kilka tygodni mamy szczyt i wobec wyjazdu prezydenta do Moskwy uważam, że konieczne byłoby...

Stone skinął głową, miał wypieki na policzkach.

- Gdybyśmy mogli domyślić się, co oznacza ta wzmianka na temat Testamentu Lenina, moglibyśmy ustalić, kto jest w to zamieszany i jakie są ich motywy działania... - mówił przeciągając wyrazy. Gubił się we własnych myślach.

Ansbach przyglądał mu się z napięciem i niemal szeptem zapytał:

- A więc rozumiesz to podobnie jak ja?

- Tego nie można rozumieć inaczej.

Słyszał daleki odgłos pisania na maszynie, który w jakiś sposób przeciskał się od strony korytarza przez masywne drzwi. Przez chwilę przyglądał się cieniom rzucanym na ścianę przez zachodzące za oknem słońce.

- Ci ludzie, kimkolwiek są, stoją o krok przed dokonaniem pierwszego w historii ZSRR przewrotu.

Nie chodzi o to, co wydarzy się na Kremlu - dodał Saul potrząsając głową, tak jakby sam nie chciał wierzyć w to, co mówi. - Nie o to, o coś znacznie gorszego. Czy zgadzasz się ze mną?

- Widzisz, Saul, jeśli ten materiał odpowiada prawdzie - Stone mówił nie odwracając wzroku od wzorów na ścianie - mówimy o możliwości załamania się rządu. Nie, o załamaniu się kilkunastu rządów. O niebezpiecznym przewrocie, który może zagrozić światu... - przeniósł wzrok na Saula. - Zwróć uwagę, jakie to dziwne - mówił cicho. - Od lat zastanawiamy się nad tym, czy coś takiego może nastąpić. Rozważaliśmy tę okropną możliwość, że któregoś dnia władza, jaką trzyma w swoich rękach malutka klika na Kremlu, może jej zostać odebrana przez inną klikę, o wiele bardziej niebezpieczną. Mówiliśmy o tym tak wiele, że wydaje się, że się do tej myśli przyzwyczailiśmy. Teraz jednak zaczyna mnie to napawać lękiem.

### 3. Moskwa

Słowo "dacza" oznaczające chatę brzmiało śmiesznie w odniesieniu do trzypiętrowego, przypominającego pałacyk, kamiennego budynku ukrytego w sosnowym lasku w miasteczku Żukowka, osiemnaście mil na zachód od Moskwy. Żukowka to enklawa, gdzie mieszkają najznakomitsi spośród członków radzieckiej elity, a ta szczególna dacza należała do jednego z najbardziej wpływowych ludzi w Związku Radzieckim.

Gospodarz i jego jedenastu gości siedzieli wokół zastawionego stołu w pokoju o niskiej powale, którego ściany pokryte były ikonami lśniącego bursztynowego światłem. Stół zastawiony był kryształami i porcelaną, na których wyłożony był kawior" świeże młode jarzyny, pieczone kurczaki. Obok stały butelki francuskiego szampana. Był to zwykły stół jednego z uprzywilejowanych.

Pokój odpowiednio zabezpieczono elektronicznymi urządzeniami antypodsluchowymi. Na ścianach umieszczono małe głośniki, które ustawicznie emitowały sygnały zagłuszające. Nic, co w tym pokoju zostało wypowiedziane, nie było możliwe do podsłuchania.

Każdy spośród dwunastu siedzących za stołem zajmował obecnie lub w przeszłości bardzo wysokie stanowisko - w Komitecie Centralnym, w Armii Czerwonej lub w wywiadzie wojskowym GRU. Wszyscy byli członkami niewielkiej, starannie dobieranej grupy, która sama siebie nazywała skromnie Sekretariatem. Czasami, nieformalnie nazywali siebie Klubem Moskiewskim - Moscow Club. Wszyscy żywili skrycie a gorliwie to samo uczucie - niezachwiane oddanie sprawie radzieckiego imperium, które z dnia na dzień zdawało się rozpadać. I dlatego właśnie żywili nienawiść do skompletowanego przez Gorbaczowa kierownictwa z Kremla i do przyszłości, ku jakiej naród wydawał się zmierzać.

W czasie obiadu rozmawiano o tym, o czym mówiono zawsze. O upadku rosyjskiego imperium, o nie kontrolowanym chaosie spowodowanym przez Gorbaczowa. Ci moskiewscy biurokraci, na ogół opanowani, podniecali się wzajemnie w toku rozmowy, a ich rozgoryczenie, osiągało stan alarmowy. I były po temu powody.

Mur berliński się zawalił. Układ Warszawski istniał jedynie z nazwy. Niemcy

Wschodnie zniknęły z mapy. Jeden po drugim, jak domki z kart, waliły się prokomunistyczne

rządy bloku radzieckiego. Sytuacja w Pradze i w Budapeszcie, w Wilnie i w samej Warszawie przypominała dom wariatów. Nie ulegało wątpliwości, że Lenin i Stalin obracali się w swoich trumnach, patrząc, jak Michaił Gorbaczow wyprzedaje ich dzieło. Poszczególne republiki radzieckie jedna po drugiej wycofywały się, powstając przeciwko władzy radzieckiej. Imperium, niegdyś tak potężne światowe mocarstwo wykute przez Stalina, stało u progu rozpadu. Okropność.

Jedną z czołowych postaci Sekretariatu był ekonomista Jefim S. Fomin. Usunięto go z Biura Politycznego za wyrażanie własnych poglądów. Dziś wieczorem on właśnie był jednym z głównych mówców. Był członkiem KC odpowiedzialny za centralne planowanie, to dawało mu tytuł do wygłaszania autorytatywnych stwierdzeń.

- Plan gospodarczy Gorbaczowa to nieszczęście. - Fomin był potężnie zbudowanym mężczyzną, o gęstych, jasnych włosach. Miał szczególny talent do przemawiania prawie bez poruszania wargami. - Nasza gospodarka rozpada się. To wszyscy widzimy. Komitet Centralny nie ma już nad niczym kontroli. Ten człowiek niszczy nasz naród od wewnątrz. Gdy skończono kolację, jako pierwszy głos zabrał koordynator prac Sekretariatu, pułkownik Giennadij Riazanow, błydy, chudy mężczyzna w wieku 45 lat, szef zagranicznych operacji wywiadowczych GRU. Wyglądał na zmęczonego. Przez kilka minionych tygodni pracował niemal bez przerwy. Miał czwórkę dzieci i żonę, którzy ustawicznie pytali go, kiedy znajdzie dla nich nieco wolnego czasu. Jego szef w GRU, który sam nie spędzał zbyt wielu godzin w biurze, zastanawiał się nad swoim podwładnym. Dlaczego tyle czasu spędza w pracy? Może problemy małżeńskie? Może chore dziecko? Nikt jednak poza ludźmi w tym pokoju i nieobecny tu ich przywódca nie wiedział, co właściwie pochłania tak wiele czasu i energii pułkownika. A był to plan, dla przedyskutowania którego zebrali się tego wieczoru. Riazanow był perfekcjonistą odczuwającym wstręt do wszelkich błędów i pomyłek. Od tygodni budził się rano czując kwasy w żołądku. I teraz nie tknął nawet kolacji. Mówił z głowy, jedynie od czasu do czasu rzucając okiem na kartkę papieru pedantycznie ułożoną obok szklanki z wodą.

- Powszechnie na Zachodzie, a właściwie na całym świecie, uważa się, że radzieckiemu kierownictwu nie zagraża jakikolwiek przewrót.

Przez chwilę wargi układały się mu w prawie niedostrzegalnym uśmiechu. Riazanow nie był urodzonym mówcą i niektórzy z obecnych doskonale wiedzieli, że swoje wystąpienie dokładnie przygotował.

- A przecież, mimo wszystko, mamy tu nieco demokracji. Rada Najwyższa już z reguły głosuje przeciwko żądaniom Kremla. Sądzę, że to nam powinno pomóc. Popatrzył po zebranych przy stole i przez chwilę milczał, uderzając ołówkiem w leżącą przed nim kartkę. Pauza była zbyt długa i atmosfera zaczynała się robić napiętą.

- Co masz na myśli? - ekonomista Fomin syknął przez nieruchome wargi.

- Mam na myśli to - Riazanow rzucił w kierunku tamtego niechętnie spojrzenie - że rzeczywistość i wyobrażenia o niej to dwie różne sprawy, co powinno nam pomóc. Zgodzicie się jednak z tym, że dłużej czekać już nie można. Sytuacja wymaga zdecydowanego działania, ale uciekanie się do zabójstwa nie byłoby rozsądne. Takie działanie spotkałoby się z reakcją w łonie rządu, co spowodowałoby, że sytuacja w całym bloku stałaby się jeszcze trudniejsza do kontrolowania. Znajdą się tacy, co powiedzą, że jak obetniemy głowę, ciało umrze, ale ta głowa to nie jedynie Gorbaczow. To również jego sojusznicy w Biurze Politycznym, w ogóle w kierownictwie. Śmierć tego człowieka ich nie uciszy. Stanie się wręcz odwrotnie.

Ołówek nadał uderzał rytmicznie w kartkę na stole. Mówca starał się najwyraźniej przekonać tych, którzy jeszcze nie byli w pełni przekonani. W duchu pragnął jedynie móc pójść do domu na kolację z rodziną, pobawić się z najmłodszym, trzyletnim Loszą, który już zapewne spał.

- Nasz plan jest trudny, ale jasny. Zamachy nie dają oczekiwanych efektów, a "przypadki" są trudne do wytłumaczenia. Świat jednak mocno wierzy w istnienie terroryzmu, nawet w Moskwie.

- Czy wszyscy tu zebrani są przekonani co do tego, że żaden z wywiadów, KGB czy GRU, nie dowie się o naszych planach? - zadał pytanie jeszcze jeden członek Sekretariatu pracujący w GRU, niewysoki Iwan M. Czirkow, o okrągłej twarzy, malutkich oczkach i głosie tenora. Był nieco podobny do Lenina, tyle że nie miał brody.

Riazanow zmrużył oczy i otworzył usta do odpowiedzi, ale uprzedził go Igor Krawczenko, szef VIII Departamentu w głównym I Zarządzie KGB. Chrząknął i powiedział:

- Nasze bezpieczeństwo było zagrożone. - Krawczenko był wysoki, zwalisty, otaczała go aura pewności siebie, a oczy zimno patrzyły spoza okularów bez oprawek.

Zapadła cisza.

- Towarzyszu Morozow - Krawczenko wyciągnął palec w kierunku Piotra I.

Morozowa z Komitetu Centralnego. - Jeden z moich ludzi wpadł na to, że człowiek pracujący jako wasz kierowca zwerbowany został przez CIA.

- Co takiego? - wyszeptał Morozow, mężczyzna około pięćdziesiątki o bezbarwnej twarzy. Morozow pochodził ze wsi, czym się stale chlubił. - Przecież nas zapewnialiście, że wszyscy kierowcy są dokładnie sprawdzani.

- Zajęliśmy się już tą sprawą - w głosie Krawczenki zabrzmiały ostre tony. - Człowiek ten został zabity. Czy rozmawialiście o czymś w jego obecności...

- Nie, oczywiście, że nie - Morozow protestował energicznie, machając swoimi cienkimi rękami, które nigdy nie wykonywały żadnej pracy fizycznej z wyjątkiem przerzucania papierów z biurka na biurko. - Kiedy z Jefimem Siemionowiczem - pokazał na ekonomistę Fomina, który jeszcze mocniej zacisnął wargi - rozmawialiśmy w samochodzie, zamykaliśmy szybę od strony kierowcy. Wiemy, że nikomu poza tym pokojem nie można wierzyć.

Pułkownik Riazanow poczerwieniał ze złości, ale się pohamował. Wiedział, że nie osiągnie niczego wyładowując złość. Nadal uderzając ołówkiem w blat stołu powiedział tak łagodnie, jak tylko potrafił:

- Zabity! A przecież martwego nie można przesłuchać.

- Tak - zgodził się spokojnie Krawczenko. - Sfuszerowano robotę. - Zaklął wulgarnie.

- Nasi ludzie nazbyt docisnęli śrubę, byli zbyt chętni. Nie chciałem jednak, żeby agent był przesłuchiwany przez kogokolwiek na Łubiance i lepiej się stało, że został zabity, niż mieliby się dowiedzieć o nas. W każdym razie jestem zadowolony, że fakt istnienia Sekretariatu pozostaje całkowitą tajemnicą.

- A co z Amerykanami? - upierał się Czirkow piszczącym głosem. - Nawet najmniejszy przeciek ze strony Amerykanów stawia nas w niebezpiecznej sytuacji.

Odpowiedział Krawczenko:

- To nasi amerykańscy przyjaciele poinformowali nas, że kierowca pracuje dla nich.

Ostatecznie to oni mają więcej powodów niż ktokolwiek, by kontakty z nami utrzymywać w tajemnicy.

- Jaką jednak mamy gwarancję, że plan nie został już ujawniony? - gniewnym głosem zapytał ktoś z końca stołu. Był to Morozow.

Odpowiedź Krawczenki brzmiała całkiem spokojnie:

- Zadbaliśmy już o to. To nie jest problem.

- Mokra robota? - zapytał Czirkow używając slangowego określenia.

- Jeżeli będzie to konieczne. W każdym razie nic takiego, co można byłoby wykryć.

- Na czym więc dokładnie nasz plan polega? Co właściwie nastąpi w rocznicę rewolucji? - pytał Michaił Tomofiew, krępy pułkownik Armii Czerwonej. - Nasze siły będą postawione w stan najwyższego pogotowia, ale pod jakim pretekstem?

Pułkownik Riazanow poruszył się nerwowo. Wolałby planu tak starannie przygotowywanego nie przedstawiać w nerwowej atmosferze. Nie lubił, kiedy mu przerywano. Zaczął powoli, uważnie wyjaśniać szczegóły. W pokoju panowała absolutna cisza. W końcu z drugiej strony stołu dobiegł głos ekonomisty Fomina:

- Wspaniale, przerażające, ale wspaniale.

#### 4. Nowy Jork

Wszystko w domu przypominało mu żonę Charlotte. Mieszkanie składało się z ośmiu obszernych pokoi w prestiżowym budynku w Central Park West. Miejsce znane było z tego, że przyjmowano na lokatorów jedynie wybranych.

Stone nigdy nie był pewien, dlaczego właśnie on i Charlotte zostali zakwalifikowani przez komisję administracji osiedla. Być może przemawiało za nimi to, że byli młodą, przyjemną, statecznie wyglądającą parą, on młody pracownik Departamentu Stanu (jak sądziła komisja), ona popularny korespondent telewizyjny. Oboje (dzięki Fundacji Parnassus, o czym jednak nikt nie wiedział) raczej zamożni.

Mieszkanie pełne było ładnych sprzętów w stylu wiktoriańskim, ale szpeciły je ohydne, żółte tapety i sprzęt kuchenny w kolorze złotym. Charlotte w okresie poszukiwania pracy przemeblowała całe mieszkanie. Stało się wygodne, jakby pluszowe, nasycone atmosferą luksusu. Korytarz wyłożony był zielonym włoskim marmurem, a bawialnię wypełniały półki zastawione książkami i stylowe krzesła. Sypialnia umeblowana była flamandzkimi meblami i stała tu stylowa skrzynia, którą Charlotte kupiła kiedyś na wyprzedazy w zachodnim Massachusetts. W kuchni ustawiono czarny kredens i dobrane do niego meble.

Ściany biblioteki pokrywały tapety w kolorze wina, a na półkach stało pierwsze kompletne wydanie Nabokova. Wstawiono tu biurko rosyjskie z XVIII stulecia z mahoniu zdobione pozłacanymi ornamentami z brązu. Podłogę przykrywał dywan z Agry. Pod ścianą stał fotel angielski pokryty skórą. Niegdyś Lehman otrzymał go od Winstona Churchilla w podziękę za rolę, jaką odegrał w zorganizowaniu Lend-Lease. Charlie z kolei otrzymał fotel od Lehmana w dniu ślubu.

Szesnaście lat małżeństwa i czyżby wszystko nagle tak się skończyło? Półtora roku temu Charlotte się wyprowadziła. Od tego czasu mieszkanie wydawało się dziwnie puste. Czasami w nocy, w łóżku, które dzielili tak długo, przytulał twarz do poduszki i czuł zapach jej perfum, lekkich, podniecających. Policzył noce, jakie razem spędzili. Było ich pięć tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt. Długo patrzył w ciemny sufit.

\*\*\*

Często mu się śniła, czego dziwnie się wstydził.

Już podczas pierwszego spotkania w czasie studiów wyczuł, że jest w niej niepokromiona siła pomieszana ze słabością dziecka. Gdy ją pierwszy raz zobaczył, siedziała w stolówce za długim, drewnianym stołem z podbródkiem opartym na rękach i czytała.

Wokół śmiano się, rozmawiano, a ona, zaczytana, siedziała sama. Nie wyczuwało się w niej poczucia izolacji od innych. Wydawała się być zadowolona ze swojej samotności, zatopiona w niej.

Była bardzo przystojna. Falujące blond włosy niesformnie opadały na ramiona.

Wyjątkowo jasne, niebieskie oczy osadzone były nieco za daleko od siebie pod wyrazistymi łukami brwi. Szczeka zdradzała siłę i była nazbyt wystająca, szczególnie kiedy przypatrywała się czemuś sceptycznie. Gdy się śmiała, na policzkach występowały jej dwa głębokie

dołączki. Na nosie miała piegi od zbyt długiego przebywania na słońcu.

Na razie jednak siedziała w stolówce i czytała książkę o Winthropie Lehmanie.

Charlie nie mógł się powstrzymać, by jej nie przerwać, co starał się zrobić najszybciej, jak potrafił.

- Nie przywiązywałbym większej wagi do tej biografii. Znam faceta, jest o wiele miłszy, niż opisuje autor.

Słaba zagrywka, której nie przyjęła. Popatrzyła na niego z zimną uprzejmością i powiedziała: "Bardzo interesujące", wróciła do czytania.

- Ja naprawdę wiem. To mój ojciec chrzestny - upierał się Stone.

- Co ty mówisz - mruknęła z powątpiewaniem, nawet na niego nie spojrzawszy.

- Piszesz coś o nim?

Podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Piszę o nim pracę. Wolałabym nie słyszeć prywatnych uwag na jego temat, moja praca będzie krytyczna.

- Jak go oceniasz?

- Sądzę, że opinia o nim jest przesadzona. Nie wydaje mi się, by był wielkim człowiekiem. Uważam, że to całkiem przeciętny dyplomata. Cwaniak, który odziedziczył znaczną fortunę rodzinną. Po prostu znalazł się w odpowiednim miejscu we właściwym czasie - uśmiechnęła się ukazując niewielką przerwę między przednimi zębami i po chwili wyczekiwania dodała: - A więc mówisz, że to twój ojciec chrzestny?

Kilka dni później udało mu się namówić ją na pizzę. Przyszła w sweterku z napisem Yale podkreślając, że nie uważa tego spotkania za randkę, a za przerwę między wykładami. Żartowali i dyskutowali. Na wszystko, co mówił Stone, znajdowała kontrargumenty, jakby chciała go sprowokować, po czym jakby miękła i wycofywała się z przymilnym, rozbajającym go półuśmiechem.

Stone czuł, że serce bije mu szybciej. Wszystko, co się z nią wiązało, sprawiało na nim wrażenie. Jej biała cera ze stałe różowymi policzkami, jej oczy. Odprowadził ją do drzwi pokoju w internacie i przez dłuższy moment stali tu skrepowani, wreszcie powiedział jej dobranoc.

Wydawała się zagubiona jak i on. Mała dziewczynka, której łatwo było wyrządzić krzywdę.

- Dobranoc - powiedziała, ale nie ruszała się z miejsca.

- Dziękuję - powiedział Stone.

- Tak, i ja dziękuję.

Czując, że serce mu wali, Stone zapytał:

- Czy mógłbym zobaczyć twój pokój? - nagle poczuł się strasznie głupio.

- Mój pokój? - jej oczy otworzyły się szeroko.

Stone wiedział, że uśmiecha się głupawo, ale nie mógł znieść myśli, że mają się rozstać. Westchnęła, a Stone ze zdumieniem zobaczył, że dyskretnie się uśmiechnęła i powiedziała cicho miękkiem głosem:

- Doprawdy?

Poczuł, że przepelnia go radość. Jak otumaniony szczęściem pochylił się i pocałował ją. Trwało to jedynie kilka sekund, ale ona oddała pocałunek. Oddała gorąco, z uczuciem, które zaskoczyło Stone'a.

Potem słuchali płyty z nagraniem Bessie Smith i tańczyli w mroku pośrodku jej zagraconego pokoju.

Tej nocy kochali się kilkakrotnie. Ona wyciągała szyję, odchylała głowę do tyłu zamykając oczy. Plecy miała wygięte w łuk. Na policzkach łzy mieszały się z jej potem, a gdy zbliżała się do orgazmu, otwierała oczy i w najbardziej intymnym momencie patrzyła prosto w jego twarz.

Potem, w pierwszych miesiącach pożycia, kochali się stale, nieomal obsesyjnie. Byli nierozłączni. Pozrywali kontakty z przyjaciółmi. Rano budzili się dość późno, na ogół zbyt późno, by jeść śniadanie w stołówce. Leżeli nadzy w jej wąskim łóżku i pili kawę gotowaną na maszynie oraz jedli tosty zrobione na tostarce, którą trzymała pod łóżkiem. Potem ponownie się kochali.

Niemal cały czas spędzali w jej pokoju, najczęściej w bieliźnie, którą w każdej chwili mogli zrzucić. Charlotte była zawsze gotowa do miłości, podekscytowana samym jego spojrzeniem.

Stone pragnął wiedzieć o niej wszystko, co tylko możliwe. Dowiedział się, że Charlotte Harper pochodzi z małego miasteczka w Pensylwanii, gdzie oboje jej rodzice pracowali w fabryce plastyku. Byli w drugim pokoleniu Amerykanami polskiego pochodzenia. "Harper" to było ich przybrane nazwisko, poprzedniego nikt nie był w stanie wymówić. Nie byli biednymi, ale ustawicznie zapracowanymi ludźmi i nie potrafili zrozumieć Charlotte, która koniecznie chciała studiować. Jej starsza siostra Martha była bardzo zadowolona z tego, że zaraz po szkole średniej podjęła pracę w wydziale motoryzacji lokalnej Rady, gdzie spotkała swojego przyszłego męża, z którym szybko sprokurowali trójkę dzieci. Charlotte rozpoczęła studia w Uniwersytecie w Pittsburgu, potem jednak postanowiła studiować historię, a ponieważ profesorowie, którzy ją interesowali, wykładali w Yale, zmieniła uczelnię.

Nie potrafił się bez niej obejść. Nawet podobieństwo imion uważał za dobry omen. Była najmilszym, a jednocześnie najbardziej niezależnym człowiekiem, jakiego spotkał. Nieco stremowany wziął ją do Nowego Jorku na spotkanie z Winthropem Lehmanem w Century Club. Chciał mu przedstawić swoją dziewczynę, którą zamierzał poślubić. W czasie lunchu pozwoliła sobie na dyskusję z człowiekiem, który był żywą legendą amerykańskiej polityki zagranicznej. Potem powiedziała mu, że w rzeczywistości polubiła tego starego przyka. Lehman natomiast był oczarowany spotkaniem. Gdy żegnali się po wyjściu z klubu, wziął ją za rękę i pocałował w policzek. Stone nigdy nie widział, ażeby zachowywał się tak wobec kogokolwiek.

Na uroczystym rozdaniu dyplomów jej rodzice spotkali ojca Charliego. Lunch rozpoczął się w milczeniu. Jej rodziców, ludzi prostych, krępowała obecność profesora Harvardu. Charlotte znalazła jednak sposób, ażeby wciągnąć wszystkich do rozmowy. Natychmiast też podbiła Alfreda Stone'a i po niespełna półgodzinie śmiali się i opowiadali kawały.

Gdy wychodzili z restauracji, Alfred Stone objął syna ramieniem i mruknął mu do ucha:

- Szybko się z nią ożeń, bo ci ją ktoś podłapie.

W dzień potem Stone poprosił ją o rękę. Patrzyła na niego z takim samym wyrazem, jak i pierwszego wieczoru, gdy stali pod drzwiami jej pokoju w internacie, i tak samo powiedziała:

- Doprawdy?

Ślub wzięli w trzy miesiące potem. I przez następne lata, niemal do samego końca, jedno nie wyobrażało sobie życia bez drugiego.

\*\*\*

Teraz, pakując małą torbę podróżną, nie mógł przestać myśleć o tym, co Saul powiedział mu wczoraj. Myślał o sprawie Alfreda Stone'a i nie potrafił wyjść ze zdumienia, że coś, co wydarzyło się tak dawno, mogło mieć cokolwiek wspólnego z czymś, co działo się w Moskwie. Włączył radio nastawione na jego ulubioną stację nadającą muzykę klasyczną. Właśnie kończono Symfonię Włoską Mendelssohna.



Wyłączył radio, zapiął walizkę i podszedł do okna. Patrzył na Central Park. Widział jakąś kobietę spacerującą z dziwacznie ostrzyżonym pudlem, potem parę w identycznych swetrach z nazwą któregoś z uniwersytetów. Nie potrafił się uwolnić od myśli o sprawie Alfreda Stone'a i nagle zrozumiał, że z łękiem jedzie do Bostonu.

\*\*\*

Alfred Stone mieszkał w wygodnym, trzypiętrowym, wykładanym na zewnątrz drewnem domu przy Hilliard Street w Cambridge. Charlie wyrósł w tym domu i znał tu każdy kąt, każdą klepkę w podłodze, każdą popsutą klamkę. I ten zapach: cytrynowego oleju do czyszczenia mebli, drewna płonącego na kominku i ponad stuletniego domu.

Dom stał w dzielnicy, w której pracownicy nauki mieszkali obok starych, zamożnych rodzin, gdzie jednak nikt nie afiszował się bogactwem, gdzie jeździło się pociągami, starymi volvo i saabami. Dzielnica leżała daleko od miejsc spotkań punków czy hołoty z centrum Bostonu. Blisko było jednak do lokalnych banków, do eleganckich sklepów z żywnością czy z porządną konfekcją.

Alfred Stone siedział za biurkiem w swoim gabinecie, jak zawsze w garniturze. Od czterech lat był na emeryturze, ale nosił garnitury tak, jakby w każdej chwili spodziewał się, że go poproszą o wykład na temat New Deal czy liberalizmu epoki powojennej.

Kiedyś, zanim go aresztowano burząc jego życie, był przystojnym mężczyzną. Potem zaczął pić. Jego niegdyś kasztanowe włosy były szpakowate. Policzki pokrywała sieć wyraźnie widocznych naczyń krwionośnych zdradzając skłonność do alkoholu. Okulary w grubej rogowej oprawce wyłobily głębokie, czerwone wgłębienia po obu stronach nasady nosa.

Koło biurka, na kocyku rzuconym na ziemię, leżał labradorski owczarek Peary.

Charlie znalazł go przed dwoma laty nad jeziorem i dał ojcu na urodziny. Peary leniwie podniósł łeb i skwitował pojawienie się Charliego machnięciem ogona.

- Jestem przekonany, że tkwi w nim ludzka dusza - powiedział Alfred Stone. - Spójrz w jego oczy, Charlie.

Charlie popatrzył. Peary odpowiedział mu mądrym spojrzeniem, raz jeszcze machnął ogonem, głośno ziewnął i ponownie ułożył się na kocyku.

- On ma na ciebie dobry wpływ - powiedział ojcu. - A przy okazji, dlaczego "Peary"? Nigdy o to nie pytałem.

- Uwielbia przebywać na dworze, szczególnie w zimie, a więc nazwałem go Peary na cześć znanego badacza polarnego Roberta Peary'ego.

- Wspaniałe nazwisko.

- Utyłeś nieco.

Charlie wciągnął brzuch.

- Tylko troszkę. Za dużo siedzenia przed komputerami, za mało wspinaczki.

- Zapewne właśnie to. Rzuciłeś też palenie. Drinka? - Stone senior wstał zza biurka i podszedł do barku zamontowanego na regałach z książkami. Wyjął dwulitrową butelkę z tanim scotchem, ulubionym napojem nałogowych pijaków, i popatrzył na Charliego pytająco.

- Nie za wcześnie, tato?

- Nie praw mi morałów.

- Nie prawię - wiedział jednak, że właśnie to robi. - Alkohol przyciemnia mi umysł, szczególnie po południu - i figlarnie dodał: - muszę mieć jasną głowę, żeby móc zgłębiać problemy narodowego bezpieczeństwa.

- Ja nie muszę - mruknął Stone senior nalewając sobie drinka. - Nikt tego ode mnie nie żądał w okresie minionych czterdziestu lat. Coś interesującego?

Stone wiedział, że ojciec rzadko pytał o jego pracę w Fundacji respektując jej

tajemnice, a kiedy nawet pytał, nie oczekiwał odpowiedzi. Charlie przekazał kilka pogłosek krążących po Moskwie, a więc nie stanowiących żadnej tajemnicy.

- Sądzę, że jeden z członków Biura Politycznego zachorował na serce.

Alfred Stone powrócił do biurka, usiadł i powoli rozparł się w fotelu.

- Oni wszyscy chorują na serce.

Zagłębiając się w swoim fotelu Charlie chrząknął. Lubił gabinet ojca szczególnie o tej porze dnia. Promienie zachodzącego słońca wpadały ukośnie, rysując ciepłe wzory na wypolerowanej podłodze, na starym orientalnym dywanie i skórzanej kanapie, na której Alfred Stone odbywał popołudniowe drzemki.

Półki z książkami od podłogi po sufit pomalowane były na biało. Wypełniały je książki historyczne odzwierciedlające zainteresowania Alfreda Stone'a: praca Roberta Sherwooda o Roosevelcie i Hopkinsie, historia pióra Churchilla, Achesona "Tworzenie współczesności," pamiętniki Trumana, "Tajne pamiętniki" Harolda L. Ickesa, Waltera Lippmanna "Wstęp do moralności". Na ścianach fotografie w ramach: czarno-biała fotografia młodego, wyraźnie podnieconego Alfreda Stone'a z Harry Trumanem i autograf z wyrazami prawdziwego uznania, fotografia Alfreda i Margaret Stone z Winthropem Lehmanem wykonana na jakimś oficjalnym przyjęciu, w srebrnych ramach fotografie Margaret Stone, uśmiechniętej, o włosach uczesanych na wzór Mamie Eisenhower.

- Co? - zapytał Alfred Stone.

Charlie zrozumiał, że musiał coś głośno mruknąć. Słońce przesunęło się i świeciło mu teraz prosto w oczy.

- Nic - powiedział pośpiesznie odwracając głowę. - Powiedz, kiedy po raz ostatni widziałeś Winthrop'a?

- Winthrop'a? Przed laty. Wiem, że za kilka dni wydaje przyjęcie, chyba z okazji publikacji swoich pamiętników. Otrzymałem zaproszenie, a ty?

Stone przypomniał sobie, że i on otrzymał, ale nie miał zamiaru z niego skorzystać.

Przypuszczał, że będzie w tym czasie w górach Adirondack.

- Tak, otrzymałem, ale nie wiem, czy pójdę. A ty?

- To zbyt snobistyczne wydarzenie towarzyskie. Nie mam zamiaru się tam pokazywać, ale chciałbym, żebyś ty poszedł.

- Może pójdę. Chciałbym... - odsunął swój fotel, powodując utworzenie fałdów na dywanie. - Chciałbym o coś zapytać Winthrop'a.

- Aha - mruknął ojciec nadal zagłębiony w fotelu.

- Wpadłem na coś, co łączy się z tobą, z tym, co ci zrobiono. Z tą całą aferą McCarthy'ego.

- Tak? - ojciec podświadomie wciągnął głowę w ramiona. Zareagował nerwowym tikiem, który pojawiał się zawsze, kiedy był w napięciu.

- Wiem, że nie lubisz się w tym grzebać, rozumiem to. Czy słyszałeś kiedyś zwrot Testament Lenina?

Alfred Stone patrzył dość długo w twarz syna, jakby skamieniał, jedynie w lewym oku pojawił się nie kontrolowany tik. Ochryplym głosem zapytał:

- Co?

- Słyszałeś o tym?

Stone senior zdjął okulary i przetarł oczy. Po chwili zaczął mówić, już opanowany, nawet nonszalancki:

- Ty, ekspert od spraw rosyjskich, a nie wiesz. Czyż Lenin nie zostawił czegoś w rodzaju testamentu, w którym krytykował Stalina?

- Nie o to chodzi. O jakiś inny testament. Nadmieniono o tym w czasie przesłuchań przez komisję McCarthy'ego. Chyba sam McCarthy coś na ten temat wspominał?

Alfred Stone rozłożył ręce w geście, który miał świadczyć, że nie pamięta. Wypił

resztę płynu ze szklanki, wstał i ponownie podszedł do baru.

- Dostałem kartkę od twojej żony - mówiąc nalewał żółty płyn w kryształową szklankę.

- Tato...

- Pisz, że przylatuje do Stanów na urlop.

Jawnie starał się omijać poruszony temat, ale Charlie wiedział, że ojciec zawsze lubił Charlotte i sympatia była odwzajemniana. Powiedział więc:

- Nie wydaje mi się, żeby polubiła Moskwę.

- Mam nadzieję, że jednak jest jej tam lepiej, niż było kiedyś mnie - mówił teraz ciszej, miękkiem głosem. - Chciałbyś, żeby wróciła, nie masz jednak odwagi przyznać się do tego, czyż nie tak?

- Nie mogę ci wyjaśniać, z jakich powodów chcę to wiedzieć, ale to ważne. Proszę...

- Charlie, mnie to nie interesuje - w głosie Alfreda Stone'a zabrzmiały ponownie tony zaniepokojenia.

- Z tym wiąże się jakaś tajemnica państwowa, powiedz.

Alfred Stone potrząsnął głową. Oczy miał rozszerzone i błyszczące.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - powiedział gniewnie.

- A czy masz coś przeciwko temu, że zapytam o to Winthropa?

- Nie rób tego, Charlie - głos Alfreda był ostry. Peary podniósł głowę, popatrzył na pana i szczerknął ostrzegawczo.

- Dlaczego nie?

- Proszę, zrób to dla mnie. Nie chcę, żebyś mu przypominał o zmorze tamtych czasów.

- Bardzo wątpię, czy go to drażni. Rozmawiałem z nim wiele razy o roli, jaką odgrywał, o jego spotkaniach z Leninem. Nie sądzę, żeby...

- Charlie, nie mam pojęcia, na ile w tamtych dniach nadstawiał za mnie karku. Sądzę, że bardziej, niż ktokolwiek sobie wyobraża. Nie wiem, co i jak nakłamał, by ratować moją skórę. Proszę, nie pytaj go - pochylił się i zaczął głąskać Peary'ego, który wyciągnął głowę i zamruczał z rozkoszy. - O wielu rzeczach ci nie mówiłem. O bardzo wielu, o Winthropie i o mojej sytuacji... - Charlie nigdy nie widział go takiego roztrzęsionego.

Po dłuższej chwili milczenia Alfred Stone mówił dalej, nie patrząc na syna:

- Któregoś dnia z jakichś tam powodów Winthrop poprosił mnie w Białym Domu, ażebym czegoś poszukał w jego prywatnym archiwum. Już nie pamiętam, o co chodziło.

Każdy z nas miał swoje prywatne archiwum, takie, które po zakończeniu służby w Białym Domu zabierało się ze sobą.

- A więc coś tam zobaczyłeś?

- Już ci mówiłem, że tak. Pamiętam, że to mnie uderzyło, gdyż było niezwykle. Miało to związek ze Stalinem.

- Ze Stalinem? Czy pytałeś kiedykolwiek o to Winthropa?

- Nie, i chciałbym, żebyś i ty nie pytał.

- Ale dla ciebie...

- Nie - powiedział stanowczo. Na twarz wystąpił mu rumieniec. Robił wrażenie skonsternowanego.

Charlie zawahał się przez moment.

- Doskonale - w głębi ducha pomyślał, że nie musi o cokolwiek pytać Lehmana. W podziemiach domu Lehmana w Nowym Jorku mieściło się jego słynne archiwum. Jasne było, że tam znajduje się odpowiedź.

- Cha, przyjechałeś, żeby mnie o to zapytać?

- I zobaczyć ciebie.

- Co minęło, to minęło.

Charlie Stone pokiwał głową twierdząco, nie odpowiadając. Wiedział, że ojciec nie

ma racji. Przeszłość stała się współczesnością.

Słońce zaszło i nagle w pokoju zrobiło się szaro. Charlie pomyślał o młodym Alfredzie Stonie, tym na zdjęciu z Trumanem, i popatrzył na swojego ojca. "Cokolwiek by się działo na Kremlu, zajmę się tym dla ciebie - pomyślał. - Jesteś wart tego, żeby dotrzeć do prawdy".

Kilka dni później żałował tej myśli. Powinien był sprawę zostawić, jak chciał tego ojciec.

## 5. Waszyngton

W tym dniu nie było w Waszyngtonie żadnych ważniejszych przyjęć czy spotkań i Roger Bayliss postanowił pokazać się na przyjęciu w ambasadzie włoskiej. Bayliss, główny ekspert Narodowej Rady Bezpieczeństwa od spraw radzieckich i asystent doradcy prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego, ubóstwiał wkładać frak lub smoking i uczestniczyć w przyjęciach, na których ocierał się o potężnych Waszyngtonu.

Administracja liczyła sobie za ledwie kilka miesięcy, a Bayliss miał wszelkie powody, by być z siebie zadowolonym. Jeszcze nie miał czterdziestki, a już osiągnął godną pozazdroszczenia pozycję w aparacie rządowym. Do pracy w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa został wybrany spośród pracowników radzieckiej sekcji Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, z grupy około tysiąca ekspertów o najwyższych kwalifikacjach analizujących materiały wywiadowcze z ZSRR i z całego świata. Przystojny, z wydatną szczęką, roztaczał atmosferę samozadowolenia, co odrzucało od niego wielu, ale przyciągało niezbyt inteligentne, za to ambitne, waszyngtońskie dziewczęta. W ostatnich latach zawiązał sojusz z kilkoma niezwykle wpływowymi ludźmi, w tym z dyrektorem CIA i z dyrektorem zatrudniającej go Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, i był przekonany, że pomoże mu to w zrobieniu olśniewającej kariery.

Podczas przyjęcia zdarzył się szczególnie incydent. Rozmawiał właśnie z pewną waszyngtońską prominentką, gdy zderzył się z kimś, kogo rozpoznał jako Aleksandra Malareka, pierwszego sekretarza ambasady radzieckiej, który rozmawiał z kolei z ambasadorem Francji.

Wprawdzie nigdy się nie spotkali, ale wiedział, kim jest Malarek, podobnie jak Malarek bez wątpienia wiedział, kim był Bayliss. Malarek nie był przystojnym mężczyzną, ale jego styl i sposób ubierania się, maskujące nieproporcjonalnie długie tułów i krótkie nogi, oraz płynna znajomość angielskiego powodowały, że uchodził za eleganckiego. Był szczupły i miał ciemną cerę. W przeciwieństwie do wielu radzieckich dyplomatów miał zdrowe zęby. Dziennikarze z "Washington Post" uważali ponadto, że był szczery. Gładki, dowcipny w konwersacji, czasami uroczy, miał powodzenie na waszyngtońskich przyjęciach.

- O ogromnie przepraszam - Malarek uśmiechnął się pogodnie, skłaniając głowę w przeproszeniu. - Pan jest Roger Bayliss, nieprawda?

- A pan Aleksander Malarek - Bayliss odpowiedział tak samo jowialnym tonem. - Miło się było z panem zderzyć.

Przez minutę czy dwie rozmawiali grzecznościowo o niczym, ale potem Malarek powiedział coś, co zaabsorbowało Baylissa do końca wieczoru.

- Słyszałem, że kupił pan nowy samochód - powiedział Rosjanin.

I miał rację. Bayliss nabył ostatnio czarnego saaba turbo. Skąd Malarek mógł o tym wiedzieć? Później zrozumiał, skąd.

\*\*\*

W półtorej godziny potem opuszczając ambasadę nadal myślał o tym dziwnym spotkaniu z Aleksandrem Malarekiem. Minął dwie przecznice, idąc do ulicy, na której zaparkował samochód. Otworzył drzwi, wsiadł i wtedy to dostrzegł. Na siedzeniu pasażera leżała kartka. Wyglądało na to, że ktoś wsunął ją do samochodu przez nie domknięte okno. Bayliss wziął kartkę do ręki. Była to zwykła pocztówka, jakie sprzedaje się w kioskach dla turystów. Ta pochodziła z Miami na Florydzie. Nie przynosiła żadnej treści, a widniał na niej jedynie pewien adres w Waszyngtonie. Bayliss przeczytał i poczuł, że serce zabiło mu mocniej. Na to czekał. Nareszcie, po tylu latach. To było to. Schował kartkę do kieszeni wieczorowej marynarki i trzęsąc się z podniecenia zapalił silnik.

## 6. Nowy Jork

Od ponad godziny Stone, siedząc w swoim gabinecie w Fundacji Parnassus, wpatrywał się w monitor komputera. Obserwator nie obeznany z jego sposobem pracy miałby powody do przypuszczenia, że Stone znajduje się w transie.

Miał na sobie stare, wygodne ubranie, w którym najczęściej przychodził do pracy.

Jego gabinet był umeblowany skromniej niż Ansbacha. Proste a funkcjonalne meble, półki wypełnione skoroszytami i zavalone materiałami.

Na ekranie widniała lista członków Biura Politycznego, dwunastu mężczyzn, którzy rządili Związkiem Radzieckim. Przy każdym nazwisku umieszczona była ściśle tajna informacja na temat stanu zdrowia. Coś nie dawało mu spokoju, gdy rozważał krążące po Moskwie plotki o chorobie jednego z przywódców, leczącego podobno w klinice kremłowskiej niedomagania serca. Agencja chciała więcej informacji na ten temat i pytanie takie przekazała do banku komputerowego w Parnassusie.

Jeden z członków Biura był chory. Ale który?

Wyciągnął przed siebie nogi, splótł ręce na piersi i zagłębił się w fotelu. Po chwili wyprostował się i wywołał na ekran informacje na temat podróży, jakie w okresie minionych trzech miesięcy odbywali poszczególni przywódcy. Przez kilka sekund ekran był pusty, po czym wyskoczyła lista. Stone przeczytał i wstał od biurka.

Nic.

Pomyślał, że nauka o Kremlu przypomina poddawanie tony węgla odpowiedniemu ciśnieniu i czasami, jeśli czeka się dostatecznie długo, otrzymuje się w rezultacie diament.

Stone zadawał sobie pytanie: Co dzieje się z radzieckim przywódcą, kiedy zachoruje?

Czasami nic się nie dzieje. Zachoruje i umiera albo zachoruje i wyzdrowieje.

W niestabilnym systemie politycznym, a Biuro Polityczne nie było obecnie instytucją stabilną, nie jest dobrze chorować, zbyt długo pozostawać poza obrębem Kremla. Gdy kota nie ma, myszy... mogą sobie przywłaszczyć jego władzę.

Chruszczow został obalony, kiedy w niewłaściwym czasie pojechał na wakacje nad Morze Czarne. Gorbaczowomalże nie został odsunięty w 1987 roku, kiedy wypoczywał poza Moskwą. Jeśli ma się tego pecha i zostaje jednym z przywódców z Kremla z zamiarem utrzymania się przy władzy, to jak poucza doświadczenie, nie wolno jeździć na wakacje i nie wolno chorować. Każdy chorujący mógł z łatwością utracić część władzy. A władza na Kremlu mierzona była w znacznej części liczbą sojuszników, których obsadzało się na coraz wyższych szczeblach hierarchii.

Stone uderzył w klawisze przywołując listę ostatnich awansów i dymisji w radzieckiej biurokracji. Lista, kiedy pojawiła się na ekranie, wiła się bez końca. Wiele zmian odbywało się w kremłowskim establishmencie. Całkiem nie jak za czasów Breżniewa, kiedy wszystko było stabilne. Obecnie Moskwa się trzęsła, a zespoły kierownicze były płynne. Wprowadził do komputera specjalny program, który sam opracował z myślą o wykrywaniu pewnych

prawidłowości w nominacjach, degradacjach i ruchach kadrowych. Nazywał to kremlowskim asortymentem, ale obawiał się jednak, że tym razem nie znajdzie właściwego towaru.

Po kolejnej godzinie pracy - program był dość skomplikowany - zaczął dostrzegać pewną logikę. Czyżby odnalazł diament? Wyglądało na to, że tak.

W czasie ostatnich kilku tygodni występowała pewna prawidłowość w degradacjach.

Tracili stanowiska ci, których kariery zahaczały w jakiś sposób o pozycję nowego szefa KGB Andrieja Pawliczenki. O to chodziło. Wielu ambitnych moskiewskich biurokratów, którzy przypuszczali, że znajomość z szefem KGB pozwoli im na błyskawiczny awans, przenoszonych było nagle do małych, źle ogrzewanych biur w Omsku czy w Tomsku, gdzie przekładali papierki z teczki do teczki.

Odruchowo sięgnął po papierosa i po raz milionowy przypomniał sobie, że rzucił palenie. Mruknął:

- Gówno.

Nie ulegało wątpliwości, że chorym był właśnie Pawliczenko. Stone był tego całkowicie pewien. Całość układała się w logiczny wzór. Nie można było mieć stuprocentowej pewności, ale wszystko wydawało się wskazywać na to, że chodzi o Pawliczenkę. W nagrodę przygotował sobie trzeci kubek gorącej kawy.

- Co ty tu dziś, do cholery, robisz? - był to głos Saula. - Wydawało mi się, że wyjeżdżałeś...

Wszedł do gabinetu Stone'a.

- Czy znalazłeś mi poszukiwany klejnot? - zapytał zamykając drzwi.

- Pracuję nad tym - Stone usiadł na krawędzi biurka. - Wydaje mi się, że jeden orzech zdołałem rozgryźć.

Zaczął tłumaczyć tok swojego rozumowania. Twarz Ansbacha rozbłysła uśmiechem.

- Znakomicie.

Stone nieznacznie przytaknął głową.

- Brzmi bardzo prawdopodobnie - kontynuował Saul. - Mam chyba mniej wątpliwości, niż ty.

- Czy dostrzegasz powiązania z raportami Jeża?

- Co masz na myśli?

- Pawliczenko traci wpływy. A więc traci na tym KGB. Oznacza to rozluźnienie dyscypliny partyjnej.

- Co z tego?

- Buduję jedynie teorię, Saul. Pawliczenko jest człowiekiem Gorbaczowa, przez niego osobiście postawionym. Po części po to, żeby pilnować KGB, a po części - żeby zabezpieczać przed wszelkimi próbami usunięcia Gorbaczowa. W tej sytuacji, jeśli ktoś uważnie nadśłuchuje, co w trawie piszczy, to chłopcy z placu Dzierżyńskiego.

Stone, jak zwykle, kiedy czuł podniecenie, chodził po pokoju.

- Zresztą to są ci sami ludzie, którzy pomogli Gorbaczowowi w zajęciu obecnej pozycji...

- Zgadza się - Ansbachowi zaczął się udzielać entuzjazm Stone'a. Jak większość ze starej gwardii w CIA hołdował on teorii, że najbardziej postępowy przywódca Rosji cieszył się poparciem najbardziej represyjnego aparatu kontroli, jaki został kiedykolwiek stworzony.

- Tak więc... - Stone wycelował palec w stronę Ansbacha. - Gdyby Pawliczenko nie chorował, nie byłoby żadnej konspiracji.

- Co więc możemy z tego wywnioskować? - Ansbach potrząsnął głową.

- Kiedy po raz ostatni był przewrót w Związku Radzieckim... oczywiście po rewolucji bolszewickiej?

- Nigdy nie było - Ansbach odpowiedział tonem wzorowego ucznia.

- No, nie całkiem. A 1964? - W tym roku Nikita Chruszczow został obalony przez

neostalinowską koalicję betonu, przez Leonida Breżniewa, Aleksieja Kosygina i Michaiła Susłowa.

- To nie był przewrót - sprzeciwił się Ansbach - tylko stare, dobre, regularne rozgrywki pałacowe.

- No dobrze. W 1964 byliśmy świadkami niezadowolenia z chaosu sianego przez Chruszczowa.

- Jak obecnie przez Gorbaczowa.

- A więc mamy do czynienia z betonem?

- Być może - stwierdził Saul. - Mogą to jednak być różnej maści nacjonaści, którzy tak nienawidzą Moskwy - Litwini, Estończycy, Łotysze. Mogą to też być ludzie sfrustrowani tym, że Gorbaczow rozmontował ten cały pieprzony Układ Warszawski.

- To możliwe.

- Możliwe... - zaczął Saul, ale przerwał mu dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę i przez chwilę słuchał w milczeniu. Potem cicho szepnął: - Jezus Maria... Dziękuję. Odłożył słuchawkę i kilka sekund milcząc patrzył Stone'owi w oczy, po czym powiedział:

- Przed kilkoma minutami w Moskwie wybuchła bomba.

- Bomba? Gdzie?

- Na Kremlu, Charlie. Na samym pieprzonym Kremlu.

\*\*\*

Restauracja "Nite & Day" była maleńkim lokalem znajdującym się poniżej poziomu 89. Ulicy Wschodniej. Ściany wyłożono tu ciemną boazerią, a stoliki ceramiką, na której ustawiono metalowe pojemniki na serwetki i butelki z ketchupem Heinza. Lokal został "odkryty" przez magazyn "New York", który napisał, że można tu dostać najlepszy "retro-obiad" w całym mieście. Stone od lat jadał tu obiady i bardzo lubił ten mały podziemny barek.

Tym razem przyszedł tu z Lennym Wexlerem, swoim kolegą z Fundacji, który zajmował się Japonią, a szczególnie japońskimi służbami wywiadowczymi. Wexler był niziutki, brodaty i nosił okulary w drucianej oprawce. Słabością tego spokojnego, niewątpliwie inteligentnego człowieka było opowiadanie długich, świńskich kawałów. Właśnie opowiedział jeden z nich i sam się z niego zaśmiewał. Stone zazwyczaj tolerował kawały Wexlera, tym razem był zbyt roztargniony, ażeby uważnie słuchać, i zaśmiał się jedynie z grzeczności.

Wexler zabierał się za swojego hamburgera z serem, do którego zamówił makaron z serem. Wyjaśnił, że uważa na poziom cholesterolu.

- Czy mówiłem ci, że od sześciu miesięcy staram się, by Helena zaszła w ciążę? - zapytał Wexler.

- Trudne zadanie - mruknął Stone nadgryzając swojego hamburgera.

- Tak, i pozbawia nas przyjemności seksu.

- Mogę sobie wyobrazić - Stone pomyślał o Charlotte, a Wexler wyczuł to.

- Przykro mi, ale będzie ci lepiej bez niej. Zresztą mam dla ciebie dziewczynę. Pracuje z moją siostrą.

Stone uśmiechnął się smutno. Raczej lubił Wexlera, który okazał się dobrym, lojalnym przyjacielem w trudnych chwilach po odejściu Charlotte.

- Co, do cholery - Wexler był wyraźnie zaniepokojony. - Czy ciągle jeszcze wydaje ci się, że się zejdziecie?

- Być może, chciałbym tego.

- No, no - Wexler przełknął nieco makaronu. - W morzu wiele ryb. Nie sprzedawaj

siebie zbyt tanio.

- Nie robię tego.

- Co myślisz o tym wybuchu bomby na Kremlu?

- Jeszcze nie wiem - zazwyczaj nie mówili o pracy, a już nigdy w miejscach publicznych.

Wexler zajął się ponownie swoim makaronem, a w przerwie powiedział:

- Czy mówiłem ci już, że jeden z naszych ludzi został w Tokio aresztowany?

- Nie, nie mówiłeś.

- Tak. Aresztowali go, przesłuchiwali. Przez trzy dni siedział w pojedynce. Zdaje się, że wszystko z niego wydobyli.

Stone nagle przestał jeść. Ręka z hamburgerem zawisła w powietrzu.

Jeż. KGB nie aresztowała Jeża, nie przesłuchiwała go, nic takiego nie miało miejsca.

Zabili go. Dlaczego? Dlaczego zabito Jeża?

- Coś się stało? - zapytał Wexler.

- Nic. - Stone czuł pewien chaos w głowie. - Jak tam z twoim cholesterolem?

Wexler popatrzył nieco rozszerzonymi oczami.

- Dobrze.

- To znakomicie. Czy próbowałeś już bostońskiego ciasta z kremem? Słyszałem, że jest wyśmienite.

- Naprawdę? - Wexler skierował swoją uwagę w stronę bufetu.

\*\*\*

Saul Ansbach czekając na połączenie z Langley na bezpiecznej linii wyciągnął się w swoim fotelu. Zamyślony czyścił paznokcie. Po jakiejś minucie w intercomie zatrzeszczał głos sekretarki:

- Panie Ansbach...

- Dziękuję, Lynn.

Pochylił się do przodu i sięgnął po słuchawkę, w której miał się odezwać głos Teda Templetona, dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej. Bezpieczna linia wolna była od wszelkich szumów i trzasków, głos Templetona brzmiał tak, jakby Ted stał tuż obok niego. Dyrektor mówił zawsze konfidencjonalnie, głębokim barytonem, co przez telefon brzmiało niemal operowo.

- Dzień dobry, Saul - usłyszał w słuchawce baryton.

- Dzień dobry, Ted. Powiedz, co wiemy o tej bombie na Kremlu?

- Niestety, niezbyt wiele. Rosjanie wszystko usunęli i posprząkali, zanim ktokolwiek mógł cokolwiek zobaczyć. Terrorysta, bez wątpienia obywatel radziecki, rzucił bombę w kremlowskiej Zbrojowni. Wygląda na to, że zrobił duże szkody. Zabita została jedna Amerykanka.

Ansbach pomyślał, że życie zaczyna doganiać wyobraźnię zawodowych kremlologów.

W kremlowskiej Zbrojowni znajdowały się najwspanialsze bogactwa carów, klejnoty koronne i podobne pamiątki.

- Czy Rosjanie go złapali?

- Kutasy zastrzelili sprawcę - Templeton niezręcznie imitował slang uliczny. -

Ukochani strażnicy z Kremla. A co u was, Saul?

- Wydaje się, że niedługo rozgryziemy, na czym polega sprawa Jeża...

- Saul, chcę, żeby sprawę wstrzymano.

Ansbach zmarszczył brwi.

- Z jakich...

- Przestajemy się tym interesować.



- Co to znaczy “przestajemy się interesować”? Jak to...?

- Wymogi narodowego bezpieczeństwa, Saul. Wstrzymujemy wszelkie dalsze działania.

Przez kilka minut mówili na inne tematy, po czym zdumiony i zdenerwowany Saul odłożył słuchawkę. Zdjął okulary i masował sobie oczy. Poczł pulsujący ból w głowie. Na dworze zaczęło padać.

\*\*\*

Jednym z przywilejów wypływających z faktu posiadania takiego ojca chrzestnego jak Winthrop Lehman było to, że przyjmując do niego zaproszenie, nie narażał się człowiek na podróż nowojorską taksówką. Srebrny rolls royce shadow zajechał przed wejście do budynku przy Central Park West, gdzie mieszkał Stone.

Deszcz, który zaczął padać po południu, właśnie przeszedł w ulewę, co w tym mieście drapaczy chmur i betonowych kanionów sprawiało wrażenie końca świata.

Szofer, rudy facet w żółtej przeciwdeszczowej pelerynie ociekającej wodą, otworzył przed Stone'em drzwi do samochodu. Wsiadając do limuzyny, Stone zażartował:

- Nie sądzisz, że pan Lehman mógł zamówić lepszą pogodę w dniu swojego przyjęcia?

Szofer nie pozostawił tego bez odpowiedzi:

- On zna wielu wpływowych ludzi, ale nie wiem, czy takich, którzy to właśnie załatwiają.

Stone zachichotał.

Znalazłszy się z powrotem za kierownicą, szofer zamilkł. Tego wymagał Lehman, a Stone też nie nawiązywał rozmowy. Jechali przez Central Park, a doskonałe zawieszenie rollsa powodowało, że nie czuło się nierówności nawierzchni. Stone miał wrażenie, jakby się znalazł w innym świecie. Wnętrze wozu było nieskazitelnie utrzymane. Skóra pokrywająca siedzenia wydawała aromatyczny zapach, powietrze było chłodne i suche. Na zewnątrz nieszczęśliwi przechodnie walczyli z wiatrem wyrrywającym parasole i przeskakiwali przez ogromne kałuże.

Jechał zagłębiony w myślach. Wspominał Lehmana, bogatego, dystyngowanego, zawsze w drogich, szytych na miarę garniturach. Jako dziecko, jako chłopak, a nawet jeszcze jako młodzieniec Charlie czuł się wyróżniony związkami jego rodziny z Winthropem Lehmanem. Wyrok, jaki ciążył na ojcu, szkodził całej rodzinie i choć był niesprawiedliwy, roztaczał wokół nich atmosferę hańby. Pogłębiały to szeptem powtarzane oskarżenia, że Alfred Stone był jednak szpiegiem. Wszystko powróciło do normy dzięki ich związkom z Lehmanem. Prawie wszystko.

Portret Lehmana kilkakrotnie znalazł się na okładce magazynu “Time”, jego fotografie setki razy zamieszczane były na tytułowych stronach gazet. On wy dostał Alfreda Stone'a z więzienia.

Stone przypomniał sobie, jak po raz pierwszy spotkał Winthropa Lehmana.

Był rok 1962, szczyt kryzysu kubańskiego. Przygotowywano schrony przeciwlotnicze, ogłaszano próbne alarmy. Większość szóstoklasistów w milczeniu maszerujących dziedzińcem szkoły podstawowej, przestraszonych wyciem syren ogłaszających próbny alarm, była najgłębiej przekonana, że w każdej chwili, bez najmniejszego ostrzeżenia, zaczną spadać bomby. Szerzył się nieokiełznany antykomunizm, szczególnie rodzaj bezsensownej choroby politycznej, w której celowały jedenastolatki. Przed kilkoma dniami zmarła matka Charliego. Uroczystości pogrzebowe na cmentarzu Mt. Auburn zniósł w milczeniu.

Gdy zbliżali się do drzwi klasy, jeden z chłopców, Jerry Delgado, złapał go za ramię i zaczął mu do ucha szeptać gryzące obelgi, nazywając ojca szpiegiem komuchów. Nie mógł

tego ścierpieć i rzucił się na niego z siłą, z której sobie nie zdawał sprawy. Gromadka chłopców otoczyła ich podniecona i zafascynowana, a Charlie obalił Jerry'ego na podłogę i okładał zaciśniętymi pięściami. Rozdzieliła ich nauczycielka i obu kazała stawić się u dyrektora. Charlie czuł, jak gorąca krew krąży mu przyjemnie w żyłach. Zrozumiał, że dobrze jest być silnym.

Wracając ze szkoły Charlie zobaczył wielkiego czarnego chryslera zaparkowanego przed domem. Przestraszył się. Pomyślał, że to policja albo FBI przyjechało, ażeby powiedzieć o bójce z Jerryem Delgado. A może to rodzice pobitego?

Był to jednak Winthrop Lehman, słynny Winthrop Lehman, o którym rodzice tak często mówili. Siedział razem z ojcem w jego gabinecie. Na widok Charliego Lehman, ubrany w ciemnoniebieski garnitur, wstał z miejsca, aby się przywitać. Uścisnął jego rękę tak, jakby był przywódcą jakiegoś państwa. Lehman przyjechał do Bostonu na jeden dzień w związku z jakąś kolekcją impresjonistów, jaką podarował Muzeum Sztuki. Porozmawiawszy z ojcem, Lehman zapytał Charliego, czy nie chciałby pójść z nim na spacer. Charlie oczywiście zgodził się.

Poszli na lody do baru Baileya, a potem do muzeum. Charlie nigdy tu nie był. Obrazy niewiele go interesowały. Lehman opowiadał jednak pasjonująco, pokazał swoje ulubione obrazy, mówił o van Goghu i Monecie. Zauważył zadraśnięcie na twarzy Charliego i zapytał, co się stało. Charlie opowiedział, czując przyływ dumy. Potem przełamał się i zapytał: "Jeśli ojciec nie przekazywał Rosjanom dokumentów, to dlaczego wsadzili go do więzienia?" Stali w obszernym przedsionku muzeum. Lehman pochylił się nad nim, położył mu rękę na ramieniu i odpowiedział: "Twój ojciec jest niezwykle dzielny człowiekiem". Nie wyjaśnił, co miał na myśli, a Charlie nie domagał się tych wyjaśnień.

Zaintrygowany osobą swojego ojca chrzestnego, Charlie poszedł potem do biblioteki i przejrzał wszystko, co tylko mógł znaleźć na temat Lehmana. Dowiedział się, że Lehman był dziedzicem majątku magnatów kolejowych. Przeżył dwie kolejne żony i nie miał potomstwa. W latach dwudziestych przez jakiś czas mieszkał w Moskwie i, podobnie jak Armand Hammer czy Averell Harriman, robił interesy z Rosjanami. Franklin Roosevelt wezwał go do Waszyngtonu, ażeby pomagał w realizacji New Deal; potem, w latach wojny, był organizatorem programu Lend-Lease i kierował pomocą dla Anglii i Związku Radzieckiego. Harry Truman poprosił go, by został jego doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. Magazyn "Time" w 1950 roku majątek jego oceniał na ponad sto milionów dolarów. W podpisie pod zdjęciem nazwano go "czołowym amerykańskim mężem stanu". Poczucie powiązań, choćby słabych, z człowiekiem tak sławnym i potężnym było dla Charliego podporą w czasach, kiedy nie miał nic innego, na co mógłby liczyć.

\*\*\*

Gdy Stone się pojawił, przyjęcie Lehmana już w pełni się rozkręciło, jeśli w ogóle pojęcie "rozkręciło się" można było odnosić do przyjęć wydawanych w domu Lehmana. Służący odebrał jego płaszcz. Charlie zatrzymał się na chwilę przed wiszącym w przedpokoju lustrem, poprawił klapy swojego szarego garnituru, krawat i ręką przyczesał włosy. Z pokoi dobiegały odgłosy rozmów, śmiech i pobrzękiwanie szkła. Mijający go kelner w czarnej liberii niósł na tacy kanapki z kawiozem. Stone uśmiechnął się: Winthrop Lehman nie żałował swoim gościom niczego. Wszedł do pierwszego z pokoi i minął stół, na którym leżało kilka egzemplarzy właśnie wydanego pamiętnika Lehmana "Czas mego życia". Dom, w którym się znajdował, został wybudowany w XIX stuleciu tak, że przypominał francuskie chateau z XVIII stulecia. Ściany pokrywała ciemna, mahoniowa boazeria, a w każdym pokoju znajdował się ogromny kominek z czarnego marmuru. U sufitów wisały kryształowe weneckie kandelabry, na ścianach widniały tarcze herbowe, a

stylowe meble pokrywały jedwabne tkaniny. Chodziło się po miękkich dywanach. Na ścianach obrazy Sargenta, a pod nimi pozłacane, barokowe stoliki z orientalnymi wazami. Centralnym pokojem przyjęcia była ogromna biblioteka. Lehman siedział tu w wielkim fotelu otoczony przez tłum wielbicieli. Powąła przypominała sklepienie katedralne, ściany zdobiła orzechowa boazeria, a marmurową podłogę pokrywał wspaniały dywan typu Kirman. Okna przysłaniały jedwabne zasłony w jasnozielonym odcieniu.

Stone zobaczył kilka znajomych twarzy, które potrafił rozpoznać. Dwaj senatorzy z Nowego Jorku i z Connecticut rozmawiali z potentatem handlu nieruchomościami; wiceprezydent był zagłębiony w rozmowie z przewodniczącym Izby Reprezentantów; obok zaśmiewała się z czegoś grupa znanych komentatorów telewizyjnych.

Była to śmietanka towarzyska. Przedstawiciele starej nowojorskiej arystokracji mieszały się z bankierami, projektanci mody z dyrektorami banków i koncernów, rektorzy uniwersytetów z dyrektorami Metropolitan Museum of Art i Cooper-Hewitt Galery (obie instytucje każdego roku korzystały z hojnych datków Lehmana). W tłumie zobaczył kilka znanych, bardzo bogatych wdów, przy czym jedna matrona przyprowadziła ze sobą dwa miniaturowe pekińczyki, które starały się ugryźć każdego, kto znalazł się w ich zasięgu. Lehman, rozmawiając z otaczającymi go osobami, siedział w swoim fotelu. Miał na sobie doskonale uszyty ciemnoszary angielski garnitur, który jednak wyglądał tak, jakby miarę brano przed dziesięć laty. Był wyraźnie za duży.

Zimne, stalowe oczy Lehmana wydawały się wilgotne i groteskowo powiększone przez grube soczewki okularów w bardzo jasnej oprawce. Jego niegdyś orli nos stał się ostry i sterczący. Gdy mówił, Stone widział jego nazbyt białe i nazbyt dobrze podrobione sztuczne zęby.

Dostrzegł Stone'a i wyciągnął rękę, na której widać było wątrobowe plamy.

- Charlie, dobrze, że cię widzę.

- Gratuluję, Winthrop.

- Mój syn chrzestny, Charles Stone - wyjaśnił wdowie stojącej po jego lewej stronie. -

Podejdź bliżej, Charlie, cieszę się.

- Wyglądasz doskonale.

- Nie kłam - mówił piskliwym głosem i podnosząc brwi zapytał: - Pracodawcy traktują cię dobrze?

- Bardzo dobrze.

- Mieli szczęście, że przyszedłeś do nich.

- Dziękuję.

Był bliski tego, ażeby zapytać o Testament Lenina, ale się powstrzymał.

- Czy Alfred przyszedł?

Uwagę Stone'a przyciągnęła jakaś znajoma sylwetka, którą zarejestrował kątem oka.

- Przepraszam - odwrócił głowę i przypatrywał się ładnej blondynce w

wydekoltowanej sukni z tafty, zagłębionej w pochłaniającej ją rozmowie z Ansbachem.

- Nie, nie przyszedł. Wybacz mi na chwilę - czuł skurcze żołądka.

To była Charlotte.

\*\*\*

W tym samym czasie około 150 mil na północ młody seminarzysta w rosyjskim klasztorze ortodoksyjnym w Maplewood, stan Nowy Jork, zapakował małą walizeczkę i wsiadł do samochodu będącego własnością seminarium.

Po godzinie jazdy przybył do Saratogi i zajechał na parking naprzeciwko domu spokojnej starości De Witt Clinton Rest Home, który zajmował ładny, XIX-wieczny budynek z grubo ciosanych kamieni. Znalazł klucz ukryty dokładnie tam, gdzie mu powiedziano, pod

metalowymi schodami z tyłu domu. Wszedł do środka. Zatrzymał się przed wskazanym pokojem i sprawdził zawartość swojej torby. Ampułka zawierająca 5 mililitrów atracurium besylate znajdowała się na swoim miejscu.

Światło księżycy wpadało do pokoju. W tej poświacie widać było wysuszoną postać starego człowieka drzemiącego w fotelu na kółkach. Nie miał nóg.

Seminarzysta rozpoznał go natychmiast. Był to Alden Cushing, niegdyś jeden z czołowych przemysłowców tego kraju. Przed laty był partnerem biznesmena i męża stanu Winthropa Lehmana, w okresie kiedy tamten pracował w Moskwie. Seminarzysta dokładnie przestudiował akta Cushinga i wiedział, że w latach dwudziestych i trzydziestych miesięcznik "Fortune" wymieniał go jednym tchem z Lehmanem. Publikowano jego zdjęcia z Williamem Randolphem Hearstem i Johnem D. Rockefellerem, jak razem grali w golfa w San Simeon lub polowali w Wirginii Zachodniej. Seminarzysta zastanawiał się, co mogło spowodować, że tak potężny człowiek upadł tak nisko, z pół golfowych w San Simeon do małego domu dla starców w stanie Nowy Jork, do pokoju pełnego zapachów lekarstw, maści i taniego jedzenia.

- Panie Cushing - powiedział cicho po angielsku, zamykając drzwi i zapalając światło.

Cushing budził się powoli i wyglądał na zdezorientowanego. Przysłonił oczy od rażącego światła.

- Kto...? - dopytywał się słabym głosem.

- Jestem księdzem - wyjaśnił seminarzysta. - Mamy wspólnych przyjaciół.

- Ksiądz? Co... w środku nocy?

- Wszystko w porządku. Wszystko będzie dobrze - miękki głos seminarzysty wydawał się mieć hipnotyczną moc.

- Zostaw mnie...! - chrypiał Cushing.

- Wszystko będzie w największym porządku.

- Dotrzymałem obietnicy złożonej Lehmanowi! - głowa Cushinga trzęsła się w sposób niekontrolowany. Głos załamywał się. - Nigdy nie powiedziałem słowa.

Oczy wypełniły mu się łzami, które zaczęły spływać po pokrytych siecią żył policzkach wijącym się strumyczkiem. W ciągu kilku minut seminarzysta dowiedział się wszystkiego, czego chciał się dowiedzieć. Potem wziął delikatnie rękę Cushinga i odwinął rękaw piżamy.

- Jest pan bardzo zdenerwowany, panie Cushing. Mam coś, co pana uspokoi - mówił łagodnie.

Oczy Cushinga stały się okrągłe ze strachu.

Seminarzysta napełnił tymczasem strzykawkę, zacisnął na ramieniu człowieka w fotelu gumową opaskę i zgrabnie wyszukał żyłę. Miejsce, w które miał ukłuć, przemył alkoholem i wprowadził igłę do żyły. Cushing patrzył teraz na niego ze wściekłością.

Poruszał szczęką, która podnosiła się i opadała, ale z ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Widział, jak do strzykawki wpłynęła kropla jego krwi, zanim ksiądz zrobił zastrzyk.

Ręce zaczęły mu ciążyć. Poczul, że oczy mu się zamykają. Słyszał głos:

- Zaraz poczujecie się pan znakomicie.

Co to za akcent? To wszystko jest bez sensu. Chciał krzyknąć, odsunąć tamtego. Nie mógł jednak wykonać najmniejszego ruchu. Był w pełni przytomny. Słyszał każde słowo wypowiedziane przez tamtego, każdy dźwięk, z przerażeniem jednak stwierdził, że nie może oddychać... ani mówić... ani krzyknąć...

W minutę później zaczął tracić świadomość. Wszystko zaczęło zapadać się w mrok.

Ciało Cushinga sflaczało. Ktoś, kto zajrzałby do pokoju, byłby przekonany, że śpi głęboko.

Atracurium wstrzyknięte mu do krwi działało szybko. Nie pozostawiało żadnych śladów i przypuszczalnie ustali się potem, że powodem śmierci była niewydolność serca.

Nawet gdyby ciało poddano dokładnemu badaniu, co z uwagi na jego wiek było wątpliwe, atracurium nie zostanie wykryte. Jeśli zostanie znaleziony ślad po ukłuciu, to oczywistym

będzie, że jest to ślad po zastrzyku uspokajającym, jakie dostawał w ciągu dnia. Wszyscy wiedzieli, że Cushing miał ustawicznie stany silnych napięć.

## 7. Nowy Jork

Stone zbliżył się do Charlotte i Saula starając się, by ona go nie zobaczyła. Chciał ją przez moment oglądać i słuchać, sam pozostając nie zauważony.

Stojąc w niewielkiej niszy rozmawiała z Saulem ściszym głosem. Saul czasami potrząsał głową, a Charlotte uśmiechała się do niego.

Zmieniła się. Obcięła włosy i było jej z tym do twarzy. Nieco się postarzała.

Widoczne to było wokół oczu, które jednak pozostawały uśmiechnięte. Nieco zeszczuplała.

Wyglądała świetnie. Jeśli tylko chciała, potrafiła się upodabniać do Grace Kelly, a jasne było, że w ten właśnie wieczór chciała.

Zauważył, że nie nosiła na palcach ani pierścionka zaręczynowego, ani obrączki ślubnej, co go na moment zdenerwowało. Zaskoczony był nagłym przypływem uczuć do niej. Miał ochotę odwrócić się i odejść bez powitania. Stał jednak, słuchał i patrzył.

- Skąd wiesz, że to byli Rosjanie? - pytała nalegając na odpowiedź.

Dobiegł go ledwo dosłyszalny głos Saula:

- Ja tego nie powiedziałem.

- Sugerowałeś.

- To prawda, ale... - Saul wzruszył ramionami. Nalegający szept Charlotte:

- A więc jeśli na Kremlu wybuchła bomba...

- Nie mogę na ten temat rozmawiać.

- Przecież przed chwilą sam przyznałeś, że się tym zajmujecie.

- Charlotte, nie naciskaj. Istnieje przecież etyka dziennikarska.

- Nie ma nic takiego.

Stone uśmiechnął się, przestępując z nogi na nogę.

- Charlotte - szeptał Saul. - Od trzydziestu pięciu lat zajmuję się na Langley problemami radzieckimi. Od trzydziestu pięciu lat obserwuję Moskwę. Trzydzieści pięć lat wojuję z innymi na Langley. Od trzydziestu pięciu lat nie jestem pewien, czy to, co wiemy o Rosji, odpowiada prawdzie.

- To czyni razem sto pięć lat, Saul - Charlotte poklepała Saula po ramieniu. - Nie wyglądasz nawet na połowę tego.

- Nie kpij.

- Nie martw się, Saul, nie wykorzystam tego. Przynajmniej teraz. Możesz to potraktować jako grzeczność.

- Dziękuję, mała. Gdybyś... wydaje mi się, że tu ktoś do ciebie... Charlotte wolno odwróciła głowę i zobaczyła Stone'a.

Przez ułamek sekundy jej twarz rejestrowała całą gamę uczuć - zaskoczenie, miłość, smutek, gniew, które natychmiast skryła, przyjmując nieco nonszalancką postawę.

- Halo, Charlie.

- Cześć. Mam nadzieję, że nie jesteś zaskoczona, widząc mnie tutaj.

Smutno się uśmiechnęła.

- Wiedziałaś, że tu będziesz. - Zwracając się do Saula powiedziała: - Wybaczysz nam na chwilę.

Saul skłonił głowę i oddalił się z dyskretnym uśmiechem. Przez dłuższy czas stali naprzeciwko siebie w milczeniu i dopiero po kilkunastu sekundach Charlie objął ją, przytulił i zapytał:

- Czy można?

Pochylił się i wargami musnął jej wargi. Odpowiedziała niemal automatycznie.

- A więc? - zapytał.

- A więc? - powtórzyła, wyraźnie speszona jak dziewczynka na pierwszej randce.

- Czy długo już tu jesteś?

- Na przyjęciu czy w kraju?

- I tu, i tu.

- Na przyjęcie przyszedłam przed chwilą. W Stanach jestem od czterech czy pięciu dni.

Byłam u rodziców, a od wczoraj jestem tu, w mieście...

- Czy miałaś zamiar do mnie zatelefonować? - usiłował się uśmiechnąć, ale nie udało mu się uniknąć tonu oskarżycielskiego. Nigdy nie widział jej w tej sukni i zastanawiał się, czy kupiła ją specjalnie na tę okazję. Ile nowych ciuchów nabyła w ciągu tego roku i z jakich okazji je wkładała?

- Tak, chciałam - odpowiedziała i lekko się zaczerwieniła.

- Przynieść drinka czy coś innego?

- Nie pijam alkoholu. I kawy też - dodała.

- Kawa? W Central Park West nie rozstawiałaś się z kawą.

- No tak, ale już nie pijam. Nie znoszę neski, a w Moskwie nie dostanie się innej.

- Podoba mi się kolor twojej szminki.

- Dziękuję - ściągnęła wargi, naśladując Marilyn Monroe, i zaśmiała się. - Ty nadal palisz? Nie czuję od ciebie tytoniu.

- Rzuciłem.

- Naprawdę? Kiedy?

- Nie pamiętam - skłamał.

\*\*\*

“W dniu, w którym odeszłaś” - pomyślał.

Wkrótce po ślubie przenieśli się do Nowego Jorku, gdzie on zapisał się na studia podyplomowe w Instytucie Rosyjskim Columbii, a ona pracowała dorywczo. Mieszkali w malutkim, ohydny, jednopokojowym mieszkaniu na Manhattanie, ale nic im to nie przeszkadzało. Kiedy zrobił doktorat, zaproponowano mu pracę w Georgetown i bez entuzjazmu przeprowadzili się do Waszyngtonu. Charlie, którego praca doktorska na temat układu sił politycznych na Kremlu była powszechnie chwalona, szybko wyrobił sobie pozycję jednego z najlepszych znawców Związku Radzieckiego swojego pokolenia. Charlotte, wobec braku innych rozwiązań, podjęła pracę w jednej z waszyngtońskich redakcji.

Massachusetts Institute of Technology, MIT, skusił Charliego do objęcia stanowiska profesora i ponownie przeprowadzili się do Cambridge pod Bostonem, tu właściwie rozpoczęła się kariera Charlotte. Podjęła pracę w lokalnej rozgłośni telewizyjnej, przygotowując informacje do dziennika. Potem zaoferowano jej pracę zapowiadającej pogodę, co odrzuciła i została reporterką. Zaczęła od lokalnych informacji kryminalnych, ale uczyła się bardzo szybko. Przyswoiła sobie umiejętność przeprowadzania wywiadów i dobrze opanowała technikę zachowywania się przed kamerą.

Po cichu marzyła o tym, aby uzyskać szansę wykorzystania swojego rosyjskiego, który opanowała na studiach i władała nim lepiej niż Charlie. Ten uważał, że to zasługa jej polskiego pochodzenia. Z czasem stała się doskonałym reporterem. Jej sylwetka i wygląd były idealnie dostosowane do potrzeb telewizji. W epoce, w której na ekranach królowały Barbara Walters, Jessica Savitch i Diana Sawyer, stacje telewizyjne poszukiwały kandydatek na prezenterki i Charlotte zaproponowano, aby prowadziła poranny dziennik - bardzo poranny, gdyż od 6.00 do 6.30 w programie “Boston rano”.

Jeden z prezesów sieci przyjechał na dzień do Bostonu i przypadkowo obejrzał

poranny dziennik Charlotte. Potem poprosił ją do siebie i z miejsca zaproponował jej pracę reportera w centrali, w Nowym Jorku. Wydarzenie to zbiegło się z decyzją Charliego, który postanowił wreszcie przyjąć propozycję Saula Ansbacha i podjąć pracę w Fundacji Parnassus, a więc zrezygnować z kariery naukowej i wstąpić w ciemny świat wywiadu. Tak więc przenieśli się do Nowego Jorku, tym razem tryumfalnie.

Stone uważał, że rozpoczął się najszcześniejszy okres ich małżeństwa. Oboje mieli wreszcie pracę, jaką lubili. Charlie zanurzył się w tajemnicach Kremla z zapałem, o jaki sam siebie nie podejrzewał. Charlotte pracowała z samozaparciem i zaciekłością buldoga, wykorzystując z powodzeniem swoje naturalne warunki, inteligencję, urodę, ciepło. Wkrótce wybiła się w zespole reporterów i doprowadziła do tego, że prawie każdego wieczora miała swój komentarz w dzienniku głównym.

Wkroczyli w okres małżeńskiej rutyny. Wieczorem razem oglądali telewizję, od czasu do czasu gotowali w domu i odwiedzali znajomych. Charlotte chodziła na kurs fotografowania. Charlie stał się niedzielnym majsterkowiczem i bardziej z zamiłowania niż z potrzeby grzebał w silniku ich starego BMW 2002.

Oczywiście bywały sprzeczki i nie zawsze wszystko układało się gładko. Uczucia i emocje pierwszych lat małżeństwa ustabilizowały się, wzbogaciły. Miłość Stone'a do Charlotte stała się głębsza, bardziej pełna. Od czasu do czasu poruszali problem dziecka, ale nigdy nazbyt poważnie. Czasami rozmowy na ten temat ciągnęły się przez tydzień, po czym jedno lub drugie wycofywało się. Mieli na to czas, jeszcze nie byli gotowi. Zresztą czyż bardziej dojrzały rodzice nie są lepsi?

I wtedy się wszystko załamało.

Pewnego dnia, a była jesień 1988 roku, CIA otrzymała wiarygodne informacje, że Gorbaczow wkrótce może zostać usunięty. Nie było nawet czasu na wysłanie materiałów do Nowego Jorku i Charliemu kazano lecieć do Waszyngtonu. Zarezerwowano mu pokój w hotelu w Langley i posadzono do robienia analiz. Wszystko otoczono największą tajemnicą. Z nikim nie wolno było mu się kontaktować, takie były zasady pracy Agencji.

Trwało to tygodniami. Stone i Charlotte rozmawiali przez telefon każdego wieczoru i za każdym razem Charlotte pytała, kiedy wróci. Za każdym razem odpowiedź brzmiała - nie wiem.

W jakiś czas później siostra Charlotte Martha popełniła samobójstwo.

Charlie natychmiast poleciał na pogrzeb do Pensylwanii, a potem odwiedził Charlotte do Nowego Jorku i starał się ją uspokoić. Nie mogła spać i prawie nie płakała. Siedziała godzinami w fotelu i patrzyła w książkę, której nie czytała. Wydawała się niepokieszona. W kilka dni potem, przekonany, że zrobił wszystko, co leżało w jego mocy, wrócił do Waszyngtonu. I to był jego błąd.

Wówczas nie rozumiał, że powinien być zostać przy Charlotte. Początkowo dzwonił każdego wieczoru. Miał jednak tyle pracy, że pracował po nocach i telefonował raz, dwa razy w tygodniu. Powinien był zrozumieć, jak bardzo potrzebne jej było towarzystwo.

Pod koniec miesiąca poleciał do Nowego Jorku z zamiarem zrobienia jej niespodzianki. I faktycznie była to niespodzianka.

Właśnie wychodziła z domu, w którym mieszkali. Prowadził ją pod rękę ktoś, kogo już uprzednio spotkał. Dyrektor jednej z sieci telewizyjnych, przystojny chłopak w eleganckim garniturze, z ugrzecznionym uśmiechem na twarzy.

Stone dowiedział się, że wszystko to trwało wówczas zaledwie dwa tygodnie. Późnym wieczorem, kiedy ponownie spotkali się w mieszkaniu, zrobił gwałtowną awanturę i rozwścieczony wyszedł z domu. Upił się i zatelefonował do pewnej przyjaciółki, która się właśnie rozwiodła. Zmysłowa, przystojna, o rudych włosach. Spędzili razem noc.

W taki właśnie sposób wszystko popękało.

Rano wrócił do domu, spokojniejszy, gotowy do rozmów. Zastał Charlotte pakującą

swoje rzeczy, rozmazaną, roztrzęsioną, ustawicznie popłakującą. Nie chciała rozmawiać. Wyprowadziła się do mieszkania przyjaciółki i nie odbierała telefonów Charliego. Po kilku tygodniach wróciła po resztę swoich rzeczy. Nie rozmawiali o tym, co zaszło. Panowała atmosfera ostatecznego rozłamu. Powiedziała, że się wysyła ją do Moskwy. Ktoś na górze doszedł do przekonania, że należy nadać rangę informacjom ze Związku Radzieckiego, a ona była do tego celu doskonała.

- Przyjęłam propozycję - powiedziała.

Stone przeczuwał, że coś takiego nastąpi, ale poczuł skurcz żołądka. Nie dyskutował z nią jednak. Powiedział jedynie: - Uważam, że popełniasz błąd.

- Jeśli teraz nie spędzimy jakiegoś czasu oddaleni od siebie, naszego małżeństwa nie uda się utrzymać - odpowiedziała.

Podszedł do niej powoli, z wysiłkiem, jakby poruszał się w wodzie. Objął ją i pocałował. Odwróciła się ze łzami w oczach.

- Teraz chcesz mnie pocałować. Teraz...!

Po raz pierwszy w życiu Charlie, któremu nigdy nie brakowało argumentów, nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

\*\*\*

Trzymając Charlotte za rękę powiedział:

- Musimy porozmawiać. Na osobności.

- Nie możemy tego zrobić po przyjęciu?

- Nie - obok nich przeszła kelnerka kierując się do kuchni. Gdy zniknęła za zakrętem, mówił dalej: - Pamiętasz sprawę mojego ojca?

- Którą sprawę?

- Tę sprawę, Charlotte. Więzienie i to wszystko razem.

- Cóż to, do diabła, ma wspólnego z...

- Posłuchaj. W prywatnym archiwum Winthropa, tu w piwnicy, jest pewien dokument.

Wydaje mi się, że zawiera wyjaśnienie tego, co spotkało mojego ojca.

- Charlie, nie rozumiem...

- Potrzebuję twojej pomocy. Musisz ułatwić nam dostanie się do tego archiwum.

Charlotte wahała się pełna ciekawości i obaw.

- Winthrop jest twoim ojcem chrzestnym, dlaczego jego o to nie poprosisz?

- Nie mogę, stanie się podejrzliwy. Ty jesteś dziennikarką, a Winthrop ma do ciebie słabość. Rozumiesz? Zrób to przynajmniej dla mojego ojca.

- Charlie, to nie jest uczciwe.

\*\*\*

W kilka minut później Charlotte kładąc dłoń na kościstej ręce Lehmana mówiła:

- Winthrop, jutro wracam do Moskwy, ale chciałabym przygotować materiał na temat twojego wpływu na ukształtowanie naszych stosunków z Rosją. Chciałabym zerknąć do twojej pracowni i do archiwum. Charlie zaofiarował się jako przewodnik.

\*\*\*

Szli wąskim korytarzem, którego ściany wyłożone były jasną, orzechową boazerią.

Minęła ich kobieta w średnim wieku o włosach koloru miedzi, uśmiechając się z szacunkiem.

Zapewne pracownica Lehmana. Odgłosy przyjęcia oddalały się.

Osobiste archiwum Winthropa Lehmana znajdowało się dość daleko, w głębokiej



suterenie za stalowymi drzwiami zamykanymi elektronicznie. Mieściło się ono w około 90 szafach, w pomieszczeniu o stałej temperaturze powietrza i kontrolowanej wilgotności. W tych zielonych, stalowych szafach znajdowały się jedne z najbardziej fascynujących dokumentów, na jakie Stone kiedykolwiek natrafił. Była tu cała historia amerykańskiej dyplomacji XX stulecia. Archiwum to odwiedzał już kilkakrotnie, w okresie kiedy pisał dysertację na temat kształtowania się polityki amerykańskiej wobec Związku Radzieckiego.

- Tak naprawdę to nie wyjeżdżasz jutro? - zapytał. Mijali pojemniki wypełnione brudnymi naczyniami.

- Wyjeżdżam.

- Jezus! Charlotte, czy nadal ciągniemy separację? Skazałaś się na całkowite wygnanie? Nigdy się nie będziemy widywać? - przeszli obok pokoju, w którym dominował zapach środków piorących. Mówił z zimną, spokojną wściekłością. - Wiesz doskonale, że odwiedziłbym cię w Moskwie, gdybym miał na to zgodę Agencji, ale jej nie dostanę. Charlotte skinęła głową, utrzymując twarz bez wyrazu. Ręką podrapała się w policzek.

- Czy chcesz po prostu odrzucić nasze małżeństwo?

Nie odpowiedziała. Schodzili teraz w dół po drewnianych, skrzypiących schodach.

- Jak twoje życie prywatne? - jego głos odbił się echem od ścian klatki schodowej.

- Bez sensacji - przybrała bez troski ton.

Ściany korytarza pokryte były teraz cementem, podłoga szarą imitacją kamienia.

Otworzył kolejne drzwi i puścił ją przodem. Zauważył, że cerę nadal miała rumianą.

- Nie wiem, do czego... - zaczęła mówić.

- Po prostu, najzwyczajniej, odpowiedz, Charlotte.

- Charlie - stali chwilę przed wejściem do małej windy. - Spotykam się z ludźmi, tak jak i ty. Jednak nie mam nikogo. Przede wszystkim nie mam na to czasu.

- Lub kogoś interesującego.

- Wiesz, że to nieprawda.

- Wiem - zgodził się. - Zawsze pociągałaś mężczyzn, dlaczego więc jesteś sama?

- Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, Charlie, że przez jakiś czas mogę chcieć być sama?

Przed oczami stanęły mu ich ostatnie wspólne wakacje. Pojechali na Barbados, do małej, odległej od świata wioski na wybrzeżu wyspy. Pili rum, jedli latające ryby i kochali się. Pamiętał, z jaką namiętnością przytulała się do niego oczekując pieśszcoty. Kiedyś wiatr otworzył drzwi od ich bungalowu i mieszkająca obok Kanadyjka, opalająca się właśnie na werandzie, zerknęła do ich pokoju w momencie ich zbliżenia. Speszona, zagniewana odwróciła się i zeszła z werandy. Poczuli zażenowanie, ale w chwilę potem wybuchnęli głośnym śmiechem.

Nacisnął guzik przywołujący windę.

- Jak to właściwie z nami jest? - zapytał. - Czy zejdziemy się kiedykolwiek?

- Nie wiem - odpowiedziała.

Drzwi od windy otworzyły się i weszli do środka.

- Pozwól, że powiem wyraźnie. - Miał ochotę krzyknąć "kocham cię", ale powiedział spokojnie, bardziej racjonalnie: - Chciałbym, żebyśmy byli ponownie razem.

Oboje popełnialiśmy głupie błędy, ale to przeszłość. Możemy to wszystko naprawić.

Charlotte nie wiedziała, co odpowiedzieć. Odwróciła się od niego i patrzyła na metalowy sufit małej, ciasnej windy i nagle poczuła jakby eksplozję uczucia, które zaczęło dusić ją w gardle i cisnąć łzy do oczu. Była zadowolona, że Stone tego nie widzi. Poczowała, że wziął ją za ramiona, odwrócił do siebie z nieoczekiwaną siłą i gorąco pocałował. Wzdrygnęła się, jakby otrzymała zastrzyk, jej ręce pozostały nieruchome, oczy otwarte, czujne.

- Nie... - jej protest był niemal niedosłyszalny. Drżące wargi nie oddały pocałunku, zacisnęły się.

Winda stanęła i drzwi, odsuwając się, ukazały wnętrze archiwum Lehmana.

\*\*\*

Pomieszczenie archiwum stanowił niewielki pokój z niskim sklepieniem i błyszczącą podłogą wykładaną kafelkami. Wzdłuż ścian stały ściśle jedna przy drugiej szafy z dokumentami. Pomieszczenie miało około 12 metrów długości. Było tak wąskie, że krępowało ruchy.

Neonowe rurki żarzące się pod sufitem dawały niebieskawe światło i cicho brzęczały, co było jedynym dźwiękiem w całkowitej ciszy zalegającej archiwum.

- Skąd wiesz, gdzie szukać? - Charlotte była podenerwowana, Stone też czuł się spięty. Znajdowali się w tej części archiwum, w której nie wolno było grzebać, a w każdym momencie ktoś mógł nadejść.

- Przypominam sobie, że dokumenty poukładane są w kolejności chronologicznej, rok po roku, miesiąc po miesiącu. Równocześnie jednak tematami.

Stone szybko przeglądał zawartość kolejnych szuflad, szukając dokumentu, który jego ojciec widział przed laty. Charlotte usiadła na niewielkim metalowym stole stojącym koło zakurzonej, starej kopiarki Canon. Jej nogi nie sięgały podłogi i bujały się w powietrzu. Uważała na drzwi.

- Czy nie sądzisz, że Winthropowi wyda się to podejrzane, że podczas gdy przyjęcie jest w punkcie kulminacyjnym, ty tu grzebiesz w papierkach? - zapytała wyraźnie napięta patrząc, jak przegląda szufladę po szufladzie.

- On jest przekonany, że to ty grzebiesz. Sądzę, że nie ma nic przeciwko temu, aby przygotowywano program telewizyjny na jego temat. Nigdy nie grzeszył skromnością. - Stone otworzył kolejną metalową szufladę i patrzył na umieszczony tam spis zawartości. Minęło pół godziny, potem godzina.

- Chyba się zbliżam - powiedział. Czuł na plecach jej wzrok. Odwrócił głowę i zapytał, czy dobrze się czuje.

- Dobrze - wyglądała na zamyśloną. - Od czego te światła? Pokazała na małą, kwadratową tablicę rozdzielczą umieszczoną koło stalowych drzwi. Na tablicy świecił się rząd światełek.

- System alarmowy - wyjaśnił. - Marjorie, wpuszczając nas tutaj, wyłączyła główny system - miał na myśli sekretarkę Lehmana.

- Dlaczego tyle tych światełek, nie mogę zrozumieć.

- Widzisz te szafy z tyłu? - pokazał głową, nie odwracając się i nie przestając wertować dokumentów.

- Tam, gdzie tak ciemno?

- Tak. Te dwie szafy tam z tyłu podłączone są do alarmu. Marjorie mi to kiedyś tłumaczyła. Jeśli zapalisz światło, na górze włączają się sygnały alarmowe.

- A co tam jest? W tych szufladach.

- Mówiła mi, że na ogół tajne, osobiste dokumenty Lehmana. Nudne, jakieś dokumenty prawne, papiery osobiste, tego rodzaju rzeczy.

- To po co te alarmy?

- Nie powiedziałem, że jej wierzę, powtarzam, co mówiła.

- A gdyby tak... - nie zdołała dokończyć.

- Hosanna! - cicho wykrzyknął Charlie.

- Co mówisz?

- Natrafiliśmy na ślad.

Trzymał w ręce niewielką żółtą kartkę, memorandum na blankiecie FBI, noszące datę 3 kwietnia 1953, dość niechlujnie wypisane na maszynie. Czytał:

BIDWELL HAROLD  
CUSHING ALDEN  
STONE ALFRED  
DUNAJEW FIODOR

Spośród podejrzanych rozważaliśmy jedynie czterech wyżej wymienionych, którzy najprawdopodobniej wiedzą coś na temat Testamentu Lenina.

W załączeniu tajne akty sprawy.

Warren Pogue

Specjalny śledczy

Federalne Biuro Śledcze FBI

Pod spodem widniała wypisana długopisem uwaga: Akta nr 74.

Charlotte przeczytała, zaglądając przez ramię Charliego.

- Czy to szuflada nr 74?

- Tak przypuszczam.

- To tam - pokazała w koniec pomieszczenia.

- Na to wygląda.

- One są zamknięte.

- Tego należało oczekiwać.

Rozległ się jakiś metaliczny dźwięk.

- Co to było? - zaniepokoił się Stone.

Charlotte nie odpowiedziała. Oczy jej się rozszerzyły i patrzyła na Charlesa, który rozglądał się po pomieszczeniu.

- Jasne - powiedział po chwili. - Włączył się system wentylacyjny. To wszystko - w ciszę, jaka do tej pory zalegała pomieszczenie, wdarł się jakby odległy, ledwo uchwytny szum i warkot. System usuwał wilgoć i filtrował powietrze, utrzymując stale jednakową temperaturę 18 stopni.

Sięgnął do kieszeni na piersiach marynarki i wyciągnął niewielki pojemnik i miniaturową latarkę.

- A to co?

- Sztuczka, której się nauczyłem.

Poszedł w kierunku ciemnej części pomieszczenia.

- Masz tam dość światła?

Zamiast odpowiedzi zapalił latarkę.

- Nie można alarmować ludzi Lehmana. Są zajęci przyjęciem.

Mały, jasnożółty krąg odnalazł szufladę z numerem 74. Znajdowała się w staromodnej, drewnianej szafie pomalowanej na ciemnozielony kolor. Musiała być stara, z lat czterdziestych, może pięćdziesiątych. W ręce trzymał teraz dwa miniaturowe narzędzia, klucz zakończony na kształt litery L i cienki pręcik podobny do tych, jakimi dentyści grzebią w zębach. Oba instrumenty włożył w otwór zamka. Kluczem przyciskał wewnętrzną dolną część zamka, a pręcikiem operował przy bębnie obrotowym przesuwając go powoli. Praktykował na innych zamkach, ale to była jego pierwsza rzeczywista próba otwarcia czegoś. Okazało się to trudniejsze, niż sobie wyobrażał. Wyczuł, że bęben obrotowy puszcza i rozległo się charakterystyczne szcęknięcie.

- Charlie, co ty robisz, do cholery?

- Włamuję się. Mam przecucie, że tu znajdziemy to, czego szukamy.

- Jeśli nas zobaczą...

- Charlotte - starał się jej tłumaczyć - Lehman to człowiek staromodny, o bardzo przestarzałych poglądach na temat tajemnicy państwowej. Na Boga, te dokumenty tutaj mają

po kilkadziesiąt lat. Zresztą cokolwiek zrobił dla mojego ojca, to jestem przekonany, że i on sam uważa to wszystko za rozdział już zamknięty...

Mówił coraz wolniej, aż całkowicie zamilkł.

- Gdzie nauczyłeś się otwierać zamki?

- Ten detektyw, mój przyjaciel - mruzczał wyraźnie nieobecny myślami. - Sawyer.

- Wspaniale - powiedziała bez entuzjazmu.

Miał takie uczucie, jakby mu żołądek obłożono lodowym kompresem. Słyszał jedynie bicie własnego serca i przyspieszony szmer oddechu.

- Co się stało, Charlie?

- O Boże - udało mu się chrapliwie wyszeptać. - Znalazłem.

- Co? - podeszła do niego. Stali w ciemności, jedynie światełko latarki padało na żółtą kartkę papieru. Czytała zaglądając mu przez ramię.

- Chryste, Charlie - powiedziała w dwie minuty później drżącym głosem. - O mój Boże - objęła go z tyłu za szyję i przytuliła. - Mój Boże, jak mi przykro.

- Tu jest telefon, Charlotte - mówił sucho. Musiał natychmiast pomówić z ojcem.

Jedna krótką rozmowa całkowicie wystarczy. - Muszę zadzwonić. Ty tymczasem włącz kopiarke i zrób dwa komplety kopii z tych kartek. Ja będę dzwonił.

\*\*\*

Dokładnie w tym samym czasie w małej wynajętej kawalerce przy 73. Ulicy człowiek o śniadej cerze i ciemnych włosach - każdy znający narody zamieszkujące ZSRR dostrzegłby w jego twarzy ślady rysów azjatyckich - na małym magnetofonie nagrywał sygnał przekazywany przez radio. Monotonia od dłuższego czasu wykonywanej pracy męczyła go. Palił papierosa za papierosem.

Nie wyglądał imponująco. Twarz pokrywały mu blizny po przebytej w dzieciństwie ospie. Patrzył w pokryte kurzem okno, za którym padało. Widział ludzi spieszących do domów. Ktoś niósł ogromny odbiornik radiowy, z którego wydobywały się dźwięki dzikiej muzyki, jeśli to w ogóle można było nazwać muzyką. Mężczyzna poczuł nagle, jak ogarnia go uczucie irytacji.

Pracował jako strażnik w rosyjskiej gazecie emigracyjnej, której lokal mieścił się w dolnej części Manhattanu. Była to oczywiście praca fikcyjna. Nikt nie zagrażał bezpieczeństwu gazety. Zatrudnienie było jednak niezbędne do tego, by wykazać się źródłem legalnego zarobku. Znano go tu pod nazwiskiem Shvartz, co brzmiało z żydowska. Nie było to jednak jego prawdziwe nazwisko. Otrzymał je wraz z fałszywym życiorysem przed kilkoma miesiącami, opuszczając Związek Radziecki. W jego nowym życiorysie znalazło się nawet miejsce na rzekomą antyradziecką działalność.

Shvartz z nikłym zainteresowaniem przysłuchiwał się nagraniu.

Miał listę słów i zwrotów, którymi powinien się zainteresować, ale jak na razie żadne z nich nie zostały wypowiedziane. Po ośmiu godzinach nagrywania miał już tego wszystkiego zdecydowanie dosyć, tym bardziej że uważał ćwiczenia za niepotrzebne.

Sygnały radiowe pochodziły z podsłuchu założonego na linie telefoniczne domu znajdującego się o kilka przecznic stąd. Sygnały były tak silne i wyraźne, jakby pochodziły z tej samej linii telefonicznej, co w jakimś sensie odpowiadało prawdzie. Urządzenie do nagrywania, jakim się posługiwał, mogło rejestrować rozmowy prowadzone na szesnastu liniach, chociaż nagrywał jedynie trzy linie, z których każda prowadziła do tego samego domu.

Zgasił papierosa, zapalił następnego i słuchał dalej.

Ucho jego wychwyciło szczególną frazę i od tego momentu z uwagą przysłuchiwał się rozmowie.

Jakiś mężczyzna rozmawiał z kobietą.

Shvartz nie miał pojęcia, jaki był cel jego pracy. Nikt mu tego nie wyjaśniał, co wynikało ze zrozumiałej ostrożności. Wiedział jedynie, że całą operację ukrywano starannie przed KGB, przed GRU i innymi agencjami radzieckiego wywiadu.

Fraza, która zwróciła jego uwagę, brzmiała: Testament Lenina. Nie wiedział, co ona oznaczała. Przypuszczał, że jest to jakiś rodzaj kodu, i przyszło mu do głowy, co pomyślałby stary, pieprzony Wołodia Lenin, zmumifikowany w Mauzoleum na placu Czerwonym, gdyby usłyszał swoje nazwisko używane w taki sposób na Manhattanie w sześćdziesiąt lat po śmierci.

Zapalił kolejnego papierosa i przewinął nagraną kasetę.

“... Dzwoni jego syn... Tak... Nie mówił, dokąd wychodzi? Czy może mu pani przekazać ode mnie wiadomość? Proszę powiedzieć tylko, że znalazłem w archiwum Lehmana dokument, który może najprawdopodobniej wyjaśnić Testament Lenina... Tak, tylko to, dobrze? Bardzo dziękuję”.

Człowiek o ciemnych włosach z jakichś powodów przypomniał sobie pułapkę na szczury, którą skonstruował jako chłopak. Pamiętał, jak zafascynowany patrzył, kiedy ogarnięte przerażeniem, złapane zwierzęta walczyły o życie. Bez przyjemności, ale z jakimś dystansem przyglądał się, jak szczury umierają. Z takim samym uczuciem patrzył teraz z okna na przechodniów na ulicy Manhattanu. Zrozumiał, że jego zadanie nie będzie już takie nudne jak do tej pory. Odczuwał satysfakcję.

Zadzwoił dzwonek. Wstał, podszedł do drzwi i podjął słuchawkę domofonu.

- Tak? - zapytał.

- Przesyłka - dobiegł głos ze słuchawki.

- Skąd?

- Z Kalifornii.

Przycisnął guzik otwierający bramę wejściową i czekał przy drzwiach zaglądając we wziernik. W minutę później przed drzwiami stał Rosjanin, wysoki blondyn. Człowiek o ciemnych włosach otworzył trzy zamki zainstalowane specjalnie na okres operacji i wpuścił Rosjanina.

Ten, który wszedł, dyszał ciężko. Jego ubranie było całkiem mokre. Przez całą drogę biegł.

- A więc co, wytropiliśmy lisa? - zażartował. “Wytropiliśmy szczura” - pomyślał człowiek o ciemnych włosach, sięgając ponownie po papierosa.

## 8. Nowy Jork

- Telefonistki z centrali w Cambridge nie wiedziały, gdzie jest ojciec - powiedział do Charlotte.

Wziął dokumenty i czytał je ponownie, zdrętwiały od przeżywanego szoku i gniewu.

Z różnych powodów nie chciał, aby Charlotte zorientowała się, jak głęboko wstrząsnęło nim to odkrycie, jak bardzo go zmroziło. Czytał z nieruchomą twarzą.

Na siedem stron dokumentów składało się: list agenta FBI do Winthropa Lehmana i raport opracowany przez tego samego agenta, najprawdopodobniej dla Komitetu Izby Reprezentantów ds. Działalności Antyamerykańskiej, Komitetu McCarthy'ego, pogromcy czarownic, jak go nazywał Alfred Stone.

Nagle stało się jasne - niemal jasne - dlaczego przed laty Alfred Stone znalazł się w więzieniu.

Ministerstwo Sprawiedliwości

Federalne Biuro Śledcze  
Waszyngton DC

Ścisłe tajne.

Wyłącznie do wiadomości adresata.

Dla: mr. Winthropa Lehmana

Od: specjalnego agenta Warrena L. Pogue

Data: 20 marca 1953

Dotyczy: Alfreda Stone'a, lat 31, zatrudnionego obecnie jako asystent Doradcy Prezydenta ds. Bezpieczeństwa Narodowego.

Ustalenia

Śledztwo ujawnia wystarczające dowody dające podstawę do przypuszczenia, że osobnik, którym się interesujemy, dysponuje informacjami na temat, jaki był przedmiotem naszej rozmowy.

Analiza laboratoryjna odcisków palców na tajnym raporcie (załączonym w kopercie) potwierdza, że Alfred Stone dokument ten miał w rękach.

Osobiście nadzorowałem zniszczenia wszystkich fotografii i raportów Alfreda Stone'a z jego ostatniego pobytu w Moskwie. Stało się to zgodnie z pańską prośbą przedłożoną Dyrektorowi. Biuro nie prowadzi dalszego śledztwa w tej sprawie.

Mr. Hoover polecił mi poinformować pana, że Komitet Izby Reprezentantów ds. Działalności Antyamerykańskiej, z którym utrzymuję bliskie, robocze stosunki, w najmniejszym stopniu nie podlega jego kontroli. Komitet najprawdopodobniej dołożył wszelkich starań, ażeby Stone, i to w najbliższym czasie, został aresztowany.

Dyrektor podziela pański pogląd, że Stone osobiście wręczał Testament Lenina Rosjance. Nasi agenci ustalili, że nazywa się Sonia Kunieckaja. Należy nie dopuścić do tego, by zeznał przed Komitetem. Wprawdzie wydaje się, że nie wie on nic o operacji M-3, niemniej Hoover uważa, iż istnieje niebezpieczeństwo, że pod ciężarem pytań może on nieopatrznie ujawnić cenne informacje, co jest w stanie poważnie zagrozić operacji.

Mr. Hoover zaleca ustalenie, wspólnie z Komitetem, takiego postępowania, które zezwoliłoby na aresztowanie Stone'a bez dalszych publicznych przesłuchań. Należałoby tak postępować do czasu, kiedy zatrzymany zgodzi się na nasze warunki.

Załączony tajny raport jest jedynym istniejącym egzemplarzem.

FBI Akta Nr 97-8234.

- Jezu Chryste! - Stone nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia tych słów.

Dokument przeczytał kilkakrotnie, nadal nie będąc w stanie uwierzyć w jego treść. A wynikało z niej, że w rzeczywistości Winthrop Lehman współpracował z FBI wtrącając Alfreda Stone'a do więzienia.

Dlaczego? Czy powodem było to, że Stone zdobył jakieś informacje na temat niezwykle tajnej operacji wywiadowczej? Czy dlatego, że przekazał w Moskwie Testament Lenina jakiejś Rosjance nazwiskiem Sonia Kunieckaja?

Zawsze wierzył, że skierowane przeciwko jego ojcu oskarżenia o szpiegostwo były śmiesznie fałszywe. Teraz jednak... czyżby możliwe było to, że odpowiadały prawdzie? Stone widział niezliczoną ilość dokumentów z okresu działalności McCarthy'ego, a to memorandum było dla tonu tych dokumentów arcytypowe. Sztywny język, podskórna groza i strzępy faktów dla uzasadnienia oskarżeń.

Czy to wszystko mogło być prawdziwe?

- Alarm - powiedziała Charlotte. - Chodźmy stąd.

Stała tak blisko niego, że czuł lekki zapach jej perfum, nawet nie wiedział, że nazywają się "Fratacas". Na karku czuł ciepły powiew jej oddechu i przez moment zastanawiał się, czy i ona może w takim momencie jak ten czuć lekkie podniecenie seksualne.

Wziął do ręki fotokopię tajnego raportu podpiętą do dokumentu FBI. Raport składał się z trzech kartek razem zszytych, pisanych na maszynie na jeden odstęp. Przechowywany był w błyszczącej kopercie.

Był to dokument jeszcze bardziej niezwykły. Streszczał przebieg spotkania, jakie w 1952 roku kilku Amerykanów, w tym i Winthrop Lehman, odbyło ze Stalinem.

Ministerstwo Sprawiedliwości

Federalne Biuro śledcze

Waszyngton DC

Ściśle tajne.

Memorandum

Dla: Dyrektora Hoovera

Od: specjalnego agenta Warrena L. Pogue

Data: 2 lutego 1952

Dotyczy: spotkania ze Stalinem

Przedstawiamy stenogram przesłuchania Aldena Cushinga, byłego pracownika sztabu Winthropa Lehmana na temat spotkania ze Stalinem w Moskwie w dniu 16 stycznia 1952 roku.:

P: Proszę opowiedzieć o podróży.

O: Poproszono mnie o to, abym na początku 1952 roku towarzyszył Winthropowi Lehmanowi w jego spotkaniu z Józefem Stalinem. Była to podróż służbowa, ale o rzeczywistym celu spotkania nigdy mnie nie powiadamiano. Miałem zasadę niewtykania nosa w sprawy, które do mnie nie należą, i nie zadawałem pytań. Oczywiście byłem ciekawy powodów spotkania, jako że nie było w tym czasie żadnych oficjalnych rozmów, a w każdym razie ja o takich nie słyszałem. Byłem tam, gdyż...

P: Kto z Amerykanów był tam jeszcze?

O: Ja i Harold Bidwell z Departamentu Stanu. Nikt więcej.

P: Kto był tam poza Stalinem?

O: O ile sobie przypominam, co najmniej kilku Rosjan. Facet nazwiskiem Poskriebyszew, jeśli dobrze wymawiam. Malenkow, który był... Beria, wie pan, minister bezpieczeństwa, szef tajnej policji. Był M-3... Czy mogę zajrzeć do notatek?

P: Oczywiście.

O: Ach tak, szef ochrony Stalina nazwiskiem Chrustaliow. I jeszcze jakiś pomocnik Stalina nazwiskiem Osipow, młody człowiek, któremu Stalin najwyraźniej ufał. Byli i inni. Ktoś nazwiskiem Trofimow, Wiktor Trofimow. On chyba potem uciekł.

P: Jak Stalin wyglądał?

O: O wiele lepiej i silniej, niż oczekiwałem. Słyszałem, że przeszedł kilka operacji i oczywiście ma teraz siedemdziesiąt jeden czy dwa lata. Wygląda jednak jak zawsze. Niski. Byłem zdumiony, jak jest niski. Na twarzy ślady po ospie. Bardzo ostre oczy, świdrujące.

P: A jak intelektualnie?

O: Trudno powiedzieć. Czasami czujny i wtedy budzący strach. Czasami wydawał się być nieobecny. To chyba ze starości. Nie mógł zapamiętać mojego nazwiska. Wielokrotnie patrzył na mnie i powtarzał: "Pan mi nie powiedział swojego nazwiska".

P: Spotkaliście się w jego daczcy?

O: Tak. Wcześniej tego dnia Winthrop pojechał tam sam na spotkanie ze Stalinem. Spotkał się również z Berią. Nie brał ze sobą ani mnie, ani Hala. Zostaliśmy jednak zaproszeni na obiad, właśnie w daczcy w Kuncewie. Ludzie miejsce to nazywają Blizny. To nazwa willi.

P: Jedliście obiad?

O: Już do tego przechodzę. Pan mówił, że chce usłyszeć wszystko ze szczegółami. Tak, jedliśmy obiad. Ozdobne nakrycia, wiele dań. Stalin wstaje późno, około południa. Około trzeciej po południu je lunch. Do obiadu siada dopiero pomiędzy dziewiątą wieczorem a północą. Przywieziono więc nas późno. Było bardzo zimno. Wprowadzono nas od razu do pokoju jadalnego na parterze. Tam przedstawiono nas Stalinowi. Mówił nam, że w tym pokoju mieszka. Śpi na sofie. Pokazał nam, gdzie. Na kominku palił się ogień. Przed obiadem chciał jednak, żebyśmy obejrżeli film Charliego Chaplina "Dzisiejsze czasy". Przeszliśmy do drugiego pokoju, równie dużego.

P: Stalin lubi Chaplina?

O: Bardzo. Uważa, że "Dzisiejsze czasy" to film bardzo mądry i zabawny. Wyśmiewa kapitalizm, linie montażu i takie rzeczy. Oglądaliśmy więc wszyscy film, a potem wróciliśmy do jadalni na obiad. Było to już po północy. Stalin powiedział: "Bierzmy się do jedzenia, wszyscy są głodni". Oczywiście nikt nie był głodny o tej porze, ale też nikt nie śmiał się sprzeciwić. Stalin niczego nie tknął, jeśli tego ktoś przed nim nie skosztował. Wydaje mi się, że ogromnie bał się, żeby go nie otruto. Pokazywał na różne potrawy i przeważnie mówił tak: "Ławrientiju Pawłowiczu - to do Berii - ten śledź wygląda smakowicie". I Beria próbował, zanim zrobił to Stalin. I jeszcze, zanim wzięliśmy się do jedzenia, Stalin zmuszał nas do picia.

P: Czy Stalin pił dużo?

O: Nie, w ogóle nie pił. Przeważnie palił fajkę i przyglądał się. Kazał nam zgadywać, jaka temperatura na dworze, i każdy musiał wypić tyle kieliszków, o ile stopni się pomylił. Lehman chyba przedtem sprawdzał termometr, gdyż powiedział całkiem dokładnie. Ja nie byłem tak dobry.

Stalin nagle zrobił się podejrzliwy i wpadł w zły humor. Zwrócił się do jednego ze swoich ludzi, wydaje mi się, że był to Osipow - przez cały wieczór był wobec nas bardzo przyjacielski - i powiedział głośno: "Ja ciebie nie zapraszałem! Facet zaczął się trząść, ale odpowiedział: "Nie, wyście mnie zaprosili". Chrustaliow wstał jednak z miejsca i wyprowadził tamtego. Nigdy go już nie widzieliśmy.

Stalin był nieobliczalny. Nagle w trakcie obiadu wstał z krzesła i podszedł do gramofonu. Nastawił jakąś płytę. Ktoś bardzo fałszywie grał na trąbce i jakaś kobieta się śmiała. Najbardziej słyhać było ten śmiech. Przypomniałem sobie, że to amerykańska płyta. Nazywała się "Okeh Laughing Record". Była bardzo popularna, kiedy jeszcze byłem dzieckiem. Stalinowi się ogromnie podobała.

P: Czy sądzisz, że Stalin żywił jakieś podejrzenia wobec Berii i M-3?

O: Nie, nie mam żadnych podstaw do takich przypuszczeń.

P: A jak doszło do tego, że Stalin poruszył temat Lenina i testamentu?

O: To wyszło całkiem naturalnie. Już w drugiej części obiadu Stalin podniósł kieliszek, wyciągając rękę w kierunku wiszącego na ścianie portretu Lenina, i powiedział: "Wypijmy za pamięć naszego wielkiego nauczyciela i przywódcy Włodzimierza Iljicza!" Wszyscy wstaliśmy z miejsc i wypiliśmy. Wtedy Stalin zwrócił się do Hala Bidwella, który przez cały wieczór nie odezwał się słowem - jego zadaniem było jedynie robienie notatek - i zapytał: "Czy wyście widzieli Włodzimierza Lenina?"

Wydaje mi się, że początkowo Bidwell nie wiedział, co odpowiedzieć. Zrozumiał chyba jednak, że Stalin ma na myśli Mauzoleum Lenina, bo odezwał się w końcu: "Ja, proszę pana, nie byłem jeszcze w Mauzoleum, jeśli pan to ma na myśli".

P: Czy to wtedy Stalin wpadł w złość?

O: Właśnie wtedy, to było okropne. Stalin natychmiast zrozumiał, do czego odnosiła się aluzja Bidwella. Słyszał pan zapewne o tym, jakoby ciało w Mauzoleum zrobione było z wosku. Stalin wymierzył palec wskazujący prosto w Lehmana i powiedział: "To ty z tego żartowałeś. Ty opowiadałeś, że nasz Lenin zrobiony jest z



wosku, woskowa kukła. Ty o tym mówiłeś naszym ludziom?” Lehman jedynie potrząsał głową. Nigdy nie widziałem go tak przerażonego. Stalin mówił: “Zapewne tyś to powiedział swojemu koledze. Dlaczego?” I przenosząc swój palec na Bidwella, krzyknął: “Czy powiedział ci, skąd wie, że to wosk? Powiedział ci?” Przeraziliśmy się wszyscy, a Stalin znowu wskazał na Lehmana. “Czy mówiłeś im również o Testamencie? Testament powinien być tutaj, panie Lehman. Ten Testament powinien być na Kremlu, panie Lehman”. Pamiętam, że powiedział to z... pogardą.

P: Stalin przecież mówił po rosyjsku, a więc skąd wiesz tak dokładnie, co mówił?

O: Bidwell powiedział mi potem. Władza rosyjskim całkiem dobrze. Użył rosyjskiego słowa zawiet, co oznacza testament. Stalin powiedział: “Testament nie może pozostawać na Zachodzie. Trzeba go zniszczyć”.

P: I, jak mówiłeś, wtedy odpowiedział Lehman.

O: Tak, ale jeszcze przedtem Beria coś powiedział. Było to stare rosyjskie przysłowie. Coś w rodzaju “papier jest cierpliwy” czy “papier nie zapomina”. Coś takiego. Na to Lehman: “Ty wiesz, że on nie może być zniszczony”.

P: Co na to Stalin?

O: Nic nie powiedział. Wstał, podszedł do gramofonu i ponownie nastawił “Okeh Laughing Record”.

\*\*\*

- Charlie - powiedziała Charlotte - nie zauważyłeś, że pali się jeden rząd świateł alarmowych?

- Co mówisz? - Stone nie słuchał.

- Jeden z rzędów świateł miga. Niebieski. Przedtem nie migał.

- Co?

- Czy nie sądzisz, że i szuflady mogą być podłączone do alarmu?

- Niemożliwe - odpowiedział nagle. Podniósł wzrok sponad papierów. - Nic nie widzę... Może podłoga... Czasami układa się płytki reagujące alarmem na ciężar.

- Sądzę, Charlie, że spowodowałaś alarm. Lepiej odejdz z tego miejsca.

Przyjrzał się światełkom mrugającym na tablicy rozdzielczej. Miała rację. W każdej chwili ktoś mógł przyjść, żeby zbadać przyczynę alarmu. Powie wtedy, że to przypadek, że zapomnieli o alarmach.

Nie mógł jednak oderwać oczu od dokumentów.

- Charlie, proszę, chodźmy już stąd.

- Wszystko będzie w porządku, jestem niemal pewien. Chciałbym jeszcze się rozejrzeć...

Charlotte wyglądała na zaniepokojoną.

- Winthrop wprowadził twego ojca w pułapkę?

Nie odpowiedział.

- Charlie, co to jest M-3?

Przez chwilę otrząpywał kopiarke z kurzu nie odpowiadając.

- Zapewne jakieś rutynowe określenie FBI - powiedział wreszcie. - Nic szczególnie interesującego.

Kłamał. Wiedział, że M-3 to kret, podstawiony lub zwerbowany agent, który penetrował szeregi przeciwnika. Wiedział, że seria “M” odnosiła się do agentów z początku lat pięćdziesiątych.

Alfred Stone najwidoczniej natrafił na ślad amerykańskiego kreta w Moskwie i ktoś lub jakaś grupa osób (kto?) zaniepokoił się, że ujawni tajemnicę.

- Czegoś tu nie rozumiem - Charlotte odsunęła z czoła kosmyk włosów i założyła go

za ucho. - FBI przesłuchiwało wszystkich, którzy brali udział w obiedzie ze Stalinem i słyszeli, jak Stalin wspominał coś o Testamencie Lenina, co najprawdopodobniej dla nikogo z nich nie miało większego znaczenia. Równocześnie jasne jest, że zrobiono wszystko, co możliwe, żeby wiadomość o tym Testamencie nie rozeszła się. Nie mam racji? Dlaczego to robiono?

Stone wzruszył ramionami i na moment zacisnął wargi.

- Mogę jedynie zgadywać - przez chwilę się wahał. - Chciałbym cię o coś poprosić.

Masz jednak pełne prawo powiedzieć nie.

Patrzyła na niego z wyrazem pytania w oczach.

- Ta... ta Sonia Kunieckaja, o której wspomina się w dokumencie. Czy sądzisz, że mogłabyś...

- Odnaleźć ją, stwierdzić, czy żyje? To masz na myśli?

- Tak, jeśli jednak nie chcesz...

- Oczywiście, że spróbuję - ponownie odgarnęła kosmyk włosów z czoła. - Coś mnie jednak zdumiewa. Jeśli Winthrop zdradził twojego ojca, sprzedał go, to dlaczego twój ojciec pogodził się z tym? Dlaczego to znosił?

- Widzę, że ciągle tu jeszcze jesteście.

Piskliwy, ale całkiem jeszcze silny głos człowieka dobiegającego dziewięćdziesiątki zaskoczył ich. Winthrop Lehman, podpierany z lewej strony przez potężnego strażnika, stał w drzwiach archiwum. Światło odbijało się od jego okularów tak, że nie widzieli jego oczu.

Strażnik o krótko przystrzyżonych włosach i postawie atlety robił groźne wrażenie.

- Winthrop - powiedziała Charlotte, wstając ze stołu, na którym siedziała.

- Przyjęcie już się dawno skończyło - mówił tymczasem Lehman, zbliżając się do nich powoli, podpierany przez strażnika. - Wszyscy już wyszli. Sądzę, że się udało. Jak myślicie? Zbliżył się jeszcze bardziej. Głos brzmiał metalicznie i odnosiło się wrażenie, że ma trudności z oddychaniem.

- Gdy Marjorie powiedziała mi, że niebieski alarm się zaświecił, postanowiłem sam sprawdzić. Wiedziałem, że to nie włamywacze, a jedynie wasza dwójka. Zawsze chętnie patrzę na ciężko pracujących. Mam nadzieję, Charlotte, że powiesz o mnie coś miłego - mówił Lehman. - A to co takiego? Skąd wy to macie?!

Złapał fotokopie dokumentów z gwałtownością, która zdumiała Charlotte.

- Zapewne uruchomiłem alarm przez pomyłkę.

Stone chciał załagodzić sytuację w nadziei, że odwróci uwagę gospodarza, ale Lehman przerwał mu. Głos starego człowieka trząśnięty ze strachu, a może z gniewu.

- Nie pozwalałem wam otwierać zamkniętych szuflad - trzęsącą się ręką dał akta stojącemu obok strażnikowi. - Jak śmiecie przeglądać moje prywatne akta!

- Tyś mu to zrobił, tak? - Stone mówił z niepokonaną zawziętością. - Wydaje mi się, że nie rozumiałem do tej pory motywów twojego działania, a to było poczucie winy? - Stone nieznacznie schował w kieszeń dokumenty, które miał w ręce.

- Wynoście się stąd - głos Lehmana pełen był gniewu. - Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby pomóc twojemu ojcu. Co ty sobie wyobrażasz? Włamujesz się do moich szaf za pomocą wytrychów. To przechodzi ludzkie pojęcie! Nie masz prawa! Niebawem... - jego głos przeszedł w budzący trwogę krzyk, a Charlotte przytuliła się do Charliego.

- Wynoście się, wynoście się szybko. Przekłęci! Wynoście się! Kurczowo trzymał się strażnika i syczał w absolutnej furii człowieka, który ma wiele do ukrycia:

- Wynoście się stąd!

\*\*\*

Noc spędzili razem. Nie chciała iść do ich mieszkania, poszli więc do jej hotelu.

Rozmawiali do późna w nocy wypijając butelkę wina, którą kazali przynieść. Charlotte była zdumiona, zmieszana i zagubiona, nawet czuła. Charlie całował ją, początkowo delikatnie, potem z wzrastającą namiętnością. Dawała się całować, pozwalała, żeby pieścił jej piersi, ale niczego nie czuła. A właściwie sama sobie nie zezwalała na to, by coś czuć. Była do tego mężczyzny ogromnie przywiązana, ale coś w niej w środku wyłączyło się. On był jej jedyną miłością i wierzyła, że będzie go kochać zawsze, ale teraz nie wiedziała, czy może wierzyć jemu lub w ogóle komukolwiek. Czego naprawdę chciała, pomimo półtorarocznej rozłąki, to ażeby pozostawiono ją w spokoju. Czyż było w tym coś złego? Nie oddała mu się. Charlie czuł się urażony, zmieszany, ale wkrótce oboje zasnęli, przytuleni do siebie w wielkim łóżku hotelowym. Potem ona się zbudziła i cicho płakała.

\*\*\*

Wczesnie rano następnego dnia zegnali się na lotnisku Kennedy'ego w terminalu Lufthansy. Odlatywała stąd do Monachium, gdzie chciała odwiedzić przyjaciółkę. Stamtąd wracała do Moskwy.

Oboje byli zmęczeni, wytrąceni z równowagi ostatnią nocą. Rozmowa się rwała i raz po raz następowały w niej długie przerwy. Ruch i gwar, jaki ich otaczał, był przeciwieństwem melancholii, jaką oboje odczuwali.

- Pozdrów ode mnie ojca - powiedziała podnosząc zieloną torbę podróżną, którą zawiesiła sobie na ramię.

- Charlotte...

- Dziękuję za odprowadzenie mnie. Muszę już iść. Ogłaszają mój lot.

- Charlotte, to wariactwo...

Nie potrafiła mówić o uczuciach, których sama nie rozumiała, więc powiedziała szybko:

- Postaram się znaleźć dla ciebie tę Rosjankę, tę Sonię.

- To nie dla mnie, to dla mojego ojca, Charlotte.

- Dobrze, dla twojego ojca - powoli smutno kiwnęła głową. - Wiesz, że to, co nas łączyło, było wspaniale...

- Boże, Charlotte, nas to łączy nadal.

I nagle, nie wytrzymując, wybuchnęła szlochem, tak jakby ujawniło się to, co ukrywała przez wiele godzin. I tak zapewne było. Stone objął ją i przycisnął z całej siły.

Przytuliła policzek do jego ramienia. Poczł, jak jej gorące łzy spływały mu po szyi.

- Uważaj na siebie, Charlie, proszę.

- Muszę cię prosić o to samo.

Z głośników popłynął komunikat wzywający pasażerów jej lotu.

\*\*\*

Wychodząc ociężale z dworca lotniczego przechodził obok rzędu budek telefonicznych. Kierowany impulsem wszedł do jednej z nich, wrzucił kilka monet do automatu i wykręcił numer ojca.

W trzy minuty później odwiesił słuchawkę, wybiegł i pognął na postój taksówek.

Alfred Stone został przez pogotowie odwieziony do szpitala stanu Massachusetts.

## 9. Moskwa

Zamach bombowy wewnątrz murów Kremla, w wyniku którego zginęła Amerykanka,

zaszkokował radzieckie kierownictwo, powodując jego natychmiastowe zebranie się na specjalnie w tym celu zwołanym posiedzeniu.

Prezydent Michaił Gorbaczow z trudnością ukrywał gniew. Jego koledzy z Biura Politycznego przywykli już do tych napadów gniewu, nawet jego oponenci wiedzieli, że nie wolno mu było przerywać, kiedy mówił cichym, zduszonym głosem.

- Bombę rzucił Rosjanin - mówił nieco monotonna. - Zastrzelono go na miejscu przestępstwa. Nic już z niego nie będzie można wydostać i nie ustali się, czy był powiązany z jakąś organizacją wywrotową.

Zdjął okulary w metalowej oprawce. Popatrzył po siedzących wokół stołu. Całkowite milczenie, krzaczaste, podniesione ku górze brwi, tu i tam lekki ruch głowy.

- Towarzysze, to wydarzenie przykuło uwagę świata. Usunęło inne informacje w cień. Umacnia się opinia, że jesteśmy rządem nie panującym nad sytuacją. - Cisza stawała się ciężka. Gorbaczow odczekał chwilę i z kwaśnym uśmiechem rzucił pytanie: - Czy rzeczywiście tak jest?

Ludzie z Zachodu rzadko mają okazję obejrzenia sali, w której zbiera się niewielka grupka ludzi rządzących w Rosji, członkowie radzieckiego Biura Politycznego. A sala, w której zapadają zasadnicze decyzje dotyczące imperium radzieckiego, jest zdumiewająco skromna. Znajduje się na trzecim piętrze budynku Rady Ministrów na Kremlu, budynku o żółtym, barokowym frontonie, pokrytym zielonymi kopułami, zwanym Starym Senatem, a wzniesionym w XVIII stuleciu przez rosyjskiego architekta Matwieja Kazakowa. Do sali można dotrzeć za pomocą staroświeckiej windy, a następnie przemierzając długi hol, gdzie skrzypiące pod nogami parkiety przykryte są chodnikiem o różowo-zielonych wzorach. Ozdobne drzwi, za którymi zbiera się Biuro, są trzymetrowej wysokości. Sala jest długa, niemal prostokątna, ściany pokrywa subtelny gładki żółty jedwab. Zdobia go jedynie złote liście. W sali jest jeden zegar ścienny. Pośrodku ustawiono długi błyszczący stół konferencyjny przykryty zielonym rypsem. Wokół stołu piętnaście foteli, co wystarcza dla wszystkich członków Biura i z rzadka zapraszanych gości. Pod ścianami stoi kilkanaście innych foteli przeznaczonych dla zastępców członków Biura, ministrów lub doradców, choć w tym dniu w spotkaniu uczestniczyli jedynie członkowie, co podkreślało wagę posiedzenia. Fotele wokół stołu nie miały miękkich poduszek, jedynie zwykłe siedzenia z zielonego winylu. Ustawiono je tutaj za kadencji Breżniewa, który był przeciwnikiem nazbyt długich spotkań i nie chciał, by fotele były wygodne. Pomimo tej drobnej niedogodności nikt nie tęsknił za chaotycznym i arbitralnym kierownictwem Chruszczowa, kiedy posiedzenia Biura Politycznego odbywały się różnie, czasami w kremlowskiej jadalni, a czasami nawet wokół zastawionego stołu w dacy Chruszczowa.

Wbrew różnym opisom i relacjom nie ma stenogramów z posiedzeń Biura. Jest to tradycja wywodząca się jeszcze od Lenina, podobnie jak stały dzień spotkań - czwartek, przy czym niemal tradycyjną godziną rozpoczęcia spotkań jest trzecia po południu. W protokołach odnotowuje się jedynie podejmowane decyzje, uchwalane rezolucje. Kopie tych rezolucji są rozsyłane do wszystkich członków Komitetu Centralnego. Oczywiście nie obejmuje to rezolucji dotyczących spraw uznawanych za szczególnie tajne.

Oczywisty był fakt, że czasy Biura Politycznego mijają i że wkrótce zostanie ono zastąpione przez gabinet prezydenta. Wielu w Moskwie zastanawiało się nad tym, czy członkowie obecnego Biura będą tak spokojnie i beczynnie przyglądać się, jak ktoś zagarnia ich władzę.

Na porządku obrad obecnego posiedzenia znajdował się jeden punkt określany w tutejszym żargonie politycznym mianem "żółty priorytet", a więc sprawa nagła o nadrzędnym znaczeniu. Jako pierwszy milczenie przerwał sojusznik Gorbaczowa, Anatolij Łukianow, kierownik Wydziału Organizacyjnego KC. Był on dla Gorbaczowa tym, czym dla amerykańskiego prezydenta jest szef sztabu Białego Domu.

- Jeśli mogę coś sugerować - mówił Łukianow - to sądzę, że problem tkwi w działaniu sił bezpieczeństwa - odwrócił głowę i popatrzył w kierunku Andrieja Dmitrijewicza Pawliczenki, szefa KGB, który siedział oddzielony od mówiącego kilkoma członkami Biura. - Dla mnie jest niemal nie do pomyślenia, ażeby dobrze pracujący szef KGB nie był poinformowany o istnieniu podziemnej organizacji przestępczej dysponującej środkami umożliwiającymi jej dokonanie tego rodzaju operacji. Nie mam bowiem wątpliwości, że mamy do czynienia z taką organizacją.

Wszyscy obecni doskonale rozumieli wagę oskarżeń Łukianowa. Coś takiego nie mogłoby się wydarzyć w latach sześćdziesiątych, kiedy na czele KGB stał Jurij Andropow. Nawet poprzednik Pawliczenki, Władimir Kriuczukow, był bardziej czujny. O terroryzmie w Moskwie niewiele wiedziano, w szczególności w murach Kremla. Było to niesłychane i niezrozumiałe.

Gorbaczow wiedział, że Pawliczenko był zapewne najinteligentniejszym spośród zebranych w tym pokoju. Na dodatek o wiele łatwiej było go kontrolować niż jego poprzedników w KGB. Powodem było głównie to, że swoją pozycję zawdzięczał całkowicie Gorbaczowowi i był też wobec niego całkowicie lojalny. Na dodatek miał ostatnio kłopoty z sercem, co oznaczało również, że nie zagraża swoim kolegom z Biura.

Ku zaskoczeniu wszystkich odpowiedź Pawliczenki utrzymana była w tonie umiarkowanym, raczej defensywnym.

- To faktycznie trudne do wyobrażenia. Jest to wydarzenie żenujące dla mnie i dla moich ludzi - rozłożył ręce w geście przyznania się do winy, a jego twarz wyrażała napięcie. - Ostatecznie, jak wszyscy wiecie, ja odpowiadam za bezpieczeństwo.

- Mógłbyś wziąć urlop zdrowotny - wypowiedziana zimnym głosem rada pochodziła od Eduarda Szewardnadze, ministra spraw zagranicznych, oddanego sojusznika Gorbaczowa. Pawliczenko milczał przez chwilę, najwidoczniej zmuszając się do zachowania spokoju. Wreszcie uśmiechnął się grzecznie, a dla siebie pomyślał, że każde posiedzenie Biura to jakby wejście do jaskini lwów. Głośno natomiast powiedział:

- Nie, w momencie, w którym stan zdrowia przeszkodzi mi w wykonywaniu zajęć, złożę w ogóle rezygnację. Tego możecie być pewni. Szukamy sprawców, prowadzimy szeroko zakrojone śledztwo, zatrzymujemy każdego, kogo uważamy za powiązanego ze sprawą - mówił teraz nie tylko do prezydenta, ale do wszystkich siedzących za stołem. - I nie spocznę, dopóki nie poznamy prawdy.

Przewodniczący KGB, jak wszyscy pozostali zebrani w sali, wiedział, iż w rzeczywistości Gorbaczow w znacznym stopniu zawdzięczał KGB to, że nadal utrzymywał się przy władzy. Gdyby nie KGB, już by go tu nie było. Wielu ludzi nie zdających sobie sprawy z roli KGB uważało, że Gorbaczow przetrwał dzięki swoim talentom Fausta. Nie było to prawdą. Gorbaczow już od dawna nie piastowałby swej funkcji, gdyby nie poparcie ze strony KGB i armii. Obecnie jednak faceci z armii dostawali mdłości na sam dźwięk nazwiska prezydenta, który nawet nie ukrywał swoich zamiarów znacznego zmniejszenia wydatków na zbrojenia. Natomiast ludzie z KGB, o poglądach o wiele bardziej kosmopolitycznych niż ich kolegów z wojska, dostrzegali sens w planach Gorbaczowa, rozumieli, że nie osłabia on Rosji, a na dłuższą metę ją wzmacnia, i dlatego stali przy nim w tym okresie zawieruchy.

Pawliczenko nawet nie musiał mówić o tym, z czego wszyscy doskonale sobie zdawali sprawę: na temat delikatnych negocjacji prowadzonych z myślą o szczycie radziecko-amerykańskim i wizycie amerykańskiego prezydenta w Moskwie. Zamach w kremłowskiej Zbrojowni mógł z łatwością pokrzyżować plany wizyty. Prezydent USA mógłby ze zrozumiałych powodów, w trosce o własne bezpieczeństwo, zrezygnować z przyjazdu do Moskwy.

A przyjazd prezydenta wyznaczony był na pierwsze dni listopada i miał być

połączony z jego udziałem w obchodach rocznicy rewolucji. Wydarzenie propagandowe, które nie miałyby równego sobie. W oczach Zachodu stawiałoby to rewolucję bolszewicką w tym samym rzędzie, co rewolucja francuska czy amerykańska. Nie ulegało wątpliwości, że nie była to łatwa decyzja dla Białego Domu, a prezydent, jak wszyscy inni, był świadom, że miałyby to istotne znaczenie dla Gorbaczowa. Coś o wiele bardziej znaczącego niż zwykła rewizyta składana w związku z poprzednimi wizytami Gorbaczowa w USA.

Sprawa nie ograniczała się jedynie do tego.

Przed dwoma miesiącami Biuro Polityczne wyraziło zgodę na wystosowanie prywatnego zaproszenia do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Proszono prezydenta o przybycie z żoną i sekretarzem stanu oraz o wzięcie udziału w obchodach rocznicy rewolucji. Tego rodzaju zaproszenia w przeszłości wystosowywano tylko do przywódców ruchu komunistycznego, i to jedynie najwyższych rangą. Niektórzy z członków Biura byli przeciwni temu zaproszeniu uznając, że godzi w czystość ideologii. Niemniej i ci głosowali za zaproszeniem.

A prezydent zaproszenie przyjął.

Gorbaczow patrzył po twarzach kolegów. Jego teatralne wyczucie dramaturgii wydarzeń było, jak zawsze, bez zarzutu.

- Tak więc chcę poinformować, że wczoraj wieczorem otrzymałem depezę od prezydenta z Waszyngtonu. Wyraził żal i przekonanie, że jesteśmy zaniepokojeni śmiercią Amerykanki tak samo, jak i on. Informuje również, że oczekuje na spotkanie ze mną w Moskwie w dniu 7 listopada. Razem z nami stanie na trybunie na Mauzoleum Lenina. Sojusznicy Gorbaczowa uśmiechnęli się, doskonale zdając sobie sprawę z toczącej się gry i ze sprytu ich przywódcy. Oponenti, choć równie zaskoczeni, zachowali więcej powściągliwości.

- Problem jednak pozostaje otwarty - dobiegł kłótlivy głos Jegora Ligaczowa, najbardziej zacieklego przeciwnika Gorbaczowa. - Jak zezwolono na to, że doszło do tego rodzaju incydentu? Kto za tym stoi? Czy prawdą jest, że nie mamy już pełnej kontroli w swoich rękach? Czy są tacy, którzy zagrażają już nie tylko możliwości odbycia zbliżającego się szczytu, ale w ogóle naszemu istnieniu?

- Za kilka dni spotkamy się ponownie... - zaczął Gorbaczow, ale zobaczył, że Pawliczenko podniósł palec wskazujący. - Tak?

Pawliczenko odezwał się cicho, spokojnie:

- Prezydent również nie w pełni kontroluje swoją własną administrację.

- Nie rozumiem.

- Dziś rano dostarczono mi wyniki badań laboratoryjnych fragmentów bomby - informował szef KGB. - Nie był to coctail Mołotowa. Nie był to dynamit. Wybuch został spowodowany przez masę plastyczną o nazwie C-4 - zrobił chwilę przerwy dla uzyskania lepszego efektu. - Ten rodzaj mas plastycznych produkowany jest wyłącznie w Stanach Zjednoczonych.

Twarze ludzi siedzących wokół stołu świadczyły wyraźnie o zaszokowaniu.

Zapanowało długie, ciężkie milczenie. Prezydent podniósł spuszczone przez chwilę oczy i powiedział:

- Posiedzenie ma charakter zamknięty.

Oznaczało to, że nawet najbliższych współpracowników nie wolno było informować o treści dyskusji, jaką tu prowadzono. Prezydent potrząsnął głową, przeszło mu bowiem przez myśl, że dzieje się tu coś dziwnego. Instykt w takich sprawach rzadko go zawodził. Dzieje się coś szczególnego. Wyjętą z kieszeni chusteczką przetarł czoło i powstał z miejsca.

Posiedzenie było skończone.

## 10. Boston

Szpitalny hol oddziału kardiologicznego wypełniały odgłosy nieregularnych dźwięków "bip, bipp, bip" dolatujących z urządzeń rejestrujących pracę serc pacjentów w kilku pokojach. Dźwięki te nakładały się na siebie i tworzyły nie skoordynowany chór elektroniczny. Pokój, w którym leżał Alfred Stone, był niewielki i niemal pozbawiony mebli. Koło łóżka stała kropłówka, na szafce telefon. Telewizor umieszczony był wysoko na ścianie vis-à-vis głowy chorego, bezpośrednio nad łóżkiem wisiał monitor, na którego ekranie pojawiała się i gasła zielona linia rejestrująca pracę serca Alfreda Stone'a. Błat szafki nocnej stojącej pomiędzy łóżkiem a oknem był pusty. Jeszcze nie było czasu, żeby ustawić na nim kwiaty. W powietrzu unosił się charakterystyczny szpitalny zapach zupy pomidorowej i alkoholu do dezynfekcji.

Alfred leżał przykryty lekkim, błękitnym kocem i spał. Wydawało się, że się postarzał o dwadzieścia lat. Twarz miał zmęczoną i kredowo-białą. Do nosa wprowadzono mu przezroczysty przewód plastikowy, który połączony był ze zbiornikiem za łóżkiem. Doprowadzano tędy nawilgocony tlen. Do piersi miał przytwierdzone trzy przewody podłączające go do urządzenia kontrolującego pracę serca.

- Pański ojciec obudził się wczoraj z drzemki popołudniowej z uczuciem silnego bólu i pieczenia w piersi - zmęczonym głosem informowała go przed chwilą pielęgniarka. Była wysoka, męska w typie, miała około pięćdziesiątki. Siwiejące, czarne włosy upięła w kok. - Dobrze zrobił wzywając natychmiast ambulans. W izbie przyjęć stwierdzili lekki atak serca.

- Kiedy będzie mógł wrócić do domu? Jutro?

- Nie sądzę - pogłaskała wiotką skórę podbródka - musi tu zostać co najmniej przez kilka dni. Został przyjęty w celu przeprowadzenia niezbędnych badań. Sprawdzimy przemianę materii, zobaczymy, czy nie zmienia się zapis EKG, ciśnienie.

- Czy dostaje jakieś lekarstwa?

- Środek wyrównujący pracę serca zwany Inderal - odpowiedziała obcesowo, jakby pytał o coś, co go nie powinno obchodzić.

- Czy coś jeszcze?

- Nie, to wszystko, dziękuję.

Przez dłuższy czas patrzył na ojca. Wydawało się, że we śnie zrzucił z siebie wszelkie troski. Usta miał lekko rozchylone, oddech regularny.

W kilka minut później Alfred Stone obudził się, patrzył wokoło nieco zdezorientowany. Uśmiechnął się na widok Charliego.

- To ty, Charlie? Jak było na przyjęciu? - zapytał. Wyciągnął rękę w kierunku szafki nocnej i szukał okularów. Znalazł i powoli osadził je na nosie. - Już dobrze. Dziękuję za odwiedzinę.

- Czujesz się lepiej? - Stone starał się mówić łagodnie.

- Nieco lepiej, jestem jedynie bardzo słaby.

- To musi być nieprzyjemne przeżycie - Stone uważnie patrzył w twarz ojca, zastanawiając się nad tym, jak ogromnym stresem musi być taki nieoczekiwany atak serca.

- Jak przyjęcie...? - zaczął Stone.

- Bez sensacji.

- Winthrop - Stone senior uśmiechnął się blado. - Ten stary, wielkoduszny skurczybyk.

"Wielkoduszny! - pomyślał Charlie. - Gdybyś tylko wiedział..." Głośno jednak powiedział:

- Przesyła ci pozdrowienia - nie miał teraz najmniejszych wątpliwości, że Alfred Stone nie wiedział nic więcej o dokumentach Lenina ponad to, co mówił.

- Czy możesz poprosić sąsiadów, żeby zajęli się Pearym? Robili to już przedtem.

Lubią go.

- Wszyscy go lubią. Czy coś ci można przynieść? Książki, prasę, coś innego?

- Nie, nic mi nie potrzeba. Jedna z pielęgniarek, taka Angielka, dała mi magazyn "People". Czy kiedyś go widziałeś? To znakomita lektura.

- Czytam to każdego tygodnia w kolejce w supermarkecie.

- Posłuchaj, Charlie... - zaczął Alfred Stone i umilkł.

- Słucham.

- A więc mam nadzieję, że nie pytałeś Winthrop'a o... o to, o czym mi wspominałeś?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Bardzo rzadko zdarzało się, że okłamywał ojca.

Najważniejsze jednak było teraz nie denerwować go. Powiedział więc:

- Nie pytałem.

- Wiesz, naprawdę mnie tym zaskoczyłeś. Zapewne musiałeś to zauważyć.

Stone potwierdził skinieniem głowy.

- Ja słyszałem o tym. Wiesz przecież, że pytano mnie o to w czasie przesłuchań.

Stone nie mając zamiaru o cokolwiek wypytywać, ponownie przytaknął.

- Podróż do Rosji, którą odbyłem, sprowadziła na mnie te wszystkie kłopoty. Zawsze mówiłem ci, że pojechałem służbowo, z misją rekonesansową, z wizytą do naszej ambasady w Moskwie.

- A był jeszcze jakiś inny powód wyjazdu?

- Wyrządzenie przysługi Winthropowi. On nie mógł wtedy dostać wizy do Rosji.

- Przysługi? - Słowo to w ustach Stone'a zabrzmiało złowieszczo.

- Był dla mnie taki dobry. Wybrał mnie do służby w Białym Domu spośród setek innych historyków. Nie mogłem odmówić.

- A o co on ciebie prosił?

- Prosił, żebym spotkał się z pewną kobietą. Prawdziwą pięknoscią.

- A po co Lehman prosił cię o to spotkanie?

- Chodziło o drobnostkę. Miałem się z nią spotkać jedynie po to, by wręczyć jej dokument, który Lehman ukrył w swojej własnej, oprawionej w ramkę fotografii. To znaczy, on mówił jedynie o fotografii, ale nie miałem wątpliwości, że w tej ramce jest coś ukryte.

Sądziłem, że chce jej przekazać jakąś wiadomość. A nie chciał w tym celu korzystać z poczty dyplomatycznej, co oznaczałoby konieczność posłużenia się agentem naszego wywiadu jako łącznikiem. Nie przypuszczałem idąc na to spotkanie, że ktoś mnie śledzi.

- Czy sądzisz, że ona była radzieckim agentem?

Ojciec zmarszczył twarz.

- Nie, nie była.

- A skąd wiesz?

Alfred Stone przez dłuższy czas patrzył na ciemny ekran telewizora.

- Początkowo sądziłem, że to jest dziewczyna Lehmana. Przypuszczałem, że pomaga jej w wydostaniu się z kraju.

- A obecnie...?

Wzruszył ramionami.

- Jak wiesz, Stalin umarł 5 marca 1953 roku. Jakiś tydzień przed tą datą Winthrop poprosił mnie, żebym poleciał do Moskwy. W trzy dni później znalazłem się w Moskwie.

- Przypuszczasz, że dokument w jakiś sposób łączył się ze śmiercią Stalina?

- W jakiś sposób chyba tak. Jestem o tym przekonany. - Alfred szeptał bardzo cicho. -

Niemniej... Nie chciałem, żeby Winthrop był w jakikolwiek sposób z tym związany.

- Wykorzystałeś Piątą Poprawkę\* [\*Piąta Poprawka do Konstytucji Stanów

Zjednoczonych wchodząca w skład tzw. The Bill of Rights, zawierającej spis praw obywateli USA. Zgodnie z Piątą Poprawką stojący przed sadem ma prawo odmowy zeznań, jeśli uważa, że byłyby one dla niego obciążające.] do tego, żeby chronić Lehmana.



- Obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby uzyskać dla mnie najłżejszy wymiar kary.

- Zgodziłeś się cierpieć za niego.

Alfred Stone rozglądał się bezradnie po pokoju.

- Nie mogłem zawieść jego zaufania - "bip" dolatujące z aparatu rejestrującego pracę serca stało się szybsze.

Charlie miał ochotę wybuchnąć, chciał krzyknąć: "Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że on zdradził ciebie?"

- Wielokrotnie chciałem się ponownie ożenić - mówił tymczasem Alfred Stone. - Margaret umarła tak młodo, a ty byłeś jeszcze mały.

Charlie przyglądał się płytkom na podłodze nie wiedząc, co ma odpowiedzieć.

Dźwięki "bip" dolatujące z aparatu ponownie zwolniły częstotliwość. W kilka minut potem Alfred zasnął.

Przez dziesięć minut siedział nieruchomo starając się zrozumieć, dlaczego ojciec pogodził się ze zdradą Lehmana i zastanawiając się, na ile znał on prawdę.

Ostrożnie, ażeby nie budzić ojca, włożył płaszcz i chciał wyjść, ale jeszcze siedział jakiś czas.

Ojciec zatrzepotał rzęsami.

- Jesteś tu jeszcze, Charlie?

- Tak - powiedział cichutko - jeszcze jestem.

## 11. Moskwa. Więzienie Lefortowo

Wszystkie fragmenty zawierające wątki niesamowite lub erotyczne zostały wydarte z książek znajdujących się w bibliotece. Wyrwano nawet ciężkie XIX-wieczne opisy scen miłosnych. Więźniowie byli seksualnie wygłodniali. To był główny temat rozmyślań i rozmów. Czasami w nocy odbywały się tak zwane seanse, w czasie których jeden z więźniów czytał na głos te fragmenty pozostałym towarzyszom z celi. Niekiedy też ktoś opowiadał odpowiednio ubarwione szczegóły swoich przygód seksualnych. W którejś z celi przypięto pinezką do pryczy fotografię Angeli Davis i patrząc na nią onanizowano się.

W więzieniu KGB Lefortowo, gdzie nawet owsianka przypominała śluz, sprawy seksu miało się ciągle w głowie. Jeśli jednak ktoś lubił czytać, a miał na to wiele czasu, mógł stwierdzić, że biblioteka więzienna była doskonale zaopatrzona. Więzień mógł otrzymać pięć książek tygodniowo. Było tam wiele pozycji, od Faulknera i Dickensa po Lermontowa i Gogola.

Stefan Jakowlewicz Kramer, dwudziestosześcioletni szofer z pogotowia, siedział w więzieniu Lefortowo od około czterech miesięcy. Jeszcze nie miał procesu, ale był oskarżony z paragrafu 70 kodeksu karnego - paragrafu o antyradzieckiej agitacji. W rzeczywistości w tłumie innych Żydów protestował przed budynkiem urzędu wydającego wize emigracyjne. Protestowano przeciwko temu, że nie można było otrzymać zezwolenia na wyjazd z kraju. Oczywiście wiele się mówiło o nowych porządkach przy Gorbaczowie. I rzeczywiście o wiele więcej ludzi emigrowało niż w latach poprzednich. Jednak na każdych dziesięciu zgłaszających się, najwyżej jeden otrzymywał pozwolenie na wyjazd.

Żydzi, Niemcy i członkowie kilku innych mniejszości narodowych oficjalnie mieli prawo do opuszczenia kraju. Rząd radziecki poinformował cały świat, że każdy, kto tylko chce wyjechać, wyjeżdża. Niemniej nadal aresztowano niewinnych ludzi, choć dużo mówiło się na temat "jawności", nowej Rosji i podobnych spraw. Dla Stefana było to jawne oszustwo. Stefan, jego brat Awram i ich ojciec Jakow trzykrotnie składali podania i trzykrotnie z najdziwniejszych powodów były one odrzucane. Jakow w czasie II wojny światowej zwanej

Wielką Wojną Narodową służył w Armii Czerwonej. Obecne władze twierdziły, że znał jakieś tajemnice państwowe, co nie było prawdą nawet przed czterdziestu laty. Tak więc bramy do wyjazdu zostały przed nimi z trzaskiem zamknięte. A kiedy Stefan i kilkudziesięciu innych zorganizowało pokojową demonstrację protestacyjną, policja ich rozpedziła.

Aresztowano tylko jego, Stefana Jakowlewicza Kramera.

Sprawę pogarszał fakt, że ojciec Jakow Kramer był więźniem gułagu, stalinowskiego obozu koncentracyjnego. Powodem było to, iż miał pecha i dostał się do niewoli nazistowskiej. Nosił trwałe ślady swoich cierpień. Miał na twarzy ogromne blizny, pozostałość po oparzeniu. W obozie pewnego dnia jeden z więźniów, antysemita, wylał mu na twarz garnek jakiegoś żrącego kwasu. Wprawdzie po wyjściu na wolność udało mu się otrzymać pracę redaktora w prestiżowym wydawnictwie "Progress", to jednak obecnie wszystko zawisło na włosku. Wprawdzie nawet po trzech próbach uzyskania wizy emigracyjnej nadal pracował - większość była wyrzucana z pracy już przy pierwszej próbie - powiedziano mu jednak, że jeśli jeszcze raz złoży podanie, wyleci. A w kraju nie było zasiłków dla bezrobotnych.

Oczywiście, w Związku Radzieckim byli ludzie zadowoleni, nawet szczęśliwi, ale Kramerowie się do nich nie zaliczali.

Stefan siedział na swojej pryczy oparty o popękaną betonową ścianę i czytał na głos swojemu towarzyszowi z celi Anatolijowi Iwanowiczowi Fiodorowowi. Polubił tego łobuziaka, potężnego, niewykształconego, bardzo gadatliwego faceta. Udało mu się z niego wydusić całą historię jego życia. Okazało się, że Fiodorow był żołnierzem w Afganistanie, to, co tam przeżywał, zniechęciło go do życia. Potem pracował jako mechanik w warsztacie samochodowym, gdzie przyłapano go na drobnych kradzieżach i sprzedawaniu części. W ciągu trzech miesięcy Fiodorow był trzecim z kolei współwięźniem Stefana w celi. Dwaj poprzedni byli bez wątpienia prowokatorami przysłanymi w celu wyciągnięcia od niego jakichś informacji, które mogłyby go jeszcze bardziej pogрузić. Fiodorow był jednak inny. Niewiele interesował go charakter "przestępstwa" popełnionego przez Stefana. Najchętniej mówił o sobie. Oczywiście było, że władze więzienne robiły, co mogły, żeby organizować prowokacje wobec więźniów politycznych, ale kiedy ich wysiłki spełzały na niczym, dawały więźniom spokój.

Fiodorow był prosty i ordynarny, ale w gruncie rzeczy nie pozbawiony inteligencji.

Lubił słuchać, kiedy Stefan na głos czytał poezję. Właśnie Stefan czytał:

Tyś i uboga,  
I wszechobfita,  
Tyś i bezsilna,  
i niespożyta,

Rosjo rodzima!\* [\*Przełożył Julian Tuwim.]

Ogarnął wzrokiem celę, szare ściany pokryte popękaną farbą, sedes i umywalkę.

Przeniósł wzrok na Fiodorowa, który się uśmiechał.

- Kto to napisał? - zapytał.

- Niekrasow. Ma to tytuł: "Komu się na Rusi dobrze dzieje".

- Fantastyczne, przeczytaj to jeszcze raz.

Stefan spełnił prośbę, a kiedy skończył, Fiodorow powiedział:

- Moim zdaniem odpowiedź brzmi: nikomu.

- Anatoliju Iwanowiczu, nie sądzę, żeby którykolwiek z nas mógł oceniać, jak się żyje innym.

W kilka tygodni później Fiodorow omal nie został zabity w bójce, jaka wywiązała się przy wieczornym posiłku. Uratował go Stefan.

Fiodorow uwikłał się w jakąś sprzeczkę z więźniem skazanym za szmugiel towarów.

Nie wiedział, że więzień ten ma nóż. Strażnicy rozmawiali po drugiej stronie sali. Stefan

zauważył błysk stali i rzucił się na atakującego, zbijając go z nóg. Dało to Fiodorowowi szansę. Zerwał się ze stołka i obezwładnił szmuglera. Gdy wrócili do celi, Fiodorow mruknął:  
- Dziękuję, jestem twoim dłużnikiem.

Odtąd ci dwaj zostali bliskimi przyjaciółmi.

Raz na dzień więźniowie mogli się gimnastykować, biegać lub spacerować na otoczonym drutami kolczastymi i siatką płaskim dachu więzienia. Gimnastyka odbywała się pod nadzorem straży. Te chwile spędzane na "boisku" Fiodorow wykorzystywał, żeby mówić ze Stefanem o tym, o czym bał się mówić w celi, gdzie mogli być podsłuchani przez strażników.

- Czy twój brat jest podobnie naiwny jak ty? - zapytał dysząc ciężko zmęczony biegiem.

Stefan bez trudności dotrzymywał mu kroku.

- Naiwny? Mój brat niczego złego nie zrobił. On jest sprytny. Nie miesza się do polityki. Co masz na myśli, mówiąc naiwny?

- Drzewo, które upadło, a nikt o tym nie słyszał, nie upadło - odpowiedział Fiodorow.

- Możecie się skarżyć i skarżyć do upadłego, ale jak długo tego nikt nie słyszy, nie ma to najmniejszego sensu. Jeśli chcecie, aby was wypuszczono z kraju, musicie zrobić coś takiego, by o was usłyszano.

- Właśnie się staraliśmy - odpowiedział Stefan. - Sugerujesz, że powinniśmy to dalej robić? Zbierać się w miejscach publicznych, wymachiwać transparentami i dawać się aresztować? - skrywany do tej pory gniew nagle eksplodował. - Przekłete to wszystko! Zapakowano mnie w to śmierdzące miejsce jedynie za to, że zebraliśmy się i pokojowo upominaliśmy o prawa, jakie gwarantuje nam radziecka konstytucja.

- Pieprzysz. Czy nie możesz zrozumieć, że jesteście właśnie takimi drzewami, które nie upadły? Jedyna rzecz, jaką rząd radziecki rozumie, to gwałt. Wszyscy o tym wiedzą. Jeśli nie chcą was wypuścić, musicie sprawiać kłopoty. Musicie zrobić coś, co dotrze do opinii światowej.

- Masz na myśli list do "New York Timesa"?

- Nie bądź głupi. Kreml obawia się nie "New York Timesa", a zaburzeń w porządku publicznym. Nie rozumiesz tego?

Zamilkli, gdyż mijali strażnika. Gdy pozostał z tyłu, wrócili do rozmowy.

- Czy wiesz coś o bombach? - zapytał Fiodorow.

- O bombach? Nie wiem nic i nie chcę wiedzieć.

- Nigdy nie można wiedzieć, co się kiedyś może przydać. Zaczynali kolejne okrążenie wokół dachu. Stefan zaprotestował, ale coś kazało mu zamilknąć i słuchać.

\*\*\*

Przez kilka następnych tygodni Fiodorow uczył Stefana wszystkiego, co wiedział o budowie bomb, o zapalnikach, chemicznych czujnikach, o dynamicie i plastyku. Każda popołudniowa godzina gimnastyki na dachu przekształcała się w godzinę lekcji. Nie było rzeczą łatwą tłumaczenie zasad działania mechanizmów, których nie można było zobaczyć. Fiodorow robił jednak, co mógł, żeby opisać kształty i działanie broni terrorystów, którą nauczył się posługiwać w Afganistanie. Opanował to tak doskonale, że choć sam nie każdym z rodzajów opisywanych bomb się posługiwał, był przekonany, że nauczyć może każdego, kto by tylko tego sobie życzył. Opowiadał, że przed kilkoma laty paru Estończyków postanowiło podłożyć bombę w metrze. Udało mu się z pewnego źródła w Odessie, w zamian za towary z Niemiec Wschodnich, z Polski i Czechosłowacji, zdobyć nieco dynamitu i zapalniki. Nauczył potem Estończyków, jak się z tym obchodzić. Czarny rynek materiałów wybuchowych w ZSRR był ograniczony i doskonale zakonspirowany.

Niemożliwe było nawiązanie kontaktów, jeśli się nie było kimś zaufanym, ale Fiodorow miał wszędzie odpowiednich przyjaciół.

W czasie jednej z ostatnich lekcji Fiodorow powiedział:

- Najprawdopodobniej nigdy nie natrafisz na coś tak bardzo nowoczesnego, ale są takie urządzenia - kontakty czułe na wstrząsy. Gdybyś coś takiego dostał, miałbyś znakomity zapalnik do bomby podkładanej w samochodzie.

- Kontakt czuły na wstrząsy?

- Tak, albo na wibracje. Ruch lub wibracja mogą zaniknąć obwód powodując wybuch bomby. To dość prosty aparat i malutki. Cylinder o przekroju około czterech centymetrów i długości dwunastu centymetrów. W środku umieszczona jest niewielka miedziana kulka. Wokół brzegów cylinderka bieżą pionowe, miedziane rowki. Ruch powoduje toczenie się kulki, która dochodząc do brzegu cylindra zamyka obwód. Możesz to sobie wyobrazić?

- Oczywiście - przytaknął Stefan. - To dobre dla bomby podkładanej w samochodzie.

- Właśnie. Zapala się silnik, co powoduje wibrację, a to z kolei wybuch bomby.

Najlepsze są całkiem proste urządzenia. Znam też bardziej skomplikowane. Na przykład przyspieszacze i przetworniki, które mechaniczną energię przetwarzają w energię elektryczną. Wolę jednak te proste przyrządy.

Fiodorow opowiadał mu o rzeczach jeszcze bardziej wyrafinowanych.

- Na przykład, takie superczułe czujniki. Przed kilkoma laty Amerykanie z CIA podrzucili pewnej grupie terrorystów na Bliskim Wschodzie materiał wybuchowy z zapalnikami, które powodowały wybuch przed czasem, przy najmniejszym wstrząsie. Widzisz, jest nieskończona liczba sposobów. Technologia jest fascynująca.

\*\*\*

W miesiąc później, na dzień przedtem, kiedy mieli obaj stanąć przed sądem, obaj nagle i całkiem nieoczekiwanie zostali zwolnieni. Było to 6 marca. Każdego z nich po kolei wyprowadzano z celi, prowadzono do naczelnika więzienia, który przekazywał im dobrą wiadomość. Po powrocie do celi czekali na strażników, którzy odprowadzą ich do wyjścia. Fiodorow długo patrzył na Stefana, aż powiedział:

- Kupiłeś mnie sobie w ciągu tych czterech miesięcy. Twoje opowiadania, twoje dowcipy. Niekrasow i Gogol. Ty mi to wszystko pokazałeś. Uratowałeś moje pieprzone życie. Jestem twoim dłużnikiem.

## 12. Nowy Jork

Klub, którego członkiem był Saul Ansbach, znajdował się w wielkim, starym budynku na 46. Ulicy Zachodniej, niedaleko Metropolitan Club. Miedziana tablica na białych drzwiach prezentowała nazwę "The Phoenix Club". Zaraz za drzwiami zaczynała się obszerna klatka schodowa prowadząca do szatni, gdzie ciemne płaszcze w jodełkę wisały pod długą półką z filcowymi kapeluszami typu fedoras. Był to klub, którego członkowie zawsze nosili kapelusze, nawet jeśli reszta świata biegła z gołymi głowami. Oczywiście należeli do niego wyłącznie mężczyźni, a więc było to miejsce, które przez sam fakt istnienia obrażało Charlotte.

Był to klub nowojorskiej arystokracji, która przed kilkoma dziesiątkami lat z oporami dopuściła w swoje szeregi gentelmanów, którzy choć byli partnerami znanych firm prawniczych, prezesami banków lub korporacji przemysłowych, nie pochodzili jednak z dobrych, starych nowojorskich rodzin. Saul otrzymał propozycję wstąpienia do Klubu, kiedy, przy mniejszym nasileniu pracy w Agencji, współpracował z prestiżową firmą Sheffield and

Simpson. Nie ulegało wątpliwości, że członkowie "Phoenix Club" chcieli mieć w swoim gronie człowieka zajmującego wysoką pozycję w amerykańskim wywiadzie. Ansbach niemal od samego początku znajomości zapraszał tu Stone'a co kilka miesięcy na lunch. I tradycję tę nadal utrzymywali, szczególnie jeśli chcieli się spotkać na dłuższą rozmowę.

- Przykro mi z uwagi na twojego ojca - powiedział Ansbach. - Przejdzie przez to śpiewająco. To silny facet.

- Mam nadzieję, że masz rację. - Stone dopiero co przyjechał taksówką z lotniska LaGuardia i czuł się trochę winny, że pozostawił ojca samego.

Ansbach włożył okulary do czytania i trzymał dokument na wysokości oczu.

Dokładnie oglądał pismo. Zmarszczył czoło, co było sygnałem napięcia.

- Masz rację - powiedział po chwili. - To M-3 odnosi się do amerykańskiego kreta w Moskwie. Słyszę o tym jednak po raz pierwszy.

Stone potwierdził skinieniem głowy. Kelner sprzątnął talerze po zjedzonych przez Ansbacha żeberkach i po hamburgerze Stone'a.

- Panie Ansbach, czy podać kawę?

- Dla nas obu - zamówił Saul. Gdy kelner zniknął, mówił dalej: - Przypuszczasz, że twój ojciec na polecenie Winthropa dał ten Testament Lenina jakiejś kobiecie w Moskwie?

- Przekazał jej jakiś dokument i to mógł być ten Testament Lenina.

- A więc Winthrop użył twojego ojca do przekazania czegoś, zapewne nie jedynie oprawionego zdjęcia. On przekazał tej kobiecie, a ona amerykańskiemu kretowi.

- Taką snujesz teorię, no, ale ty jesteś szefem. Powiedz, co o tym myślisz?

Przez ułamek sekundy zastanawiał się nad tym, dlaczego Ansbach spocił się bardziej niż zwykle. W pokoju wcale nie było za gorąco.

- Tak to chyba było - Ansbach zmienił okulary. - Jezus, mieliśmy kreta w Moskwie, a mnie o tym nigdy nie powiedziano. Czy o to właśnie chodzi w tej całej sprawie? Charlie, ten człowiek przepytywany był przez FBI... ten Alden Cushing... czy mówi ci coś to nazwisko? Pojawił się kelner, postawił przed nimi dwie porcelanowe filiżanki i w milczeniu nalał kawy.

- To partner Lehmana w interesach. Sprzed lat - wyjaśniał Stone. - To jest ktoś, z kim warto pomówić, jeśli jeszcze żyje. Saul, co z tobą? Nigdy cię takim nie widziałem.

- Cushing zmarł - łyknął kawy. Ręce mu się tak trzęsły, że rozlał kilka kropel na nieskazitelnie biały obrus. Krople rozszerzyły się, przybierając postać ciemnych kółek na obrusie.

- A więc, nie ma sprawy.

- Nie, Charlie, jest. Nie rozumiesz. Informację o jego śmierci podała dziś rano Associated Press.

- Dziś rano? Boże!

Stone odsunął filiżankę z kawą.

- To nie może być przypadek... - zająknął się i zaczął ponownie: - On był na tym obiedzie ze Stalinem w 1952 roku. Czy można to uznać za zwykły zbieg okoliczności, że właśnie teraz zmarł?

- Co mogą mieć wspólnego z sobą ten kret i Testament Lenina? - w głosie Ansbacha wyczuwało się zniecierpliwienie. - I co, do cholery, ma to wspólnego z tym, co dzieje się obecnie w Moskwie?

- Rozważmy po kolei - zaproponował Stone. - Zastanów się nad uwagą Stalina o tym, że czcigodny Lenin zrobiony jest z wosku.

- Do czego zmierzasz? - Ansbach z uwagą przyglądał się swoim paznokciom.

- Ano właśnie - Stone przysunął filiżankę i pociągnął łyk kawy. - Zanim opuściłem Boston, wykonałem kilka telefonów. Zrobiłem małe rozpoznanie. Widzisz, jest całkiem

możliwe, że ciało Lenina wykonano z wosku. Stan techniki artystycznej jest taki, że utalentowany artysta... nie byle kto, ale ktoś naprawdę dobry, może zrobić replikę twarzy ludzkiej tak doskonale, że stojąc nawet o kilkanaście centymetrów od niej, nie będziesz mógł odróżnić, czy jest prawdziwa, czy nie.

Ansbach wypił swoją kawę do dna i dał kelnerowi znak, że zamawia drugą.

- Jak rozumiem, wiążesz to z raportem Jeża. Stone kontynuował swoje rozważania:

- Nie wiem, czy znasz historię Evity, żony argentyńskiego prezydenta Juana Perona - zamknął oczy, żeby lepiej przypomnieć sobie szczegóły. - Umarła w 1952 roku, kiedy miała trzydzieści kilka lat. Rak. Juan wezwał eksperta od balsamowania, kogoś obeznanego z najnowszymi, najbardziej wyrafinowanymi technikami zabiegu. Ten facet wynalazł metodę polegającą na dokonywaniu dożylnych zastrzyków z parafiny i formaliny, co nie dopuszcza do odwadniania - wyliczał z pamięci - alkohol, gliceryna, formalina i tymol. Potem zanurzał ciało w roztworze... azotanu celulozy rozpuszczonym w trójchloroetylenie i octanie, co pokrywało ciało cieniutką, jakby plastikową błoną.

- Mój Boże, jak tyś to wszystko zapamiętał, Charlie?

- Juan Peron chciał, żeby jego ukochana Evita została wystawiona na widok publiczny całkiem jak Lenin w Moskwie, Był w tym postanowieniu nieugięty i kiedy Evita była już na łożu śmierci, nie dawano jej jakichkolwiek lekarstw, które działałyby przeciwnie niż chemikalia służące do balsamowania i utrudniały lub uniemożliwiały przeprowadzenie procesu balsamowania.

Ansbach popatrzył ostro na Charliego.

- Chemikalia?

- Wiele lekarstw może działać na tkanki w sposób blokujący dopływ roztworu balsamującego. Niektóre lekarstwa mogą w takim stopniu zniszczyć naczynka włoskowate, że środki balsamujące będą nieskuteczne. Zaniknie ciśnienie osmotyczne i roztwór balsamujący nie będzie się rozchodził. Równowaga elektrolityczna zostanie naruszona. Proces balsamowania nie zostanie w pełni przeprowadzony i nie da trwałych wyników.

- Czy wśród tego rodzaju leków znajdują się na przykład trucizny?

- Przede wszystkim trucizny - wyjaśniał Stone - arszenik, strychnina, cały szereg trucizn może zablokować proces balsamowania. Bardzo trudno jest zabalsamować ciało człowieka, który został otruty.

- Jezusie - wyszeptał Ansbach. - To wyjaśnia...

- Krążą opowieści... pogłoski, powszechnie zresztą znane, że Lenin został otruty.

Stalin miał mu pomóc w szybszym odejściu. Przypominam sobie, że czytałem coś o tym w pamiętnikach Trockiego. Oczywiście nic więcej jak puste słowa, supozycje, ale jednak...

Ansbach przytaknął.

- Takie pogłoski od lat krążyły w Langley.

- Czy czytałeś książkę "Twarz ofiary"? Napisała ją jakaś Rosjanka nazwiskiem Elizabeth Lermolo. Opublikowano to w latach pięćdziesiątych.

- Nie.

- Przypominam sobie, jak autorka opisuje, że kiedy siedziała w więzieniu NKWD, spotkała starego człowieka, który był osobistym kucharzem Lenina w ostatnich latach jego życia. Rano, w dniu śmierci Lenina, człowiek ten wszedł do pokoju, niosąc śniadanie, a Lenin dawał mu sygnały, że ma coś do powiedzenia, ale nie może mówić. Napisał jednak kucharzowi karteczkę, że go otruto.

- Twórca Związku Radzieckiego... - Ansbach cicho wyszeptał: - Jeśli to prawda i masz rację... Mój Boże. Konsekwencje będą niebywałe. Efekt zabalsamowania ciała Lenina nie mógł być trwały. Twórca państwa został otruty.

Przez chwilę milczeli, gdyż kelner nalewał kawę do filiżanek.

- To ostatnia rzecz, którą Gorbaczow chciałby dziś ujawnić - Saul mówił to jakoś

dziwacznie, automatycznie, całkiem tak, jakby myślami był całkiem gdzie indziej.

- Saul, nie powiedziałem nic takiego, o czym byś już nie wiedział. Co się z tobą dzieje?

Ansbach oddychał głośno.

- Po prostu. Po prostu zostaw to wszystko, Charlie. Zostaw to.

- O czym ty mówisz?

- Kochany, tak samo jak ja wiesz doskonale, że mamy do czynienia nie tylko z historią.

- Oczywiście, ale nadal nie wiemy, w jaki sposób łączy się to ze sprawą M-3. Co chcesz mi zasugerować?

- Nic, Charlie. Po prostu instynkt. Nos. To wszystko śmierdzi mi na odległość operacją wywiadowczą, która się nie powiodła. Odnoszę wrażenie, że właśnie starasz się zajrzeć za kurtynę i wzdrygam się na myśl o tym, co możesz tam zobaczyć.

- Zaczynasz być paranoiczny, Saul.

- Mój przyjaciel Henry Kissinger powiedział kiedyś tak: to, że jesteś paranoikiem, wcale nie oznacza, że nie mogą cię dopaść.

- Nie on pierwszy to powiedział, Saul.

- Kochany, ty wiesz doskonale, że Agencja ma różne sposoby, żeby wyrażać swoje niezadowolenie. W takich wypadkach oni... my... Agencja nie wnika w zawiłości prawa. Mogą zrobić coś o wiele więcej, niż cię po prostu wyrzucić.

Stone powoli, z rozmysłem pokręcił głową.

- Nie przejmuję się tym - w jego głosie dźwięczało zdecydowanie. - Sądzę, że zdajesz sobie sprawę, jakie to dla mnie ważne. To sprawa dobrego imienia mojego ojca. Jego życia.

- Nie zrezygnujesz z dochodzenia do prawdy, Charlie?

- Jak długo nie dowiem się wszystkiego, co dotyczy ojca, nie zrezygnuję.

- Twojego ojca oszukano, ot co! Po prostu. Dlaczego... to nie ma już znaczenia.

- Zauważyłem, że nie dałeś mi żadnych jednoznacznych poleceń. Boisz się, ale nie mam o to do ciebie pretensji.

Ansbach popatrzył na niego twardo.

- Chryste, czego ty chcesz, Charlie?

- Jest pewna stara kobieta, która niegdyś była sekretarką Lenina. Wyemigrowała w latach dwudziestych i żyje tu pod przybranym nazwiskiem. Natrafiłem na informacje o tym grzebiąc w pewnym banku danych.

- Wiem, słyszałem o niej jeszcze w OSS\* [\* OSS - Office of Strategic Studies, Biuro Badań Strategicznych wywiadu USA w latach II wojny światowej. Dyrektorem OSS był Bill Donovan.] od Billa Donovana.

- Chciałbym się dowiedzieć, gdzie ją znaleźć. Sądzę, że od rozmowy z nią można zacząć poszukiwania.

Ansbach przyjrzał mu się ponownie.

- Nie podoba mi się to wszystko - powiedziawszy to odsunął krzesło.

\*\*\*

W kilka godzin później Stone wszedł do swojego mieszkania na West Side. Miał przy sobie fotokopie dokumentów, jakie zabrał z archiwum Lehmana. Zdjął płaszcz i powiesił w szafie w przedpokoju obok ekwipunku wspinaczkowego, tak rzadko obecnie używanego. Ukłął i wodząc dłonią po gładkiej, marmurowej powierzchni podłogi odszukał po kilku sekundach słabo wyczuwalną rysę. Rysa była bez mała niewidoczna. Nacisnął i jedna z płytek podłogowych odsunęła się ukazując drzwiczki niewielkiego sejfu. Wykręcił szyfr i otworzył drzwiczki. Włożył do środka przyniesione dokumenty. Spoczywały tu teraz obok

niewielkiego zwitka pieniędzy, jakichś papierów i rewolweru Smith and Wesson, którego użył tylko kilka razy na strzelnicy. Identyczny rewolwer kupił swojemu ojcu. Zamknął sejf i zasunął płytkę. Gdy wszedł do pokoju, zobaczył światelko migające na magnetofonie dołączonym do telefonu. Wcisnął plastikowy guzik i słuchał. Pierwszy telefon był od kobiety, którą spotkał na przyjęciu i miał nadzieję, że już więcej o niej nie będzie słyszał. Kolejny telefon był od ojca. Zadzwoił, żeby podziękować za odwiedziny i poinformować, że czuje się lepiej.

Dwa kolejne telefony były od Saula Ansbacha.

W głosie Saula brzmiała narastająca desperacja. Jego słowa zagłuszały czasami odgłosy ruchu ulicznego. Oczywiście było, że dzwonił z automatu. Zazwyczaj posługiwał się zabezpieczoną linią.

“Charlie, tu Saul. Jestem u Sheffielda. Zadzwoń do mnie, jak tylko wrócisz do domu”.

Rozłączyło się.

Ansbach ciągle jeszcze zasiadał w radzie firmy Sheffield and Simpson i czasami, kiedy Saul uczestniczył w posiedzeniach rady, Charlie przychodził na spotkania z nim.

“Tu znowu Saul. Słuchaj, jesteś na tropie. Chciałbym się z tobą zobaczyć tu w firmie.

Nie w naszym biurze. Będę tu czekał na ciebie od siódmej do około ósmej. I uważaj, nie dzwoń do Fundacji. Nie ufam naszym telefonom. To poważna sprawa. Cholernie poważna - chwila przerwy i Charlie usłyszał dźwięk syreny przejeżdżającego ambulansu. - Ile mam jeszcze czasu na nagrywanie? Uważaj, Charlie. Mam coś dla ciebie. Przywiózł to kurier... Coś wyjaśnia. - Znowu przerwa i ryk silnika ciężarówki. - Czy to mnie jeszcze nagrywa? Charlie, to wszystko gówno. Przyjdź tu”.

Rzucił się do drzwi.

\*\*\*

Biura firmy Sheffield and Simpson zajmowały dwunaste, czternaste i piętnaste piętro - trzynastego nie było - w pełnym godności, starym, dwudziestopiętrowym budynku w pobliżu Wall Street. Budynek odznaczał się elegancją i prostotą, jakiej brak współczesnym budowlom.

Stone znalazł się tam w kilka minut po ósmej. Właśnie kończyła się godzina szczytu w ruchu ulicznym. Ze staromodnej windy wysiadło kilku maruderów w garniturach, z teczkami pod pachą. Zawsze lubił te stare budynki, ich nobliwość, dostojną solidność i elegancję. Wnętrze windy wyłożone było wiśniową boazerią. Do ścian przytwierdzono lampy przykryte kinkietami.

Nacisnął guzik czternastego piętra i oparty plecami o ścianę, delektował się płynną pracą starej maszynerii. W kilkanaście sekund później drzwi windy otworzyły się na czternastym piętrze. Na korytarzu i w pokojach paliło się jeszcze kilka świateł. Sekretariaty były już puste, ale tu i tam pracowali jeszcze urzędnicy. Stone w duchu podziękował bogom, że nie wybrał zawodu prawnika.

Przypomniał sobie, że Saul chciałby się z nim najprawdopodobniej spotkać na piętnastym piętrze, które wieczorami było już puste. Trzymano tu archiwa i zbyteczny sprzęt biurowy. Połowa piętra była w ogóle nie wynajęta. Było tam też kilka sal konferencyjnych. Jeśli Ansbach chciał odbyć spotkanie bez świadków, umawiał się przeważnie w jednym z pustych pokoi konferencyjnych na tym piętrze.

Wsiadł do windy i wjechał piętro wyżej. Na korytarzu panował półmrok. U sufitu mrugało kilka lamp jarzeniowych. Było pusto. Nie widział Ansbacha. Przeszedł koło wielkiego okna i zobaczył przez szybę jarzącą się światłami w dole panoramę Nowego Jorku. W połowie holu znajdowały się dwie sale konferencyjne. Prowadzące do nich drzwi były zamknięte. Nacisnął na kłamkę. Ustąpiły bezszelestnie.



- Saul Ansbach? - zapytał półgłosem. Potem dodał szeptem: - Saul?

Wtedy zobaczył i zmartwił z przerażenia.

Saul Ansbach, wielki, muskularny mężczyzna siedział wciśnięty w miękki fotel za stołem konferencyjnym. Patrzył wprost przed siebie przez swoje okulary w grubej oprawie. Jego głowa zwisała dziwacznie na bok. Szklane okulary pokrywały strumyczki krwi wyciekającej z idealnie okrągłej dziurki w jego czole tuż nad brwią. Ręce miał rozłożone na stole całkiem tak, jakby chciał wstać na powitanie wchodzącego.

Stone nie był zdolny do wydania z siebie głosu. Miał otwarte usta. Strach świdrował mu w głowie. Zrobił krok do przodu i natychmiast cofnął się. Usłyszał skrzyp podłogi i czyjeś ciche kroki w głębi holu.

13.

Cofnął się o kilka kroków, starając się to zrobić jak najciszej.

Usłyszał znowu wyraźne skrzypnięcie dobiegające z głębi korytarza. Nie uległo wątpliwości, że tam ktoś stoi, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Dźwięk nadchodził z lewej strony Stone'a.

Krew pokrywająca twarz Saula Ansbacha była jeszcze nie zaschnięta. Zabójstwo musiało nastąpić w ciągu ostatnich 30 minut. Morderca był jeszcze na korytarzu. Stone powoli odwrócił głowę i zobaczył rozmazującą się w półmroku zalewającym korytarz sylwetkę człowieka. Stał w odległości niespełna sześciu metrów. Krępy, niewysoki, w czarnej skórzanej kurtce z szerokimi klapami. Małe oczka i byczy kark. Kruczoczarne włosy zaczesane były gładko do tyłu. Widać było, że w kieszeni kurtki ukrywa jakiś wielki przedmiot, zapewne rewolwer. Człowiek ten patrzył na Stone'a. Jego twarz była całkowicie bez wyrazu.

Wiedział dokładnie, co Stone zobaczył i o czym już wie.

Serce Charliego biło jak młot. Pochylony nisko do przodu rzucił się w kierunku wyjścia. Czuł, że człowiek z korytarza biegnie za nim, sadząc ogromnymi susami.

Stone wziął zakręt, przemknął koło windy, nie widząc niczego, jedynie drzwi prowadzące na klatkę schodową.

Goniący go był szybszy i Stone czuł, że tamten zbliża się do niego.

O Jezuu, o Jezuu, o Jezuu... Stone nigdy w życiu nie gnał tak szybko. O Boże, abym zdążył! Dopadł do drzwi i złapał za klamkę. Jeśli drzwi są zamknięte...

Nie były. Dzięki ci, Boże!

Człowiek w skórzanej kurtce był tuż za nim. Stone wpadł na klatkę schodową i nieomal tracąc równowagę, przeskakiwał po kilka stopni biegnąc w dół. Słyszał za sobą tupot kroków ścigającego. Czuł tego człowieka za sobą, czuł pęd chłodnego powietrza.

Z tyłu dobiegł go skowyt bólu i odgłos potknięcia. Słyszał, jak nogi tamtego ześlizgnęły się po stalowych schodach.

Musi zniknąć z klatki schodowej, zejść z linii strzału. Dlaczego tamten jeszcze nie strzelał? Teraz z całą pewnością będzie. Nie może patrzeć do tyłu, nie będzie wiedział, kiedy to nastąpi, kiedy kula dosięgnie tyłu jego głowy.

Jakieś drzwi. Chwycił klamkę i chwila ulgi. Drzwi były otwarte. Ile pięter przebiegł?

Dwa? Trzy? Cztery? Wpadł w ciemny korytarz. Po obu stronach puste biura z zamkniętymi drzwiami. Nigdzie nie można się skryć.

Goniący go odzyskał równowagę, ale Stone zyskał kilka sekund przewagi. Słyszał ponownie jego kroki dobiegające z klatki schodowej.

Desperacko rozglądał się za drogą ucieczki. Dopadł do windy i przycisnął guzik.

Usłyszał pracę maszyny. Nie było czasu na czekanie. Rzucił się z powrotem w kierunku

drzwi na klatkę schodową, wypatrując rozpaczliwie klucza, którego nie było. Złapał za obrotową klamkę i z całą siłą zaprawionego w trudach alpinisty zatrzasnął drzwi. Ścigający stał już za drzwiami, rzucił się na nie, starając się przekręcić klamkę z siłą, której Stone nie był w stanie sprostać. Wtedy właśnie...

Nadjechała winda. Rozległ się cichy gong, drzwi windy rozsunęły się leniwie, ukazując zapraszająco wnętrze wyłożone wiśniową boazerią.

Stone nie miał wyboru. Zostawił drzwi i biegnąc pod ścianą, rzucił się w kierunku zamykających się już drzwi windy. Gdy wbiegł do środka, tamten wpadł na korytarz.

Wyciągnął rękę, w której miał automatyczny rewolwer. Huk był ogłuszający. Kula uderzyła w zasuwające się drzwi windy. Strzelający dopadł do nich i wsadził rękę w szparę pomiędzy obie zbliżające się do siebie połówki. Starał się dosięgnąć do wyłącznika...

Wyłącznika jednak nie było. Stare windy nie mają takiego urządzenia, a drzwi zamykały się nieubłaganie. Człowiek wyrwał swoją rękę wydając okrzyk bólu. Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia ucieczki Stone głęboko zaczerpnął powietrza.

Udało mu się uciec.

Winda będzie szybsza od ścigającego go. Zjedzie na dół o wiele szybciej, niż tamten potrafi zbiec. Jak w otumanieniu patrzył na wyskakujące światełka numerów mijanych pięter. Winda wyraźnie nabierała szybkości, zjeżdżając w dół w kierunku parteru. Nieoczekiwanie jednak zatrzymała się.

“O, Boże, nie!” - krzyknął w duchu. Winda stała pomiędzy piętrami najprawdopodobniej pozbawiona dopływu prądu.

Znalazł się w pułapce.

- Niech to... - zaklął głośno, rozglądając się dokoła po wnętrzu wykładanym błyszczącą boazerią. - Cóż za kretyńskie głupstwo. - Głos mu się ze strachu trząsnął. Był uwięziony w klatce. Przyciskał kolejno wszystkie guziki, ale nic się nie działo. Winda ani drgnęła. Zgiął palce obu rąk i wcisnął je w szparę pomiędzy obie połówki drzwi. Pociągnął. Ustępowały opornie, ale ustępowały. Gdy szpara się rozszerzyła, zobaczył przed sobą szarą, betonową płaszczyznę. Stał pomiędzy piętrami. Nie miał wyjścia.

Nagle uświadomił sobie, co tamten robi. To było oczywiste. Przekręci wyłącznik i winda pojedzie nie zatrzymując się na piętrach w dół lub w górę. W zależności od otrzymanego sygnału. Nawet tak stare windy jak ta miały tego rodzaju urządzenia. Był więźniem i nie mógł na to nic poradzić.

Dlaczego tamten nic nie robi? Zrób to, zrób to wreszcie, skończ z tym wszystkim!

Jeżu, to już koniec. Ktoś, kto zamordował Saula Ansbacha, z całą pewnością nie zawaha się przed zrobieniem tego samego ze świadkiem.

Rozglądał się po windzie. Wydawało mu się, że słyszy, jak krew przepływa mu przez żyły, powodując szum w uszach. To strach. Był zamknięty w tej drewnianej błyszczącej i eleganckiej skrzyni, w zelektryfikowanej trumnie.

...W trumnie z włazem ratunkowym w suficie. Podniósł wzrok. Tak, był tam.

Oczywiście, wszystkie windy są w to zaopatrzone. Patrzył na pokrywę włazu wykonaną z pomalowanego na biało metalu, zamykaną na wystające śruby skrzydełkowe. Wyciągnął rękę, jak tylko daleko potrafił, ale sufit był zbyt wysoko, nie mógł dosięgnąć.

Pomyśl! Wspinaczka po górach była przecież czymś trudniejszym. Rozglądał się po kabinie. Czym się posłużyć. Zatrzymał wzrok na mosiężnych lampach. Wyciągnął dłoń i zacisnął na lampie. Nogę oparł o wycięcie w boazerii i podciągnął się do góry. Lewą ręką dostawał teraz do śrub. Odkręcił jedną, potem drugą i barkami wparł się w pokrywę włazu. Ze skrzypieniem, od lat nie otwierany i zardzewiały ustępował powoli, aż wreszcie został otwarty.

Patrzył w górę, w całkowitą ciemność, w szyb windy.

Podciągnął się i rękami złapał za krawędzie włazu. Palce ślizgały się po czymś

ostrym, czymś, co przecinało skórę. Poczul silny ból w lewej ręce. Już ostrożniej szukał oparcia dla drugiej ręki, ponownie się podciągnął i wsadził głowę w otwór wjazdu. Potem przecisnął ramiona. Znalazł się w szybie. Ręce ślizgały się po brudnym metalu. Ukląkł na dachu kabiny i wdychał powietrze pełne zapachu oliwy i brudu. Oczy powoli przyzwyczajają się do całkowitej ciemności, jaka panowała w szybie. Gdzieś wysoko nad jego głową widział migotające źródło niebieskiego światła. Pionowy tunel miał około dwóch i pół metra szerokości. Trudno ocenić, jak daleko ciągnął się w górę. Nogą uderzył w coś metalowego. Był to skręcony stalowy kabel wyciągowy idący pionowo do góry i niknący w ciemnościach. Ze strachem badał otoczenie. Z trzech stron ściany szybu pokrywała cegła, a jedna ściana była betonowa. Dwie przeciwległe ściany poprzecinały stalowe dźwigary. Dostrzegł szyny, po których posuwała się kabina. Były umieszczone na dwóch przeciwległych ścianach i biegły wzdłuż muru, w pewnej od niego odległości. Czy nie znajdowały się one pod napięciem? Jeśli ich dotknie, czy...? Instynkt zaczął mu doradzać powrót do kabiny. Tu łatwo można było stracić życie. Ale tam jeszcze łatwiej - odpowiedział mu głos wewnętrzny. Ostrożnie, delikatnie dotknął palcem szyny... i nic. Dotknął jej odważniej oboma rękami. Była tylko jedna droga ucieczki, w górę. Zrzucił obuwie. Miał skórzane buty, które nie nadawały się do wspinaczki. Palcami u nóg zaczął szukać oparcia w szczelinach pomiędzy ceglami. Były oślizłe, pokryte brudem gromadzącym się od lat. Noga się ześlizgiwała. Silniej zacisnął dłonie na szynach i mocniej wparł palce nóg w ścianę. Tak zaczął się windować w górę. Podciągał się i wciskał palce nóg w mur i ponownie powtarzał tę czynność. Powoli i z trudem piał się w górę. Potem nabrał nieco pewności. Nawet pozwolił sobie na spojrzenie w górę. Stwierdził, że zbliżał się do następnego piętra. Widział poprzeczną belkę metalową progu, przy którym zatrzymywała się winda. Spojrzał w dół. To był błąd. Nawet po minucie wspinaczki widok był zatrważający. Czarna przepaść. Nie wolno było patrzeć w dół. Tylko w górę. Jeszcze się nieco podciągnął, gdy usłyszał jakiś dźwięk, potem szum. Kabina windy ruszyła w górę. Poczul skurcz żołądka. Jeśli dojdzie do niego, zostanie zmiażdżony. Podciągnął się jeszcze trochę i kopnął drzwi wychodzące na jakieś piętro. Żadnej reakcji. Wyszukał palcami ryse miejsca, w którym schodziły się drzwi. Próbował ją rozszerzyć, ale drzwi ani drgnęły. Kabina windy zbliżała się z szumem. Była nie dalej jak o trzy metry od niego. W tym momencie dostrzegł wystające wałki, które naciskane przez wewnętrzne drzwi kabiny powodują otwarcie drzwi zewnętrznych. Pchnął nogą, właściwie kopnął w te wałki i... drzwi zewnętrzne otworzyły się. Rzucił się w rozwierającą się przestrzeń w ostatniej chwili. Nadjeżdżająca kabina uderzyła go w nogę, ale był już bezpieczny. Leżał rozciągnięty na podłodze. Ręce miał pokrwawione, nogi poobcierane, pełne siniaków. Z trudnością wstał i pokuśtykał do drzwi wychodzących na klatkę schodową. Z namalowanej na murze cyfry odczytał, że jest na szóstym piętrze. Zbiegł po schodach przeskakując po trzy, cztery stopnie. Hol na parterze był pusty, oświetlony jedynie światłem lamp z ulicy. Czuł się obolały i zmęczony, zmusił się jednak do biegu. Dopadł obrotowych drzwi i znalazł się na ulicy.

#### 14. Moskwa

Gdy Stefan Kramer powrócił do świata ludzi wolnych - zastanawiał się, czy Moskwę można było za taki świat uważać - stwierdził, że w okresie czterech miesięcy, jakie spędził w więzieniu Lefortowo, życie stało się okropne, nieznośne.

Półki w sklepach spożywczych były jeszcze bardziej puste, przestępczość na ulicach wzrastała, ludzie klęli i skarżyli się więcej niż zwykle. Wynajął pokój w mieszkaniu komunalnym, w którym mieszkało już pięć innych osób. Kiedy chciał zjeść coś lepszego, składał wizytę ojcu, gdzie jego kochanka Sonia - nie miał dla niej innego określenia, gdyż nie wzięli ślubu - przygotowywała znakomity obiad, na który podawała zazwyczaj kurę z kartoflami i zupę solankę.

Stefan nie wiedział właściwie, co myśleć o Soni. Zbliżała się do sześćdziesiątki. Miała miłą twarz noszącą ślady dawnej urody. Właściwie uważał ją za matkę. Ich własna matka zmarła, kiedy był jeszcze bardzo młody.

W Soni było coś, co odróżniało ją od innych zmęczonych życiem rosyjskich kobiet jej generacji. Jakaś dostojność, łagodność, powaga. Wydawało się, że niczego od życia nie oczekuje. Radość czerpała jedynie z niesienia pomocy innym. Jej nieśmiałość ujmowała Stefana. Na ogół trzymała się na uboczu, zamknięta w sobie, daleka. Czasami jednak patrzyła na Stefana ostro, przenikliwie, jakby dziwiła się, co on tu może robić.

Pewnego wieczora, mniej więcej w tydzień po zwolnieniu Stefana, Sonia postawiła przed nim talerz zupy, oparła mu rękę na ramieniu i powiedziała:

- Twój brat został aresztowany - spojrzała przy tym na Jakowa, który siedział w całkowitym milczeniu.

- Awram? Za co? - Stefan nie mógł w to uwierzyć. Awram, spokojny, pracowity i potulny wobec prawa pracownik nauki w Instytucie Polio, nigdy nie zrobiłby nic takiego, co mogłoby być powodem aresztowania. Zauważył, że zniszczona twarz ojca wykrzywiła się w grymasie udreki.

- Mówią, że napisał i wysłał list na Kreml. W liście protestował przeciwko udzieleniu nam odmowy na emigrację - wyjaśnił Jakow. - Twierdzi się więc, że napisał zjadliwie antyradziecki list.

- Co? Ktoś zwariował? Przecież to się kupy nie trzyma.

- Wiem - powiedział ojciec ze smutkiem w głosie.

- To kłamstwo - dodała cicho Sonia. - To prowokacja. To musi być prowokacja obliczona na to, żeby nie pozwolić wam na wyjazd.

- Gdzie on jest? - zapytał Stefan.

Sonia popatrzyła na Jakowa, który nagle zakrył twarz rękami. Nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- On jest w psychuszce\* [\* Psychuszka - w moskiewskim slangu oddział psychicznie chorych, szpital dla wariatów.] - Sonia objęła Jakowa za szyję. Psychuszka, straszliwe miejsce, z którego tylko nielicznym udało się wyjść bez utraty zdrowia. - Zamknęli go tam wczoraj.

- Sądziłem, że tam nie zamykają politycznych - powiedział Stefan.

- Zamykają - krótko wyjaśnił ojciec.

- Musimy coś zrobić! - krzyknął nagle Stefan.

- Nic nie możemy zrobić - Jakow patrzył na syna nie widzącymi oczami.

Sonia żałośnie potrząsnęła głową. Chciała coś powiedzieć, ale milczała.

W kilka tygodni później Stefan dokonywał zakupów dla ojca i Soni. Stał w długiej kolejce po wodę sodową w magazynie Jelisiejewskim przy ulicy Gorkiego. Od czasów rewolucji sklep oficjalnie nosił nazwę Gastronom Nr 1. Stojąc właśnie w tej kolejce, zobaczył Fiodorowa, który w tego rodzaju sklepie wyglądał wręcz dziwacznie.

- Hej, co, do cholery, tu robisz? - Stefan poklepał mechanika przyjaźnie po ramieniu.

- Czekam na ciebie, towarzyszu - odpowiedział Fiodorow. - W jakimż innym miejscu mógłby taki kulturalny człowiek jak ty kupować jesiotra. A mówiąc prawdę, to widziałem ciebie tu przed tygodniem i nie było tak trudno się domyślić, że wrócisz znowu - obejrzał się po sklepie, jakby się zastanawiał, co kupić, i powiedział bardzo cicho: - Wypytywałem o

ciebie i słyszałem o twoim bracie.

Wiadomość o tym, że kogoś zamknęli w psychuszce, zawsze rozchodziła się szybko i ludzie najczęściej nie wiedzieli, jak na nią reagować. Czy należało się wstydzić, że ma się w rodzinie kogoś, kto padł ofiarą represji stosowanych przez państwo, czy nie? Stefan poczuł wzruszenie. Towarzysz z celi nadal troszczył się o niego i współczuł mu w rodzinnym nieszczęściu.

- To prawda - odpowiedział po prostu. Fiodorow nadal mówił szeptem:

- Ci jebańcy nie przestaną. Przykro mi.

- Cóż zrobić...

- Słuchaj, towarzyszu, jestem twoim dłużnikiem.

- Gówno - machnął ręką lekceważąco.

- Czy masz samochód?

- Nie, a dlaczego?

- A mógłbyś się postarać?

- Myślę, że tak... samochód ojca...

- Spotkamy się wieczorem. Chcę ci dać dowód mojego szacunku.

\*\*\*

Miejscem, w którym Fiodorow umówił się na spotkanie ze Stefanem Jakowlewiczem Kramerem, był opuszczony, śmierdzący smarami i benzyną garaż na dalekim, południowym przedmieściu Moskwy. Fiodorow wyjaśnił, że garaż należy do jednego z jego przyjaciół, a on go jedynie używał reperując tu samochody. Cztery miesiące więzienia nie zabiły w nim ochoty do prac wykonywanych na lewo.

Fiodorow wyłonił się spoza porozbijanego żyguli stojącego na podnośniku. Był zabrudzony smarami.

- Nie sądziłem, że się pojawisz. Taki miły, kulturalny chłopak...

- Daj spokój - zaproponował Stefan.

- Mówiłem ci, że czuję się twoim dłużnikiem. Mam tu coś dla ciebie, co na czarnym rynku ma wartość wielu tysięcy rubli, oczywiście gdybyś mógł to dostać na czarnym rynku, a ty nie mógłbyś. Ponieważ nie należę do tych, co chowają cokolwiek pod kocem, pozwól, że ci powiem: kosztowało mnie to wiele nocy pod tym przeklętym podnośnikiem.

Poszedł w głąb garażu i wrócił ze starym kartonem. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wypełniony jest śmieciami, kawałkami metalu, drutami. Stefan jednak szybko zrozumiał, jak jest naprawdę. W kartonie znajdowały się przedmioty, o istnieniu których dowiedział się w czasie spacerów na więziennym dachu. Wyobrażał to sobie inaczej. Pudło wypełniały kostki wybuchowego plastyku, rolki dynamitu, zapalniki czasowe, zapalniki radiowe i spłonki.

- Chryste! - Stefana zatkalo.

- Wystarczy tego na kilka bomb samochodowych i kilka zwykłych. Nie uda ci się za pomocą tego wysadzić budynku KC czy innego, ale wierz mi, że narobisz tym ogromnie wiele szumu. No, a teraz bierz się do roboty. Uznaj to za spłatę mojego długu wobec ciebie. Stefan nie wiedział, co odpowiedzieć. Był przestraszony, pełen niewiary. Myśl o aresztowaniu brata doprowadzała go do wściekłości. Teraz jednak, kiedy podsunięto mu broń terrorystów, kawałki plastyku, zapalniki, nie potrafił z siebie wydusić słowa, był jak sparaliżowany.

- Ja... ja nie mogę... - zaczął się jąkać.

- To wyłącznie mój dowód wdzięczności - przerwał Fiodorow.

- Ale ja nie mogę. Naprawdę... ja...

- Boisz się?

- Tak, bardzo - odpowiedział cicho.
  - Oni nie zwolnią twojego brata. Nigdy. A gdyby nawet jakimś szczęśliwym trafem to zrobili, to i tak, drogi przyjacielu, go nie poznasz.
- Potwierdził skinieniem głowy, rozglądając się po brudnym pomieszczeniu. Był przerażony, że ktoś może go tu zobaczyć. Chciałby stąd uciec. Nie potrafił się jednak zmusić do pozostawienia tak cennego, a być może i pożytecznego podarunku.
- Niemal zawsze jestem tutaj, przyjacielu, i gdyby coś, to wiesz, jak mnie znaleźć.

## 15. Nowy Jork

Eksplzja bólu, miliony kłujących igieł, parzących iskier. Stone odsunął nasiąknięty alkoholem tampon od rozcięcia na prawym policzku. Potem zgasił część świateł w łazience. Były oślepiająco jaskrawe. Miał więcej ran, niż przypuszczał. Twarz i ręce były pocięte w kilkunastu miejscach. W tyle głowy miał bolesnego guza.

“Wszystko będzie dobrze” - pomyślał. Zresztą ból zaczął się dość szybko zmniejszać.

Stone przeszedł do sypialni i położył się na łóżku.

Dopiero wtedy zaczął oglądać kopertę pozostawioną dla niego przez Saula Ansbacha. Koperta. Wsunęto ją pod drzwi. Czekala na jego powrót jak głos zza grobu.

Na kilka minut przedtem, krwawiący i zdyszany, zadzwonił do Wydziału Policji miasta Nowy Jork i złożył doniesienie o zabójstwie Saula. Natychmiast potem odłożył słuchawkę, żeby nie ustalono numeru, z którego dzwonił. Wmieszanie się w cokolwiek właśnie teraz byłoby nonsensem.

Saul, jego stary przyjaciel, zamordowany. Stone przygryzł dolną wargę. Człowiek, który wybrał ciemny świat wywiadu przedkładając go ponad bezpieczne, wygodne i spokojne życie współwłaściciela znanej firmy adwokackiej.

“Ktokolwiek zabił Saula, nie chciał... nie chciał dopuścić do tego, by on kontynuował swoje śledztwo... Jak brzmiały jego słowa nagrane na taśmę? To cholernie poważna sprawa. Nie ufam naszym telefonom... Kogo się bał? To bezsens, żeby CIA zabijała swoich własnych ludzi, w szczególności kogoś tak ważnego. A może...? Czy i ja jestem już z tym powiązany? Czy i ja jestem już w niebezpieczeństwie?” Starał się znaleźć odpowiedź.

Wsunął palec pod zaklejoną część koperty i rozerwał ją. Ze środka wyjął białoczarne zdjęcie 24 cm x 30 cm. Gładkie i błyszczące.

Na ławce siedziały dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Byli zatopieni w poważnej rozmowie. W ich tle zamazane sylwetki ludzi. Rosjanie: Stone rozpoznał po kapeluszach, butach, ubraniach. Kobieta też była Rosjanką. Piękna, o delikatnych rysach, jej błyszczące, czarne włosy spięte były z tyłu w kok. Siedzącego obok niej Stone znał doskonale. Wyglądał jak jego własny sobowtór. Był to Alfred Stone w czasie spotkania z Rosjanką.

Czy to Sonia Kunieckaja?

Charlie odwrócił fotografię i zobaczył na jej odwrocie stempel:

WŁASNOŚĆ FEDERALNEGO BIURA ŚLEDZCZEGO FBI.

CENTRALNE ARCHIWUM

002-324.

W kopercie było jeszcze coś. Kartka z nadrukiem biura Sheffield and Simpson. Na niej nabazgrane odręczne i ledwo czytelne pismo było bez wątpienia pismem Saula kreślonym w pośpiechu. Niektóre słowa i frazy były podkreślone.

Charlie,

Ciągle jeszcze nie przyszedłeś, a więc wysyłam to pod twój adres przez umyślne.

Mam nadzieję w Panu, że to dostaniesz.

Dołączam zdjęcie z FBI.

Bill Armitage z Departamentu Stanu i kilku innych przyjaciół, którym ufam, twierdzą, że M-3 to była podjęta w 53. przez CIA próba głębokiej penetracji w ZSRR. Uważają, że to oszustwo.

M-3 tkwi tam nadal.

Sekretarka Lenina - A. Zinojewa - mieszka w East Neck, stan New Jersey, pod nazwiskiem - Irena Potter. 784 Wainwright Road.

Zdjęcie zatrzymaj - informacja to potęga. Być może będzie ci potrzebny materiał na przetarg.

Bądź ostrożny, drogi przyjacielu.

S.

W głowie czuł tępe łupanie, ale treść notatki zrozumiał bezbłędnie. Zdjęcie, które trzymał w ręce, pochodziło z archiwum FBI, ale wykonane zostało w Moskwie i użyte jako dowód przeciwko Alfredowi Stone'owi. Saul otrzymał je od jakiegoś przyjaciela z FBI. Nie z CIA.

Kobieta, która niegdyś była sekretarką Lenina, była doskonale zakonspirowana jako Irena Potter. Zostało to zorganizowane przez rząd USA, co oznaczało, że kobietę tę wykorzystano kiedyś dla poczynań wywiadu. W innej sytuacji nie potrzebowałyby się ukrywać.

Szczególnie jednak niepokojąca była informacja, jaką Saul uzyskał od swoich przyjaciół na temat tej oszukańczej operacji z 1953 roku. Chodziło o amerykańskiego kreta, o którym jednak nic nie wiedzano na odpowiedzialnych szczeblach amerykańskich agencji wywiadowczych. O kreta, który nadal przebywał w Moskwie, najprawdopodobniej zajmując tam jakieś bardzo, ale to bardzo wysokie stanowisko.

Czy to ta konspiracja, o której wspominał Jeż?

Rok 1953 był niezwykle ważny. Był to rok śmierci Stalina, okres zaburzeń na Kremlu.

Czyżby Alfreda Stone'a uwięziono po to, by ukryć próbę wprowadzenia amerykańskiego agenta na wysokie stanowisko w rządzie radzieckim? I czy w czterdzieści lat potem zamordowano Saula Ansbacha z tych samych powodów? Dlaczego?

Zabili swojego człowieka. I ja też jestem ich człowiekiem.

Myśli z ogromną szybkością przelatywały mu przez głowę. Jedna bardziej niepokojąca od drugiej. Kto jeszcze wiedział o Testamencie Lenina, który w jakiś nie wyjaśniony sposób wiązał się z tą oszukańczą operacją?

“Ty wiedziałeś - podszeptał mu głos wewnętrzny. - I twój ojciec. - Wniosek był oczywisty. - Jestem z całą pewnością zagrożony i muszę coś zrobić, żeby mój ojciec był bezpieczny”.

Boston

- Co z tobą, Charlie? - Alfred Stone siedział na łóżku. Wyglądał na całkiem zdrowego.

Odlączono go już od urzędów rejestrujących.

Był wczesny ranek następnego dnia i Stone, który nawet nie skontaktował się z Fundacją Parnassus, najlepiej jak potrafił, zabandażował sobie czoło i zalepił skaleczenia na twarzy i na rękach. - Głupi wypadek.

- Nie byłeś wczoraj na wspinaczce?

- Nie, nie byłem.

Pielęgniarka weszła do pokoju, nie zważając na rozmowę.

- Dzień dobry, panie Stone - powiedziała. - Tylko zbadam pańskie serce.

- Miło panią zobaczyć - powiedział nieszczerze Charlie. Wykonała swoją czynność błyskawicznie i wyszła nie odezawszy się słowem.

- Czy wiedziałeś, że Rock Hudson był homoseksualistą? - zapytał Stone senior. W lewym oku powrócił mu poprzedni nerwowy tik i oko to mrugało z regularnością zegarka. Wyglądał na spiętego.

- Oczywiście, skąd masz takie olśniewające informacje?

“Co miał w rzeczywistości na myśli? Czy wiedział, co się wydarzyło? Czy słyszał już, co z Ansbachem?”

- Z magazynu “People”. Przedtem o tym nie miałem pojęcia - uśmiechnął się przelotnie. Stone nabrał pewności, że ojciec jest czymś głęboko wzburzony. - W każdym razie sądzę, że jutro mnie zwolnią do domu.

- Będziesz się czuł wystarczająco silny?

- Oni tak uważają. Jestem jeszcze osłabiony, ale czuję się lepiej. Co to był za wypadek?

- Głupstwo - czuł jednak, że nie udaje mu się oszukać ojca.

- Nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby jutro spędzić noc ze mną w domu? Na wypadek, gdybym czegoś potrzebował. Rozumiesz?

To nie mógł być przypadek. Co on właściwie wiedział?

- Oczywiście, z chęcią.

Stone był przez chwilę zatopiony w myślach. Pamięć podsuwała mu jakieś trudno uchwytnie obrazy.

Był małym chłopcem. Miał cztery, może pięć lat. Mały chłopak bawiący się w kuchni i włączący na wszystko, na co można było wleźć. Wdrapał się na zakurzone rury zamontowane w kącie kuchni. Matka nie sprzątała jak niegdyś. Niemal bez przerwy siedziała nad maszyną i pisała listy. Później, kiedy dorósł, dowiedział się, że były to listy do kongresmanów, do prasy, do różnych organizacji. Pisała w nich o tym, że jego ojciec jest niewinny.

Łącząc tak dotknął rozpalonej rury od gorącej wody. Wrzasnął. Ramię miał poparzone.

Wpadła przestraszona matka, zdjęła go i zaczęła szukać opatrunku. Wtedy przyszedł ojciec i zobaczywszy, co się wydarzyło, wybuchnął gniewem. Charlie uciekł przestraszony i ukrył się pod schodami, ale słuchał. Ojciec był w furii i krzyczał na matkę:

“Jaką ty jesteś matką? On przecież nie ma innej matki!” Wówczas matka, wiedząc doskonale, co go tak wyprowadza z równowagi, z płaczem odpowiedziała: “To nie ja zapakowałam cię do więzienia. Dlaczego nie masz pretensji do niego, a masz do mnie?” Pretensje do niego... On nigdy nie miał pretensji do Winthropa Lehmana. Dlaczego?

\*\*\*

Na granitowym frontonie Biblioteki Publicznej w Bostonie wypisany jest długi na całą przecnicę slogan: “Nasza wspólna Republika potrzebuje ludzi wykształconych, stojących na straży prawa i porządku”. Wchodząc po schodach prowadzących do budynku Stone pomyślał z ironią, że gruntowne wykształcenie Ansbacha niewiele mu pomogło. Wszedł do środka i skierował się do sali, gdzie przechowywano prasę. Tu znalazł stos dziennika “Boston Globe” z ostatnich dwóch miesięcy. Systematycznie kartkował gazety szukając nekrologów.

W biurze wiedziano już oczywiście o śmierci Saula. Dla niego nie byłoby to teraz najbezpieczniejsze miejsce. Ktokolwiek stał za morderstwem Saula, z całą pewnością będzie uważnie obserwował jego, Stone’a. Oznaczało to, że w razie potrzeby nie może użyć swojego własnego paszportu. Potrzebował dokumentu na inne nazwisko i o wiele bezpieczniej było wystarać się o taki poza Nowym Jorkiem.

Po półgodzinie wertowania znalazł to, czego szukał: ogłoszenie o śmierci trzydziestodwuletniego mężczyzny, mieszkańca Melrose, miasta na północ od Bostonu.



Każdy w wieku pomiędzy trzydziestym a czterdziestym rokiem życia nadawałby się. Wiek trzydzieści dwa lata był idealny. Człowiek ten nazywał się Robert Gill. Był urzędnikiem i zginął w wypadku samochodowym przed sześcioma dniami. Nie był pod działaniem alkoholu, co mogłoby komplikować sprawę. Adres i telefon Roberta Gilla odnalazł w zniszczonej książce telefonicznej dla północnych przedmieść Bostonu. Szczęśliwie w Melrose mieszkał tylko jeden Robert Gill.

Przez kilka następnych godzin wynajętym chevroletem jeździł po urzędach. Realizował dokładnie procedurę wyjaśnioną mu kiedyś przez jednego z przyjaciół, zawsze wytwornie ubranego i doskonale opłacanego, prywatnego detektywa nazwiskiem Peter Sawyer.

Dysponując informacjami zaczerpniętymi z nekrologu, a więc data urodzin, imionami rodziców i adresem, Stone za trzy dolary otrzymał w Biurze Ewidencji i Statystyki stanu Massachusetts kopię aktu urodzenia Gilla. Było to śmiesznie łatwe. Potem, po odczekaniu w kolejce w Biurze Rejestracji Samochodów, otrzymał duplikat prawa jazdy Roberta Gilla, które rzekomo zagubił. W niespełną godzinę później w prawie jazdy figurowała już jego własna fotografia. Z kolei udał się do urzędu pocztowego przy Central Square i na nazwisko Roberta Gilla wypełnił podanie o skrytkę pocztową. Urzędnik pocztowy, mężczyzna o siwych włosach, przejrzał podanie i poinformował go:

- Proszę się dowiedzieć za sześć do ośmiu tygodni.

Wzrok jego padł na kartkę, położoną przed nim przez Stone'a, do której były przypięte dwa dwudziestodolarowe banknoty. Obejrzał się, czy nikt na nich nie patrzy, i schował pieniądze.

- Wydaje mi się, że się ostatnio coś zwolniło. Proszę poczekać, sprawdzę.

Z poczty Stone udał się do fotografa i zrobił dwa kolorowe zdjęcia do paszportu. Ze zdjęciami poszedł do Centrum Federalnego, gdzie w biurze paszportowym wypełnił formularz z prośbą o wydanie nowego dokumentu w miejsce starego, zaginionego. Ten stary, jak wyjaśniał, zapodział się niedawno w czasie przeprowadzki. "Pan wie, jak to bywa - powiedział do urzędnika. - Czy nowy otrzymam szybko? Za dwa tygodnie wyjeżdżam za granicę".

Otrzymał odpowiedź, że to całkiem możliwe. Paszport powinien nadejść za tydzień.

Udał się na lotnisko i złapał samolot lecący z Bostonu do Newark. Miał świadomość, że rozpoczyna grę, która nieodwołalnie zmieni jego życie. Obecnie szukał starej kobiety, która być może ujawni mu sekret sprzed kilkudziesięciu lat - sekret niezbędny dla zrozumienia powodów nieszczęść Alfreda Stone'a, kulisów śmierci Saula Ansbacha, a zapewne wielu innych wydarzeń. I Charlie uświadomił sobie, że niezależnie od tego, kim są jego przeciwnicy wewnątrz CIA, postarają się o to, żeby go nigdy ze swoich szponów nie wypuścić.

Saul słusznie napisał, że informacja jest potęgą. A przecież jako pracownik Fundacji Parnassus Stone miał odnotowanych w głowie dziesiątki najbardziej tajnych w CIA informacji dotyczących Związku Radzieckiego. Czy stanowiło to rzeczywiście jakąś potęgę? Odpowiedź była oczywista - nie.

Przy całej swojej rozległej wiedzy nie miał nic takiego, za pomocą czego mógłby szantażować Agencję. Mógł grozić, że to czy tamto ujawni, ale ludzie z kierownictwa Agencji najwyżej wzruszyliby ramionami. Nie wiedział niczego na temat źródeł informacji. Były one skrzętnie skrywane nawet przed elitą Fundacji.

Kiedy zapinał pasy bezpieczeństwa i wyglądał przez okno na płytę lotniska, przyszło mu do głowy, że jest całkowicie sam, że nikt za nim nie stoi.

\*\*\*

Zaraz po wylądowaniu w New Jersey zatelefonował do siebie do biura. Telefon odebrała Sherry.

- Charlie! - w jej głosie zabrzmiało zdumienie. - Gdzie jesteś?

Stone zignorował pytanie.

- Czy Saul przyszedł już do biura?

Zawahała się, a potem tłumiąc szloch powiedziała:

- Charlie, Saul nie żyje.

- Nie żyje?

- Wczoraj wieczorem zginął w wypadku - powiedziała z trudem zapominając o brytyjskim akcencie. - Langley przysłała już kogoś, kto go zastąpi. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. Nie mogę... nie mogę w to uwierzyć.

- Skąd wiesz, że to był wypadek?

- O czym ty mówisz? Powiedzieli nam. Oni nam...

Oni powiedzieli! Już zaczęło się zacieranie śladów. Stone odwiesił słuchawkę, wrzucił kolejną dwudziestopięciocentówkę do automatu i wykręcił numer Lenny'ego Wexlera. Lenny sam podniósł słuchawkę. Jego głos dobiegał z oddali.

- Gdzie ty jesteś, Charlie? - zapytał. - Słyszałeś?

- Lenny, ja widziałem. Saul został zastrzelony.

- Nie, nie tak było - Wexler odpowiadał ostrożnie. - To był wypadek samochodowy.

Charlie, wiem, że jesteś zmartwiony...

- Bzdety, Lenny, cóż to za bzdety? Z kim ty współpracujesz? Gdzież, do cholery, twoja lojalność?

Lenny mówił teraz cicho i szybko:

- Charlie, trzymaj się z daleka od tego burdelu. Ty możesz być następny. Trzymaj się z daleka od nas, ode mnie, od...

Połączenie przerwano. Albo Lenny odłożył słuchawkę, albo ktoś ich rozłączył.

Poczuł w ustach metaliczny smak strachu.

## 16. Moskwa

W dzień po wieczornym spotkaniu z Fiodorowem Stefan dowiedział się od ojca, że otrzymali zezwolenie na widzenie z Awramem, starszym bratem Stefana, zamkniętym w Sądowym Instytucie Psychiatrycznym. Rzadko się zdarzało, żeby pacjenci psychuszki otrzymywali zezwolenia na widzenie z kimś z zewnątrz, ale Stefan i ojciec nie zastanawiali się nad tym szczególnym szczęściem, jakie ich spotkało. Obaj nadal odczuwali palący gniew na kapryśny system radzieckiej sprawiedliwości, która tak zdrowego i niewinnego człowieka jak Awram wtrąciła do szpitala dla psychicznie chorych. Świat nie wierzył w to, że w okresie jawności i Gorbaczowa takie rzeczy mogły mieć miejsce, choć w rzeczywistości miały.

Patrząc na Jakowa i Stefana zbierających się do wyjścia Sonia powiedziała:

- Proszę, ja też chcę zobaczyć Awrama.

Jakow uparł się jednak, żeby została w domu, i nie ustąpił.

Sonia zacisnęła wargi i patrzyła, jak ci dwaj mężczyźni, których tak głęboko kochała, schodzą wilgotną, brudną klatką schodową. Chciała jeszcze za nimi zawołać, ale się powstrzymała i słuchała jedynie oddalającego się echa kroków.

\*\*\*

Dyżurny lekarz, kobieta w średnim wieku, dr Zina Osipowna Bogdanowa, ubrana w biały fartuch, przyjęła ich z wyrazami lekceważenia. Było jasne, że jest nazbyt zajęta, żeby

zawracać sobie głowę rozmową z członkami rodziny umysłowo chorego pacjenta.

- Wasz syn ma schizofrenię - powiedziała. Jakow i Stefan wiedzieli, że wszelka dyskusja byłaby bezcelowa i patrzyli na lekarzkę we wrogim milczeniu. - Oficjalnie diagnoza brzmi: paranoiczna schizofrenia kryminalna. Kuracja może być długa.

Stefan nie mógł się powstrzymać od uwagi:

- Nie wiedziałem, że schizofrenia kryminalna to diagnoza psychiatryczna. Czy jesteście pewni, że nie mieszacie medycyny z polityką?

Lekarka zignorowała uwagę i kontynuowała wyniośle:

- Macie pięć minut czasu. Nie dłużej. Nie męczcie go.

Już odwracała się do wyjścia, gdy Stefan zapytał:

- Czy bierze jakieś lekarstwa?

Odpowiedziała tak, jakby Stefan był również chory psychicznie:

- Oczywiście.

- Jakie?

Przez chwilę milczała, wreszcie powiedziała:

- Środki uspokajające.

W kilka minut potem przyprowadziła Awrama i wyszła pozostawiając członków rodziny samych.

Stefan i ojciec nie mogli uwierzyć swoim oczom.

Awram był zmieniony nie do poznania. W szpitalnym szlafroku, wymizerowany, posępny, patrzył na ojca i brata, jakby ich nie poznawał. Z nosa kapał mu śluz, z kącików ust ściekała ślina. Mlaskał wargami i cmokał, a z ust wydobywał się czasami nieskładny bełkot.

- O mój Boże! - jęknął Jakow.

Stefan, całkiem osłupiały, milczał. Jego wspianiały, przystojny brat został złamany, przemieniony w śliniace się, bezrozumne zwierzę.

- Awram - Jakow powoli podszedł do syna. - To ja, twój ojciec.

Awram popatrzył na ojca. Nie wyglądało na to, żeby go poznawał.

Nadal bełkotał coś nieskładnie.

- O Boże! - Jakow objął syna. - O Boże, co z tobą zrobili?

Tulił go do siebie. Potem objął go Stefan. Twarz Awrama pozostawała bez wyrazu, oczy do połowy przykrywały powieki, wargi nadal poruszały się, wydając dźwięki cmokania.

- Powiedz coś - prosił Stefan. - Czy nie możesz mówić?

Awram w odpowiedzi mlasnął.

- O Boże - wyszeptał Stefan. - Słyszałem o takich wypadkach. Jeden z lekarzy pogotowia, z którym pracowałem, opowiadał mi, że w takich szpitalach podają pacjentom jakieś straszliwe narkotyki.

Wiedział nawet, że jest to najprawdopodobniej środek antypsychotyczny o nazwie Haloperidol, który podawany w dużych dawkach powoduje stany całkowitej degeneracji. Lekarz powiedział, że nazywa się to chroniczne opóźnione zaburzenie motoryczne.

- Czy to jest uleczalne? - wyszeptał ojciec.

- Nie sędzę. To... o Jezu... to nieodwracalne - głos mu się załamał. Patrząc na tę niezgrabną kukłę ludzką, Jakow i Stefan nie mogli powstrzymać łez, które zaczęły im spływać po policzkach. Jakow ponownie przytulił do siebie Awrama i płakał już całkiem otwarcie.

- Nigdy niczego złego nie zrobiłeś. Byłeś taki niewinny... ostrożny. Jak mogli tak z tobą postąpić?

Awram siedział nieruchomo. Gdzieś głęboko w środku być może coś do niego dotarło, gdyż w oczach pojawiły się iskierki gniewu, a potem dwie łzy.

- Musimy go stąd wydostać - Jakow mówił bardzo spokojnie, ale z całą stanowczością.

Weszła lekarka i głośno, apodyktycznie powiedziała:

- Wizyta skończona!

\*\*\*

Tego samego dnia późnym wieczorem w opuszczonym garażu na dalekim, południowym przedmieściu Moskwy dwóch mężczyzn rozmawiało przy świetle lampki naftowej.

- Postanowiłem skorzystać z twojej oferty - mówił Stefan do swojego byłego kumpla z celi. - Mam nadzieję, że jej nie wycofujesz.

## 17. East Neck, New Jersey

Starsza pani, która była niegdyś osobistą sekretarką Lenina, mieszkała w maleńkim, lecz nieskazitelnie czystym domku w stylu rancho, przed którym rósł starannie przystrzyżony żywopłot i równie starannie koszony trawniczek. East Neck w New Jersey składało się z tak samo wyglądających szerokich ulic oraz małych, kwadratowych domków z ciemnego kamienia. Przed każdym z domków znajdował się taki sam, starannie pielęgnowany trawnik. Mieszkańcy niewątpliwie uznawali swoje osiedle za przytulne. U Stone'a otoczenie takie rodziło depresję.

Dziwne miejsce zamieszkania dla takiej osoby. Rosyjscy emigranci z ostatnich roczników skupiali się w wielkich miastach, gdzie zakładali kolonie tętniące życiem - Małe Rosje, Małe Odessy. W drugiej, w trzeciej generacji, już zasymilowani, opuszczali na ogół śródmieścia i przenosili się na przedmieścia, gdzie następowała ustawiczna fluktuacja mieszkańców. Nie osiedlali się jednak na prowincji, w skupiskach warstw średnich, gdzie sąsiedzi znali się od pokoleń. Oczywiście było, że Anna Zinojewa postanowiła odseparować się od swoich ziomeków.

Stone przyjechał tu wieczorem i noc spędził w motelu, gdzie w łóżka wbudowane były urządzenia do masażu wibracyjnych. Wczesnie rano wziął taksówkę, wysiadł z niej o kilka przecznic przed ulicą, przy której mieszkała Zinojewa. W kierunku jej domu szedł powoli, uważnie się rozglądając. Nie zauważył niczego podejrzanego. Po tym, co stało się z Ansbachem, ostrożność była w pełni uzasadniona.

Raz jeszcze, stojąc już przed właściwym domem, sprawdził wzrokiem ulicę. Było cicho i spokojnie. Szybko wszedł po schodach na werandę i zadzwonił.

Drzwi uchyliła drobna kobieta. Jej delikatne, białe włosy były tak rzadkie, że przeświecała przez nie skóra na czaszce. Podpierała się metalową kulą. W głębi widać było mały salonik, a w nim kilka prostych foteli i brązową, pokrytą tweedem kanapę. Odczuwało się, że w tym pokoju wszystko zastygło w pierwszych latach dekady lat pięćdziesiątych.

Oczy staruszki były skośne, co nadawało jej nieco azjatycki wygląd. Stone pomyślał o jej byłym szefie, Leninie, którego oczy były również azjatyckie.

- Irena Potter? - zapytał używając jej przybranego nazwiska.

- Tak.

- Anna Zinojewa - powiedział z zimnym spokojem.

Staruszka zatrzęsa głową.

- To pomyłka - mówiła łamanym angielskim. - Proszę stąd iść.

- Nic pani nie grozi - powiedział najłagodniej, jak potrafił. - Muszę z panią pomówić.

Wręczył jej przez uchylone drzwi list napisany na blankiecie FBI, który wystukał sam na maszynie. Kilka takich blankietów otrzymał kiedyś od Saula. List w suchym, biurokratycznym języku zawierał prośbę o rozmowę i udzielenie odpowiedzi na kilka

prostych pytań. Człowiekiem, który miał zadać te pytania, był Charlie Stone. Niewątpliwie minęły lata od czasu, kiedy ktoś z wywiadu rozmawiał z nią po raz ostatni. Trzymała list przed oczami pokrytymi kataraktą. Patrzyła na tekst, na podpis i oczywiste było, że niewiele widziała. Po kilkunastu sekundach podniosła głowę.

- Czego pan chce ode mnie?

- Ażeby mi pani poświęciła kilka minut - starał się mówić swobodnie. - Czy nikt do pani nie dzwonił?

- Nie - przybrała wojowniczy ton i ponownie potrząsnęła głową. - Proszę się zabierać. Podjęła niezdarną próbę podniesienia kuli w celu przepędzenia niepożądanego intruza. Stone odepchnął ją otwierając drzwi. Zaczęła krzyczeć.

- Proszę się uspokoić. To zajmie nam jedynie kilka minut.

- Nie - Anna Zinojewa nie kapitulowała. - Obiecano mi... Obiecano, że już nikt nie będzie ze mną rozmawiał. Obiecywali, że pozostawią mnie w spokoju.

- To nie zabierze wiele czasu. To zwykła formalność.

Zaczęła się wahać.

- Czego pan chce ode mnie?

Nieszczęśliwa, usunęła się, wpuszczając Stone'a do pokoju.

\*\*\*

Tym, co wreszcie przełamało jej opór, były bezbłędne maniere Stone'a. Siedząc na kanapie i ustawicznie poprawiając wypłowiałą sukienkę zdeformowanymi, ale nadal jeszcze delikatnymi rękami opowiadała o sobie, początkowo się zacinając, ale potem płynnie, jeżeli tylko pozwalał na to jej nie najlepszy angielski.

Jej ojciec był przyjacielem Władimira Boncz-Brujewicza, jednego z najbliższych przyjaciół Lenina. To spowodowało, że kiedy miała dziewiętnaście lat, została sekretarką Lenina i nigdy nie była niczym więcej. Od 1918 roku, kiedy rząd bolszewicki przeniósł się z Piotrogradu do Moskwy, przepisywała na maszynie nie kończące się strony korespondencji Lenina i wykonywała inną papierkową pracę w jego kancelarii na Kremlu. W 1923 roku przeniosła się za Leninem do Gorkiego, gdzie Lenin umarł.

W wiele lat po śmierci Lenina poprosiła o zezwolenie na wyemigrowanie do Stanów Zjednoczonych. Wówczas było to jeszcze możliwe, a ponieważ tak dobrze służyła krajowi, otrzymała wizę wyjazdową. Mówiła, że była jedną z najmłodszych w sekretariacie Lenina i rzadko dawano jej jakąś szczególnie ważną lub tajną pracę, co nie oznacza, ażeby nie widziała i nie słyszała rzeczy interesujących.

Po półgodzinie rozmowy podejrzliwość w jej oczach zastąpił wyraz łagodności, a zarazem jakiejś wewnętrznej siły.

- Od dwudziestu trzech lat nie słyszałam nic o wspaniałym amerykańskim wywiadzie - powiedziała złośliwie. Potrząsnęła głową, dając jednoznacznie wyraz swojej dezaprobachie dla beznadziejnego braku delikatności jej dobroczyńcy. - Nic - i nagle jesteście mną tak bardzo zainteresowani.

- Powiedziałem, że to formalność. Chcemy wypełnić białe plamy, jakie istnieją w pani życiorysie.

Przez chwilę wydawało się, że nie zrozumiała, potem jednak powiedziała:

- Nie będziemy tolerowali białych plam - zaśmiała się figlarnie.

Jej przyjemna twarz na chwilę przybrała wyraz kilkunastoletniej kokietki.

- To nie zabierze wiele czasu.

- Mnie nie pozostało już wiele czasu - powiedziała z całym spokojem, bez cienia użalania się. - Wkrótce będziecie mogli zaprzestać wysyłania mi czeków z tymi ogromnymi sumami, tak uciążliwymi dla skarbu państwa.

- Wiem, że nie dostaje pani wiele - zgodził się Stone. Agencja znana była ze swojej wstrzemięźliwości w opłacaniu uciekinierów.

- W Rosji za moją pracę dla Iljicza dostałabym wysoką emeryturę - gderła marszcząc szyderczo twarz. - Czasami dziwię się, dlaczego wyjechałam.

Stone pokiwał głową, dając wyraz zrozumieniu jej sytuacji, i powiedział:

- Gdyby pani mogła nam teraz pomóc...

- Młody człowieku - przerwała mu i pochylając się przysunęła głowę do jego głowy tak, jakby chciała mu przekazać największą tajemnicę. - Jestem stara. Przyjechałam tutaj przed sześćdziesięcioma laty. Jeśli wspaniały wywiad amerykański czegoś jeszcze ode mnie nie wydobył, to już nie może to mieć jakiegokolwiek znaczenia - ponownie wyprostowała głowę, nawet zadarła ją do góry i uśmiechnęła się. - Proszę nie tracić czasu.

- Nawet jeśli będzie to dotyczyło Testamentu Lenina?

Staruszka stała się nagle czujna. Upłynęło kilka sekund, zanim odzyskała równowagę. Potem uśmiechnęła się chytrze.

- Przyszedł pan tutaj, ażeby rozmawiać ze mną o historii? Są na ten temat książki, może je pan przeczytać. Wszyscy wiedzą o testamencie Lenina.

- Ten, który mam na myśli, to inny testament.

- Jest inny testament? - zapytała z udawanym znużeniem wzruszając ramionami.

Podniosła stojącą na stole pustą filiżankę, jakby chciała łyknąć herbaty, i postawiła ją z brzękiem z powrotem na spodeczek.

- Sądzę, że pani wie, o czym mówię.

- Nie, nie wiem - powiedziała z zaciętością.

Stone uśmiechnął się zdecydowany położyć kres tej szermierce słownej.

- Wyszło to na jaw w czasie zwykłego wertowania dokumentów. Czekał na jej odpowiedź, ale ponieważ nie nadchodziła, zapytał zdawkowo:

- Oni go otruli, czy nie tak?

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadała. Gdy wreszcie zaczęła mówić, było to niemal niedosłyszalne. W kuchni z szumem włączyła się lodówka.

- Myślę, że tak - powiedziała w końcu, a jej dotychczasowe ożywienie ustąpiło miejsca powadze.

- Co skłania panią do takich podejrzeń?

- Ponieważ... ponieważ on napisał na ten temat list i dał mi go do przepisania na maszynie. Polecił, żebym zrobiła dwa egzemplarze. Jeden dla Krupskiej, jego żony. Drugi dla... - była wzburzona i wpatrywała się w podłogę.

- A ta druga kopia... dla kogo była przeznaczona?

Machnęła ręką gestem wyrażającym beznadziejność.

- Nie wiem.

- Pani wie - powiedział z głęboką powagą.

Przez moment panowała cisza, po czym on kontynuował:

- Umowa z nami wymaga od pani współpracy. Całkowicie ode mnie zależy, czy subwencja, jaką pani otrzymuje, nie zostanie wstrzymana...

Natychmiast zaczęła mówić. Słowa ciekły teraz jednolitym strumieniem.

- Och, to było tak dawno. To nic ważnego. Pewien obcokrajowiec... Lenin obawiał się, że jego dom jest pełen intryg. Myślę, że miał rację. Wszyscy, każdy ogrodnik, kucharz czy kierowca byli z OGPU. Z tajnej policji.

Mówiła coraz szybciej i Stone nie w pełni potrafił ją zrozumieć.

- Dlaczego - przerwał - dlaczego dał jedną kopię cudzoziemcowi?

- Obawiał się Stalina... Tego, co mógłby zrobić z Krupską. Chciał mieć pewność, że jedna kopia zostanie wywieziona za granicę.

- Kim był ten obcokrajowiec?

Potrząsnęła głową.

- Przecież pani wie - powiedział z całym spokojem.

Jej wahanie było całkiem zrozumiałe.

- Wysoki, przystojny Amerykanin. Biznesmen. Amerykanin, którego widział kilkakrotnie przed śmiercią. To nie jest ważne.

- Winthrop Lehman.

Chwila przerwy, potem z namysłem powiedziała:

- Odwiedzał Lenina wiele razy - zmrużyła oczy. - Lehman.

- Czy odwiedzał Lenina w Gorkim?

- Tak.

- Co było w tym liście? Ma to coś wspólnego z otruciem?

- Nie, niezupełnie - ponownie mówiła bardzo wolno. - Napisał... projekt listu, zanim pojechał do Gorkiego. Był już chory. W projekcie było wiele rzeczy złych o państwie radzieckim. Napisał, że się ogromnie, tragicznie pomylił, że powstało państwo policyjne. Napisał, że... jak dr Frankenstein stworzył straszliwe, ohydne monstrum.

Stone czekał na dalszy ciąg, ale go nie było. Odezwał się pierwszy.

- A więc było to całkowite potępienie Związku Radzieckiego przez jego założyciela? - słowa, jakie wypowiadał, wydały się jemu samemu zbyt proste, a przez to niemądre. - Czy Lehman ma to?

- Kiedyś Lenin zażądał, ażeby go zawieziono do Moskwy. Staraliśmy się go zatrzymać, ale się upierał. Poganiał kierowcę: "Szybciej, szybciej!" Gdy zajechali do Moskwy, poszedł do swojego gabinetu na Kremlu.

- Czy pani poszła z nim?

- Nie, potem mi opowiedziano. Szukał czegoś w swoim biurku i stwierdził, że tajna szuflada jest otwarta. Szukał dokumentu. Wpadł w złość, krzyczał na wszystkich. Nigdy tego nie znalazł. Ale potem... jak to powiedzieć... potem odtworzył z pamięci.

- Podyktował to pani i z tego pani zrobiła dwie kopie?

- Tak.

- Czy ma pani jedną z nich?

- Oczywiście, że nie. Sądzę, że się zagubiły.

- Co z kopia Krupskiej?

- Musieli jej ją zabrać.

- A kopia Lehmana?

- Nie mam pojęcia.

Z kuchni dobiegł zapach rosółu z kury pomieszany z zapachem czosnku. Zastanawiał się, skąd mogła wiedzieć, że Lenina otruto? Zapytał:

- Kto to zrobił?

- Proszę się w tym nie grzebać - zaczęła prosić. - Proszę się nie grzebać w przeszłości.

Niech ludzie nadal wierzą, że Iljicz umarł spokojnie.

- Zrobili autopsję?

Niemal niedostrzegalnym gestem dłoni potwierdziła.

- Tak, zrobili. W dzień po jego śmierci. Dziesięciu lekarzy badało ciało. Otworzyli i kontrolowali poszczególne organy i niczego nie znaleźli. Potem otworzyli czaszkę - zmarszczyła się i wydeła wargi, po chwili mówiła dalej: - Jego mózg... - wykrzywiła usta w grymasie, ukazując rząd sztucznych zębów - był twardy. Bardzo rozległe zwapnienia - poszczególne słowa podkreślała teraz gestykulacją palców. - Metalowe skalpele wydawały brzęk, gdy dotykali mózgu.

- Arteriosklerosis. Nie szukali śladów trucizny?

Stone przeszedł na rosyjski. Nie ulegało wątpliwości, że dla staruszki będzie to o wiele wygodniejsze. I faktycznie widać było ulgę na jej twarzy.

- Nie, chyba nie.

- Nie mieli powodów do przypuszczeń, że został otruty.

- Czy wie pan, że osobisty lekarz Lenina, dr Guetier, odmówił podpisania raportu z autopsji? Odmówił! Wiedział, że Lenina otruto. To historycznie udowodnione.

- Ale kto? Kto go otrul?

- Sądzę, że ktoś ze służby. Oni wszyscy pracowali dla OGPU. Stalin chciał usunąć Lenina, ażeby wziąć władzę nad krajem. Po co mnie znowu o to pytacie?

- Znowu?

- Pytaliście już o to w 1953 roku.

- W 1953? - Gdzieś w pobliżu przejechał autobus. - Kto panią o to pytał w 1953 roku? Anna Zinojewa patrzyła na niego przez dłuższą chwilę swoimi przymglonymi oczami, jakby mu nie wierzyła. Powoli wstała opierając się jedną ręką o kulę, drugą o poręcz kanapy.

- Zawsze czytałam gazety - i dodała: - zawsze miałam pamięć do twarzy. Iljicz mnie za to chwalił - powoli podeszła do wyłożonego orzechowym fornirem biureczka. Wyjęła oprawny w zieloną skórę skoroszyt z wycinkami, położyła na blacie i otwarła. - Proszę tu podejść - powiedziała.

Stone zrobił to. Powoli przewracał kartki, jakby były z ołowiu, aż znalazł kartkę, której szukała.

- Tu.

Nosem nieomal dotykała papieru. Pokazała na stronę, na której przyklejony był wycinek z pisma rosyjskich emigrantów publikowanego w Nowym Jorku - "Nowoje Russkoje Słowo". Papier był całkiem pożółkły. Można było odczytać jedynie rok... 1965. Miesiąc i dzień zostały pominięte przez wycinającego ten fragment gazety.

- I ja poznaję tę twarz - powiedział Stone, starając się opanować odczuwany szok. Było to zdjęcie Williama Armitage'a, zawodowego pracownika Departamentu Stanu, który, jak w tym artykule informowano, mianowany został podsekretarzem stanu. Obecnie, jak Stone wiedział, Armitage był zastępcą sekretarza stanu. Człowiekiem potężnym i zajmującym wysoką pozycję w obecnej administracji. Bill Armitage - to z nim Saul Ansbach rozmawiał na kilka godzin przed swoją śmiercią.

- To ten człowiek z panią mówił?

- Tak, on. Armitage.

Stone pokiwał głową. Czyżby organizacja zdrajców, co do istnienia której Saul miał podejrzenia? Jak wysoko sięga?

- Czego chciał się od pani dowiedzieć? Co go interesowało w 1953 roku? Czy to, co wydarzyło się w 1924?

Popatrzyła tak, jakby podejrzewała, że w ogóle jej nie rozumie, i powiedziała:

- Interesowało go to, co się właśnie wydarzyło. Pogróżki.

- Pogróżki?

- Pogróżki! Tak, pogróżki - podniosła głos. W oczach zabłysła iskierka strachu.

- Kto pani groził? Mam nadzieję, że nie nasi agenci.

- Rosjanie. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Przecież pan wie o tym. Niech pan...

- Dlaczego pani grozili? - Stone zapytał łagodnie.

- Oni... - potrzęsła głową, co zmieniło tor, jakim łzy ściekały jej po policzkach. - Szukali testamentu Lenina. Byli przekonani, że ja go mam. Przeszukali cały dom i grozili, że mnie zabiją. Powiedziałam, że ja tego nie mam...

- Kim byli ci oni?

- Czekał. Ludzie Berii - wyrażała się tak, jakby mówiła do dziecka. Byli to oczywiście wysłannicy KGB. - Byłam przerażona. Używali słowa ikonoborstwo.

- Świętokradztwo - powiedział po angielsku Stone. - Rozbijanie ikon.

- Tak. Mówili: "Ty i twój przeklęty Lenin jesteście w pierwszej kolejności. Ta wasza



cholerna ikona...”

Stone potaknął. Antyleninizm, wcale nie nowy i silny ruch podskórny w Związku Radzieckim.

- A ten Amerykanin, ten Armitage... czego on dokładnie chciał?

- Chciał wiedzieć, co mi powiedzieli. Powiedziałam mu, że szukali dokumentów, których nie miałam.

- Nie powiedziała mu pani wszystkiego? - w pytaniu nie było oskarżenia.

- Długo nie chciał mi uwierzyć. Potem powiedział, że nigdy, nikomu nie wolno mi powiedzieć o tych czekistach. Gdybym powiedziała, nie czeka mnie nic dobrego. I dlatego jestem taka zdziwiona, że pan mnie ponownie pyta o to.

- On chciał ochronić tajemnicę - powiedział Stone.

- Tak, chciał, ażeby milczano - zgodziła się. - Chciał, ażeby nawet słowa nie pisnęła na temat tych Rosjan. Pan musi to rozumieć.

- Ale czyż Rosjanie nie mogli dostać tego dokumentu od Winthropa Lehmana?

Twarz staruszki drgała lekko, a jej oczy niepewnie błędziły po twarzy Stone'a.

- Nie słyszałam...

- Co?

- Powiedziano mi... Nie mieli potrzeby. Stalin... on go kontrolował. Może zresztą nie mogli. Tam były jakieś porozumienia... Nie wiem - miała już trudności z koncentrowaniem się. Była zmęczona. Jej twarz zrobiła się szaroblada.

- Porozumienia?

- Stalin... Stalin to wcielenie zła. Znalazł jakąś drogę, ażeby kontrolować tego Lehmana.

Stone przywołał obraz matki ze łzami w oczach krzyczącej: “To nie ja zapakowałam ciebie do więzienia! Dlaczego nie masz pretensji do niego, a masz do mnie?”

Tak.

“Czyżby Stalin kontrolował Lehmana? - zadawał sobie w myśli pytanie.

Zdumiewające... ale możliwe. Czyżby możliwe? Doradca Roosevelta, Trumana, człowiek, który posłał Alfreda Stone'a do więzienia. Czy to tajemnica, którą od tak dawna osłaniał? Czyż było do pomyślenia, że Lehman pozostawał na usługach radzieckiego rządu?”

- Jak to kontrolował? - zapytał.

- Nie wiem. Nie mam pojęcia. Nie znałam żadnych wielkich tajemnic. Byłam jedynie sekretarką. Pan musi te sprawy rozumieć o wiele lepiej niż ja.

- Tak - przyznał i poczuł ponownie posmak strachu rosnącego gdzieś w środku w nim samym.

Z zewnątrz dobiegały głosy bawiących się dzieci, a potem dźwięk samochodu, który na gwałt potrzebował nowego tłumika. Potem cisza, a Stone słyszał jedynie przyspieszone bicie własnego serca. Myślał: “Nie przypuszczam, żeby ci Amerykanie chcieli, by ktokolwiek dowiedział się, że przygotowują obalenie radzieckiego rządu”.

Rozglądał się po tym smutnym pokoju i patrzył na staruszkę, której oczy widziały kiedyś wielką postać współczesnej historii. Obecnie oczy te były zmęczone. Przyszło mu do głowy, że ci, kimkolwiek by byli, nie dadzą za wygraną. Ponownie odezwał się samochód z zepsutym tłumikiem. Przejechał koło domu i potem zapanowała cisza.

## 18. Maryland

Bardzo wcześnie rano do leżącej w stanie Maryland posiadłości w dokładnie pięciominutowych odstępach przybywały limuzyny. Za dwadzieścia siódma pojawił się ostatni samochód, szary cadillac. Minał ozdobną, żelazną, automatycznie otwieraną bramę i

sunął wysadzaną drzewami aleją. Zatrzymał się kilkadziesiąt metrów przed rozległą rezydencją w stylu wiktoriańskim i ostrożnie wmanewrował do wnętrza drewnianej budowli, która z zewnątrz wyglądała na starą wozownię. Gdy limuzyna znalazła się już w środku, drzwi wjazdowe zamknęły się, a stalowa płyta stanowiąca podłogę zaczęła powoli, płynnie opadać w dół. W ciągu minuty limuzyna znalazła się w ciemnym pomieszczeniu ukrytym głęboko pod ziemią. Kierowca podjechał kilka metrów do przodu i wprowadził samochód do garażu o betonowych ścianach. Tu zaparkował obok czterech innych limuzyn, przy których stał czarny saab turbo.

Ostatni przybysz Fletcher Lansing wysiadł z samochodu ze zwinnością zadającą kłam latom, jakie sobie liczył. Był jedną z wielkich postaci establishmentu polityki zagranicznej. Niegdyś bliski doradca Johna Kennedy'ego, jeden z tych, o których dziennikarze mówili: "najlepsi, najinteligentniejsi".

Lansing, człowiek o zmarszczonej twarzy i wąskim, wydatnym nosie, mijając łukowato sklepienie drzwi wszedł do sali konferencyjnej, gdzie czekali już popijając kawę wcześniej przybyli.

- Dzień dobry, sir.

Pozdrowienie padło z ust dyrektora CIA Teda Templetona. Podobnie jak jeden z jego poprzedników - William Casey - był on weteranem OSS, jednak w przeciwieństwie do Caseya był etatowym pracownikiem CIA. Wysoki, smukły, o gęstych, szpakowatych włosach, wielkich uszach i workach pod oczami. Pracę i pozycję dyrektora zawdzięczał Lansingowi, który w czasie kilku wieczornych rozmów odbywanych z prezydentem w Białym Domu przekonał szefa administracji o potrzebie dokonania tej właśnie nominacji. Lansing, którego twarz pozostawała ponura, zbył Templetona zdawkowym skinieniem głowy, po czym tak samo powitał pozostałych siedzących wokół wielkiego stołu o białej z czarnego marmuru.

Siedział tam czterdziestosześcioletni Ronald Sanders, zastępca dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, były zawodnik drużyny futbolowej Uniwersytetu Notre Dame, również etatowy pracownik CIA. Po jego prawej stronie zajmował miejsce szczupły, małowówny Evan Wainwright Reynolds uważany za jednego z głównych architektów Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, który choć dawno na emeryturze, był pełnym wigoru mężczyzną. Po lewej natomiast siedział najmłodszy z uczestników spotkania, Roger Bayliss z Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Dobiegał czterdziestki. Miał na sobie modny włoski ciemnoszary garnitur. Jego kariera i pozycja, jaka zajmował w Białym Domu, były wynikiem pomocy i działań pozostałych siedzących za stołem. Im wszystko zawdzięczał. Jako najmłodszy spełniał rolę sekretarza i na żółtym bloku papieru biurowego robił notatki z przebiegu spotkania. Używał pióra kulkowego Mont Blanc. Oczywiście wolałyby posługiwać się do tego celu swoim przenośnym komputerem, ale do tego supertajnego miejsca nie wolno było wносить żadnych urządzeń elektronicznych.

Bayliss obserwował. Jego prawa noga drżała w nerwowym tiku, jakiego dostawał w chwilach wielkiego napięcia. Uważnie przypatrywał się swoim wypolerowanym paznokciom. Widoczne były na nich ślady manicure'u, jednej z ekstrawagancji, w jakich objawiała się jego próżność. Przelotnie przemknął mu przez myśl obraz dziewczyny, z którą spędził ostatnią noc. Była to blondynka imieniem Carin. Pracowała w Kongresie. W łóżku była ogniście namiętna, tak że Bayliss czuł się jeszcze nieco obolały. Jego praca w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa robiła wrażenie na wszystkich dziewczętach, ale gdyby Carin wiedziała o tym, co miało się wkrótce wydarzyć w Moskwie, i o roli, jaką odgrywał w tym Bayliss...

Wykorzystując to, że Fletcher Lansing porządkował swoje notatki, rozglądał się po pokoju.

Wszyscy z wyrazem napięcia i obawy oczekiwali na rozpoczęcie spotkania.

Jakież to złe wieści Lansing miał do oznajmienia?

Tych pięciu ludzi zebranych za stołem za rzecz niezbędną uważało wszystkie najdalej

posunięte środki ostrożności, czego szczególnym wyrazem był sam pokój konferencyjny, ukryty pod ziemią, pod prywatną rezydencją, zabezpieczony przed elektronicznym podsłuchem i tak tajny, że o jego istnieniu nie wiedzieli nawet bardzo wysoko postawieni w hierarchii amerykańskiego wywiadu. Fletcher Lansing, którego umiłowanie łacińskiej kultury klasycznej było legendarne, nazwał ich grupę mianem Sanctum Sanctorum. Stanowili ultratajne ugrupowanie składające się niemal wyłącznie z byłych lub obecnych wysokich urzędników wywiadu. Spotykali się niezmiernie rzadko, na ogół raz na dwa, trzy lata, ażeby podjąć decyzje, które - o czym byli najgłębiej przekonani - spowodują wkrótce zmianę politycznych losów świata.

Kolano Baylissa nadal latało w dół i w górę, w dół i w górę z szybkością trzepoczących skrzydeł kolibra. Z uwagą wpatrywał się w twarz Fletchera Lansinga, starego asa wywiadu, który z ukrycia kierował Sanctum z niedostrzegalną, ale nie kwestionowaną energią.

Co złego mogło się wydarzyć?

Bayliss, który dorastając uważnie obserwował rodziców i nie bez powodów był dumny ze swojej nadzwyczajnej spostrzegawczości, doszedł do wniosku, że często u ludzi czujących pociąg do pracy w wywiadzie rodzi się szczególny rodzaj łagodnej patologii. Jest to stara waszyngtońska choroba polegająca na żądzy dostania się do samego centrum władzy, która z fascynacji przeradza się w obsesję.

Jednak Lansing, absolwent Harvardu i wydziału prawa tej uczelni, pracownik Sądu Najwyższego, sekretarz stanu ds. marynarki, jeden z twórców CIA, przedkładał tajemniczy, ciemny świat wywiadu nad jawny, otwarty świat dyplomacji, polityki, świat działania popularnych mężów stanu. Bayliss uważał, że to było jedną z ważnych cech jego charakteru. Ludzie tacy jak Lansing, a są to z reguły mężczyźni, znajdują przyjemność w tajnym sprawowaniu potężnej władzy, z dala od światła dziennego, od kontroli opinii publicznej. Gdzież, jak nie w świecie wywiadu, można planować cios dla przeciwnika, którego się nigdy nie spotkało?

Wszyscy oni byli szarymi eminencjami, graczami chorobliwie zafascynowanymi maksymalną dyskrecją, którzy nigdy nie dostępowali publicznych zaszczytów, gdyż ich nigdy nie pragnęli. I Bayliss, który nie był pozbawiony pewnej dozy samokrytycyzmu, dostrzegał te same cechy i u siebie.

Lansing należał do generacji arystokratycznych przywódców, takich jak Dean Acheson, Winthrop Lehman, Henry Stimson czy Henry Cabot Lodge, do ludzi, których czas minął. Chytry starzec, słynny doradca prezydenta, uważał siebie za jednego z tych, którzy rozumieją, że amerykańska polityka zagraniczna jest jak doskonały samochód, którego kierownica znajduje się w rękach niedoświadczonych, zmieniających się co kilka lat prezydentów. Ich sposób kierowania doprowadzał samochód do ruiny, niszczył sprzęgło i silnik. Z tym tylko, że sprzęgło i silnik mogą być wymienione na inne, podczas gdy pokój światowy jest czymś niewymiernym i niezmiernie kruchym.

Tak, Bayliss miał świadomość tego, że operacja przygotowywana przez Sanctum była w jakimś sensie ostatnim spazmem starego porządku, który odchodził, i czuł dumę, że także on był częścią tej operacji.

Nie ulegało wątpliwości, że nadszedł właściwy moment. Nigdy do tej pory w historii Związku Radzieckiego nie wyłaniała się taka okazja. I nigdy więcej się nie wyłoni. Raporty wywiadowcze z Moskwy stwierdzały jasno: Gorbaczow zostanie wkrótce obalony. Pogłoski na temat przewrotu stały się powszechne. Fletcher Lansing na ostatnim spotkaniu Sanctum przed dwoma tygodniami mówił o tym bardzo wyraźnie. Powiedział wtedy: "Świata, który tworzyliśmy, już nie ma. Nic nie jest takie samo. Europa pragnie rozwiązać NATO i Układ Warszawski. Wszyscy są przekonani, że również Rosjanie błyskawicznie przeobrazili się w pluszowe niedźwiadki. Jednak wąż, który zmienia skórę, nadal pozostaje wężem". Bayliss

wiedział, że Lansing nie jest zaślepionym, skrajnym prawicowcem, choć był weteranem zimnej wojny. Uczestniczył w tworzeniu powojennego porządku i wiedział doskonale, jak łatwo Amerykanie, dziecienni i w wielu sprawach nadmiernie optymistyczni, mogą ulec iluzjom zmian, które w gruncie rzeczy były efemeryczne... Tak więc podczas gdy Amerykanie są zaślepieni i zahipnotyzowani zmianami w Moskwie, wszyscy zapominamy o konieczności patrzenia daleko w przód. Nie chcemy zrozumieć, że Gorbaczow nie jest wieczny, że w ogóle jego rządy nie będą długotrwałe i że kiedy jego zabraknie, będzie już za późno”. Radzieckie imperium znajdowało się na krawędzi załamania. Już nie było kontrolowane. Poszczególne republiki odłączały się, a gospodarka waliła. Po zburzeniu muru berlińskiego Moskwa na zawsze utraciła swoich satelitów.

Pytanie brzmiało jedynie: kiedy?

Wszyscy wiedzieli, że to musi nastąpić. Raporty wywiadowcze z Kremla były jasne: dni Gorbaczowa były policzone. To jedynie problem czasu. Wtedy nowe, niewątpliwie neostalinowskie kierownictwo weźmie władzę w ręce i zamknie wieko nad wszystkimi nieśmiałymi próbami reform podejmowanymi przez Gorbaczowa. W całym radzieckim imperium rozpocznie się wprowadzanie siłą starych porządków, a więc wydarzenia, wobec których masakra na placu Niebiańskiego Spokoju w lecie 1989 roku wyglądać będzie jak dziecięca zabawa. A potem radzieckie kierownictwo, szukające oczywiście drogi do zjednoczenia i zespolenia społeczeństwa, ponownie wynajdzie wroga, zagrożenie z zewnątrz. I będzie to stary arcywróg - Zachód.

A co robi Biały Dom? Czeka biernie. Ameryka pozbawiona jest przywództwa.

Dziesięciolecia zmagania supermocarstw, niezliczone miliardy dolarów, tysiące istnień ludzkich, wszystkie koszty polityki powstrzymywania komunizmu, wszystko to zostanie zmarnowane. I wobec takiego zagrożenia Biały Dom pozostaje beczynny, głuchy i ślepy, nie wiedząc, co robić. Jak zawsze postawiono na złego konia.

Sanctum ma jedyne rozwiązanie, jedyny plan, którego realizacja przyniesie światu pokój, raz i na zawsze, pokój, którego wszyscy tak bardzo pragną.

I jest to sprawa kilku najbliższych tygodni.

Stanie się tak, gdyż już wkrótce amerykańskiego agenta w Moskwie, kreta, jak go określa brytyjski pisarz John Le Carré, wyniosą na szczyt władzy na Kremlu. Weźmie w ręce władzę w ZSRR. Od lat coś takiego było przedmiotem najśmielszych spekulacji w kołach rządowych i tematem fantastycznych opowieści autorów książek sensacyjno-szpiegowskich. I teraz wszystko to miało się wydarzyć w rzeczywistości. I tylko teraz mogło się coś takiego wydarzyć. A wiedzieli o tym jedynie ludzie zebrani w tej sali konferencyjnej.

Istnienie kreta było całkowitą tajemnicą. Nie wiedziała o tym administracja w Waszyngtonie, nie wiedział nikt w centralach wywiadu, a również i w Białym Domu. Znało ten fakt tylko tych kilku mężczyzn siedzących w podziemnym pokoju.

Bayliss uważał, że takie postawienie sprawy było najbardziej słuszne. Grupa Sanctum powstała na początku lat pięćdziesiątych. Utworzyli ją Lansing i Reynolds dla prowadzenia operacji kreta M-3. Zadanie wymagało całkowitej, nienaruszalnej tajemnicy i dyskrecji.

Lansing i jego koledzy wiedzieli o tym najlepiej, że aparaty wywiadów i polityki zagranicznej nie są w stanie tego zapewnić, nie były wiarygodne. Afera radzieckiego kreta, jakim był Harold “Kim” Philby, spowodowała liczne przecieki. Do tego samego przyczyniły się w latach siedemdziesiątych senackie przesłuchania na temat działalności CIA. Sprawa tajności nabrała nadrzędnego znaczenia. Grupa Sanctum wiedziała, że nikomu nie można ufać.

Prezydenci i sekretarze stanu przychodzili i odchodzili, a żaden z nich nie został poinformowany o istnieniu Sanctum czy kreta M-3.

I wreszcie, po latach przygotowań, nadszedł czas. Bayliss z rosnącym zaniepokojeniem zastanawiał się więc nad tym, co mogło się wydarzyć?

Fletcher Lansing chrząknął i rozpoczął spotkanie. Jakakolwiek była owa zła

wiadomość, Lansing jej na razie nie ujawniał. Bayliss, który wyrobił w sobie zdolność słuchania, a zarazem myślenia o czymś innym, skoncentrował się na tej niebywalej operacji, która wkrótce mogła zmienić świat.

\*\*\*

Wiedział, że w minionych latach Stany Zjednoczone miały w Moskwie kilku głęboko zakonspirowanych agentów, przeważnie radzieckich obywateli czujących sympatię do Ameryki. Jednym z najwcześniejszych w latach pięćdziesiątych był wykryty i skazany "Major B". Potem byli inni, pułkownik Oleg Penkowski z GRU, pułkownik Piotr Popow z wywiadu wojskowego, ekspert ds. uzbrojenia A.G. Tołkaczew z Moskiewskiego Instytutu Aeronautyki. Wszyscy zostali przez władze radzieckie wykryci i aresztowani. Byli oczywiście i inni, ale wszystko to płotki w porównaniu z agentem kierowanym od lat przez grupę Sanctum.

Dla zachowania i popchnięcia wyżej M-3 przerwano operację w Zatoce Świń i nawet John Kennedy nie poznał prawdziwej tego przyczyny. To samo dotyczyło danych, jakimi dysponował amerykański wywiad na temat słabnącej pozycji Chruszczowa. Utrzymywano je w tajemnicy do chwili, kiedy Chruszczow został usunięty z Biura Politycznego. Informacji tych nie znał Lyndon Johnson.

W Waszyngtonie opowiadano sobie dowcip, że Ameryka nie mogłaby sobie życzyć lepszego kreta, niż byłby nim Michaił Gorbaczow. Ci mędrcy z Waszyngtonu nie wiedzieli jednak, że Gorbaczow całkiem nieświadomie wyniósł M-3 na wysokie stanowisko. Oczywiście było, że jedynie w warunkach panującego na Kremlu zamieszania M-3 mógł dojść do władzy. Bayliss miał poczucie tego, że znaczenie M-3 doceniał bardziej niż inni z grupy Sanctum.

Poza wszystkim, to właśnie jemu powierzono kontakty Sanctum z przedstawicielami M-3. Te kontakty rozpoczęły się dopiero przed kilkoma tygodniami, kiedy kanał został ponownie reaktywowany po latach bezczynności. Kartka pocztowa wsunięta do samochodu Baylissa przez pierwszego sekretarza ambasady radzieckiej Aleksandra Malareka zawierała mikrokopię całego dokumentu zredukowanego do wielkości kropki stawianej przez maszynę do pisania. Wiadomo było, że Malarek pracuje dla KGB, ale nikt z jego kolegów z KGB nie wiedział, że pracuje on na rzecz M-3, M-3 bowiem nie miał zamiaru posługiwać się kanałem KGB.

Bayliss przypomniał sobie, jak na ostatnim spotkaniu Sanctum Lansing i Templeton powiedzieli, że jemu powierza się koordynowanie współpracy z Malarekiem.

"Masz chyba świadomość tego, jak bardzo musisz być ostrożny" - przestrzegał Lansing.

"Oczywiście, sir" - odpowiedział i pomyślał: "Czy się domyślają, jak jestem przerażony?"

"Jeśli cię złapią... nie ma wątpliwości, że staniesz przed sądem pod zarzutem zdrady".

"Tak, sir".

"Z drugiej jednak strony - kontynuował Lansing - jeśli się nam powiedzie... - przeciągał poszczególne wyrazy rozglądając się po siedzących wokół stołu członkach grupy Sanctum. - Jeśli nam się uda, będziemy tymi, którzy trwale zmieniają historię".

"Tak - myślał Bayliss. - "Na zawsze".

\*\*\*

Skończywszy swoje uwagi wstępne, Lansing zaczął mówić głosem drżącym od gniewu.

- Powstała sytuacja niewybaczalna - chrypiał uderzając w czarny marmur blatu stołu zaciśniętą pięścią, na której widać było plamy wątrobowe. Obrzucił spojrzeniem siedzących i kontynuował: - Mielśmy już zakonspirowane krety, ale żadnego nie można było porównać do M-3.

Zastępca dyrektora CIA Ronald Sanders przerwał nieśmiało:

- Stała się niewielka szkoda, nic, czego byśmy nie byli w stanie naprawić.

Lansing krzyczał teraz, co sprawiało wrażenie, jakby przechodził mutację.

- Przelano krew! Krew niewinnego człowieka. Człowieka, który lojalnie służył swojemu krajowi.

Bayliss nigdy nie widział go tak rozwścieczonego. Nigdy nie widział, żeby zrzucił maskę swojego arystokratycznego opanowania.

- Zrobiono jedynie to, co było konieczne - zaprotestował dyrektor CIA Ted Templeton. Głosy mówiących były dziwnie przytłumione w tym bunkrze zabezpieczonym przed wszelkiego rodzaju podsłuchem. - Saul Ansbach sam na siebie wydał wyrok, wszczynając ten cały alarm. Nie mieliśmy pojęcia, jak wiele zdołał się dowiedzieć. Z największą przykrością wydałem zezwolenie... Saul był niegdyś moim przyjacielem.

- A inni!

- Wszystkie operacje represyjne zostały przeprowadzone z największą ostrożnością. Takie były ustalenia z ludźmi Malareka. - Templeton westchnął głośno. - Niczego się nie wykryje.

- Tylko jeden wydział Agencji miał wgląd w sprawę Jeża, Parnassus. Ted i ich jednak zastopował - dodał nieco defensywnie Sanders, kołysząc się nerwowo w swoim fotelu.

- Dobrze się stało, że mieliśmy możliwość zdemaskowania tego kierowcy - potwierdził Templeton. - Jezu, nie wiedziałem, że on...

- Panowie - przerwał Lansing. - Prowadzimy grę, w której krew rozlewana jest ustawicznie po to, ażeby ochronić interes narodów i im oszczędzić cierpień. Martwi mnie jednak to, że zabito niewinnego człowieka. Mówiąc szczerze, jest to sprzeczne z ideałami, w jakie wierzę. Abstrahując jednak od moralności, w przeprowadzonych operacjach kryje się ogromne niebezpieczeństwo. Gdyby któraś z nich została wykryta przez KGB czy jakąkolwiek inną zainteresowaną tym organizację...

- Niemożliwe - włączył się Templeton. - Ludzie z Sekretariatu to wysokiej klasy profesjonaliści. Bardzo wyrafinowani. Jak długo nie będziemy im przeszkadzać, wykonywać będą swoją pracę całkiem niewidoczni.

- Czy wykonają ją jednak do końca?

Uwaga Evana Reynoldsa wypowiedziana została szeptem, ale wszyscy siedzący wokół stołu zwrócili głowy w jego kierunku. Sprecyzował, choć być może ogólnikowo, to, o czym myśleli wszyscy zebrani w tym pokoju. Zapanowała chwila milczenia, po czym Bayliss zdobył się na odwagę i powiedział:

- Czy jesteśmy w pełni przekonani, że chodzi o tego właśnie człowieka?

- Rozumiem - przerwał Templeton, ruchem głowy wstrzymując mówiącego. - Moi ludzie mają jego głos nagrany na taśmę i odpowiada on dokładnie nagraniu rozmowy, jaką prowadzono z piwnic domu Lehmana. To plus dalsze nagrania rozmów z jego własnego telefonu potwierdzają, że jest to człowiek, który wywołał całe zamieszanie. Co do tego nie ma wątpliwości.

- Sądziłem, że jesteś przekonany, że Parnassus... - zaczął Reynolds.

- Wszyscy z wyjątkiem tego jednego - wpadł mu w słowo Templeton. - On nam nadal depcze po piętach. Ma po temu powody osobiste, których nie byliśmy w stanie przewidzieć.

- Sądzę, że sprawę należy załatwiać ostrożnie - wtrącił Lansing.

- O co chodzi? - zapytał ostro Reynolds. - Jeśli on zdobył dokumenty... papiery...

zagroza całej operacji. Dziesięciolecia przygotowań. Praca mojego życia... na miłość boską.

Nie mamy wyboru. A co, jeśli on ukrył gdzieś kopie?

Templeton wyjaśnił swój plan, a kiedy kończył, spostrzegł wyraz szoku na twarzach siedzących za stołem. Zapanowała długa cisza przerwana szeptem najstarszego z nich:

- Dobry Jezu! Boże, dopomóż nam.

Lansing oddychał z trudnością.

\*\*\*

Waszyngton to miasto fundacji. Organizacje, od tych najbardziej skorumpowanych grup lobbystów po całkiem bezinteresowne, nie przynoszące zysków stowarzyszenia konsumentów, lubią przybierać nazwę fundacji, jako że jest to nazwa zarówno neutralna, jak i przysparzająca godności.

Fundacja Amerykańskiego Sztandaru mieszcząca się w centrum miasta zajmowała całe piętro nowoczesnego budynku, w którym znajdowały się biura adwokatów i delegatury wielu firm i korporacji ze Środkowego Zachodu. Z zewnątrz budynek wyglądał jak każdy inny biurowiec w tej części miasta, a wrażenie to pogłębiały źle działające windy i monotonny hol. Gdyby jednak odwiedzający przez pomyłkę wysiadł na szóstym piętrze, byłby zdumiony bogactwem wystroju. Zobaczyłby sekretarkę urzędującą za wielkim, mahoniowym biurkiem w holu wyłożonym perskim dywanem, umeblowanym marmurowymi stolikami, o ścianach z błyszczącej boazerii. Zauważyłby również, że telefon dzwoni tu bardzo rzadko.

Większość nie poinformowanych błędnie przypuszczała, że Fundacja Amerykańskiego Sztandaru to rodzaj konserwatywnego hokus-pokus. W rzeczywistości była to organizacja emerytowanych oficerów amerykańskiego wywiadu, głównie CIA, Narodowej Agencji Bezpieczeństwa i Agencji Wywiadu Obronnego. Oficerowie ci utrzymywali nadal bliskie kontakty z agencjami, z których przeszli na emeryturę, a wielu z nich nadal figurowało tam na listach płac. Te związki, a nawet płace były jednak tak ukryte w bizantyjskim labiryncie biurokracji, że nawet najbardziej wytrwali inspektorzy kongresowi nie byłiby w stanie ustalić z całą pewnością, że Fundacja ma jakiegokolwiek powiązania z wywiadami. I wywiady tego właśnie sobie życzyły. Zgodnie z rozkazem prezydenckim CIA nie ma prawa prowadzenia operacji wywiadowczych na terenie kraju i faktycznie od czasów przesłuchań Komitetu Churcha w połowie lat siedemdziesiątych CIA rozkazu tego przestrzega bardzo skrupulatnie. W niektórych kołach tej i innych agencji wywiadowczych zasadę tę uważa się za dowód niemądrej interpretacji szlachetnych zasad ustroju demokratycznego. Wywiady nie mogą działać skutecznie krępowane tego rodzaju przepisami i uzależniane od sił działających wewnątrz kraju, takich jak FBI i inne podobne agencje, które z kolei nie działają za granicą.

Tak więc na długo przedtem, zanim płk Oliver North i Narodowa Rada Bezpieczeństwa podjęli swoje zakonspirowane interesy z Izraelem, Iranem i Nikaraguą, została założona Fundacja Amerykańskiego Sztandaru, powołana, by służyć krajowymi usługami agencjom wywiadowczym i koordynować oraz wykonywać różnego rodzaju konspiracyjne operacje.

Dzwonek telefonu zaskoczył sekretarkę zajętą właśnie oglądaniem mody w "Washington Post". Odebrała telefon i po chwili wcisnęła guzik połączenia wewnętrznego.

- Generale Knowlton - powiedziała - dzwoni dyrektor CIA.

W kilkanaście minut później odezwał się telefon w niewielkim domku na prowincji pod Alexandrią w stanie Wirginia. Dom stał przy bocznej, wiejskiej drodze o kilka mil od najbliższego osiedla. Otaczał go płot z drutu stale pod elektrycznym napięciem, ukryty w drzewach i krzewach. Na dachu widoczne były stożkowate anteny mikrofalowe.

- McManus - przedstawił się człowiek, który podniósł słuchawkę. Był to major Leslie

McManus, emerytowany oficer Wywiadu Sił Zbrojnych. Słuchał w milczeniu i na kartce papieru zanotował kilka słów. - Przyjęte do wykonania - i odłożył słuchawkę.

## 19. Boston

W dziewięć godzin, po nudnej jeździe samochodem, w czasie której zrobił tylko jedną przerwę, Stone był z powrotem w Bostonie. Alfred Stone przebywał w swoim szpitalnym pokoju, całkowicie ubrany i w fotelu. Łóżko było zasłane.

- To ty? - powiedział zdumiony na widok wchodzącego Charliego. - Dzwoniłem do ciebie do Nowego Jorku, nawet do twojego biura. Gdzie byłeś, do cholery?

- Przepraszam.

- Właśnie chciałem wezwać taksówkę. Przygotowują moje papiery i wypisują mnie, choć jest już dość późno. Będziesz tak miły i zawieziesz mnie do domu? - z wyrazem niechęci rozglądał się po szpitalnym pokoju. - Mam już tego miejsca dość.

Właśnie minęła dziewiąta wieczorem.

W kilka godzin później schludnie ubrana para w średnim wieku wchodziła na taras małego domku z ciemnego kamienia i zadzwoniła do drzwi. Czekali minutę, dwie, które wydawały się wiecznością. Wiedzieli jednak, że właścicielka jest w domu. Wszystko było drobiazgowo przygotowane. Ich zleceniodawca zawsze pracował w ten sposób. Wiedzieli więc z całą pewnością, że staruszka śpi w swojej małej, staroświecko umeblowanej sypialni na piętrze. Dojście do drzwi musi jej zabrać nieco czasu.

Była to para małżeńska. Mąż po przekroczeniu czterdziestki był łysiejącym, niewysokim i grubawym, ale niewątpliwie silnym mężczyzną. Nieliczne włosy, jakie miał na głowie, już siwiały i były gładko przyczesane. Miał na sobie płaszcz z wielbłądziej wełny i granatowy garnitur w jodełkę, niebieską koszulę i dobrany do niej krawat. Młodsza od niego o rok czy dwa żona, krępa i nieźle zbudowana, była raczej kobietą prostą, ubierającą się w dość wymyślny sposób. Miała zbyt ostro podmalowane oczy, a proste, brązowe włosy związane z tyłu w kok. Kostium w wielkie kwiaty i bluzka z wykładanym marynarskim kołnierzem dopełniały jej postaci. Żyli skromnie z dochodów, jakie przynosiła ich firma graficzna. Mieli bardzo niewielu klientów. Kobieta była projektantem i ukończyła Państwowy Instytut Sztuki w Leningradzie, a staż przechodziła w Moskwie.

Spoza drzwi dobiegł jakiś słaby odgłos. Mężczyzna i kobieta wymienili szybkie spojrzenia. Drzwi się uchyliły i spoza nich wyjrzała mała staruszka.

- Tak? - zapytała.

Była bardziej wątpła, niż tego oczekiwali.

- Irena? - zapytała kobieta uśmiechając się łagodnie; oboje z mężem mówili płynnie po angielsku.

- Tak? - staruszka była podejrzliwa i zacisnęła rękę na kuli, którą się podpierała.

- Ireno, nazywam się Helen Stevens, a to Bob. Jesteśmy z Ochotniczej Powiatowej Służby Socjalnej i Rodzinnej - kobieta uśmiechnęła się przepraszająco i dodała: - Twoje nazwisko mamy od Ruth Bower.

Jak zostali poinformowani, Ruth Bower była sąsiadką staruszki pomagającą jej od czasu do czasu w prowadzeniu domu i w sprzątanii. Oczy starej kobiety zabłyśły, a twarz rozpoznała się.

- Ach tak, wchodźcie.

Weszli do pokoju, a przybyła mówiła bez przerwy:

- Nie wiem, czy Ruth ci wspominała, że nasza służba pomaga wszystkim potrzebującym w różnych drobnych sprawach... w zakupach, prowadzeniu domu, sprzątanii, wnoszeniu czegoś cięższego. We wszystkim, co jest konieczne.



Staruszka, której prawdziwe nazwisko brzmiało Anna Zinojewa, powoli podeszła do sofy i usiadła.

- Z góry bardzo wam dziękuję.

Mężczyzna, który do tej pory milczał, usiadł na stojącym obok kanapy fotelu.

- Ireno, czy dzisiaj rano spotkałaś się z kimś? Jest rzeczą niezwykle ważną, abyśmy się o tym dowiedzieli - patrzył na nią uważnie i natychmiast dostrzegł sygnał strachu.

- Nikogo nie widziałam - Anna Zinojewa przygryzła wargi. Nie mieli najmniejszych wątpliwości, że nie mówi prawdy.

- Czego on chciał od ciebie? - zapytała kobieta.

- Nikogo nie widziałam - staruszka protestowała coraz bardziej przerażona. - Proszę, nie. Nikogo...

Kobieta przeszła teraz na rosyjski i używała prawdziwego nazwiska staruszki.

- Nie - Anna Zinojewa dyszała ciężko. Znowu! Znowu przyszli po nią. Przez moment nie mogła wierzyć własnym uszom. Znali jej nazwisko, które do dzisiejszego poranka nie było wypowiedziane od dziesięcioleci.

- Proszę, zostawcie mnie w spokoju - szeptała. Zaczęła się trząść, nie mogła opanować strachu. - Czego chcecie się ode mnie dowiedzieć? Czego chcecie?

- Chcemy wiedzieć, o co cię ten człowiek dziś wypytywał - mężczyzna starał się mówić łagodnie brzmiącym głosem.

\*\*\*

Kobieta odwróciła ciało staruszki i podwinęła szlafrok tak, że odsłoniła udo, na którym zrobiła nożem głębokie i długie nacięcie. Na chwilę przedtem złamali jej kruchy kark, a krew wypływała strumieniem z przerwanej arterii. Czekali chwilę, żeby krwawienie ustało, co nie trwało długo.

- Gotowe - powiedziała do męża.

Jej mąż włożył chirurgiczne rękawiczki, otworzył okrągłą, szklaną fiolkę wyjętą z torby, którą przyniósł, i zanurzył w płynie tampon na długiej ręczce.

- Czy to niebezpieczne? - zapytała pokazując na płyn, którym nasycił cięcie wykonane na udzie.

- Nie radziłbym tego dotykać - odpowiedział nie podnosząc głowy. - Clostridium welchii, pałeczki ropy błękitnej. Ohydztwo, ale swoją robotę wykona.

Chodziło o przyspieszenie procesu rozkładu ciała. Kiedy ciało zostanie odkryte, wyglądać będzie na to, że staruszka zmarła przed tygodniami. Być może poślizgnęła się, upadła i uderzyła w głowę. Takie rzeczy mogą się przydarzyć starym ludziom mieszkającym samotnie.

Gdyby małżeństwo miało czas, mogłoby przyglądać się, jak środek ten działa. W ciągu kilku godzin z ciała pozostanie jedynie szkielet pokryty bezkształtną papką, nic, co by można było zidentyfikować.

Mężczyzna wyjął tampon z nacięcia i wyprostował się.

- Zrobione - powiedział.

\*\*\*

Stone, zbliżając się do domu ojca, prowadził samochód coraz ostrożniej i rozglądał się ukradkiem tak, żeby siedzący obok niego ojciec tego nie zauważył. Wydawało się, że nie ma nikogo. Wysiedli. Charlie wziął swoją walizkę i torbę ojca. Podeszli do drzwi. Alfred ożywiony szedł obok syna.

Charlie jednym kluczem wyłączył alarm, dwoma innymi otworzył drzwi. Dom

pograżony był w ciemnościach, w powietrzu unosił się zapach środka do czyszczenia mebli. Wszystko było starannie wysprzątane, dywany odkurzone i równo ułożone na podłodze.

- Mam nadzieję, że łóżka na górze są pościelone - zauważył Alfred Stone.

- Czy możesz wejść po schodach? - zaniepokoił się Charlie.

- Jestem o wiele silniejszy, niż na to wyglądam.

- Pozwól, że zaniosę torbę na górę do twojego pokoju, a potem pójdę do sąsiadów po psa. Przypuszczam, że chciałbyś się wcześniej położyć.

Zaniósł walizkę i torbę na piętro. W chwilę potem usłyszał, że ojciec go woła.

Postawił torbę w pokoju ojca i szybko wrócił na schody.

Spojrzał w dół i zobaczył ojca, który trzymał w ręce kopertę listu od Saula Ansbacha.

Zostawił ją w kieszeni płaszcza. W drugiej ręce ojciec trzymał fotografię. Charlie poczuł, że puls bije mu szybciej.

- Wiesz, że twój płaszcz i to wypadło - oczy Alfreda Stone'a zrobiły się duże, krew odpłynęła mu z twarzy. - Jak to dostałeś? Dlaczego?

\*\*\*

Kilka mil na południe, w dzielnicy Bostonu zwanej Strefą Wojenną, gdzie znajduje się skupisko kin wyświetlających filmy pornograficzne, sex-shopów, prostytutek i narkomanów, na sali jednego z kin siedział człowiek w czarnej skórzanej kurtce. Patrzył na ekran, na którym piersiasta blondynka darzyła swoimi wdziękami Murzyna. Był jeszcze wczesny wieczór i sala była pusta. Najwyżej dwudziestu widzów zajmowało miejsca, każdy siadał z dala od innych. Kilku staruchów jawnie uprawiało samogwałt.

- Dobryj wieczer.

Za człowiekiem w czarnej kurtce usiadł inny mężczyzna. Nowo przybyły nosił brodę i ciemne okulary.

- Dobryj wieczer, towarzyszu - odpowiedział człowiek w kurtce.

Obaj rosyjscy emigranci przez chwilę siedzieli w milczeniu, chcieli nabrać pewności, że nie są obserwowani. Potem człowiek w czarnej kurtce wyszedł z kina. Drugi po chwili zrobił to samo.

\*\*\*

- To jest ta kobieta, z którą się spotkałeś? - zapytał Charlie. - Sonia Kunieckaja.

- Tak - ojciec wyglądał na zaszokowanego.

- Czy ona jeszcze żyje?

Alfred Stone wzruszył ramionami, jakby go to nie interesowało, ale wyraz oczu wskazywał na coś przeciwnego.

- Co ty naprawdę o niej wiesz? - zapytał Stone niecierpliwie. - Czy nie mogła ona odgrywać roli łącznika z kimś, z jakimś agentem w Rosji, z kimś, kogo Lehman kontrolował?

- Dlaczego mnie o to pytasz, Charlie?

- Teraz nie powinniśmy o tym mówić. Przepraszam, jesteś zmęczony. Powinieneś pójść do łóżka. To może kilka dni poczekać.

- Nie, Charlie, sądzę, że powinniśmy teraz o tym pomówić. Chciałbym wiedzieć, czego się dowiedziałeś.

- Proszę, odłóżmy to na potem.

- Teraz, Charlie - głos Alfreda Stone'a brzmiał stanowczo.

\*\*\*

Biała ciężarówka jechała wzdłuż Washington Street ze Strefy Wojennej w kierunku Cambridge. Na przednim siedzeniu siedziało dwóch mężczyzn. Prowadził brodaty. Na tylnym siedzeniu zajął miejsce jeszcze jeden, barczysty mężczyzna z zaskakująco długimi bokobrodami. Ten przyjechał właśnie z Baltimore.

Samochód dodge, rocznik 1985, został specjalnie przerobiony przez pewnego rzemieślnika z Pennsylvanii, który odsiedział wyrok 10 lat za udział w napadzie rabunkowym z bronią w rękę. Był przekonany, że przerabia samochód na zlecenie zwykłych kryminalistów. Od tego, czy zachowa dyskrecję, zależały jego dobrobyt i życie. Po przeróbce samochód zmienił się formalnie w czołg. Ściany były wyłożone płytami stalowymi. Specjalna zasłona ochraniała kierowcę przed kulami. W drzwiach zrobiono małe otwory na wysunięcie luf broni palnej. Samochód był odporny na wszelkiego rodzaju pociski ze zwykłej broni, żeby go zniszczyć, trzeba by było użyć działka przeciwpancernego.

W samochodzie znajdował się cały arsenał, kilka pistoletów magnum kaliber 44, kilka pistoletów maszynowych Thompson. Obaj mężczyźni z przedniego siedzenia nie przypuszczali jednak, by podczas wykonywania ich misji musieli używać broni palnej. Zadanie było łatwe, kaszka z mlekiem.

Siedzący za kierownicą pracował dorywczo jako kierowca taksówki. W ten sposób utrzymywało się wielu rosyjskich emigrantów. Do Bostonu przybył przed trzema laty wysłany tu przez ultratajną organizację. Zwerbowano go w Moskwie na sześć miesięcy przed wyjazdem. Mieszkał sam w zubożałej dzielnicy Bostonu i z nikim się nie spotykał. Jeszcze jeden samotny rosyjski emigrant w mieście, gdzie było ich pełno. W rzeczywistości, podobnie jak i człowiek w skórzanej kurtce, którego do tej pory nie znał, otrzymywał tu całkiem dobre wynagrodzenie. Byli to ludzie o szczególnych zdolnościach, ludzie dokładnie i precyzyjnie, bez pytań wykonujący wszelkie polecenia, włącznie z profesjonalnym zabójstwem. Minęli Massachusetts Avenue, przecięli Harvard Square i znaleźli się na Brattle Street. - Niepłoch - powiedział ten w skórzanej kurtce, patrząc na wielki mieszkalny dom przy Hilliard Street. - Wcale ładnie.

\*\*\*

- W jaki sposób miałem się dowiedzieć o czymś takim, jak tajne operacje? - powiedział Alfred Stone. - Nigdy z tego rodzaju operacjami nie miałem nic wspólnego. Na stole stały popielniczka i solniczka, a przed Alfredem szklanka wody i brązowy pojemniczek z pigułkami.

- Byłeś przecież asystentem Lehmana. Byłeś członkiem Narodowej Rady Bezpieczeństwa w administracji Trumana.

- Miły Boże! Zajmowaliśmy się takimi sprawami, jak Inchon, kłopoty z MacArthurem i chińskimi komunistami. Zajęciem Seulu. Takimi sprawami.

- Nigdy nie słyszałeś o próbach dokonania przewrotu w Moskwie?

- Przewrotu? - Alfred Stone wybuchnął śmiechem. - Były to najślodsze marzenia Johna Foster Dullesa. Uważam jednak, że wróg, którego znasz, jest lepszy niż ten, którego nie znasz. To chyba z Hamleta. "Raczej dźwigać troski, jakie mamy, niż szukać innych, jakich nie znamy".

- Nic nie słyszałeś o przewrocie? Nic? Żadnych pogłosek, wzmianek w jakichś dokumentach?

- Nie mówię, że takich prób nie podejmowano - otworzył buteleczkę i wysypał na rozłożoną rękę pastylkę Inderalu. Włożył w usta i popił łykiem wody.

- Rozumiem - odezwał się teraz Charlie. - My... to znaczy Stany... kilkakrotnie usiłowaliśmy utracić Stalina. Po kryzysie kubańskim usiłowaliśmy się pozbyć Chruszczowa. To jasne.

- Charlie - ojciec był wyraźnie rozdrażniony. - Jeśli twierdzisz, że Winthrop Lehman, wielka postać Białego Domu od czasów administracji Roosevelta, był w tajemnicy zamieszany w próby przewrotu przeciwko Stalinowi, to ja, ze swojej strony, nie jestem tym wcale zaskoczony. W ogóle nie widzę w tym nic złego. Stalin był niebezpiecznym tyranem... wszyscy o tym wiedzą.

- Oczywiście - potwierdził Charlie. - Cóż złego w działaniu podejmowanym z myślą o pozbawieniu władzy jednego z dwóch najgroźniejszych dyktatorów XX stulecia.

- To prawda.

- Jeśli chodziło tylko o to. To jednak chyba nie wszystko.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie byłoby potrzeby stałego ukrywania tego rodzaju operacji. Nie byłoby powodów. Chociażby dlatego, że większość jej uczestników już dawno by nie żyła.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że coś dzieje się do dzisiaj, coś tak poważnego i tajnego, że posiadanie najdrobniejszej informacji na ten temat zagraża życiu - patrzył przez chwilę w przestrzeń zastanawiając się, co i ile można ojcu powiedzieć. - Muszę się czegoś od ciebie dowiedzieć. Mówiłeś, że pojechałeś do Moskwy, gdyż Lehman cię o to prosił. Co jeszcze w tym się kryło? Jaki był prawdziwy powód twojego wyjazdu? Jest coś, o czym nie mówiłeś? Alfred siedział przez jakiś czas w milczeniu. Jego palce, jakby bez jego woli, kreśliły dziwaczne figury na blacie stołu.

- Dlaczego zniszczyłeś swoje własne życie dla Winthropa Lehmana?

Ojciec uśmiechnął się jakoś dziwnie.

- Każdy z nas ma swoje tajemnice, Charlie. Chciałbym cię o coś prosić. Prowadzisz to śledztwo dla mnie, a ja nawet nie umiem ci powiedzieć, co to dla mnie znaczy. - Jakieś iskierki zabłysły w jego oczach, co Charlie odczytał jako wyraz wdzięczności. - Teraz jednak chciałbym, żebyś powstrzymał się z dalszym działaniem. Charlie, wybierzmy się na ten weekend do Maine. Czuję, że mi to dobrze zrobi.

- Do Maine?

Ojciec mówił o drewnianym domku w południowej części stanu Maine, gdzie w czasach młodości Charliego spędzali każdego roku latem co najmniej miesiąc.

- Z przyjemnością - odpowiedział. - Chcesz mi tam coś powiedzieć?

- Tak.

- O tym wszystkim?

- Właśnie.

- Nie trzymaj tego w sobie.

- Powiem jedynie, że to dotyczy mnie i ciebie. Przeszłości. Powiem ci wszystko.

Wiesz, jak to jest z lisem i z psami?

- Jakaś metafora?

- Nigdy ci o tym nie mówiłem? Ścigają się i nagrodą dla psów jest śniadanie, a dla lisa... życie. Teraz jesteś psem, ale uważaj, żebyś nie stał się lisem. Zrobisz to dla mnie?

- Nie mogę, tato.

- Możesz. Nie stań się lisem. Masz pewne informacje. Możesz zagrozić, że ich użyjesz, gdyby się to okazało konieczne. Zrób to dla mnie, Charlie. Dla mnie rzuć to wszystko. Wytłumaczę ci później, dlaczego.

Charlie przez jakiś czas siedział nieruchomo w milczeniu. Minęło pięć, dziesięć, dwadzieścia sekund. Wreszcie skinął głową.

- Robię to z niechęcią - mówił wolno - ale zrobię...

- Dziękuję, teraz potrzebuję twojej pomocy. Pomóż mi odnaleźć tego zwariowanego psa.

Podszedł do drzwi wychodzących z kuchni na podwórze, otworzył je, wysunął głowę

na zewnątrz i wołał psa.

- Lubi pozostawać w nocy na dworze. Dziwaczne, większość psów woli być w domu.

Obaj, syn i ojciec, stali w drzwiach.

- To, co robiłem - powiedział po chwili milczenia Charlie - robiłem dla ciebie.

\*\*\*

Była pierwsza piętnaście, kiedy przechodzący mniej więcej co dziesięć minut ulicą Hilliard Street Rosjanin w skórzanej kurtce zobaczył, że w oknach domu Alfreda Stone'a zgasło światło. Wrócił do kolegi siedzącego w opancerzonym wozie.

- Spiesz, pora - powiedział cicho.

Brodacz poszedł w tył samochodu i odnalazł torbę, w której między innymi narzędziami miał potężne nożyce do cięcia drutu, czarne gumowe rękawice i przyrząd do cięcia szkła.

Szli pewnym krokiem dwóch mieszkańców Cambridge powracających z wieczornego przyjęcia. Okrążyli dom Stone'a i wyszli na jego tył.

Skrzynka rozdzielcza dopływu prądu była dokładnie w tym miejscu, o którym ich poinformowano. Brodacz włożył gumowe rękawice i odkręcił trzy śruby, odłączył główny kabel pozabawiając w ten sposób cały dom dopływu prądu. Nożycami przeciął druty telefoniczne.

W tym czasie jego towarzysz sprawdzał okna w kuchni i stwierdził, że są zamknięte.

Na jednej z szyb umieścił gumową przysawkę i diamentem zarysował wokół wielkie koło.

Mocno pchnął i wycięte koło szyby poddało się. Przysawka trzymała szkło zapobiegając jego upadkowi na podłogę w kuchni. Człowiek włożył rękę w wycięcie i przekręcił zamek, po czym otworzył okno. W trzy minuty później obaj mężczyźni byli wewnątrz domu. Uczynili to całkowicie bezszelestnie.

\*\*\*

Stone spał niespokojnie. Wiedział już zbyt wiele, żeby wszystko ot tak, po prostu, pozostawić.

Obudził się i leżał patrząc w sufit, na który patrzył już tyle razy jako dziecko i jako chłopiec. Nagle usłyszał ciche, stłumione uderzenie. Czyżby na dole? Ktoś przechodził koło domu? W nocy słuch staje się wyczulony. Ktoś opuszczał żaluzje?

Nagle Peary zaczął szczekać, co było dziwne, gdyż nigdy nie szczekał w nocy.

Obrócił się, żeby spojrzeć na świecące cyfry radiowego zegara. Przez chwilę myślał, że nie stoi on na swoim miejscu na stole. Zrozumiał jednak, że po prostu cyfry nie świecą. Czyżby przypadkowo wyłączył zegar z kontaktu? Usiadł i wyciągnął rękę, żeby zapalić lampkę. Ciemno. Zapewne nie było prądu. Telefon stał w holu. Chciał zatelefonować do pogotowia elektrowni. Oczywiście było, że linia została gdzieś uszkodzona. Może jakiś samochód uderzył w słup i zerwał linię. Podniósł słuchawkę. Cisza.

Wtem usłyszał bolesny, świdrujący skowyt, dźwięk nie wychodzący z ludzkiego gardła. Stone wiedział, że to pies.

Ktoś był na dole.

Wrócił do pokoju po buty, ażeby potem zejść na parter, i...

W holu ktoś był. Wysoki brodacz. Zbliżał się do niego. W sylwetce tego człowieka coś wydawało mu się przerażająco znajomego...

- Co skurwysynu... - krzyknął.

Rzucił się na niego, chwycił go za ramię i wykręcił je. Intruz drugą ręką zwiniętą pięść uderzył Stone'a w żołądek. Charlie, wykorzystując element zaskoczenia, rzucił tamtego

na podłogę. Napastnik był jednak silniejszy i zrywając się trzasnął Stone'a pięścią w twarz, co odrzuciło go do tyłu, na ścianę. Wtedy dostrzegł, że tamten ma wystający z ukrytej pod kurtką kabury rewolwer. Rzucił się ponownie na napastnika. Bronił siebie, ojca, ich domu, co dodawało mu sił. Płaską dłoń trafił tamtego w podbródek, tak że mu głowa odskoczyła do tyłu. Potem pchnął go tak silnie, że intruz poleciał na lustro wiszące na ścianie. Szkło pękło i kaskada odprysków posypała się na podłogę holu. Skoczył ponownie do przodu i w tym momencie poczuł ostre dźgnięcie z tyłu. Coś przebiło mu skórę. Za nim stał drugi człowiek. Byli w przewadze. Gdy się odwrócił, zobaczył, że tamten trzymał w ręce strzykawkę.

Z końca korytarza dobiegł krzyk. Ojciec stał w drzwiach swojego pokoju i przerażony krzyczał ochryple.

- Uciekaj, uciekaj! - wrzasnął Stone. - Uciekaj!

Odwrócił się w kierunku pierwszego napastnika i kiedy podniósł pięść do uderzenia, poczuł oszołomienie. Nie potrafił skoordynować ruchów, tracił równowagę. Miał uczucie, że leci głową w dół, leci ogromnie długo. Wszystko ogarnęła nieprzenikniona ciemność.

\*\*\*

Dzwonek. Ostry, wierzący dzwonek był pierwszym dźwiękiem, jaki do niego dotarł. Bolesnie ostry. Był obolały, czuł, że jest spuchnięty. Głowa mu ciążyła. Leżał na podłodze w gabinecie ojca z głową na dywanie. Wokół było jaskrawie jasno... światło dzienne. Słyszał dźwięk dzwonka u drzwi. Ktoś naciskał go nerwowo. Próbował się podnieść, ale był oszołomiony, czuł mdłości, był chory. Ponownie starał się unieść pulsującą głowę. Wymagało to bolesnego wysiłku, ale musiał uciszyć to dzwonienie. Chwytał za krawędź dębowego biurka ojca i powoli podźwignął się. Patrzył z przerażeniem, z niedowierzaniem. Czuł, jak krew mu przestaje krążyć, a serce w piersiach eksploduje.

To był ojciec.

To niemożliwe, niemożliwe! To jakaś straszliwa mara. Chyba jeszcze śpię, wmawiał sam sobie. Śni mi się, to nie może być prawdą.

Krew była na biurku, na papierach, wszędzie. Ciemne zakrzepłe kałuże ludzkiej krwi. Krew jak rozlana purpurowa farba na piżamie ojca. Ciało pokrywały głębokie rany, zacięcia, czerwone linie, ślady pchnięcia nożem. Na piersiach, krtani, twarzy. Usta były otwarte.

- Nie, nie - mamrotał - O Jezu, nie, Boże, nie.

Stał sparaliżowany z przerażenia. Ojciec został zakłuty na śmierć. Ciało leżało wciśnięte w fotel za biurkiem, zmasakrowana twarz odrzucona do tyłu. Cały był w głębokich, straszliwych ranach kłutych, szarpanych, zadanych przez oszalałego napastnika. Stone zauważył, że z jednej z ran sterczał długi nóż z czarną rączką, jeden z kuchennych noży ojca. Rzucił się jak szalony w kierunku ciała. Z gardła wydarł mu się urywany szloch.

Przywróci go do życia, wskrzesi. To musi być możliwe. Uratuje jego życie. "O Jezu!" - wydarło mu się z piersi. Ciężko dyszał, klękając przy ojcu.

Dzwonek ucichł, ale po chwili ktoś zaczął walić w drzwi. Głośny trzask. Nie miał czasu, żeby zwracać uwagę na te odgłosy. Musiał ratować życie ojca. Uratuje go.

Z oddali, chyba z parteru słyszał dobiegające głosy krzyczących coś ludzi. Ktoś wołał jego imię. Nie odpowiadał, teraz nie miał na to czasu. Położył ręce na pokiereszowanej piersi ojca, podtrzymywał jego opadającą głowę. Nie, nie, teraz zostawcie mnie w spokoju.

Kątem oka dostrzegł przez okno granatowe mundury. Policja. Chciał do nich krzyknąć, że nie ma czasu, że zajęty jest ratowaniem ojca, gdy sygnał z głębi mózgu podpowiedział mu, że nie idą na ratunek. Nie przyszli, żeby ratować ojca.

Uciekać! Musi to zrobić dla ojca. Trzeba natychmiast uciekać!

## 20. Moskwa

Wizyta w Sądowym Instytucie Psychiatrycznym uczyniła ze Stefana Kramera i jego ojca terrorystów. To, co zrobiono z jego bratem Awramem Kramerem, było jedynie ostatnią kroplą. Stefan czasami skłonny był wierzyć, że jego rodzinie los przeznaczył takie pieskie życie.

Kiedy tego wieczoru wracali do domu z Instytutu Psychiatrycznego, ojciec po raz pierwszy opowiedział Stefanowi historię koszmarnych lat, kiedy był więziony. W czasie Wielkiej Wojny Narodowej dostał się do niemieckiej niewoli. W innym kraju i w innej epoce byłby bohaterem wojny. W Rosji został zdrajcą, za to, że był zbyt waleczny, za to, że zbyt wiele ryzykował i... dał się złapać. W łagrach widział okropności, które zahartowały go do końca życia. Jeden z jego towarzyszy więźniów, aresztowany pod enigmatycznym zarzutem "antyradzieckiej propagandy", odmówił złożenia podpisu pod aktem przyznania się do winy. Zastosowano więc wobec niego jedną z bardziej znanych form tortur. Kazano mu zdjąć spodnie, kalesony i usiąść na podłodze. Dwóch podoficerów przygniotło mu nogi, a prowadzący śledztwo postawił nogę w podkutym bucie na jego członku i jądrach. Wolno, stopniowo zaczął je naciskać. Torturowany przyznał się do wszystkiego, czego od niego żądano, w ciągu pięciu sekund i natychmiast zemdleł. Inny więzień został ciężko poraniony, kiedy w odbytnicę wtłoczono mu rozpalony do czerwoności pręt metalowy. Gdyby się natychmiast nie przyznał do tego, czego chciano, wsadzono by pręt głęboko we wnętrzości. Chorował potem długo i krwawił całymi dniami.

Jakow Kramer uniknął tortur przynajmniej do czasu, kiedy to dwaj zekowie wylali mu kwas solny na twarz. Jego odraza do radzieckiego systemu utrwaliła się jednak nieco później. Stało się to w dniu, w którym, w kilka tygodni po fakcie, dowiedział się o śmierci Stalina. Więźniów jak zwykle wygnano z baraków o 4 rano, zapędzono do brudnej sali na "zupę z czarnej kapusty", w rzeczywistości była to niejadalna zupa z pokrzywy, a następnie zaprowadzono na glinianki, gdzie kopali glinę przeznaczoną do wyrobu cegieł. W czasie pracy pozostawiano ich na ogół samym sobie. Strażnik siedział w dość dużej odległości i niewiele się nimi interesował. Kramer zaczął się uważniej przyglądać współwięźniom. Ogolone szare i smutne głowy, rozgorączkowane oczy głęboko zapadłe w oczodołach i otoczone pomarszczoną, bladą skórą twarzy. Sprawiali wrażenie poruszających się trupów. Kramer miał równocześnie wrażenie, że on sam wygląda podobnie odrażająco i że nikt nie chciałby na niego patrzeć. Zaczął cichą rozmowę z człowiekiem, którego niedawno przywieziono z Moskwy. Jak się tam teraz żyło? Jakow chciał się dowiedzieć. Czy było jeszcze gorzej niż przed wojną?

Moskwianin opowiedział mu historię, która ostatnio krążyła po Moskwie. W jednej ze stołecznych dzielnic odbywała się partyjna konferencja, na zakończenie której sekretarz partii wezwał do złożenia hołdu wielkiemu przywódcy towarzyszewi Stalinowi. Wszyscy oczywiście zerwali się na nogi i manifestowali. Krzyczeli i klaskali, owacji nie było końca. Minęło pięć, potem dziesięć minut. Zebrani byli już osłabieni, a niektórzy obawiali się, że zemdleją. Nie mogli jednak przestać manifestować swoich uczuć. Na sali znajdowali się ludzie z NKWD. Uważnie przyglądali się sali wypatrując sygnałów malejącego entuzjazmu. Publiczność więc, coraz bardziej zdesperowana, biła brawa. Wreszcie pewien dyrektor lokalnej fabryki stojący na przodzie obok działaczy partyjnych wziął to na siebie i usiadł. Cała sala z uczuciem ogromnej ulgi poszła w jego ślady. Jeszcze tego samego dnia wieczorem dyrektora aresztowano. Historia stała się tak głośna, że musiała być prawdziwa - stwierdził opowiadający.

Kramer słuchał skonsternowany. Odczekał chwilę, gdyż właśnie przechodził obok

nich strażnik, a kiedy on się oddalił, usłyszał:

- Stalin umarł, ale i tak żyją jego pretorianie.

W tym właśnie dniu ślubował sobie, że jeśli kiedykolwiek wyjdzie stąd żywy, nigdy nie zapomni tego, co zrobiono jemu i jego braciom współwięźniom pomordowanym w łagrach. Zadba, ażeby Rosja o tym nigdy nie zapomniała...

\*\*\*

W 1956 roku, kiedy Nikita Chruszczow wygłosił na XX Zjeździe partii swoje słynne "tajne przemówienie", w którym potępił Stalina, miliony zeków, więźniów politycznych, wśród nich i Jakow, zostało zwolnionych. Zaprzyjaźnił się później z grupką byłych zeków, którzy, tak jak on, przeżyli te wszystkie okropności. Pomagali sobie nawzajem w przystosowaniu się do życia poza obozem, obserwowali, jak rosą ich dzieci, i nadal nosili w sobie głęboką nienawiść do systemu, który wyrządził im tak ogromną krzywdę. Czuli narastający w nich gniew. Zaczęli między sobą rozmawiać na temat terroryzmu... Chcieli zrobić coś, żeby dać ujście przemożnej wrogości... coś zniszczyć, wysadzić.

Pewnego dnia na początku lat sześćdziesiątych kilku z tej grupy - Kramer nie chciał w tym uczestniczyć - postanowiło dokonać zamachu bombowego. Poprzez przyjaciela pracującego w fabryce instrumentów pomiarowych wystarali się o dynamit i skonstruowali bombę, którą w walizce podrzucili na ulicy Gorkiego. Bomba była potężniejsza, niż tego oczekiwali, i wybuchając poważnie poraniła kilkunastu niewinnych przechodniów. List z informacją o zamachu wysłali do korespondenta pewnej amerykańskiej agencji, który opublikował całe literackie oskarżenie radzieckiego systemu. Zdumiewające było to, że nikt z zamachowców nie został aresztowany. Rzecz miała miejsce przed dwunastu laty.

\*\*\*

- Czasami - powiedział Jakow na zakończenie swojej opowieści - wszystko może się ułożyć dobrze.

- Tak - potwierdził syn, chociaż myślami był gdzie indziej. - Może się ułożyć dobrze. Tego wieczoru Stefan postanowił podjąć działalność terrorystyczną. Długo siedzieli z ojcem planując uderzenie mające doprowadzić do uwolnienia Awrama. Rozmawiali w kuchni. Szczęśliwie Sonia wyszła z wizytą do przyjaciółki. Jakowowi zależało na tym, żeby jej w nic nie angażować.

- W żaden inny sposób nie zmusimy ich do zwolnienia Awrama - mówił Stefan. Miał na sobie przepoconą koszulę, której wystrzępione rękawy były za krótkie i ustawicznie nerwowo je obciągał.

- Nie możemy domagać się zwolnienia Awrama - sprzeciwiał się ojciec. - Władze natychmiast domyślą się, kto za tym wszystkim stoi. Natychmiast zajmą się nami.

- Nie, na tym polega cały mój plan. Będziemy domagali się zwolnienia wszystkich więźniów politycznych z Sądowego Instytutu. Jest ich tam kilkudziesięciu i nikt nie będzie właśnie nas podejrzewał.

- Tak - Jakow myślał na głos. - Naszym żądaniom też nie nadamy publicznego rozgłosu. Wystosujemy list zaadresowany jedynie do Gorbaczowa. Tak. Zwolnijcie tych ludzi, a ataki ustaną. Jeśli nie, opublikujemy nasze żądania. Kreml będzie musiał ustąpić po prostu, ażeby się bronić... będą działali w interesie własnym.

- To dlaczego nie nadać od razu rozgłosu naszym postulatom?

- Po to, żeby Kreml mógł przyjąć nasze warunki, nie tracąc twarzy, nie ukazując swoich słabości, bez obawy, że i innych zachęca do dokonywania aktów terroru.

- Rozumiem - Stefan ponownie obciągnął rękawy swojej koszuli.



- Czy znasz się choć trochę na robieniu bomb?

Odpowiedział po chwili przerwy:

- Tak, trochę. Nie jestem ekspertem, ale nauczyłem się tego i owego w więzieniu.

Jakow zaśmiał się krótko, gorzko.

- Czas, jaki tam spędziłeś, nie był całkowicie zmarnowany. Jak jednak bez materiałów...

- Mogę je dostać.

Jakow potrząsnął głową.

- Problem w tym, gdzie uderzymy - zauważył Stefan.

- Musimy wzbudzić maksimum zainteresowania - powiedział ojciec. - Nasz rząd ma szczególny talent w ukrywaniu tego, co chce ukryć, w zaprzeczaniu, że cokolwiek się wydarzyło. To musi być widoczne i głośne. Cel może mieć znaczenie symboliczne.

- Jaki na przykład?

- Na przykład plac Czerwony, metro, centralny urząd pocztowy - wymieniał. - A może któryś z przywódców z Kremla? Ktoś o szczególnie obmierzłej reputacji?

- Borisow - wpadł w słowo Stefan.

Borisow, kierownik Wydziału Administracyjnego w Komitecie Centralnym, był znany jako jeden z najbardziej odrażających aparatczyków całej olbrzymiej radzieckiej nomenklatury, klasy uprzywilejowanej. Uporczywiej i głośniejszy niż ktokolwiek w radzieckim aparacie władzy domagał się szerokiego wykorzystania szpitali psychiatrycznych do zduszenia tych, którzy głosili odmienne poglądy. I obecnie, kiedy większość więźniów tego rodzaju szpitali została zwolniona, Borisow prowadził kampanię na rzecz przywrócenia tej szczególnie upokarzającej formy karania. Opinia publiczna żywiła wobec niego szczególnie wrogie uczucia.

- Borisow - zgodził się ojciec. - Takoj ch...! - dodał ze złością.

- Dowiemy się, gdzie mieszka - powiedział Stefan. - To nie powinno być trudne.

- Stefan, słuchaj - Jakow odruchowo dotknął zdeformowanej części twarzy. - Co my właściwie chcemy zrobić? Ja jestem już na to za stary.

Stefan zacisnął wargi, nagle jakby zeszywniał. Poczował, że na zimnych plecach dostaje gęsiej skóry.

- To moja sprawa - wyszeptał. - Ja to zrobię. Gwałtownie otwarte drzwi przstraszyły ich obu. Weszła Sonia.

- Przepraszam - powiedziała. - Czy przeszkadzam?

- Ależ skąd, kochana - miękko odezwał się Jakow. - Właśnie skończyliśmy.

21.

Milicjant z niewielkiej budki wartowniczej przy Prospekcie Kutuzowa 26 miał polecenie informować o pojawieniu się każdego podejrzanego osobnika - ostatecznie strzegł budynku, w którym mieszkali członkowie KC - ale nie zdarzyło się jeszcze, żeby musiał korzystać z telefonu. Siedział na wartowni i identyfikował kierowców samochodów wjeżdżających na parking dając im znak głową i do tego ograniczało się całe jego zajęcie. Nie była to praca interesująca. W zimie było zimno i trzeba było wciągać dwie pary wojskowych rękawiczek.

Milicjant nie lubił czytać, ale samotność i nuda nie dawały innych możliwości.

Przeglądał więc "Prawdę", "Izwestija", "Wieczorną Moskwę" i coś tam jeszcze. Nie przeszkadzało mu to w kiwaniu głową kierowcom przejeżdżającym obok samochodów. W nocy zresztą niewiele samochodów wjeżdżało na parking. O trzeciej zastąpił go milicjant z drugiej zmiany nocnej. Rozmawiali przez jakieś dziesięć minut, nie zwracając uwagi na

parking, na którym i tak panowała całkowita cisza.

Wtedy właśnie, ubrany w szary waciacz robotnika, Stefan Kramer wszedł na parking ciężkim krokiem spracowanego człowieka, który wolałby w tym momencie spać w swoim łóżku. Gdyby go milicjanci zobaczyli, niewątpliwie zaczęliby zadawać pytania.

Odpowiedziałby, że przekłeta winda nawaliła, a intendent budynku brutalnie ściągnął go z łóżka. Są tam jakieś problemy albo z kablami wyciągu, albo z kontaktami stropowymi. Faceci i tak nie mieliby pojęcia, o czym mówi. Zapytałby, czy nie mieli telefonu uprzedzającego o jego pojawieniu się. Milicjanci kierując się instynktem nakazującym im szanowanie doskonałego miejsca pracy niewątpliwie wpuściliby faceta tak świetnie znającego się na windach. Za nic w świecie nie chcieliby się narażać na gniew prominentów z KC, którzy - co nie daj Bóg - mogliby być zmuszeni do chodzenia piechotą po schodach.

Nikt jednak Stefana nie zauważył.

Czarna wołga znajdowała się na końcu rozległego garażu, w miejscu, które mu dokładnie opisano. Przed kilkoma dniami ponownie skontaktował się ze swoim towarzyszem z celi w Lefortowie, z Fiodorowem, i poprosił go, żeby odnalazł kogoś, kto ma nieco informacji na temat mieszkańców właśnie tego budynku należącego do KC. Fiodorow znalazł jakiegoś mechanika samochodowego, który tu wykonywał pewne prace i wiedział, w którym miejscu parkowany jest samochód Borisowa.

Zgadzało się, samochodu nie było widać z wartowni.

Natychmiast zabrał się do pracy. Wśliznął się pod samochód. Asfalt był zimny i wilgotny. Z ust przy oddechu wydobywały się kłęby białej pary.

Biały plastik wybuchowy, jaki otrzymał od Fiodorowa, wymodelował tak, że uzyskał dwa niewielkie wałeczki, które włożył do foliowych woreczków. Do każdego z wałeczków dołączona była spłonka, a te z kolei dołączono do elektrycznych detonatorów. Te ostatnie łączyły się z małym odbiornikiem radiowym, z urządzeniem podobnym do tych, jakie noszą przy sobie zachodni lekarze w celu utrzymywania stałego kontaktu ze swoimi gabinetami. Z miniaturowego radia usunięto głośnik, który został zastąpiony elektrycznym przekaźnikiem. Kiedy odbiornik przyjmie sygnał z urządzenia nadawczego, a zasięg tego urządzenia wynosił kilka kilometrów, przekaźnik uruchomi wyłącznik, a ten zamknie obwód. W rezultacie samochód wyleci w powietrze.

Stefan jeden z wałeczków umieścił pod bakiem samochodu, drugi z przodu podwozia uważając, by nie były widoczne przewody. Pierwsza część zadania została wykonana.

Wyczołgał się na plecach spod samochodu i czołgając się nadal dotarł do miejsca, w którym nie mógł być zobaczony ani z wartowni, ani z głębi budynku. Wyjście z parkingu stanowiło problem. Wolał nie ryzykować, że zaczepi go milicjant. Resztę nocy spędził więc w magazynku dozorczy pod samochodami, jak mu sugerował Fiodorow.

Dzięki dokładnym przygotowaniom Stefan zebrał sporo informacji na temat przyzwyczajień Borisowa. Bardzo pomógł mu w tym Fiodorow. Dowiedział się, kiedy przychodzi kierowca Borisowa; o której zazwyczaj Borisow wychodzi ze swojego mieszkania; która z czarnych wołg na parkingu należy do niego; o której następuje zmiana milicjantów w budce wartowniczej.

O szóstej trzydzięci rano, kiedy ze służby schodziła zmiana nocna, a wartę obejmowała poranna, Stefan wyszedł wmieszany w grupkę wartowników, którzy pełnili służbę w budynku, na poszczególnych piętrach. Przez godzinę czekał, siedząc w samochodzie ojca zaparkowanym w odległości jednej przecznicy od domu z numerem 26 przy Prospekcie Kutuzowa. Dokładnie o siódmej trzydzięci pojawił się szofer Borisowa.

Stefan poczuł pewne wątpliwości.

Kierowca był młodym, przeciętnie wyglądającym Rosjaninem. Zapewne miał żonę i jedno lub dwoje dzieci. Stefan nie życzył mu śmierci. Kierowca był niewinnym człowiekiem. Niczego jednak nie mógł zmienić. Tamten musiał umrzeć z Borisowem.

Stefan musiał się pogodzić z myślą, że to, co robi, pochłonie również życie niewinnych ludzi.

O siódmej czterdzieści, pięć minut później, niż przewidział Fiodorow, Borisow wyszedł z budynku razem z kierowcą. Stefan natychmiast rozpoznał go na podstawie fotografii. Był pękatym, pewnym siebie mężczyzną w drogim garniturze, który leżał na nim dobrze przed pięcioma czy sześcioma laty. Od tamtego czasu przytył w sposób oczywisty. Wraz z kierowcą poszli do samochodu i gdy Borisow wsiadał, kierowca przykłąkł i sprawdzał podwozie. Ze sposobu, w jaki to robił, jasne było, że czynność ta jest rutynowa. Było rzeczą całkowicie nie do pomyślenia, żeby do samochodu należącego do członka Komitetu Centralnego mógł się ktokolwiek dobierać. Coś takiego w Rosji nie mogłoby się wydarzyć. Niczego nie dostrzegając kierowca wyprostował się i siadł za kierownicą. Stefan widział, jak wołga wysuwa się ze swojego miejsca na parkingu, jak kierowca i milicjant w wartowni wymienili kiwnięcia głową i jak samochód włącza się w strumień ruchu na Prospekcie Kutuzowa. Stefan jechał za nim trzymając się w bezpiecznej odległości. Nie chciał budzić czyjegokolwiek podejrzania. I tak znał drogę, jaką zawsze rano pokonywał Borisow. Myślał o tym, czego zaraz dokona, i robiło mu się słabo. Wiedział jednak również, że jeśli tego nie zrobi, ryzykuje, że bomba zostanie odkryta, co zagrażało całej zaplanowanej operacji.

Samochód Borisowa minął Prospekt Kutuzowa i wjechał w jego przedłużenie, którym był Prospekt Kalinina. Tu stanął pod światłami. Wydawało mu się z daleka, że widzi, jak Borisow przegląda jakieś papiery. Szybko przykręcił długą na dwadzieścia kilka centymetrów antenę do nadajnika i położył palec na guziku. Zamknął oczy i miał wrażenie, że widzi przed sobą twarz brata. Szepnął "za ciebie" i przycisnął guzik.

Huk był ogłuszający. Wołga eksplodowała przeobrażając się w kulę czerwonych płomieni. Samochód rozpadł się na dwie części, a jego kawałki rozsypywały się po szerokim Prospekcie. Słup czarnego dymu wzbił się prosto w górę. Przechodnie gapili się zdumieni i przerażeni. Robota została wykonana.

\*\*\*

Jeden z odłamków upadł na chodnik tuż koło przechodzącego Andrew Langena, drugiego sekretarza ambasady amerykańskiej w Moskwie, który w rzeczywistości był pracownikiem Wydziału Radzieckiego Departamentu Operacyjnego CIA. Langen nie znał się na materiałach wybuchowych, ale ostatnio uczestniczył w seminarium zorganizowanym przez Agencję, a poświęconym problemom terroryzmu. Miał też wystarczająco dobry refleks, żeby podnieść odprysk i zabrać ze sobą. Przy wykonywaniu tego poparzył sobie boleśnie lewą rękę.

\*\*\*

Zamach bombowy na Borisowa stał się sensacją prasy światowej, a informacje na ten temat znalazły się na pierwszych stronach gazet począwszy od londyńskiego brukowca "News of the World" i innych dzienników brytyjskich po paryski "Le Monde" i hamburski "Bild Zeitung". "New York Post" zamieścił na pierwszej kolumnie ogromny tytuł "Czerwony boss zabity". Na pierwszej kolumnie "The Wall Street Journal", w rubryce "Co nowego", informację podano z typową dla tej gazety wstrzemięźliwością: "Wysoko postawiony radziecki urzędnik Siergiej I. Borisow został zabity w Moskwie. Podłożona pod jego samochód bomba wybuchła na jednym z głównych bulwarów miasta. Nikt nie przyznaje się do dokonania zamachu".

"New York Times" na kolumnie komentarzowej zamieścił analizę pióra jednego z

ekspertów Instytutu Harrimana przy Uniwersytecie Columbia. Autor wyrażał pogląd, że zamach był dziełem wewnętrznej opozycji na Kremlu. Ted Koppel w swoim wieczornym programie telewizyjnym "Nightline" wspominał o wydarzeniu. Agencja Informacyjna TASS, która w ostatnich latach informowała o wszystkim coraz szerzej, na ten temat nie zamieściła ani słowa.

22.

Prezydent Związku Radzieckiego Michaił Gorbaczow nie ma oficjalnej rezydencji, czegoś w rodzaju Białego Domu czy Buckingham Palace. Ma natomiast mieszkanie w Moskwie, daczę pod Moskwą i daczę nad Morzem Czarnym. W przeciwieństwie do swoich poprzedników, którzy mieszkali przeważnie przy Prospekcie Kutuzowa pod numerem 26, Michaił Gorbaczow wolał mieszkać w daczynie znajdującej się na zachód od miasta, przy Rublowskoje Szosse.

Gorbaczow zaprosił swoich gości na późną godzinę nocną. Już po północy. Normalnie nie pracował do późna i zazwyczaj o jedenastej był w łóżku. I bardzo rzadko, niemal nigdy nie zwoływał posiedzeń u siebie w daczynie. Zaproszeni tym razem trzej jego goście wyczuwali intuicyjnie napięcie, jakie towarzyszy zazwyczaj sprawom najwyższej wagi.

Trzy limuzyny ził dojechały do znaku stop, gdzie stali uzbrojeni strażnicy, którzy dokładnie sprawdzili samochody, zanim dali sygnał zezwalający na dalszą jazdę. Przy wysiadaniu zostali skontrolowani przez kolejny posterunek, który dyskretnie szukał ukrytej broni.

Trójkę gości stanowili: szef KGB Andriej Pawliczenko, najbardziej zaufany doradca Gorbaczowa Anatolij Łukianow i najbliższy sojusznik prezydenta w Biurze Politycznym Aleksander Jakowlew.

Przybyli weszli do wnętrza willi, w której panowała cisza. Przeszli przez salonik umeblowany przez Raisę, o ścianach pokrytych ozdobnymi angielskimi tapetami, i weszli do gabinetu prezydenta.

Gorbaczow siedział za biurkiem. Łysą głowę oświetlał krąg światła padającego ze stojącej na biurku lampy. Ubrany był po domowemu, w szare spodnie i niebieski pulower. Promieniowała od niego siła i pewność, choć równocześnie wyglądał na zmęczonego. Smugi pod jego oczami były ciemniejsze niż zwykle.

- Proszę, wchodźcie - powiedział. - Siadajcie - wskazał na rozstawione wokół biurka fotele.

Kiedy się rozsiedli, zaczął mówić. Widać było, że jest w stanie napięcia.

- Przykro mi, że wam przeszkodziłem... że oderwałem was od żon czy dziewczyn - twarz mówiącego musnął przelotny uśmiech. - Jesteście jednak tymi, których znam i którym wierzę. Potrzebna mi wasza rada.

Wszyscy przytaknęli.

- Stoimy wobec problemu, który może mieć daleko idące konsekwencje. Mamy już drugi wypadek działalności terrorystycznej w Moskwie w ciągu dwóch tygodni. - Gorbaczow mówił dalej wiedząc, że jego goście znają dokładnie informacje na temat śmierci Borisowa. - Spośród członków Biura Politycznego tylko wam mogę w pełni zaufać. Potrzebna mi wasza pomoc - zwrócił się do nowo mianowanego szefa KGB. - Andrieju Dmitrijewiczu, Siergiej Borisow był twoim przyjacielem.

Pawliczenko poczerwieniał z gniewu i przygryzł dolną wargę. Pochylił głowę, potem ją podniósł.

- Tak, to prawda - przytaknął.

Aleksander Jakowlew, który na pękatym nosie nosił przyciemnione okulary, dorzucił:

- Czyż jest możliwe, żeby te akty gwałtu zostały popełnione przez zwykłych politycznych dysydentów? Czy jest to możliwe?

- Tak - włączył się Łukianow. - Ci terroryści w jakiś sposób znaleźli dostęp do sprzętu zachodniej produkcji, być może europejskiego, być może amerykańskiego. Musieli sobie zapewnić współpracę antyradzieckich kół...

- Nie - szef KGB przerwał nieśmiało.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytał Gorbaczow.

Pawliczenko ponownie przygryzł dolną wargę i zaczął mówić tak, jakby przełamując własne postanowienie, że nie powie ani słowa:

- W czasie posiedzenia Biura wspomniałem, że materiał wybuchowy użyty w pierwszej z bomb to C-4, wyrabiany wyłącznie w Stanach Zjednoczonych.

- Tak - przerwał niecierpliwie Łukianow - ale co to...

- Nie powiedziałem wszystkiego - głęboko wciągnął powietrze i otwartą dłonią pomasaował się po brodzie. - Moi ludzie dokonali dalszych analiz i uzyskali wyniki, o których wolałbym nie słyszeć - przebiegł oczami po obecnych i wzruszył ramionami. - Jest to środek produkowany wyłącznie dla Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Twarz Gorbaczowa pozostawała przez chwilę nieruchoma i dopiero po kilku sekundach w jego oczach zamigotało zaniepokojenie. Głos miał jednak całkowicie opanowany, gdy zapytał:

- Co proponujesz?

- Amerykanie musieliby zwariować, żeby zrobić cokolwiek, co by nas osłabiało, czy nie tak? To wynika z konwencjonalnej logiki politycznych zmaganiań - w głosie szefa KGB dźwięczała ponura powaga.

- Nie rozumiem - powiedział Jakowlew.

- Napięcie pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą spadło do najniższego od czasów wojny poziomu - wyjaśniał Pawliczenko. - A więc ktoś przy zdrowych zmysłach w Waszyngtonie chciałby nas odsunąć od władzy?

Gorbaczow wzruszył ramionami:

- Wielu ludzi widziałoby mnie z chęcią z powrotem w Stawropolu.

- Bez wątpliwości - wtrącił Pawliczenko - ale nie ci z Waszyngtonu.

- Mogę sobie wyobrazić, że i tam by się tacy znaleźli - zaprzeczył Gorbaczow.

- Kompleks militarno-przemysłowy - podsunął Łukianow, którego wyobrażenia o Ameryce nie były nazbyt skomplikowane.

- A więc dobrze - podjął ponownie Pawliczenko. - Założyć można wszystko. Nie ma wątpliwości, że siły reakcyjne, które skorzystałyby z powrotu czasów zimnej wojny, są wszędzie. Przykładem jest cały aparat naszej partii. Można do tego dodać członków Biura, którzy wkrótce utracą swoje stanowiska. Co do tego nie ma wątpliwości, ale...

- Ale co? - zapytał Gorbaczow.

- Chciałbym jednak zasugerować, że te akcje terrorystyczne mogą być z powodzeniem koordynowane przez amerykański wywiad. Sugeruję, że Amerykanie być może... być może... współpracują z jakimiś siłami wewnątrz Związku Radzieckiego. Być może z kimś z naszego grona. Chcę powiedzieć, że siły, które chcą się nas pozbyć, działają tu, w tym kraju, gdzieś blisko nas.

Imperatorzy są z konieczności ludźmi nieszczęśliwymi, gdyż tylko ich zabójstwo może przekonać społeczeństwo, że zмова przeciwko ich życiu rzeczywiście miała miejsce.  
Domicjan

Część druga  
Pościg

### 23. Moskwa

Charlotte Harper doszła do przekonania, że nie jest łatwo być Amerykanką w Moskwie, a już całkiem nie do wytrzymania być Amerykanką w Moskwie żyjącą w separacji z mężem. Moskwa, jak każdemu wiadomo, pękała w szwach od samotnych mężczyzn szukających okazji.

Po przyjeździe przed rokiem do Moskwy trzymała się na uboczu i unikała romantycznych powikłań, w czym pomagał jej natłok zajęć zawodowych. Była zdecydowana na traktowanie separacji z Charliem jako czegoś przejściowego. Ułożą wszystko, on nauczy się respektować jej pracę, jej niezależność i ponownie będzie w porządku. Wkrótce jednak poczuła się ogromnie samotna. Przed dwoma miesiącami miała przelotny romans - jeśli słowo "romans" było tu odpowiednie - z attaché prasowym ambasady amerykańskiej, z panem w średnim wieku nazwiskiem Frank Paradiso. Sytuacja ta zrodziła w niej wiele wątpliwości. Czowała, że samotność i strach nie mogą być powodem przywiązywania się do kogoś, że jej małżeństwo jest o wiele ważniejsze niż jakikolwiek flirt. Gdy po raz pierwszy spotkała Franka na konferencji prasowej w ambasadzie, podobała się jej jego energia i sarkastyczny humor. Wydawał się być inteligentny i delikatny; nie miał obciążeń - był rozwiedziony. Zaprosił ją na lunch, najpierw do hotelu "National", a potem na kolację do "Pragi". I tak jedno prowadziło do drugiego. Trwało to przez cały miesiąc. Od tego czasu spędzała noce samotna, ale z lepszym samopoczuciem niż to, jakie miała przy Paradiso.

Charlotte wiedziała, że jest atrakcyjna lub raczej, co jej się wydawało trafniejsze, telegeniczna. Jej blond włosy i promienny uśmiech prezentowały się doskonale na tle murów Kremla. I oczywiście, jej praca była tym, co się liczyło najbardziej. Miała opinię amerykańskiego korespondenta w Moskwie o najlepszych kontaktach. Nieprzyjemnym skutkiem tego było to, że koledzy patrzyli na nią z zazdrością.

Powszechnie panowało przekonanie, że reporterzy telewizyjni nie mieli w Moskwie specjalnego pola do popisu. Jedyłą rzeczą, jaką mogli zrobić, to były dwu-, trzypięciominutowe nagrania, w czasie których odczytywali fragment artykułu z "Prawdy" bądź retransmitowali fragmenty wywiadu z radzieckim aparaczykiem i pokazywali się na tle Kremla czy cerkwi Wasyla Błażennego.

Za poważnych obserwatorów sceny radzieckiej uważali się jedynie ci zachlapani atramentem nikczemnicy z "Washington Post" czy "New York Times". Ci byli przekonani, że wszyscy inni korespondenci są jedynie dekoracją. Korespondentów agencyjnych uważali za coś niewiele lepszego od stenografów z sal sądowych, a już najgorzej mówili o grupie

korespondentów telewizyjnych. Byli zdania, że zyskiwali oni sławę i rozgłos, nie mając pojęcia o Rosji. Nie mówili nawet po rosyjsku. I w jakiejś mierze te snoby miały rację, choć Charlotte należała do wyjątków. W ciągu kilku lat stała się jedną z gwiazd wieczornego dziennika. Kierownictwo uważało, że się wybija i być może w ciągu roku zostanie prezydentem wydań sobotnio-niedzielnich. Na razie w centrali uważano, że dodaje blasku korespondencjom z Moskwy.

Ona jednak miała Moskwy dość. Miała dość wiecznie szarego nieba, ogromnych kałuż brudnego, topniejącego śniegu, dzikich tłumów, nieludzkiego ścisku w metrze, pustych półek sklepowych. W miarę jak rosła jej niechęć do tego smutnego miasta, rosła również jej niechęć do izolacji, jaką narzucała jej praca korespondenta. Po półtora roku, pomimo jej fascynacji językiem, historią i kulturą, zaczynała tęsknić do domu. Myślała o tym, żeby otrzymać przydział do Departamentu Stanu i znowu wrócić na pierwszą linię dziennikarstwa w kraju. Chciała naprawić swój związek z Charliem, powrócić do dawnych, szczęśliwych czasów, mieć rodzinę. Miała dosyć Moskwy, choć co chwila wydarzało się tu coś nieoczekiwanego. Powodowało to, iż znowu była zadowolona, że jest właśnie tutaj. Przed kilkoma dniami dokonano zamachu na wysokiej rangi radzieckiego dygnitarza. Jego samochód wyleciał w powietrze na Prospekcie Kalinina. Było to niebywałe wydarzenie. Niczego się jednak na ten temat nie można było dowiedzieć. Charlotte była przekonana, że jeśli ktokolwiek mógłby się w tej sprawie czegoś dogrzebać, to jedynie ona.

Pojechała do biura ABC i przez kilka minut rozmawiała z drobniutką, uroczą Rosjanką Wierą, która sprzątała, podawała herbatę i wykonywała różne drobne zlecenia, oraz z brodatym Iwanem, mężczyzną w średnim wieku, który miał wygląd rosyjskiego chłopca, a robił dla niej przeglądy prasy. Nie było wątpliwości co do tego, że oboje musieli składać raporty na jej temat w KGB. Byli jednak mili, pełni dobrej woli i swoją pracę starali się wykonywać jak najlepiej. Każde z nich miało swoje zdanie na temat tego, kto mógł być zabójcą Borisowa. Wiera uważała, że Estończycy, a Iwan, że po prostu zwykli dysydenci. Gazety nie zamieściły jednak najmniejszej wzmianki na ten temat, jak również nie wspomniano o tym w wieczornym dzienniku telewizyjnym "Wremia", który Wiera, jak zawsze, nagrała dla Charlotte na taśmę video.

Czasami z rozmów z Iwanem i Wierą Charlotte wynosiła dobre pomysły. Lubili ją - mówiła z nimi po rosyjsku - a ona lubiła ich. O tej sprawie nie wiedzieli jednak absolutnie niczego, tak jak nie wiedział nikt w całej Rosji.

Z Nowego Jorku nadszedł teleks. Do Moskwy chciał przyjechać szef działu informacji w Centrali i prosił, by zaaranżowała mu spotkanie... z Gorbaczowem. Oczywiście, dygnitarze w Centrali zawsze uważali, że mogą swoim pracownikom w Moskwie wydawać tego rodzaju polecenia. Pokiwała głową i zaśmiała się.

Zaczęła przeglądać taśmy z informacjami, jakie napłynęły w nocy z dalekopisów.

Wśród informacji z całego świata sprawa Borisowa zajmowała główne miejsce. Wyciągnęła się w fotelu i rozmyślała. Musi być jakiś sposób, żeby dobrać się do tej historii. W kilka minut potem odbyła półsłówkami krótką rozmowę telefoniczną i wyszła z biura. Wsiadła do samochodu i odjechała.

Nie minęła godzina, jak siadała do stołu w nowo otwartej restauracji serwującej dania gruzińskie. Towarzyszył jej naczelny redaktor znanego radzieckiego magazynu. Był dla niej źródłem dobrych, godnych zaufania informacji, "przecieków", czyli najczęściej tego, co usłyszał od kolegów, uczestników Zjazdu Deputowanych Ludowych. On ze swojej strony wierzył w jej dyskrecję i wiedział, że zrobi wszystko, żeby dokładnie ukryć źródło, z jakiego zaczerpnęła informacje.

- Nie - naczelny potrząsnął głową, łykając kawałki kury w sosie z papryki. - Nic na ten temat nie wiemy - wołał mówić po angielsku i posługiwał się tym językiem wcale płynnie. - Sądzę jednak, że się pani orientuje, że zamordowany, ten Borisow, był, o czym wszyscy

wiedzieli, bliskim przyjacielem szefa KGB.

- Słyszałam o tym - przytaknęła Charlotte.

Naczelny popatrzył na nią z uwagą.

- Niczego to pani nie mówi? - zapytał.

- Nie wiem - wołała usłyszeć jego opinię. - Niech mi pan powie.

Wzruszył ramionami.

- Wyciągam z tego wnioski, że w łonie naszego rządu może się toczyć zażarta walka o władzę. Gorbaczow opiera się na Pawliczence, na człowieku, którego mianował na jego obecne stanowisko. Potrzebne mu jest poparcie Pawliczenki, nie sądzi pani?

- Zapewne tak. Potrzebuje KGB, żeby utrzymać się przy władzy... żeby móc przeprowadzać reformy.

- Oczywiście. Nie jest wykluczone, że są ludzie, którzy nie sympatyzują specjalnie z ludźmi Gorbaczowa.

- Tak. Czy ci ludzie jednak będą się posługiwali metodami terrorystów? Ludzie z kręgów rządowych?

Naczelny ponownie wzruszył ramionami.

\*\*\*

Po lunchu pojechała do ambasady przy ulicy Czajkowskiego, gdzie przy kawie porozmawiała z Joshem Littenem, korespondentem "New York Timesa". Wychodząc zatrzymała się przy szafkach pocztowych i wyjęła korespondencję. Prasa, kilka listów, wyciąg z banku z Nowego Jorku. Nic szczególnego.

Wróciła do biura i rzuciła okiem na taśmę papieru spływającą z dalekopisów. Był to serwis Associated Press. Nic ciekawego.

Coś jednak przyciągnęło jej uwagę. Było to nazwisko Stone. Pochyliła się. Pierwsze słowo, jakie przeczytała, brzmiało "zabójstwo", potem szło nazwisko "Alfred Stone". Przerażona czytała cały tekst nie wierząc własnym oczom.

Alfred Stone, historyk z Harvardu, aresztowany w latach pięćdziesiątych za rzekome szpiegostwo na rzecz Związku Radzieckiego, został zamordowany.

Z trudnością łapała oddech. Alfred Stone, drogi, ukochany staruszek. Nie... Agencja" nadawała dalszą część informacji. Wynikało z niej, że mordercą był najprawdopodobniej syn zabitego, Charlie Stone. Zdrętwiała. Nie, to nie było możliwe. Zdarła papier z dalekopisu i niepewnym, chwiejnym krokiem poszła do swojego gabinetu. Upadła na fotel. Miała wrażenie, że zemdleje. W godzinę później ciągle jeszcze wczytywała się w informację AP. Jeszcze nie wyszła z szoku.

Charlie nie mógł zamordować ojca. To było całkowicie nie do pomyślenia.

Potrzebuje teraz jej pomocy. Nie było czasu do stracenia.

## 24. Saugus, Massachusetts

Motelowe łóżko zaśmiecone było pudełkami ze styropianu, plastikowymi butelkami, pojemnikami po gotowych daniach na wynos. Stone obudził się, przewrócił z boku na bok i usłyszał chrzęst giętych pudełek. Nieprzytomnym wzrokiem powiódł po motelowym pokoju, przyjrzał się pustym butelkom porzucanym po kątach i uświadomił sobie, gdzie jest.

Saugus. Był w motelu w Saugus, jakieś dwadzieścia mil na północ od Bostonu.

Był wrakiem człowieka. Oczy mu łzawiły, nie golił się od pięciu dni, od dnia morderstwa jego ojca. Z pokoju w motelu wychodził jedynie po to, by nabyć coś do jedzenia lub picia.



Jak się tu dostał? Zdumiony był, skąd znalazł tyle sił, żeby dowlec się do tego zapomnianego przez Boga motelu przy głównej ulicy w Saugus, przy której znajdowały się również tandetne meliny ze strip-teasem, tanie restauracje i liche chińskie garkuchnie. Przeżył okres załamania. Jego świadomość działała jedynie połowicznie, świat przesuwał się przed jego oczami jak zwolniony film rysunkowy.

A jednak mimo wszystko zdołał uciec.

Przypomniał sobie, że obudził się na podłodze w gabinecie ojca i stwierdził, że jego ojciec został brutalnie zamordowany. Coś w nim wtedy pękło. Pamiętał, że trzymał ciało w ramionach, patrzył w pokrwawioną twarz ojca i koniecznie chciał, ażeby tamten otworzył oczy. A potem były jakieś uderzenia w drzwi i trzech policjantów wpadło do domu. Choć był bardzo otumaniony, wiedział, po co przyszli - chcieli go aresztować. Słyszał, jak o tym mówili i coś podpowiedziało mu, że nie wolno tu pozostawać, że trzeba uciekać. Wyskoczył przez tylne drzwi i biegł podwórzami. Wybiegł na Garden Street, gdzie omal nie wpadł pod samochód. Tam też zatrzymał taksówkę. Powiedział kierowcy, żeby jechał przed siebie. Wszystko jedno gdzie, byle przed siebie. Chciał po prostu wydostać się z miasta. Taksówkarz zapytał, czy ma pieniądze. Pokazał mu pełny portfel. Miał szczęście, taksówkarz przejeżdżał przez Saugus, gdzie Stone kazał stanąć przed tanim motelem. Zapłacił znacznie więcej, niż się należało, i pozostał.

Przez następne dni czekał, by szok minął. Żył na pizzach i chińskich potrawach przynoszonych do pokoju. Popijał wódkę, scotcha i piwo, zagryzając hamburgerami od McDonalda, kupowanymi w chwilach rzadkich wypraw poza motel. Klientela w motelu była tego rodzaju, że właściciele nie pytali o nic. Uznali go za pijaka przechodzącego na napad alkoholizmu. Takich typów jak Smith widywali wielu, a ponad połowa spośród nich meldowała się pod tym nazwiskiem. Właśnie tego ranka szok wyraźnie się zmniejszył, a jego miejsce zajęły smutek, złość i zdumienie. Po raz pierwszy od pięciu dni miał poczucie, że jest wystarczająco silny, żeby wyjść z motelu. Było kilka spraw, które musiał załatwić.

Ktokolwiek zabił ojca, zabił również Saula Ansbacha... Kto był następny w kolejce? Dlaczego właściwie jego nie zabili? Mogli tego dokonać z łatwością. Fakt, że tego nie zrobili, był najlepszym świadectwem, że zastawili na niego pułapkę. Logika go jednak zawodziła i gubił się w domysłach. Być może Saul miał rzeczywiście rację. Być może wszystko to było w jakiś przemyślny sposób powiązane z operacją szpiegowską. Czyżby ktoś lub jakaś grupa dysponująca ogromnymi środkami uważała, że znalazł się na tropie tajemnicy tak ogromnej, że należało zrobić absolutnie wszystko, ażeby jej nie ujawniać?

Jakąż mogła być prawda, której tak strzeżono? Legendarny szef CIA James Angleton prawdę o świecie wywiadu określał frazą zapożyczoną z T. S. Eliota, mówiąc "lustrzany labirynt". Rzeczywiście często było to lustrzane odbicie, a później odbicie od innego odbicia, od jeszcze jednego odbicia...

Co do kilku spraw był przekonany. A więc, że był śledzony, że musi w jakiś sposób udowodnić swoją niewinność, że nie wolno mu nikomu ufać. Nie mógł współpracować z władzami, gdyż te, łącznie z lokalną policją, były infiltrowane. To samo dotyczyło Fundacji Parnassus.

Niemniej musiał wrócić do Bostonu.

Musiał zabrać to, co zostawił w depozycie w banku, wziąć pieniądze, paszporty, swój własny i fałszywy, który już zapewne czeka na niego na poczcie. No i wreszcie dokumenty. Zostawił je w domu ojca i jeśli jeszcze tam są, trzeba je zabrać. Jeśli ich już tamci nie znaleźli.

Powracał do rzeczywistości, która była straszliwa.

Była tylko jedna droga wyjścia. Należało wyświecić, kto jest w to wszystko zamieszany, w tę operację szpiegowską czy dywersyjną, czy cokolwiek to było. Należało ich odszukać, przeciwstawić się im, zmusić do ujawnienia. Stone mógł to zrobić dysponując

argumentami nie do obalenia i w pełni wiarygodną informacją. Chodziło nie tylko o dobre imię ojca. Teraz była to sprawa przetrwania. Charlie Stone nie mógł jednak normalnie powrócić do Cambridge. Musiał to zrobić w skórze kogoś innego.

Zwłóknął się z łóżka i podszedł do lustra. Patrzył na siebie po raz pierwszy od kilku dni i był zaszokowany. Postarzał się o dwadzieścia, może trzydzieści lat. Częściowo wrażenie takie wywołała porastająca broda, częściowo sińce pod oczami. Nadszedł czas powrotu do normalnego świata. Otworzył drzwi i powiew świeżego powietrza niemal go oszołomił. Był jasny, ciepły, październikowy poranek.

W drogerii po drugiej stronie ulicy znalazł wszystko, czego potrzebował: krem do golenia, nożyki, mydło, kremy. Podchodząc do kasy zobaczył stertę gazet "Boston Globe". Na tytułowej kolumnie widniała jego fotografia. Nad nią wytłuszczony tytuł "Portret mordercy". Fotografia pochodziła z archiwum CIA. Elegancka marynarka i dobrany do niej krawat gryzły się z ponurą treścią tytułu. Nikt za nim nie stał, więc Stone wziął gazetę i szybko przebiegł oczami treść informacji. Artykuł był pełen kłamstw. Opierał się na informacjach kogoś, kto chciał go przedstawić jako groźnego, niezrównoważonego i zwariowanego, choć inteligentnego pracownika CIA, który nagle, bez żadnych określonych przyczyn popadł w atak szaleństwa. Reporter pisał, że otrzymał informację z dwóch źródeł: od policji w Bostonie i z nie zidentyfikowanego "źródła rządowego". To była podstawa do stworzenia przekonywającego, a nieprawdziwego obrazu człowieka, o którym pisał. W sypialni Stone'a znaleziono znaczne ilości heroiny. Policja uważała więc, że syn znajdował się w stanie amoku. W tym miejscu szły dwuznaczne uwagi na temat zamordowania Saula Ansbacha i sugestie, że i w tym wypadku Stone mógł być sprawcą. Autor zamieścił kilka mętnych uwag wypowiedzianych na temat Stone'a przez jego byłych kolegów z uczelni oraz wzmianki na temat niejasnej przeszłości Alfreda Stone'a, co całej historii dodawało szczególnego posmaku.

- W czym mogę pomóc?

Kilkunastoletnia dziewczyna za ladą zuła gumę, patrząc pytająco na klienta. Stone spojrzął na przedmioty, jakie wybrał.

- Tylko gazetę i szampon. Resztę odłożę na półki - powiedział.

W odległości pół mili od motelu znalazł punkt Armii Zbawienia i spośród sterty używanych rzeczy wybrał groteskowy, zielonobrazowy, wełniany płaszcz, zbyt długi na niego, wystrzępione spodnie, parę starych butów z wysokimi cholewkami i jeszcze kilka innych starych, zszarganych ciuchów. W drodze powrotnej zobaczył sklep z zabawkami, kredkami i kostiumami. Na wystawie eksponowano towar przygotowany do przebierania się w dniu Halloween. Wszedł i kupił farbę do włosów i środki zmieniające barwę skóry. Po powrocie do motelu zabrał się do pracy. Wymył głowę, a następnie zastosował czarną farbę do włosów. Z instrukcji dołączonej do pudełka dowiedział się, że nie schodzi przy kąpieli. Po półgodzinnej pracy wytarł głowę i przejrzał się w lustrze. Z satysfakcją stwierdził, że włosy miał obecnie o kilka tonów ciemniejsze niż zazwyczaj. Potem wysmarował włosy brylantyną i rozrzucił je dłonią. Wyglądał tak, jakby nie mył głowy od miesięcy. Ostrożnie nałożył na twarz, szyję i ręce płyn farbujący. Po jakimś czasie jego skóra stała się ogorzała jak od słońca i wiatru. Używając specjalnego kleju, przyprawił sobie długą brodę. Po skończeniu tych zabiegów spojrzął ponownie w lustro. Rezultat był piorunujący. Ubrany w wystrzępione szmaty, brodaty, o zmierzwionych włosach, opalony i wychudzony wyglądał jak włóczęga, jak żebrak. Po dokładnym przyjrzeniu się można go było rozpoznać, ale z odległości nawet kilku metrów był całkiem do siebie niepodobny. Był kimś, komu na ogół nikt nie lubi się zbyt uważnie przyglądać.

Przedstawiciel radzieckiej ambasady i jego przyjaciel z Białego Domu spotkali się na lunchu w małej restauracji w Silver Spring. Obaj uznali, że nierealistyczna byłaby próba spotkania w całkowitej tajemnicy, jednak chcieli zorganizować to tak, ażeby nie zwracać na siebie uwagi. Każdy, kto by ich obserwował, a wątpliwe było, żeby ktoś się o to w tym właśnie miejscu troszczył, uznałby, że ma do czynienia z towarzyskim spotkaniem, jakich w Waszyngtonie było tysiące.

Lokal był umeblowany staroświecko. Błaty stolików wyłożono ceramiką, a pod ścianą stała szafa grająca.

Na frontonie domu, w którym mieściła się restauracja, widniało tylko jedno słowo: "Jeść", co przed kilkoma tygodniami zwróciło uwagę Baylissa, który rano jechał do pracy. Zamówili kawę w grubych, ceramicznych kubkach, a Malarek kazał sobie podać dwa jajka sadzone na bekonie z tostem. Bayliss był zaskoczony wiedzą Malareka z zakresu amerykańskiej kuchni.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, a napięcie było wręcz namacalne. Wreszcie Bayliss odezwał się:

- Wyglądało na to, że wszystko jest starannie przygotowane. Wszystko, łącznie z aresztowaniem i oskarżeniem. Piekło! Co się właściwie stało?
- Najprawdopodobniej nasi ludzie zastosowali niedostateczną dawkę narkotyku. Stone zbudził się zbyt wcześnie. Byli bardzo ostrożni z dawkowaniem. Trudno mieć o to do nich pretensję - jego angielski, jak Bayliss zauważył, był niemal bezbłędny. - Gdyby jednak wasi ludzie pojawili się nieco szybciej...
- To wszystko było bardzo trudne do skoordynowania - Bayliss pokiwał głową.
- Plan był doskonały, co do tego nie ma wątpliwości - zauważył Malarek. - Nie wątpię, że dostrzegał pan tkwiące w nim korzyści. Gdyby zaraz po zakończeniu przesłuchań znaleziono go nieżywego w celi, to tłumaczenie, że pełen skruchy popełnił samobójstwo, byłoby doskonałe.

Bayliss popatrzył krzywo i stracił apetyt. Spuścił głowę i oczy zakrył ręką.

- Nigdy sobie nie wyobrażałem - wyszeptał - że kiedykolwiek będę zamieszany w ukrywanie morderstwa.
- Robimy rzecz słuszną - Malarek starał się ukrócić jego wątpliwości.

Bayliss przetarł oczy.

- To wszystko jest dla mnie bardzo trudne - podniósł głowę i mówił nieco ochryplym głosem. - W porządku, jeszcze nic nie jest stracone. Wprowadzono jego imię do programu komputera Krajowego Centrum Informacji Przestępczej w FBI, tu w Waszyngtonie. Poszukują go lokalne policje w całym kraju. Przeczesywany jest cały stan Massachusetts. Postawiono w stan pogotowia siły bezpieczeństwa środków masowego transportu. Wszędzie, gdzie można, wywieszono jego fotografię. Mamy sądowe nakazy aresztowania, rewizji, jakie tylko chcemy. Przeszukuje się jego akta, konta bankowe, rachunki telefoniczne. Każde miejsce, w którym mógłby się pokazać, jest pod obserwacją. Sam powinien zrozumieć, że nie ma innego wyjścia, jak oddać się w ręce władz.

- Teoretycznie powinien tak postąpić - Malarek rozsmarowywał masło na kawałku tosta.

- Poszukiwany jest nie tylko w sprawie morderstwa, ale oskarżony jest również o zdradę interesów państwa. To przecież pracownik CIA poszukiwany przez policję. Nie martwiłbym się o wyniki.

Malarek ponownie wzruszył ramionami. Twarz miał bez wyrazu.

- Chcemy znaleźć sposób na przekonanie faceta - kontynuował Bayliss. - Trzeba go jakoś skusić i złapać żywego. Jest nam potrzebny, jeśli mamy zamiar zatrzymać "przecieki".
- Miejmy nadzieję, że tak się stanie - mówiąc to Malarek wiedział doskonale, że to, co

zrobiono, nie wystarczy, że należało zrobić o wiele więcej.

## 26. Saugus, Massachusetts

Stone o kilka przecznic od motelu znalazł automat telefoniczny. Wisiał na nie osłoniętym słupie i szum samochodów zagłuszał rozmowy.

Do kogo zatelefonować? Przypomniał sobie Petera Sawyera, prywatnego detektywa z Bostonu, który nauczył go otwierania zamków. Zajmował piętro nad nimi w latach, kiedy razem z Charlotte mieszkali w Bostonie, a Charlie wykładał w MIT. Byli dobrymi przyjaciółmi i choć rzadko się spotykali, Stone wierzył mu bez zastrzeżeń.

Wykręcił numer Sawyera i usłyszał, że włączył się magnetofon. Nagrał krótką informację, nie podając nazwiska. Oczywiście było, że tamten pozna jego głos. Już miał odłożyć słuchawkę, gdy niespodziewanie odezwał się Sawyer.

- Chryste, gdzie, do jasnej cholery, jesteś?
- Peter, wiesz przecież, że nie...
- Oczywiście. Słusznie. Człowieku, wpakowałeś się w błoto.
- Ja tego nie zrobiłem. Wiesz przecież o tym.
- Nie wygłupiaj się, oczywiście, że wiem. Jezu, co za pieprzona katastrofa. Jak tylko o tym usłyszałem, zacząłem wypytywać o ciebie. Wpuścili cię w kanał.
- Peter, potrzebuję twojej pomocy.
- Co u ciebie za hałas? Skąd dzwonicz, z autostrady?
- Złapano mnie w potrzask, Peter. Potrzebuję pomocy.
- Mnie to mówisz? Szukają ciebie wszędzie.
- Kto?
- Kto? Wszyscy, ktokolwiek przyjdzie ci na myśl, federalni, inni.
- Federalni?
- Tak, FBI. To wielka sprawa. Ktokolwiek to zrobił, chce cię złapać za d... Tylko, broń Boże, nie zgłaszaj się na policję. Charlie, najdalej za minutę odłóż słuchawkę.
- Mogą podsłuchiwać?
- Mogą. Możesz zadzwonić za chwilę, ale każde połączenie najwyżej dwie minuty. Rozumiesz? Tylko nie dzwoń na policję.
- Masz przyjaciół. Byłeś przecież w policji.
- Zapomnij o tym. Oni wszystkich pytają o ciebie. Mnie też pytali.
- Co w ogóle wiesz o sprawie?
- Wiem, że ktoś to wyreżyserował, i to doskonale. Wierz mi. Wypytywałem, kogo można.
- Oszłamili mnie narkotykami.
- Tak też słyszałem.
- "Globe" napisał, że w moim mieszkaniu i w sypialni znaleziono heroinę.
- Oczywiście, że znaleziono. Podrzucił ten, co zamordował twojego ojca. Tak to musiało być. Wyłącz się.

Stone znalazł po chwili inny automat po przeciwnej stronie ulicy. Zauważył, że ludzie na ulicy omijają go, a więc maskarada była skuteczna.

Ponownie wykręcił numer Sawyera, który tym razem natychmiast podniósł słuchawkę.

- Wierzysz mi, Peter? - zapytał cicho. - Nie masz wątpliwości, że mówię prawdę?
- Nie zaskakuje cię to, że na nożu znaleźli odciski twoich palców?
- Jezu, oczywiście, że nie. Ostrzyłem niedawno wszystkie noże. Wielokrotnie ich używałem - jakaś kobieta w średnim wieku zbliżyła się do automatu, ale na widok Charliego

wycofała się.

- I ja też tak właśnie myślałem. Na nożu znaleziono jeszcze rozmazane odciski, pozostawione najprawdopodobniej przez kogoś w gumowych rękawiczkach. W takich gumowych rękawiczkach, które od wewnątrz wysypuje się talkiem. Znaleziono na nożu ślady talku.

- Jak się, do cholery, tego wszystkiego dowiedziałeś?

- Jeden z moich przyjaciół udostępnił mi kopię raportu policji. Zanim to jeszcze utajnili.

- Za chwilę zadzwonię.

W pięć minut potem znalazł telefon przy stoisku z prasą, ale kiedy podniósł słuchawkę, właściciel zaczął krzyczeć:

- Wynos się stąd, chyba że coś kupujesz.

Nie dyskutując odszedł. Po kilku następnych minutach marszu natrafił na kolejny automat.

- Co właściwie mam robić?

- Nie mam pojęcia, co ci powiedzieć. Ukryj się na jakiś czas i przeczekaj. Wiesz, po jakimś czasie dadzą spokój. Życie leci, środki policji są ograniczone. Być może poszukaj sobie adwokata. Nie mam pojęcia, co w tej pieprzonej sytuacji należy zrobić.

- Nie mam dokąd pójść.

- Chciałbym ci pomóc, ale tu będą cię szukać. Szukają w domach twoich przyjaciół.

Przeszukują każde miejsce, w którym mógłbyś się ukryć, w szczególności w Bostonie i w Nowym Jorku. Policjanci po cywilnemu, nie zapowiedziani, przychodzą i szukają. U mnie byli już kilka razy. Nie zbliżaj się do mnie, Charlie. Przykro mi, że to mówię. Obiecuj, że w ogóle nie zbliżysz się do miasta.

- Zobaczę.

- Jezu - wybuchnął Sawyer. - Czyś ty postradał zmysły? Twoje nazwisko figuruje na listach poszukiwanych rozwieszonych na wszystkich komisariatach. Szukają, gdzie tylko mogą. Pilnują domu twego ojca. Zapomnij o Bostonie.

- Dlaczego?

- Bo to jest miejsce numer jeden, w którym będą cię szukać. Dla ciebie Boston to samobójstwo.

- Nie mogę już dłużej mówić. Peter, dziękuję ci, naprawdę.

- Nie mów głupstw, Charlie.

- Zadzwonię później. Potrzebuję twojej pomocy. Bardzo.

- Przykro mi...

- Co masz na myśli?

- Nie mogę sobie pozwolić na utratę zezwolenia wykonywania zawodu. Już sugerowano... Chciałbym ci pomóc, ale nie mogę. Trzymaj się z daleka, dla twojego i mojego dobra.

Stone odwiesił słuchawkę. Próbował zatrzymać taksówkę. Bezskutecznie. Nikt nie chciał zabierać włóczędzy z długą brodą i zmierzwionymi włosami. W końcu ruszył w kierunku Bostonu na piechotę.

## 27. Cambridge

W kilka godzin później Stone stał na chodniku naprzeciwko budynku urzędu pocztowego Cambridge przy Central Palace. Po drodze wystarał się o używany w supermarkecie wózek do zakupów, czyli po prostu ukradł go sprzed jednego ze sklepów i wypełnił swoimi zdartymi ciuchami.

Uważał, że działa przez zaskoczenie. Jego przeciwnicy, czy to policja, czy wywiad, czy też grupa jakichś fanatyków, nie mogli przypuszczać, że pokaże się ponownie w Bostonie. Trzeba było być niespełna rozumu, ażeby coś takiego zrobić. Jak wygląda pościg za nim, jakie siły zmobilizowano? Mogli być wszędzie, czekać na niego w każdym miejscu. Przed budynkiem pocztowym stały trzy samochody: samochód policyjny, stary dodge i całkiem nowy chrysler. Stone obserwował je, stojąc koło swojego wózka. W każdym z samochodów siedział kierowca. Po kilku minutach dodge odjechał. Kierowca chryslera patrzył na mapę.

Musiał ryzykować, ale wszystko, co obecnie robił, było ryzykiem. Zakładał jednak, że to mało prawdopodobne, by policja pilnowała poczty z jego powodu. Nikt nie wiedział, że wynajął tutaj skrytkę, od której klucz spoczywał w jego kieszeni.

Na stopniach budynku siedziało dwóch innych włóczęgów, którzy w milczeniu obserwowali, jak przetoczył obok nich swój wózek. I co dalej? Nie pozostawia się wózka na ulicy, jeśli ma się w nim cały swój doczesny majątek. Zaczął go więc wpychać na schody, stopień po stopniu, po czym popchnął go przez drzwi na halę. I nic się nie wydarzyło. Nikt go nie zaczepił. Był całkowicie bezpieczny.

Jego skrytka była w głębi przy ścianie po lewej stronie. Czy nikt nie zwrócił uwagi na to, że żebrak z wózkiem na zakupy ma skrytkę pocztową? W skrytce znalazł jakąś reklamę lokalnego supermarketu i żółty druczek informujący, że pan Robert Gill ma do odebrania list polecony.

Przeszedł przez całą halę idąc wolnym, nieco chwiejnym krokiem, jaki sobie przyswoił w czasie długiego marszu z Saugus. Stał w kolejce. Stojąca przed nim kobieta o wyglądzie urzędniczki, która wybiegła z biura w czasie przerwy na lunch, przyglądała mu się z niechęcią.

Przypomniał sobie "Boston Globe". Jego fotografię zamieszczano tam od kilku dni, tak samo jak zapewne i w "Heraldzie", dwóch najczęściej czytanych w Bostonie gazetach. Czy go rozpoznała? Stone przypatrywał się podłodze. Kobieta przed nim odwróciła się i patrzyła teraz na leniwie pracującą urzędniczkę. Nikt nie oczekuje, że natknie się w takim miejscu na mordercę. Charles Manson mógłby stać w kolejce do kasy ekspresowej w supermarketcie i zainteresowano by się nim dopiero wtedy, gdyby miał w wózku więcej niż dwanaście pozycji zakupionego towaru, a więc ponad limit, jaki można opłacać w kasach ekspresowych.

Wreszcie jego kolej. W milczeniu pokazał urzędniczce żółty druczek. Urzędniczka spojrzała na niego z nie ukrywanym zdumieniem.

- Ma pan jakiś dokument?

Dokument! Oczywiście, ma prawo jazdy. Ma w portfelu prawo jazdy na nazwisko Roberta Gilla. Wyjął i wsuwając pod poprzeczkę podał urzędniczce. Ta popatrzyła na zdjęcie i na niego.

- To nie jest pan - powiedziała. Faktycznie, zdjęcie w niczym nie przypominało jego obecnego wyglądu.

Stone spojrzał żałośnie na urzędniczkę.

- Zapaściłem brodę - wyjaśnił zachrypłym głosem.

Ta spojrzała raz jeszcze i wzruszyła ramionami. W dwie minuty później Stone odbierał nowy paszport na nazwisko Roberta Gilla.

\*\*\*

Sprowadzanie wózka po schodach było łatwiejsze niż wciąganie go do góry. Szedł teraz Massachusetts Avenue do banku. O dwie przecznice dalej był komisariat policji, więc ulicą przejeżdżały ustawicznie policyjne samochody. W każdym z nich mógł siedzieć jakiś

szczególnie spostrzegawczy glina. Stone skręcił w boczną ulicę.

W piętnaście minut później wchodził na Harvard Square, gdzie znajdowała się siedziba Cambridge Trust Bank. Ojciec wynajmował tu sejf, którego współwłaścicielem był Charlie. Wypełnił odpowiedni blankiet i miał klucz. Jako współwłaściciel miał prawo do zabrania wszystkiego, co znajdowało się w sejfie.

Klucz nosił zawsze w portfelu. W sejfie były pieniądze, których teraz ogromnie potrzebował.

Bank był jednak miejscem niebezpiecznym. Włóczęga taki jak on musiał wzbudzać tu podejrzenie, szczególnie w banku obsługującym zamożnych mieszkańców Cambridge.

Gdy zbliżał się do wejścia budynku, zauważył, że przygląda mu się policjant.

- Hej - krzyknął, gdy Charlie był już blisko drzwi. - Czego tu szukasz?

Stone spuścił oczy i nie zatrzymywał się.

- Mówię do ciebie. Wynos się do diabła. Nie ma tu miejsca dla takich.

Nic nie mógł poradzić i bez słowa zawrócił swój wózek. Odczekał pół godziny, zostawił wózek w bocznej uliczce i poszedł w kierunku banku z innej strony. Gliny już nie było. Pchnął obrotowe drzwi i wszedł do środka.

Na ulicy nie zwracał niczyjej uwagi, tu, w tym otoczeniu, wszyscy na niego patrzyli.

Nawet kasjerzy z kilku okienek zwrócili w jego kierunku głowy. Podszedł do okienka, w którym wynajmował sejf. Po drugiej stronie siedział młody człowiek o ciemnych włosach, ubrany w szary, elegancki garnitur.

- Proszę się natychmiast stąd wynosić - powiedział półgłosem.

- Chcę dostać się do mojego sejfu - szybko odpowiedział Stone. Urzędnik popatrzył na niego z niechęcią.

- Pańskie nazwisko?

- Panie - mówił Stone - ja tu naprawdę mam sejf. Rozumiem, że nie wyglądam na to, ale przeszedłem trudny okres - mówił szybko, starając się używać jak najbardziej przekonującego tonu. - Stoczyłem się, ale już wszystko wraca do normy.

- Przykro mi - urzędnik patrzył bez cienia współczucia. Stone wyjął dwa klucze do sejfu i położył je na kontuarze.

- Czy mogę się tam dostać?

- Oczywiście - odpowiedział tamten, przyjmując wyraźnie łagodniejszą postawę. -

Muszę przyznać, że byłem nieco zbulwersowany. Większość naszych klientów...

- Nie musi mi pan wyjaśniać - przerwał Stone. - Jak tylko wezmę swoje pieniądze, wykąpię się i ogolę.

- Pan zna procedurę? - urzędnik nadal nie wyzbył się podejrzliwości.

- Oczywiście, podpisuję dokument dostępu do sejfu, a pan sprawdza podpis z tym, który jest w waszych aktach.

- Tak jest, nazwisko proszę.

- Charles Stone.

Urzędnik zawahał się przez moment. Czyżby poznał nazwisko?

- Chwileczkę, panie Stone.

Czy pod biurkiem, za którym siedział, nie było dzwonek alarmowego? Urzędnik wstał.

- Pan pozwoli, że przyniosę pańskie dokumenty, panie Stone - poszedł w głąb sali. W minutę był z powrotem z blankietem, na którym widniał podpis właściciela i współwłaściciela sejfu. Najwyraźniej nie rozpoznawał nazwiska i zaprowadził Stone'a do skrytek.

Zawartość sejfu ojca spowodowała szok. Na wierzchu leżały imienne akcje i jakaś niewielka, biała koperta. Pod tym były banknoty. Ogromna ilość banknotów. Co najmniej sto tysięcy dolarów w banknotach dwudziesto - i studolarowych. Nie wierzył własnym oczom.

Poprosił zdumionego urzędnika o woreczek na pieniądze, który tamten błyskawicznie

przyniósł. W kilka minut potem był już na ulicy. Woreczek z pieniędzmi wystawał spod obdartego płaszcza.

\*\*\*

Z bocznej ulicy zabrał swój wózek. Znalazł przy Inman Square tanią restaurację, zaparkował przed nią wózek i wszedł, żeby zjeść obiad. Jedząc siekane kotlety z ziemniakami, otworzył kopertę wyjętą z sejfu. W środku znalazł list pisany mniej więcej przed dziesięciu laty na starej maszynie Underwood, którą posługiwał się ojciec. Papier zaczął już żółknąć.

Drogi Charlie!

Piszę to na wypadek, gdyby się ze mną coś stało. Gdyby nic się nie wydarzyło i tak tego nie dostaniesz.

Pieniądze tu złożone, jak się możesz domyślać, pochodzą od Winthropa Lehmana, który przez lata, licząc od 1951 roku, przysyłał mi co roku po dziesięć tysięcy dolarów, nieraz i dwa razy więcej. Część wydałem, ale większość została. Przysyłał te pieniądze, chcąc mi pomagać. Jak się domyślam, zrozumiał sens mojego ulubionego cytatu z Pasternaka... ty to znasz: "Jesteś zakładnikiem wieczności, zniewolonym przez czas". Czyż nie jesteśmy nimi wszyscy?

Któregoś dnia opowiem ci wszystko o Lehmanie, o Moskwie, o starowiercach. Wiele jest do wyjaśnienia i mam nadzieję, że będę w stanie ci to wyjaśnić.

Czytał list wielokrotnie od początku, aż podszedł kelner i zapytał, co jeszcze podać. Ten cytat z Pasternaka to niewątpliwie aluzja do dramatu Alfreda Stone'a. Staroobriadcy. Rosyjskie określenie na "wyznawców starej wiary", starowierców. Stone wiedział, że była to w XVII stuleciu ortodoksyjna sekta w Rosji, nie godząca się z nagłymi przemianami zachodzącymi w Kościele. Zwalczano ją zawzięcie i krwawo, aż zesłała do konspiracji. Kim jednak dzisiaj mogli być staroobriadcy? Co chciał mu ojciec powiedzieć?

\*\*\*

Zapadał już zmrok, kiedy Stone pojawił się na Hilliard Street. Przed domem ojca parkował biało-niebieski policyjny samochód patrolowy. W środku siedziało dwóch policjantów i popijali kawę. Stone minął ich, nie zwracając na samochód najmniejszej uwagi. Oczywiście było, że od frontu nie mogłoby się dostać do domu. Wystawiono wartę i każdy wchodzący był legitymowany. Jasne było też, że policja nie mogła tkwić tu zawsze. Nie mieli na to ani dość ludzi, ani sprzętu. Gliny też ludzie, muszą iść się wysuszać, przynieść sobie kawę. Mógł próbować ich przeczekać. Nie wolno było jednak kręcić się nazbyt długo w tej dzielnicy.

Wciągnął głęboko w płuca zimne październikowe powietrze. W wyobraźni zobaczył nagle pokrwawione, pokiereszowane ciało ojca. Wypełnił go gniew, a na dodatek całkiem nowe uczucie, chęć zemsty.

Dopchał swój wózek do rogu ulicy, skręcił i tu zaparkował. Drżał z zimna.

Przypomniawszy sobie, że w pobliżu jest automat telefoniczny. Podszedł i wykręcił numer policji w Cambridge. Gdy uzyskał połączenie, zaczął wykrzykiwać do słuchawki z przesadnie lokalnym akcentem:

- Rabunek, napad. Jednego zastrzelili.
- Gdzie? - padło szybko pytanie dyżurnego oficera.
- Tu, sklep przy Harvard Square 24. Jestem nocnym dozorcą. Jezu! - i odwieścił



słuchawkę.

Zanim podwórzami doszedł do domu ojca, samochodu policyjnego już nie było. Jego przewidywania sprawdziły się. W razie poważnego przestępstwa powiadomione zostają wszystkie najbliższe znajdujące się patrole. Pytanie tylko, ile minie czasu do ich powrotu. Stanął przy kablu telefonicznym doprowadzonym od ulicy do domu. Nie miał noża, wyrwał więc mały palik wetknięty w ogródku od strony podwórza i operując jego zaostrzoną stroną odłączył kabel od gniazdka rozdzielczego. Wszedł na niewielki ganeczek i zajrzał przez szybę. Widział drzwi kuchenne prowadzące w głąb domu. Były podłączone do alarmu. Zainstalowano przy nich niewielkie pudełeczko, z którego wychodził przewód prowadzący do gniazdka przewodów telefonicznych. Rozłączenie głównego kabla wyłączało również alarm. Zauważył, że podobne urządzenie zostało założone przy oknie kuchennym, przez które zaglądał. Spróbował uchylić okno, ale było zamknięte. Przyłożył plecy do szyby i silnie pchnął. Szyba ustąpiła, rozprysła się. W chwilę potem był wewnątrz domu. Panowała tu pełna grozy ciemność, lecz nie chciał zapalać światła. Otaczające go kształty były obce, przerażające. Czuł zapach środków antyseptycznych. Mieszkanie zostało wysprzątane. Przez chwilę nadśluchiwał. Żadnego szmeru. Cicho przeszedł przez kuchnię, pokój jadalny i bawialnię oświetloną niewyraźnym światłem ulicznych latarni. Obawiał się, żeby go nie zauważono z ulicy. Jego cień, niewyraźny kształt... wszystko wzbudzałoby podejrzenia. Miał nadzieję, że alarm działał jedynie za pośrednictwem linii telefonicznej. A jeśli nie... o tym wolał nawet nie myśleć. W każdej chwili mogą się zorientować, że telefon w sprawie napadu na sklep był oszustwem, i patrol mógł powrócić.

Dom został dokładnie przeszukany. Zdejmowano nawet wszystko ze ścian. Otwierano każdą szufladę. Wszedł na piętro, do swojej sypialni, gdzie zostawił fotografie i fotokopie dokumentów z archiwum Lehmana. Nie znalazł niczego. Zabrane. W tych dokumentach leżała jego ostatnia nadzieja, a teraz... Przypomniał sobie o rewolwerze. Pobiegł do pokoju ojca. Pistolet Smith and Wesson kaliber 9 mm, który kupił dla ojca, leżał na swoim dawnym miejscu, w szufladzie szafy w kartonowym pudełku. Obok magazynek z nabojami. Schował broń do kieszeni płaszcza.

Nie wolno było pozostawać tu dłużej. W minutę potem wyskakiwał przez okno kuchenne. W momencie, w którym wylądował na miękkiej ziemi, z piskiem opon zatrzymał się przed domem samochód patrolowy. Zabłyśnął reflektor i oślepił go.

28.

Zaklął głośno i dał nura za wysoki, drewniany płot oddzielający podwórze domu ojca od podwórza sąsiada. Pędził tak szybko, jak tylko potrafił. Za sobą słyszał kroki goniących. Biegł kierowany instynktem. Usłyszał krzyk: "Stać, policja!" Wystrzał rewolwerowy. Pocisk uderzył w drewnianą listwę płotu. Stone rzucił się na ziemię kurczowo ściskając w ręce woreczek z pieniędzmi. Potem pełznął betonową ścieżką pomiędzy dwoma budynkami i znalazł się na Brattle Street.

Gdzieś w pobliżu rozległo się przeraźliwe wycie policyjnej syreny.

Kilkadziesiąt metrów przed nim widać było rząd budynków handlowych: sklepy z alkoholem, z tanią odzieżą. Przypomniał sobie, że kiedyś zauważył wąskie przejście pomiędzy sklepem alkoholowym a sklepem z aparaturą video. Był to waziatki pasaż zasypany śmieciami, nie używany od lat.

Ścigający musieli być na tropie kilkadziesiąt metrów za jego plecami. Za chwilę wyłonią się spoza zabudowań i zobaczą, w jakim kierunku ucieka. Zmobilizował wszystkie siły i rzucił się w kierunku pasażu. Gdy dopadł wąskiego wejścia, wyrzucił głowę w nie otynkowane cegły. Ciało przeszył mu ostry ból. Nie zatrzymał się jednak. Przedzierał się

między ścianami obu budynków. Nogi grzęzły w stertach śmieci. W chwilę potem był już po drugiej stronie.

Samochód!

To jego jedyna nadzieja. Młoda Murzynka siedziała w starej, poobijanej hondzie zaparkowanej przed sklepem alkoholowym. Czekala na przyjaciela czy męża. Stone szarpnął drzwi od strony siedzenia pasażera i wskoczył do środka. Kobieta krzyknęła.

- Odjeżdżaj! - rozkazał zakrywając jej ręką usta. W każdym momencie mogła nadjechać policja.

Kobieta miotala się. Jej oczy były rozszerzone z przerażenia. Wyciągnął z kieszeni rewolwer, który nie był nabity, i przystawił jej do głowy.

- Nie chcę cię skrzywdzić - mówił szybko - ale jeśli mnie zmusisz... Jedź. Nic ci się nie stanie.

Przerażona kobieta ruszyła i włączyła się do ruchu. W kilka minut później mijali most uniwersytecki i wjeżdżali na Commonwealth Avenue.

- Co dalej? - wyszeptała. Łzy spływały jej po twarzy.

- Tu wysiądę.

- Nie zabijaj mnie.

- Stań tutaj.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął zmięty, poplamiony banknot dwudziestodolarowy.

- Wiem, że to nie wynagradza strachu, jaki przeżyłaś, ale weź. Przykro mi - rzucił banknot na siedzenie i wyskoczył.

O jedną przecznicę dalej stał budynek mieszkalny. Wewnątrz oszklonego przedsionka znajdowały się przyciski domofonu. Odnalazł ten, który był mu potrzebny, i przycisnął guzik.

- Kto tam? - zaskrzeczał metalicznie głos z głośnika.

- Charlie Stone. Wpuść mnie.

W kilka sekund potem w drzwiach odezwał się cichy brzęczyk. Pchnął i drzwi otworzyły się. Przeskakując po dwa, trzy stopnie gnał w górę.

- Jezu, co się z tobą dzieje? - Chip Rosen stał w otwartych drzwiach. Wysoki, muskularny mężczyzna w wieku Stone'a. - Boże, Charlie!

Za nim stała jego żona Karen, drobniutka brunetka. Rękami zasłaniała usta w geście przestachu. Stone spotkał ją jedynie raz i wiedział, że jest prawnikiem w pewnej wielkiej firmie adwokackiej.

- Wchodź, Charlie - wyszeptała.

- Słyszeliście? - zapytał wchodząc do mieszkania.

- Oczywiście. Wszyscy słyszeli - potwierdziła Karen.

- Potrzebuję waszej pomocy.

- Oczywiście, Charlie - mówił Chip. - Krwawi ci głowa.

- Dziękować Bogu, że byliście w domu - Stone powoli wydychał z siebie zmęczenie.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak gwałtownie biło mu serce. Postawił na ziemi swój woreczek i zdjął płaszcz. - Naprawdę potrzebuję waszej pomocy.

- Otrzymasz ją - zapewnił Chip. - Myślę, po pierwsze, że wyglądasz na kogoś, kto musi wziąć porządny prysznic. A zaraz potem wypić drinka. - Skinął głową z wyraźną ulgą.

- Nawet nie potrafię wam powiedzieć, co przeżyłem w ciągu tych kilku minionych dni.

- Musisz opatrzyć sobie to rozcięcie na głowie. W apteczce znajdziesz potrzebne środki. Weź prysznic, a ja przyniosę ci ubranie. Potem pomówimy.

\*\*\*

W łazience Stone zdjął szmaty, jakie dostał z magazynu Armii Zbawienia w Saugus.

Znalazł buteleczkę ze spirytusem i watę. Zmywając spirytusem klej, usunął sztuczną brodę. Potem powoli i z przyjemnością ogolił się. Czuł, jak bardzo potrzebuje odpoczynku, ale nawet teraz nie opuszczało go napięcie.

Potrzebował sojuszników, przyjaciół, bezpiecznego miejsca ukrycia. Musiał mieć czas, ażeby się zastanowić nad tym, co robić dalej. Być może Rosen będzie mógł wykorzystać swoje kontakty w prasie i zdobędzie więcej informacji. A może Karen pomoże mu znaleźć prawną pomoc, która wyprowadzi go z tego labiryntu. Słyszał, jak Chip i Karen rozmawiają w kuchni ściszymi głosami. Wiedział, że narzucił im się siłą. W jakiś sposób odpłaci im w przyszłości.

Odkręcił prysznic i puścił wodę tak gorącą, jak tylko mogła znieść jego skóra. Wymył włosy, potem całe ciało. Stał pod strumieniami wody, czując, jak rozjaśnia mu się w głowie. Był w ogromnym niebezpieczeństwie, a ta chwila wytchnienia nie będzie zapewne długa. Musiał mieć określony plan postępowania.

Dobiegł go jakiś dźwięk z głębi mieszkania i zastanawiał się, co to mogło być.

Dopiero po chwili zrozumiał. Chip lub Karen dzwonili gdzieś. Chciał usłyszeć, z kim i o czym będą mówili, ale szum prysznica zagłuszał wszystko.

Otworzyły się drzwi do łazienki i poczuł ponowne napięcie nerwów. Był to jednak Chip, który przyniósł mu jedno ze swoich ubrań.

- Dziękuję, Chip - powiedział.

- Nie ma sprawy. Nie spiesz się.

Włożył ubranie Chipa i stwierdził, że jest nieco za małe, ale czuł się w nim całkiem dobrze. Ranę na głowie przemył środkiem antyseptycznym i zabandażował.

Wyszedł z łazienki i zobaczył, że Chip przygotował trzy kieliszki martini. Wziął jeden i wygodnie wyciągnął się w fotelu. Czuł, że będzie tej nocy spać doskonale.

- Przykro mi z powodu twojego ojca - powiedziała Karen. - To okropne. - Potakująco skinął głową. - Charlie, czy ty pracujesz w czymś, co ma coś wspólnego z wywiadem? - Karen miała poważny wyraz twarzy. - Wiem, że to nie moja sprawa, ale to się wiąże z jakąś wywiadowczą aferą.

Wzruszył ramionami.

- O co w tym wszystkim chodzi twoim zdaniem? - pytał Chip.

- Nie mam pojęcia - uważał, że jednak nie można im w pełni wierzyć i mówić o wszystkim, o czym było mu wiadomo.

- Co masz zamiar robić? - pytała Karen. Żadne z nich nie patrzyło mu w oczy. Czyżby i oni jemu nie wierzyli? Czyżby sądzili, że kłamie?

- To częściowo zależy od was - odpowiedział. - Gdybym mógł pozostać u was przez kilka dni...

- Oczywiście - odpowiedział Chip. - Mamy pokój gościnny nigdy przez nas nie używany.

- Nie wiem... nie mam pojęcia, jak wam dziękować. Muszę dojechać do siebie, tu i tam zatelefonować.

- Mogę ci znaleźć adwokata, jeśli sobie życzysz - powiedziała Karen

- Doceniam w pełni, ale przedtem muszę się z kilkoma osobami skontaktować. Chip, czy możesz mi coś powiedzieć? Te artykuły w "Globe" na mój temat... Kto dał gazecie te informacje? Policja bostońska?

- Nie tylko policja - odpowiedział Chip. - Pytałem reportera, który to pisał, Teda Jankowitza. Powiedział mi, że FBI. Słuchaj, nie jesteś głodny? Coś ci przygotowuję. Karen wstała i poszła do kuchni.

- Nie wiesz, kto to był? - dopytywał się Stone. - Co właściwie ten facet z FBI opowiadał?

- Opowiadał, że jesteś zamieszany w coś, co określał mianem złamania paragrafów, z

których oskarża się o zdradę kraju. Jestem przekonany, że to nie może być prawdą.

- Oczywiście, że nie ma w tym słowa prawdy, Chip.

- To samo powiedziałem Jankowitzowi.

Stone wstał i odstawił kieliszek z martini. Podeszedł do okna i patrzył na ulicę.

- Co tam się dzieje? - zapytał Chip.

- Jakiś samochód. Nie było go tu przedtem.

- O czym ty mówisz? Uspokój się, Charlie.

Duży samochód zaparkowany przed samym domem. Amerykańskiej produkcji, jeden z tych, jakimi chętnie posługują się siły policyjne do wykonywania konspiracyjnych operacji. W samochodzie nie było nikogo. Zaparkowany był w miejscu, w którym obowiązywał zakaz parkowania. Kierowca przed wyjściem włączył światła ostrzegawcze.

Od strony klatki schodowej usłyszał jakieś odgłosy. Ktoś wszedł do budynku.

- Coście, do cholery, zrobili? - krzyknął. - Dzwoniliście, kiedy byłem w łazience.

Słyszałem, jak telefonujecie.

Głos Chipa stał się zimny, bez mała wrogi.

- Przykro mi, musisz zrozumieć.

- Ty skurwysynu - Stone złapał swój worek, łachy, w których przyszedł, i gorączkowo sprawdzał, czy ma paszport i rewolwer.

- Musisz zrozumieć... - powtórzył Chip. - Nie mieliśmy wyboru... Każdy, kto przechowuje podejrzanego o morderstwo lub mu pomaga, może być oskarżony jako współwinnny. Musieliśmy... - mówił cicho i szybko. - Charlie, siadaj i poddaj się. Jakąkolwiek by była prawda, wyjdzie na wierzch. Oddaj się w ręce władzy. Nigdzie się nie ukryjesz. Nikt ci nie udzieli schronienia.

Słysząc było kroki idących po schodach.

\*\*\*

Z mieszkania było tylko jedno wyjście, oczywiście to na klatkę schodową, na której znajdowali się ci, co przyszli po niego. Stone, trzymając w ręce swój worek, otworzył drzwi. Na wprost były drzwi przeciwpożarowe, które zauważył idąc do Chipa Rosena. Prowadziły one na drugą klatkę schodową. Kiedyś, wychodząc podпиты z przyjęcia u Chipa, pomylił drogę i wyszedł na tamtą klatkę schodową, z tyłu budynku.

Nadchodzący byli o pół piętra niżej, na głównej klatce schodowej. Było ich dwóch, po cywilnemu.

- To on - krzyknął jeden z nich i obaj puścili się biegiem.

Rzucił się w drzwi tylnej klatki, wypadł na nią i przeskakując po kilka stopni, leciał w dół. Wybiegł na ulicę. Tamci byli tuż za nim. Pędził bez planu i bez określonego celu ucieczki. Po prostu biegł tak szybko, jak tylko potrafił, jak tylko mogły go nieść nogi. Pędził wiedziony strachem. Słyszał za sobą krzyki i coraz głośniejsze kroki goniących.

Wpadł między potok samochodów przejeżdżających przez Commonwealth Avenue.

Słyszał pisk opon, klaksony, przekleństwa kierowców. Samochody mijały go o milimetry.

Nie miał pojęcia, jak daleko jest od goniących, metry, dziesiątki metrów? Obawiał się odwrócić głowę.

Centralna linia ruchu zajęta była przez tory zielonej linii metra, które tu wychodziło na powierzchnię, ażeby przed Kenmore Square zejść ponownie w dół, kierując się do centrum miasta. Zobaczył pociąg jadący w kierunku centrum. Przed chwilą pociąg ruszył z przystanku i właśnie nabierał szybkości. Blokował mu drogę. Goniący byli tuż, tuż za plecami. Strach popychał go w kierunku pociągu i działając pod wpływem odruchu, skoczył.

Noga znalazła oparcie na wystającym stopniu. Ręka uczepiła się klamki u drzwi.

Przylepił się do coraz szybciej pędzącego pociągu, a każdy mięsień dawał z siebie maksimum,

ażebym utrzymał zwisające ciało. Pasażerowie znajdujący się wewnątrz wagonu krzyknęli. Czuł, że długo nie zdoła się utrzymać.

Zielona linia miała często przystanki, co denerwowało pasażerów, ale było szczęściem dla Stone'a. Po przejechaniu niespełna ćwierć mili pociąg zatrzymał się ponownie z piskiem hydraulicznych hamulców.

Odskoczył, ażebym nie zostać zgniecionym przez otwierające się drzwi, i w sekundę potem wpychał się do zatłoczonego wagonu.

Zgubił pościg. Nie byli w stanie dogonić pociągu, choć próbowali. Widział ich z daleka.

Wyjął z kieszeni drobne i wrzucił do automatu, po czym opadł na wolne siedzenie. Serce waliło mu jak młotem.

Pasażerowie patrzyli na niego podejrzliwie, a niektórzy woleli się od niego odsunąć.

Wprawdzie w porządnym garniturze Chipa Rosena wyglądał przyzwoicie, ale oczywiste było, że nie jest to zwykły pasażer, jakich spotyka się w wagonach metra.

Jasne, że dotarli do Chipa. Dotarli do wszystkich jego przyjaciół, jak twierdził Sawyer. Straszili sądem każdego, kto mógłby udzielić mu pomocy.

Do kogo więc mógł się zwrócić?

Patrząc w okno zobaczył z przerażeniem, że tuż za nimi jechał następny pociąg. Zaklął półgłosem. Czekają czasami na pociąg, a potem przychodzą dwa, nawet kolejno trzy, jeden po drugim.

Ścigający mogli być w tym następnym pociągu.

Jechali teraz ciemnym tunelem pod Kenmore Square. Jeszcze z dawnych czasów zapamiętał kolejne przystanki. Na każdym z nich mogło zagrażać coraz większe niebezpieczeństwo. Goniący go mogli mieć przy sobie nadajniki radiowe, mogli już zaalarmować całe miasto. Na każdym kolejnym przystanku mógł wsiąść ktoś dokładnie poinformowany o jego wyglądzie. Przy każdym zatrzymaniu pociągu wstrzymywał oddech i starał się stopić z tłumem, zdając sobie sprawę, że byłoby to bezcelowe, jeśli wsiadłby ktoś, kto go poszukiwał. Minęli kolejno: Auditorium, Copley, Arlington. Kulił się i starał nie poddawać panice.

Stacja Auditorium była ku jego uldze pusta, podobnie jak następna. Wysiadł na Arlington. Przepychając się wśród pasażerów, dopadł do drzwi obrotowych i pędem wbiegł po schodach na górę.

Na wprost wyjścia metra stał "Ritz-Carlton". Idąc wolno, by nie wzbudzać podejrzeń, wszedł do hotelowego holu. Po prawej stronie był bar, o tej porze pustawy. Było już po godzinach lunchu, a jeszcze przed kolacją. Przy barze siedziała jakaś samotna kobieta. Musiała mieć około czterdziestki, była dobrze ubrana i paliła papierosa. Przed nią stała szklanka z jakimś drinkiem. Rozwódka, wdowa, a może po prostu samotna. Nie siedziałaby jednak przy barze, gdyby nie chciała nawiązać jakiejś znajomości, pomyślał Stone.

Usiadł na stołku obok niej i uśmiechnął się przelotnie.

- Jak idzie? - zapytał.

- Dziękuję, dobrze - odpowiedziała. Na twarzy miała zbyt wiele pudru, usta i oczy zbyt jaskrawo umalowane, pod oczami nałożony ciemnoniebieski cień. Zaciągnęła się dymem i strząsnęła popiół do popielniczki.

Jeśli mnie szukają, to jako samotnego, przemknęło mu przez myśl, nie szukają mężczyzny z kobietą.

W lustrze nad barem zobaczył, że w wejściu do sali stoi jakiś mężczyzna. Po lewej stronie pod marynarką było niewielkie, niemal niedostrzegalne wybrzuszenie. Niewątpliwie kabura z bronią.

Bez zastanowienia zerwał się ze stołka i puścił biegiem w kierunku wahadłowych drzwi prowadzących do kuchni.

Stanął w drzwiach i zrozumiał, że znalazł się w pułapce. W kuchni nie było żadnego miejsca, gdzie można by się było ukryć. Jedyne wyjście, o jakim wiedział, prowadziło z powrotem na salę. Musi przecież być jakieś wyjście służbowe, wyjście do magazynów, na podwórze. Jakież drzwi! Szukał ich w panice.

Naprzeciwko pojawił się kelner. Nad głową niósł tacę wypełnioną szklankami, w których chwiały się jakieś drinki.

- Co, do cholery, tutaj robisz! - zaklął kelner.

Stone pchnął go usuwając z drogi. Brzęk lecących szklanek i dalsze przekleństwa. W tym momencie zobaczył drzwi, dopadł ich i znalazł się na zewnątrz.

Tuż przed tylnym wyjściem hotelu stała wielka ciężarówka. Na bocznych ścianach widniał wielki napis "Royal Institutional" - "Dostawa Żywności". Stone podbiegł od tyłu, otworzył drzwi, wskoczył do środka i zamknął drzwi. Potknął się w ciemnościach i upadł na jakiś karton, tłukąc się boleśnie. W tym momencie usłyszał szum zapuszczanego silnika i ciężarówka ruszyła.

## 29. Moskwa

Przewodniczący KGB Andriej Pawliczenko, czując narastające w nim napięcie, szedł długim, prawie nie kończącym się korytarzem wyłożonym wschodnim chodnikiem. Mijał co chwila wielkie, podwójne drzwi. Znajdował się na piątym piętrze budynku Komitetu Centralnego przy Starym Placu niedaleko Kremla. Szedł w kierunku roboczego gabinetu Michaiła Gorbaczowa. Telefoniczne wezwanie do prezydenta nadeszło przed godziną. Gdy zadzwonili, był w swoim domu przy Kutuzowskim Prospekcie, gdzie od śmierci żony, zmarła przed czterema laty, mieszkał sam. Starał się być w mieszkaniu możliwie najrzadziej, ażeby nie pozostawiać sobie czasu na poczucie samotności. Minał sekretariat prezydenta, pozdrawiając sekretarkę skinieniem głowy. Potem była poczekalnia i jeszcze jeden sekretariat, gdzie siedział dyżurny oficer.

Gorbaczow miał jeszcze dwa inne gabinety, jeden na Kremlu, drugi w tym samym budynku KC, tylko w innym skrzydle. Oba były o wiele większe, przeznaczone do przyjmowania wizyt zagranicznych. W tym małym, po spartańsku umeblowanym gabinecie prezydent pracował i odbywał najważniejsze robocze spotkania. W pokoju znajdowało się imponującej wielkości mahoniowe biurko, na ścianach wisiały portrety Lenina i Marksa, takie same kopie, jakie widziało się dosłownie w każdym radzieckim urzędzie. Na blacie biurka stał szary telefon z guzikami przycisków, pozwalających na połączenie się na każdej z dwudziestu linii.

"A więc to już koniec - pomyślał ponuro Pawliczenko. Biuro Polityczne domaga się mojej głowy, a Gorbaczow nie będzie mógł się oprzeć i poświęcić mnie".

Natychmiast poproszono go do gabinetu. Ucieszył się, kiedy zobaczył, że są sami.

Prezydent nie wyglądał na tak zmęczonego, jak wtedy w nocy w daczce, choć twarz miał pooraną głębokimi bruzdami. Miał na sobie jasnoszary garnitur. Pawliczenko wiedział, że garnitur został uszyty w Londynie w firmie Gieves and Hawkes. On też się tam ubierał i był zadowolony, że zachodnie ubrania nie były już przedmiotem politycznych domysłów.

Gorbaczow miał na ręku złoty zegarek marki Rolex. Pawliczenko też nosił Rolexa, tyle że nieco tańszego.

Pawliczenko wiedział również, że koszule Gorbaczowa wysyła się do ekskluzywnej pralni przy hotelu "Ukraina", która obsługuje Kreml. Jego koszule też były odsyłane do tej samej pralni. Uważał, że naśladownictwo szefów jest dobrą i dyskretną formą schlebiana im.

Usiedli przy małym, mahoniowym stoliku, Gorbaczow na skórzanej kanapie,

Pawliczenko na fotelu.

- No więc - prezydent jak zawsze natychmiast przystąpił do rzeczy - czegoś się dowiedział?

Bez wstępów, bez pogawędki. Gorbaczow potrafił być czarujący, ale odsuwał tę umiejętność na bok, kiedy miał coś ważnego do zrobienia. Pawliczenko odpowiedział z wahaniem:

- Sądzę, że te zamachy bombowe to dopiero początek.

- To znaczy? - zapytał Gorbaczow, wpatrując się z uwagą w twarz mówiącego.

- Mam na myśli przewrót, zamach stanu.

- Rozumiem - w głosie prezydenta zabrzmiała irytacja. - Już o tym mówiliśmy...

- Przykro mi - Pawliczenko mówił teraz tak cicho, że jego głos był niemal niedosłyszalny - ale wszystko wydaje się na to wskazywać. Moi ludzie i ich informatorzy wydają się być coraz bardziej przekonani, że o to właśnie chodzi - pogładził się ręką po policzku i wyczuł, że jest nie ogolony. Po prostu nie miał czasu tego zrobić.

- A więc... - twarz Gorbaczowa pozostawała nieruchoma, jedynie ramiona miał nieco obwisłe.

Pawliczenko wiedział doskonale, że radzieckie Biuro Polityczne niczego się tak nie boi jak zamachu stanu. Wypływało to z całą pewnością z faktu, że Związek Radziecki utworzony został w wyniku zamachu stanu, jaki miał miejsce w dniu 7 listopada 1917 r. Był to niewielkiej skali, ale zajął atak na demokratyczny Rząd Tymczasowy. Biuro zawsze więc uważało, że tego rodzaju niebezpieczeństwo ustawicznie mu zagraża.

Gorbaczow miał wszelkie powody po temu, ażeby się obawiać. W Związku Radzieckim wrzało. Narodowe powstania, ustawiczne demonstracje. Republika po republice domagały się pełnej niepodległości i niezależności od Rosji. Na dodatek zawałił się blok radziecki. Mur berliński zburzono. Niemcy Wschodnie zjednoczyły się z Zachodnimi. Uniezależniły się Polska, Węgry, Czechosłowacja, Bułgaria. Krwawa rewolucja w Rumunii... KPZR wypuszczała z ręki władzę, którą sprawowała od dziesięcioleci. W okresie zaledwie kilku lat imperium właściwie rozpadało się, a winę za to musiał ponosić Gorbaczow.

Pawliczenko doskonale rozumiał sposób myślenia Gorbaczowa. Prezydent mógł być pewien poparcia trzech, najwyżej czterech osób w Biurze Politycznym. W każdej chwili musiał się liczyć z tym, że nastąpi przewrót, że jego przeciwnicy w Biurze usuną go tak, jak to zrobiono z Chruszczowem w 1964 roku. Równocześnie w Radzie Najwyższej głośno domagano się usunięcia Gorbaczowa z urzędu prezydenta.

Przez prawie minutę trwało milczenie, wreszcie przewodniczący KGB zaczął:

- Mogą być siły... Ci, co konspirują, mają niewątpliwie dostęp do ogromnych środków. W każdym razie moi ludzie tak twierdzą.

- Czy tu w Moskwie? - w głosie Gorbaczowa wyczuwało się drwinę.

- Być może. W każdym razie, jak mówiłem, mogą być też jakieś powiązania z Zachodem. Mówię ogólnikami, ale tak naprawdę nie mamy wystarczająco wiarygodnych informacji.

- To znaczy?

Pawliczenko jedynie wzruszył ramionami.

- Jak wysoko?

- Myślisz o Zachodzie?

- Nie, tutaj.

- Ależ...

- Jak wysoko? Te siły... kontrolowane są przez kogoś z Biura?

- Sądzę, że to jest możliwe - odpowiedział cicho Pawliczenko. To, co powiedział w tej sytuacji Gorbaczow, było zaskakujące:

- Nie chcę, żeby cokolwiek przeszkodziło w listopadowym szczycie - mówił stanowczym, jasnym głosem. - Nie chcę, żeby coś stało nam na drodze - wstał dając do

zrozumienia, że rozmowa skończona. - Jeśli są jakieś powiązania z Zachodem, czy to z Białym Domem, czy z Langley, czy z kimkolwiek innym, muszę wiedzieć. Czy to jasne? Nie chcę, żeby coś mogło nam ten szczyt zepsuć, ale nie mam też zamiaru godzić się z tym, żeby świat patrzył na nas jak na tchórzy.

- Tak jest - Pawliczenko poczuł wewnętrzną ulgę, że tym razem nie chodziło o jego głowę, choć sprawa mogła zostać wyciągnięta w każdej chwili.

- Czy to jeden z nas? - zapytał ciszej Gorbaczow.

- Przecież nie muszę ci tego mówić, że lista twoich wrogów jest długa jak...

- Jak co?

Pawliczenko wzruszył ramionami.

- Szerbanow? - Gorbaczow nie dawał za wygraną. Władimir Szerbanow, minister obrony, był zastępcą członka Biura, co oznaczało, że nie miał prawa głosu. Po raz pierwszy od lat szef radzieckich sił zbrojnych nie był członkiem Biura z prawem głosu. Sprawa została specjalnie tak ustawiona przez Gorbaczowa, który zdawał sobie sprawę, że Armia Czerwona jest zdecydowanie przeciwna cięciom, jakich dokonuje się w budżecie obronnym.

- To jest... - Pawliczenko zmarszczył brwi. - To całkowicie wykluczone. To wał, ale równocześnie jeden z najbardziej lojalnych ludzi w naszym gronie. Na nim można w pełni polegać.

Po chwili milczenia Gorbaczow dodał:

- Już na nikim nie można.

### 30. Moskwa

Charlotte Harper już kilkakrotnie w okresie swej pracy w Moskwie miała kłopoty z radzieckimi władzami, ale nigdy jeszcze nie została aresztowana. Wkrótce do Moskwy miał przyjechać prezydent i sądziła, że interesujące byłoby zrobić reportaż na temat skrajnie prawicowej, neofaszystowskiej organizacji, która ostatnio przejawiała pewną aktywność w Moskwie. Jej członkowie nosili czarne koszule, swastyki i wzywali do walki przeciwko nierosyjskiej mniejszości. Byłby to materiał rzeczywiście sensacyjny, wybuchowy, tym bardziej że władze radzieckie usiłowały odwrócić zainteresowanie od tego rodzaju ugrupowań.

Zatelefonowała tu i tam i znalazła kilka osób, które zgodziły się stanąć przed kamerą. Razem z kamerzystą Randym wsiedli do służbowego czerwonego volvo i pojechali na dalekie, niedawno wzniesione południowo-zachodnie przedmieście Moskwy. Tu znajdowało się mieszkanie, którego adres jej podano.

Gdy znaleźli się na miejscu, stwierdziła, że nie są sami. Było tu już kilkunastu milicjantów stojących przed budynkiem mieszkalnym, do którego mieli wejść. Milicjanci najwyraźniej czekali. Byli czujni, czerwoni na twarzach i prezentowali się jak rozrośnięte wersje Nikity Chruszczowa. Patrzyli nieufnie na samochód amerykańskiej telewizji i wyładowujących kamery i sprzęt. Jeden z nich podszedł i powiedział po rosyjsku:

- Kamery niedozwolone, wywiady niedozwolone.

- Nie łamiemy żadnego prawa - odpowiedziała Charlotte płynnym rosyjskim.

- Potłukę wam te kamery.

- Spróbuj - nie było mądre prowokowanie rosyjskiego gliny, ale słowa te wyrwały się jej nieomal bezwiednie. - Randy, idziemy.

Milicjant szedł za nimi do wejścia budynku, zablokowanego zresztą przez jego kolegów.

- Wzbronione - powiedział jeden z nich.

- Randy, włącz kamerę - Charlotte powiedziała to po angielsku, szybko i spokojnie. -



Przynajmniej coś będziemy mieli.

Randy zaczął kręcić. Wstawka pokazująca zablokowane wejście do budynku już sama w sobie byłaby materiałem wymownie ilustrującym metody władzy radzieckiej stosowane nawet w okresie jawności. Milicjanci zorientowali się, o co chodzi, i jeden z nich ręką zasłonił obiektyw kamery.

- Hej, uważaj - oburzył się Randy - to bardzo droga kamera, ty skurwysynu.

Milicjanci otoczyli ich, a jeden z nich popychał Randy'ego, uniemożliwiając mu kręcenie filmu.

- No dobrze, dobrze, wyłączamy - krzyczała Charlotte po rosyjsku, pieniać się ze złości, a ciszej już i po angielsku dodała: - A niech was pokręci.

Milicjanci zatrzymali Charlotte i Randy'ego, bez skrupułów wrzucili ich do więźniarki i zawieźli do malutkiego, lokalnego komisariatu. Oboje zostali zamknięci w pustym pokoju bez mebli.

- Wspaniale. I co teraz zrobimy? - zapytał Randy, patrząc na Charlotte.

- Nie martw się - uspokoiła go.

Po godzinie do pokoju wszedł mężczyzna wyglądający na starszego oficera milicji.

Zanim otworzył usta, Charlotte zaczęła mówić po rosyjsku:

- Pan chyba wie, że nie naruszyliśmy żadnego prawa. Mam bardzo bliskie kontakty z amerykańską ambasadą i powinien pan wiedzieć, że jeśli natychmiast nie zostaniemy zwolnieni, sprawa stanie się międzynarodowym incydentem - swoje stanowcze żądanie osłodziła uśmiechem tak ciepłym, na jaki się tylko potrafiła zdobyć. - A tego z całą pewnością wolelibyście uniknąć w przededniu szczytu.

Zauważyła, że w drzwiach stał jeszcze jeden człowiek, siwowłosy oficer w wojskowym mundurze. Miał szare, bystro spoglądające oczy. Człowiek ten wyciągnął rękę na powitanie Charlotte.

- Jestem pułkownik Własik - przedstawił się - Nikita Własik - posługiwał się płynnie angielskim.

Charlotte z pewnym ociąganiem przyjęła wyciągniętą do niej rękę.

- Charlotte Harper.

- Wiem, kim pani jest, pani Harper. Od czasu do czasu oglądam pani audycje.

- Bardzo mi to pochlebia - pomyślała w duchu, że zapewne ogląda przechwytywane audycje nadawane przez satelitę do Nowego Jorku. Oznaczało to, że musi zajmować liczące się stanowisko w hierarchii wojskowej.

Pułkownik wykonał gest dłonią i towarzyszący mu milicjant wyszedł z pokoju.

- Pani argumentacja jest bardzo rozsądna - mówił pułkownik - ale nie przemawia ona do politycznej wyobraźni naszej milicji. Oni nie myślą o konsekwencjach, ale, proszę mi wybaczyć wyrażenie, o ochronie własnego tyłka.

Charlotte zaczęła się śmiać. "Skąd się wziął tutaj taki człowiek?" - pomyślała.

- Potrzebowalibyśmy takich ludzi jak pani po naszej stronie.

- Dziękuję, ale ja już moją stronę wybrałam - odparła grzecznie, nie chcąc go urazić.

Pułkownik zastanowił się nad czymś.

- Pani przypomina mi moją córkę.

- Doprawdy? - uśmiechnęła się i po raz kolejny skonstatowała, że Rosjanie są niepoprawni. Potrafią być najbardziej szarmanccy, śmiesznie staromodni, a równocześnie doprowadzać do szału.

- Oboje wykazaliście, że macie wiele odwagi - zaśmiał się pułkownik. - Jeśli pani, pani Harper, ma zamiar na przyszłość łamać nasze prawa, to proszę mi pozwolić udzielić sobie kilku rad na temat tego, jak postępować, ażeby nie popaść w tarapaty. Moi ludzie są bardzo zajęci i może nam pani zaoszczędzić kłopotów, jeśli się pani następnym razem nie da aresztować.

- Czy nie lepiej byłoby, gdyby pan powiedział swoim ludziom, że nie powinni przeszkadzać dziennikarzom w pracy?
- Niewątpliwie racja, niemniej dam pani kilka rad.
- Proszę - powiedziała niepewnie.
- Proszę się zapoznać z naszym kodeksem karnym. Gdyby znowu się coś wydarzyło, może im pani dać nauczkę. Niech się pani nie zgadza na udzielanie odpowiedzi na pytania. Artykuł 46 kodeksu karnego stwierdza, że nie ma pani obowiązku odpowiadania. Artykuł 142 mówi natomiast, że nie musi pani czegokolwiek podpisywać. Każdy milicjant, który coś takiego usłyszy z pani ust, narobi ze strachu w spodnie. Przepraszam za wyrażenie.
- Przebaczam - Charlotte uśmiechnęła się.

\*\*\*

Po powrocie do redakcji zabrała się do zwykłej pracy. Obłożyła się stertą gazet: "Prawda", "Izwestija", "Litieraturnaja Gazieta" i inne, niewypowiedzianie nudne i szare radzieckie periodyki. Od czasu do czasu rzuciła okiem na serwisy agencyjne. W pewnym momencie w AP zauważyła niewielką informację na temat Alfreda Stone'a. Wynikało z niej, że Charlie był jeszcze na wolności, nadal poszukiwany w związku z popełnionym morderstwem.

To przypomniało jej, że dni mijały, a ona nadal nic nie zrobiła, żeby znaleźć kontakt z Sonią Kuniecką. Charlie był przekonany, że zna ona klucz do rozwiązania tajemnicy, jaką usiłował wyświetlić. Potrzebował jej pomocy.

Należało zacząć chyba od książki telefonicznej. Sprawa jednak wcale nie była taka prosta. Książki telefoniczne w Rosji stanowią niezmierną rzadkość. Ostatnią w Moskwie opublikowano w 1973 roku, i to jedynie w pięćdziesięciu tysiącach egzemplarzy. Dla miasta liczącego osiem milionów mieszkańców!

W książce z 1973 roku była jedna S. Kunieckaja. Wykreśliła jej numer.

Okazał się nieaktualny. Telefon odebrał mężczyzna, który chrapliwym głosem niezbyt uprzejmie odpowiedział, że nie wie, kto to jest Sonia Kunieckaja. Oczywiście mógł kłamać, ale nawet jeśli mówił prawdę, znalazła się w uliczce bez wyjścia. Nie było innego sposobu jak pojechać pod adres wskazany w książce. Adres brzmiał: ulica Krasnopriesnienskaja. Znajdowała się w dzielnicy uznawanej za robotniczą, choć radzieckie społeczeństwo miało być ponoć "bezklasowym".

Drzwi, do których zadzwoniła, otworzył mężczyzna. Zachowywał się zdecydowanie wrogo. Powiedział, że nie ma ochoty rozmawiać z amerykańskim dziennikarzem.

- Nic nigdy o kimś nazwiskiem Kunieckaja nie słyszałem - warknął. - Proszę się wynosić.

Próbowała jeszcze dzwonić do sąsiadów i udało się. Natrafiła na to, czego szukała.

- Oczywiście pamiętam Sonię Kuniecką - powiedziała jedna z sąsiadek, skromnie ubrana starsza kobieta. - Czego chce się pani dowiedzieć? Wyprowadziła się przed wieloma laty.

- Czy ma pani adres?

Kobieta obrzuciła Charlotte podejrzliwym spojrzeniem.

- A kim pani jest?

- Jestem jej starą przyjaciółką. Z Ameryki. Od lat o niej nie słyszałam. A pani wie, jak tu ciężko kogoś znaleźć.

Babcia potwierdziła skinieniem głowy.

- Zobaczę - powiedziała.

Wróciła po paru minutach z notesem w ręce.

- Mam - powiedziała uradowana. - Wiedziałam, że gdzieś zapisywałam.

## 31. Waszyngton

Mieszkanie, jakie Stone znalazł po przybyciu do Waszyngtonu, było przygnębiające, ale zapewniało mu bezpieczeństwo. Z książki telefonicznej wybrał adres pokoiów do wynajęcia w Adams-Morgan. Pokoje znajdowały się w drewnianym domu liczącym ponad siedemdziesiąt lat i wymagającym szybkiego remontu. Pokoi było dwanaście i rozmieszczone były na trzech zaniedbanych piętrach. Pokój, który wynajął Stone, znajdował się na trzecim piętrze i miał miniaturową kuchenkę. Stał w nim wysłużony tapczan pokryty kocem pachnącym tak, jakby był z końskiej sierści. Zapłacił z góry za dwa dni. Właścicielka, starsza kobieta w źle skrojonym wełnianym kostiumie, nie była zadowolona. Powiedziała, że woli lokatorów zatrzymujących się minimum przez dwa tygodnie. Pieniądze jednak przyjęła. Dzień przedtem, wieczorem w Bostonie, ciężarówka z produktami spożywczymi odjechała sprzed "Ritza" i pojechała do drugiego luksusowego hotelu w innej dzielnicy miasta. Oczywiście nie miałyby sensu próba ukrywania się w ciężarówce. Stone wysiadł na jednym z przedmieść i udało mu się złapać samochód ciężarowy wiozący odzież na południe do Filadelfii. Dojechali tam około czwartej nad ranem. Po śniadaniu i kilku filiżankach kawy Stone zatrzymał ciężarówkę jadącą do Waszyngtonu.

\*\*\*

Przez pół dnia Stone organizował swoje nowe życie. Nie mógł dłużej ryzykować noszenia przy sobie tak znacznej gotówki. W banku zmienił drobne banknoty na wysokie nominały. Kupił również czeki, używając paszportu na nazwisko Robert Gill. Zakupił odzież zarówno domową, jak i wyjściową, a wreszcie niewielką skórzaną walizkę z kieszonią ukrytą pod podszewką, do której włożył paszport i prawo jazdy na nazwisko Gill.

Wrócił do wynajętego pokoju i po kilku godzinach pracy, używając żyłki i kleju, ukrył w okładkach dwóch książek swój prawdziwy paszport i nieco gotówki. Z automatu telefonicznego zadzwonił do biura numerów rejonu Waszyngton. Nie był zdziwiony informacją, że telefon zastępcy sekretarza stanu Williama Armitage'a jest zastrzeżony. Wiedział, że w Departamencie Stanu nie mógłby z nim rozmawiać, nawet gdyby się tam dostał. Mógł go złapać jedynie w domu. Zaskakująca rozmowa telefoniczna mogła przynieść nieoczekiwane rezultaty. Właśnie Armitage rozmawiał w 1953 roku z Anną Zinojewą. Czyżby był jednym z nich? Zaskoczenie mogło sprawić, że Stone dowiedziałby się, czy i w jaki sposób tamten był związany z tą całą konspiracją. Oczywiście rozmowa telefoniczna łączyła się z ryzykiem, ale Stone nie widział innej drogi.

Zadzwonił do Departamentu Stanu i poprosił o połączenie z biurem zastępcy sekretarza stanu Williama Armitage'a. Odezwał się głos sekretarki.

- Tu Ken Owens z "Washington Post" - powiedział. - Wczoraj rozmawiałem z asystentem pana Armitage'a i nie zanotowałem jego nazwiska.

- Asystent, mówi pan?

- Tak, mężczyzna.

- Jest ich tu kilku - zastanawiała się sekretarka. - Czy to nie był przypadkiem Paul Rigazio?

- Tak, to właśnie on. Dziękuję.

- Czy chciałby pan z nim mówić?

- Później. Potrzebne mi było tylko nazwisko. A ma pani jego wewnętrzny?

Sekretarka podała mu numer wewnętrznego telefonu Paula Rigazia i Stone odłożył

słuchawkę.

Teraz z kolei zatelefonował do biura kadr Departamentu Stanu.

- Tu Paul Rigazio z biura Billa Armitage'a, wewnętrzny 7410. Bill zostawił informację, w której prosi, żebym zadzwonił do niego do domu, ale nie zostawił mi nowego numeru.

- W porządku - odpowiedział kobiecy głos - proszę chwilę poczekać. - Po niespełna minucie odezwał się ponownie: - Nie widzę tu żadnego nowego numeru.

- A jaki pani ma?

Kobiecy głos odczytał numer, Stone podziękował i odłożył słuchawkę. Musiał jeszcze raz zatelefonować. Potrzebny mu był domowy adres Armitage'a na wypadek, gdyby telefon nie odpowiadał.

Biuro Numerów to miejsce, w którym z całą stanowczością strzeże się tajemnicy numerów prywatnych i adresów. Im niżej jednak na szczeblach drabiny hierarchicznej, tym łatwiej o informację. Zatelefonował więc do biura napraw i przedstawił się jako William Armitage. Powiadomił, że ma jakieś kłopoty z telefonem.

- Na mojej linii są jakieś zakłócające dźwięki - powiedział.

- Jaki numer?

Stone podał, a przy tym zapytał:

- Czy za naprawę przysyłacie rachunek?

- Nie, linię sprawdzamy na nasz koszt.

- Przy okazji, nie otrzymałem rachunku za zeszły miesiąc.

- Proszę zadzwonić do biura rozliczeń.

- Przeprowadziłem się i natychmiast zawiadomiłem o moim nowym adresie. Jaki adres ma pan obecnie podany?

- 79 Arlington Street.

- W porządku, macie właściwy. Dziękuję - i odłożył słuchawkę.

\*\*\*

Na pięć dni przed opisanymi wydarzeniami dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn, obaj około czterdziestki, złożyło wizytę w Chesapeake and Potomac Telephone, w centrali dla rejonu Waszyngtonu. Podali się za pracowników FBI i legitymowali się odpowiednimi papierami. Już ich oczekiwano. Rano telefonował tu ktoś, kto przedstawił się jako szef biura w FBI i zapowiedział przyście dwóch ludzi. Będą mieli zezwolenie sądu na założenie komuś podsłuchu.

Obaj przybyli przedłożyli niezbędne dokumenty, w tym decyzję sądową podpisaną przez sędziego federalnego. Wprawdzie ich legitymacje były sfalszowane, a ktoś, kto telefonował rano, nie był z FBI, ale z organizacji o nazwie Fundacja Amerykańskiego Sztandaru, to postanowienie sądu było prawdziwe. Sędzia, który wydał postanowienie, był starym przyjacielem dyrektora CIA i był przekonany o konieczności prowadzenia w pewnych sprawach tajnych operacji krajowych.

Obu mężczyzn zaprowadzono do niewielkiego pokoju i pokazano centralę przekątnikową, poprzez którą można było zakładać podsłuchy na linie telefoniczne numerów waszyngtońskich.

\*\*\*

- Czy pan Armitage?

Odpowiedział mu głos starego człowieka, którego nieskazitelny ton i starannie wymawiane głoski świadczyły o doskonałym wykształceniu, jak też zdradzały człowieka

przyzwyczajonego do wydawania rozkazów, których słuchano.

- Kto dzwoni?

- Nazywam się Matt Kelley. Współpracuję z Winthropem Lehmanem.

- Rozumiem - ton Armitage uległ naglej zmianie, stał się ostrożniejszy. - I w ten sposób zdobył pan mój numer?

- Tak, Winthrop chciał, żebym się z panem skontaktował.

Teraz wszystko zależało od odpowiedzi Armitage'a. Być może teraz nastąpi pauza sugerująca zaskoczenie, świadczące, że już nie ma kontaktów z Lehmanem. Jeśli nie, Stone wiedział, że będzie musiał natychmiast odłożyć słuchawkę i założyć, że Armitage był jednym z nich.

- Chciał, ażeby się pan skontaktował? - powiedział tamten po chwili. - Z jakiegoż to powodu?

Stone'owi dziesiątki myśli przeleciały przez głowę. Ton Armitage'a wydawał się sugerować, że tamten mówił szczerze.

- Czy nie uprzedził pana o moim telefonie?

- Nie rozmawiałem z Winthropem od dwunastu czy trzynastu lat.

- To wiąże się ze śmiercią Alfreda Stone'a. Mówi panu coś to nazwisko?

- Oczywiście. Znałem człowieka, a w każdym razie spotykałem. To przerażające, co się wydarzyło. A o czym mielibyśmy rozmawiać?

Armitage najprawdopodobniej nie był informowany o biegu wydarzeń.

- Muszę z panem porozmawiać.

- To brzmi bardzo tajemniczo.

- Tak, musimy być ostrożni.

- Proszę do mnie zatelefonować jutro po południu do biura. Jestem zavalony pracą, ale coś tam wygospodaruję...

- Nie, nie w Departamencie Stanu.

- Kim pan właściwie jest?

- To nazbyt skomplikowane, ażeby omawiać przez telefon. Czy możemy spotkać się gdzie indziej? Może u pana w domu?

- Mam gości na kolacji, panie... Jak pańskie nazwisko?

- Kelley.

- Panie Kelley. Zadzwoń do pana za kilka minut. Muszę wygospodarować czas.

- To ja do pana zadzwonię.

- Ma pan jakieś powody, ażeby mi nie podać numeru telefonu? - w głosie Armitage'a przebijała wyraźnie podejrzliwość.

- Nie, nie mam najmniejszego powodu - odczytał na głos numer umieszczony na automacie, z którego dzwonił.

- Za dziesięć minut zadzwonię.

Stone wyszukał kawałek papieru w kieszeni, napisał na nim drukowanymi literami "nieczynny" i wsunął w otwór automatu. Stojąc kilka kroków od budki telefonicznej patrzył, jak zainteresowani odchodzą od aparatu po przeczytaniu kartki.

W umówionym czasie zadzwonił telefon. Głos, który usłyszał, nie należał jednak do Armitage'a.

- Pan Kelley? Tu Morton Bloom. Jestem asystentem Billa Armitage'a. Prosił, żebym do pana zadzwonił. On sam w tej chwili odwołuje dzisiejszą kolację.

- On nie mógł zatelefonować? Wydawało mi się, że wyraźnie powiedziałem... Nie chcę angażować żadnych trzecich osób.

- Bardzo przepraszam. Zapewne uważał, że nie zrobi to panu różnicy. Jestem jego najbliższym współpracownikiem, jak gdyby szefem sztabu odpowiedzialnym za jego bezpieczeństwo.

- Rozumiem.  
- Rzecz w tym, że Bill chce się z panem spotkać i odpowiada mu pańska dyskrecja.  
- Bardzo mnie to cieszy. Kiedy możemy się spotkać?  
- Czy jest pan wieczorem wolny?  
- Oczywiście.  
- A więc dziś wieczorem.  
- W Waszyngtonie?  
- Bill uważa, że lepiej by było nie spotykać się w jego domu. Sądzi, że pan to zrozumie.  
- Tak - przyznał Stone.  
- Chciałby się z panem spotkać gdzieś na uboczu, gdzie można obserwować i upewnić się, że i pan nie jest śledzony.  
- Rozumiem, co sugeruje?  
- Czy zna pan Arlington?  
- Nie.  
- Tuż koło stacji metra jest niewielki placzyk handlowy. Tam jest mała kawiarnia. Armitage może być tam, powiedzmy, o dziewiątej, jeśli to panu odpowiada. Bloom dokładnie opisał łożę w kawiarni, w której Stone miał spotkać się z Armitage'em.  
- Gdybyśmy się kilka minut spóźnili, proszę nie wpadać w panikę - dodał Bloom. - Do moich obowiązków należy zachowanie ostrożności. A chciałbym się z nich wywiązywać jak najlepiej.  
Odwiesił słuchawkę i natychmiast ponownie wykręcił numer Armitage'a. Telefon był zajęty. Zatelefonował do Departamentu Stanu do Wydziału Kadr. Czy zatrudniano w resorcie Mortona Blooma? Uzyskał odpowiedź, że tak, pracował w biurze Armitage'a.  
Z ulgą odwiesił słuchawkę.

\*\*\*

W kilka godzin później, czując rewolwer Smith and Wesson obciągający mu kieszeń marynarki, wychodził ze stacji metra w Arlington. Znalazł się na niewielkim placyku ze sklepami i zobaczył kawiarnię. Była malutka i dobrze oświetlona. Przez szybę policzył gości, było ich ośmioro. Jeśli ktoś chciałby zastawić na niego pułapkę, nie mógłby znaleźć gorszego miejsca. Widoczność na wszystkie strony była doskonała.  
Dochodziła dziewiąta. Łoża w kawiarni była pusta. Na stoliku widniał napis "Reserve", co wyglądało głupio wobec niemal pustej sali. Dlaczego jednak ktoś tak arystokratyczny jak Armitage umawiał się w tak obskurnym miejscu?  
Przeszedł na drugą stronę ulicy i stojąc pod drzwiami jakiegoś biura turystycznego obserwował wejście do kawiarni. Minęło dziesięć minut. Była punkt dziewiąta, a na spotkanie nikt nie przychodził. Uważali zapewne, że powinien przyjść pierwszy, ale on postanowił ich zaskoczyć. Po jakimś czasie spojrzął na zegarek. Była dziewiąta piętnaście. Po tamtych ani śladu. Coś musiało być nie w porządku, a spotkanie stanęło pod znakiem zapytania.  
Ruszył chodnikiem w kierunku stacji metra i w tym momencie usłyszał wybuch. Podskoczył przerażony. Był to potężny huk zmieszany z brzękiem tłuczonego szkła. Odwrócił głowę. Małeńki budynek kawiarni stał w płomieniach. Zawyły gdzieś syreny alarmowe. Stone rzucił się biegiem przed siebie.

Stacja metra Prospekt Mira miała przepiękny wystrój architektoniczny, zharmonizowany z całym systemem moskiewskiego metra, jednego z najładniejszych na świecie. Podłoga wyłożona była płytkami z granitu, korytarze utrzymane w stylu rokoka i oświetlone dziesiątkami eleganckich kandelabrow. Tunele, którymi wchodziły tłumy pasażerów, wykładane były marmurem. W porze szczytu, trwającym w Moskwie całymi godzinami, korytarze i perony zatłoczone były tłumem zmęczonych podróżnych, babuszek dźwigających torby z zakupami, kobiet z wiercącymi się dziećmi, podenerwowanymi robotnikami niosącymi w rękach teczki z prowiantem zakupionym w mieście. Na jednej z ławek na peronie od pięciu minut siedział wysoki, chudy i źle ubrany mężczyzna. Nie zwracał niczyjej uwagi. Niczym się nie wyróżniał i sprawiał wrażenie przemęczonego. Na postronnych obserwatorach robiłby wrażenie urzędnika zatrudnionego w jednym z tysięcy całkiem nieważnych i nikomu niepotrzebnych moskiewskich biur. Nikt z przewalającego się tłumu nie byłby w stanie zapamiętać Stefana Kramera. Nikt też nie zauważył, że otworzył trzymaną na kolanach tanią teczkę, włożył rękę do środka pomiędzy znajdujące się tam papiery i czegoś szukał. Nikt nie widział, że w rzeczywistości zgniótł chemiczny zapalnik czasowy, robiąc to w momencie, w którym na stację wjechał pociąg. Wstał, pozostawił teczkę na ławce i wmieszał się w grupę przygotowujących się do wsiadania żołnierzy. Był to najprawdopodobniej cały pluton. Beładna grupa czekająca zapewne na jakieś rozkazy, których nie wydawano. Żołnierze przestępowali z nogi na nogę, ale nie wsiadali do pociągu. "Jezus - pomyślał Stefan - tu nikogo teraz nie powinno być. Ci żołnierze za chwilę zostaną zabici". Rozglądał się na wszystkie strony. Żołnierze ci służyli rządowi, który zniszczył jego brata, ale byli całkowicie niewinni. Byli młodymi ludźmi, mniej więcej w jego wieku. Niektórzy mogli mieć po osiemnaście lat. Mieli rumieńce na policzkach. Oczywiście było, że nie interesują się polityką, nic nie wiedzą o gułagach i torturach i co najwyżej dumni są z tego, że służą swojemu krajowi. Stefan miał poczucie tego, że nie wolno ich zabijać. W ostatniej chwili wycofał się z pociągu, który zaraz odjechał. Przepchnął się przez tłum żołnierzy i odnalazł swoją teczkę. Niemal biegiem puścił się w głąb peronu, gdzie nie było nikogo. Serce waliło mu w piersiach, jakby chciało wyskoczyć. To, co niósł pod pachą, mogło w każdej chwili wybuchnąć. Położył teczkę pod marmurową ścianą. W pobliżu nikt nie stał. Czekał przez chwilę z rozłożoną gazetą w rękach, jakby czytał. W rzeczywistości sprawdzał otoczenie. Nie zwrócono uwagi na jego zachowanie. Zatrzymał się kolejny pociąg. Wsiadł zdenerwowany, jednocześnie czując ulgę. Nadśluchiwał odgłosu wybuchu.

\*\*\*

Przed kilkoma dniami jego ojciec na elektrycznej maszynie do pisania w wydawnictwie "Progress" napisał list. Wysyłali go do biura prezydenta Gorbaczowa na nazwisko jednego z doradców prezydenta. Nazwisko to Jakow znalazł w "Izwestijach". W liście Jakow napisał jasno i wyraźnie, że domagają się natychmiastowego zwolnienia wszystkich więźniów przetrzymywanych z powodów politycznych w Sądowym Instytucie Psychiatrycznym. Jeśli żądanie nie zostanie spełnione w ciągu tygodnia, zamachy terrorystyczne będą kontynuowane. Wobec zbliżającej się wizyty prezydenta USA w Moskwie groźba terroryzmu nabierała wymiarów poważnego zagrożenia dla Biura Politycznego.

Jakow i Stefan wiedzieli, że zamach na Borisowa zyskał światowy rozgłos. Kreml z całą pewnością wolałby uniknąć dalszych tego rodzaju incydentów. Cena, jaką za to żądali Kramerowie, była relatywnie niewielka. Ojciec i syn spotkali się ponownie w mieszkaniu Jakowa. Jak i poprzednim razem Soni nie było. Stefan wielokrotnie myślał o tym, dlaczego

ojciec tak stanowczo upierał się, żeby ona o niczym nie wiedziała. Oczywiście było, że nie aprobowałyby niebezpiecznego przedsięwzięcia. Musiało w tym być jednak i coś więcej, jakieś inne powody, dla których Jakow tak troskliwie chronił swoją towarzyszkę.

- Nie chciałbym, żebyśmy zabijali niewinnych ludzi. Musimy starać się tego unikać - mówił Jakow, a wyraz twarzy świadczył o nękającym go smutku.

Stefan skinął głową.

- Na myśl o tamtym wydarzeniu ciągle jeszcze robi mi się słabo. Staram się nie myśleć o Borisowie. Był to wstrętny człowiek, ale nie potrafię pogodzić się z koniecznością zabijania.

- W porządku - powiedział Jakow. - Jeśli wybierzesz metro jako następny cel, uważaj, żeby nie zabijać niewinnych ludzi.

- Będę uważał.

- A bomba... czy będzie miała dużą siłę rażenia?

- Ładunek jest spory i wybuch będzie bardzo silny.

\*\*\*

Ładunek eksplodował w kilka minut po odjeździe pociągu, w którym był Stefan. Perony zostały nagle zalane oślepiająco jasnym światłem, a w ułamek sekundy potem wstrząsnęła nimi ogromna eksplozja. Nikt nie stał w pobliżu i nie było ofiar śmiertelnych, ale tłum wpadł w panikę i krzycząc uciekał w popłochu obsypywany odłamkami ścian i stropów. Wieść o wydarzeniu natychmiast rozeszła się po Moskwie. Powtarzano sobie, że terroryści zaatakowali ponownie. W plotkach pojawiały się różne teorie i hipotezy, ale nikomu przez myśl nie przeszło, że sprawcami są dwaj bardzo zwyczajni ludzie, których motorem działania była miłość ojcowska i braterska.

\*\*\*

Gdyby Andrew Langen nie przechodził przypadkiem Prospektem Kalinina w momencie, w którym samochód Borisowa wyleciał w powietrze, CIA nie wiedziałaby o tym, że do sfabrykowania ładunku użyto technologii KGB. Gdyby się o tym nie dowiedziano, Langen nie otrzymałby polecenia dokładnego obserwowania wszelkich aktów terroryzmu i nie uznałby zadania za absolutnie priorytetowe. Dlatego też, kiedy rozeszły się wieści o wydarzeniu w metrze, Langen podjął starania o zdobycie podobnego dowodu, jaki przed kilkoma tygodniami znalazł całkowicie przypadkowo. Natychmiast po wybuchu, który nie zabił nikogo, ale ranił ponad dwadzieścia osób, stacja metra została zamknięta i szczelnie otoczona kordonem milicji i sił KGB. Wydawało się, że tym razem nie uda się otrzymać żadnego fragmentu gruzów z miejsca wybuchu.

Trafiła się jednak nieoczekiwana okazja. Jeden z rosyjskich robotników zatrudnionych przy robotach ziemnych na terenie amerykańskiej ambasady wspomniał Langenowi, że ma przyjaciela, który jako robotnik pracuje w milicji i obecnie zatrudniony jest przy pracach porządkowych i naprawach wykonywanych na zrujnowanym peronie stacji metra. Oczywiście robotnik był sprawdzany przez KGB, tak jak wszyscy radzieccy obywatele tu pracujący. Nie był jednak czekistą i za obietnicę znacznej zapłaty obiecał zrobić, co się da. Już następnego dnia rano przyniósł pudło wypełnione gruzem zebrany na stacji Prospekt Mira. Każdy fragment cegły czy marmuru zawinięty był w oddzielny papier, robotnik obchodził się z nimi tak, jakby to były próbki księżycowych skał. Czym w jakimś sensie były naprawdę.



### 33. Arlington, Wirginia

Stone biegł w kierunku stacji metra Arlington. Zatrzymał się koło stacji benzynowej, za którą przy warsztacie naprawczym był parking. Stało tam kilkanaście samochodów. Stacja i warsztat były już zamknięte, a światła pogaszone. Wyjął z kieszeni scyzoryk, jakie produkowano w Szwajcarii dla wojska. Scyzoryk miał również ostrze śrubokrętu i przy jego pomocy otworzył małe, boczne okienko zardzewiałego i pogiętego, żółtego volkswagena rocznik 1970. Wsadził rękę i udało mu się dosięgnąć korbki od szyby. Odkręcił okno i otworzył drzwi. Położył się na przednim siedzeniu, chcąc dostać się do instalacji pod tablicą rozdzielczą. Odczekał minutę, by wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Jedyne światło padało z pobliskiej latarni ulicznej. Zlokalizował stacyjkę i ręką wymacał cztery przewody doprowadzone do stacyjki. Bez trudności odłączył je od gniazdka w stacyjce. Jeden z przewodów był koloru czerwonego. Jego końcem dotknął do karoserii. Zablęskła niebieska iskra. Był to przewód od akumulatora.

Przemknęła mu przez głowę myśl, że dobrze być niedzielnym mechanikiem. Teraz nabyte doświadczenia się opłaciły, pomogły mu ustalić odpowiednie połączenia. Za pomocą noża zdjął izolację z końcówek trzech pozostałych przewodów. Potem zielony przewód złączył z czerwonym. Nie było efektów.

- Gówno - mruknął półgłosem. Samochód stał w warsztacie naprawczym i całkiem możliwe, że był po prostu zepsuty. Spróbował teraz połączenia przewodu niebieskiego z czerwonym. Starter zawarczał, silnik zakaszłał, ale natychmiast zgasł. A więc jednak. Spróbował teraz połączyć biały przewód z czerwonym. Ponownie warkot startera, ale silnik nie zaskoczył. Połączenia były nieprawidłowe. Spróbował dotknąć niebieski do czerwonego. Włączył się odbiornik radiowy i ożyły wskaźniki paliwa. To było to. Do złączonych przewodów przytknął biały i silnik natychmiast ożył.

W pół godziny później wjeżdżał do Falls Church i po chwili poszukiwań popartych pytaniem zadaniem taksówkarzowi odnalazł dom Armitage'a. Był to nie tyle dom, co posiadłość. Wielka budowla w stylu kolonialnym z czerwonej cegły otoczona przez setki metrów kwadratowych zalesionego terenu. Okna były ciemne, czego należało oczekiwać. Była już pierwsza po północy. Stone zaparkował samochód na ulicy i przez chwilę siedział w wozie rozważając sytuację.

Wydarzenia kilku minionych godzin spowodowały, że jeszcze drżał z emocji. Czyżby Armitage był jednym w nich? Myślał o swoich prześladowcach, o których nic nie wiedział, nie znał ich twarzy. Mogło być jednak całkiem inaczej, wręcz przeciwnie. Być może tamci założyli podsłuch na telefon Armitage'a i robili wszystko, co mogli, by nie dopuścić do ich spotkania. Wszystko było możliwe. Mógł to wyjaśnić tylko w jeden sposób. Przez zaskoczenie. Jeśli Armitage należał do konspiracji, przypuszczał zapewne, że Stone już nie żyje, zabity w wyniku eksplozji. Nie oczekuje, że spotka go przed drzwiami swojego domu. A jednak...

Podejrzliwość przed kilkoma godzinami uratowała mu życie.

Dom Armitage'a stał na niewielkim pagórku i z ulicy można było widzieć jego trzy strony. Było całkiem pusto. Wyłączył silnik volkswagena. Powoli, ostrożnie podszedł do drzwi frontowych. Nacisnął dzwonek. Odczekał minutę i ponownie zadzwonił. W chwilę potem drzwi się otworzyły.

Stał w nich Armitage. Stone rozpoznał go ze zdjęć w prasie. Miał na sobie purpurowy jedwabny szlafrok narzucony na jedwabną piżamę i wyglądało na to, że przed chwilą się obudził. Jednak nawet w takim stroju wyglądał dostojnie. Białe włosy wyraźnie kontrastowały z opalenizną twarzy.

Nie wydawało się, żeby poznawał przybysza. Na twarzy miał wyraz gniewu i podejrzliwości.

- Cóż to, do diabła, znaczy?
  - Nie widziałem pana na naszym spotkaniu - Stone odpowiedział ponuro.
  - Kim pan jest? Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, która to godzina?
  - Rozmawialiśmy rano. Jestem asystentem Lehmana... Matt Kelley.
  - Mówiłem, żeby pan tu nie przychodził! - Armitage podniósł głos.
  - Teraz rozumiem dlaczego! - odpowiedział Stone takim samym tonem.
- Siwowłosey gospodarz wydawał się zaskoczony i zdumiony:
- Odłożyłem moje plany na wieczór i potem zadzwoniłem pod numer, jaki pan mi podał - belkotał niezbyt wyraźnie wskutek rozdrażnienia. - To był jakiś przeklęty automat! Odebrał przypadkowy przechodzień. Czekałem na pana telefon, ale bez skutku. Pańskie szczęście, że to miał być jedynie wieczór z moim bratem! Co pan sobie myśli? Nie dam się obrażać...
- Z głębi domu dobiegł głos kobiety:
- Kto to jest, Bill?
  - Nikt - odpowiedział Armitage. - Zaraz się go pozbędę. Idź spać, kochanie.
- Czy mówi prawdę?
- Zatelefonowałem do pana, ale było zajęte, a więc...
  - Jak to zajęte? Siedziałem przez dziesięć minut przy telefonie i nikt nie dzwonił.
  - Do mnie zatelefonował Morton Bloom... - zaczął Stone.
  - Morton Bloom! Niemożliwe. Jego w ogóle nie ma w kraju. Jest na delegacji w Genewie. Od siedmiu miesięcy nie było go w Waszyngtonie.
- Stone czuł, że puls zaczyna mu bić szybciej.
- Chciałem się dowiedzieć czegoś o pewnej staruszce nazwiskiem Anna Zinojewa - powiedział z zimnym spokojem. - Była sekretarką Lenina. Stara, przestraszona kobieta, którą odwiedził pan w 1953 roku.
  - Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - Armitage dał krok do tyłu, przygotowując się do zamknięcia drzwi. - Teraz proszę się stąd wynosić...
  - Proszę, niech pan nie marnuje mojego czasu - Stone zrobił coś, czego miał nadzieję uda mu się uniknąć, wyciągnął z kieszeni rewolwer i wycelował w gospodarza domu.
  - Odłóż pan to przekłete świństwo. Żona właśnie telefonuje na policję. - Armitage był przestraszony i oczywiście kłamał.
  - Wszystko, czego chcę, to jedynie chwila rozmowy - Stone nadal był zimny i opanowany. - Niczego więcej. Pomówimy i wszystko będzie w porządku.
  - Kim, do cholery, jesteś? - charczał coraz bardziej przestraszony mąż stanu.

\*\*\*

Armitage słuchał tego, co mówi Stone, z nie ukrywanym zdumieniem. Już od piętnastu minut siedzieli w wielkiej, wypełnionej stojącymi na półkach książkami bibliotece. Przerywał od czasu do czasu, zadając jakieś pytanie lub prosząc o wyjaśnienie czegoś. Stone położył obok siebie rewolwer, gotów do użycia go w razie potrzeby. Armitage wydawał się jednak chętny do współpracy, w szczególności, kiedy dowiedział się, że Stone był pracownikiem Fundacji Parnassus i współpracownikiem jego serdecznego przyjaciela Saula Ansbacha. Gdy Stone skończył, powiedział:

- Saul telefonował do mnie. Wspominał pańskie nazwisko. Był wyraźnie zdenerwowany. Mówił o tym raporcie od naszego agenta w Moskwie i o swoich podejrzeniach co do tego, że z naszej strony są ludzie działający nielegalnie - potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Mówiąc szczerze, uznałem, że podejrzenia te są wyrazem panikarstwa.

Słuchając, Stone rozejrzał się po pokoju. Półki z książkami zajmowały całe ściany od

podłogi po sufit. Tu i tam zdjęcia: Armitage z Lyndonem Johnsonem, Johnem Fosterem Dullesem, Jimmym Carterem, Ronaldem Reaganem. Jego awans do stanowiska Numer 2 w Departamencie Stanu nie był wynikiem lojalności wobec którejś z partii. Miał przyjaciół i po stronie republikanów, i demokratów. Oczywiście było, że ma wielu wysoko postawionych przyjaciół.

- Kiedy przeczytałem o Saulu i potem o pańskim ojcu... Absolutnie upiorne...

- Tak - pospiesznie uciał Stone. Wolał nie rozpoczynać rozmowy na temat ojca. - Sądzę, że Saul miał rację, czyż nie?

- Rację w jakiej sprawie? - zapytał z nie skrywaną wrogością.

- Tu w Waszyngtonie działa głęboko zakonspirowana organizacja, która od dziesięcioleci zamierza zdeorganizować Kreml. Działa poza CIA, poza Białym Domem i wszelkimi innymi agendami federalnymi. Właśnie teraz wzmocniła swoją aktywność.

- Nonsens.

- Nonsens? A dlaczego umarł Saul Ansbach? Zabito go, żeby tę prawdę zataić. - Stone mówił szeptem, zza którego przebijała pasja. - I pan jest jednym z nich, nieprawdaż?

- Nie! - krzyknął Armitage z zaskakującą gwałtownością.

- A nawet jeśli nie, to i tak wie pan o wiele więcej, niż pan mówi.

Oczy Armitage'a były rozbiegane. Zaciskał ręce, wstał i poprawił pasek szlafroka, potem poszedł w kierunku biurka. Stone odciągnął bezpiecznik rewolweru.

- Niech mnie pan nie usiłuje zaskoczyć.

Oczy Armitage'a rozszerzyły się na chwilę, potrząsnął głową i roześmiał się niepewnie.

- Niczego takiego nie planowałem. Zresztą mam wszelkie powody, by panu nie ufać.

Wdziera się pan do mojego domu po północy i opowiada takie nieprawdopodobne historie.

- To prawda - przyznał Stone, trzymając jednak tamtego na muszce.

Armitage wzruszył ramionami i wziął z biurka fajkę i pudełko z tytoniem.

- Przepraszam.

- W porządku - Armitage nabił fajkę i ubijał tytoń. - Sądzę, że zrobiłbym coś podobnego, gdybym był na pańskim miejscu. Wydaje mi się, że nie może pan nikomu ufać. Najwyżej może pan zaskakiwać tak, jak pan mnie zaskoczył - nabił fajkę i wrócił na dawne miejsce.

- Jeśli pan nie jest jednym z nich - mówił Stone - to proszę mi odpowiedzieć na takie pytanie. Musimy wrócić do 1953 roku. Pan wie, że ludzie Berii ciężko przestraszyli Annę Zinojewą szukając dokumentu... Testamentu Lenina, którego ujawnienie mogło wywołać w Rosji takie zamieszanie, że dokonanie przewrotu stawało się czymś prawdopodobnym.

Armitage potwierdził skinieniem głowy.

- Pana posłano, ażeby się przekonać, czy i co powiedziała, a raczej żeby przeciwdziałać dalszym wydarzeniom. Miał się pan dowiedzieć, czy ona ma ten dokument, a jeśli nie, to w czyich jest on właściwie rękach.

- Zgadza się.

- A więc pytam... kto pana posłał?

Armitage wolno potrząsnął głową.

- Moja reputacja... - zaczął, Stone podniósł lufę rewolweru.

- Chcę panu coś powiedzieć - mówił cicho, ale z ogromnym ładunkiem emocjonalnym. - Ojca zamordowano, mnie oskarża się o kilka przestępstw, o zamordowanie własnego ojca. Jestem gotów na wszystko, żeby tylko się z tego wygrzebać. Gdyby okazało się konieczne popełnienie morderstwa, nie będę się wahał przez sekundę.

Oczy Armitage'a wypełniły się łzami. Zapanowała chwila milczenia, która wydawała się nie mieć końca. Wreszcie wyszeptał:

- Winthrop...

- Lehman? Dlaczego właśnie Lehman...

- O Boże - odłożył fajkę i zaczął mówić. - W latach... widzi pan, w latach wojny miałem szczęście i znalazłem się w szeregach wywiadu. Brałem udział w śledztwie prowadzonym przez Ministerstwo Wojny w sprawie Pearl Harbour. Moim szefem był nie kto inny jak szef sztabu generał George Marshall. Byłem więc na właściwym miejscu we właściwym czasie - ręce mu wyraźnie drżały. - Oczywiście rodzinny majątek i powiązania też nie zaszkodziły. Po wojnie zacząłem pracę w Departamencie Stanu. Na jakimś przyjęciu, już nie pamiętam gdzie i kiedy, spotkałem słynnego Winthropa Lehmana, doradcę prezydenta do spraw bezpieczeństwa. Staliśmy się przyjaciółmi. Taka przyjaźń, jakich wiele w Waszyngtonie, raczej partnerstwo i zrozumienie wspólnych interesów... ty pomożesz mnie, ja pomogę tobie.

- A jak pan mógł mu pomagać?

- W owym czasie i ja się nad tym zastanawiałem. Lehman znał niemal wszystkich w Waszyngtonie, których należało znać. Okazało się jednak, że Lehman potrzebuje kogoś zaufanego w Departamencie Stanu, swojego człowieka, szczególnie w Biurze Wywiadu i Analiz.

- A w jakim celu?

- Żeby uważać, trzymać wszystko jak należy. Drobnostki, ale ogromnie ważne.

- A konkretnie?

Armitage wzruszył ramionami:

- Niepokoił się w owym czasie przeciekami różnych tajnych informacji. Właśnie szalał McCarthy, a tajemnice państwowe roztrząsano publicznie. Na tym polegała parodia. McCarthy, zażarty wróg komunizmu, pomagał komunistom tak, jak im nikt nigdy nie pomógł. Winthrop chciał, żebym uważał, by szczególnie tajne informacje nie przedostały się, do kogo nie należało. Jak chociażby informacje o M-3, a wiedziałem jedynie, że jest to nasz kret w Moskwie.

- A co pan dostawał w zamian za tę pomoc?

- W zamian, panie Stone, dostałem coś niezwykle cennego. Były to bardzo ciężkie dni dla Departamentu Stanu. Ten skurwysyn McCarthy nazywał nas "chłopcami w pasiastych kałesonach" i wziął nas na cel. Wielu padło ofiarą. Lehman czuwał nad tym, by mnie nie spotkało coś złego. Jednak pewnego dnia otrzymaliśmy szczególną informację wywiadowczą. Była ona rezultatem przeprowadzanych w tamtych czasach operacji określanych mianem "black-bag". Jeden z naszych agentów dobrał się do radzieckiej poczty dyplomatycznej. W tamtych czasach były to wielkie skórzane worki pełne zakodowanych dokumentów, listów, memorandumów. Wszystko sfotografowano na mikrofilmie. Wśród listów znajdowała się kremowa koperta zaadresowana do mojego przyjaciela Winthropa Lehmana. W środku była kartka papieru, bez nadruku i bez podpisu. Zawierała całkiem banalną informację, niewątpliwie stanowiącą kod.

- Od kogo?

- Odpowiedź na to otrzymaliśmy dokonując analizy papieru. Był to papier używany wyłącznie przez MGB, jak się wtedy nazywało KGB.

- I co?

- I wiedziałem, że mam w ręku coś bardzo ważnego, dowód, że mój przyjaciel Winthrop ma jakieś tajne powiązania ze służbami radzieckimi. Zostałem więc, jak pan widzi, wciągnięty, choć bez własnej woli. Jeśli ja wiedziałem, a Lehman wiedział, że ja wiedziałem, stawałem się uczestnikiem gry.

- Dlaczego właśnie pan zasiadł do tej gry?

- Potrzebowali mnie. Potrzebowali kogoś odpowiedzialnego w Departamencie Stanu.

Lehman koordynował operację, której celem miał być przewrót dokonany przez Berię.

Wykorzystując moje powiązania w Departamencie Stanu, przekazywałem pieniądze, które

dostarczał Winthrop Lehman. Było tego ponad siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Przekazywałem je na konto w banku szwajcarskim. Konto należało do Berii.

- Lehman! Lehman osobiście finansował przygotowania do przewrotu?

Armitage przytaknął.

- Tak to właśnie wyglądało.

- Chciano dopuścić tego szaleńca Berię do władzy?

- Nie, chodziło o zdestabilizowanie radzieckiego rządu. Obecnie oczywiście rozumiem, że destabilizacja na Kremlu to najgorsze, co nas może spotkać.

- Jak nazywał się współpracownik Berii, ten M-3, o którym mówiliśmy?

- Nie mam pojęcia. Proszę mi wierzyć, że nigdy nie słyszałem. Trzymano to w tajemnicy. Nie wiem też, kto jeszcze w tym uczestniczył.

- Muszą być jednak sposoby, aby się o tym dowiedzieć. Są jakieś akta, jakaś dokumentacja tej operacji. Coś, co poza wszelką wątpliwość dowodzi, co robiono.

- Nie ma niczego.

- Chociażby akta dotyczące Lehmana? - sugerował Stone. - Akta, do których pan ma dostęp.

Zastępca sekretarza stanu robił wrażenie rozbitego.

- Kiedy usłyszałem o Saulu, doznałem szoku. Przestraszyłem się. Przyszło mi do głowy, że ja mogę być następnym w kolejce. Zacząłem szukać czegoś na swoją obronę. Niczego nie znalazłem. Wszystko zniknęło! Akta FBI na temat Lehmana zniknęły. Wszystkie akta Departamentu Stanu przechowywane w naszym archiwum w Suitland w Marylandzie. Zniknęły akta z Archiwum Narodowego. Wszystko, co ma związek z tą sprawą i z Lehmanem, zniknęło!

- Muszą być notatki na temat tego, kto wziął akta.

- Nic takiego nie ma. Akta zostały wykradzione.

- No, a jaki inny dowód rzeczowy można by znaleźć?

- Dowód? Absolutnie żadnego.

Stone coś przez chwilę rozważał.

- Jednak nawet bez tego... Z pańską reputacją, pańskimi powiązaniem mógłby pan powiedzieć kilka słów do odpowiednich ludzi.

- I co miałbym powiedzieć? Bez żadnych dowodów, bez niczego? Naraziłbym się na śmieszność. Nikt by mi nie uwierzył. Pan nie rozumie... wielu ludzi się boi. Ten proces trwa, to wszystko dzieje się dziś nadal. Wciąż toczy się walka o władzę.

- Tak - potwierdził. "Co ten człowiek wie naprawdę?" - Ma pan na myśli walkę o władzę w szeregach amerykańskiego wywiadu? Proszę się jaśniej wyrażać.

- Nie mogę... To po prostu intuicja. Dobry, doświadczony lekarz wie, że z organizmem coś nie jest w porządku. Po tylu latach w służbie rządowej i ja jestem takim lekarzem. Wyczuwam. Słyszysz różne rozmowy, pogłoski, fragmenty zdania, półsłówka...

- Kto jest w to zaangażowany?

- Odszczepieńcy, jak przypuszczam. Ludzie typu Olivera Northa. Nie wiem.

Przepraszam, ale nie potrafię bardziej precyzyjnie określać.

- A mnie są potrzebne dokładne dane. Szukam kogoś, kto by wiedział i był gotów na publiczne ujawnienie tej wiedzy.

- Pan chyba rozumie - powiedział do Armitage'a - że nawet CIA jest spenetrowana.

Ohyda! - uświadomił sobie, że tego samego słowa "ohyda" użył Saul. - To, co ma niebawem nastąpić w Moskwie, może być o wiele gorsze niż powrót do stalinizmu. To może być wstęp do kolejnej wojny światowej.

- Co pan mówi? - wyszeptał Armitage.

- Jak pan może na to patrzeć - mówił dalej Stone. - Jak pan może patrzeć tak beczynnie?

\*\*\*

Zastępca sekretarza stanu William Armitage obudził się o szóstej rano po trzech godzinach snu. Przygotował sobie filiżankę kawy i zatelefonował do jednego ze swoich współpracowników, do Paulo Rigazio. Przekazał mu polecenie, ażeby wynalazł w archiwach Departamentu wszystko, co w jakikolwiek sposób nawiązuje do osoby Winthropa Lehmana i do pewnej operacji sprzed kilkadziesiąt lat.

Jak zawsze przed południem, pracował w domu, przeglądał akta, telefonował. O dziewiątej jego żona Catherine pocałowała go na do widzenia i wyszła z domu. Pojechała do biura pewnego stowarzyszenia, z którym współpracowała jako wolontariusz nie pobierając pensji.

Była dziewiąta dwadzieścia, kiedy u drzwi zadzwonił dzwonek. Armitage poszedł otworzyć. Uśmiechnął się poznając przybyłego. Był to jeden z gości w Departamencie. Nie oczekiwał żadnej przesyłki, ale czasami zapomniano go uprzedzić, że coś wysyłają.

- Dzień dobry, Larry - powiedział.

Catherine Armitage wróciła do domu o czwartej trzydziści po południu. Znalazła ciało męża w schowku przy sypialni. Był całkiem nagi i wisiał na kablu elektrycznym owiniętym miękką wełnianą szmatą, najprawdopodobniej dlatego, by kabel nie przeciął skóry. Przymocowany był do haka u powąły schowka. Na podłodze obok krzesła leżał magazyn pornograficzny otwarty na jednej ze stron.

Prokurator powiatowy, który prowadził dochodzenie, za powód śmierci uznał samouduszenie będące wynikiem dziwnego seksualnego zbroczenia. Polega ono na tym, że ofiara, dokonując samogwałtu, stara się o intensyfikację orgazmu poprzez przejściowe ograniczenie dopływu tlenu do mózgu. Jest to szczególna forma zbroczenia bardziej rozpowszechniona wśród kilkunastolatków niż wśród sędziwych mężów stanu.

Rodzina postanowiła zachować pełną dyskrecję. W opublikowanym nekrologu wspomniano o chorobie serca, której w rzeczywistości nie było. Prawdę znała jedynie najbliższa rodzina.

#### 34. Moskwa

O wiele bardziej utajnione niż KGB, o wiele mniej znane jest Głównie Razwiediwatielnoje Uprawlenije - Główny Zarząd Wywiadowczy Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR, zwana w skrócie GRU. Agencja ta, całkowicie niezależna od KGB i od lat z nim zawzięcie rywalizująca, zajmuje dziewięciopiętrowy, wykonany niemal całkowicie ze szkła budynek zwany Akwarium, stojący na dalekim przedmieściu Moskwy. Z trzech stron budynek otacza wojskowe lotnisko Chodunka, a z czwartej stoi mniejsza budowla, na której wisi szyld informujący, że znajduje się tu Instytut Biologii Kosmicznej. Całość otaczają podłączone do prądu zasilki z drutu kolczastego, wzdłuż których pełnią wartę patroli wojskowe z psami.

Wczesnym rankiem do biura pierwszego zastępcy szefa GRU wszedł młody człowiek. Miał twarz hermafrodyty, wysoko podniesione łuki brwi, mały nos i wielkie uszy. Na twarzy piegi. Jego oczy wydawały się ponad wiek dojrzałe. Krył się w nich głęboki cynizm, nie pasujący do wieku trzydziestu kilku lat. Człowiek ten odbył służbę w Afganistanie, gdzie kierował operacjami wysadzania mostów i niektórych budynków w Kabulu. Miał na sobie mundur pracownika III Departamentu GRU, tzw. Spiecznaz. W Departamencie tym pracuje elita wywiadowców GRU i brygady antyterrorystyczne szkolone na wypadek wojny do działań poza liniami wroga, do lokalizowania i niszczenia instalacji nuklearnych, linii

łącności i innych celów strategicznych, a wreszcie do dokonywania zamachów na przywódców wrogiej strony. Zadaniem Departamentu było również wspieranie, szkolenie i wyposażenie licznych grup terrorystycznych. Mówiąc krótko, załoga Spiecnaz to najlepiej przygotowani radzieccy sabotażyści.

Młody człowiek był w Spiecnaz czołowym specjalistą od zamachów bombowych i podpaień. Wszedł do gabinetu i zsalutował swojemu zwierzchnikowi, który siedział za wielkim biurkiem na tle okna zajmującego całą ścianę, od sufitu po podłogę. Zwierzchnikiem był generał pułkownik o siwych włosach i postawie rosyjskiego arystokraty, w mundurze z rzędem licznych orderów na piersi. Gdy ekspert od materiałów wybuchowych usiadł, generał posunął po blacie biurka w jego kierunku kartę papieru. Ekspert wziął ją do ręki, rzucił na nią okiem i poczuł, że krew uderza mu do głowy. Na kartce napisane było tylko jedno słowo: "Sekretariat".

Młody człowiek został w największej tajemnicy zwerbowany przez Sekretariat przed dwoma laty, po powrocie z Afganistanu, gdzie wykazał się doskonałymi umiejętnościami w swojej dziedzinie.

Skinął głową bez słowa.

Patrzył teraz, jak jego zwierzchnik wybiera szyfr na drzwiczkach pancernego sejfu.

Kiedy się otworzyły, wyciągnął ze środka oprawny w plastik folder i położył go na biurku naprzeciw siedzącego.

- Zadanie do wykonania, i to najwyższej wagi - szepnął. Ekspert wziął folder, otworzył i zobaczył, że zawiera szkice sytuacyjne. Zaczął się im przypatrywać i nagle zbladł.

- Nie - wyrwało mu się z ust.

- To historyczny moment - mówił generał pułkownik. - Historyczny dla nas wszystkich. Jestem zadowolony, że tobie powierzamy wykonanie.

### 35. Waszyngton

Kilka minut po drugiej Roger Bayliss wszedł do holu jednego z najlepszych waszyngtońskich hoteli, jakim jest "Hope-Stanford". Krocząc po wspaniałym orientalnym dywanie wzdłuż korynckiej kolumnady z marmuru, podszedł do recepcji. Przez chwilę rozmawiał z pracownikiem i ruszył w kierunku windy.

Stojąc rozglądał się niecierpliwie, jak człowiek nie przyzwyczajony do czekania. Gdy nadjechała winda, wszedł i nacisnął guzik. Wysiadł na piątym piętrze i skręcił korytarzem w lewo. Odnalazł pokój 547. Do drzwi przyklejona była koperta z jego nazwiskiem. Zmarszczył brwi w odruchu zniecierpliwienia. Wrócił do windy, wszedł i przycisnął guzik dający sygnał jazdy w dół.

W końcu korytarza, ukryty za drzwiami wychodzącymi na klatkę schodową, stał i obserwował go Charlie Stone. Jak na razie, wszystko szło zgodnie z planem. Tamten był sam. "Być może jestem nazbyt podejrzliwy" - pomyślał.

Dwie i pół godziny przed tymi wydarzeniami zatelefonował do Baylissa. Roger Bayliss był jednym z najlepszych studentów Alfreda Stone'a i chociaż ten pracownik Narodowej Rady Bezpieczeństwa prawie nie znal syna swojego starego nauczyciela, Charlie wierzył mu. Wierzył wystarczająco, by prosić go o pomoc.

- Oczywiście słyszałem o twoich przygodach - mówił Bayliss przez telefon. - Boże drogi, i twój ojciec... - dłuższa chwila przerwy, jakby Bayliss miał trudności z opanowaniem ogarniającej go emocji. Po chwili mówił dalej: - Charlie, słyszałem sporo o twoich kłopotach. Więcej zapewne, niż przypuszczasz. Sądzę, że musimy pomówić.

- Oczywiście, kiedy tylko będzie to możliwe.

- Charlie, nie miej mi tego za złe, ale nie chciałbym, ażeby mnie z tobą widziano.

Rozumiesz chyba. Pracuję w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa i nie mogę ryzykować...

- W porządku - uciał - zadzwonię za dwie godziny i powiem, gdzie się spotkamy.

Miał już wszystko obmyślane. Logika dyktowała konieczność spotkania się w jakimś miejscu publicznym. Takie miejsca są zawsze najbezpieczniejsze. Stone jednak ukrywał się przed prawem, a dla takiego człowieka nie ma miejsc bezpiecznych. A sam Bayliss stanowił znak zapytania. Kto wiedział, czy można było mu wierzyć?

Za kwadrans druga zatelefonował do Baylissa i powiedział, ażeby ten przyjechał do "Hape-Stanford" i w recepcji zapytał o numer jego pokoju.

Pracownik recepcji, pod wpływem niewielkiej finansowej perswazji, był człowiekiem uczynnym. Umówili się, że poda Baylissowi numer wolnego pokoju. Potem będzie patrzył, jak tamten idzie do windy, ażeby sprawdzić, czy jest sam. Wtedy zadzwoni do gościa zameldowanego pod nazwiskiem Taylor i powiadomi go, że ktoś, kogo oczekuje, przyszedł i że jest sam.

Recepcjonista właśnie ukończył studia. Chciał zostać aktorem, ale na razie wylądował w hotelowej recepcji. Cała ta intryga mu się spodobała. Pan Taylor wyjaśnił, że jest adwokatem pewnego konsorcjum i przybył, by przeprowadzić w całkowitej tajemnicy ważne negocjacje.

- Muszę zachować najwyższą ostrożność - wyjaśniał. - Chciwość ludzka nie zna granic - co mówiąc wsunął w rękę recepcjonisty banknot pięćdziesięciodolarowy.

\*\*\*

Koperta, jaką Bayliss zdjął z drzwi pokoju nr 547, zawierała w środku kartkę z numerem pokoju 320 i krótkimi przeprosinami. Stone uznał to za konieczne. Taki manewr da mu nieco czasu na prowadzenie obserwacji niezbędnej dla upewnienia się, czy Bayliss przyszedł sam lub czy nie jest śledzony.

Jak się należało spodziewać, Bayliss nie szedł schodami, a wszedł do windy. Stone był w swoim pokoju na trzydzieści sekund przed jego przyjściem.

W momencie, w którym wbiegł do pokoju, Stone dostrzegł światelko migające przy telefonie. Podniósł słuchawkę i odebrał przekazaną mu informację. Jeszcze jeden dowód, że Bayliss przyszedł sam. Pole wydawało się być czyste.

Rozejrzał się po pokoju. Był zadowolony z otaczającego go luksusu po kilku dniach spędzonych w tanich pensjonatach i motelach. Miło było mieszkać w pokoju wypełnionym antycznymi meblami z orzechowego drewna, o ścianach wykładanych mahoniową boazerią. Zapukano do drzwi. Otworzył czując ponownie przyływ napięcia.

- Hallo, Roger.

- Charlie - Bayliss wyciągnął obie ręce i przyjacielsko uściskał Stone'a. - To miło cię spotkać i przykro mi, że w tak okropnych okolicznościach. Byłem zaskoczony tą notatką kierującą mnie do pokoju 320 - zaśmiał się. - Bardzo przemyślnie. Nie martw się, ja chyba cię przechytryłem. Zrobiłem wszystko, co możliwe, żeby nikt nie widział, jak tu wchodzę.

Wprowadził Baylissa do pokoju i posadził na jednym z miękkich foteli. Idąc czuł twarde kształty rewolweru schowanego pod marynarką. Był spokojniejszy, mając broń przy sobie, ale wolał jej nie pokazywać. Patrzył na przybyłego. Miał na sobie drogi garnitur z ciemnoszarej wełny i bezbłędnie wyczyszczone buty.

- Nie jesteś mordercą - mówił Bayliss, wyciągając się w fotelu. - Wiem o tym. W czym mógłbym ci pomóc?

Stone usiadł naprzeciwko gościa.

- Zacznijmy od tego: co miałeś na myśli, kiedy mówiłeś: "Słyszałem sporo o twoich kłopotach. Więcej zapewne, niż przypuszczasz"?

Bayliss skinął głową i nabrał powietrza w płuca.



- Być może złamałem ustawę o narodowym bezpieczeństwie, mówiąc ci o tym - zaczął. - Nawet wiem, że ujawniam szereg innych tajemnic. Przypuszczam, że domyślasz się, że śmierć twojego ojca nie była po prostu rezultatem zwykłego napadu.

Stone przytaknął głową.

- Coś się dzieje, coś szczególnego, wielkiego.

“Coś się dzieje” - takich samych słów użył Armitage.

- Co konkretnie masz na myśli, Roger?

- Trudno mi o tym mówić. Nie wiem, od czego zacząć - zrobił długą przerwę. - Jesteś jedną z gwiazd w Fundacji Parnassus. Słyszałeś oczywiście o teorii Wielkiego Kreta?

“O czym on mówi, do diabła?” - pomyślał, a głośno, wolno powiedział:

- Została całkowicie zdyskredytowana.

Stone wiedział, że Bayliss mówi o hipotezie, zgodnie z którą radziecki agent, działając powoli i metodycznie, w ciągu lat doszedł do wysokiej pozycji w hierarchii CIA, osiągając sukcesy, ale nie nazbyt błyskotliwe, i zdobywając przyjaciół, ale nie nazbyt wielu. Zakładano, że ożenił się z Amerykanką, miał amerykańskie dzieci, był członkiem ekskluzywnych klubów i wysyłał najważniejsze informacje do Moskwy, ujawniając najściślejsze tajemnice amerykańskiego wywiadu. W prawdziwość tej hipotezy najświęciej wierzył nieżyjący już James J. Angleton, wieloletni szef kontrwywiadu w CIA, który w latach siedemdziesiątych niemalże rozmontował całą Agencję w poszukiwaniu tego kreta. Wreszcie w 1974 roku Angletona wywalił William Colby.

Bayliss wzruszył ramionami.

- Brednie paranoicznego geniusza - powiedział Stone.

- Dla ludzi z zewnątrz sprawa to wrażenie bredzenia kogoś, kto tak długo przebywał w nienormalnym świecie kontrwywiadu, aż mu się w głowie pomieszało. W rzeczywistości nietykalna twierdza amerykańskiego wywiadu jest przegniła do szpiku kości - Bayliss pochylił się do przodu i mówił z pasją.

Stone poczuł nagle zimno gdzieś w okolicach żołądka.

- Czy chcesz powiedzieć, że to wszystko miało być prawdą? - wyszeptał potrząsając głową. - A cóż to mogło mieć wspólnego z moim ojcem?

- Charlie, wiesz już, że nie powinienem o tym mówić. Musisz mi dać słowo...

- Oczywiście, słowo.

- Gdybyś pisał cokolwiek na ten temat, zaprzeczę. Uważamy, że twój ojciec został zabity, żeby zachować incognito tego agenta...

- Przez Rosjan? - przerwał Stone.

- To nie takie proste. Przez określonych Rosjan. Przez ludzi zobowiązanych do pilnowania całkowitego bezpieczeństwa tego kreta i tego, by jego nazwisko pozostawało nienaruszoną tajemnicą.

- Mój ojciec przecież o czymś takim nie mógł wiedzieć... - szepnął Stone.

- Twój ojciec wiedział o czymś, o czym nie powinien był wiedzieć. Wiedział coś, co dla tamtych przedstawiało niebezpieczeństwo.

- Daj spokój - wstał i zaczął chodzić po pokoju, starając się wyciągnąć wnioski z tego, o czym się dowiedział w okresie kilku minionych dni. Wszystko to razem wydawało się nie mieć najmniejszego sensu.

- A skąd masz tak wiele informacji na ten temat?

- Skąd? - Bayliss odwrócił się na fotelu tak, by być zwróconym twarzą do Stone'a. -

Sam nie wiem. Może stąd, że byłem obecny na pewnym przyjęciu. Może stąd, że znam pewnego rosyjskiego dyplomata.

- Nie rozumiem - Stone usiadł na brzegu biureczka nagle zbyt zmęczony, ażeby stać.

- Nie mogę wchodzić w szczegóły, Charlie, ale proszę cię - pomyśl. Pomyśl, Charlie!

Oni polowali nie tylko na twojego ojca. Polowali również na ciebie. Co takiego wiesz? Na co

natrafiłeś, co może się w jakikolwiek sposób łączyć z podróżą twojego ojca do Moskwy w 1953 roku? Każdy szczegół, choć ci się wydawał błahy, może mieć znaczenie.

Stone zacisnął wargi, potrząsnął głową i rozważał. Bayliss mówił teraz tak łagodnie, że zdumiewało to Stone'a.

- Twój ojciec chciałby z całą pewnością, żebyś mu pomógł. Alfred Stone kochał ten kraj. Pracował w Białym Domu, padł ofiarą pomówień, zwątpiono w jego lojalność, ale on ten kraj kochał. Jestem przekonany, że chciałby, żeby jego syn zrobił wszystko, co w jego mocy, by pomóc krajowi. Bezpieczeństwo kraju może być zagrożone. Setki ludzi, może tysiące, utraciliby życie. Charlie, ja nie przesadzam. W grę wchodzi pokój pomiędzy dwoma supermocarstwami.

Stone wstał i przeszedł w drugi koniec pokoju. W tym, co mówił Bayliss, była jakaś logika. Jedno do drugiego pasowało.

- Gdybym mógł, powiedziałbym o różnych szczegółach, Charlie. To nie tylko Stany są zagrożone. Moskwa również. Musi być coś, jakieś strzępy informacji, jakie zebrałeś, jakieś dokumenty, jakieś telefony - nalegał Bayliss. - Cokolwiek.

Stone słuchał w milczeniu ze zmarszczonymi brwiami.

- Musisz pojechać ze mną i pomówić z naszymi ludźmi. Musisz im powiedzieć wszystko, co wiesz. To niebywale ważne, Charlie.

- Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić, Roger - powiedział Stone, uważnie przyglądając się siedzącemu. - Potrzebuję twojej pomocy, twojej opieki. Ty sam jednak nie wiesz, kto w tym tkwi, a kto nie. Mogą cię oszukać tak, jak i mnie oszukali.

- Nie możesz być bezpieczny, ustawicznie ukrywając się i uciekając.

- Jakoś do tej pory przeżyłem. Przy twojej pomocy nie będę się już musiał długo ukrywać.

- Najmądrzejsze będzie udanie się do naszych ludzi. Oni się tobą zaopiekują, ochronią.

- Przykro mi, ale nie.

- To dla twojego dobra, Charlie. Muszę się przy tym upierać.

Stone zaśmiał się szyderczo.

- Upierać się przy tym? - powtórzył.

- Dla ciebie jest zbyt niebezpieczne, żebyś wiedząc to, co wiesz, tak po prostu tu i tam się pokazywał. Musisz jechać ze mną.

Stone pomasażował sobie czoło, przymykając zmęczone oczy.

- Nie wiem już, komu mogę wierzyć.

- Mnie możesz, Charlie. Wiesz o tym. Twój ojciec o tym wiedział.

- Skontaktuję się z tobą za kilka dni, Roger - powiedział Stone.

- Nie opuszczaj tego pokoju, Charlie - w głosie Baylissa pojawił się dziwny ton zjadliwości. - W rzeczywistości nie masz w tej sprawie większego wyboru - wstał i ruszył w kierunku drzwi tak, jakby chciał je zablokować. - Zabierzemy cię.

- Nie zgodzę się na to - mówił z całym spokojem, zbliżając się również powoli w kierunku drzwi.

- Wydaje mi się, że nie rozumiesz - powiedział zimno Bayliss. - Zagrożasz czemuś, o czym nawet nie masz pojęcia. Zagrożasz bezpieczeństwu kraju. Sądziłem, że obejdzie się bez przymusu. Nie wyjdiesz przez te drzwi. Zróbmy to spokojnie, Stone.

- Dlaczego tak w rękawiczkach, Roger? Mogłeś otoczyć hotel, zmusić mnie do poddania się.

- O wiele bardziej wolałbym, ażebyś pojechał ze mną z własnej woli. A przy tym... - Bayliss lewą rękę wsadził w kieszeń swojej marynarki.

Stone instynktownie sięgnął po rewolwer. Zobaczył jednak, co Bayliss ma w ręce. Był to mały, kwadratowy, metalowy przedmiot. Bayliss zaśmiał się z niewzruszonym spokojem:

- Nadajnik... Nasza rozmowa była transmitowana na częstotliwości 140 megaherców.

Nasi ludzie stoją przed drzwiami i czekają na mój sygnał. Jesteś inteligentnym, budzącym sympatię człowiekiem, Stone - cała dotychczasowa uprzejmość Baylissa znikła. - Daj temu spokój. To wszystko ciebie przerosło. Przykro mi, że nie chciałeś współpracować - przybrał ton człowieka zasmuconego. - Wolałbym, ażeby do tego nie doszło.

\*\*\*

Spoza drzwi hotelowego pokoju rozległ się cichutki zgrzyt metalu ocierającego się o metal i nagle drzwi się otworzyły. Do pokoju wpadło trzech mężczyzn z Fundacji Amerykańskiego Sztandaru. W rękach mieli rewolwery.

- Jezu - wyszeptał jeden z nich.

Pokój był pusty. Panowała w nim całkowita cisza, skądś dochodził jedynie jakiś ledwie słyszalny jęk.

Czekali na sygnał Baylissa, żeby wtargnąć do pokoju, ale transmisja nagle się urwała. Być może Bayliss wyłączył nadajnik. Po dziesięciu minutach oczekiwania postanowili wejść na własną odpowiedzialność.

Teraz ustawili się tak, jak to robią zawodowcy. Jeden z nich podeszedł do zamkniętych drzwi łazienki. Wydawało się, że pojękiwania dochodzą właśnie stamtąd. Nacisnął ostrożnie klamkę i gwałtownym ruchem otworzył drzwi.

W wannie, związany ręcznikami, leżał nieprzytomny lub półprzytomny Bayliss. Usta miał zakneblowane ręcznikiem z monogramem hotelu, wokół szyi owinięty gumowy przewód od prysznica, co mu uniemożliwiało ruchy.

\*\*\*

Stone słyszał szum ulicznego ruchu dobiegający z dołu. Stał na wąskim, granitowym stopniu na poziomie czwartego piętra hotelowego budynku. Przez kilka sekund zaglądał do pokoju sprawdzając, czy jest pusty. Potem plecami wysadził szybę i wskoczył do środka. W dwie minuty później był w hotelowym garażu.

Ucieczka przed Baylissem nie była szczególnie trudna. Rozbił nadajnik i jednym ciosem pozbawił Baylissa przytomności. Potem go związał. Był od tamtego o wiele silniejszy i lepiej wysportowany. Nie mógł jednak wyjść drzwiami, za którymi zapewne czekała obstawa Baylissa. Nie było innej drogi, jak przez okno. Był na trzecim piętrze i musiał się wspiąć do góry, co było łatwiejsze i bezpieczniejsze niż próba schodzenia w dół.

Opanował go strach, ale po chwili poczuł, że wraca mu spokój. Miał do dyspozycji występ muru szerokości kilku centymetrów, parapety i rynny. Doszedł do miejsca, w którym fronton gmachu pokrywały różne tandetne ozdoby, czarne od samochodowych wyziewów.

Wyglądały jednak na mocne. Przy ich pomocy przedostał się na czwarte piętro.

W bez mała godzinę później Stone parkował swojego skradzionego volkswagena na parkingu przy lotnisku krajowym. Spojrzał uważnie w lusterko. Nie sprawiał wrażenia człowieka uciekającego. Jedynie na rękach miał liczne zadrapania.

W momencie, w którym wszedł do budynku dworca lotniczego, usłyszał wezwanie do pasażerów odlatujących do Chicago. Jeśli się pospieszy, jeszcze uda mu się ten samolot złapać. Oczekiwanie nie miało by najmniejszego sensu.

Szybko wyjął ze swojej niewielkiej walizeczki małe zawiniątko i wsadził je do skrzynki dworcowego schowka-sejfu. W zawiniątku był tylko rewolwer. Wolałby się z nim nie rozstawać, ale nie było sposobu przeszmugłowania go przez punkt elektronicznej kontroli. Zawsze będzie się mógł zaopatrzyć w inny.

Bilet kupił na zmyślone nazwisko.

## 36. Moskwa

Charlotte Harper wyciągnęła się w wannie. Gorąca paraniosła gryzący zapach eukaliptusa, który ulatniał się z soli mineralnej ułatwiającej rozluźnienie mięśni i przyspieszającej wypoczynek.

Bywają chwile, w których samotne zamieszkiwanie przynosi korzyści, a to była właśnie tego rodzaju chwila. Zażywanie kąpieli o drugiej nad ranem nie byłoby możliwe, gdyby dzieliło się mieszkanie z kimś jeszcze. A w każdym razie nie byłoby możliwe przy muzyce, a właśnie z magnetofonu stereo płynęła kojąca sonata Bacha na obój.

Pracowała zazwyczaj do późna, dostosowując się do czasu amerykańskiego, a różnica czasu wynosiła osiem godzin. Była zmęczona przygotowaniem nudnych i nie mających większego sensu korespondencji na temat tego, jak Moskwa przygotowuje się do szczytu. Tak jednak brzmiało zamówienie centrali. Było to nużące szczególnie w zestawieniu z rzeczywistym wydarzeniem, jakim była fala terroryzmu, która uderzyła w Moskwę. Tym razem bomba wybuchła w metrze - istna sensacja, gdyż ataki terrorystyczne nadal były w Moskwie rzadkością. Wydarzenie tym ważniejsze, że przyszło wkrótce po zabójstwie Borisowa.

Czy był to naprawdę wyraz opozycji wobec Gorbaczowa w łonie radzieckiego kierownictwa? Zabójstwo Borisowa może tak, ale ten wybuch w metrze? Jedno do drugiego wydawało się nie pasować.

Leżąc w wodzie czuła, jak się odpręża, umysł pracował jaśniej i wtedy przyszedł jej do głowy pomysł.

Wyszła z wanny, wytarła się i owinęła w puszysty płaszcz kąpielowy. W kilkanaście minut potem otwierała drzwi do redakcji ABC, która znajdowała się w tym samym budynku. O drugiej trzydzieści biuro było ciemne i puste. To dobrze, chciała być sama, żeby przemyśleć kilka spraw. Zapaliła światło, sprawdziła taśmy na stale pracujących dalekopisach i usiadła za biurkiem. Jarzeniówki buczały monotonnie. Wyciągnęła się w fotelu i patrzyła na sufit. Zastanawiała się, gdzie mogli umieścić mikrofony podsłuchowe. Mieszkania i biura wszystkich zagranicznych korespondentów miały założone podsłuchy. Przypomniała sobie historię pewnego korespondenta "New York Timesa". Zdarzyło się to przed rokiem, w noc sylwestrową. Korespondent siedział sam w swoim biurze i zaczął głośno rozważać, co w taką noc robią ludzie z KGB. W tym momencie zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę. Nikt się nie odezwał, usłyszał jedynie wystrzały otwieranych butelek szampana.

Podeszła do szafy, w której trzymała swoje archiwum. Skompletowała je przygotowując się do pracy w Moskwie. Po kilku minutach znalazła to, czego szukała. Była to teczka na temat terroryzmu w ZSRR. Zawierała wycinki na temat zabójstwa człowieka, który zajmował podobne stanowisko jak Siergiej Borisow, tyle że przed kilkudziesięciu laty. Nazywał się Mironow i zginął w podejrzanym wypadku samolotowym. Działo się to za czasów Chruszczowa. Ten mianował Mironowa na wysokie stanowisko. Nienawidzono go natomiast w KGB, gdzie było również wielu wrogów Chruszczowa.

A więc być może jej znajomy dziennikarz miał rację - i na Kremlu snuto jakieś intrygi.

Znalazła jeszcze informacje na temat fali wypadków terroryzmu w Moskwie w 1977 roku. 8 stycznia tego roku nastąpił wybuch w moskiewskim metrze, w wyniku którego siedem osób zostało zabitych. Czterdzieści cztery były ranne. O dokonanie zamachu władze radzieckie oskarżały trzech Ormian, dysydentów. Skazano ich na karę śmierci i wyrok najprawdopodobniej wykonano, choć dowody były zdecydowanie nie wystarczające. Wielu zachodnich komentatorów uważało, że była to prowokacja, że władza starała się zdyskredytować ruch dysydencki. Czy teraz nie działo się podobnie? W szczególności wobec

rozruchów w każdej właściwie republice?

Kto mógłby wiedzieć?

Był ktoś, kto mógł. Miała takie źródło i starannie go strzegła. Był to pracownik KGB. Pewien technik, który w skrytości nienawidził swoich pracodawców. Sam siebie nazywał "Siergiej", ale oczywiście nie było to jego prawdziwe imię. Postanowiła się z nim skontaktować, choć wiedziała, że nie będzie to łatwe. Odnalezienie tego człowieka potrwa co najmniej kilka dni. Być może on będzie coś wiedział lub będzie się czegoś domyślał, a przynajmniej poradzi, gdzie szukać.

Na razie stała przed dylematem, jak i czy o tym wszystkim informować amerykańskie społeczeństwo? Sprawa nie była prosta. Żaden z przedstawicieli radzieckich urzędów nie zgodzi się powiedzieć na ten temat czegokolwiek przed kamerami. Nie mieli w tych sprawach żadnych instrukcji. Słyszała pogłoski, ale jedynie pogłoski, że do aktów terroryzmu by nie doszło, gdyby nowy szef KGB Andriej Pawliczenko nie był chory na serce. Pomyślała, że trzeba by znaleźć jakiegoś poinformowanego lekarza i zapytać o zdrowie Pawliczenki.

\*\*\*

Rano następnego dnia z kamerzystą Randym i producentem, którym była młoda dziewczyna Gail Howe, pojechali służbowym samochodem w miejsce, gdzie Charlotte najchętniej nagrywała swoje korespondencje. Było to nad brzegiem rzeki Moskwy, dokładnie naprzeciw Kremla. Wiatr pędził smugi śniegu osiadające jej na twarzy i futrze. Kilkakrotnie przeczytała przygotowany tekst i podkreśliła słowa, które należało zaakcentować. Dała znak i kamera ruszyła.

"Po raz pierwszy oficjalna radziecka agencja TASS przyznała, że w Moskwie miały miejsce akty terroryzmu, które tak bardzo zbulwersowały radzieckie społeczeństwo - mówiła. - Potępiając incydent w metrze jako «dzieło chuliganów i fanatyków» władze radzieckie pragną najwyraźniej pomniejszać i bagatelizować znaczenie zamachów bombowych. Władze tutaj najbardziej obawiają się załamania porządku społecznego, a wobec zbliżającego się szczytu obawy te jeszcze bardziej się pogłębiły. Pewien przedstawiciel władzy powiedział mi: «My w Związku Radzieckim nie jesteśmy wolni od przestępczości, choć należy podkreślić, nie znamy plagi terroryzmu, zabójstw i morderstw, które gnębią Zachód». Czy tak jest naprawdę, wykaże dopiero czas - zrobiła sekundę pauzy dla podkreślenia efektu i zakończyła: - Charlotte Harper, ABC News, Moskwa".

"Jeszcze jedna niewiele znacząca korespondencja - pomyślała, kiedy służbowym volvo wracali do biura. - Jeśli będę miała dość czasu, wyjaśnię i tę sprawę" - rzuciła sama sobie wyzwanie.

\*\*\*

Wczesnym popołudniem zatelefonowała pod numer, jaki otrzymała od staruszki. Już uprzednio wielokrotnie wykręcała ten numer, ale zawsze bezskutecznie. Nikt nie odpowiadał. Zaczynała już wątpić, czy był on właściwy. Już chciała odłożyć słuchawkę, gdy usłyszała kobiecy głos. Rosyjski Charlotte był dobry, ale nie całkiem płynny. Nie potrafiła ukryć obcego akcentu. Musiała być ostrożna, nie chcąc tamtej wystraszyć.

- Czy Sonia Kunieckaja?

Po chwili ciszy usłyszała:

- Tak, to ja.

- Mam dla pani wiadomość od pani przyjaciela.

- Od przyjaciela... - tamta wydawała się zaniepokojona. - Jakiego przyjaciela?

- Trudno mi o tym mówić przez telefon.

- O co chodzi?

- Mam dla pani pilną wiadomość - z rozmysłem starała się mówić niezbyt jasno. -  
Muszę do pani wpaść. Jeśli pani jest zajęta...

- Ja... nie jestem... Kim pani jest?

- Proszę, to nie zajmie wiele czasu.

Długa przerwa i odpowiedź:

- W porządku. - Z wyraźnym wahaniem podała adres mieszkania.

Znajdowało się ono po drugiej stronie miasta, w dalekiej północnej dzielnicy przy ostatnim przystanku metra. Charlotte obawiała się brać swój samochód, który miał numery rejestracyjne zdradzające zagranicznego korespondenta i za którym często podążali ludzie z KGB.

W metrze panował tłok. Wysiadła obok terenów WDNCh - Wystawy Osiągnięć Gospodarki Narodowej - przy wielkim obelisku ze szczególnych powodów przykuwającym uwagę, gdyż przypominał Charlotte największy męski członek na całym świecie. Niedaleko było Ostankino. niegdyś wielka posiadłość carska, obecnie siedziba Radiokomitetu. Tereny wokoło były dość rzadko zabudowane.

Kobieta, do której jechała, mieszkała o kilka przecznic dalej, w ogromnym bloku z nieskończoną liczbą ponumerowanych wejść. Drzwi, przez które weszła do bloku, zamknęły się za nią z wielkim trzaskiem, aż podskoczyła. Hol, jeśli tego słowa można użyć na określenie przedsiionka, był obskurny, ściany pokrywała odpadająca niebieska farba, śmierdziało uryną i brudem. Spod jej nóg wyskoczył kot. Cicho krzyknęła z przerażenia widząc, że zamiast oczu miał krwawe doły.

Szukała właściwego mieszkania. Numer 26 był wypisany na drzwiach obitych tanim skajem imitującym skórę. Drzwi te otworzyła drobniutka, mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta. Brązowe włosy przyprószyła już siwizna. Włosy obcięte były półokrągło z grzywką z przodu. Miała na sobie spłowiałą sukienkę w kwiaty, nosiła okulary w metalowej oprawce.

- Jestem Sonia Kunieckaja - przedstawiła się wyciągając drobna, kościstą dłoń.

- Charlotte Harper.

Poprowadziła Charlotte ciemnym korytarzem do jadalni wypełnionej ciężkimi meblami i sofami o wyblakłych deseniach. Na jednym z krzeseł siedział mężczyzna w wieku gospodyni. Siwe włosy przyczesane miał gładko do tyłu.

Tak straszliwej twarzy Charlotte jeszcze nigdy nie widziała. Musiała zmobilizować całą siłę woli, żeby nie odwrócić wzroku. Twarz ta pokryta była maską blizn po straszliwych oparzeniach.

- Mój przyjaciel Jakow - Kunieckaja mówiła z przesadnym ugrzecznieniem. Jakow siedział w pozycji sugerującej, że czuje się tu jak u siebie w domu.

- Pani mówiła, że ma dla mnie jakąś ważną informację - zaczęła gospodyni.

- Tak, być może nieco przesadziłam - Charlotte pamiętała z opowiadań Charliego, że Sonia Kunieckaja spotkała się z Alfredem Stone'em w Moskwie i w jakiś sposób powiązana była z Winthropem Lehmanem. Jakże to mogły być powiązania?

- Przywożę pani pozdrowienia od Winthropa Lehmana - powiedziała.

Przez jakiś czas panowała cisza, wreszcie Sonia zapytała:

- Kim pani jest?

- Jestem reporterem, korespondentem ABC. Proszono mnie, żebym panią odnalazła.

Znowu chwila krępującego milczenia.

- Czy to coś, o czym chce pani mówić ze mną, może być powiedziane jedynie w cztery oczy? Czy Lehman prosił, by się pani ze mną skontaktowała? - w jej głosie wyczuwało się nuty desperacji. Wyglądała na zaszokowaną, a jej przyjaciel - a może mąż? - wydawał się zażenowany. Co tu się właściwie dzieje? - zastanawiała się Charlotte.

- Tak, on mnie prosił - błędziła po omacku, nie rozumiejąc powodów zdenerwowania

gospodyni. - Pani zna go od dawna?

- Spotkałam go w 1962 roku - powiedziała Rosjanka, najwyraźniej zadowolona, że może opowiadać coś, co już opowiadała wielokrotnie. - Byłam wtedy redaktorem w wydawnictwie "Progress".

- Jak doszło do tego, że spotkała pani kogoś tak znanego jak Winthrop Lehman?

- Było to na przyjęciu w daczce Borysa Pasternaka w Pieriedielkinie. Byłam redaktorem tomu wierszy tłumaczonych przez Pasternaka i dlatego zaproszono mnie na przyjęcie. Tam spotkałam Lehmana.

- Było to w 1962 roku? Pasternak musiał być już starym człowiekiem.

- O tak, już dochodził do siedemdziesiątki - przytaknęła z zapałem.

- A co Lehman robił w Moskwie?

Sonia zastanawiała się, wyraźnie formułując odpowiedź.

- Nie jestem pewna. Po prostu co pewien czas składał mi wizyty.

Charlotte jednak chwyciła trop i nie miała zamiaru z niego zbaczać.

- Pani była redaktorką książki Pasternaka w 1962 roku, czy tak?

- Tak, dokładnie - odpowiedziała Sonia. - Wszyscy Amerykanie znają "Doktora Żywago", ale czy czytała pani jego wiersze?

Niezgrabnie przeciągała pytanie.

- Oczywiście - odpowiedziała Charlotte - są wspaniałe. To dla mnie wielka rzecz, że spotkałam współpracowniczkę Pasternaka.

- Uznawany jest u nas za wielkiego poetę.

- Tak, ale w 1962 roku Pasternak już nie żył. Przykro mi, ale wybrała pani złą datę. On zmarł w 1960 roku.

- To było już tak dawno. Mogę nie pamiętać - Sonia mówiła z całym spokojem.

Charlotte nie miała najmniejszych wątpliwości, że tamta kłamie.

### 37. Chicago

Na lotnisku O'Hara w Chicago wylądowali wczesnym popołudniem. Stone był spięty i czuł się zmęczony.

Archiwum Lehmana doprowadziło go do Armitage'a. W tych samych dokumentach trafił też na nazwisko Pogue. Próbował znaleźć w książce telefonicznej, ale nazwisko Warren Pogue nie figurowało w spisie. Zadzwonił do FBI do Waszyngtonu, ale Pogue nie życzył sobie, ażeby mu przeszkadzano na emeryturze. Jego telefon i adres były zastrzeżone. Trzeba było szukać innego rozwiązania.

Wszedł do dworcowej kawiarni, gdzie zamówił kubek kawy i kanapkę z szynką o smaku plastyku, którą jednak szybko połknął. Rozwahał, co robić dalej. Niezbędna była mu pomoc i dokładnie wiedział, gdzie ją może otrzymać. Nazwisko to krążyło mu po głowie od momentu, w którym wiedział, że leci do Chicago. Była to dziewczyna, którą znał z lat uniwersyteckich, przyjaciółka Charlotte, obecnie prokurator. A raczej asystent prokuratora stanowego w Chicago, co oznaczało, że musi współpracować blisko z chicagowską policją. Być może ona właśnie będzie mogła zdobyć zastrzeżony numer.

Paula Singer w latach studenckich dzieliła z Charlotte pokój w domu akademickim, a następnie przez lata pozostawała w kontakcie z Charliem i Charlotte. Przed pięcioma laty przez kilka tygodni mieszkała wraz z nimi w Nowym Jorku. Była załamana po zerwaniu ze swoim chłopakiem, potrzebowała pociechy i towarzystwa.

Jej pomoc, gdyby takiej chciała udzielić, byłaby obecnie nieoceniona. Może też mógłby znaleźć u niej schronienie choćby na jedną noc.

Stone, nieustająco podejrzliwy, instynktownie rozejrzał się po kawiarni. Ogromnie

potrzebował pomocy Pauli Singer i musiał mieć pewność, że nie jest śledzony i nie naprowadzi nikogo na jej ślad.

Odnalezienie jej nie było trudne. Znalazł ją w książce telefonicznej. Mieszkała przy Barry Street w północnej części miasta, w dzielnicy, w której chętnie osiedlali się młodzi rozpoczynający zawodowe kariery.

Przed jej domem zjawił się późnym popołudniem i oczywiście jej nie zastał. Zajął miejsce w pobliskiej kawiarni i tak długo marudził nad kubkiem kawy, że kelner dał mu do zrozumienia, że nie jest tu dłużej pożądanym gościem.

Paula wróciła do domu dopiero około dziewiątej. Miała na sobie doskonale skrojony kostium koloru wina i sportowe buty. W latach uniwersyteckich nosiła niezmiennie drelichowe kurtki i sztruksowe spódnice. Teraz wyglądała na młodą intelektualistkę najwyraźniej rozpoczynającą interesującą karierę.

Trzymała w ręku teczkę i torbę z zakupami, drugą wkładała klucz do zamka nieświadoma obecności stojącego w cieniu Stone'a.

- Paula - powiedział cicho.

Drgnęła tak mocno, że puściła teczkę.

- Jezu, kto to?

- Charlie Stone.

Patrzyła w jego kierunku i dopiero po chwili potrafiła go zlokalizować wzrokiem.

- Oh, mój Boże, mój Boże! To jesteś ty! - w jej głosie nie wyczuwało się radości. Była przerażona. - Proszę, nie.

Dotarło do niego, co ma na myśli, i zrobiło mu się przykro.

- Wiem, co musiałaś słyszeć. Paulo, to kłamstwo. Znasz mnie przecież. Musisz mi pomóc - starał się nie przybierać błagalnego tonu, ale mu się to nie udawało. - Pomóż mi, Paulo.

Z wahaniem otworzyła drzwi i ruchem głowy kazała mu wejść.

- Czy już jadłeś?

- Nie.

- Niech zobaczę, co mam w lodówce - początkowy strach Pauli ustąpił miejsca ostrożnej jowialności. Najwidoczniej to, co mówił Stone, ją przekonywało. Poprosiła, ażeby usiadł.

- Wiesz, że nie gotuję w domu - powiedziała.

Kuchnię miała małą i wąską, oddzieloną od pokoju bufetem, przy którym można było jeść siedząc na wysokich, barowych stołkach stojących po jednej i po drugiej stronie. Przypominało to Stone'owi mieszkanie pokazywane w jednym z popularnych seriali telewizyjnych.

Stał za nią i widział, jak załośnie spoglądała w lodówkę, niczego nie znajdując.

Wreszcie odszukała zamrożone danie obiadowe, kurę w parmezanie.

- Nie mam nic innego. Nie pogniewasz się, że się tym podzielimy - mówiąc to wkładała danie do mikrofalowej kuchenki.

Starała się być opanowana, ale Stone domyślał się jej wzburzenia.

- Chcesz jakiegoś mocniejszego drinka? Przykro mi, nie mam wina. Szkocka albo nic.

- Szkocka. Paulo, musisz się dla mnie wystarać o pewien zastrzeżony numer telefonu i adres. Od razu jutro rano. Wiem, że masz możliwości załatwienia tego.

Nalała drinki do szklanek.

- Kochany - mówiła niepewnym głosem - nie wiem, jak to powiedzieć. Słyszałam o tym, co się stało. O zabójstwie nożem, o wszystkim. W gazetach piszą o tobie jako o uciekinierze. Wszyscy o tym mówią.

Stone zauważył, że stara się trzymać od niego daleko.

- Mam nadzieję, że w to wszystko nie wierzysz - powiedział.



- Nie wiem sama, co myśleć. Jeśli mówisz, że mam nie wierzyć, nie wierzę. Chcesz, żebym zdobyła ten numer, OK. Chciałabym jednak znać fakty. Co właściwie robisz? Dlaczego znalazłeś się tutaj? Przyjechałeś tu ukryć się? Tak mi się wydaje.

- Tylko na jedną lub dwie noce - powiedział szybko Stone. - Tylko do momentu, w którym znajdę tego człowieka. On mi pomoże. Nie chcę cię mieszać w jakieś kłopoty. Wierz mi. Nikt jednak nie wie, że jesteś moją przyjaciółką.

- Dzięki Bogu. Wiem. Powiedz, przed kim właściwie uciekasz? Co się, do diabła, właściwie dzieje? Powiedz, Charlie.

\*\*\*

Sygnal z mikrofalowej kuchenki. Wyciągnęła plastikową tackę, zdjęła pokrywkę i rozszedł się zapach pieczonej kury. Zręcznie podzieliła danie na dwie porcje i nałożyła mu na talerz. Sama wzięła tackę. Na przemian jedli po kęsie kury i popijali po łyku szkockiej. Siedzieli blisko siebie i stykali się nogami pod stołem. Uważała, że jest pracownikiem Departamentu Stanu w Nowym Jorku i dokonuje analiz na temat Związku Radzieckiego. Wierzyła w to, a on nie wyprowadzał jej z błędu.

Opowiadał ostrożnie zachowując umiar, ale i tak była zaszokowana. Poruszył w niej jakąś strunę. Była teraz spokojniejsza, głos jej chwilami drżał i odzywały się w nim tony gniewu. Przestała jeść i zwróciła ku niemu twarz.

- Jezu, jeśli to jest prawda... to zgroza.

Przytaknął patrząc na żółty płyn stojący przed nim w szklance.

- Zdobędę dla ciebie te informacje, Charlie. Mam takiego chłopca. Gliniarz, z którym współpracuję. Zbieramy razem zeznania świadków w delikatnych sprawach przeciwko prowadzącym samochody w stanie alkoholowego zamroczenia. Fajny chłopak i kocha się we mnie.

- To wspaniale.

- Wcale nie tak wspaniale. Żonaty, z ośmiorgiem dzieci. Ma kumpla w telefonach, urzędnika od rachunków. Taką drogą gliniarze obchodzą prawo i zasrane formalności, zdobywając informacje.

Stone zaśmiał się, pozwalając sobie na chwilę odprężenia. Stara, kochana Paula.

Współlokatorka Charlotte. Była mądra, nieustępliwa, zjadliwa i czasami ostra. W latach uniwersyteckich wydawała się całkowicie pozbawiona seksu. To się obecnie zmieniło. Nadal jednak pozostała prostolinijna i zaskakująco szczerą. Przed dwudziestu laty nazbyt pulchna, z pękatymi policzkami, brązowymi oczami i długimi, brązowymi włosami, obecnie szczupła, z krótko obciętych włosami otaczającymi twarz. Była ładną, pociągającą kobietą.

- Lubisz swoją pracę, Paulo?

- Oczywiście. Lubię, choć zarabiam jedną dziesiątą tego, co moi koledzy, którzy otworzyli prywatną praktykę. Oczywiście, że lubię, bardzo.

- Musisz mieć dużo pracy.

- Piekielnie wiele tego gówna. W głowie się pieprzy. Brak czasu na przesłuchiwanie świadków. Tak naprawdę to troszczymy się tylko o ilość. Mnóstwo aktów oskarżenia. Polujesz jak na kozły. Masz takie gówno w ręku, wiesz, że jest winny, a nie masz żelaznych dowodów, i już po herbacie.

Stone śmiał się słuchając. Był jej wdzięczny za to, że absorbuje jego uwagę.

- I to miejsce, w którym pracuję! Obóz koncentracyjny. Naprawdę. Ogromny, budzący grozę gmach Sądu przy zbiegu Twenty Sixth i Californii. Rentgenowskie bramki, kraty, wieże, na których siedzą strażnicy i mierzą do ciebie z karabinów.

- Wspaniale, ale robisz to, co lubisz. Robisz coś dobrego. W każdym razie nie bronisz koncernów, które zanieczyszczają otoczenie toksycznymi odpadami.

Skinęła głową wyraźnie zdenerwowana.

- Różnie to bywa. Znasz mnie, zawsze byłam skora do walki. Wzięłam taką sprawę przed rokiem. Wszyscy w biurze mi odradzali. Mój boss mówił to samo. Była to sprawa o zgwałcenie. Sędzia oskarżony o zgwałcenie trzynastoletniej dziewczynki mieszkającej w sąsiedztwie. Przekłety starzec, wiem, że to zrobił. Charlie, wiem doskonale! Przekłety sędzia miał jednak grube ryby za sobą, samych prominentów gotowych do składania zeznań. W tym również sędziowie. Nawet jeden biskup. Boss doradzał załagodzenie sprawy. Chciał uniknąć procesu. Uważał, że nie mamy dowodów, ale ja się uparłam...

- I?

- I przegrałam.

- Przykro mi.

- I mnie również - wzięła butelkę i ponownie napełniła kieliszki. - A co z nią, Charlie? Wydaje mi się, że daje sobie doskonale radę.

- Chyba dobrze - zgodził się, rozumiejąc, że mówi o Charlotte.

- Czy wy dwoje... nie wiem, jak to powiedzieć, ale kiedy przed rokiem rozmawiałam z Charlotte, to...

- Żyjemy w separacji, ale nadal jesteśmy małżeństwem.

- To dobrze - powiedziała, choć jej ton wcale nie zdradzał zadowolenia. - Kto by pomyślał, że tak jej dobrze pójdzie? Wiesz, co mam na myśli - powoli potrząsnęła głową.

- Tak, idzie jej doskonale.

W tym, co mówiła, wyczuł ton zazdrości. Czyżby stara rywalizacja pomiędzy Paulą a Charlotte?

Szkocka wypita na prawie pusty żołądek spowodowała, że zaczął odczuwać seksualne podniecenie. Podejrzewał, że ona czuje to samo. Być może zawsze się jej podobał.

- Czy wiesz - mówiła pociągawszy łyk - że w tamtych czasach, jeszcze na uniwersytecie, kiedy wy leżeliście w łóżku, podsłuchiwałam was.

Spojrzenie miała prowokujące. Ich twarze były od siebie tylko o kilka centymetrów.

Nie było najmniejszej wątpliwości, o czym myśli. Zbliżył wargi do jej ust, a ona zrobiła to samo. Ich wargi spotkały się delikatnie, potem przywarły do siebie. Po chwili cofnęła głowę i dłonią pogładziła go po włosach.

- Zawsze lubiłam twoje loki - powiedziała miękko.

- Zaczynają się przerzedzać - powiedział chrapliwie. - Paul... - nosem wyczuł jej perfumy, cynamon i piżmo.

Zdjęła zakiet. Widział wyraźnie zarysy jej piersi pod jedwabną bluzką. Sutki ocierały się o miękki materiał. Poczul nieodparte pragnienie zdjęcia jej bluzki, zobaczenia jej naga. Był tym pragnieniem speszony.

- Paulo, tak nie należy.

- Czy sądzisz, że Charlotte z nikim się nie spotyka? - szeptała i czuł na policzku jej gorący oddech. Jej ręka lekko musnęła jego wyprężony teraz członek. Przez moment wydawało mu się, że straci równowagę.

Milczał, zmieszany i pełen poczucia winy oddawał jej pocałunki.

- Jestem szczęśliwa, Charlie, że się pokazałeś - wyszeptała. Wstali i poszli w kierunku sypialni.

Gdy stanęli przy tapczanie, rozpięła jego pasek i jej ręka, jeszcze zimna od szklanki ze szkocką, wśliznęła się do środka. Powędrowała w kierunku pośladków, a potem przesunęła się do przodu. Wstrzymał oddech i słyszał, jak ona dyszy. Rozpiął jej bluzkę i wzrokiem pieścił napięte sutki. Schylił się i zaczął je okrywać pocałunkami. Czuł, że robi coś niedobrego, a jednocześnie przeżywał rozkosz, jakiej już od dawna nie doświadczył.

## Waszyngton

Pierwszy sekretarz ambasady radzieckiej w Waszyngtonie, Aleksander Malarek, przyjechał do biura niezwykle wcześnie. Z siedemnastowiecznego samowaru nalał sobie filiżankę herbaty i zasiadł za biurkiem, żeby przejrzeć depesze, jakie w nocy nadeszły z Moskwy. Jako najwyższy rangą rezydent KGB w Stanach nadzorował wszelkie operacje KGB na terenie USA, przy czym obecnie, w dobie głośności, operacje te sprowadzały się głównie do zdobywania najnowocześniejszej technologii. W pracy pomagało mu czterech podległych rezydentów, umiejscowionych w Nowym Jorku i w San Francisco. W ostatnim tygodniu cały swój czas poświęcał jednak czemuś, o czym jego współpracownicy z KGB nigdy nie mogli się dowiedzieć.

Malarek nie uważał siebie za zdrajcę. Był wiernym sługą państwa radzieckiego.

Kochał swój kraj i był przekonany, że jest wobec niego całkowicie lojalny. Uważał, że pomaga w ratowaniu swojej ojczyzny. Był coraz bardziej niezadowolony z postępowania swoich amerykańskich kolegów z Komitetu Sanctum. Ich próby pochwylenia pewnego człowieka były niebywale ślamazarne.

Jako rezydent Malarek mógł działać za pośrednictwem siatki agentów KGB ukrytych w różnych miejscach na terenie całych Stanów. Zakonspirowani i zaopatrzeni w fałszywe dokumenty agencji byli kontrolowani przez Dyrektoriat S VIII Departamentu KGB, który był odpowiedzialny za planowanie zabójstw i sabotażu. Przygotowywani latami poza Moskwą agencji (w tym kilka kobiet) byli potajemnie szmuglowani do Stanów. Tu żyli, nie zwracając niczyjej uwagi i możliwie jak najrzadziej spotykali się z kontrolującymi ich przedstawicielami rezydentury. Utrzymanie tej siatki było ogromnie kosztowne, a korzystać z niej należało z niezwykłą ostrożnością. Czasami agencji wykonywali operacje na Bliskim Wschodzie, udając się tam jako biznesmeni.

Niektórzy z agentów nie pracowali dla KGB, lecz dla Sekretariatu. Oznaczało to, że w aktualnej, szczególnej sytuacji ci właśnie agencji musieli wykonać kilka "mokrych robót", innymi słowy: zabójstw.

Na ogół panuje przekonanie, że agencje wywiadowcze Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych nie uciekają się już do operacji zabijania ludzi. I rzeczywiście unika się takich operacji zawsze wtedy, kiedy tylko jest to możliwe, jako że wiąże się z tym szczególne ryzyko dekonspiracji i bardzo poważnych konsekwencji politycznych.

Jednak zabójstw dokonywano zarówno po stronie radzieckiej, jak i amerykańskiej, choć rzadko operacje jednych były skierowane przeciwko drugim. Zazwyczaj wykonanie zadania powierzano "pośrednikom" - Kubańczykom z kubańskiej służby wywiadowczej DGI lub amerykańskim przestępcom. Sekretariat, który działał w bardzo głębokiej konspiracji zarówno wobec Waszyngtonu, jak i Moskwy, wobec CIA i KGB, wykonywania tego rodzaju przedsięwzięć nie mógł jednak powierzać komukolwiek i musiał się posługiwać własnymi ludźmi.

O ósmej trzydzieści zapukano do drzwi. Był to współpracownik Malareka odpowiedzialny za wywiad polityczny. Nazywał się Siemion Siergiejew i był niskim, łysiejącym panem o siwiejących wąsach. Był o kilka lat młodszy od Malareka, choć wyglądał starzej i był wiecznie zatroskany. I on pracował dla Sekretariatu. Twarz Siergiejewa była poważna.

- Zajęliśmy się sprawą Armitage'a - wyjaśnił, zaraz po wejściu do pokoju, zajmując miejsce w fotelu.

- Żadnych śladów?

Siergiejew wyjaśnił przebieg akcji, a Malarek uśmiechnął się. Pomyślana była doskonale. Urzędnik Departamentu Stanu z sekcji tajnych dokumentów, przekupiony przed laty przez ludzi z biura Malareka, poinformował Siergiejewa, że zastępca sekretarza stanu

Armitage zażądał szczególnie tajnych akt. Malarek natychmiast zlecił wykonanie zadania tajnemu agentowi, który pracował w Departamencie Stanu jako goniec. I zostało wykonane dokładnie tak, jak tego Malarek oczekiwał.

Przez jakiś czas Malarek siedział zamyślony, wygładzając fałdy swojej tweedowej marynarki uszytej u Harrisa. Wreszcie zapytał:

- Co właściwie było w aktach, których zażądał Armitage?

- Dossier emerytowanego agenta FBI nazwiskiem Warren Pogue.

Malarek podniósł brwi. Przypomnił sobie to nazwisko. Znał dokładnie akta poszczególnych operacji związanych z całością sprawy.

- Czy nie sądzisz, że ten człowiek chciałby się skontaktować z agentem?

- Sanctum uważa to za mało prawdopodobne, choć możliwe. Jeszcze dziś będą tam mieli swoich obserwatorów.

- Obserwatorzy nie wystarczą. Jeśli Stone w jakikolwiek sposób skontaktuje się z tym agentem na emeryturze, trzeba będzie tego człowieka wyeliminować. Operacja musi być całkowicie czysta. Najmniejszych śladów, które by prowadziły w naszym kierunku.

Siergiejew z szacunkiem skinął głową.

- Tak jest. Mamy taki sposób.

- A jeśli chodzi o Stone'a - zaczął zamyślony Malarek, ale nie musiał kontynuować.

Siergiejew wiedział doskonale, że wieloletnia praca grupy kilku wysoko postawionych osób w stolicach obu supermocarstw nie mogła pójść na marne w wyniku poczynań jednego, zdesperowanego człowieka, którego miejsca pobytu nie zdołano jeszcze ustalić.

### 38. Moskwa

Stefan Kramer przygotowywał się do podłożenia ostatniej bomby. Z materiału wybuchowego, jaki otrzymał od towarzysza z celi więziennej, pozostało już niewiele, najwyżej na ładunek o sile jednej TNT. Miał właśnie noc wolną od pracy - jako kierownik pogotowia pracował zazwyczaj w nocy - i siedząc wraz z ojcem w pokoju swojego ohydneho mieszkania, przygotowywał bombę. Składało się na nią kilka lasek dynamitu, spłonka i chemiczny zapalnik. Stefan montował, a Jakow siedząc na zbyt miękkim łóżku dotrzymywał mu towarzystwa.

Pokój był obskurny. Pojedyncze łóżko stojące na wystrzępionym dywanie pokrywała kapa niegdyś czerwona, obecnie wyblakła i połatana, ściany miały przygnębiający brązowy kolor.

- Stefan - powiedział Jakow - popełniamy błąd.

- Jaki?

- Z każdym wybuchem wzrasta prawdopodobieństwo tego, że zostaniemy złapani.

Milicja szuka nas zapewne wszędzie.

- Jak długo zachowuję ostrożność...

- Nie zdaje się na wiele. Zresztą władza milczy. Nic, ani słowa. Awram jest nadal więźniem.

- Trzeba być cierpliwym. Trzeba nieco więcej czasu - odpowiedział ojcu.

Jakow wzruszył ramionami.

- Powinieneś się stąd wyprowadzić. Znajdź coś miłszego. Wiesz przecież, że u nas jest pokój. Możesz z powrotem zamieszkać z nami...

- Biuro Polityczne działa powoli - Stefan powrócił do tematu. - Musimy im dać czas na to, żeby pozarli się między sobą. Możemy wysłać jeszcze jeden list. Nie powinniśmy jednak naszych żądań ogłaszać publicznie. To zmniejszyłoby do zera nasze szanse uwolnienia Awrama. Trzymajmy to nadal w tajemnicy.

- Nie wiem już, co robić - martwił się ojciec.
- Niewielka bomba - Stefan pokazał ojcu gotowy ładunek.
- Mam jakieś niedobre przecucie - Jakow pokręcił głową.

\*\*\*

Ubrany w niebieski kombinezon robotniczy należący do jednego z sublokatorów jego mieszkania Stefan wszedł na plac Swierdłowa. Było późne popołudnie. Szedł w kierunku Teatru Wielkiego, którego portal z ośmioma kolumnami wychodził na ten właśnie plac. Budynek miał wiele wejść, a w ciągu dnia żadne z nich nie było strzeżone. Wybrał to, które wydawało mu się wejściem służbowym, i wszedł do środka. W kombinezonie wyglądał na robotnika lub dostawcę, a jego osoba nie wzbudzała zainteresowania. Niósł kartonowe pudełko wypełnione papierami, co wyglądało, jakby przywiózł programy. W rzeczywistości była to zebrana przez Stefana makulatura.

- Gdzie są szatnie? - zapytał niegrzecznym tonem kogoś mijanego na korytarzu.

Wskazano mu drogę i wkrótce znalazł korytarz, przy którym - jak mu się zdawało - mieściły się szatnie aktorów. Korytarz był pusty. Idąc zaglądał do poszczególnych pokoi. W jednym z nich nie było nikogo. Poczul, że serce bije mu szybciej. Znalazł to, czego szukał. I to bardzo szybko. Na jednym ze stolików leżała przepustka służbowa do gmachu. Niewielka plastikowa legitymacja z oficjalnym stemplem. Schował ją do kieszeni i wrócił na korytarz. Minęły go dwie dziewczyny z baletu w kostiumach i baletkach na nogach. Były zajęte rozmową i nie zwróciły na niego uwagi. Część pierwsza operacji zakończyła się sukcesem.

\*\*\*

Wieczorem powrócił do Teatru Wielkiego.

Bomba miała chemiczny zapalnik wetknięty pomiędzy ładunki dynamitu. Nie była zbyt potężna, ale pewne było, że spowoduje w teatrze ogromnie wiele huków. Stanowiła niewielki pakuneczek o wymiarach 3 x 20 cm i bez trudności można ją było ukryć w dużym bukietcie kwiatów opakowanym w celofan.

Oczywiście każda kontrola bez trudu znalazłaby ładunek ukryty pod kwiatami, ale Stefan był przekonany, że kontroli żadnej nie będzie. Wejście umożliwi mu przepustka, jaką znalazł po południu w szatni. Uznają, że jest pracownikiem firmy dostarczającej zazwyczaj kwiaty na zlecenie ministrów lub dyrektora teatru.

Wieczorem Teatr Wielki był wspaniale oświetlony. Przed portalem i jego kolumnami stał wielki posąg Apollina w rydwanie ciągniętym przez wspinające się konie. Gmach mieścił w swoim wnętrzu przepiękną barokową widownię obliczoną na trzy tysiące miejsc.

Przejętny Rosjanin jednak nie może liczyć na kupno biletów, chyba że gotów jest stać w niekończącej się kolejce. Publiczność składa się głównie z ludzi uprzywilejowanych, członków KC, KGB, deputowanych, dyplomatów i im podobnych. Bogato zdobione loże zajmują często członkowie Biura Politycznego z rodzinami.

Ten wieczór był zimny i deszczowy. Stefan czekał w samochodzie, aż tłum wejdzie do środka. Wsiadł z samochodu dopiero, kiedy nawet spóźnieni widzowie zniknęli we wnętrzu budynku. Miał na sobie ten sam granatowy kombinezon. W ręce trzymał wielki bukiet kwiatów owinięty celofanem. Wchodząc pokazał przepustkę grubej bileterce siedzącej przy drzwiach. Szczęśliwie przepustki były bez fotografii.

Tuż przed wyjściem z samochodu uruchomił chemiczny zapalnik. Nie chciał, by zobaczono, jak majstruje przy bukietcie w miejscu publicznym. Obliczył, że ma dziesięć minut do momentu wybuchu ładunku. Wykalkulował, że na wejście wystarczy mu minuta, a potem dwie minuty na wyszukanie miejsca do podłożenia bomby. Idealnym miejscem byłaby pusta

łóża. Zwykle kilka z nich nie było zajętych, choć wszystkie bilety sprzedano.

Bileterka, którą już mijał, zmarszczyła się i zapytała:

- Dla kogo te kwiaty?

Stefan odpowiedział szyderczym głosem kogoś, kto tkwi na samym dole społecznej hierarchii.

- Dla jakiegoś skurwysyna ministra czy kogoś podobnego. Nie wiem. Ma to wręczyć primabalerinie po przedstawieniu.

Bileterka okazała się jednak biurokratką ściśle przestrzegającą przepisów.

- To dlaczego nie używasz wejścia służbowego?

Popatrzył na nią, starając się nie okazywać emocji. Minęła już prawie minuta.

“Pospiesz się, ty gruba krowo - pomyślał - a jak nie, to oboje wylecimy w powietrze”.

- Kochana, spieszę się - powiedział. - Nie rozumiesz, że tamten facet czeka?

Pokiwała mu grubym palcem. Wolno wstała z krzesła i poszła poradzić się drugiej bileterki siedzącej przy następnym wejściu.

Serce biło mu coraz szybciej. Wyobrażał sobie, jak kwas w zapalniku przegryza cienki jak włoszek drut, który w momencie zerwania połączenia spowoduje wybuch.

- Dobrze, idź już - powiedziała niechętnie powracająca bileterka.

Szedł teraz, jak mógł najszybciej. Dwa piętra w górę i na korytarz, z którego były wejścia do łóża. Spróbował drzwi do pierwszej. Zamknięte! Oczywiście, nie przyszło mu do głowy, że puste łóża pozostają zamknięte. Stał przed drzwiami trzymając w ręce bombę, która mogła w każdym momencie wybuchnąć.

Nacisnął na klamkę drzwi do sąsiedniej łóża. Była pełna widzów. Jakiś elegancko ubrany mężczyzna, jego silnie umalowana żona i trójka dzieci. Natychmiast zamknął drzwi mając nadzieję, że go nie zauważono, choć jedno z dzieci odwróciło głowę i najprawdopodobniej widziało jego twarz. Próbował teraz, drzwi do następnej łóża i jeszcze do następnej.

Dopiero piąte z kolei drzwi ustąpiły, a łóża była pusta. Być może ten, do kogo należała, powiadomił teatr, że się spóźni, i dlatego drzwi pozostawiono otwarte. Szybko położył bukiet na jednym z siedzeń i zamknął drzwi. Zbiegł najbliższą klatką schodową. Serce biło mu tak silnie, że obawiał się, aby nie zemdleć. “Muszę stąd wyjść” - myślał. Gdyby zaczął biec, zwróciłoby to uwagę. Byłby podejrzany, byłby wreszcie winowajcą. Nie mógł do tego dopuścić. Musiał dojść do wyjścia, minąć bileterkę, niczego nie dając po sobie poznać. “Boże, pomóż mi - modlił się w duchu... - Boże, pomóż”.

Wyjście. Obie bileterki siedzą na metalowych, składanych krzesłach. Mijając je kiwnął głową i w tym momencie usłyszał potężny, głośny wybuch! Ogromna eksplozja, sekunda ciszy, a potem krzyki, chór krzyków i jęków.

Nie potrafił się opanować. Rzucił się do drzwi i wybiegł. Słyszał, jak bileterka krzyczy za nim. Nie zatrzymał się. Dopadł do samochodu i w chwilę potem bezpiecznie włączył się do ruchu ulicznego.

### 39. Chicago

Warren Pogue był człowiekiem zadowolonym. Zawsze bał się przejścia na emeryturę - myśl o bezczynnym siedzeniu przerażała go. Życie emeryta w praktyce okazało się jednak całkiem przyjemne. FBI zachowała się porządnie i za czterdzieści cztery lata przepracowane w Biurze otrzymał wcale przyzwoitą emeryturę.

Jego przyjaciele pętali się po domu, gapili w telewizor i narzekali. Warren Pogue był ustawicznie zajęty. Był bardziej aktywny niż kiedykolwiek w życiu. Jego żonę, Fran, perspektywa emerytury męża jeszcze bardziej przerażała niż jego. Teraz jednak i ona była

zadowolona. Warren pielęgnował trawnik i ogródek przed ich domem przy Mozart Street, w północnej dzielnicy Chicago, zwanej również Rogers Park. Grywał w golfa, próbował grać w tenisa. Przede wszystkim jednak latał. W latach II wojny światowej służył w lotnictwie i pokochał latanie. Tak było przed czterdziestu laty. W kilka tygodni po przejściu na emeryturę wraz z kilkorgiem przyjaciół kupił jednosilnikowy, czteroosobowy Piper Arrow. Raz w tygodniu, w środę, latał.

Właśnie była środa i od godziny znajdował się w powietrzu. Był już czas powrotu.

Połączył się z kontrolą ruchu powietrznego i poprosił o pozwolenie na lądowanie. Zszedł do 600 metrów i wysunął w 80 procentach klapy hamulcowe. Przymknął przepustnicę i wykonał wiraż na lewe skrzydło, potem kolejny wiraż i jeszcze jeden. Zatoczył pełne koło, obserwując wysokościomierz rejestrujący opadanie maszyny. Wyrównał lot i szybował do ostatecznego podejścia. Na moment przedtem, nim koła dotknęły ziemi, podniósł nos maszyny i tylne koło jako pierwsze zetknęło się z betonowym pasem.

“Czyste lądowanie” - pomyślał z satysfakcją. Doprowadził maszynę do miejsca parkowania i ustawił ją w idealnie równej linii z innymi maszynami. Wyłączył zapłon, zamknął dopływ benzyny, odłączył akumulator i wyszedł. Przymocował samolot do haka wtopionego w beton.

Idąc w kierunku samochodu myślał o swojej jedynej córce Lori. Miała trzydzieści dwa lata i nadal była niezamężna. Przyjeżdżała właśnie, miała pozostać z nimi przez kilka dni. Zastanawiał się, czy nie należało z nią porozmawiać na temat ustatkowania się i założenia rodziny. Wyjeżdżając z lotniska skinął na pożegnanie Jimowi, który był tu mechanikiem. W pół godziny później zajeżdżał przed dom.

\*\*\*

Pogue palił papierosa za papierosem. Jego głos, głęboki i chrypliwy, przypominał Stone'owi jakąś postać ze znanego serialu telewizyjnego, tylko nie potrafił sobie uświadomić, jaką. Emerytowany agent FBI wyglądał na kogoś, kto dopiero co przekroczył sześćdziesiątkę. Był grubasem i wałek tłuszczu sterczał mu ponad czarnym, skórzanym paskiem podtrzymującym spodnie. Jego żona, drobnitka kobieta o wyblakłych blond włosach - pokazała się jedynie na chwilę, by się przywitać, i zniknęła w swoim pokoju na piętrze, gdzie oglądała telewizję.

Dom był miniaturowy, w stylu rancho, ze starannie przyciętym żywopłotem oddzielającym go od ulicy i równie troskliwie wypielęgnowanym trawniczkiem od frontu. Pierwszą sprawą, jaką rano zajęła się Paula, było wystaranie się o telefon i adres Pogue'a. Z domu wyszła znacznie wcześniej, niż Stone się obudził. Być może dlatego, że oboje czuli się winni tego, co pomiędzy nimi zaszło.

Stone zatelefonował do Pogue'a i powiedział mu, że za zgodą dyrektora FBI pracuje nad książką o wielkich wyczynach Biura. Otrzymał listę agentów, z którymi należy porozmawiać, i Pogue na niej figuruje. Stone liczył, że Pogue nie będzie miał czasu na sprawdzanie tych informacji. Dlatego powiedział:

- Za dwie godziny odlatuje mój samolot. Czas, jaki mam, wystarczy nam na rozmowę. Ku zdumieniu Stone'a Pogue bez zastanowienia zgodził się. Przyozdobił teraz swoją okrągłą twarz uśmiechem i otworzywszy paczkę marlboro, wyciągnął jednego papierosa i zapalił. Mówił przy tym:

- Zgadza się, FBI za czasów Hoovera stanowiła pakę rzeczywistych bohaterów. Nie jak teraz, kiedy pracują tam same dupy niezdolne do niczego. Rozumie pan, co mam na myśli?

Stone skinął głową, uśmiechając się przyjaźnie. “Wytrzymam jeszcze dziesięć, piętnaście minut tego gadania” - powiedział sobie w duchu, choć czuł, że nie będzie to łatwe.

Siedział naprzeciw faceta, który zbierał w Moskwie informacje na temat jego ojca, faceta, którego wyssane z palca oskarżenia zadecydowały o skazaniu Alfreda Stone'a. Rozmawiał z kimś takim jak ze starym kumplem, jak z kimś spotykanym na zjazdach koleżeńskich. W pewnym momencie zapytał, czy Pogue miał coś wspólnego ze słynną niegdyś sprawą Alfreda Stone'a?

- Czy miałem coś wspólnego? - odpalił Pogue. - Ja sam jeden tę sprawę prowadziłem.

- Niebawem - Stone uśmiechnął się nieszczerze. "Skurwysyn", zaklął w duchu. - Czy to pan złapał Stone'a, gdy w Moskwie spotykał się z rosyjskim szpiegiem?

Pogue skromnie spuścił oczy i nabrał głęboko powietrza.

- A więc było tak - rozejrzał się po pokoju, jakby szukał jeszcze innych słuchaczy.

Zachowywał się jak wytrawny gawędziarz przygotowujący się do wygłoszenia szczególnie interesującej kwestii. - Prowadziłem łącznie około ośmiuset różnych spraw, jeśli jednak o tę chodzi, to pamiętam każdy pieprzony szczegół. Właśnie dzięki niej z szeregowego pracownika wszedłem do grona doświadczonych zawodowców. Byłem w zespole tropiącym radzieckich szpiegów. Rozprawiliśmy się z kilkoma siatkami komuchów - Klaus Fuchs, Rosenbergowie, Alfred Stone. Złamaliśmy niektóre z radzieckich szyfrów. Właśnie zakończyłem okres praktyki i byłem jeszcze całkiem żółtodziobem. Dostaliśmy cynk, że współpracownik Lehmana jedzie do Moskwy, i otrzymałem rozkaz obserwowania go. Miałem patrzeć, z kim się spotyka, może z jakimiś dziewczynami. Pan wie, jaka to robota - uśmiechnął się oblesnie i zaciągnął się papierosem. Przybrał taki wyraz twarzy, jakby zdradzał największe państwowe tajemnice. - Pan wie, kim jest Winthrop Lehman?

- Oczywiście, nie wiem natomiast, kto to jest Fiodor Dunajew.

Nazwisko Fiodor Dunajew wymieniane było w jednym z dokumentów z archiwum Lehmana, w protokole z przesłuchania prowadzonego przez Pogue'a.

Pogue wypuścił z ust kłęb dymu i zakaszłał. Przez kilka sekund w zamyśleniu przyglądał się papierosowi trzymanemu w ręce, podniósł oczy i zapytał:

- Kim pan jest, do diabła?

- Powiedziałem panu, jestem...

- To pieprzenie, ty nie piszesz żadnej cholerniej książki o FBI! - emerytowany agent FBI zaczął wrzeszczeć.

- To prawda. - Stone siedział nieporuszony rozważając przez chwilę, czy nie wyciągnąć rewolweru. Pogue mógł się okazać niebezpiecznym przeciwnikiem. - To prawda - powtórzył. - Nie piszę historii FBI i przepraszam, że pod takim pretekstem tu przyszedłem...

- Jesteś z tej przeklętej federalnej policji...

- Nie jestem z żadnej policji. Jestem synem Alfreda Stone'a.

Odniosł wrażenie, że Pogue miał przez moment skurcz mięśni szczęki. Zgniółł w popielniczkę trzymanego papierosa i natychmiast zapalił następnego.

- Nie rób żadnych głupstw - w jego głosie brzmiała przestroga.

- Nie mam takiego zamiaru. Rozumiem, że pan wypełniał swoje zadanie i nie mam do pana pretensji.

- Spieprzaj stąd!

- Przesłuchiwał pan faceta nazwiskiem Fiodor Dunajew. Chcę wiedzieć, kim był. Czy to Rosjanin? Emigrant? Uciekinier?

- Spieprzaj natychmiast! - ryknął Pogue.

- Pozwól, żeby został.

Był to głos jego żony. Stała na schodach prowadzących na pierwsze piętro i ścisła kurczowo poręcz. Stone zrozumiał, że od jakiegoś czasu musiała się przysłuchiwać ich rozmowie.

- Fran, wracaj na górę. - Pogue wycelował w nią ręką, w której trzymał papierosa. -

Nie masz tu nic do roboty.



- Nie, Warren. Powinieneś z tym człowiekiem pomówić.  
- Wynos się na górę, Fran, to nie dotyczy ciebie.  
Kobieta powoli schodziła ze schodów nadal trzymając się mocno poręczy.  
- Nie, Warren - powtórzyła. - Przez lata po sprawie Alfreda Stone'a czułeś się winny. Wiedziałeś, że nie powinieneś być pakować go do więzienia, ale milczałeś. Od lat.  
- Fran... - głos Pogue stał się bardziej miękki.  
- Ty wiesz, że wtedy, w latach pięćdziesiątych postąpiłeś źle. Wsadziłeś niewinnego człowieka. Ty nie jesteś w gruncie rzeczy taki. Przeżywałeś to. Teraz możesz to odkręcić. To jest syn tego nieszczęśliwego człowieka. Warren! Powiedz jemu, powiedz wszystko, co chce wiedzieć.  
- Zostaw nas samych - powiedział półgłosem Pogue.  
Jego żona już bez słowa odwróciła się i powoli, tak jak schodziła, zaczęła wchodzić po schodach. Pogue miał twarz zakłopotaną i zaczął mówić nie patrząc na Stone'a:  
- Fiodor Dunajew to uciekinier. Pracował w służbach specjalnych Stalina. Obecnie mieszka w Paryżu - składał zdania nieco monotannie i z wysiłkiem, jakby proces odgrzebywania w pamięci tamtych wydarzeń był dla niego bolesny. Palił papierosa za papierosem wypuszczając ustami i nosem kłęby dymu.  
- Sądzę, że to, o czym teraz mówię, już i tak niczego nie zmieni - zakończył.

\*\*\*

W godzinę później Stone, który jeszcze nie wyszedł z szoku, szedł przez Rogers Park. Wsadził rękę w kieszeń sprawdzając, czy miniaturowy magnetofon jest na swoim miejscu. Urządzenie to, o nazwie Nagra, kupił w Waszyngtonie w sklepie ze specjalnym sprzętem elektronicznym. Nagra nagrywała sześciogodzinne rozmowy i rejestrowała głos osoby znajdującej się po przeciwnej stronie wielkiego pokoju. Dzięki temu urządzeniu miał już nagranie z Williamem Armitage'em, a teraz z Warrenem Poguem.  
Musiał lecieć do Paryża. Odnaleźć rosyjskiego emigranta wiedzącego tak wiele o przygotowywanym przewrocie Berii. Stara sprawa, która ułatwi wyjaśnienie współczesności. Pomoże poznać nazwiska ludzi zarówno po stronie amerykańskiej, jak i rosyjskiej, którzy byli w to zaangażowani wówczas, a po latach chcą ponownie wtrącić świat w otchłań chaosu. Fiodor Dunajew służył w tajnej policji Stalina, z której wyłoniła się KGB. Był jednym z zaufanych agentów Berii, i to tak dalece, że w 1953 roku wysłano go do Ameryki, by sterroryzował pewną starą kobietę, Annę Zinojewą. Miał jej odebrać jakiś dokument. Pogue opowiadał, że było ich łącznie trzech. Trzech najlepszych agentów Berii. Dunajew był jednym z nich. Drugi zmarł niemal bezpośrednio po śmierci Stalina. Trzeci, Osip Wszyński, jak przypuszczano, żył i mieszkał w Związku Radzieckim. Po egzekucji Berii Dunajew uciekł wiedząc, że jego dni są również policzone.  
Musi się spotkać z Dunajewem.  
Miasto spowijała mgła. Postacie ludzi na ulicy były niewyraźne i tajemnicze. Minął teatr i sklep z delikatesami, i w tym momencie coś poczuł. A właściwie zobaczył. Jego oczy zlokalizowały we mgle jakąś postać, której nie sposób było rozpoznać, ale w której było coś niepokojącego, coś, co go ostrzegało. Może znajoma sylwetka, może jej ruchy. Zaczął rozumieć, że ktoś za nim idzie. Złapali jego ślad w Chicago.  
Boże, czyż to możliwe?!  
Przyspieszył kroku, postać widoczna po drugiej stronie ulicy zrobiła to samo. Skręcił, niepokojący cień za nim. W tej rozmazanej we mgle sylwetce było coś znajomego, lecz także coś, co budziło grozę. Wielki, zwalisty człowiek z kozią bródką, ubrany w czarną skózaną kurtkę. Stone był pewny, że już go gdzieś widział. Skręcił gwałtownie raz jeszcze i znalazł się naprzeciw wejścia do wąskiego, ślepego zaułka między domami. Dał nura do środka i płasko

przywarł do muru z surowej cegły. Idący za nim będzie tu za kilka sekund. Wokół walały się jakieś śmiecie, wśród nich lśniło coś metalowego. Schylił się, wziął to w rękę. Ciężka, metalowa noga od stołu kuchennego.

Teraz!

Gdy sylwetka pojawiła się tuż przy nim, Stone zamachnął się trzymanym w ręku metalowym prętem. Trafił tamtego w ramię. Rzucił się na niego i zwałił go z nóg. W tym momencie uświadomił sobie, gdzie go widział.

W Cambridge.

Był to jeden z dwóch napastników, którzy zabili ojca. Morderca.

Przewrócony, zapewne nieco zamoczony, dość niemrawo zbierał się z ziemi, usiłując wsadzić rękę w kieszeń kurtki. Stone poczuł, jak opanowuje go szal, wściekła, nadludzka siła. Zabójca tymczasem był już na nogach i pięścią wymierzył cios. Stone nie zdążył się zasłonić. Poczul uderzenie w szczękę i smak krwi w ustach. To spotęgowało jego furię. Pręt znów spadł na barki tamtego. Obcy próbował uderzyć jeszcze raz, ale już nie zdążył. Następny cios spadł na jego głowę.

“To za ojca” - pomyślał Stone i uderzył ponownie z ogromną siłą. Tamten osunął się na ziemię. Nie było wątpliwości, że nie żyje. Leżał rozciągnięty na betonie z zakrwawioną twarzą.

Stone przez chwilę patrzył z niedowierzaniem. Zabił człowieka.

Zaczął mu przeszukiwać kieszenie. Pod kurtką, w kaburze tkwił pistolet - Llama M-87. Wyjął go i schował do kieszeni. Znalazł jeszcze portfel. W środku były legitymacje na różne nazwiska, kilka kart kredytowych, prawa jazdy. Przeglądając ubranie zabitego spostrzegł ukrytą kieszonkę, którą dopiero po chwili i z trudnością udało się otworzyć. W środku była mała, plastikowa karta kredytowa na rozmowy telefoniczne z podanym numerem telefonu. Numer kierunkowy wskazywał, że był to telefon w Waszyngtonie.

Zakrwawionymi rękami schował kartę kredytową do kieszeni i rzucił się do ucieczki.

40.

Gdy Stone opuścił jego dom, Pogue wyjął z kieszeni chustkę i otarł wilgotną od potu twarz.

“O Boże - myślał. - O Boże, w co ten facet się pakuje”.

Podniósł słuchawkę telefoniczną i zadzwonił na lotnisko. Poprosił Jima o napełnienie baku Pipera, sprawdzenie warunków lotu, stanu pogody i upewnienie się, czy dobra pogoda panuje również w Indianie. Musiał się spieszyć. Chciał jak najszybciej znaleźć się w Indianapolis, stan Indiana.

Ponownie podniósł słuchawkę i wykręcił numer prywatnej rezydencji sędziego Bidwella. Harold Bidwell, emerytowany sędzia Sądu Najwyższego. Ciągle jeszcze jeden z najpotężniejszych ludzi w kraju. Nawet w pięć lat po przejściu na emeryturę wszyscy liczący się w tym kraju natychmiast odpowiadali na jego telefony. Przed trzydziestu pięciu laty w uzyskaniu nominacji na sędziego Sądu Najwyższego dopomógł mu młody, ambitny agent FBI nazwiskiem Warren Pogue. Zebrał wtedy materiały kompromitujące wszystkich rywali Bidwella.

Telefon zadzwonił raz, dwa razy, trzy.

Pogue zdawał sobie sprawę, że telefonowanie do Bidwella do domu nie jest postępowaniem konwencjonalnym, sprawa jednak nie cierpiała zwłoki.

- Panie sędzio - mówił Pogue - muszę się natychmiast z panem zobaczyć. Przylecę do Indianapolis za jakieś... - sprawdził, która godzina - za mniej więcej dwie godziny.

- A co się dzieje...?

- Kanał - w jego głosie wyczuwało się napięcie - jest zdekonspirowany. Nam... nam wszystkim zagraża... niebezpieczeństwo.  
- Wyślę po pana samochód na lotnisko - odpowiedział Bidwell, jego głęboki baryton drżał ze zdenerwowania.

\*\*\*

Precyzja przygotowań do lotu uspokajała. Pogue działał według kolejnych punktów instrukcji - A, potem B, potem C... Zgodnie z zasadami wykonywał to z listą trzymaną w ręce, chociaż kolejność procedury znał na pamięć. Ta czynność zawsze go uspokajała, a teraz serce biło mu już tak mocno, że potrzebował jakiegoś odprężenia.

Sprawdził dokładnie całą maszynę. Jak zawsze zaczął od systemu chłodniczego, potem świece zapłonowe, pasek napędzający wiatraczek. Poziom oleju, kopułka dystrybutora. Obejrzał, czy skrzydła nie były zarysowane, sprawdził ciśnienie w ogumieniu, wlot paliwa, lotki skrzydeł i na ogonie. Piper Arrow był w idealnym stanie. Oba akumulatory, główny i zapasowy, naładowane. Wsiadł do kabiny i zapiął pasy bezpieczeństwa. Wypróbował urządzenia sterujące - poruszył wolantem, wycisnął pedały, oddał do przodu i przyciągnął dźwignię. Włączył silnik. Cztery tysiące koni mechanicznych ożyło momentalnie. Z nogą na hamulcu sprawdził obroty. Zegarowe wskaźniki zareagowały prawidłowo. Przesunął manetkę gazu i drzenia maszyny ustały. Przełączył z baku głównego na rezerwowego, poczuł, jak silnik się zakrztusił i pracował dalej. To było normalne. Wszystko w porządku. Wypuścił i wciągnął kłapy, po czym ustawił je w pozycji neutralnej do startu.

Połączył się drogą radiową z wieżą i poprosił o podanie ciśnienia barometrycznego. Odpowiednio do niego wyregulował wysokościomierz. Podał plan lotu, długości fal, na jakich nadawał, i poprosił o zezwolenie na start.

Ustawił pod odpowiednim kątem skok śmigła, otworzył przepustnicę i powoli zdjął nogę z hamulca. Maszyna ruszyła. Samolot podskakiwał na pasie nabierając szybkości. Wskazówka pokazała siedemdziesiąt pięć mil. Ostrożnie podciągnął dźwignię i znalazł się w powietrzu.

Leciał.

Gdy osiągnął pułap 900 metrów, zmniejszył obroty silnika i już wolniej wspinał się osiągając tysiąc pięćset metrów.

Tajemnica została ujawniona. Jak - tego Pogue nie wiedział. A jednak została ujawniona. Zastanawiał się, czy jego gość zdawał sobie sprawę z tego, w co się wplątał. Rozważania przerwał mu sygnał nadany przez jego własny nos - jakiś szczególnego rodzaju zapach. Czegóż przegrzanego, jakby gotującego się oleju. Z czego? Przecież przed startem wszystko dokładnie sprawdzał. Co mogło się stać? Może ślad pozostawiony przez przelatujący tędy odrzutowiec? Wyjrzał przez szybę z pleksiglasu, szukając wzrokiem smugi po odrzutowcu. Nic nie zauważył. Zakołysał maszynę w dół i w górę, by zobaczyć, czy to on nie pozostawia smugi za sobą. Była. Ciągnął za sobą cienki warkocz ciemnobłękitnych spalin. Temperatura silnika zaczęła wzrastać. Dlaczego? Leciał od kilkunastu minut spokojnie na tym samym pułapie. Sprowadził samolot na tysiąc dwieście metrów i temperatura silnika zaczęła wzrastać jeszcze szybciej. Skontrolował wskaźnik oleju i ku własnemu przerażeniu stwierdził, że poziom spadł o połowę. Czyżby był jakiś wyciek? Wzbogacił mieszankę i szybkość z 250 km/godz. zmniejszył do 160. Musiał skontaktować się z Bidwellem, musiał go ostrzec. Podniósł mikrofon. Dzięki Bogu samolot miał wyposażenie łącznościowe, za pośrednictwem którego mógł przeprowadzać rozmowy telefoniczne z każdym podanym numerem.

- Centrala - zgłosiła się telefonistka.

- Proszę mnie połączyć z numerem... - zaczął Pogue.

\*\*\*

Rezydencja Harolda Bidwella pod Indianapolis uchodziła, i słusznie, za najelegantszą w okolicy. Piękny, wielki dom w stylu kolonialnym ukryty wśród starodrzewu stał dość daleko od głównej drogi, zapewniając mieszkańcom spokój i pełny komfort.

Dokładnie o jedenastej rano zadzwoniono do głównych drzwi. Otworzył je służący w liberii i stwierdził, że był to listonosz.

- Czy Harold Bidwell? - zapytał poczciarz.

- To jego rezydencja - z godnością odpowiedział służący, dostojny pan po pięćdziesiątce, łysiejący i w okularach.

- Polecony - powiadomił listonosz. - Mogę podpisać - oznajmił służący.

Listonosz wszedł do przedpokoju i podał kopertę oraz przytwierdzony spinaczem do deszczułki wykaz do podpisania. Przybyły był młodym człowiekiem o ciemnych włosach. Służący wziął wykaz i pochylił się nad nim.

- Nie mogę zobaczyć, gdzie mam... - zamruczał.

Nie dokończył zdania. Listonosz zarzucił mu z tyłu na szyję drut, który silnie zacisnął.

Język służącego wysunął się spazmatycznie z ust, oczy wystąpiły mu z orbit, twarz stała się krwście czerwona. Usta otworzyły się do krzyku, który się już z nich nigdy nie wyrwał.

Okulary spadły mu z nosa i rozbiły się na marmurowej podłodze.

Listonosz zamknął drzwi wejściowe, a trupa podsunął pod ścianę. Szedł teraz w głąb domu.

Na piętrze Harold Bidwell już od dłuższego czasu siedział w fotelu. Miał na sobie jedwabny szlafrok, a na twarzy wyraz przerażenia. Już minęło około pół godziny od telefonu Warrena Pogue'a, a sędzia jeszcze nie mógł opanować drżenia.

Kanał został zdekonspirowany. Jak mogło do tego dojść?

Ponownie zadzwonił telefon. Wstał, by podnieść słuchawkę, gdy od strony holu dobiegł go jakiś odgłos, jakiś szelest.

- Rico? - zawołał w tym kierunku.

Nie był to jednak Rico. Jakiś młody człowiek o ciemnych włosach, w jasnoniebieskim mundurze pocztowca. Co on tu robił?

- Co to... - chciał zadać pytanie.

W ręce pocztowca pojawił się rewolwer wymierzony w niego. Napastnik z całym spokojem i cicho powiedział:

- Nie ruszaj się. Stój w miejscu, a nic ci się nie stanie - mówił z obcym akcentem, którego Bidwell nie był w stanie zidentyfikować.

- Czego chcesz? - zapytał z desperacją w głosie. - Bierz, co chcesz. Bierz wszystko, tylko nie strzelaj.

- Chcę, żebyś zażył te pastylki - powiedział poczciarz podchodząc bliżej. Wyciągnął rękę, w której nie trzymał rewolweru. Na otwartej dłoni leżały dwie pastylki.

- Nie!

- Nie obawiaj się - młody człowiek mówił łagodnie. - To tylko Demerol. Łagodny środek usypiający. Nie chciałbym ciebie zastrzelić.

Bidwell gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie, proszę, nie!

Napastnik przystawił mu rewolwer do głowy.

- Połknij to - nadal mówił spokojnie. - Otwórz usta. Bidwell potulnie wykonał polecenie. Tamten położył mu dwie pastylki na języku.

Bidwell przełknął i wykrztusił:

- To trucizna. Gdzie Rico?

- To nie jest trucizna - zapewnił tamten. - Chcę, ażebyś się uspokoił. To bardzo przyjemnie działający narkotyk. Otwórz usta. Muszę sprawdzić, czy połknąłeś. Gdy sędzia otworzył usta, tamten palcem sprawdził, czy pastylki zostały rzeczywiście połknięte.

- Wkrótce zaczną działać. A teraz, kiedy jeszcze jesteś przytomny, otwórz sejf.

- Nie mam sejfu - zaproponował Bidwell.

- Chodź ze mną, proszę - napastnik wciąż trzymał rewolwer przystawiony do głowy sędziego. Bidwell wstał, a tamten podprowadził go do jednej z półek przy ścianie, odsunął rząd książek, spoza nich ukazały się drzwiczki do sejfu z cyfrowym zamknięciem.

- Widzisz, kłamstwo na nic się nie zdaje. Wiem, co jest w środku, i gdyby zaszła taka potrzeba, mógłbym to sam otworzyć. Proszę, oszczędź mi kłopotów i czasu.

Bidwell trzęsącymi się rękami zaczął kręcić tarczą. Pierwsza próba jednak nie powiodła się i sejf się nie otworzył.

- Nie rób więcej takiego błędu - ostrzegł napastnik. - Wiem doskonale, że jeśli trzykrotnie popełni się błąd przy otwieraniu, sejf będzie elektronicznie zablokowany na godzinę. Otwórz teraz - powiedział ostrzej.

Bidwell ponowił próbę i tym razem drzwiczki do sejfu zostały otwarte.

- Dziękuję - powiedział tamten. Włożył rękę w niewielką skrytkę, odsunął na bok jakieś kosztowności i wyciągnął wielką, żółtą kopertę.

- Złoto i diamenty pozostawiam dla twoich spadkobierców. To jest wszystko, czego szukałem.

Bidwell zrozumiał teraz, o co chodziło.

- Ty! - Wargi stawały się odporne i formułował słowa powoli, z trudnością. - Ty jesteś... jednym... - nagle coś do niego dotarło, oczy mu się zwężyły. - Moi spadkobiercy?

- A teraz czas na kąpiel, sędzio Bidwell.

Bidwell potrafił protestować jedynie potrząsaniem głowy. Oczy miał rozszerzone ze strachu. Młody człowiek wyprowadził sędziego z pokoju, minęli przedpokój i weszli w drzwi do łazienki. Napastnik ciągle trzymał rewolwer gotowy do strzału.

Bidwell wyciągnął nagle rękę i nacisnął na framugę drzwi. Młody człowiek uśmiechnął się, ale nie protestował.

- Już wyłączyłem alarm. To nic nie pomoże - powiedział niemal wesoło.

Weszli do łazienki, która wydała się Bidwellowi zalana rażąco jasnym światłem.

Promienie rzucane przez lampę zawieszoną u sufitu odbijały się w błyszczących czarno-białych kafelkach. Młody człowiek doprowadził Bidwella do sedesu i posadził. Sędzia siedział nieruchomo czując, że zaczynają mu opadać powieki. Człowiek w mundurze pocztowca podszedł teraz do wielkiej, marmurowej wanny i odkręcił oba kurki. Woda pryskała szybko napęlniając wannę.

Bidwell miał niemal zamknięte oczy.

- Co chcesz ze mną zrobić - mamrotał, a jego głos niemal gubił się w szumie wody. - Ja dotrzymałem tajemnicy. Nigdy nie powiedziałem słowa. Powariowaliście. Ja zawsze milczałem.

Wanna była do połowy wypełniona wodą, a młody człowiek zaczął rozbierać Bidwella, zaczynając od jedwabnego szlafroka. Po chwili sędzia był nagi.

- No, a teraz do wanny - rozkazał młody człowiek.

Ruszając się bardzo wolno, Bidwell wszedł do wanny. Płaczliwym szeptem wydusił z siebie: - Zimna woda!

- Połóż się.

Bidwell posłusznie wyciągnął się w wannie. Jego oczy były teraz pozbawione wszelkiego wyrazu.

Młody człowiek zawiązał rękawy, wziął do ręki wielką gąbkę leżącą na półeczce nad

wanna, przyłożył ją do twarzy leżącego i nacisnął.

Głowa sędziego znalazła się pod wodą. Trzymał tak długo, jak długo wydobywały się bańki powietrza.

- Jak to łatwo zasnąć w czasie kąpieli - powiedział głośno już tylko do siebie.

\*\*\*

Dźwięk dzwonka telefonicznego dobiegał z głośnika. Słuchając Pogue zmienił kąąt ustawienia śmigła i lekko przypikował, ażeby dopomóc tracącemu obroty silnikowi. Niewiele pomogło. Temperatura w silniku wzrastała. I nagle silnik stanął. Zapadła zdumiewająca i przerażająca cisza. Absolutna, okropna cisza. Samolot zaczął gwałtownie opadać. Próbował zastartować, ale silnik nie zaskoczył.

Telefon nadal dzwonił.

- Jezus Maria, ty skurwysynu, podnieś słuchawkę! - zaczął mówić głośno sam do siebie. - Boże, proszę - powtórzył to kilkakrotnie.

Telefon nadal dzwonił. Gdzież mógł być Bidwell?

Pod nim ciągnęły się lasy. Dziękować Bogu, że nie miasto. Samolot szybował opadając. Zobaczył autostradę. To mógł być ratunek. Tu mógłby wylądować. Za jakieś sześćdziesiąt sekund dotknie ziemi. Zaczął się modlić, żeby lądowanie mu się udało. Z głośnika dobiegł go głos telefonistki:

- Proszę pana, przykro mi, numer nie odpowiada.

Gonitwa myśli. Co mogło się stać?

Autostrada była tuż pod nim, jakieś sześćdziesiąt metrów w dole. Wydawało mu się, że jest bezpieczny. Nie spodziewał się jednak bocznego wiatru. Już westchnął z ulgą, gdy nagle z ust wyrwał mu się krzyk przerażenia. Wiatr niespodziewanie zniósł samolot w prawo i wprost na linii lotu wyrósł betonowy słup podpierający przejazd nad autostradą. W ułamek sekundy później samolot przeobraził się w kulę wybuchających płomieni.

W tym samym momencie, w ostatnim momencie swojego życia nagle zrozumiał, dlaczego to wydarzyło się właśnie teraz.

#### 41. Chicago

Mgła tak zgęstniała, że Stone widział najwyżej na sześć metrów przed sobą. Biegł nie zatrzymując się, czując ogarniającą go słabość i drżenie nóg, co było niewątpliwie wynikiem nie opuszczającego go strachu. Nie mógł wymazać z pamięci przerażającego obrazu trupa rozciągniętego na betonie wąskiego zaułka o kilka przecznic od domu Warrena Pogue'a. Specjalnie wybrał okrężną drogę do domu Pauli, by się upewnić, że nie jest śledzony. Widoczność jednak była ograniczona i każdy, kto chciałby za nim biec, musiałby go zgubić w ciągu kilku sekund.

Była sobota, co oznaczało, że Paula pracowała jedynie pół dnia. Była już w domu, kiedy wszedł, i natychmiast zauważyła jego podarte ubranie.

- O Boże, Charlie, co się znowu stało?

Stone opowiedział jej wszystko.

- Jezu, przeklęty, zabiłeś człowieka!

- Wszystko jednak zaczyna wychodzić na jaw, Paulo - szeptał. - Sprawa ojca... wszystko...

- Musimy ciebie wywieźć z Chicago.

- My? Nie, Paulo, nie chcę, żebyś była w cokolwiek jeszcze bardziej zamieszana.

- W nic nie jestem zamieszana.

- Głupstwa gadasz! - wybuchnął. - Nie powinienem być cię na cokolwiek narażać.  
- Charlie...  
- Bardzo uważałem, czy nie jestem śledzony wczoraj i dziś. Nikt nie wie, że tu jestem. Nie mogą mnie z tobą łączyć. Jak długo uda się to tak utrzymać, jesteś bezpieczna. Teraz muszę wyjechać... Muszę znaleźć jednego faceta w Paryżu. Być może to jest jedyny człowiek, który może mi teraz pomóc. Jestem naprawdę wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, ale...  
- Stone - w jej głosie słychać było narastający gniew. - Dziś nigdzie nie odleciś. Lotniska są zamknięte. Mgła.  
- Jezu! Nie mogę tu zostać. Będą mnie szukać, aż...  
- Moi rodzice mieszkają w Toronto. Możemy tam pojechać samochodem i stamtąd polecisz. Zresztą myślę, że w ogóle Kanada będzie dla ciebie bezpieczniejsza, nie sądzisz? Tu siedzisz w gównie.  
- Powszechnie wiadomo, że służba graniczna dysponuje systemem komputerowym dla sprawdzania wyjeżdżających i przyjeżdżających. Ci, których się szuka, będą natychmiast złapani przy próbie przekroczenia granicy. Jednak na granicy kanadyjskiej nie ma systemu komputerowego... - mówił powoli i jasne było, że głośno myśli.  
- No, sam widzisz - uśmiechnęła się przelotnie. - Poza tym nie zapominaj, że mnie nikt nie szuka.  
- Paulo - przerwał jej - jeżeli zobaczą cię w moim towarzystwie, grozi ci niebezpieczeństwo - potrząsnął głową i zagryzł dolną wargę. - Nie mogę przystać na takie ryzyko. Nie chcę, żeby ci się cokolwiek przydarzyło.  
- Nie bądź dla mnie taki łaskawy, do cholery! - odpaliła. - Jestem w pełni zdolna do samodzielnego podejmowania decyzji, czy rozumiesz? Ty wypierdku, najpierw przyłazisz do mnie po pomoc, a teraz sam nie wiesz, jak masz zwać - objęła go za szyję i mówiła już pogodniejszym tonem: - Stone, ja wiem, jak się o siebie troszczyć. Nie mam zamiaru umierać. Zbyt wiele mam jeszcze do zrobienia.  
- Paulo...  
- Jutro niedziela. Na poniedziałek mogę wziąć wolny dzień. Jeśli zaraz wyjedziemy, w Toronto możemy być około północy.  
Bezwiednie musiał się uśmiechnąć. Jej entuzjazm wzruszył go.  
- Muszę się przyjrzeć mapie.  
- Już ci daję.  
- Hej, wiesz co, Syrenko, pod tą twoją maską zimnego profesjonalizmu kryje się jednak wcale przyjemny człowiek.  
- Dziękuję - powiedziała z sarkazmem, dając mu silnego klapsa w pośladek. - Wiesz co, odpieprz się! - dokończyła.

\*\*\*

Jechali autostradą nr 9 białym audi fox Pauli. Potem skręcili na autostradę nr 96 i zdążali na północ, przemierzając olbrzymie równiny ciągnące się wzdłuż jeziora Michigan. Posiniaczony i zraniony w trakcie walki w zaułku nie mógł prowadzić, a więc ona trzymała kierownicę, a on wkrótce zasnął. Obudziła go po kilku godzinach.

- Gdzie jesteśmy? - zamamrotał.  
- Poprosiłeś, żeby cię obudzić, kiedy wjedziemy do Michigan. Podróż z tobą to beczka śmiechu. Mało co nie zasnęłam nad kierownicą, a nie mogłam włączyć radia, bo bałam się, że ciebie obudzę. Jesteśmy na północ od... Jak się to pieprzone miejsce nazywa? Millburg. Stan Michigan.  
- Która to?

- Czwarta trzydzieści. Nie rano, po południu.
  - Dziękuję.
  - A dlaczego chciałeś się tutaj zatrzymać?
- Stone wyjął mapę i przez moment jej się przyglądał.
- Musimy zrobić małe objazdy.
  - Po co?
  - Jedź jeszcze przez chwilę 96, potem skręcisz.
  - O co właściwie chodzi?
  - To dość skomplikowane.
  - Nie jestem taka głupia, Stone, potrafię sobie radzić ze skomplikowanymi sytuacjami.
- Stone w milczeniu studiował mapę.
- Wyjaśnię ci potem, obiecuję. Na razie jedź na północ, pięćdziesiąt do sześćdziesięciu mil. OK?
  - To nie jest droga do Toronto.
  - Wiem.
  - Czy jesteś wystarczająco rozbudzony, ażeby wiedzieć, co mówisz?
  - Mniej więcej.
- Po chwili milczenia zaczęła ponownie:
- Stone, o co właściwie chodzi?
  - Powiem ci, jak sam wszystko dokładnie przemyśle - to było wszystko, co chciał jej powiedzieć.

\*\*

W godzinę później wjeżdżali do Haskell, małego miasteczka nad brzegiem jeziora Michigan, niemal na samej granicy powiatów Van Buren i Allegan. Przy wjeździe do miasteczka minęli sklep i restaurację oraz staromodną stację benzynową Golfa.

- Stań, muszę kupić kilka drobiazgów - poprosił Stone. Rzuciła na niego spojrzenie, wzruszyła ramionami i zaparkowała obok stacji.

W kilka minut potem wrócił do wozu niosąc w papierowej torbie pudełko papierosów, sztormowe zapalki i rolkę papieru toaletowego.

- Czy ty palisz? - zapytał zapalając papierosa.
- Nie - z obrzydzeniem pokręciła nosem. - Nie wiedziałam, że ty palisz.
- Czasami.
- Papier toaletowy?

Stone uśmiechnął się tajemniczo, otworzył bagażnik samochodu i wyciągnął małą, tanią walizeczkę, jaką kupił w Chicago. Wyjął z niej but, a z niego zwitek banknotów. Potem wrócił do wozu, wziął mapę i pokazał jej pewien punkt wyjaśniając:

- Widzisz to miejsce? Jest jakieś trzydzieści pięć kilometrów na północ stąd. Tam się spotkamy za... powiedzmy, cztery godziny.
- Co to za piekielna kombinacja, Charlie?
- Zatrzymaj się gdzieś na obiad. Poczytaj sobie. Rób cokolwiek. Spotkamy się tam za cztery godziny.
- A ty jak się tam dostaniesz? Na piechotę?
- Nie martw się o to. Bądź cierpliwa, gdybym się nieco spóźnił.

Haskell to mała miejscówka nad brzegami jeziora Michigan, której mieszkańcy żyją z rybołówstwa. Jest tu jedna restauracja, "White Castle", bar, bank i kilka budynków z różnymi biurami. Stojąc na głównej ulicy, Stone widział drewniany falochron na brzegach jeziora. Zapytał jakiegoś przechodnia o motel. Tamten wskazał mu całkiem przyzwoity budynek, na którym widniał oczywiście napis "Haskell Inn". Stone przedstawił się swoim



własnym nazwiskiem i demonstracyjnie uściśnął rękę właściciela. W księgę meldunkową wpisał się jako Charles Stone, a płacąc użył własnej karty kredytowej. Większość pokoi była wolna. Właściciel zaoferował więc kilka pokoi do wyboru. Zapalając papierosa Stone powiedział:

- Proszę o najwygodniejszy. Jestem palaczem, a więc proszę o pokój, w którym będę mógł swobodnie palić.
  - Nie mam nic specjalnego - wyjaśnił niski, łysiejący właściciel. - Dostanie pan najlepszy pokój. Proszę tylko nie palić w łóżku. To jedyny warunek, którego należy kategorycznie przestrzegać.
  - Oczywiście - Stone uspokoił właściciela. Rozejrzał się, ocenił podniszczone wschodnie dywany na podłodze i wiśniową boazerię. - Ma pan wspaniały hotel - powiedział.
  - Dziękuję - właściciel był wyraźnie zadowolony. - Pan tu służbowo, panie Stone? - z tonu, w jakim pytanie zostało zadane, wynikało, że pytający nie spodziewa się potwierdzającej odpowiedzi.
  - Nie. Dla przyjemności. Miałem kilka bardzo trudnych tygodni.
  - To znakomite miejsce na ucieczkę przed światem - przytaknął.
  - Kiedy byłem chłopcem, ojciec przyjeżdżał w te okolice na ryby. Można tu wypożyczyć łodzie rybackie?
  - Oczywiście, najlepiej u Cappa.
  - Doskonale. Wprowadzę się i jeśli wynajmę łódź, jeszcze dziś pojedę zarzucić wędkę. Firma "Capp - Wynajem łodzi" znajdowała się w niewielkiej chałupie ustawionej na miniaturowym, drewnianym molo. Właściciel - zwalisty, grubo ciosany mężczyzna o czerwonej twarzy - już chyba zamykał. Stone, trzymając w ręku torbę podróżną, którą właśnie kupił, przedstawił się swoim prawdziwym nazwiskiem i sprecyzował swoje życzenie.
  - Oczywiście mamy łodzie rybackie - odpowiedział właściciel. - Zależy, czego pan chce. Mamy wszystko, od małych łodzi na wiosła po trzydziestometrowej długości jachty.
  - Coś małego tylko dla mnie, oczywiście z silnikiem.
  - Motorówka Hawk?
  - Jak to wielkie?
  - Jakieś siedem metrów długości, idealna dla sportowego wędkarstwa. Pomieści i sześć osób, ale wygodna dla jednej. Pan sam?
  - Tak. Ile?
  - Pięćdziesiąt dolarów dziennie. - Cena została wyraźnie wymyślona na poczekaniu, a właściciel dodał pospiesznie: - Oczywiście my dostarczamy wszystko. Wędkę, kołowrotek, przynętę, nawet robaki. Sądzę, że pan ma ekwipunek, ale może pan korzystać z naszego.
  - Zgoda. Wezmę od razu, czy można?
  - Dziś wieczorem? Mowy nie ma. Pan zwariował, przecież już się ściemnia.
  - Wiem - Stone zaczął opowiadać, że przeszedł przez trudne tygodnie i czuje ogromną potrzebę wypłynięcia na jezioro, chociażby na krótko. Sto dolarów za godzinę nie będzie złą zapłatą?
- Z oporami i niechętnie właściciel zaprowadził Stone'a na molo. Hawk okazał się motorówką starą i w średnim stanie, ale zdatną do użytku. Stone upewnił się, czy w jej wyposażeniu znajduje się tratwa ratunkowa i kamizelka.
- Nie lubię wypożyczać wieczorem - właściciel powiedział zaczepnym głosem.
  - Jak rozumiem, już to uzgodniliśmy.
  - Ja pana nie znam, a motorówka należy do mojego przyjaciela. Odpowiadam za to, żeby jej nie skradziono.
  - Przecież są ubezpieczone?
  - Muszę dostać depozyt.
- Stone wyjął z portfela banknot studolarowy.

- OK?
- OK.
- Czy bak pełny?

- Jakies trzy czwarte, sądzę.

Stone odkręcił korek wlewu i zajrzał do środka.

- Hej, ostrożnie z niedopałkiem, chłopie. Mieszanka jest łatwopalna.

- Przepraszam - Stone wyrzucił do wody do połowy wypalonego papierosa. - Tu jest dość mieszanki na to, żeby dopłynąć do Kanady i wrócić - zażartował. Zdjął z haka stalową linkę, jaką motorówka była przytwierdzona do mola, i wszedł na pokład. Przycisnął starter. Motor natychmiast ożył. Łódź drżała teraz pod jego stopami. Ubrał kamizelkę ratunkową.

- Wracam za godzinkę - krzyknął do właściciela i zapalił kolejnego papierosa.

Rozpędził łódź do maksymalnej szybkości. Skakała na falach, zatoczył kilka wielkich kół, odczuwając przyjemność z jazdy. W ciągu kilku minut znalazł się poza zasięgiem wzroku kogoś, kto mógłby go obserwować z brzegu. Przełożył ster na prawą burtę i płynął równoległe do brzegu, aż znalazł się naprzeciw ciemnej plamy lasu. Tu wyłączył silnik. Od brzegu dzieliło go mniej więcej sto pięćdziesiąt metrów. Cisza stała się teraz bez mała namacalna. Gdzieś z oddali dobiegało rechotanie kilku żab. Zauważył, że woda była tu raczej głęboka i poruszały ją dość silne prądy. Z brzegu musiał być niewidoczny. Rzucił na wodę tratwę ratunkową i przytrzymał ją na cienkiej linie. Do tratwy wrzucił wiosło. Potem z torby wyjął rolkę papieru toaletowego i zapalki. Odkręcił wlot do baku i zaczął do środka wpychać rozwijany papier. Resztę pozostawił w otworze wlotu. Wyjął z paczki papierosa i wetknął w papier tak, że sterczał jak pokazujący w niebo palec. Potarł zapalnik, która zapłonęła, i rozpalił od niej papierosa.

Przesiadanie się na tratwę okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Zamoczył się cały w zimnej wodzie jeziora. Ramię, w które był ranny, bolało tak, że zaciskał zęby, żeby nie krzyknąć. Gdy znalazł się już na tratwie, zaczął wiosłować w kierunku brzegu. Z początku szło mu niezbyt składowo i omalże ponownie nie znalazł się w wodzie. Szybko jednak opanował technikę wiosłowania i oddalił się od motorówki. Wiosłował głównie zdrową, lewą ręką. Po kilku minutach usłyszał tarcie dna o piasek. Był u brzegu.

Wydostał się z tratwy, drżąc z zimna w mokrym ubraniu. Otworzył wentyl tratwy i wypuścił powietrze. Jeśli dobrze obliczył na mapie, miał przed sobą piętnaście minut marszu, co najprawdopodobniej wystarczy, by się porządnie zaziębił. W prawym ramieniu czuł bolesne pulsowanie.

W tym momencie nastąpił wybuch, niezbyt głośny huk i jasna błyskawica rozświetliła niebo. Odwrócił głowę. Motorówka przemieniła się w kulę ognia, oświetlając ciemną powierzchnię wody jasnoczerwonym światłem.

Ruszył przed siebie. Z pewnym trudem brnął przez las, niosąc zwiniętą tratwę i wiosło. Próbował biec, ale i to go nie rozgrzewało. Trzął się coraz mocniej, bolało go ramię i głowa.

Wszedł z lasu i natychmiast zobaczył białe audi Pauli. Stało na niewielkim parkingu przy autostradzie. W środku paliło się światło, a Paula czytała. Biegł, by jak najszybciej znaleźć się w ciepłe wozu. Otworzył drzwi, a Paula popatrzyła na niego, nie dowierzając własnym oczom.

- Muszę coś wrzucić do kufra.

- Co, do diabła...

“Właściwie przestałem już egzystować” - pomyślał, ale nie powiedział ani słowa.

Z okna gabinetu dyrektora na siódmym piętrze biurowca CIA roztaczał się wspaniały widok. Kilometrami ciągnęły się pokryte lasami faliste wzgórza Wirginii. "Przepięknie" - pomyślał Roger Bayliss. Widok zakłócało jedynie malutkie, plastikowe urządzenie przypominające krążek hokejowy. Takie urządzenia były przytwierdzone do wielu szyb w gmachu CIA. Emitowały one ultrawysokie dźwięki dla uniemożliwienia podsłuchu przy pomocy laserów.

Dyrektor Templeton siedział za swoim wielkim nowoczesnym biurkiem o blacie z białego marmuru. Roger Bayliss nerwowo spacerował przy oknie. Naprzeciw biurka Templetona usiadł wicedyrektor CIA Ronald Sanders. Obok niego zajął miejsce psychiatra Agencji, sześćdziesięciodwuletni mężczyzna nazwiskiem Marvin Kittelson. Ten ostatni wiedział o Charliem Stone'em absolutnie wszystko z wyjątkiem tego, dlaczego go poszukiwano. Doktor był niskim, żylastym człowiekiem o pomarszczonej twarzy. Odznaczał się gburowatym, czasami wręcz ordynarnym sposobem zachowania, ale czasami w obecności dyrektora łagodniał. Niegdyś oficer marynarki, studia psychiatryczne ukończył w kalifornijskim Uniwersytecie Berkeley, a sławę doskonałego fachowca zdobył w Agencji jako szef Wydziału Badań Naukowych Zachowania Człowieka, który działał w Pionie Usług Technicznych. Dokonywał ekspertyz z zakresu oceny osobowości, w czym się wyspecjalizował. W okresach kryzysu Templeton... i prezydent zwracali się do Kittelona z prośbą o dokonanie oceny osobowości różnych przywódców, od Gorbaczowa po Castro, Kadafiego czy Husejna. W Agencji Kittelson miał opinię wręcz geniusza w swojej specjalności.

- Nasza dotychczasowa strategia okazała się tragicznie zawodna - powiedział Templeton. - Teraz jest to oczywiste i jasne, że trzeba go było złapać natychmiast, a nie czekać, ażeby nas zaprowadził do innych. - Słuchacze potaknęli głowami, a Templeton kontynuował. - Teraz zgubiliśmy ślad. Twój pomysł z porwaniem go był oczywiście poroniony - ostatnie zdanie było skierowane do Baylissa.

Ten z miną słusznie zganionego odpowiedział:

- On jest o wiele zwinniejszy i mądrzejszy niż początkowo zakładaliśmy.

- Ten Stone to trudny facet - fuknął Templeton. - Jakiś pieprzony wariat. Zamiast się poddać, rzuca się jak szalony - gniewnie potrząsnął głową. - Nie mogę go zrozumieć.

- Ted, pamiętasz, jak długo wymykał się nam Edwin Wilson? - wtrącił Sanders.

Mówił o sprawie legendarnej już w CIA. Wilson był agentem CIA, który zdradził, był renegatem, szpiegiem i nielegalnym dostawcą broni dla Kadafiego. Przez cztery lata udawało mu się uciekać przed pościgiem CIA.

- Ale Stone to przeklęty amator - wybuchnął dyrektor. - Nic mnie nie interesuje to, że był doskonały w wykonywaniu analiz. Nie ma przeszkolenia agenta operacyjnego!

- Tak, jest amatorem - zgodził się Sanders - jest sam i stoi wobec przeważających sił.

Ma jednak wiedzę, dysponuje środkami, jest silny jak muł, a wreszcie - zdesperowany.

W przeciwieństwie do Templetona i Sandersa psychiatra nic nie wiedział o podjętej przez Baylissa próbie pochycenia Stone'a w pułapkę. Był jednak wystarczająco doświadczony, żeby nie wkraczać w sprawy, które nie powinny były go obchodzić. Słuchał i uśmiechał się naturalnie.

- Jego nazwisko jest teraz wprowadzone do komputerów wszystkich krajowych linii lotniczych i bez mała wszystkich zagranicznych - dyrektor był wyraźnie rozdrażniony. - Jeśli gdziekolwiek w całym świecie zachodnim to nazwisko pojawi się na komputerze, mamy faceta w ciągu kilkunastu minut. Figuruje on również w systemie TECS - dyrektor mówił o systemie komputerowym, którym posługiwała się straż graniczna.

Templeton zwrócił się teraz do Kittelona:

- Marwin, a co ty możesz nam powiedzieć? Ten człowiek wymykał się nie tylko naszym, ale również i Rosjanom. Jak mogło do tego dojść?

- W bardzo prosty sposób, panie dyrektorze - Kittelson z wielkiej koperty wyjął kilka kartek papieru wypełnionych notatkami. - Pozwólcie, panowie, że coś wam powiem. Wy, ludzie od komputerów, programów i skomplikowanych urządzeń technicznych zapominacie o jednym...

- Niby o czym? - zapytał Templeton z ponurą miną.

- O człowieku. Przejrzałem wszystko, co ten facet napisał, każdą jego analizę dla Fundacji Parnassus i dla mnie jest jasne, że ten człowiek ma umysł szachisty. Znakomity, precyzyjny umysł...

- O tym my wiemy - przerwał Sanders. - To jeszcze niczego nie wyjaśnia...

- Za tym człowiekiem podążają wasi profesjonaliści - nie zwracając uwagi kontynuował Kittelson. - Ale właśnie dlatego, że on nie jest zawodowcem, nie przestrzega zasad profesjonalnych. Nie zachowuje się zgodnie z konwencjonalnymi przewidywaniami. W przeciwieństwie jednak do większości amatorów jest człowiekiem upartym i to, jak sami mówicie, niezwykle zawziętym. Można powiedzieć, że jest to człowiek bezwzględny. Bayliss przytaknął głową, a Kittelson kontynuował:

- Sporządziłem ocenę sylwetki tego człowieka i wszystko, łącznie z jego zachowaniem i z przeszłością, wskazuje na to, że stał się on krańcowo niebezpieczny. Ronald Sanders, w przeszłości gracz w drużynie futbolowej Notre Dame, swoją dezaprobatę wyraził głośnym westchnieniem.

- Marwin... - usiłował przerwać dyrektor, ale Kittelson mówił dalej:

- Sugeruję rzecz następującą. Jest to typ samotnika z wyraźnymi skłonnościami do perfekcjonizmu i z odrazą do uzalania się nad samym sobą. Jest logiczne, że jego mechanizm obronny skłania go do walki z przeciwnościami, w jakich się znalazł, i w tej walce rozładowuje się.

- To znaczy? - rzucił dyrektor.

- Uważam, że u Stone'a nastąpiła patologiczna reakcja gniewu. To całkiem częste zjawisko wśród personelu tajnych służb. To zawodowe ryzyko.

- Być może - powiedział dyrektor.

- Z tego, co mówisz, wynika - wtrącił Sanders - że z tym facetem jeszcze będą spore kłopoty.

- Człowiek ten stał się nieobliczalny, a przez to niebezpieczny - w głosie Kittelsona brzmiała irytacja. - Zamiast poddawać się frustracji, on planuje, jak się zrewanżować. Być może ma trudności w odróżnianiu rzeczywistości od fantazji i odpowiednio do tego wykorzystuje do walki środki, jakie ma do dyspozycji. Dopiero przełamując przyczyny gniewu, mógłby zacząć zastanawiać się nad swoim smutkiem. Gdybym miał sporządzić wzorcowy schemat motywów skłaniających do zabijania, nie szukałbym niczego innego. Jeden z trzech telefonów stojących na biurku Templetona zadzwonił. Dyrektor podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę, chrząknął i odłożył słuchawkę.

- Marwin - zwrócił się do psychiatry - masz rację. Stone nie kontroluje już swojego postępowania.

- O czym pan właściwie mówi? - Bayliss domagał się wyjaśnień.

- Właśnie znaleźli trupa jednego z naszych ludzi. W Chicago, w rejonie Rogers Park. Bayliss aż podskoczył. Natychmiast dotarło do niego, co się wydarzyło.

- Akta, które chciał dostać Armitage!

Zrozumiał, że Stone polecał do Chicago, żeby złożyć wizytę emerytowanemu agentowi FBI.

- Roger - mówił rozkazującym głosem Templeton - skontaktuj się z Malarekiem.

Musimy zmobilizować maksimum sił. Stone jest gdzieś w pobliżu - wstał z krzesła, popatrzył na obecnych i cicho wyszeptał: - Sądzę, że trafiliśmy wreszcie na świeży ślad.

### 43. Toronto

Paula włączyła ogrzewanie na maksimum i Stone powoli rozgrzewał się. Zawinał się w koc i zasnął. Jechali autostradą nr 196 do Grand Rapids, tam wjechali na 96. i przecięli Michigan. Okrążyli Lansing i wjechali do Detroit, gdzie Paula na chwilę zaparkowała przed Ramada Inn, by napić się kawy. Dochodziła północ, gdy zajechali na przejście graniczne Windsor w Ontario.

- Obudź się, Charlie - powiedziała Paula. - Czas, ażebyś się przeobraził w Patricka Bartletta.

Przed wyjazdem od jednego ze swoich sąsiadów pożyczyła kartę kredytową i świadectwo urodzenia, co wystarczało do przekroczenia granicy Kanady. Stone nie mógł używać własnych dokumentów, a fałszywe przedstawiał tylko wtedy, gdy było to niezbędne. Kontrola była szybka i powierzchowna. Urzędnik spojrzął na dokumenty Pauli i Stone'a oraz zapytał o cel podróży.

- Wizyta u mojej matki - wyjaśniła Paula.

I to było wszystko. Byli już po drugiej stronie granicy.

- Czy naprawdę sądzisz, że mają twoje nazwisko w komputerach? - zapytała Paula, kiedy już bezpiecznie jechali autostradą nr 401.

- Tak - odpowiedział Stone dość słabym głosem. - Jestem niemal pewien, że obserwują wszelkie przejścia graniczne.

Nie miał wątpliwości, że w ciągu najbliższych kilku godzin policja w Haskell otrzyma doniesienie o jego "śmierci". Właściciel wypożyczalni łodzi najprawdopodobniej zapamięta nazwisko Charlie Stone, przede wszystkim zapamięta to, jak ostrzegał faceta, by nie palił, kiedy coś majstruje przy baku z mieszanką. Będzie go również pamiętał właściciel hotelu. Policja przeprowadzi krótkie śledztwo i sprawę uzna zapewne za zamkniętą. Czy jednak w śmierć tę uwierzą jego prześladowcy? Zapewne nie są to ludzie łatwowierni. W każdym razie przypuszczał, że będzie miał choć kilka dni spokojniejszych. W mniej więcej godzinę po przekroczeniu granicy Paula odezwała się:

- Charlie...

- Tak?

- Słuchaj, chciałam ci coś powiedzieć. O tym... o tym, jak się kochaliśmy - była zmieszana, mówiła powoli, z rozmysłem. - Wiem, że nie powinniśmy byli tego robić.

Wzruszył ramionami. Minęła dłuższa chwila, po czym Paula kontynuowała:

- Chciałam ci tylko powiedzieć jedno. Już od co najmniej roku nikogo nie miałam. Stone ponownie wzruszył ramionami.

- Nie jest mi łatwo o tym mówić. Chyba rozumiesz?

- Oczywiście, że rozumiem - starał się użyć możliwie najłagodniejszego tonu.

Ponownie chwila ciszy i Paula mówiła dalej:

- Opowiadałam ci, jak przyciskałam tego faceta, który zgwałcił dziewczynkę. Facet był oczywiście winny. Sądzę, że każdy na moim miejscu byłby wściekły, w szczególności kobieta. Na dodatek, Charlie, ja sama zostałam w zeszłym roku zaatakowana.

- Co znaczy zaatakowana?

- No, do niczego nie doszło. Dzięki Bogu, ale niewiele brakowało. Wracałam późno z pracy i ten zasrany rejon... - zamilkła, by po chwili ponownie podjąć temat. - Facet został spłoszony przez jakichś przechodniów.

- Paulo...

- Daj mi dokończyć. Po tym wypadku brałam lekcje samoobrony, żeby czuć się bezpieczniej, ale to była prostsza część problemu. Bardziej zawiała, to... rozumiesz... moje nastawienie do seksu.

- Rozumiem.

- Nie, słuchaj. Chciałam powiedzieć... - nie dokończyła myśli, ale Stone zrozumiał zaskoczony delikatnością Pauli.

Dojechali do Toronto o świcie. Była piąta rano, sobota. Przyjechali w doskonałym czasie. Paula tylko dwa razy stawiała, by napić się kawy.

Matka Pauli zajmowała wielki dom wzniesiony z cegły w dzielnicy Rosedale. Spała, ale wiedziała, że przyjadą, i klucz czekał na nich pod wycieraczką.

- Moja sypialnia jest po przeciwnej stronie domu, daleko od pokoju mamy - szeptała Paula, kiedy wchodzili do domu. - Nikt nam nie przeszkodzi.

- W tym, ażeby się przespać - dodał Stone.

Zasnęli niemal natychmiast w wielkim, wygodnym łóżku Pauli. Obudzili się późnym rankiem i kochali. Potem wzięli prysznic i zeszli do kuchni, gdzie Paula ucałowała matkę. Stone przywitał się, po czym żarłocznie zjedli ogromne śniadanie przygotowane przez Eleonorę Singer.

Stone pożyczył potem samochód Pauli i pojechał do śródmieścia, żeby zrobić zakupy w Eaton Centre. Po kilku godzinach wrócił całkowicie przeobrażony. Paula aż jęknęła na jego widok.

- Coś ty z sobą zrobił? Co z twoimi włosami?

- Nie podobam ci się? - Stone był u fryzjera i obciął włosy na krótkiego jeża. Na nosie miał okulary w metalowej oprawce i wyglądał jak ktoś zupełnie inny. Dla dopełnienia tej zmiany miał na sobie granatową koszulę i podobne spodnie. Tak zazwyczaj ubierają się idący do pracy robotnicy.

- Wyglądasz na odźwiernego. Jak zdeklasowany odźwierny.

- Wszystko lepsze od wizji faceta uciekającego na złamanie karku. Chociaż muszę przyznać, że nie robię na ludziach dobrego wrażenia. Wracając przejeżdżałem obok parkingu, na którym zebrało się kilku punków i jeden z nich na mój widok wrzasnął: Ty, niech żyją krótkowłosi!

- Przypuszczam, że masz jakiś paszport?

- Oczywiście.

- A co z fotografią? Czy odpowiada twojej twarzy?

- Urzędnicy paszportowi szukają zawsze podobieństwa. Taki patrzy na mnie i na zdjęcie i natychmiast wie, że to ta sama osoba, tyle że obcięła włosy i nosi okulary. Ludzie ustawicznie zmieniają okulary i fryzury. Taki urzędnik szuka potwierdzenia, że to ta sama twarz, a przecież jest ta sama. Jeśli jednak szukają Charliego Stone'a, to nie mają tu mojego nazwiska, a opis nie zdaje im się na wiele. Wyglądam jak setki tysięcy facetów w moim wieku.

Późnym popołudniem Stone zarezerwował w British Airways miejsce do Londynu.

Odrzucił proponowany mu lot okrężny, z lądowaniem w Stanach. Lepiej było unikać każdego amerykańskiego lotniska, gdzie jego opis i zdjęcie wprowadzono zapewne do programów komputerów. Z Londynu mógł jechać do Paryża promem, nie pozostawiając za sobą żadnego śladu.

Przed wyjazdem na lotnisko wziął Paulę na bok i oddał jej pistolet Llama zabrany człowiekowi, którego zabił w Chicago. Paulę zamurowało, jakby nigdy przedtem nie widziała pistoletu. Gwałtownie potrząsała głową.

- Nigdy, nigdy tego nawet nie dotknę. Nie mam pojęcia, jak tego użyć.

- Proszę, weź to - przekonywał. - Będę spokojniejszy wiedząc, że masz przy sobie broń. - Po kilku minutach przekonywania Paula niechętnie zgodziła się.

Gdy przyjechali na lotnisko, Stone zatrzymał się przy kiosku, by kupić jakieś gazety i magazyny na podróż. Zaszokowała go informacja zamieszczona na czołówkach gazet. Było to doniesienie AP z Moskwy o kolejnym ataku terrorystycznym w centrum miasta, tym razem w

Teatrze Wielkim. Stone kupił gazetę i czytał wstrząśnięty.

Czy to miał być już ten przewrót, przed którym przestrzegał Jeź? Czy ta seria zamachów bombowych nie była upozorowana? Czy poprzedzała rzeczywisty frontalny atak? Sprawdzał godzinę, znalazłszy w pobliżu budkę telefoniczną przy pomocy telefonistki podjął próbę połączenia się z Moskwą. Dzwonił do Charlotte. W słuchawce rozległy się jakieś odległe trzaski, mechaniczne dźwięki wywołujące echo, a wreszcie regularny sygnał dzwoniącego telefonu. W Moskwie była pierwsza w nocy, za późno na telefon, ale nie wiedział, czy i kiedy będzie miał następną okazję. Chciał wiedzieć, czy coś znalazła, jeśli rzeczywiście szukała. Po dłuższym czasie usłyszał niewyraźnie głos Charlotte. Poczł bicie serca w piersi.

- To ja - powiedział.

Jego głos przenoszony elektronicznie powodował metaliczne echo. Nie wolno mu było wymienić swojego nazwiska. Wiedział, że wszystkie rozmowy telefoniczne zagranicznych korespondentów w Moskwie są podsłuchiwane. Co do tego nie było wątpliwości. Długa przerwa. Potem głos Charlotte, zaspany i nieco ochryply, pełen seksu, podniecający:

- O Boże. Skąd dzwonisz?

- Jestem... jestem bezpieczny. Potrzebuję twojej pomocy.

Znowu długa, bardzo długa przerwa. Cała wieczność.

Czy zgodzi się jeszcze coś dla niego zrobić wiedząc, że znalazł się w bardzo trudnej sytuacji? Jeśli ktokolwiek w ogóle mógł to zrobić, to tylko Charlotte, zagraniczny korespondent o najlepszych w Moskwie kontaktach. Ile jednak można powiedzieć przez telefon? Trzeba mówić ogólnikami. Dla kogoś, kto podsłuchuje, musi to brzmieć naturalnie, ale dla Charlotte ma mieć wyraźne znaczenie.

- Słuchaj... - zaczęła mówić, ale jej przerwał. Nie było czasu. Zacerpnął powietrza i zaczął wyrzucać z siebie chaotyczne, dziwacznie akcentowane wiązki słów:

- Mam do ciebie pytanie. Co rekomendowałabyś amerykańskiemu turyście.

Mauzoleum Lenina, Teatr Wielki czy też nową, prześliczną stację metra Prospekt Mira? Czy może wszystkie trzy? Wiem, że architektonicznie są podniecające. Czy mają coś wspólnego? Wszystkie przykuwają ogromnie wiele uwagi, czyż nie?

Leżąca w łóżku Charlotte, przyciskając do ucha słuchawkę telefoniczną, patrzyła na ciemny sufit. Co usiłował jej powiedzieć? Zastanawiała się, gdzie był w tej chwili? Czyż nie wiedział, na co się naraża, dzwoniąc do niej? Czyż nie rozumiał, że rozmowa jest podsłuchiwana i nagrywana, że naraża ich oboje? Musi natychmiast przerwać rozmowę. Poczł gorące łzy ciekące jej po policzku, a serce zaczęło bić szybciej. Odłożyła słuchawkę na widelki.

Czekał na odpowiedź, nie potrafił się domyślić, co mogłaby powiedzieć. Doznał wstrząsu, kiedy zrozumiał, że odłożyła słuchawkę. Stał nadal w budce, rozglądał się oszołomiony po hali dworca lotniczego. Człł się urażony, rozdrażniony, nie mógł uwierzyć w to, co zaszł. Próbował, ale okazało się to bezcelowe... Zaczł kłąć w duchu.

Paula odprowadziła Charliego do stanowiska British Airways, gdzie wyjął portfel i zapłacił za bilet gotówką. Jedyne wolne miejsce było w pierwszej klasie. Pieniądze nie stanowiły problemu, ale Stone wolałby zgubić się w tłumie pasażerów klasy turystycznej.

- Poproszę o pański paszport - odezwała się urzędniczka, rudowłosa dziewczyna około dwudziestu pięciu lat.

Dał jej paszport na nazwisko Robert Gill. Dziewczyna obejrzała go uważnie, potem spojrzła na niego.

- Czy może pan chwileczkę poczekać? - zapytała.

Skinął głową, uśmiechając się przyjaźnie. Zauważył spojrzenie Pauli wyrażające obawę. Nieostrzegalnie wzruszył ramionami, dając jej sygnał, że nie ma pojęcia, o co

chodzi. Urzędniczka wróciła w towarzystwie mężczyzny w mundurze British Airways, który podszedł i poważnym tonem zapytał:

- Panie Gill, czy ma pan jakiś inny dowód?

Stone poczuł przyspieszone bicie serca.

- Oczywiście - gwałtownie starał się domyślić, o co chodzi. - Jakież problemy?

- Nie ma żadnych.

Stone wręczył mężczyźnie prawo jazdy na nazwisko Robert Gill. Ten obejrzał je i podniósł głowę.

- W porządku. Pan wybaczy, ale w każdym wypadku, kiedy pasażer płaci gotówką, musimy potwierdzić dokumenty. To zasada naszych linii.

- Nie ma problemu - Stone mówił z fałszywą jowialnością. - Na waszym miejscu robiłbym to samo.

Charlie i Paula poszli w kierunku bramki wejściowej. Stone zobaczył urządzenie do wykrywania metalu, co było obecnie standardowym wyposażeniem wszystkich już właściwie lotnisk, i poczuł ulgę, że zdecydował się na pozostawienie rewolweru. Objął Paulę i zobaczył, że miała łzy w oczach.

- Hej... Nie umiem ci powiedzieć, jak jestem wdzięczny za to, co dla mnie zrobiłaś.

Muszę teraz mieć pewność, że nie będziesz się próbowała ze mną skontaktować - mówił. -

Muszę mieć pewność, że z tobą wszystko OK.

- A jak ja mam się dowiedzieć, że z tobą jest OK?

- Dam ci jakoś znać o sobie, nie pod własnym nazwiskiem, ale będziesz wiedziała, że to ja.

- Jak?

- Podpiszę Haskell.

- Co to znaczy Haskell?

#### 44. Haskell, Michigan

Kawiarnia przy Elm Street w Haskell, stan Michigan, słynie z doskonałych pączków wypiekanych na maśle. Podawana tu kawa jest już mniej słynna, ale i na nią nikt się nie skarżył właścicielce zakładu, pani Millie Okun.

Było kilka minut po dziesiątej rano. Na talerzu stojącym przed Randallem

Jergensenem, szefem policji w Haskell, leżał jeszcze nie dokończony pączek. Jergensen zjadł już trzy, a obecnie był zatopiony w lekturze opisu powiatowych rozgrywek siatkarskich zamieszczonego w dzienniku "Haskell Mercury". Był potężnym, grubym mężczyzną o okrągłej twarzy i podbródkiem zacierającym granicę pomiędzy twarzą a obfitymi fałdami grubej szyi. Miał czterdzieści siedem lat, a od trzech był rozwiedziony. Każdego dnia myślał o swojej byłej żonie Wendy, ale natychmiast chwalił Boga za to, że jest obecnie sam.

- Millie - powiedział spoza rozłożonej płachty gazety - nie dołałabyś kawy?

- Już się robi, Randy - Millie Okun zdjęła dzbanek z kawą z maszynki i nalała ją do kubka stojącego przed szefem. W tym momencie walkie-talkie Jergensena ożyło.

- Gówno - mruknął, patrząc na pełny kubek świeżej kawy.

Zanim przybył na posterunek, sprawa była już bez mała wyjaśniona. Zastępca szefa, Will Kuntz, odebrał telefon od Freddiego Cappa, który informował, że jedna z jego motorówek wybuchła na jeziorze. Motorówkę wypożyczył jeden wariat. Informację potwierdziła Straż Graniczna. Wyglądało to na idiotyczny wypadek. Freddy doskonale pamiętał, że facet, który wziął motorówkę na godzinę, był palaczem. Najprawdopodobniej sam siebie wysadził w powietrze. Przeklęty turysta z Chicago. Wykazując objawy całkowitego znudzenia, szef Jergensen zatelefonował do Freddiego Cappa. Freddie z prawa



jazdy spisał dane faceta. Potem Jergensen pojechał nad jezioro w pobliże miejsca wypadku. Widać było pływający na wodzie wrak składający się z nadpalonego drewna i kawałków pogiętego metalu. Ogień wygasł, zanim dojechała straż pożarna. Facet, który nazywał się Charlie Stone, niewątpliwie spowodował pożar mieszanki w baku. "I dobrze mu tak" - pomyślał Jergensen, spluwając do jeziora.

Około południa Jergensen porozmawiał z Ruth i Henry Cowellami z "Haskell Inn" i dostał od nich odbitkę karty kredytowej Charlesa Stone'a. Miał już dość materiałów, żeby wykonać kolejny krok w ustalonej procedurze. Była to ta część pracy, której najbardziej nienawidził. Podniósł słuchawkę, ażeby zadzwonić do Bostonu, ale natychmiast ją odłożył. Oczywiście, nie skończył jeszcze wszystkich urzędowych czynności. Przypomniawszy sobie o tym z uczuciem ulgi. Rozmowę z rodziną będzie można jeszcze odłożyć.

- Willy - zawołał swojego zastępcę. - Wprowadź dane faceta do NCIC.

W Narodowym Centrum Informacji Kryminalnej znajdowały się informacje na temat wszystkich poszukiwanych przestępców. Do tej pory nigdy jeszcze nie otrzymali z Centrum jakiegokolwiek odpowiedzi, niemniej regulamin zobowiązywał ich do podania danych.

Jergensen rozparł się w swoim fotelu, popijał lemoniadę i zabrał się za rozwiązywanie krzyżówki. Musiał wynaleźć słowo na trzy litery, na określenie "orientalnej szarfy". Gdy zastanawiał się nad tym problemem, usłyszał wołanie zastępcy.

- Co takiego? - zapytał zniecierpliwiony.

- Randy, faceta poszukuje FBI! Poszukuje go kupa innych agencji federalnych!

- Doskonale, właśnie my go znaleźliśmy. Rozłożony na jakichś dwadzieścia tysięcy kawałków spoczywa na dnie jeziora. Oczywiście jest, że chciał uciec do Kanady. Bał się, że go schwytają na przejściu granicznym. I zamiast tego wysadził się w powietrze - chrząknął. - Prześlij im informację - polecił.

Powrócił do krzyżówki i przypomniał sobie, że orientalna szarfa nazywa się obi.

Ołówkiem wpisał litery w odpowiednie kratki.

Jest coś symbolicznego w fakcie, że masy pospólstwa oglądają swoich przywódców stojących na trybunie Mauzoleum Lenina jedynie 7 listopada, 1 maja lub przy innych specjalnych okazjach. Wewnątrz, jak w grobowcu, w piramidzie, w komnacie wykonanej z czerwono-czarnego, błyszczącego granitu przywiezionego z Winnicy na Ukrainie leży, wyglądający jakby żył, martwy człowiek.

Louis Fisher "Życie Lenina" (1964)

Część trzecia

Imperium śmierci

## 45. Moskwa

Ulicą 25 Października przemknęła z dużą szybkością czarna czajka eskortowana przez dwie czarne wołgi. W limuzynie siedział pierwszy zastępca szefa GRU, a obok czołowy ekspert GRU do spraw materiałów wybuchowych z elitarnego oddziału Spicnaz. Mijając plac Czerwony widzieli z daleka długą kolejkę ludzi czekających na wejście do grobowca Lenina. Przy punkcie kontroli na Spaskiej Bramie limuzyna przystanąła jedynie na chwilę i minawszy żelazne wrota skierowała się do części Kremla zamkniętej dla turystów. Zatrzymała się przed wejściem do budynku Rady Ministrów, a oficer ochrony siedzący obok kierowcy wyskoczył, by otworzyć drzwi przed siedzącymi na tylnym siedzeniu. Generał o postawie arystokraty i siwych włosach oraz towarzyszący mu ekspert ze Spicnaz weszli do siedziby rządu. Minęli szereg posterunków Gwardii Kremłowskiej w niebieskich mundurach. Wartownicy prosili o pokazanie dokumentów i rzuciwszy na nie okiem salutowali. Generał szedł tak szybko, że młody ekspert z trudnością nadążał za nim. Szli w kierunku pomalowanej na zielono windy korytarzem używanym najwyraźniej jedynie w celach reprezentacyjnych.

Winda miała zwykłą metalową podłogę i choć wyprodukowano ją zapewne przed kilkoma dziesiątkami lat, jej elektroniczna aparatura była najwyraźniej całkowicie nowoczesna. Opadała płynnie i bez wstrząsów. W środku kabiny widniał znak firmowy amerykańskiego przedsiębiorstwa produkującego windy "Otis". Otwierające się drzwi ukazały korytarz o ścianach w beżowym kolorze. Generał przeprowadził swojego młodego towarzysza przez kilka kolejnych punktów kontroli. Korytarz zwężał się i oczywiste było, że znajdowali się poniżej poziomu ulic. Korytarz oświetlały buczące jarzeniówki umieszczone na suficie. Po pięciu minutach marszu, w czasie którego nie zamienili ani słowa, doszli do innego wyjścia. Stało tu dwóch umundurowanych wartowników, którzy ponownie zażądali dokumentów. Rzucili na nie okiem i zsalutowali.

Po czarnych, wypolerowanych stopniach kamiennych zeszli teraz do podziemnej komnaty. Było tu ciemno i chłodno, a w powietrzu unosił się uchwytny zapach chloru, jaki wyczuwa się na basenach pływackich. Generał zobaczył kontakt i zapalił światło. Komnata była przestronna, o regularnych kształtach i najprawdopodobniej służyła jako zbrojownia. Pod ścianami stały skrzynie z karabinami i amunicją oraz z innymi rodzajami broni.

- No więc? - zaczął generał. - Przystudiowałeś plany i domagałeś się tego, by osobiście zapoznać się z warunkami. No więc? - powtórzył.

Nie dodał już, co było oczywiste, że wyprawa łączyła się z określoną dozą ryzyka, choć najprawdopodobniej uznana będzie za rutynową inspekcję przez szefa antyterrorystycznego pionu GRU i jednego z jego ekspertów. Młody człowiek obejrzał komnatę i szybko dokonywał wyliczeń.

- Dziesięć na dziesięć metrów szerokości na pięć metrów wysokości.

- Tak - powiedział generał.

- Pięćset metrów kubatury - jego głos echem odbijał się od ścian pomieszczenia. -

Licząc od powierzchni ziemi budynek ma 12,25 metra wysokości i jest długi na 24,5 metra. Do tego trzeba dodać pięć metrów wysokości tego pomieszczenia i dziesięć metrów pomieszczenia nad nami. Razem mamy 37,25 metra. Proszę mi powiedzieć, jakie jest zazwyczaj przeznaczenie tego pomieszczenia?

- To jest arsenał.

- Cała budowla jest granitowa, czy tak?

- Głównie z granitu, tak. Trochę labradorytu, nieco marmuru. To pomieszczenie i mury wewnętrzne zrobione są ze zbrojonego betonu.

- Wyobrażam sobie, że... że nasi zwierzchnicy biorą pod uwagę możliwość użycia ładunku atomowego. Oczywiście niewielkiego - ekspert mówił teraz szeptem, ale w podziemnej komnacie nawet szept rozbrzmiewał głośno.

- To zostało wykluczone.

- Dlaczego?

Generał się uśmiechnął:

- Istnieje wiele powodów. Materiały nuklearne są doskonale strzeżone. Zabranie z arsenału głowicy, nawet na rozkaz z samego szczytu, natychmiast zwróciłoby powszechną uwagę. Ścisła tajemnica operacji jest tu sprawą najwyższej wagi. Co więcej, niepotrzebna jest nam sytuacja, w której Armia Czerwona mogłaby nazbyt pospiesznie dojść do przekonania, że to dzieło Amerykanów, co mogłoby nas prowadzić do wymiany atomowych ciosów.

Młody człowiek przytakiwał przekonany o słuszności argumentacji.

- Jest jeszcze jeden bardzo poważny powód, dla którego nie można brać pod uwagę ładunku nuklearnego. Pamiętaj o wysokim poziomie radzieckiej gotowości obronnej.

- Nie rozumiem.

- Zbyt wiele czasu spędzasz w laboratoriach, a zbyt mało widzisz, co się naokoło ciebie dzieje. Ministerstwo Obrony już przed laty w niektórych miejscach na placu Czerwonym, w budynkach wokół, nawet pod ziemią, wreszcie na samochodach patrolujących umieściło urządzenia wykrywające neutrony i promieniowanie gamma. Ma to zapewnić wykrycie każdego ładunku nuklearnego. Ma ochronić Kreml przed ewentualnością przeszmyglowania do środka bomby nuklearnej. Amerykanie mają podobny system ochrony w Waszyngtonie. Tak więc broń nuklearna jest wykluczona. Poza tym nikt by nie uwierzył, że terroryści w tym kraju mogli mieć dostęp do tego rodzaju broni.

- Czy te straże będą tutaj również w dniu święta rewolucji?

- Oczywiście, jeszcze więcej.

- To wykluczyłbym również plastyczny materiał wybuchowy.

- Dlaczego?

- Materiały plastyczne mają znaczną siłę wybuchu, ale tu trzeba by ogromnych ilości dla wykonania zadania. Setki kilogramów. Kilka pak. Gdyby nie te straże, doradzałbym właśnie materiał plastyczny.

- Co więc radzisz?

Ekspert uśmiechnął się i po chwili powiedział:

- Bombę FAE, to skrót angielski od słów fuel-air-explosive.

- Wyjaśnij, o co chodzi.

- Bomba FAE to najbardziej nowoczesny i najbardziej wyrafinowany ładunek wybuchowy, jakim można w ogóle dysponować. Wymyślone to zostało przez Amerykanów niezbyt dawno, pod koniec wojny wietnamskiej. Jest to broń niebywalej mocy. Jedna bomba niszczy wielki budynek. Jeśli chodzi o wielkość, to nie ma porównania z innymi ładunkami. Całość wchodzi do niewielkiej torby. Potrzebny jest do tego niewielki bak z paliwem, mam na myśli propan, zapalnik, niewielka ilość plastyku i urządzenie odmierzające czas. Myślę o zwykłym zegarze typu digital.

- A po co to? Czyż nie prostsze byłoby spowodowanie wybuchu za pomocą nadajnika radiowego?

- Prostsze, ale nie w tych warunkach. Przy tak grubych murach, z jakimi mamy tu do czynienia, sygnał radiowy musiałby zostać nadany w paśmie UKF. Oznacza to, że gdyby ktoś podsłuchiwał na konwencjonalnych długościach fal, czego przy zastosowanych tu środkach bezpieczeństwa wykluczyć nie można, mógłby z powodzeniem zagłuszyć nasze sygnały. W takiej sytuacji lepiej nie używać urządzeń zdalnie sterowanych.

- Niech będzie, ale jak to zaprogramujemy? W jakim momencie dokładnie nastąpi wybuch?

- Zapalnik czasowy w odpowiednim momencie otworzy zbiornik i to pomieszczenie napełni się gazem. Sami wybierzcie najdogodniejszy czas. W chwilę potem eksploduje niewielki ładunek plastyku i wtedy nastąpi właściwa eksplozja gazu palnego zmieszanego z tlenem.
- Czy będzie dostatecznie potężna?
- Czy potężna? Panie generale, w promieniu stu metrów nikt nie przeżyje.
- Słuchaj uważnie. Tu nie może nic nawalić. Żadnych pomyłek, niedokładności. Kiedy uderzasz w króla, musisz zabić.

## 46. Paryż

Stone przebudził się wcześniej rano, oszołomiony różnicą czasu, daleką podróżą, obcym otoczeniem. W głowie czuł niemiłe pulsowanie i przez chwilę nie potrafił sobie uświadomić, gdzie jest. Usiadł na łóżku i przyzwyczajał oczy do nowego otoczenia. Znajdował się w eleganckim pokoju hotelowym. Ściany pokrywały szare tapety w pasy, przez otwarte drzwi widział łazienkę wykładaną zielonym marmurem weneckim, a za oknem otwierał się widok na wspaniałą katedrę Saint-Germain-des-Prés. “Jak dla zmarłego, to wcale miłe miejsce” - pomyślał z wisielczym humorem.

Do Paryża przybył wczoraj po południu. Zaraz po przylocie na Heathrow pod Londynem taksówką udał się do centrum miasta do ambasady francuskiej, gdzie otrzymał “ekspresową” wizę wjazdową do Francji. Wyjaśnił, że nastąpiły zmiany w planach jego służbowej podróży. Zmęczony i nieco spięty myślał o dostaniu się do Paryża samolotem, ale postanowił nie zmieniać decyzji podróży promem. Skorzystał więc z promu linii “Sealink” z Dover do Calais, co umożliwiło mu schowanie się w tłumie turystów.

Paryż znał bardzo powierzchownie. Był tu dwa razy, i to przed laty. Wtedy Paryż wydał mu się fascynujący, chciał to miasto zbadać, poznać, podbić. Obecnie był dla niego mile widzianym miejscem schronienia, czymś w rodzaju sanktuarium. Planował wprowadzenie się do jakiegoś małego, całkowicie nieznanego hotelu. Takie hoteliki należą do właścicieli zawsze chętnych do zarobienia kilku franków ekstra, a tym samym skłonnych do brania łapówek. Szukał niewielkiego, eleganckiego hotelu prowadzonego przez ludzi dyskretnych, gotowych do obrony tajemnic i spokoju swoich gości.

Wybrał nieduży, drogi hotel o nazwie “L’Hôtel” przy wąskiej rue des Beaux-Arts.

Pokój nr 46 był niewielki, jak w większości paryskich hoteli, ale umeblowany ze smakiem zapewniającym komfort. Mieszkał tu kiedyś Oscar Wilde, co nie mogło uchodzić za dobrą reklamę, i Maurice Chevalier, co było już lepszą rekomendacją.

Zameldował się pod nazwiskiem Jones i z zadowoleniem stwierdził, że recepcjonista nie zażądał od niego paszportu. Były czasy, kiedy paryskie hotele pod koniec każdego dnia podawały policji nazwiska i numery paszportów swoich gości. Szczęśliwie była to przeszłość. Raz, dwa razy do roku policja mogła przeprowadzać inspekcję, w czasie której przeglądano rejestr gości. Na co dzień jednak hotele nie podawały policji żadnych informacji. Mimo że we Francji dużo mówiło się na temat zwalczania terroryzmu, można było posługiwać się fałszywym nazwiskiem bez obawy, że będzie się złapanym. Jeśli “wypadek” na jeziorze Michigan okazałby się skuteczny, chociaż na kilka dni, był bezpieczny. W każdym razie miał taką nadzieję.

Stone zamówił śniadanie do pokoju - café au lait i croissanty. Jedząc zbierał myśli.

Miał niewiele czasu, a były dwie osoby, które musiał jak najszybciej znaleźć.

\*\*\*

W pierwszych latach po rewolucji rosyjskiej Paryż został zalany przez falę uchodźców z Rosji. Tworzyli oni w mieście swoje środowiska, organizacje społeczne, otwierali swoje restauracje, nocne kluby. W miarę jak emigracja wymierała, jej skupiska znikwały pozostawiając jedynie ulotne ślady rosyjskiej kultury.

Jeden z takich śladów znajduje się w Ósmej Dzielnicy, zaraz koło Champs-Elysées.

Mieszczą się tu obecnie znane sklepy jubilerskie i doskonale sklepy z czekoladami. Tu, przy rue Daru znajduje się cerkiew Aleksandra Newskiego - bizantyjska budowla pełna starych ikon, miejsce spotkań żyjących jeszcze w Paryżu Rosjan. Stone wszedł tu około południa. Cerkiew była pusta, a jedyną znajdującą się tu osobą była młoda dziewczyna siedząca za malutkim stolikiem, na którym wystawione były pocztówki.

Znał jedynie nazwisko Fiodor Dunajew. Nie było jednak wątpliwości co do tego, że ukrywał się on pod innym nazwiskiem, dobrze zakonspirowany i chroniony. Każdy, kto służył niegdyś w służbach specjalnych Stalina, a następnie zdezerterował, musiał żyć w ustawicznym strachu.

Stone wiedział o dwóch faktach dotyczących Dunajewa, które można było wykorzystać. Jeden, przekazany mu przez Warrena Pogue'a, dotyczył tego, że Dunajew miał towarzysza, człowieka o nazwisku Wyszyński. Fakt drugi był raczej strzępką informacji zapamiętanym przez Annę Zinojewą z relacji prasowych na temat dezercji Dunajewa. Był to drobny szczegół, łatwy do zapamiętania jedynie dlatego, że sam przez się był interesujący. Otóż Dunajew po przybyciu do Paryża znalazł schronienie dzięki organizacji opiekującej się emigrantami. Stone zapamiętał nawet nazwę tej organizacji, gdyż coś kiedyś czytał na jej temat. Organizacja została założona i była utrzymywana przez Rosyjski Kościół Ortodoksyjny w Paryżu. Dla Stone'a dziwaczny był fakt, że stary ateista z Czeki godzi się na przyjmowanie pomocy od organizacji religijnej. To były jednak paradoksy właściwe życiu Rosjan. Wystarczyło poskrobać komunistę, a z łatwością można było odnaleźć głęboko wierzącego rosyjskiego ortodoksa.

Młoda dziewczyna popatrzyła na przybysza i zapytała:

- Oui?

- Parlez-vous anglais?

- Yes - uśmiechnęła się miło.

Stone rozmawiał z nią przez chwilę o cerkwi. Przedstawił się jako amerykański turysta rosyjskiego pochodzenia. Twarz dziewczyny pojaśniała, ona również wywodziła się z rosyjskiej rodziny. Po angielsku mówiła z rosyjskim akcentem - niewątpliwie jej rodzice byli emigrantami - wstała zza stołu i z wyraźną dumą oprowadzała Stone'a po świątyni. Przez chwilę rozmawiali na temat Rosji, krewnych dziewczyny, aż wreszcie Stone wspomniał, że chciałby odnaleźć w Paryżu pewnego starego przyjaciela. Czy ona mogłaby mu w tym pomóc?

- Jak się nazywa?

Zawahał się przez moment, ale doszedł do wniosku, że nazwisko to nic tej dziewczynie nie powie.

- Fiodor Dunajew.

Potrząsnęła głową. Nigdy o takim nie słyszała.

- Zapytam ojca - powiedziała. - On zna większość rosyjskich emigrantów. A jeśli nawet nie zna, to zawsze będzie wiedział, kogo zapytać.

Wyszli z cerkwi i przeszli do niewielkiego sąsiedniego budynku, w którym znajdowało się cerkiewne biuro i sala spotkań. Stone czekał w niewielkim pokoju biurowym. Czy Dunajew jeszcze żył? A jeśli tak, to pod jakim nazwiskiem? Być może w ogóle słuch o nim zaginął.

Wróciła po kilku minutach, ale patrzyła na niego już jakoś inaczej. Na jej twarzy widać było napięcie.

- Jeśli pan tu poczeka - powiedziała - to być może ktoś z biura będzie mógł panu pomóc.

Stone wyczuł jakieś niebezpieczeństwo.

- A czy ten ktoś nie mógłby mi dać numeru swojego telefonu? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała nieco trwożliwie. - Jeśli pan tu jednak poczeka...

- Nie - przerwał jej. - Proszę słuchać uważnie. Pani przyjaciel ma prawo być podejrzliwy. Nie macie pojęcia, kim jestem. Proszę mi jednak wierzyć, że Dunajew z radością usłyszy coś o swoim dawnym przyjacielu. Zostawię pani coś, co można będzie przekazać Dunajewowi. Czy może to pani dla mnie zrobić?

- Tak sądzę... - powiedziała niepewnie.

- Doskonale - uznał, że tak będzie najlepiej. Pisząc mógł rzeczywiście uchodzić za Rosjanina. W rozmowie telefonicznej jego akcent zdradziłby go natychmiast. Poprosił o kartkę papieru i kopertę. Usiadł za małym biurkiem i po rosyjsku napisał kilka słów. "Spotkanie z panem jest dla mnie bardzo ważne. Wysłał mnie pański przyjaciel Wyszyński". Ryzykował, tym bardziej że nie wiedział, czy Osip Wyszyński jeszcze żyje. Liczył na to, że Dunajew po prostu z ciekawości będzie chciał się z nim zobaczyć, uznając, że powołanie się na nazwisko starego kolegi jest wystarczającą rekomendacją. Zakleił kopertę i wręczył dziewczynie.

- Proszę powiedzieć swojemu przyjacielowi, ażeby się pośpieszył.

Następne dwie godziny spędził w rosyjskiej restauracji znajdującej się po przeciwnej stronie ulicy. Zjadł spóźniony lunch, na który zamówił pierożki. Potem popijał kawę obserwując wejście do cerkwi. Kilka osób weszło i wyszło, niewątpliwie turyści. Nikt nie pozostał w środku dłużej. Nie było niebezpieczeństwa zasadzki. Gdy wrócił do cerkwi, dziewczyna wydawała się być nadal ostrożna.

- Odnaleźliśmy go. Powiedział, że chętnie się z panem spotka. Chciałby, żeby postąpił pan w taki sposób...

## Chicago

Paula Singer nie lubiła jeść lunchu w swoim pokoju biurowym wypełnionym metalowymi półkami przeznaczonymi na akta i standardowym, również metalowym biurkiem. Nie lubiła też chodzić do wypełnionych tłoczącymi się ludźmi małych, greckich restauracyjek, jakich było pełno w okolicach gmachu sądu. Każda z tych możliwości, w każdym razie z jej punktu widzenia, była równie niemiła, ale nikt nigdy jej nie obiecywał, że życie asystenta stanowego prokuratora będzie pasmem ekscytujących wydarzeń. Tak więc siedząc za swoim biurkiem i jedząc kanapkę z szynką i serem szwajcarskim wertowała gazety. Nie mogła przestać myśleć o Charliem Stonie, tak było od momentu, w którym zobaczyła go przed drzwiami swojego mieszkania. Zastanawiała się nad tym, gdzie był w tym momencie, czy jeszcze w Paryżu? Czy znalazł człowieka, którego poszukiwał? Czy było coś, co ona mogłaby zrobić?

Przerzucając gazety doszła do kolumny sportowej "Chicago Tribune" i jej oko wyловиło spośród informacji mały nekrolog. Coś ją zastanowiło i, choć przewróciła stronę, powróciła do kolumny sportowej. Teraz uzmysłowiła sobie, o kogo chodzi. Warren Pogue. Agent FBI, z którym Charlie rozmawiał tu w Chicago, człowiek, którego telefon i adres znalazła na prośbę Charliego. Czytając cicho wzdychała. "Ofiara została zidentyfikowana przez policję stanu Indiana jako mieszkaniec Chicago Warren Pogue, emerytowany agent FBI. Zginął, kiedy jego mały samolot wytracił szybkość..."

Spojrzała na datę. Warren Pogue zmarł w tym samym dniu, w którym Charlie z nim rozmawiał. Charlie miał rację. Mordowano ludzi! Następnym będzie Charlie. Tego była

pewna. Był następnym w kolejności, chyba że jej uda się mu pomóc.

Przez chwilę głęboko sfrustrowana siedziała bez ruchu, patrząc niewidzącymi oczami w przestrzeń. Zastanawiała się, co robić. Przypomniała sobie nazwisko kogoś bardzo wpływowego w Waszyngtonie, o kim wspominał Charlie - William Armitage. Nabierała pewności, że właśnie do niego należało zatelefonować. Charlie domagał się, żeby trzymała się od wszystkiego z daleka, ale jemu chodziło wyłącznie o jej bezpieczeństwo. "Potrafię bronić się znakomicie" - zaklęła w duchu.

Trzeba zatelefonować do Waszyngtonu. Wiedziała, że każdą rozmowę, jeśli trwa nazbyt długo, można zlokalizować. Są jednak sposoby na uniknięcie tego. Wyszła ze swojego pokoju i poszła do gabinetu szefa. Nie było go, zapewne wyszedł na lunch. Znakomicie, mogła się posłużyć jego telefonem.

Jeden ze znajdujących się tu aparatów zapewniał bezpieczną, nie podsłuchiwaną i niemożliwą do zlokalizowania rozmowę. Był to system Motorola STU-III SecTel. Szef niemal nigdy nie używał tej linii i przez całe tygodnie odczuwał wyrzuty sumienia, że wydano państwowe pieniądze na tego rodzaju, jego zdaniem, całkowicie zbędną inwestycję. Być może posłużenie się tą linią było przesadą, ale uważała, że wszelka ostrożność nie zawadzi. Łącząc się poprzez Motorolę zadzwoniła do Nowego Jorku do kolegi, który był pracownikiem w wielkiej firmie adwokackiej, a więc jednym z tych, którzy zarabiali co najmniej dwa razy tyle co ona.

- Kevin - powiedziała po przywitaniu się. - Musisz mi w czymś pomóc.

Kevin był uczynny i nie zadawał zbędnych pytań. Poprzez centralę telefoniczną ich firmy połączył ją z Waszyngtonem, z sekretariatem zastępcy sekretarza stanu Williama Armitage'a. Gdyby nawet ktoś mógł zlokalizować rozmowę, to ustaliby jedynie, że była prowadzona z siedziby wielkiej prawniczej firmy w Nowym Jorku. Czekala bębniąc nerwowo palcami o blat biurka. Zastanawiała się, czy uda jej się osobiście pomówić z Armitage'em i czy ten uwierzy w to, co miała do powiedzenia na temat śmierci starego agenta FBI z Chicago. Wreszcie zgłosiła się sekretarka, mówiąc:

- Biuro zastępcy sekretarza stanu.

Paula opowiedziała zmyśloną historię, mającą nakłonić sekretarkę do zaanonsowania ją Armitage'owi. W chwilę potem ogarnęła ją fala zimnego przerażenia.

- Pani niczego nie słyszała? - w głosie sekretarki brzmiało zatroskanie. - Przykro mi, ale pan Armitage zmarł przed kilkoma dniami.

Odłożyła słuchawkę i siedziała za biurkiem, masując sobie zdrętwiałe z przerażenia skronie. Poczula pieczenie oczu. Otworzyła torebkę i wyjęła coś, co Charlie dał jej przed samym odlotem. Była to mała plastikowa karta wielkości karty kredytowej. Nosila jeszcze ślady krwi. Karty tego rodzaju używa się do odbywania rozmów telefonicznych opłacanych przez tego, do kogo się dzwoni. Charlie zabrał ją facetowi, którego zabił w Chicago. Stone uważał, że telefonując na podany na karcie numer można bez trudności dotrzeć do tych, z którymi związany był śledzący go facet. Paula po chwili wahania postanowiła spróbować. Czując w ustach smak strachu, podniosła słuchawkę i zaczęła wykręcać numer.

#### 47. Moskwa

Siedziba głównego, I Zarządu KGB znajduje się na przedmieściach Moskwy w Jasieniewie, w nowym eleganckim gmachu, którego podobieństwo do siedziby CIA w Waszyngtonie, jak się twierdzi, nie jest sprawą przypadku. W gmachu mieszczą się biura i laboratoria Specjalnego Departamentu Śledczego. Laboratoria te są w praktyce najnowocześniejszym, najlepiej wyposażonym radzieckim instytutem medycyny sądowej. Gdziekolwiek na świecie miał miejsce wybuch bomby w jakikolwiek sposób interesujący

Związek Radziecki, tu przysyłano próbki i fragmenty do analizy.

Pracował tu starszy chemik sądowy Siergiej F. Abramow, zażywny, łysiejący pan w wieku czterdziestu dwóch lat, o idealnie okrągłej twarzy i pulchnych rękach z dołeczkami. Jego żoną była bibliotekarka z pobliskiego instytutu technicznego, z którą miał dwie córki. Dziś rano Abramow był w złym humorze. Jego ciekawość została zaostrożona przez informację, jaką uzyskał od reporterki amerykańskiej telewizji. Z dziennikarką tą spotykał się od czasu do czasu, zawsze w największej tajemnicy. Znała go pod fałszywym imieniem Siergiej, którym się jej kiedyś przedstawił. Charlotte Harper wyglądała na inteligentną kobietę. Chciała, żeby potwierdził pogłoski, z których wynikało, że fala zamachów bombowych, jaka ostatnio uderzyła w Moskwę, miała coś wspólnego ze Stanami Zjednoczonymi.

Nie można było tego wykluczyć. Dlaczego jednak nie przekonsultowano z nim wyników badań próbek pobranych z miejsc wybuchów?

Wszedł do laboratorium w złym nastroju i zniecierpliwiony. Zdjął płaszcz i powiesił na wbitym w ścianę haku. Sekretarka departamentu Dusia na jego widok zaśmiała się ochryple. Zawsze w jakiś nieokreślony sposób denerwowała go. Miała farbowane blond włosy i niemal zawsze drażniące, innego koloru odrosty, podwójny podbródek i nazbyt jaskrawo pomalowane oczy. Na dodatek ustawicznie usiłowała z nim flirtować, co było odpychające.

- Usiłujesz wyhodować sobie wąsy pod nosem! - krzyczała na całe laboratorium.

- Być może, Dusiu - przerwał jej. - A teraz zrób mi uprzejmość i przynieś pewne próbki. Tej bomby podłożonej w Muzeum Lenina, która nie eksplodowała, i tych poprzednich, które eksplodowały. Wiesz, o co chodzi.

- Oczywiście - było jasne, że Dusia ma zamiar się dąsać. - A co z twoimi wąsami, powiesz mi czy nie?

\*\*\*

Najłatwiejsza do zanalizowania była bomba z kremlowskiej Zbrojowni, gdyż nie w pełni uległa spaleni. Natychmiast stwierdził, że wykonana została z materiału wybuchowego o nazwie Composition C-4, znakomicie pomyślanego amerykańskiego środka wybuchowego. Wystarczył w tym wypadku zwykły test morfologiczny, ale dla upewnienia się rozpuścił próbkę materiału w łyżeczce płynu i wstawił do wirówki. Rezultat był oczywisty. Materiał zawierał w sobie procent oleju silnikowego. Definitywnie był to C-4.

Pomasował sobie kark i przez chwilę myślał o dzieciach, które rosnąc sprawiały coraz więcej kłopotów. Właściwie z młodszą Marią wszystko było w porządku. To starsza Zina powodowała te wszystkie komplikacje. Była kilkunastolatkiem i zaczynała się przeobrażać w dorosłą kobietę. Zbyt wiele czasu spędzała z pewnym łobuziakiem starszym od niej o cztery lata, z takim długowłosym osiemnastolatkiem. Był pewny, że ze sobą sypiali, ale cóż można było na to poradzić? Zina pętała się beczynniami po mieszkaniu, wstawała późno - klóciła się z każdym, kto wszedł jej w drogę. Abramow gniewnie potrząsnął głową i powrócił do sprawy, którą się właśnie zajmował.

A więc to było C-4. Abramow znał C-4 jak swoich pięć palców. C-4 zawierało wybuchową sześciowodorowo-1,3,5, trójnitro-S-triazynę albo RDX, najpotężniejszy środek wybuchowy na świecie. Do tego dochodziło wiele innych składników dodatkowych, np. zmiękczacz i spoiwo gumowe. Kiedy dostał próbki C-4 do analizy, a obecnie dostawał je coraz częściej, przeprowadzał badanie spektrofotometryczne w podczerwieni używając do tego spektrofotometru Analect FX-6250 Fourier. Pozwalało to na odróżnienie brytyjskiego PE-4 od amerykańskiego C-4 lub czeskiego NP-10, a wreszcie od doskonale znanych materiałów krajowych, radzieckich. Pamiętał serię badań próbek bomb, którymi zaatakowano



ośrodki wrogich wobec Kadafiego libijskich emigrantów w Manchester w Anglii. Odkrył wtedy, że wybuchowy plastik użyty do wyprodukowania tych bomb, podkładanych niewątpliwie przez wysłanników Kadafiego, był produkcji amerykańskiej. Dostarczył dowodu, że niektórzy Amerykanie popierali Kadafiego, a co najmniej sprzedawali mu materiały wybuchowe. To zdumiewające odkrycie stało się powodem dochodzenia prowadzonego przez KGB.

Trzeba było wykonać dalsze, jeszcze trudniejsze badania. Przygotował sobie kolejną filiżankę herbaty i wsypał do niej dwie łyżki cukru. Zazwyczaj doświadczenia, jakie przeprowadzał, były nudne jak diabli. Tym razem jednak próbki intrygowały go. Amerykańska reporterka miała rację, że za tym wszystkim musi kryć się tajemnica. Teraz praca sprawiała mu przyjemność. Przypominała czytanie powieści kryminalnej. W takich momentach czuł zadowolenie z tego, co robi. Zachęcony wynikami, wziął się do dalszej roboty. Równocześnie odnotował sobie w pamięci, że trzeba będzie Zinaidę wziąć na bok i opowiedzieć jej możliwie delikatnie o różnych skomplikowanych życiowych problemach. Bóg mu świadkiem, że nie miał zamiaru prowokować tej małej podżegaczki. Łyknął herbaty, dosypał do niej jeszcze jedną łyżkę cukru i usiadł, żeby spojrzeć w mikroskop. Bomba z Prospektu Mira również sporządzona była z wybuchowego plastyku. Tu nie było niespodzianek.

Przystąpił do wykonania doświadczenia, które nazywali oczyszczaniem. Chodziło o absorpcję oparów. Podgrzał próbkę materiału w próżni, w zamkniętym pojemniku. Spowodowało to wyodrębnienie się elementów organicznych, które zostały zaabsorbowane przez węgiel drzewny. Z kolei pochłonięte opary wymył z węgla za pomocą dwuchloru metanu. Otrzymany materiał zbadał pod mikroskopem. Rozpuścił potem materiał w organicznym rozpuszczalniku i oczyszczony przygotował do dalszych doświadczeń. Części organicznych w materiale wybuchowym było bardzo niewiele. Było tak mało, że można je było zmierzyć wyłącznie metodą pikogramową. Oznaczało to, że do dalszych badań musiał użyć urządzenia o nazwie TEA, co było skrótem od nazwy angielskiej thermal energy analyzer - analizator energii termicznej, aparat o niezwyklej czułości, służący do analizowania substancji w fazie gazowej-światlnej. Urządzenie to w podgrzewanej przestrzeni i za pomocą kriogenicznej cieczy produkowało elektrycznie wzbudzony dwutlenek azotu, który ulegając radioaktywnemu rozpadowi pozwalał na dokładne pomiary wysyłanych fal świetlnych. Pracując powoli, systematycznie określił molekularną strukturę próbki. Natrafił na coś szczególnie dziwnego. Dwukrotnie sprawdził wyniki, porównując je z poprzednio dokonanymi zapiskami. Gdy sprawdzał po raz trzeci, zrozumiał, że spotkał się ze zjawiskiem już mu znanym. Setki razy badał ten rodzaj materiałów wybuchowych, ale to nie był zwykły amerykański plastik. Wyniki, jakie otrzymał, były wymowne. Cały materiał użyty do wykonania bomb wybuchających w Moskwie został wyprodukowany w zakładach o nazwie Holson Army Ammunition Plant, które znajdowały się w Kingsport w stanie Tennessee. To jednak jeszcze nie wszystko. Ta specjalna partia C-4 była wyprodukowana wyłącznie na zamówienie CIA. Był tego w stu procentach pewien. Wypił jeszcze jeden łyk herbaty i przystąpił do dyktowania raportu.

#### 48. Paryż

Stone czekał na Dunajewa w kawiarni "A La Bonne Franquette" przy rue de la Roquette niedaleko cmentarza Pere-Lachaise. Minęło pięć, potem dziesięć minut, a rosyjskiego emigranta ani śladu.

Stone zirytowany popatrzył na zegarek, a potem zamówił pastis. Siedząc rozglądał się po sali szukając wzrokiem kogoś, kto mógłby przypominać Dunajewa. Nikogo takiego nie

było. Kobieta siedząca za barem, najwyraźniej prostytutka, dostrzegła jego spojrzenie i uśmiechnęła się. Miała około pięćdziesiątki, długie, źle ufarbowane, czerwone włosy i nazbyt wiele pudru na twarzy, który i tak nie potrafił ukryć jej zmarszczek. Stone oddał obojętny uśmiech i odwrócił oczy. Sygnał był oczywisty - dziękuję, ale nie.

Minęło dwadzieścia minut i Dunajewa nadal nie było. Instrukcje otrzymane od dziewczyny z cerkwi były bardzo precyzyjne. Podkreślała, że Stone powinien przybyć punktualnie, a obecnie Dunajew spóźniał się już dwadzieścia minut. Czyżby i z nim coś się stało? Czyżby i jego dopadli tak jak innych? Zaniepokojony rozglądał się po kawiarni szukając kogoś, kto by się czymkolwiek wyróżniał, jakiegoś sygnału. Może Dunajew chciał go czymś zaskoczyć? Niczego nie dostrzegł.

Prostytutka uśmiechnęła się ponownie, wstała i zaczęła iść w jego kierunku. Idąc przesadnie kołysała się i lubieżnie kręciła biodrami.

- Czy masz zapalki? - zapytała głębokim, ochrypłym głosem palacza. Mówiła po angielsku i jasne było, że brała go za amerykańskiego turystę.

- Przykro mi, nie mam.

Uśmiechnęła się pokazując rząd brzydkich zębów, wzruszyła ramionami i z torebki wyjęła pudełko zapalek. W kilka minut potem podeszła ponownie.

- Czekasz na kogoś? - zapytała podnosząc papierosa do ust wystylizowanym ruchem, z głową przechyloną w jedną stronę. Wyglądało to tak, jakby palenia uczyła się od aktorów ze starych filmów.

- Tak, czekam.

Prostytutka wypuściła kłąb dymu z płuc.

- Czy mogę się przysiąść?

- Przepraszam, ale nie.

- Być może będę ci mogła pomóc odnaleźć tego, którego poszukujesz - mówiąc to uśmiechnęła się uśmiechem, który miał być zachęcający.

Stone zaczynał rozumieć, o co chodzi, i skinął głową.

- Wydaje mi się, że mamy wspólnego przyjaciela - powiedziała.

A więc to tak. Dunajew był niewątpliwie bardzo ostrożnym, rutynowanym, starym agentem i wolał nawiązywać kontakt przez pośrednika.

- Chodź ze mną, proszę - powiedziała kobieta. Stone wstał od stolika, pozostawiając kilka franków na pokrycie rachunku, i wyszedł za nią z kawiarni.

- Dunajew przeprasza za te ostrożności - mówiła, kiedy szli rue de la Roquette - ale jest przekonany, że pan zrozumie.

- Rozumiem doskonale.

- Bardzo pragnie poznać przyjaciela swojego starego przyjaciela.

Paplała, gdy szli małą, boczną uliczką. Zatrzymali się przy czarno-brązowym, pudełkowatym z wyglądu samochodzie, w którym Stone rozpoznał tani i wszechobecny DCV, pojazd niezbyt bezpieczny w jeździe, początkowo produkowany jako trójkołowiec. Zmieniono to dopiero na wyraźne polecenie rządu francuskiego.

- Proszę - obeszła samochód, chcąc zająć miejsce za kierownicą - zawiozę cię do niego.

Drzwi nie były zamknięte. Stone usiadł koło kobiety i natychmiast zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Poczł chłód przerażenia i odwracając powoli głowę zobaczył pistolet wycelowany w niego przez kogoś znajdującego się na tylnym siedzeniu. Znieruchomiał, podczas gdy kobieta pochyliła się i z wyraźną profesjonalną wprawą zrewidowała go. Ponownie, powoli, ostrożnie odwracając głowę, zobaczył człowieka ukrytego za jego plecami. Musiał się przycisnąć, czekając na nich.

Zastawiono na niego pułapkę - ale dlaczego? Dunajew był uciekinierem, który odwrócił się od Związku Radzieckiego nie z powodów ideologicznych, lecz z obawy o życie.

Czyżby i on był powiązany z fanatykami kierującymi działaniem M-3?

- Nie próbuj żadnych sztuczek - dobiegł go głos z tyłu wozu. Był to Francuz.

Rozpoznał po akcencie, z jakim posługiwał się językiem angielskim.

DCV ruszył i włączył się do ruchu.

- Popatrz w lusterko - poleciał ten sam głos z tyłu - widzisz ten samochód za nami?

Spojrzał i przytaknął głową. Z tyłu jechał citroen, który ich najwyraźniej eskortował.

Musiał przyznać w duchu, że Dunajew był człowiekiem dokładnym.

- Czy powiecie, dokąd macie zamiar mnie zawieźć? - zapytał Stone.

Odpowiedzi nie było.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Siedząca za kierownicą kobieta ustawicznie sprawdzała, czy citroen jedzie za nimi. Prowadziła jedną ręką, w drugiej trzymała papierosa.

Stone siedział w milczeniu, czekając na jakąś stosowną chwilę.

Wjechali do dzielnicy wyraźnie biedniejszej. Niektóre z budynków były w opłakanym stanie, inne wyglądały na opuszczone. Minęli jakiś sklep ze sprzętem domowym, którego okno wystawowe miało dziury od kul, potem całkiem pusty w środku sklep spożywczy.

Wreszcie wąskim zaułkiem wjechali na podwórze między domami. Citroen przejechał dalej nie zatrzymując się.

- W porządku - powiedział człowiek z tyłu. - Wsiadaj.

Stone otworzył drzwi wozu i wysiadł na podwórze. Przed nim stał starszy mężczyzna w krótkiej, czarnej skórzanej kurtce, pomimo swojego wieku muskularny i barczysty.

Wyglądał na siedemdziesiąt lat. Miał bujne, siwe włosy, które otaczały okrągłą łysinę na czubku głowy. Bładą twarz pokrywały pagórki kaszaków. Prawa ręka, wyciągnięta jak do powitania, trzymała jednak pistolet wymierzony w głowę Stone'a. Była to stara broń, zapewne dobry druh, z którym emerytowany agent nie potrafił się rozstać. Nie był to standardowy pistolet znajdujący się na wyposażeniu Armii Czerwonej, Makarow 9 mm. Najprawdopodobniej automatyczny Tokariow, nie produkowany w Rosji od co najmniej trzydziestu lat.

Czy to Dunajew?

Stone oderwał wzrok od pistoletu i uśmiechając się powiedział:

- Cóż to za sposób powitania? - zdanie to wypowiedział po rosyjsku.

- A więc ciebie przysyła Wyszyński? - zapytał tamten przeciągając wyrazy.

Stone potwierdził skinieniem głowy.

Stary człowiek splunął głośno i, nie opuszczając pistoletu, powiedział zimnym, spokojnym głosem:

- A więc z radością odeślę Wyszyńskiemu pozdrowienia. Twoją głowę.

"O Boże, w jakimż to wszystko idzie kierunku?" - przemknęło mu przez głowę, a głośno zapytał:

- Czy ty jesteś Dunajew?

- Jestem Dunajew - odpowiedział tamten. Stone słyszał za plecami szuranie czyichś nóg po żwirze. To niewątpliwie ci, co go tu przywieźli. Był więc otoczony. Dunajew mówił teraz głośniej:

- Jeśli ten przekłety skurwysyn Wyszyński myśli, że mnie przechytrzy i tak łatwo odnajdzie, to raczej szczęście w piekle. Od lat czekałem na taką okazję.

Stone doznał nagle olśnienia i zrozumiał, co się stało. Posłużył się nazwiskiem nie przyjaciela i sojusznika, ale notorycznego wroga. Oczywiście... przecież Wyszyński pozostał w Rosji. Musiał uważać, że Dunajew to zdrajca.

- Słuchaj uważnie, co mówię - Stone czuł, że serce bije mu szybciej. Tych dwoje z tyłu zbliżyło się i wiedział, że nie ma wiele czasu. - Słyszysz przecież, że nie jestem Rosjaninem, gospodin Dunajew.

Dunajew zamrugał, ale pistolet był nadal wycelowany w głowę Stone'a.

- Rozpoznajesz mój akcent?

Nie było odpowiedzi.

- To akcent amerykański. Wiesz o tym. Masz przecież doświadczenie w kontaktach z Amerykanami. W 1953 roku wysłano cię do Stanów Zjednoczonych, ażebyś wydobyl pewne dokumenty, których Beria potrzebował. - Przez moment wydawało się, że Dunajew zaczyna tracić pewność. - Usiłowałeś zastraszyć pewną starą kobietę, która była kiedyś osobistą sekretarką Lenina. Od niej znam twoje nazwisko. Nie od Wyszyńskiego. Chcę, żebyś to zrozumiał.

- Twoje wyjaśnienia nie są jeszcze wystarczające.

- Wyszyński to nazwisko tego drugiego człowieka, który razem z tobą był u tej kobiety. Wiedziałem, że nie zechcesz się ze mną zobaczyć, jeśli nie będę mógł się na kogoś powołać. Zrobiłem, co wydawało mi się najmądrzejsze, ale się przeliczyłem.

Dunajew potwierdził skinieniem głowy, a jego twarz rozpuściła się.

- Jesteś Amerykaninem. To słyhać. Oczywiście - ponownie jednak podniósł głos. - A więc kim jesteś?

Stone zaczął wyjaśniać ostrożnie, pomijał jedynie te szczegóły, które jego zdaniem mogły wzbudzić podejrzenia Rosjanina. Powiedział, że jest ścigany, uchodzi przed zasadzkami, wciąż wymyka się z rąk pewnych ludzi, a wszystko to dlatego, że za dużo wie. Stone instynktownie rozumiał ludzi typu Dunajewa i zrećnie to wykorzystywał. Dunajew był nie tylko Rosjaninem, który wiedział, czym jest terror nie kontrolowanej władzy, ale był również uciekinierem ukrywającym się od lat w Europie. Wielu Europejczyków, którzy przeżyli lata II wojny światowej, lata konspiracji, ruchów oporu, ucieczek, podświadomie czuło sympatię dla ludzi ukrywających się przed prawem. Gdy Stone skończył, Dunajew powoli opuścił pistolet.

- Dostаточно - powiedział do tamtych za jego plecami. Stone odwrócił głowę i zobaczył, że ruda prostytutka i jej przyjaciel odeszli w kierunku samochodu. W chwilę potem usłyszał szum zapuszczanego silnika, samochód wyjechał z podwórza.

- Wybacz, proszę - powiedział Dunajew.

Stone odetchnął z ulgą czując, jak opada w nim napięcie.

- Potrzebuję twojej pomocy. Bardzo jej potrzebuję - powiedział. - Sądzę, że tylko ty możesz mi dostarczyć klucz do zrozumienia tego, co właśnie teraz dzieje się w Moskwie i w Waszyngtonie.

- Teraz? Przecież ja...

- Przed laty Beria wysłał cię, ażebyś znalazł coś, co mu było niezbędne do dokonania przewrotu...

- A ty skąd...?

- Twoim zadaniem było chronienie kogoś, czyż nie? - przerwał mu Stone. Czuł, jak jego mózg pracuje na wysokich obrotach. - Był to ktoś, kto utrzymywał kontakt pomiędzy Berią a grupą pewnych Amerykanów, ktoś, kogo nazwisko do dziś utrzymywane jest w największej tajemnicy.

Dunajew przytaknął ruchem głowy tak lekkim, że niemal niedostrzegalnym.

- Jednym z ogniw tego łańcucha była kobieta nazwiskiem Sonia Kunieckaja - mówił Stone, w którego głowie coraz jaśniej zaczynał się układać obraz wydarzeń.

Odpowiedź na to, co działo się obecnie, leżała w przeszłości. To była jedyna droga do zrozumienia całości. Bank informacji CIA niewiele by mu w tym dopomógł.

Szef tajnej policji Stalina, Beria, z całą pewnością tylko nielicznych zapoznał ze szczegółami swojego planu, a już na pewno nikomu nie dowierzał bardziej niż kretowi, działającemu pod kryptonimem M-3. Dunajew, skoro pozwolono mu przeżyć, był trzymany raczej z daleka od sedna sprawy, zapewne nie znał najbardziej drażliwych tajemnic państwowych... A jednak...

- Coś o niej wiesz. Coś musisz wiedzieć - powiedział Stone.

Rosjanin uśmiechnął się szelmowsko.

- Ja utrzymywałem kontakt pomiędzy Berią a Sonią Kuniecką - powiedział. -

Zgadywałeś prawidłowo.

Stone z trudnością ukrył zdumienie.

- Do dziś jestem z tego dumny - mówił dalej emerytowany agent radziecki. - Beria nie wyznaczyłby byle kogo do przekazywania jego informacji córce amerykańskiego milionera Winthropa Lehmana.

49.

Najbardziej przerażał fakt, że było to bezwzględnie logiczne. Nawet w pół godziny później Stone nie potrafił się skoncentrować. Stalin utrzymywał kontrolę nad Lehmanem - w tym była cała rzecz. Oczywiście. To było bardzo proste.

- Takie rzeczy zdarzają się od czasu do czasu - wyjaśniał Dunajew, nieświadom wrażenia, jakie ujawniona rewelacja wywarła na jego słuchaczu. - Jak sam wiesz, Amerykanie i Europejczycy wyjeżdżali do Związku Radzieckiego, osiedlali się tam, zakochiwali w Rosjankach i mieli z nimi dzieci. A kiedy nadchodził czas wyjazdu, dowiadywali się nagle, że władze nie dają dziecku wizy wyjazdowej.

Szli przez cmentarz Pere-Lachaise długą ścieżką pod górę. Dla zmarłych nobilitującym miejscem pochówku w Paryżu jest właśnie Pere-Lachaise. Tu znajdują się groby Marcela Prousta, Oskara Wilde'a i tysiące innych. Cmentarz zaplanowany został w kształcie piramidy. Jego wąskie, stłoczone ścieżki wiążą się ze sobą na szczytach wzgórz, przecinając się po drodze z dziesiątkiem innych ścieżek. Razem tworzą nazbyt rozbudowany, omszały labirynt.

- Mnóstwo Amerykanów nie mogących w latach kryzysu znaleźć pracy wyjeżdżało do Rosji - mówił Dunajew. - Niektórzy z powodów politycznych, gdyż upodobali sobie komunizm, oczywiście do czasu, kiedy go poznali, kiedy sami zobaczyli monstrualną rzeczywistość. Niektórzy naprawdę chcieli znaleźć pracę. W latach II wojny światowej wielu amerykańskich reporterów wysłanych do Moskwy miało romanse z Rosjankami, niektórzy się poženili, a potem ich żony i dzieci były trzymane jako zakładnicy. Jako więźniowie. Zapewne wiesz o tym, że wielki amerykański przemysławiec Armand Hammer spędził w latach dwudziestych dziesięć lat w Moskwie. I on, i jego brat mieli ze swoimi rosyjskimi przyjaciółkami dzieci. Tylko jedno z nich otrzymało zezwolenie na opuszczenie Związku Radzieckiego.

- To wyjaśnia skłonność Lehmana do współpracy - Stone myślał na głos.

Stanął przed grobem Fryderyka Chopina, przed małym, białym posągiem płaczącej dziewczyny. Na jej kolanach ktoś złożył kilka czerwonych róż.

Rosjanin przytaknął w milczeniu.

- Mieli jego córkę i nie puszczali jej - mówił Stone. - Dla skontaktowania się z nią musiał korzystać z pośrednictwa różnych ludzi, w tym i mojego ojca.

Dunajew poprowadził go w głąb cmentarza. Wydawało się, że nie zrozumiał tego, co powiedział Stone.

- Kiedy mówiłeś, że spełniałeś rolę łącznika pomiędzy Berią a córką Lehmana, co konkretnie miałeś na myśli?

- Beria dowiedział się jakoś od Stalina, że Lehman jest w posiadaniu dokumentu niezwyklej wagi. Dokumentu czy też dokumentów.

Stone przytaknął. "Czy i co właściwie ten eks-szpieg wiedział o Testamencie Lenina?"

- pomyślał w duchu.

- I ciebie wysłał, ażebyś wy dostał ten dokument od Lehmana?  
- Od córki Lehmana.  
- Ponieważ Lehman nie mógł mieć jakichkolwiek bezpośrednich kontaktów z przedstawicielami radzieckich służb specjalnych - domyślił się Stone. - To złamałoby jego oficjalną karierę.  
- Właśnie, i Beria o tym doskonale wiedział.  
- A czy on już nigdy nie widział swojej córki po wyjeździe z Moskwy?  
- Nie, Beria raz pozwolił jej na wyjazd do Paryża, gdzie widziała się z ojcem. Była bardzo pilnie strzeżona.  
- Kiedy to było?  
- Wydaje mi się, że w 1952 roku.  
- Dlaczego jej Lehman wtedy nie uwolnił? - dopytywał się Stone. - Kiedy Sonia była już na Zachodzie, można było chociażby zaaranżować jej porwanie...  
- Za nic w świecie. - Dunajew wybuchnął śmiechem. - Ona sama nigdy by na to nie pozwoliła. Widzisz, jej matka jeszcze żyła, oczywiście w Rosji, i nie ma wątpliwości, że zależało jej na bezpieczeństwie matki.  
- Łańcuch zakładników - ponownie głośno myślał Stone. - Co wiesz o tym dokumencie, który był w posiadaniu Lehmana?  
- Wiem tylko, że miał coś takiego.  
- A czy Beria to kiedykolwiek dostał?  
- Nie, tylko próbował.  
- Jak?  
- Zaproponował wypuszczenie Soni w zamian za ten dokument. Bardzo mu na tym zależało. Było to dla niego z jakichś powodów niezwykle ważne.  
Na cmentarzu było pogodnie, spokojnie, cicho. Stone nie miał poczucia, że znajduje się w Paryżu, a raczej w jakiejś sielankowej, porośniętej laskami okolicy, zasłanej nie grobami, lecz naturalnymi głazami narzutowymi. Niektóre wieńce przybrały kolor brązowy. Tu i tam mauzolea obracały się w ruinę, wypadały okna, a nisze wypełniały porzucone puszki po piwie.  
- Dlaczego Lehman nie zgodził się na tę transakcję? - zapytał wreszcie Stone.  
- On się zgodził. Bardzo chciał odzyskać córkę.  
- Zgodził się? Przecież...  
- Zanim transakcja doszła do skutku, Berię rozstrzelano.  
- Tak - mruknął Stone. - Rozumiem. A ty - miałeś bezpośredni kontakt z Berią? Czy też z którymś z jego doradców?  
- Bezpośrednio z Berią. Nie życzył sobie żadnych pośredników i domagał się absolutnej dyskrecji.  
- Czy słyszałeś kiedyś określenie M-3?  
- M-3 - powoli powtórzył Dunajew.  
- Był to kret w organizacji prowadzonej przez Berię, a zarazem ktoś, komu bez zastrzeżeń wierzył.  
Minęli grób Simone Signoret i przechodzili koło muru przy krematorium. Na murze widniały dziesiątki tablic z wyrytymi na nich złotymi literami nazwiskami pochowanych. Pod murem leżały wieńce ze sztucznych kwiatów.  
- Nic nie słyszałem o krecie - powiedział Dunajew. - Wtedy nie mogłem wiedzieć, czyż nie? Gdybym ja wiedział, wiedziałby i Beria, a wtedy nie byłoby już kreta - po raz drugi w czasie ich spotkania Rosjanin wybuchnął śmiechem.  
- Słyszałeś jednak o tym, że Beria próbował przejąć władzę?  
- Oczywiście. Wszyscy o tym słyszeli po fakcie. Powiedzieli nam o wszystkim potem, jak go rozstrzelano - prowadził dalej w głąb cmentarza i jasne było, że idzie w jakimś

określonym kierunku.

- Czy niczego nie słyszałeś o próbach grup prywatnych osób z Zachodu, którzy chcieli pomóc Berii w przeprowadzeniu tego przewrotu?

Rosjanin szedł teraz tak szybko, że Stone musiał podbiec, ażeby dotrzeć do towarzystwa. Wreszcie zatrzymał się. Stał przed lśniącym, czarnym blokiem granitu, tak wypolerowanym, że jak lustro odbijał promienie słoneczne. Po lewej stronie w granit wprawiona była owalna fotografia.

Dunajew stał w ciszy patrząc na nagrobek. Wreszcie zapytał:

- Być może rozpoznajesz tę fotografię?

Stone rozpoznał natychmiast. Twarz nie była starsza niż twarz na fotografii, jaką otrzymał od Warrena Pogue'a. Złote litery pod zdjęciem nagrobkowym układały się w napis: SONIA KUNIECKAJA

13 janvier 1929 - 12 avril 1955

- Widzisz, Winthrop Lehman jest wolny od lat - głos Dunajewa brzmiał ponuro. - Jego córka nie żyje.

## Waszyngton

W zazwyczaj spokojnej siedzibie Fundacji Amerykańskiego Sztandaru w śródmieściu Waszyngtonu około czwartej po południu wybuchło małe zamieszanie, gdy ekspert od komputerów, dwudziestoosmioletni kapral rezerwy Glen Fisher, usłyszał sygnały dźwiękowe podawane przez jeden z terminali. Przekreślił się na swoim obrotowym fotelu, żeby sprawdzić, o co chodzi, i kiedy rzucił spojrzenie na ekran, okrzykiem: Tarnow! przywołał kolegę. Jednocześnie gestem ponaglił tamtego.

Wyobrazenie, że rozmowy telefonicznej trwającej mniej niż minutę nie sposób zlokalizować, nie odpowiada obecnie prawdzie. Komputerowy terminal, nad którym czuwał Glen Fisher, podłączony był do czarodziejskiego wręcz urządzenia elektronicznego o nazwie "pen register", systemu skonstruowanego tak, że niemal natychmiast lokalizował i rejestrował numery telefonów, z których rozpoczęła się rozmowa. Personel Fundacji swoim podsluchem objął wiele numerów telefonicznych w Waszyngtonie, w biurach i w domach prywatnych. Jeśli pod jeden z tych numerów telefonowano, na monitorze w biurze Fundacji natychmiast pojawiał się numer, z którego rozpoczynano rozmowę. Kilku liniom przyznano szczególnie priorytet, a do nich zaliczała się również linia telefoniczna w biurze niedawno zmarłego zastępcy sekretarza stanu Williama Armitage'a. Właśnie w tej chwili telefonowano do biura Armitage'a z Chicago.

- Włączaj się, Glen - popędzał kolegę Tarnów.

- A co ja robię, nie widzisz? - odwarknął Fisher.

Pospiesznie wprowadzał dziesięciocyfrowy numer do pamięci innego terminala. W pamięci tej odnotowanych było kilka tysięcy telefonów, które w jakikolwiek sposób mogły być związane z byłym analitykiem CIA, który zdradził, z Charlesem Stone. Terminal wydał mechaniczny warkot, a po kilku sekundach na ekran wpłynęło nazwisko.

- Doskonale - Fisher z czułością pogłaskał monitor. - Generał będzie zadowolony.

## Paryż

Stone patrzył zaszokowany. - Czyż to możliwe - to było wszystko, co potrafił z siebie wydusić. - Nie...

Rosjanin smutno pokiwał głową.

- Czy ci to pomaga? - zapytał. - Czy też sytuacja jeszcze bardziej się komplikuje?

- Nie - powtórzył Stone i w tym momencie znieruchomiał.

Jego nerwy, jego instynkt - wysubtelnione wydarzeniami ostatnich tygodni - zarejestrowały coś nienormalnego. Nie odgłosy ludzi spacerujących po cmentarzu, ale czyjeś kroki skradające się w ich kierunku.

- Padnij - krzyknął do Rosjanina.

Dunajew spojrział w kierunku, w którym zwrócony był Stone, i w tym momencie padł strzał. Stone rzucił się na ziemię, pociągając za sobą Dunajewa. Kula uderzyła w jakiś nagrobek o kilka centymetrów nad ich głowami. Stone czuł, jak zasypują ich odpryski kamienia. Nie było czasu na rozważania. Nieznany zamachowiec był o kilkadziesiąt metrów na prawo od nich. Dzielili ich jedynie otwarta przestrzeń. Kolejna kula mogła dosięgnąć głowy każdego z nich. Kolejny wystrzał. Kula wzbijała chmurkę dymu tuż koło grobu Soni Kunieckiej.

- Tędy - syknął Stone. - Trzymaj się blisko ziemi - pociągnął Rosjanina, którego twarz krwawiła, do jakiejś pobliskiej krypty.

Na chwilę znaleźli bezpieczne schronienie. Nie było jednak wątpliwości, że zamachowiec ze swojego wygodnego miejsca widział ich dokładnie. Mógł zmienić pozycję, ażeby mieć lepszą linię strzału. Dunajew miał już w ręku pistolet i wykręcił niezdarnie ciało, usiłując pozostać za białym marmurem, a jednocześnie uzyskać dogodną pozycję do wymiany ognia.

Widzieli tamtego. Ciemna sylwetka skulona w pozycji gotowego do strzału. Mógł teraz zastrzelić ich obu. Stone szybko rozejrzał się wokoło. Czy byli jeszcze inni? Nikogo nie zauważył, jedynie słońce odbijało się od starych grobowców.

- Cofaj się - rozkazał Dunajew, odbezpieczając broń i celując. W tym momencie padł kolejny strzał. Tym razem z lewej strony. Stone rozpląszczył się na ziemi, ponownie pociągając za sobą starego Rosjanina. Był jeszcze jeden snajper i strzelał do tego pierwszego. Stone i Dunajew przez jakiś czas leżeli całkowicie nieruchomi. Sekundy wlokły się bez końca. Panowała całkowita cisza. Dunajew opuścił pistolet, na twarzy miał wypisane przerażenie. Stone podniósł głowę. Czuł osłabienie będące skutkiem napięcia.

- Co się stało? - zacharczał czekista.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział szczerze Stone. - Żyjemy, to wszystko, co wiem.

\*\*\*

Podeszli do skręconego ciała zabitego snajpera. Z daleka dobiegały coraz wyraźniejsze głosy przechodniów, niewątpliwie zaniepokojonych strzelaniną.

- Co robisz? - pytał Stone.

Dunajew pochylił się nad ciałem i z wprawą zawodowego agenta włożył palec w jego zaciśnięte usta. Szybkim wstrząsem zmusił je do otwarcia i zajrzał do środka.

- Tak, to oczywiste - wysapał i zaczął badać tors zabitego. Rozpiął marynarkę i koszulę tak, by mieć dostęp do skóry. Wyglądało na to, że czegoś szuka i nie znajduje.

- Wyośmy się stąd - powiedział Stone. Nie chciał patrzeć na twarz swego niedoszłego mordercy, twarz, która była teraz krwawą maską. Widok ten zbyt żywo przypominał mu makabrę z Cambridge. - Co oczywiste? Zwijamy się, nie możemy mieć z tym nic wspólnego.

Dunajew wyprostował się i ruszył w ślad za Stone'em. Szli szybko w kierunku wyjścia z cmentarza.

- Kto go zastrzelił? - zapytał Stone. - I gdzie się podział?

Dunajew, już zadyszany, wydawał się tego nie słyszeć. Wreszcie zaczął mówić najwyraźniej roztrzęsiony:



- Praca dentystyczna wykonana została w Rosji. Rozpoznałbym to nawet w ciemności. Jednak on nie jest z KGB czy z GRU.

- W jaki sposób, do diabła, możesz to rozpoznać?

- Zaraz ci powiem. - Dunajew skrzywił się z bólu. Miał skaleczoną twarz. - Po pierwsze, zabiegi dentystyczne były o wiele lepiej wykonane, niż robią to ci rzeźnicy z Łubianki, którzy sami nazywają siebie dentystami. To rosyjska robota, ale niezwykle dokładna i droga. Zawsze uważałem, że taki rodzaj prac zarezerwowany jest jedynie dla członków Biura Politycznego.

- To jeszcze...

- Wiem, to jeszcze nie jest niezbity dowód. Jest jednak coś ważniejszego. Każdy tajny agent KGB czy GRU, wykonując konspiracyjne operacje, ma wszytą pod skórę jedną lub dwie mikroskopijne metalowe ampułki z trucizną, zazwyczaj z cyjankiem. To rutynowe postępowanie KGB. Chodzi o to, ażeby agent mógł uniknąć przesłuchań, popełniając samobójstwo. Zazwyczaj wszywa się to w jedno z trzech wyznaczonych miejsc. Ten facet nie miał niczego. On chciał zabić chyba ciebie. Wydaje mi się, że właśnie na ciebie polowali. On niewątpliwie pochodzi z ZSRR, ale nie współpracuje z żadną ze znanych mi agencji wywiadowczych.

Doszli do bramy cmentarza. Tu Stone zwrócił się do Rosjanina. Jego głos nabrał teraz ostrych tonów.

- To, co mówisz, wcale mnie nie zaskakuje. Jak nie zaskoczyło mnie wydarzenie sprzed kilku minut. Chcę natomiast wiedzieć, kto tego człowieka zastrzelił. O tym nie mówisz ani słowa. Ktoś uratował mi życie... nam uratował życie. Kto?

\*\*\*

Wkrótce potem wchodzili do mieszkania Dunajewa. Było to nieprzytulne, zwyczajne miejsce, wypełnione kilkoma brzydkimi meblami. Pokój, w którym się znajdowali, został najwyraźniej zagospodarowany przez kawalera, nie mającego najmniejszych talentów do urządzania mieszkań. Ściany pomalowane były na ponury piaskowy kolor, na półkach pod ścianami obok rosyjskich książek stały jakieś osobliwe drobiazgi zbierane latami przez człowieka prowadzącego cygańskie życie.

Rosjanin nalał sobie szklankę wódki Smirnoff i widać było, że jest jeszcze roztrzęsiony. Przez dłuższy czas mówił dość nieskładnie o wydarzeniu i było to mało sensowne, czcza gadanina świadcząca, że musiał się stopniowo uspokoić. Nastąpiło to po jakimś czasie.

- Nie znam żadnych szczegółów. Wiem, że istnieje siatka prowadzona z Moskwy. Ludzie opowiadają, że ona z jakichś powodów ochrania niektórych uciekinierów, niektórych emigrantów. Być może ten zabity był jednym z nich.

Stone zastanawiał się nad tym, co powiedział Dunajew. Siatka byłych czekistów? Poczł się nieco nieswojo, uzmysławiając sobie swój związek z byłym czekistą. Przysłowie mówi: Jeśli śpisz z psem, masz pchły. Miał nadzieję, że te pchły wytepi. Ten człowiek wiele wiedział i Stone chciał tę jego wiedzę wykorzystać. Musiał skorzystać z jego pamięci.

Dunajew nerwowo sięgnął po paczkę gauloisów i zapalił papierosa. Głęboko się zaciągnął i po wypuszczeniu kłębu dymu z płuc zaczął mówić:

- Przed kilkoma dniami w Nowosybirsku zabity został pewien stary człowiek, nazywał się Arkadij Stefanow. Przejechał go samochód. Był emerytowanym pracownikiem NKWD. Przyjaciele powiedzieli mi, że Stefanow szedł właśnie na spotkanie z korespondentem "Manchester Guardian". Miał mu udzielić wywiadu na temat tego, jak zmienia się życie w Rosji.

Stone wzruszył ramionami:

- Jeszcze jeden zaufany współpracownik Berii?  
- Tak - potwierdził Dunajew. - O ile wiem, Stefanow był zaangażowany w próbę przewrotu. Siedział w tym gównie po uszy.  
- Co robił?  
- Był jednym z chłopców na posyłki, jakimi posługiwał się Beria. To on nakłonił osobistego lekarza Berii, by ten wystawił fałszywe zaświadczenie, z którego wynikało, że Beria miał zawał serca. Domyślam się, że Beria chciał na jakiś czas zniknąć, ażeby porozstawiać swoje siły. Chciał też uśpić wzrastającą już podejrzliwość swoich kolegów.  
- I teraz go zabili?  
- Jak ci mówiłem - Dunajew zaśmiał się ukazując rząd złotych zębów. - Oczywiście lekarza też zabito, tyle że dawno. Został rozstrzelany natychmiast, kiedy się dowiedziano, że współpracuje z Berią. Biedaczysko.  
- Stefanow musiał wiedzieć, kim jest M-3 - Stone zmrużył oczy, myśląc o czymś bardzo intensywnie. - Dlaczego właściwie zabili go teraz, przecież próba przewrotu miała miejsce przed kilkoma dziesiątkami lat?  
I w tym momencie przypomniał sobie raport Jeża, od którego wszystko się rozpoczęło, raport agenta CIA w Moskwie sugerujący, że wkrótce na Kremlu dojdzie do jakichś wstrząsów.  
- Czy nie sądzisz, że tak zwany Testament Lenina - mówił dalej Stone - może w jakiś sposób ujawniać fakt, kim jest kret?  
- Sądzę, że tak. To bardzo prawdopodobne.  
Stone potwierdził skinieniem i dodał:  
- A zbieżność w czasie? To nie może być rzeczą przypadku.  
- Zbieżność w czasie? - nie zrozumiał Dunajew.  
Stone nagle zaczął rozumieć, że coś się musi zbliżać. To były pierwsze, migotliwe światełka jakiegoś wielkiego, niebezpiecznego zwrotu. Odgrywano dokładnie scenariusz z przeszłości.  
- Tak, wielu naraża się na ryzyko zdekonspirowania. Coś ich do tego właśnie teraz zmusza - Stone rozejrzał się niezbyt przytomnym wzrokiem po mieszkaniu i nagle jakby doznał olśnienia. - Chcą w najbliższym czasie spowodować wydarzenia, które oddadzą władzę w ręce M-3, i mają już wyznaczony termin.  
- Powiedz kiedy, Stone. Ty jesteś ekspertem od spraw radzieckich, ja byłem jedynie ich pracownikiem.  
- Szczyt - Stone powiedział to bez własnej woli i tkwił zdrętwiały w fotelu jak owad uwięziony w bursztynie.

## 50. Moskwa

Lało przez cały dzień. Niebo było stalowoszare. Przestrzeń piętnastu kilometrów Charlotte pokonała wolno i ostrożnie. Nawierzchnia była śliska, a wydawało się jej, że renault wymaga wymiany hamulców. Obawiała się jednak wykonania tej roboty w Moskwie. Radzieckim mechanikom nie można było dowierzać, a poza tym i tak nigdy nie mieli potrzebnych części zamiennych.

Przed nią były ruiny Kryłowskiego Monastynu, dokładnie takie, jak je Siergiej opisywał. Nie ulega wątpliwości, że klasztor był niegdyś ważnym obiektem przedmieścia. Jego solidne kamienne mury wydawały się trwałe. Być może dlatego żyjący tu niegdyś zakonnicy wyobrażali sobie, że klasztor trwać będzie wiecznie. Jednak już w XVIII wieku został zamieniony w koszary, a potem, kiedy nadeszła rewolucja, popadł w ruinę i jakby o nim zapomniano.

Siedziała przez jakiś czas w wozie, wsłuchując się w pracę silnika. Nie miała ochoty wysiadać na deszcz. Taka pogoda zawsze skłaniała ją do kontemplacji. Nie wiedziała, czy może wierzyć Siergiejowi. Zresztą nigdy nie wolno było wierzyć rosyjskim urzędnikom, a na dodatek Siergiej był z KGB, co często bywało zwiastunem kłopotów. KGB miał swój własny, tajny program działania, stanowił sam w sobie labirynt biurokracji, w porównaniu z którym zwykła biurokracja radziecka wydawała się niewinnym snem.

Gdy miała miejsce ta dziwaczna rozmowa telefoniczna z Charliem, w pierwszej chwili była zagubiona, zastanawiała się, czy był naprawdę przy zdrowych zmysłach. Dopiero po pewnym czasie zrozumiała, że usiłował jej coś powiedzieć. Wymienił miejsca, w których w Moskwie nastąpiły ostatnio zamachy bombowe, i z naciskiem mówił coś o Amerykanach, o ich zaangażowaniu. Czyżby te ataki terrorystów nie miały charakteru lokalnego? Czyżby sprawcami byli... amerykańscy terroryści? Podejrzenia, jakie w niej narastały, zostały jeszcze wzmocnione.

W dzień po telefonie Charlotte skontaktowała się z Siergiejem. Wiedziała, że jest w jakiś sposób powiązany ze specjalnymi wydziałami śledczymi KGB, ale on sam niechętnie mówił na ten temat. Dochodził do pięćdziesiątki, był korpulentny, miał pulchne ręce i krótkie, grube palce. Zaczynał łysieć. Był człowiekiem zamkniętym w sobie, co wzbudzało jej zaufanie. Nie był karierowiczem, błyskotliwym, towarzyskim facetem zagadującym ludzi na przyjęciach, by potem pobiec do biura i napisać odpowiedni donos. Siergiej wyglądał na pierwszego i jedyne „dobrego” pracownika KGB, jakiego spotkała, chociaż słowo „dobry” musiało mieć tu relatywne znaczenie.

A jednak... To spotkanie w opuszczonym monastyrze. Albo Siergiej miał rzeczywiście coś ogromnie ważnego do powiedzenia... albo to była pułapka. Czyż nie było takiej możliwości? Jak brzmiałby akt oskarżenia - „wykradanie tajemnic państwowych”? Wysłała z samochodu i odnalazła drogę do głównego wejścia zrujnowanego budynku. Popchnęła ciężkie, drewniane wrota, które otworzyły się skrzypiąc zawiasami. Weszła do małego przedsionka wyłożonego kamiennymi płytami i tak ciemnego, że z trudnością widziała kontury drzwi i ścian. Gdy oczy przywykły do mroku, odnalazła wąski korytarz opisywany przez Siergieja i popchnęła następne drzwi. Salę, w jakiej się znalazła, wypełniał półmrok. Przez dziury w suficie wpadały do środka snopy szarego, dziennego światła. W kącie widniała ciemna sylwetka siedzącego człowieka - Siergiej.

- Priwiet, Charlotte - powiedział nieco ochryple, a głos odbił się echem od pustych ścian.

- Priwiet - podeszła i usiadła przy nim na kamiennej ławie. - No więc?

- Miałaś rację - wyglądał na spiętego, splótł swoje pulchne ręce.

Czekała, żeby wyjaśnił, co ma na myśli. Po chwili zapytał szeptem:

- Czy masz zamiar wykorzystać to, co powiem, w swoich korespondencjach?

- Być może.

- Nie rób tego, jeszcze nie. Poczekaj - odwrócił głowę, a ona przyjrzała mu się uważnie. Robił wrażenie przestraszonego.

- To zależy od tego, co zadecyduje. Wiesz o tym, Siergiej - powiedziała.

Powoli skinął głową.

- W czym miałam rację, Siergiej?

- Bomby należały do CIA. Sprawdziłem rezultaty badań. Zrobiono je z materiałów należących do CIA. Wasza CIA coś tu kombinuje. Powinnaś się tym zająć. Powinnaś ujawnić skandal. Wasza CIA działa bez kontroli...

Poczuła dziwną suchość w ustach i przez chwilę nie była w stanie ruszyć głową.

Zdołała jedynie wyszeptać:

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?

- Słuchaj - szeptał - nie zdajesz sobie sprawy z tego, ile to wymaga ode mnie odwagi,

ażeby się z tobą spotkać. Jeśli mnie złapią... - głos mu wyraźnie zadrżał. - Oczywiście, tu bardzo się poprawiło i wiele zmieniło. Jednak w KGB jest tak samo jak za starych czasów.  
- Tak, ale dlaczego mi o tym opowiadasz? - powtórzyła.  
- Sam chciałbym wiedzieć - odpowiedział po dłuższej przerwie.

\*\*\*

Po wyjściu Charlotte Siergiej Abramow jeszcze przez jakiś czas siedział na kamiennej ławce. Trząsł się z zimna i ze strachu. Problemy, jakie miał z Zinaidą, wydawały się teraz bardzo odległe. Czy postępował słusznie, przekazując te informacje amerykańskiej reporterce? Decyzja w tej sprawie wydawała mu się trafna. Była bardzo ryzykowna, ale słuszna. Wiedział, że Harper nie wykorzysta informacji, dopóki nie znajdzie jakiegoś potwierdzenia ze strony CIA. Będzie tak długo kopać, aż dojdzie do czegoś. Być może odkryje nowy skandal w CIA, który skompromituje rząd amerykański. To by mu niebawem pomogło w karierze, w szczególności gdyby w takim wypadku jego rola została ujawniona. Tak, wykorzystywał ją, ale jeśli pomoże w ujawnieniu zaangażowania CIA w działania mające na celu zdestabilizowanie i tak niestabilnego rządu radzieckiego, rezultaty będą pozytywne. Zatarł ręce i w jakieś dwadzieścia minut po odejściu Amerykanki wyszedł na deszcz.

\*\*\*

Charlotte nie uwierzyła. Siergiej podrzucał jej ukartowaną wersję, nie było innego wytłumaczenia. Ta teatralna sceneria spotkania w zrujnowanym monastyrze. Ten posmak melodramatu. Nie, ona tego nie kupuje.  
Dlaczego zorganizowali ten przeciek informacji na temat CIA? Czyżby KGB chciał ją manipulować? Tak, to było całkiem możliwe. Próbowali ją wykorzystać. I o to w tym wszystkim chodziło.

## 51. Paryż

Stone siedział przy stoliku kawiarni przy rue de Buci na lewym brzegu, niedaleko "L'Hôtel" i popijając kawę, notował swoje myśli w małym notesiku, jaki właśnie zakupił. Wiedział, że w tym samym czasie Fiodor Dunajew załatwiał sprawę zakupu pistoletu dla niego. Stary Rosjanin miał swoje źródła i wytłumaczył Amerykaninowi, że dokonanie zakupu broni na czarnym rynku, szczególnie w Paryżu, było dla kogoś nie posiadającego kontaktów całkowicie niemożliwe. Nawet gdyby Stone odnalazł właściwy bar w którejś z bardziej podłych dzielnic miasta - powiedzmy na Pigalle - i trafił na człowieka mającego towar, to i tak nie doszłoby do transakcji. Nikt w dobie terroryzmu nie zaryzykowałby sprzedaży broni, nie mając całkowitej pewności, że transakcja pozostanie na zawsze nie wykryta. Broń mógł załatwić jedynie Dunajew i szczęśliwie miał kontakty pozwalające na dokonanie tego bez trudności.

Jedynym problemem było to, że jego wiedza na temat broni zatrzymała się w połowie lat pięćdziesiątych, a w broni automatycznej od tamtego czasu zaszły ogromne zmiany. Najważniejszą rzeczą był postęp w dziedzinie "plastikowych" pistoletów półautomatycznych. Plastikowy był w istocie jedynie uchwyt, ale broń miała ogromną przewagę nad innymi typami pistoletów wykonanymi całkowicie z metalu. Można ją było przeszmuglować do samolotu, nawet przez bramki rentgenowskie i wykrywacze metali. Tak w każdym razie poinformowano Stone'a, choć on sam nie wiedział jeszcze, w jaki sposób ma tego dokonać.

Niemniej, jeśli uda się do Moskwy, prawdopodobnie będzie musiał przeschmuglować ze sobą pistolet. Miał nadzieję, że nie będzie okazji do jego użycia.

\*\*\*

Z automatu telefonicznego w kawiarni wysłał do Pauli telegram: "WSZYSTKO W PORZĄDKU".

Podpisał po prostu "PRZYJACIEL". Paula powinna była wiedzieć, że u niego rzeczywiście wszystko w porządku.

Wrócił do stolika, zamówił jeszcze jedną kawę i ponownie notował. Znalazł wytłumaczenie, które wydawało mu się sensowne. Winthrop Lehman miał w Moskwie córkę Sonię, która przybrała nazwisko matki, by nie łączono jej ze słynnym ojcem, Amerykaninem. Jak na razie wszystko układało się logicznie. Sonia odgrywała rolę zakładnika, była narzędziem, za pośrednictwem którego zmuszano ojca, a więc Lehmana, do współpracy. Rosjanie mieli w ręku jednego z najbardziej wpływowych ludzi w Ameryce, doradcę kilku kolejnych prezydentów. Równocześnie jednak człowiek ten był w posiadaniu dokumentu otrzymanego od Lenina, materiału tak potężnego i wybuchowego, że jego ujawnienie mogło przynieść radzieckiemu państwu ogromne straty. Dokument ten, z jakichś powodów, mógł zdekonspirować M-3, amerykańskiego kreta w Moskwie. Tak więc Lehman miał w swoich rękach broń przeciwko swoim radzieckim prześladowcom.

Obecnie jego córka nie żyje.

Z jakichś niezbyt jeszcze jasnych powodów Lehman współpracował z kilkoma innymi Amerykanami i co najmniej z dwoma Rosjanami. Celem tej współpracy było obalenie rządu radzieckiego i oddanie władzy Berii. Lehman był już raz blisko zawarcia porozumienia w sprawie zwolnienia córki. Tylko Beria...

To wszystko była jednak przeszłość. Fragmenty zagadki, tej współczesnej, zaczynały dopiero stawać się widoczne. Niemniej to, co pozostawało nie ujawnione, budziło coraz większy niepokój.

## Haskell, Michigan

Randall Jergensen, szef policji w Haskell, miał tego wszystkiego dość. Przez prawie całą noc wraz ze swoim zastępcą Willym Milsonem i z kilkoma ochotnikami przeszukiwał włókami rejon jeziora, gdzie wydarzył się wypadek. Jakby tego było mało, musiał cierpliwie znosić wrzaski przedstawicieli urzędów federalnych, którzy też chcieli popłynąć na jezioro, uważając zapewne, że w ich obecności robota zostanie lepiej wykonana. Jergensen już od dłuższego czasu miał ochotę powiedzieć: W porządku, wygraliście, ten przekłety wypadek to mistyfikacja. Powiedzieć i skończyć z tym. Niech już wreszcie ci federalni napiszą swój raport i odjadą do motelu, żeby i on mógł pojechać do domu i przespać się.

O wpół do czwartej rano mógł wreszcie stwierdzić:

- Dobrze już, wy sukinsyny, facet nas nabrał. Uciekł.

Powiedział i poszedł do swojego samochodu. W drodze do domu zatrzymał się przy komisariacie, wysiadł i wrzucił dwadzieścia pięć centów do automatu. Nacisnął guzik i rynienką wyleciała puszcza z lemoniadą. Otworzył, łyknął i zmęczony powrócił do wozu. Jadąc uśmiechnął się i pomyślał: "To sprytny skurwysyn". Z jakichkolwiek powodów to zrobił, jego spryt budził uznanie.

Stanął przed domem, uświadomił sobie, że jego eks-żony Wendy nie ma w środku, i uśmiechnął się ponownie.

Paryż

Stone wiedział, że Lehman odwiedził Paryż niezliczoną ilość razy w swoim długim życiu. Zarówno służbowo, jak i prywatnie, dla przyjemności. Jak przypuszczał, dwie z tych wizyt wiązały się ze spotkaniem z córką, o której istnieniu nikt nie wiedział. Dlatego przyszła mu do głowy pewna myśl. W książce telefonicznej zaczął szukać adresów firm, które mogły mieć obszerne zbiory fotografii osób znanych i mniej znanych, wydarzeń i spraw zarejestrowanych na taśmie w okresie minionych lat. W Nowym Jorku było kilkanaście tego rodzaju firm, z których usług korzystały gazety, magazyny i wydawnictwa. Gdy skompletował listę czterech największych archiwów fotograficznych w Paryżu, zaczął je po kolei odwiedzać.

Czy jest taka możliwość, że w czasie pobytu w Paryżu córka Lehmana została sfotografowana? Była tutaj pochowana. Jej nazwisko zostało wygrawerowane na nagrobku złotymi literami. Jeśli Lehman i Beria chcieli fakt jej istnienia utrzymać w tajemnicy, to dlaczego pochowano ją w Paryżu, i to na najbardziej znanym cmentarzu?

Musiano ją widzieć w Paryżu.

Jego poszukiwania nie dały rezultatu. Na liście pozostało jeszcze jedno archiwum. Odnalazł je przy rue de Seine. Na bramie wejściowej widniało nazwisko H. Roger Viollet. Wszedł do środka. Ściany od podłogi do sufitu wyłożone były zielonymi tapetami. Do siedzącej przy biurku urzędniczki zwrócił się po francusku.

- Poszukuję zdjęcia pewnej osoby.

- Postać historyczna, dyplomata, naukowiec...?

- W rzeczywistości nikt tego rodzaju. Jest to córka znanego amerykańskiego polityka.

Nazywa się Sonia Kunieckaja.

- Sprawdzę.

Urzędniczka zaczęła przeglądać kartotekę i w kilka chwil potem popatrzyła na Stone'a i zapytała:

- Urodzona 1929, zmarła 1955?

- To właśnie ta.

- Chwileczkę.

Przysunęła drabinkę do ściany i po wejściu na nią wyciągnęła z półki album z napisem "Historia Stanów Zjednoczonych, K - L". Album położyła na biurku przed Stone'em i otworzyła go na określonej stronie. Fotografie były starannie rozmieszczone i opatrzone podpisami wypisanymi na maszynie. Kładąc palec wskazujący na jednym ze zdjęć powiedziała:

- Wydaje mi się, że to ta.

Zdjęcie zostało wykonane przez znanego francuskiego fotografa na przyjęciu w ambasadzie radzieckiej w Paryżu. Rozmawiała z kimś, ale nie był to Winthrop Lehman. O kilka kroków od niej stało kilku groźnie wyglądających ludzi, którzy się jej z uwagą przyglądali.

- Och, nie, bardzo przepraszam - powiedziała nagle urzędniczka. - To nie to zdjęcie.

- Dlaczego?

- Zdjęcie nosi datę 1956 - zaśmiała się nerwowo. - To już w rok po jej śmierci. To nie może być ta sama osoba.

Pięćdziesiąty szósty? Na grobie widnieje data 12 kwietnia 1955 r. Coś tu jest nie w porządku. Chyba że data wyrzeźbiona na grobowcu jest fałszywa. Czyżby mistyfikacja?

- O proszę, tu jest drugie zdjęcie - urzędniczka otworzyła album na innej stronie.

Stone patrzył oniemiały, nie słysząc, co mówiła Francuzka. "Czyżby Sonia Kunieckaja jeszcze żyła?" - sam sobie stawiał to pytanie.

- Monsieur?

Podniósł powoli głowę niezbyt przytomny.

- Tak? - odezwał się stłumionym głosem.

- Monsieur, jeśli pan sobie życzy, to jest jeszcze inne zdjęcie, datowane Paryż, 16 grudnia 1953 r.

Stone przyglądał się tej drugiej fotografii, a jego zdumienie pogłębiło się. Wprost nie mógł uwierzyć oczom.

Zdjęcie zostało zrobione na ulicy, naprzeciwko radzieckiej ambasady. Sonię, jak i na poprzednim zdjęciu, otaczali groźnie wyglądający strażnicy, ale tym razem stała obok swego ojca, obok Winthropa Lehmana. Z drugiej strony Lehmana widniała szczupła, zabiedzona postać młodego Alfreda Stone'a, który zaledwie przed kilkoma miesiącami wyszedł z więzienia.

## 52. Moskwa

Jakow Kramer siedział w swoim kącie w wydawnictwie "Progress". Przed chwilą zakończył porcję pracy redaktorskiej na ten dzień. Był zmęczony i przygnębiony. Stefan dokonał już trzech zamachów bombowych w samym centrum Moskwy, a Awrama nie zwalniano. Nie było żadnej odpowiedzi na ich listy. Przeliczyli się. Wysłali dwa listy na Kreml i w obu grozili, że zamachy będą się powtarzały i że wkrótce publicznie ogłoszą swoje żądania. Wiedział, że Biuro Polityczne wolałoby uniknąć takiego publicznego upokorzenia, w szczególności tuż przed zbliżającym się w Moskwie szczytem. Pomimo to ukochany syn Awram nadal przebywał w szpitalu psychiatrycznym, a jego stan musiał się pogarszać z dnia na dzień.

Redakcja była już niemal pusta, choć Jakow wiedział, że Sonia wciąż jeszcze pracuje w swoim kącie po drugiej stronie sali. W każdej chwili mogła się pojawić, by przypomnieć, że czas już na powrót do domu. Uporządkował rzeczy na biurku i wstał, ażeby pójść po Sonię.

Właśnie szła w jego kierunku. Sprawiał mu irracjonalną radość fakt, iż kierowali się wspólnym instynktem robienia czegoś w tym samym czasie. W jakiś przedziwny sposób wyczuła, że jest już gotów do wyjścia.

Nie całowali się w biurze. Nie byli małżeństwem, a Rosjanie są przesiąknięci wiktoriańską pruderią w sprawie publicznego ujawniania uczuć. Lepiej było nie zrażać sobie ludzi. Jednak kiedy wyszli, wziął ją za rękę i poczuł przyływ gorących uczuć do tej kobiety. Kochał ją, i to z każdym dniem coraz bardziej.

Spotkali się tu, w wydawnictwie, przed laty. Jakow dopiero co wyszedł z łagru. Sonia, prześliczna kobieta, zamknięta w sobie i unikająca przyjaźni, była korektorką. Jakow, ceniony za swoje umiejętności, był ledwo tolerowany z uwagi na zniekształconą twarz. Wiedział, że większość ludzi przeraża taka fizyczna deformacja, i on również trzymał się z dala od innych. Skrycie marzył o drobnej korektorce o ciemnych włosach i błyszczących, zielonych oczach. Był przekonany, że jest to kobieta ze skomplikowaną przeszłością. Z jakich bowiem innych powodów prowadziłaby życie zakonnicy? Któregoś ranka, przechodząc koło jej boksu, Jakow zagadnął o coś w sposób, który ją zainteresował, zastanowił. Popatrzyła mu prosto w oczy, Jakow poczuł, że serce zabiło mu szybciej. I tak się zaczęło.

Tego samego dnia w porze przerwy obiadowej weszła do jego boksu niosąc kanapkę - razowy chleb z serem - i powiedziała, że chce się z nim podzielić. Nie była głodna. Był to gest dziecka szukającego przyjaciela. Zastanawiał się, czy nie czuje wobec niego współczucia. Rozmawiali, śmiała się z jego dowcipów, dyskutowali o literaturze, a wieczorem odprowadził ją do domu, w którym mieszkała z matką, i przed bramą w strugach

deszczu pocałował ją. Nie cofnęła się. Pragnął wiedzieć wszystko o jej życiu. Kiedy poznali się lepiej, od czasu do czasu opowiadała mu o jakiejś tragedii z przeszłości, ale wyłącznie w zarysach. Mówiła o nieszczęśliwej miłości, czy czymś podobnym. Pragnął wiedzieć o niej wszystko, pytał ją: Kim był ten mężczyzna, ten skurwysyn, który ją zostawił? Ona w odpowiedzi uśmiechała się blado i nie wyjaśniała. W miarę upływu przeżytych wspólnie lat, a pozostawali jedynie kochankami, Jakow dochodził do przekonania, że oboje zostali w przeszłości zranieni przez los, co obecnie przekształciło się w łączące ich więzi. Miał w tej chwili ogromną chęć opowiedzenia jej o tym, co robią razem ze Stefanem, ażeby wywalczyć wolność dla Awrama. Nie wolno mu było jednak tego zrobić. Być może zaaprobowałaby ich postępowanie, ale opowiedzenie jej o ich działaniu byłoby przejawem egoizmu. Nie wolno jej w żadnej formie angażować, narażać na niebezpieczeństwo. Nigdy nie może o tym wiedzieć.

Przypomniał sobie odwiedzin amerykańskiej reporterki i zastanawiał się nad tym, co właściwie Sonia starała się przed nim ukryć. Mówiły oczywiście o przeszłości, ale Sonia odpowiadała tak, że nie potrafił się zorientować, co było prawdą, a co nie.

Po pracy musieli zrobić zakupy. Stali w kolejce po chleb, potem po mleko, po jarzyny i wreszcie po kury, które wyglądały nieapetycznie. Kramer nie miał wątpliwości, że takie warunki stwarzano ludziom z rozmysłem. Musieli być tak zajęci i tak umęczeni, ażeby nie mogły im do głowy przychodzić myśli o buntowaniu się.

Potem długa jazda metrem i wreszcie po przejściu błotnistej podwórki wchodzili do holu budynku, w którym śmierdziało brudem i uryną. Wreszcie byli w domu. Złożyli zakupy w kuchni na stole i patrzyli na siebie przemęczeni, sfrustrowani, ciężko dysząc.

- Jakow, nie mam sił, żeby zabrać się za gotowanie - powiedziała wreszcie.

- Zostaw to. Ja dziś gotuję.

- Nie, i ty zostaw.

- Co ty mówisz. Wcale nie jestem zmęczony.

- Nie - podeszła do niego powoli i pocałowała go w oba policzki, ten dobry i ten zniekształcony, a potem w usta.

Wprawdzie z upływem lat zmieniła się nieco, ale nadal znajdował w niej coś, czemu nie mógł się oprzeć, co go chwyciło za serce, a kryło się w jej oczach. Nadal pociągała go seksualnie. Nie był młodym mężczyzną, nie potrafił już zachowywać się jak ognisty kochanek, ale nadal go podniecała. Było w niej coś, co powodowało, że czuł się mężczyzną. Ich zbliżenia nie były gwałtowne, ale za to pełne uczucia i miękkości.

Powoli, trzymając się za ręce przeszli do sypialni. Sonia rozebrała się i systematycznie ułożyła rzeczy na stoliku, na którym stała fotografia jej ojca. Kochali się, a potem leżeli obok siebie spleceni w uścisku. Zaczęła głaskać jego piersi i powiedziała:

- To tkwi tam zawsze, czyż nie?

- Co mówisz? - nie zrozumiał.

- Gniew. Nawet kiedy wypuszczą Awrama, on tam w tobie pozostanie.

Nie mógł z nią dyskutować. Wolał milczeć.

- Chcę, żebyś był bardzo ostrożny - powiedziała.

- O czym ty mówisz, Soniu?

- Mam czasami uczucie, że się nam bacznie przyglądają.

- To nie ma sensu - usiadł na łóżku.

- Jakow, nie musisz mi o niczym opowiadać. Chcę jedynie, żebyś zachował ostrożność.

- Soniu...

- Znalazłam na podłodze kopertę. Pustą, zaadresowaną do prezydenta.

Popatrzył na nią przerażony. Jak to możliwe? Tak bardzo starał się być ostrożny.

- Soniu, wyjaśnię...



- Nie, Jakow, nie wyjaśniaj niczego. Proszę. Nie wiem, czy robisz rzeczy złe czy dobre, wiem tylko, że coś robisz. I jestem przerażona - głos jej się załamał i mówiła teraz przez łzy. - Nie chcę, żeby ci się coś przydarzyło. Kiedyś opowiem ci o moim życiu, ale teraz nie mogę. Obiecałam milczeć. Chcę jedynie, żebyś był bardzo ostrożny. Dla nas obojga. Płakała, a on poczuł, że i jego ściska w gardle. Nie potrafił patrzeć na jej łzy. Chciał zapytać: Jak to możliwe, że aż tak mnie kochasz? Jestem taki ohydny, na zewnątrz i wewnątrz, jak monstrum - jak możesz mnie kochać? Nie mówił jednak nic i patrzył na nią w milczeniu przez łzy. Tak patrzy się na coś, co możemy w każdej chwili utracić.

## Waszyngton

Wczesnie rano Roger Bayliss, spięty wewnątrz, usiłował się zrelaksować w łaźni biurowca noszącego nazwę Executive Office Building, stojącego tuż koło Białego Domu. Wyciągał się w gorącej wodzie, gdy zabrzączał telefon. Sięgnął po słuchawkę. Dzwonił dyrektor CIA.

- Zatelefonuj do mnie, korzystając z zabezpieczonej linii - powiedział Templeton. Wyszedł z basenu, zawinął się w prześcieradło kąpielowe i poszedł do znajdującej się obok ubikacji, gdzie za czasów administracji Nixona zainstalowano przy pisuarach termiczne urządzenia do sflukiwania. Czujniki wykrywające ciepło najczęściej nie działały. W piętnaście minut później, już ubrany, ze swojego gabinetu telefonował do dyrektora.

- Tak, Ted - odpowiadał na pytanie dyrektora. - Orientujemy się zupełnie dobrze w tym, jak wygląda trasa jego ucieczki. Raport o zabójstwie w Paryżu faceta z Sekretariatu jest w pełni prawdziwy. To dla nas wskazówka.

Wysłuchał uwagi Templetona i powiedział:

- Tak, niech nasze służby paszportowe pozostają w pogotowiu, a agenci niech nadal prowadzą poszukiwania w kilku wytypowanych miastach. Uważam jednak, że szczególnie należy zwrócić uwagę na Paryż.

Ponownie słuchał przez chwilę i dodał:

- Wszystko wydaje się wskazywać na to, że go już wkrótce schwytemy. Będziemy go mieli. Stawka jest zbyt wysoka, by pozwolić mu umknąć.

## 53. Moskwa

Siergiej F. Abramow z sekcji badań specjalnych KGB jeszcze nigdy nie rozmawiał z przewodniczącym. Właśnie za chwilę miał się u niego stawić osobiście, co wprowadziło go w stan nerwowego napięcia. Przed czterdziestoma minutami sekretarka Dusia wpadła do laboratorium z rozszerzonymi z emocji oczami i powiedziała, że wzywa go przewodniczący KGB. O co może chodzić? Wysłano już samochód, który zawiezie Abramowa na Łubiankę, gdzie znajdował się gabinet Pawliczenki.

Czekając w sekretariacie, starał się opanować drżenie nóg i przysłuchiwał się bezmyślnie rozmowom telefonicznym sekretarki. Abramow nadal nie wiedział, co ma o tym myśleć. Czyżby przewodniczący czytał jego raport o tym, że bomby zostały zrobione z amerykańskiego plastiku? To było mało prawdopodobne, a poza tym, z jakich to powodów przewodniczący miałby osobiście rozmawiać ze zwykłym technikiem?

Przez głowę przemknęła mu przerażająca myśl, że ktoś wykrył jego ściśle tajne kontakty z amerykańską reporterką, a przewodniczący chce w tej sprawie otworzyć śledztwo... Gdyby jednak istotnie tak było, to przewodniczący nie angażowałby się osobiście.

Zajęłyby się tym wydziały bezpieczeństwa wewnętrznego, szybko, profesjonalnie i bez rozgłosu.

O Boże, byle tylko nie to!

Nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich Andriej Pawliczenko. Wyglądał zaskakująco młodo. Był przecież po sześćdziesiątce. Włosy miał gęste i ciemne, być może farbowane, a na twarzy nie widać było zwiotczących mięśni.

- Towarzysz Abramow - Pawliczenko wyciągnął rękę do powitania.

- Mam zaszczyt - odpowiedział kłaniając się uniżenie.

- Proszę.

Przewodniczący poprowadził go w kierunku polakierowanych na biało podwójnych drzwi. Szedł sprężystym krokiem młodego człowieka. Zdenerwowanie spowodowało, że Abramow mówił bełkotliwie.

- Jestem zdumiony widząc, że tu są zwykłe drzwi - powiedział, kiedy znaleźli się w gabinecie.

Pawliczenko roześmiał się.

- Czy wiecie, że zanim wszedłem do tego gabinetu, a były to czasy Berii, słyszałem takie same opowieści? Wszyscy mówili, że gabinet Berii był bez drzwi. I któregoś dnia wezwano mnie do tego gabinetu, całkiem tak samo, jak was dzisiaj.

- I stwierdziliście, że w tych plotkach nie ma słowa prawdy - odważył się Abramow, nieco ośmielony. "Czego mógł chcieć przewodniczący? Boże, mam żonę i dwie córki na utrzymaniu. Po co się w ogóle z tą Amerykanką spotykałem? Co ja najlepszego zrobiłem? A wtedy myślałem, że to dobry pomysł".

- I stwierdziłem, że plotki były prawdziwe. - Pawliczenko robił wrażenie człowieka łagodnego i inteligentnego, co zdecydowanie kontrastowało z tradycją tego gabinetu, w którym przed nim zasiadali brutalni i okrutni szefowie machiny bezpieczeństwa państwa. - Przyszedłem o północy, gdyż Beria o tej porze urządzał spotkania, i jeden z jego sekretarzy wprowadził mnie do szafy. W każdym razie wyglądało to na szafę, na garderobę stojącą przy ścianie. Sekretarz nacisnął jakieś guziki i tył szafy się rozsunął ukazując gabinet przewodniczącego. Beria miał manię na punkcie własnego bezpieczeństwa. W wiele lat potem, kiedy mnie przypadła ta funkcja, z rozczarowaniem dowiedziałem się, że Andropow kazał wyrzucić tę szafę i zastąpić ją zwykłymi drzwiami. Przykro mi, że muszę was rozczarować.

- Wcale nie jestem rozczarowany, towarzyszu - powiedział Abramow.

Pawliczenko podszedł do mahoniowego biurka i usiadł za nim. Abramow zajął miejsce przed biurkiem, rozglądając się dyskretnie dokoła. Legendarny gabinet przewodniczącego był jeszcze bardziej luksusowy, niż to sobie wyobrażał. Wielki, imponujący i bogato udekorowany. Podłoga była wyścielona wielkimi, wspaniałymi dywanami z Azji Środkowej. Ściany wybito mahoniową boazerią, ponad którą znajdowały się jedwabne tapety w kolorze kości słoniowej i tylko jeden portret, założyciela radzieckiej tajnej policji Feliksa Dzierżyńskiego. Umeblowanie, poza biurkiem, stanowiły pokryte białym brokatem sofy i fotele oraz mahoniowe stoły. Gabinet wyglądał jak pokój pracy w pałacu jakiegoś barona.

Przyglądając się uważniej, Abramow stwierdził, że Pawliczenko wcale nie był przystojnym mężczyzną. Twarz miał raczej prostacką, wydatne kości policzkowe i ostro zarysowany podbródek. Miał na sobie bezbłędnie uszyty angielski garnitur. Po Moskwie krążyły dowcipy opowiadane przez ludzi mu nieprzychylnych, że Andriej Pawliczenko wyglądał jak gwiazdor filmowy, jeśli nie patrzyło się na niego od przodu.

Abramow wiedział, że przewodniczący jest człowiekiem niezwykle ostrego intelektu, zdolnym do błyskawicznego rozumowania, wyciągania wniosków i dostrzegania całości zagadnienia tam, gdzie inni widzieli jedynie fragmenty. Opowiadano, że miał talent

politycznego geniusza, a przede wszystkim umiejętność zjednywania sobie przyjaciół i sojuszników, co zadecydowało o jego olśniewającej karierze.

Przewodniczący KGB był jednak przede wszystkim doskonałym fachowcem.

Wszyscy w Komitecie słyszeli o jego wyczynach. W przeciwieństwie do większości jego poprzedników na tym stanowisku Pawliczenko wiele czasu spędził na Zachodzie, odbywając kadencje w Londynie, w Paryżu i w Waszyngtonie. W połowie lat pięćdziesiątych to on właśnie kontrolował sir Anthony Blunta, królewskiego kuratora, który był jednym z "wielkiej czwórki": Burgess, Maclean, Philby i Blunt. To on kierował kilkoma fałszywymi dezercjami oficerów KGB do USA, operacjami, które skutecznie zatrąły atmosferę w CIA. Abramow wiedział o tym wszystkim i bał się rozmawiać z tym człowiekiem.

- Czytałem wasz raport - zaczął przewodniczący.

Abramow poczuł, że kamień spada mu z serca. Dzięki Bogu, o to chodzi.

- Tak jest, towarzyszu - powiedział głośno.

- Zauważyłem, że sami kazaliście dać sobie próbki z poprzednich zamachów terrorystycznych. Budzi podziw wasza skrupulatność. Chciałoby się mieć tu więcej takich ludzi jak wy. Niestety nie mamy.

- Dziękuję, towarzyszu.

- Mogę wam powiedzieć, że to nie pierwszy sygnał, jaki otrzymuję, ostrzegający, że to CIA zaopatruje terrorystów.

- Czyżby, towarzyszu?

- Tak. A teraz powiedzcie, co was skłoniło do ponownego dokonania analizy wykonywanej uprzednio przez innych? Czy nie jesteście zadowoleni ze sposobu pracy w laboratorium? Jeśli tak, chciałbym o tym coś wiedzieć.

Abramow nie mógł powiedzieć, że prosiła go o to amerykańska korespondentka.

Powiedział więc:

- Po prostu instynkt, towarzyszu przewodniczący. Zwykły instynkt.

Pawliczenko wyciągnął się w fotelu. Wyglądał na zmęczonego.

- Mówiono mi, że jesteście jednym z najlepszych.

- Nie sądzę, by tak było, towarzyszu.

- Od tej chwili chcę, żebyście wy przejęli kontrolę nad sprawą. Gdyby nastąpił nowy zamach, tylko wy będziecie dokonywać analiz. Gdyby była potrzeba powołania zespołu, oczywiście jedynie w wypadku absolutnej konieczności, wy obejmiecie kierownictwo i tylko wy jesteście odpowiedzialni. Odpowiadacie bezpośrednio przede mną.

- Ależ...

- Nie martwcie się o szczeble służbowe. Ja się tym zajmę. Przyjacielu, wiem wszystko o biurokracji i o tym, jak rządy mogą wpadać w kryzys tylko dlatego, że jakiś urzędnik rano pewnego dnia zasnął. Mógłbym wam dokładnie powiedzieć, jakie poczynania śledcze podejmowane są w związku z tą sprawą, ale pozwólcie, że powiem tylko jedno - konsekwencje sprawy mogą być olbrzymie. Nic, co do tej pory robiliście lub będziecie robić, nie będzie już miało takiego znaczenia. Czy to jasne?

Starając się nie okazywać zdumienia, Abramow powiedział:

- Oczywiście, towarzyszu przewodniczący.

- Jeśli nie uda się nam dotrzeć do źródeł terroryzmu - mówił Pawliczenko, wstając z fotela - obawiam się, że wszyscy znajdziemy się w ogromnych kłopotach.

## 54. Paryż

- Oto jest - powiedział Dunajew, kładąc na stół w hotelowym pokoju zakupiony pistolet. - Mój przyjaciel robił, co mógł, ale i tak musiał zapłacić za tę zabawkę okropną cenę

ośmiuset franków.

- Dziękuję - odpowiedział Stone, biorąc broń do ręki. Był to austriackiej produkcji Glock 17, kaliber 9 mm, niewielki i lekki, gdyż rękojeść wykonana była z bardzo gęstego plastyku. Załadował magazynek i zarepetował. - Doskonały. Robi wrażenie precyzyjnego. - I taki jest. Używaj go na zdrowie.

Zaśmiali się, a Stone ze schowka w pasku wyjął plik pieniędzy. Położył je na stole i podsunął Dunajewowi.

- Chciałbym, ażebyś to dla mnie przechował. Włóż w jakieś bezpieczne miejsce, może do bankowego sejf. Gdybyś potrzebował, weź coś dla siebie.

Dunajew spochmurniał:

- Nigdy by mi to na myśl nie przyszło.

- Jak na kogoś, kto zabija, ażeby żyć, jesteś ogromnie moralny - powiedział Stone jowialnie.

- Zabijam tylko wtedy, kiedy są po temu powody - Dunajew mówił powoli. - Nie ma tu szczególnych różnic pomiędzy nami. I ty też zabiłeś.

- Tak - przytaknął skinieniem głowy. - Raz, w Chicago, i może jeszcze będę musiał. Wstał i sprawdził w szafie, czy zapakował wszystko, co było mu niezbędne. Rzeczy niepotrzebne, w tym część odzieży, pozostawił u Dunajewa.

- Nie czuję się już tu bezpiecznie - mówił. - Szczególnie po tym, co wydarzyło się na Pere-Lachaise.

Dunajew potakiwał.

- Moi przyjaciele żandarmi już cię szukają.

- Skąd wiesz?

- Chodzą od hotelu do hotelu i pokazują twoją fotografię. Nie idzie to szybko, ale administracje hoteli będą współpracować. Nie jesteś tu już bezpieczny. Nigdzie nie jest dla ciebie bezpiecznie. Gdybym cię ukrył w moim mieszkaniu, też mogliby cię odnaleźć.

- Potrzebuję jeszcze kilku godzin. O tej porze nie ma lotów...

- Znam takie miejsce - przerwał Dunajew. - Znajdziesz bezpieczne schronienie u kobiety, która spotkała cię w kawiarni.

- U tej rudej?

- Tak. Ona jak na razie nie jest zagrożona. Nie łączą jej ze mną.

- A co ją z tobą łączy?

Dunajew wzruszył ramionami i splótł ręce.

- Nie jestem głupi. Jeśli sądzisz, że uciekłem z Moskwy nie zapewniając sobie bezpieczeństwa, to mnie nie doceniasz.

- A co zrobiłeś?...

- Jak większość pracujących w służbach specjalnych zbierałem dokumenty, które chroniłyby mnie przed moimi chlebodawcami. Różne szyfrówki, raporty, listy płac. Listy agentów radzieckich zakonspirowanych we Francji lub niemieckich ministerstwach. Nawet po upływie kilkudziesięciu lat listy te są bardziej wartościowe niż platyna. Niektórzy ze znajdujących się na nich agentów zajmują teraz wysokie stanowiska. Za każdym razem, jak byłem w Paryżu, chomikowałem jakąś partię materiałów.

- U tej kobiety? Tej prostytutki?

- Tak, to prostytutka. Tak, ona je dla mnie przechowuje. To moje ubezpieczenie na życie.

- Dlaczego ona to robi?

- Z lojalności, z wdzięczności. W czasie II wojny światowej miała czternaście lat i już była prostytutką. Naziści odkryli, że pracuje dla Resistance. Stała wraz z innymi na podwórzu i miała być rozstrzelana. Ja wtedy przeniknąłem do nazistowskich organizacji w Paryżu. Byłem nazistą, jednym z nich. Tego wieczora stałem na tym podwórzu i zobaczyłem ją.

Mogłem uratować jej życie i zrobiłem to. A ona teraz trzyma dla mnie moje archiwum. To najbezpieczniejsze miejsce. Czy znasz Paryż?

- Trochę.

- W dzielnicy Marais znajduje się mała uliczka rue Malher - wyciągnął składany plan miasta, rozłożył i pokazał to miejsce grubym palcem. - To tu, ale z uwagi na mnie i na nią, nie bądź tam długo. Dokąd lećisz?

- Do Moskwy.

- Do Moskwy! Zwariowałeś, to szaleństwo. Wkładasz głowę w paszczę smoka.

- Być może, ale nie mam wyboru. Jeśli nie pojedę, to i tak niemal z pewnością zabiją mnie. Jeśli pojedę... to moja jedyna nadzieja. Jeśli uda mi się nawiązać kontakt z ich siatką, być może będę mógł skorzystać z ich środków, by ujawnić całą tajemnicę, a tym samym chronić samego siebie. W interesie własnego kraju powinni pomóc.

Dunajew w zamyśleniu potakiwał.

- Powinni, tak - powiedział.

- A kim właściwie są ci oni? Co o nich wiesz?

- Słyszałem, że określa ich się mianem starowierców. Starowiercy... Stone napotkał to określenie w jakimś szczególnym kontekście... Gdzie?

- Słyszałem, że zaczęło się to w schyłkowym okresie Stalina, kiedy przeprowadzano masowe czystki, mordowano bez umiaru. Ich szeregi rosły. Mówi się, że mieli swoich ludzi nawet na Kremlu. Zapewne słyszałeś, że kiedy Nikita Chruszczow znalazł się w kłopotach, przygotowywano przewrót przeciwko niemu, ktoś z ochrony pracujący u jednego ze spiskowców uprzedził Chruszczowa. Mówią, że to była robota starowierców. Uważali w tamtych czasach, że Chruszczow jest ostatnią nadzieją ojczyzny.

Starowiercy, teraz Stone sobie przypomniał. Była wzmianka na ich temat w liście Alfreda Stone'a. W liście, który znalazł w sejfie bankowym w Cambridge. Czyżby on coś słyszał, coś wiedział na ten temat?

- Każda taka podziemna sieć musi mieć swoje kierownictwo, swojego przywódcę - powiedział Stone. - Musisz mi pomóc... Kto to jest? Kim są ci ludzie?

- Tak, jest przywódca. Jego imię trzymane jest w tajemnicy.

- Musi być jakaś droga...

Dunajew skinął głową. Jego twarz wyrażała napięcie.

- Co nieco wiem - zaczął mówić. - Jesteś ekspertem od mojego przez Boga zapomnianego kraju i musiałeś słyszeć o jednej z największych zbrodni II wojny światowej. O zbrodni ludobójstwa popełnionej przez NKWD, porównywalnej jedynie ze zbrodniami nazistów. Mówię o masakrze w Lesie Katyńskim.

- Oczywiście, że słyszałem. W 1940 roku zabito tam tysiące, kilkanaście tysięcy polskich oficerów. Jeden z najbardziej brutalnych epizodów II wojny światowej.

- Drogi przyjacielu, nie znasz nawet połowy prawdy. Przez całe lata zbrodnia była umiejętnie ukrywana przez rząd radziecki. Nawet wielki Winston Churchill nie chciał, by ujawniono zbrodnię, obawiając się, że będzie to miało wpływ na wysiłki wojenne sojuszników. Nawet teraz Zachód zna tylko część prawdy.

- Czy to ma jakikolwiek związek z tym, o czym mówimy?

- Na wiosnę 1940 roku gdzieś zaginęło nagle piętnaście tysięcy polskich oficerów.

Inżynierowie, lekarze, profesorowie i generałowie. Dostali się do niewoli radzieckiej. Stalin obawiał się, że Hitler zacznie posądzać Rosjan o uwięzienie elity polskiej armii i postanowił się ich pozbyć. Ładowano ich na ciężarówki i do autobusów, transport za transportem, wieziono w las i ustawiano nad wielkimi, świeżo wykopanymi dołami.

Stone słuchał, zastanawiając się nad tym, co to wszystko może mieć wspólnego ze starowiercami.

- Mordowano ludzi strzałem w tył głowy. Trwało to dzień po dniu. Ciała spadały na

ciała. Było to tak upiorne, że nawet ludzie NKWD, twardzi, bezwzględni mordercy, źle to znosili. Kilku potem zwariowało. Ciała leżące w dole zaczynały się rozkładać, a egzekucje wciąż trwały. Wykonywali je głównie ludzie z NKWD, ale przysłano im do pomocy oddziały żołnierzy z Armii Czerwonej, którzy początkowo nie wiedzieli, po co ich tu skierowano. Po kilku dniach tego piekła, kiedy smród i zaduch stały się nie do wytrzymania, niektórzy z żołnierzy mieli tego dość. Zbuntowali się. Ich dowódca wraz z nimi wystąpił przeciwko sadystom z NKWD. Wszyscy zostali natychmiast aresztowani i wysłano ich do Moskwy, gdzie mieli stanąć przed sądem wojennym. - Dunajew zrobił chwilę przerwy i zamknął oczy.

- I co?

- I, drogi przyjacielu, sąd się nie odbył. Niespodziewanie odłożono proces.

- Stalin nakazał?

Dunajew zaśmiał się cierpko.

- Stalin nigdy o tym nie słyszał. Było to dzieło pewnego nieznanego człowieka. Kogoś bardzo potężnego, ale przede wszystkim odważnego, kto nie obawiał się zaryzykować, żeby uratować kilku dzielnych żołnierzy.

- Czy to ten człowiek stoi na czele siatki? Kto to jest?

- Nie znam jego nazwiska. Wiem, że przeżył. On założył sieć konspiracyjną składającą się z wiernych członków partii, którzy nie mogli się pogodzić z tym, co robił Stalin.

- A więc ten człowiek żyje?

- Tak mówią.

- Jak można do niego dotrzeć?

- Sam chciałbym wiedzieć. Chciałbym ci pomóc.

Przez jakiś czas obaj siedzieli w milczeniu.

- Czy możesz pomóc mi w przedostaniu się do Moskwy?

- Jeśli jesteś taki głupi, że chcesz tam jechać, to tak - potrząsnął głową jakby z politowaniem. - Mam nadzieję, że nie masz zamiaru zrobić tego nielegalnie.

- Jedynie idiota albo zawodowy i odpowiednio przeszkolony agent mógłby czegoś takiego próbować. Nie, ja muszę tam wjechać całkiem legalnie i potrzebuję wizy. Tyle że nie mam czasu czekać, a to może trwać tygodniami.

- Nie zawsze. Jeśli na przykład jakiś wpływowy niemiecki biznesmen dojdzie nagle do przekonania, że musi lecieć do Moskwy, radziecka ambasada załatwi mu to z przyjemnością.

- A czy znasz sposób szybkiego zdobycia wizy?

- Jest ktoś w ambasadzie w Paryżu, z kim utrzymuję kontakty. On to może załatwić.

- To byłoby nadzwyczajne, ale ja nie mam nawet kilku dni.

- Przypuszczam, że będę to mógł załatwić w kilka godzin. Jeśli znajdę uzasadnienie dla pośpiechu, to on nam pomoże.

\*\*\*

Krepy Rosjanin o siwych włosach schodził po schodach. Z góry widział hotelową recepcję. Zauważył w pewnym momencie coś, co go zastanowiło i spowodowało, że się zatrzymał. Z recepcjonistą rozmawiało dwóch francuskich policjantów. Było już zbyt późno na towarzyską rozmowę. Policjanci czegoś chcieli. Dunajew natychmiast domyślił się, o co chodzi. Zdradzały to ich ruchy. Pokazywali urzędnikowi fotografię, pytali o numer pokoju. Nie miał wątpliwości, że szukali Charlesa Stone'a. Zawrócił i nie spiesząc się ruszył w kierunku pokoju, w którym został Stone. Było jasne, że francuska policja wpadła na trop człowieka poszukiwanego w USA pod zarzutem zdrady.

Zapukał cicho do drzwi i powiedział po rosyjsku:

- Otwórz, to ja.

Stone otworzył zdziwiony i zobaczył przerażoną twarz Dunajewa.

- Uciekaj! Uciekaj natychmiast! - zasyczał Rosjanin.

55.

Pospiesznie pozbierał najbardziej potrzebne rzeczy - paszport, pieniądze, kasety i magnetofon. Sądził, że nie zostawia nic, na podstawie czego mogliby go zidentyfikować.

- Skontaktuję się z tobą. Załatw wizę - ścisnął rękę starego czekisty i wybiegł z pokoju. Skierował się do schodów służbowych, które prowadziły na hotelowe podwórko i do piwnicy, gdzie znajdował się bar i magazyny. Zaraz po wprowadzeniu się do hotelu zbadął dokładnie otoczenie. Coraz lepiej rozumiał konieczność rozpoznania topografii miejsc, gdzie się zatrzymywał. Droga, jaką wybrał, wydawała się najlepsza do szybkiego wycofania się. Wyszedł na podwórze i rozejrzał się. Drzwi do pralni były otwarte. Wszedł, minął niewielkie pomieszczenie i odkrył kilka schodków prowadzących do zamkniętych drzwi. Domyślił się, że wychodzą na małą uliczkę Visconti za hotelem. Klucz był w drzwiach, przekreślił go i otworzył drzwi. Znalazł się na małej, wąskiej uliczce. Skądś dochodził płacz dziecka. Starając się nie robić hałasu, przebiegł koło budynku, na którym widniał napis "Ville de Paris Creche Municipale", potem minął szereg galerii z obrazami. Biegł w kierunku rue de Seine.

- Au voleur!

Był to głos policjanta, który wyłonił się nagle zza rogu. Policjant ruszył w jego kierunku. Biegł i krzyczał, wzywając innych, by do niego dołączyli. Stone skoczył do przodu. Gnał tak szybko, jak tylko potrafił, ale prześladowców było już kilku. Mieli liczebną przewagę.

Dopał do rue de Seine, pędem wziął zakręt i stwierdził, że ulica o tej porze była prawie pusta. Jego wzrok zarejestrował coś szczególnego: oparty o ścianę czerwony motorower peugeot. Za siodelkiem przytwierdzony był metalowy kosz z napisem "Allo Postexpress". Właściciel, który zapewne przed chwilą pozostawił pojazd, właśnie przechodził na drugą stronę ulicy. Widząc, że Stone wskakuje na siodelko, zaczął krzyżeć.

"Przykro mi - pomyślał Stone uruchamiając silnik. - Mnie jest teraz o wiele bardziej potrzebny niż tobie".

Silniczek zawył i Stone pomknął w dół rue de Seine. W tyle pozostali biegnący za nim właściciel pojazdu i policjanci.

W chwilę potem zorientował się, że ściga go policyjny samochód. Widział go w lusterku wstecznym. Jechał z włączonymi i migającymi światłami, z uruchomioną syreną. Wyraźnie się zbliżał.

Małeńki peugeot miał znakomite przyspieszenie. Skręcił w kierunku rzeki i znalazł się na Quai Malaquais, gdzie panował dość duży ruch. Wpadł w prąd. Omal nie wpakował się pod jakieś renault. Na wielkim placu przed renesansowym budynkiem z kolumnadą, w którym znajdował się Institut de France, zmienił kierunek jazdy, wjeżdżając na chodnik. Zgubił pogoń.

Jadąc Pont Neuf przekroczył Sekwanę i wjechał w Ile de la Cité. W jakiejś odległości za nim wyły policyjne syreny. Czy go naprawdę zgubili? Skręcił w prawo na Quai des Orfevres, w kierunku Palais de Justice. Uświadomił sobie, że tu może być pełno żandarmów. Wycie syren wyraźnie zbliżało się. Nagle z boku pojawił się drugi samochód policyjny, zapewne wezwany przez radio. Stone dodał gazu i skręcił gwałtownie w kierunku Pont au Chande. Znowu jechał pod prąd. Szczęśliwie z przeciwnej strony nadjeżdżało kilka samochodów. Usłyszał za sobą pisk hamulców. Samochód policyjny musiał zjechać na bok. Odwrócił głowę i zobaczył, jak jeden z wozów policyjnych zderza się z jadącym z przeciwnej

strony volvo.

A jednak ich nie zgubił. Doganiał go teraz policjant na motocyklu. Stone przeciął jezdnię i wjechał w wąską rue des Archives, idącą nieco pod górę. Potem skręcił kilka razy w równie wąskie zaułki. Przynajmniej na razie pościg zniknął. Skręcił ponownie w prawo i znalazł się na rue de la Verrerie. Po prawej stronie zobaczył budynek garażu z reklamą wypisaną w języku angielskim. Wjechał do środka i zgasił silnik, a motorower oparł o ścianę. W budce przed garażem siedział strażnik, pękaty człowiek w średnim wieku w kombinezonie robotnika. Nie było czasu do stracenia. Liczyła się każda sekunda. Stone wyciągnął z kieszeni banknot dwustufankowy i machając strażnikowi przed nosem powiedział:

- Wywieź mnie stąd, a potem dostaniesz jeszcze raz tyle samo.

\*\*\*

Bagażnik samochodu wypełniał niepodzielnie smród gnoju, a ściany pokrywały warstwy brudu przypominającego szlam. Strażnik sarknął, ale kiedy Stone dodał jeszcze dwieście franków do sumy zaliczki, zgodził się. Stone podał adres, a ten otworzył kufer starego renaulta i Stone wlaźł do środka. Wieko bagażnika zamknęło się nad nim. Skulony w ciemności słyszał warkot zapuszczanego silnika. Ruszyli.

Ponownie wycie syreny policyjnej. Zawodziła głośno i była coraz bliżej, nie potrafił jej zagłuszyć warkot starego silnika. Musiała być już o kilka metrów od ich wozu. Wiozący go samochód zazgrzytał i stanął. Słysząc było głosy rozmawiających. Trwało to długo, za długo...

Czyżby policja domyślała się, że jest w środku? Z uczuciem ogromnej ulgi poczuł, że ruszają. Samochód trząsł się i podskakiwał na nierównym bruku. Podróż nie trwała długo, kilka minut. Stanęli ponownie, a kierowca wyłączył silnik. W chwilę potem usłyszał stukanie w karoserię tuż nad uchem.

- Chcesz wysiąść, to musisz mi dać jeszcze pięćset franków - usłyszał gburowaty głos.

- W porządku. Dostaniesz te pieprzone pięćset, ale wypuszczaj, bo zaraz zemdleję.

Pokrywa się otworzyła i Stone zobaczył, że stoją na jakimś podwórzu. Przekręcił się chcąc wygrzebać z bagażnika, ale tamten przytrzymał go.

- Na Boga! - wyciągnął portfel, a z niego pięćset franków. Dziękował Bogu, że wymienił dość pieniędzy. Wręczył banknot i wygramolił się z bagażnika. Strażnik natychmiast odjechał, a Stone zaczął szukać właściwego wejścia. Odnalazł i ciemną klatką schodową wszedł na trzecie piętro. Znalazł mieszkanie i zadzwonił. Nikt nie odpowiadał.

- Gównu - mruknął półgłosem. Było już po północy. Czyżby nikogo nie było w domu?

Raz jeszcze sprawdził adres: 15, rue Malher. Zgadza się. A co zrobi jeśli...?

Ponownie nacisnął dzwonek i trzymał wciśnięty przez kilka sekund. Nagle drzwi otworzyły się, a w nich ukazała się ubrana w błękitny szlafrok przyjaciółka Dunajewa, prostytutka. Ze zdumieniem stwierdził, że nawet w nocy ma nałożony na twarz makijaż.

- Cześć - powiedział Stone.

Moskwa

Było już po północy. Charlotte Harper ciągle jeszcze siedziała w redakcji i usiłowała wyłowić cokolwiek z długiego i usypiającego wywiadu radzieckiego przedstawiciela na temat znaczenia radziecko-amerykańskiego szczytu. W pewnym momencie zadzwonił telefon.

Była zdumiona. O tej porze rzadko się zdarzało, ażeby w redakcji dzwonił telefon.

Natychmiast gdy podniosła słuchawkę, z dolatujących dźwięków zorientowała się, że to



rozmowa międzypaństwowa. Szybko wyliczyła, że w Nowym Jorku jest czwarta po południu. Zapewne z Centrali.

- Czy to Charlotte? - nieco zachrypły głos kobiety wydał się jej znajomy.

- Tak, kto mówi?

- Charlotte, o Jezu. Nie wierzyłam, że będziesz tam o tak późnej godzinie. Która u ciebie, pewnie po północy?

Czasami nie słyszy się głosu starego przyjaciela latami, ale usłyszawszy rozpoznaje się natychmiast.

- Paula?

- Oczywiście. O Boże, jak dobrze, że cię znalazłam. Wręcz niewiarygodne.

- Co porabiasz? I ja nie mogę uwierzyć. Tyle czasu...

- Charlotte, uważaj. Nie mogę długo rozmawiać. Sprawa jest skomplikowana. Nawet przerażająca.

- O czym mówisz?

- Mówię o... no wiesz, domyślisz się, kiedy powiem, że o twoim dobrym przyjacielu.

- Nie bardzo mogę... - czyżby miała na myśli Charliego? Co, do diabła, Paula może mieć z tym wszystkim wspólnego?

- Słuchaj, to długa historia. Nie wiem jednak, jak się z tym twoim przyjacielem skontaktować. Zgaduję, że on będzie próbował porozumieć się z tobą. Jeśli tak, to musisz przekazać mu wiadomość.

- Paulo, sądzę... - "Sądzę, że nie powinnaś o tym mówić przez telefon", chciała powiedzieć. Charlotte nie miała pojęcia, co robić, jak się zachować, słuchać czy położyć słuchawkę.

- Gdybyś z nim mówiła, możesz mu coś przekazać? Możesz to zanotować?

- Oczywiście...

Paula była ogromnie zdenerwowana. Jak i ile można było przez telefon powiedzieć?

Zaczęła:

- Napisz, że wpadłam na ślad.

- Na ślad?

Co powiedzieć, a żeby nie powiedzieć zbyt wiele? Jak wytłumaczyć, że ustaliła, czyj numer telefoniczny widniał na karcie kredytowej, którą zostawił jej Stone, że był to numer Fundacji Amerykańskiego Sztandaru w Waszyngtonie.

- Powiedz mu... o Jezu, Charlotte, ja się naprawdę boję o niego.

- Paulo, proszę, bądź ostrożna w tym, co mówisz - wyszeptała w słuchawkę Charlotte.

- Charlotte, powiedz mu, że facet, który go w Chicago zaatakował, jest powiązany z taką grupą w Waszyngtonie. To taki rodzaj współpracownika amerykańskich agencji wywiadowczych. - Boże, myślała Paula, czy to jasne? Czy Charlie zrozumie? Czy nie powiedziała zbyt wiele?

Charlotte czuła, że traci oddech.

- Paula, muszę już odłożyć słuchawkę. Jeśli tylko będę mogła, to mu powiem. Nie mogę teraz dłużej rozmawiać. Przykro mi.

Położyła słuchawkę i patrzyła na wyłączony ekran telewizora czując, jak ją wypełnia strach. W pustym biurze rozlegało się ciche cykanie zegara.

## 56. Moskwa

Czarny żił Andrieja Pawliczenki wjechał w bramę główną Łubianki, siedziby KGB przy placu Dzierżyńskiego. Bramę otworzyli dwaj żołnierze w szaroniebieskich mundurach służby bezpieczeństwa wewnętrznego. Zajrzeli przez szybę do wozu, a żeby się upewnić, czy

to rzeczywiście przewodniczący, i zaszalutowali.

Spotkanie, jakie go czekało, miało się odbyć nie w jego gabinecie na trzecim piętrze, ale w jednym z pomieszczeń ukrytych w podziemiach gmachu na Łubiance. Naukowiec, którego uczynił odpowiedzialnym za śledztwo w sprawie zamachów bombowych w Moskwie, poprosił o pilne spotkanie. Znaczyło to, że wykrył coś ogromnie ważnego. Przy wejściu Pawliczenkę powitał skinieniem głowy jego sekretarz i bez słowa poprowadził szefa do niedawno zainstalowanej zachodnioniemieckiej windy. Po wejściu do windy odezwał się:

- Mówił, że ma niezwykle ważną sprawę.

Pawliczenko skinął głową i oparł się o ścianę windy. Napięcie ostatnich dni dawało o sobie znać.

Winda zjechała kilka pięter w dół. Rozsuwające się drzwi ukazały długi korytarz o ścianach świeżo malowanych na biało. Podłogę wyłożono białym piaskowcem. Sekretarz szedł przodem i otworzył drugie z rzędu drzwi.

Pokój, do którego weszli, był niemal bez mebli. Jedynie pod ścianą stał bar z metalowym blatem, a na środku biały stół konferencyjny, wokół którego ustawiono wygodne fotele. Na jednym z nich siedział Abramow z zatroskanym wyrazem twarzy. Pawliczenko odnotował, że fizyk miał na sobie tani, seryjny garnitur, w którym rękawy i nogawki były za krótkie.

- Towarzyszu - Pawliczenko podszedł i uściśnął jego pulchną rękę - co się stało?

Tamten popatrzył na stojącego za plecami przewodniczącego jego sekretarza i cicho powiedział:

- Muszę z wami pomówić w cztery oczy, towarzyszu.

- Oczywiście - odwrócił głowę i powiedział: - Dziękuję, Alosza. Zawołam cię, jak skończymy.

Gdy zostali sami, Abramow zaczął:

- Towarzyszu przewodniczący, kierunek, w jakim zdążają moje badania, zaczyna napawać strachem. Sprawa się komplikuje.

Pawliczenko poczuł zaniepokojenie. - Słucham?

- Dokonałem dokładnej analizy każdej z bomb, które ostatnio wybuchły, i za każdym razem otrzymuję takie same wyniki: materiał wybuchowy, plastik i dynamit, został dostarczony z zapasów CIA.

- Tak, to już wiemy - Pawliczenko był zniecierpliwiony.

- Zacząłem jednak dokonywać analizy innych fragmentów każdej bomby, w szczególności zapalników, obudowy, detonatorów. I przykro mi, ale wszystko to pochodzi z zapasów KGB.

- Co chcecie przez to powiedzieć?

- To, że bomby mogły zostać wykonane przez kogoś z naszych własnych szeregów.

Użyto jedynie amerykańskich środków wybuchowych.

- Kto jeszcze o tym wie?

- Nikt, tak jak poleciliście, zajmuję się wszystkim sam. Zwłaszcza, kiedy zorientowałem się, że to może być dzieło któregoś z naszych ludzi. Uważałem, że przede wszystkim was trzeba poinformować.

Pawliczenko gwałtownie wstał z fotela.

- Mój sekretarz odbierze od was pełną informację. Musimy skompletować pełną listę nazwisk ewentualnych podejrzanych - nacisnął guzik ukryty pod blatem stołu. - Jestem wam wdzięczny - powiedział do Abramowa.

W drzwiach stanął sekretarz Pawliczenki.

- Pozwólcie ze mną - zwrócił się do fizyka.

Abramow niezgrabnie wstał z krzesła i wyszedł za sekretarzem z pokoju.

Pawliczenko usiadł ponownie i czekał. Po chwili wstał, podszedł do baru i nalał sobie czystej whisky. Przyszło mu do głowy, że zachęcenie tego człowieka do przeprowadzenia dokładnych analiz, z jednoczesnym odizolowaniem go od innych pracowników laboratorium, było bardzo mądrym posunięciem. Jedyne człowiek w KGB, który zaczął żywić jakieś podejrzenia, nie będzie mógł nic powiedzieć. Tylko tak działając mógł mieć pewność, że nie będą się rozchodzić żadne pogłoski, że tylko on będzie tym poinformowanym, że nikt nie dotrze do sedna sprawy. Usłyszał strzał z pistoletu tłumiony przez betonowe ściany. Odgłos dobiegł z pokoju obok. Poczł niespodziewanie wyrzuty sumienia. Było mu przykro, że zrobił to, co musiał, ale sprawa tego wymagała. Uśmiechnął się ponuro i pociągnął potężny łyk whisky.

## 57. Paryż

Budynek, w którym Stone znalazł schronienie, znajdował się w dzielnicy Marais, niegdyś zamieszkaney przez różne grupy etniczne. W latach osiemdziesiątych, w okresie przebudowy i modernizacji miasta, charakter dzielnicy uległ zmianie, a mieszkanie tutaj stało się czymś bardziej prestiżowym. Pięciopiętrowa kamienica wyłożona była betonowymi płytami. Z trzech stron otaczały ją małe, wąskie uliczki: rue Pavée, rue Malher i rue des Rosiers. Były trzy wejścia do budynku, a na parterze znajdowały się lokale kilku firm, w tym zakładu pogrzebowego, włoskiej restauracji, małego sklepu z antykami, baru-kawiarni, piekarni i "Félix Potin", otwarty przez 24 godziny sklep z artykułami spożywczymi pierwszej potrzeby.

Starszy komisarz Christian Lamoreaux z paryskiej policji nie wiedział jeszcze, że właśnie o tę kamienicę chodzi. Wiedział jedynie, że Amerykanin zniknął gdzieś w tej okolicy, zamieszkaney przeważnie przez ortodoksyjnych Żydów.

Do Lamoreauxa telefonował jego zwierzchnik, szef paryskiej policji René Melet, do którego z kolei telefonował ktoś z CIA - Lamoreaux domyślał się, że ktoś z samych szczytów Agencji zainteresowany jest jak najszybszym aresztowaniem Amerykanina, który, jak się dowiedzieli, był obecnie agentem pracującym dla czerwonych. Melet uczynił Lamoreauxa odpowiedzialnym za przeprowadzenie akcji i zalecił mu użycie wszystkich sił, jakie miał do dyspozycji. Przy tego rodzaju zaleceniach siły te były rzeczywiście poważne.

Amerykanin umknął im jednak, uciekając na motocyklu ulicami Paryża jak szalenciec.

Niedługo jednak będą go mieli. Amerykanin popełnił błąd, kryjąc się w Marais. Przestrzeń, którą należało objąć poszukiwaniem, nie była zbyt wielka. Liczba drzwi, do których należało zadzwonić, mieszkań, jakie trzeba było przeszukać, była ograniczona.

\*\*\*

- Co właściwie zrobiłeś? Z jakich powodów musisz uciekać? Słyszę policyjne syreny - prostytutka była wyraźnie podejrzliwie nastawiona.

- Co się dzieje, mamó? - w korytarzu pojawił się masywny kilkunastolatek w brudnej koszulce gimnastycznej i w przepoconych spodenkach. - Kim jesteś? - z groźną miną zwrócił się do Stone'a.

- Zostaw, Jacky! - rozkazała synowi. - To przyjaciel - ponownie zwróciła się do Stone'a. - Co właściwie zrobiłeś?

- Oskarżono mnie o coś, czego nie zrobiłem.

- W Paryżu?

- W Ameryce. To skomplikowane. Dunajew pomyślał, że mogłabyś mnie przechować przez noc - w kilku słowach wyjaśnił, co zaszło w ciągu minionej godziny.

- To dlaczego nie oddasz się w ręce policji? - znowu odezwał się chłopak, który najwyraźniej bez powodzenia usiłował zapuścić brodę. - Jeśli rzeczywiście jesteś niewinny, nie masz się czego obawiać.
- Jacky, nie wtrącaj się - powiedziała ostro matka.
- To nie takie proste - dodał Stone. - Czy mogę wejść?

\*\*\*

Ponad siedemdziesięciu pięciu policjantów skierowano tej nocy na służbę do XX Dzielnicy na poszukiwanie zbiega. Przeszukano zaułki, śmietniska, parkingi i garaże. Zatrzymywano i przepytывano każdego przechodnia. Kilkudziesięciu policjantów szło od domu do domu i dzwoniło do mieszkań. W każdym podejrzanym wypadku przeprowadzano rewizję.

\*\*\*

- Zrobię wszystko, o co poprosi mnie Fiodor - powiedziała kobieta, nalewając mu kubek mocnej kawy. - To jednak niewielka kamienica. Mogą dotrzeć do nas i wtedy znajdą cię bez kłopotów.
- Zadzwoił telefon, co spowodowało, że wszyscy troje podskoczyli na krzesłach. Kobieta podniosła słuchawkę. Rozmawiała z kimś niecałą minutę, wysoko unosząc brwi.
- To moja sąsiadka z przeciwnej strony ulicy - wyjaśniła odkładając słuchawkę. - Mówi, że jej kamienicę przeszukuje policja. Szukają jakiegoś zbiega. Przeszukiwali jej mieszkanie.
- Muszę się gdzieś skryć - powiedział Stone.
- Odsunęła zasłonę z okna i wyjrzała na ulicę.
- Ona mówiła, że nasza kamienica jest otoczona. Wygląda na to, że miała rację.
- A co jest na dachu? - Stone pytanie skierował do syna.
- Nie - odpowiedział chłopiec. - Dach nie ma połączenia z dachami innych kamienic. Nie ma sąsiednich budynków.
- Nie ma jakiejś innej drogi? - ponaglał Stone. - Tunelu, przejścia...
- Twarz syna wykrzywiła się nagle w kwaśnym uśmiechu. Powiedział:
- Mam pomysł. Chodź, zejdziemy tylnymi schodami.
- Podążając za chłopcem, Stone zbiegał wąską i ciemną klatką schodową. Po chwili znaleźli się na podwórzu. Biegli tak cicho, jak tylko mogli, wiedząc, że każdy hałas może zwrócić uwagę policji.
- Mamy tu coś, czego nie ma w nowoczesnych domach - szepnął chłopak, gdy znaleźli się na środku podwórza.
- Co takiego?
- Popatrz.
- Chłopak wskazywał na okrągłą betonową pokrywę tkwiącą w metalowych ramach. Zamykała wejście do czegoś znajdującego się pod ziemią.
- Razem z kumplami czasami tam wchodzimy.
- Kanały.
- Tak, nie sądzę, żebyś miał inne wyjście.
- Nie, chyba nie mam - zgodził się Stone. - Co tam jest? Wiesz, dokąd to prowadzi?
- Nie czytałeś "Nędzników" Wiktora Hugo? Jean Valjean, kiedy ukradł bochenek chleba, uciekał kanałami Paryża.
- Nie czytałem - przyznał Stone. - A na musical nie mogłem dostać biletów.
- Chłopak poszedł do znajdującego się w pobliżu magazynku dozorczy i przyniósł

wielki, żelazny hak. Zaczepił go za otwór w pokrywie.

- Pomóż mi - szepnął.

Z wysiłkiem odciągnęli betonowe koło. Z otworu buchnął smród. Stone wymacał nogą metalowy szczebel.

- Niestety nie możemy za sobą zamknąć pokrywy. To można zrobić jedynie z zewnątrz. Przyciągniemy ją tylko nieco bliżej. Być może policjanci pomyślą, że zrobili to chuligani, tacy jak ja i moi przyjaciele. Możesz wytrzymać ten smród? - w głosie chłopca wyczuwało się nieco lekceważenia.

- Teraz mogę wytrzymać absolutnie wszystko - odpowiedział Stone, schodząc za chłopcem do wjazdu.

58.

W miarę jak schodzili w dół, smród stawał się coraz gorszy. Chłopak miał latarkę, której promień zwrócił ku górze, ale oświetlał jedynie stopy Stone'a. Uchwyty, których się trzymali, były oślizłe i pokryte rdzą. Trudno było znaleźć bezpieczne oparcie. Znajdując się już niemal na dole, Stone pośliznął się i wpadł w gęsty szlam.

Brnąc wąską rynną wypełnioną wodą, doszli do większego kanału, łączącego kanały boczne, wąskie, mroczne tunele, którymi ściekały wszelkie nieczystości. Tunel, którym teraz szli, był szeroki na około półtora metra i wysoki na dwa metry. Od góry łączyły się z nim studzienki, poprzez które ściekała woda z ulicznych rynsztoków. Woda płynęły jakieś odpadki, pomięte paczki papierosów, plastikowe opakowania, kawałki drewna. Wzdłuż murów ciągnęły się rury. Weszli na betonowy występ biegnący wzdłuż tej brudnej, podziemnej rzeki.

- Zaprowadzę cię do głównego tunelu, żebyś trafił potem do wyjścia. Stamtąd będę musiał zawrócić - powiedział chłopak.

- Jestem ci wdzięczny - dalej szli betonowym pomostem. - A w ogóle jak ci na imię?

- Jacques. Jacky.

- Miło było cię poznać, Jacky.

- Przychodzimy tu czasami z przyjaciółmi. Kiedy się wyjdzie z tego kanału, to dalej już łatwiej. Idzie się po suchym. Tunel staje się szerszy.

- Po co tu przychodzicie, dla draki?

Z jednego z bocznych tuneli buchnęła fala smrodu fekaliiów. W miarę jak szli do przodu, mijali kraty wlotu ulicznych studzienek. Migotały przez nie światła, widać było ruch uliczny.

- Tak, czasami dla draki. Te kanały mają łącznie około dwóch tysięcy kilometrów, ale łatwo się zorientować, gdzie jesteś. Popatrz. - Skierował światło latarki do góry. Na ścianie widniała tablica z nazwą ulicy, pod którą się znajdowali. - Szybko się można nauczyć. Skręcamy w lewo.

Weszli w inny tunel, o wiele obszerniejszy, z szerszą betonową ścieżką przy ścianie. Jacky wszedł na tę ścieżkę, a Stone poszedł za nim.

- Teraz powinno być łatwiej. Tak będziemy szli przez jakiś czas. Jeszcze nie tak dawno pływano tędy maleńkimi łódkami, ale policja zabroniła. Bandyty używali tej drogi do przewożenia skradzionych towarów.

Stone sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów.

- Zabiją trochę smród - powiedział i zaoferował chłopcu papierosa. Ten wziął i odpalił od Stone'a. Zaciągnął się i zakrztusił. Być może nigdy jeszcze nie palił.

- Powiedz tak naprawdę, co zrobiłeś? - zapytał Jacky.

- Mówiłem już, zastawiono na mnie pułapkę.

- Pułapkę - powtórzył chłopak. - To znaczy, że musisz mieć wrogów.
- I ja tak myślę.
- Kto to jest?

Stone odpowiedział dopiero po chwili:

- Nie wiem na pewno. Mam swoją teorię.
- Szli przez chwilę w milczeniu, po czym Jacky zapytał:

- Jesteś żonaty?
- Myślę, że tak.

Jakiś dźwięk przed nimi. Tą samą betonową ścieżką w ich kierunku posuwał się jakiś cień.

- Kto? - zapytał Stone.
- Szczur.

Stone nigdy nie widział szczura tak wielkiego i nie wyobrażał nawet sobie, że takie istnieją. Szczur przebiegł koło nich, ocierając się o spodnie Stone'a. Ten wzdrygnął się i mimowolnie krzyknął:

- Jezu!

Chłopak też się wstrząsnął, ale natychmiast opanował.

- Tu są jeszcze większe - powiedział. - Stój, a to co? - zamarł.
- Niczego nie słyszę - szepnął Stone.
- Cicho. Tam coś jest.

Przez chwilę stali nieruchomo, nasłuchując. Z oddali dobiegały jakieś odgłosy różniące się od czasami słyszalnego ulicznego szumu.

Jacky zgasił światło i znaleźli się niemal w całkowitej ciemności. Odgłosy stawały się wyraźniejsze. Stąpanie czyichś kroków, ocieranie się metalowych przedmiotów o ściany, wreszcie głosy ludzkie.

- Czy możesz coś zobaczyć? - zapytał Jacky.
- Trochę - oczy Stone'a powoli oswajały się z ciemnością.
- To idziemy. Trzymaj się muru. Przypuszczam, że znaleźli otwarty właz. Przekłęci, teraz nie mogę cię zostawić.

Szli powoli. Stone wyraźnie już słyszał czyjeś głosy i widział czasami światło latarek migające na murze.

- To na pewno oni - szepnął chłopak. - Tędy.

Biegli najciszej, jak to było możliwe. Rękami dotykali muru.

- Tu skręcamy - szepnął chłopiec.

Weszli w wąski tunel opadający dość ostro w dół. Brodzili w wodzie, która chwilami sięgała im do pasa. Stone martwił się o swój paszport i kasety, które miał w kieszeni na piersiach, jeszcze suche.

Głosy się oddalały. Jacky wyprowadził ich w kolejny, szerszy tunel ze ścieżką pod ścianą. Spływająca z nich woda chlapała głośno o beton. Znowu jakiś szmer od przodu. Ponownie cień biegnącego szczura.

Jacky zaświecił latarkę, ażeby odczytać nazwę ulicy na murze.

- Jeśli będziemy się zachowywali cicho, mogą nas nigdy nie odnaleźć - powiedział.
- Poszukajmy innego kanału głównego - zaproponował Stone.
- Musi być gdzieś blisko.

Teraz wyraźnie słysząc było męskie głosy. Ktoś wołał:

- Tutaj! Tutaj!
- Ruszajmy! - wyszeptał pospiesznie Stone, popychając chłopca. Biegli ponownie, rękami dotykając muru.
- Poczekaj - chłopak się zatrzymał - znam drogę, której policjanci chyba nie znają.
- Bujda.

- Może niektórzy z nich tak, ale naprawdę niewielu ją zna - w głosie chłopca brzmiała duma.

- To na co czekamy!

Głosy dobiegały z tunelu, który przed kilkoma minutami opuścili. Jacky skręcił w wąską, cuchnącą śluzę, a Stone za nim. Przebrnęli przez wodę na drugą stronę i biegli przez chwilę innym tunelem.

- To tu! - triumfalnie szepnął Jacky.

- Gdzie?

- Tu, na górze. Nie widzisz? - światło latarki wydobyło z mroku kratę w suficie kilkanaście centymetrów nad ich głowami.

- Pomóż mi - szepnął Jacky.

Stone splótł ręce przed sobą, a chłopak postawił na nich nogę.

- Tędy! - dobiegł ich czyjś zdyszany głos z głębi tunelu, którym przyszli.

Stone podniósł chłopca, a ten złapał obiema rękami kratę i popchnął ją do góry. Otworzyła się z metalicznym zgrzytem. Chłopak pospiesznie przecisnął się przez otwór wjazdu. Wyższy i silniejszy Stone podciągnął się sam, wykorzystując rury ułożone wzdłuż ściany. Gdy byli obaj po drugiej stronie, Jacky szepnął rozkazująco:

- Zamknij.

Stone z wysiłkiem włożył kratę w miejsce, z którego ją odsunęli.

- Czy wiesz, gdzie jesteśmy?

- Szsz! - zasyczał Jacky.

Głosy w tunelu wydawały się być tuż pod nimi. Stone posuwał się teraz w ciemności za Jackym. Nie uszli daleko. Po kilku metrach natrafili znowu na kratę. Chłopak popchnął ją i krata otworzyła się.

- Uważaj - szepnął. - Tutaj wyjście jest trudne.

Szli jakimś wąskim przejściem. Podłoże zasypane było kamieniami. Weszli do czegoś, co przypominało jaskinię. Stone zrozumiał, że to już nie są kanały. Nie było wody, wilgoci i smrodu.

- Gdzie, do diabła, jesteśmy? - zapytał.

Chłopak zapalił latarkę i oświetlił ścianę przed nimi. Stone patrzył oniemiały. Ściany na pierwszy rzut oka wydawały się szare i nierówne. Po bliższym przyjrzeniu Stone ze zgrozą zrozumiał, że był to mur zrobiony z kości ludzkich. Czaszki i piszczele gęsto poukładane w równych rzędach tworzyły ściany. Na belce umieszczonej nad wejściem widniał napis:

ARRETÉ!  
C'EST ICI L'EMPIRE DE LA MORT  
"Stop! Tu jest imperium śmierci". Byli w katakumbach.

## 59. Chicago

Paula Singer nie oczekiwała nikogo. Dzwonek u drzwi odezwał się za piętnaście dwunasta. Oglądała jakiś show w telewizji, a ponadto zaczynała już drzemać, więc dotarł do jej świadomości dopiero trzeci sygnał.

Zawiązała szlafrok, podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Po drugiej stronie stał potężnie zbudowany, elegancko ubrany mężczyzna. Miał okrągłą twarz i długie bokobrody.

- Słucham? - zapytała uprzytamniając sobie, że dochodzi północ. Postanowiła nie otwierać, zanim się całkowicie upewni, z kim ma do czynienia.

- Przepraszam, że przeszkadzam, miss Singer - obcy nie mówił z amerykańskim akcentem. Znał jednak jej nazwisko.

- Kim pan jest?

- Jestem przyjacielem Charliego Stone'a - odpowiedział tamten. Teraz było jasne, że ma obcy akcent. - Prosił, żeby przekazać pani informację.

- Proszę przekazać.

Mężczyzna zaśmiał się i wstrząsnął.

- To zabierze pani kilka sekund, a tu jest zimno.

Z wahaniem otworzyła drzwi.

- To proszę... - więcej nie zdążyła powiedzieć. Mężczyzna popchnął ją z taką siłą, że upadła. W ręku miał rewolwer.

- Nie, proszę! - zaczęła płakać. - Proszę - powoli wstawała z podłogi. Lufa wycelowana była prosto w jej głowę.

- Zachowuj się spokojnie, Paulo - mężczyzna zamknął drzwi.

- Czego chcesz?

- Gdzie jest Charlie Stone? - mężczyzna wydawał się ogromny i silny. Z całą pewnością nie był Amerykaninem.

- Nie wiem. - powiedziała cicho.

- Zastanów się. Wiesz. Nie kłam, proszę.

Co się stało? Czyżby widzieli ich w Toronto? Może na lotnisku.

Zadzwoił telefon. Pewnie ktoś z biura. Czyżby to było możliwe, że ktoś ich śledził...?

Czyżby to miało coś wspólnego z tą Fundacją Amerykańskiego Sztandaru?

- Wstawaj, Paulo. Tak, dobrze. Idź przed siebie, powoli... powoli. Teraz był z tyłu za nią. Była tak przerażona, że nie mogła wydobyć z siebie słowa. Może strzelić jej w tył głowy. Wreszcie zdołała wydusić z siebie:

- Dlaczego przypuszczasz, że ja coś wiem? Nie mam pojęcia, naprawdę - szła powoli na miękkich, płaczących się nogach w kierunku sypialni. "Boże! On mnie zgwałci! Jezu, nie pozwól, ażeby... Boże!" - przelatywało jej przez głowę.

- Połóż się na łóżku, Paulo.

- Nie, proszę, nie!

- Chcę tylko wiedzieć, dokąd pojechał. Byłaś z nim. Nie potrafiła tego dłużej wytrzymać.

- Wyjechał z kraju - wyszeptała.

- To nieprawda. Proszę, powiedz mi prawdę - wyciągnął z kieszeni kilka długich, skórzanych pasek, najprawdopodobniej chcąc skrępować jej ręce.

- O Boże, nie, nie rób tego!

Dlaczego nie chciał jej wierzyć? Uświadomiła sobie, że Charlie miał fałszywy paszport. Na jakie nazwisko?

- Musisz być ze mną szczerą.

- Proszę, uwierz mi, on wyjechał z kraju. Wyleciał z Toronto. Miał jakiś inny paszport.

Napastnik zatrzymał się. Trzymane w lewej ręce skórzane paski zwisały w dół. To, co usłyszał, najwyraźniej zainteresowało go.

- Dokąd poleciał?

Myśl, która przyszła Pauli do głowy, spowodowała, że serce zabiło jej szybciej.

Pistolet. Charlie dał jej pistolet, który włożyła do nocnej szafki.

- Pozwól, niech pomyślę - chciała zyskać na czasie. - Mam gdzieś plan jego eskapady.

Przygotowało to biuro podróży - mówiła niepewnym, trzęsącym się głosem. - Czy to ci wystarczy?

Potwierdził niewyraźnym mruknięciem.

Odwróciła się, schyliła i wysunęła szufladę. Odsunęła jakieś papiery i nerwowo

szukała ręką... Był. Czowała zimną, twardą stal. Ogarnęło ją podniecenie, nawet radość. Nagłym ruchem odwróciła się i wycelowowała w mężczyznę. Ten rzucił się na nią i w tym momencie



pociągnęła za spust... i nic. Pistolet nie wystrzelił. Niewyraźnie uświadomiła sobie, że należało odsunąć bezpiecznik. Mężczyzna był już przy niej i w tym momencie z całej siły kolanem kopnęła go w jądra. Zawył z bólu i przegiął się w pół. Był potężny, silny i nie miała wątpliwości, że to fachowiec. Nie oczekiwał jednak odruchów obrony i tego, że wiedziała, jak się bronić. To dawało jej chwilową przewagę. Zanim się wyprostował, złapała go za nogę i szarpnęła nim. Stracił równowagę i z całą siłą zwałił na podłogę. Wykorzystała ten moment i uciekła z sypialni do kuchni. Słyszała, jak się podnosi. Po takim upadku większość ludzi byłaby półprzytomna, ale facet musiał być silny jak muł i wysportowany. Wpadł za nią do kuchni i przygniótł ją do piecyka. Wyczuwała jednak, że kopnięcie w jądra i upadek musiały go osłabić. W czasie szamotania wypadł mu pistolet. Chwytem, którego się nauczyła na kursie, złapała go za szyję i z całej siły przegięła tak, że głową uderzył o metalową kuchnię. Strach i wściekłość dodawały jej sił. Pamiętała mężczyznę, który przed rokiem usiłował ją zgwałcić. W tym momencie łokciem udało się jej przesunąć kurki od gazu. Palniki, do których przyciskała głowę mężczyzny, zapłonęły. Kuchenka już od pewnego czasu szwankowała i palniki zapalały się natychmiast pełnym płomieniem. Tak było i w tej chwili. W pierwszym momencie, przytrzymując z całych sił napastnika, poczuła smród palących się włosów. Zawył nieludzkim głosem. Jego głowa i twarz znajdowały się w płomieniach. Szarpnął się i z potworną wręcz siłą rzucił Paulę na podłogę łamiąc jej kark. Była ostatnim człowiekiem, jakiego zabił.

## 60. Moskwa

Wewnątrz gmachu na Łubiance, w którym przed rewolucją mieściło się towarzystwo ubezpieczeń, znajduje się wielka sala jadalna, z której korzysta jedynie przewodniczący KGB i zaproszeni przez niego goście. Sala przypomina wnętrze katedry. Ma wysokie łukowate sklepienie, ściany wykładane dębową boazerią, a w okna wprawione witraże zrabowane z pewnej cerkwi w okresie stalinowskiej kampanii antyreligijnej. W tym pomieszczeniu przewodniczący KGB Andriej Pawliczenko spotykał się ze swoim osobistym lekarzem. Lekarz był rówieśnikiem Pawliczenki, ale wyglądał na co najmniej dziesięć lat starszego. Był czołowym neurologiem w klinice kremlowskiej, w której leczyli się członkowie Biura Politycznego i członkowie KC. Klinikę prowadził IV Departament Ministerstwa Zdrowia, podporządkowany jednak w pełni KGB.

Lojalność lekarza wobec Pawliczenki wynikała jednak nie z administracyjnego podporządkowania. Przed laty córka pewnego partyjnego dygnitarza zaszła z nim w ciążę. Wybuchł skandal. Pawliczenko interweniując spowodował, że sprawa została wymazana z jego akt, i uratował karierę lekarza. Od tego wydarzenia jego niewypowiedziana lojalność wobec Pawliczenki była niezmienna.

Obaj panowie siedzieli za stołem i rozmawiali półgłosem, choć towarzyszące rozmowie napięcie było łatwo wyczuwalne. Pawliczenko przypomniał sobie, że właśnie w tej sali jadł kiedyś obiad w towarzystwie Berii. Było to 9 marca 1953 roku. Datę tę pamiętał doskonale. Był wtedy młodym oficerem tajnej policji i ogromnie mu imponowało, że Beria zaprosił go na obiad. Szczególnie w takim dniu.

Przed południem pochowali Stalina. Beria wygłaszał przemówienie pełne najwyższych pochwał pod adresem zmarłego. Syn Stalina, Wasyl, całkowicie pijany, lżył Berię, nazywał go "skurwysynem" i "świnia". Beria się tym nie przejmował. Zmobilizował swoje siły, otoczył miasto, dał innym członkom kierownictwa do zrozumienia, kto trzyma władzę w ręce.

Pawliczenko brał udział w mobilizowaniu sił policji. Pamiętał, że był wtedy

przekonany, że Beria i Stalin to jedno. Być może nadejdzie dzień, kiedy on będzie dowodził tymi czołgami, bronią maszynową i oddziałami - marzył wtedy.

W czasie tamtego pamiętnego obiadu Beria po raz pierwszy powiedział młodemu, rozemocjonowanemu oficerowi o swoim planie przewrotu. Chciał, żeby Pawliczenko odegrał rolę łącznika między pewną Rosjanką a bardzo bogatym i wpływowym Amerykaninem. Chodziło o dokument, który należało zdobyć. Opublikowanie tego dokumentu miało wstrząsnąć radzieckim kierownictwem, rozbić je i otworzyć przed Berią drogę do władzy. Berii się to jednak nie udało. Pawliczenko musi.

\*\*\*

Nikt, ani Beria, ani żaden z obecnych członków radzieckiego kierownictwa, nie wycierpiał tyle co Pawliczenko. Jego rodzice byli ukraińskimi chłopami. Ich gospodarstwo było małe, niewielkie pole uprawne, koń i krowa. Były to czasy stalinowskiej kampanii na rzecz kolektywizacji i wojny przeciwko tym, których określano mianem "kułaków". W toku tej wojny siedem milionów Ukraińców - jedna piąta całego narodu - zmarło z głodu.

Rodzinę Pawliczenki zakwalifikowano do kułaków. Pewnego poranka, kiedy miał dopiero trzy lata, on, jego dwie siostry i rodzice zostali wysiedleni, a ich mizerne gospodarstwo - skonfiskowane przez państwo. To, co zostało w domu, zabrali sąsiedzi. Im zapowiedziano, że będą wysłani do obozu pracy pod Krasnojarskiem na Syberii.

W pociągu panował nieopisany ścisk. Mały Pawliczenko omal nie ogłuchł od krzyków i lamentów deportowanych chłopów. Po jakimś czasie pociąg zatrzymał się na stacji w małym ukraińskim miasteczku. Ładowano prowiant. I tam, w tłumie zalegającym perony dworca, Pawliczenko i jego siostry zgubili rodziców. Pociąg ruszył, a dzieci pozostały na dworcu. Władze, które nie mogły się doliczyć nawet dorosłych deportowanych, nie interesowały się dziećmi. Przez wiele godzin Pawliczenko i jego siostrzyczki nie potrafili zrozumieć, co się właściwie stało. Głodni i wynędzniali poszli drogą przed siebie, prosząc o pomoc. Po kilku dniach udało im się dotrzeć do jednej z sąsiednich wiosek, gdzie żył ich stryj, który zaopiekował się przerażonymi dziećmi, a potem je adoptował. Dopiero wiele lat później otrzymali informację, że ich rodzice zmarli w obozie pod Krasnojarskiem.

Młody Andriej Dmitrijewicz, w którym rosła głęboka nienawiść do ustroju odpowiedzialnego za tragedię jego rodziców, szczególnie dokładnie zapamiętał gorący i deszczowy dzień lata 1934 roku. Gwałtowna i długotrwała ulewa zmyła ziemię z masowego grobu, w jakim przed rokiem pochowano setki zmarłych z głodu mieszkańców wsi. Prąd wody porwał trupy z wierzchniej warstwy i płynęły one główną drogą wsi.

Pawliczenko otworzył drzwi chałupy stryja i zobaczył rozkładające się ciała.

Wydawało mu się, że wyciągają po niego ręce. Zaczął straszliwie krzyczeć.

\*\*\*

Przez wiele lat nie kontaktował się z Sanctum. Od momentu, w którym otrzymał nominację na szefa głównego I Zarządu KGB. Doprowadzało to Amerykanów do szału, gdyż liczyli na to, że będą mieli swojego człowieka w samym centrum maszyny radzieckiego wywiadu. Pawliczenko jednak był stanowczy. Żadnych kontaktów. Byłoby to nazbyt ryzykowne.

On był M-3, gdyż taki kryptonim nadano mu w Sanctum. Nosił go od 1950 roku, a więc praktycznie przez całe swoje dorosłe życie, co zadecydowało o tym, że stale był w cieniu, zmuszany do ustawicznej czujności, powodowany niepewnością, czy nie zostanie w każdej chwili zdemaskowany. A wszystko zaczęło się od głupiego błędu, na jaki sobie pozwolił młodziutki absolwent szkoły KGB, dopiero co ożeniony Pawliczenko. W

największej tajemnicy - w każdym razie tak sądził - spotkał się w Kijowie z działaczem antyradzieckiego ruchu ukraińskiego, z człowiekiem, którego poglądy w pełni podzielał. Amerykański wywiad zrobił z tego spotkania zdjęcie. Mieli go w garści. Początkowo wpadł w przerażenie, potem był oburzony, wreszcie sprawę spokojnie przemyślał i doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy stało się dobrze.

Pamiętał swoje pierwsze spotkanie z agentem, który miał go prowadzić. Nazywał się Oliver Nyland i przez lata był szefem działu kontrwywiadu w CIA. Spotkali się potajemnie w Londynie, w miejscu starannie i ostrożnie wybranym przez Nylanda. Młody, ambitny Pawliczenko był zdumiony wyglądem Amerykanina. Przypominał roztargnionego i nie dbającego o siebie profesora uniwersytetu. Miał na sobie źle skrojone tweedowe ubranie, u koszuli brak było guzika. Długie zmierzwiłone włosy opadały mu na uszy, a piwne oczy wydawały się zmęczone. Wcale nie wyglądał na asa wywiadu, choć w tej dziedzinie rzeczywistość rzadko odpowiadała wyobrażeniom.

- Obserwowaliśmy cię już od pewnego czasu - mówił Nyland. - Od czasu kiedy jeden z twoich krewnych wyemigrował. Wiemy o historii trojga dzieci, których rodzice zostali zabici w latach kampanii na rzecz kolektywizacji. Zabici przez ludzi Stalina. Zostaliście zaadoptowani przez stryja, który był na tyle przezorny, że zmienił wam nazwiska, żeby Rosjanie was nie prześladowali.

Pawliczenko słuchał zdumiony tym, jak wiele o nim wiedzieli. Nawet KGB przyjmując go w swoje szeregi i rutynowo sprawdzając jego przeszłość, nie doszedł do tego, że został adoptowany i dzięki łapówce danej lokalnemu urzędnikowi zmienił nazwisko. W okresie burzliwych lat trzydziestych na Ukrainie archiwa na ogół poginęły i służba bezpieczeństwa wewnętrznego w KGB nie znalazła niczego podejrzanego.

W toku tej rozmowy Amerykanin powiedział mu:

- Mamy możliwość ułatwienia ci kariery w KGB. Dojdiesz do najwyższych stanowisk. Będziemy ci dostarczać informacji ogromnej wagi, dzięki temu będziesz sprawiał wrażenie o wiele bystrzejszego i przebiegłego, o wiele bardziej dalekowzrocznego, niż rzeczywiście jesteś.

Amerykanie go nie rozczarowali. Kiedy wyraził zgodę na współpracę, udzielili mu dokładnych instrukcji i dostarczyli sprzęt, dzięki któremu mógł się z nimi kontaktować pozostając w ukryciu. W bochenkach chleba, jakie kupował w piekarni na ulicy Gorkiego, dostarczano mu szyfry jednorazowego użytku. Na każdej stronie znajdował się skomplikowany kod składający się z kolumn pięciocyfrowych liczb. Za pomocą tego klucza kodował lub rozkodowywał informacje. Szyfr był rzeczywiście nie do złamania, gdyż każdorazowo jedna jedyna jego kopia znajdowała się w Waszyngtonie. Początkowo przekazywał Amerykanom listy płac pracowników KGB i odpisy akt personalnych oraz schematy organizacyjne wydziałów, z czasem sporządzał oceny wywiadowcze i coraz ważniejsze informacje. Niekiedy za pomocą miniaturowej niemieckiej kamery, w jaką go zaopatrzone, robił fotografie dokumentów.

Materiały przekazywał Amerykanom podrzucając je w określonych miejscach. Np. podkładał kasety z filmami pod obłuzowane cegły w murze koło szkoły, do której uczęszczał jego syn. Czasami chodził do kina, siadał na wybranym miejscu, a płaszcz kładł na oparciu fotela przed nim. Gdy wychodził, w kieszeni płaszcza nie było już przedmiotów przeznaczonych dla tamtych. Bywały przelotne kontakty w zatłoczonych autobusach. O tym, że materiały dochodziły, informowano go za pośrednictwem kresek wykonywanych kredą na określonych słupach telegraficznych lub smołą na ścianie łaźni, do której chadzał. Otrzymał nawet numer telefonu w Moskwie. Był to numer pewnego prywatnego mieszkania, ale z tajnym połączeniem do mieszkania agenta, który go nadzorował. Z numeru tego miał skorzystać jedynie w razie szczególnej potrzeby. Szczęśliwie nigdy tego nie musiał zrobić.

\*\*\*

- Wszystko już przygotowane - powiedział lekarz. - Będziecie mieli nie zawał, ale atak przejściowego niedokrwienia mózgu.
  - Wyjaśnijcie to dokładniej.
  - W umówionym dniu nie będziecie mogli rano wstać z łóżka. Nie będziecie mogli mówić ani poruszać prawa stroną ciała. Oczywiście natychmiast przywieżą was do mnie, do kliniki. Ja wykonam zdjęcie, co jest normalnym postępowaniem w tego rodzaju wypadkach. Zdjęcie ujawni obszar martwicy niedokrwionej lewej półkuli mózgu. Powodem będzie złe funkcjonowanie jednej z tętnic, którymi dopływa krew do mózgu, a więc czopy zatorowe, płytki w tętnicach kręgowych lub w tętnicy szyjnej. Coś takiego zagrażało wam od dawna.
  - Znakomicie - Pawliczenko skinieniem głowy potwierdził swoją opinię. - Rozumiem, że powiadomicie, kogo należy, natychmiast o moim stanie. Kilka słów rzuconych tu, kilka tam. Niech wiedzą, że wy mnie leczycie. Mówicie o tym, powiedzmy, z braku skromności. Chodzi mi o to, ażeby wiadomość się rozeszła.
  - Tak jak w wypadku waszych domniemanych kłopotów sercowych.
  - Dokładnie tak samo. Czy są sposoby sfalszowania wyników moich badań?
  - Oczywiście, bardzo łatwe. W ostatnich latach mieliśmy do czynienia ze znaczną liczbą pacjentów o różnego typu zawałach. Mogę wziąć zdjęcie kogoś innego, kto miał rzeczywiście zawał, jak też wyniki komputerowego badania za pomocą ultradźwięków tętnic szyjnych innego pacjenta. Zmienię tylko dane osobowe i daty.
  - Czy po tego rodzaju ataku będę szybko powracał do zdrowia?
- Lekarz zastanawiał się przez chwilę.
- Szybko. Niektórzy pacjenci powracają do sił w ciągu kilku dni. To będzie całkiem wiarygodne.
  - Sprytnie pomyślane - mruknął przewodniczący KGB. Rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na witrażach. Był teraz pewien, że jego marzenia i marzenia jego narodu wkrótce zostaną spełnione.

## 61. Paryż

Stone pólleżał na chropowatym żwirze oparty o wilgotną, brunatną ścianę z kości. Znajdował się w Imperium Śmierci. Powietrze było przepojone wilgocią, miało kwaskowaty zapach. Przespał kilka godzin i obudził się ze zdrtwiałym karkiem. Czekał na powrót Jacky'ego. Kilkunastoletni syn prostytutki poznał smak przygody. To były jego tajemnice, jego i przyjaciół. Co pewien czas tym tajnym przejściem wdzierali się do katakumb i robili tu sobie party. Pili, palili papierosy, pisali coś na murach. Pobyt w kostnicy ekscytował ich, miał w sobie coś z zakazanego owocu. Niektórzy, jak sobie popili, widzieli nawet duchy. Jedyna zasada, jakiej wszyscy zawsze przestrzegali, brzmiała - nie wolno profanować zwłok. Na szczęście tej nocy żaden z wyrostków tu się nie wybrał i nie zakłócił snu Stone'a. Mógł tu spokojnie i bez obawy przebywać, gdyż katakumby otwierano dopiero około drugiej po południu. Miał więc dość czasu. Potrzebna mu była pomoc Dunajewa, jeśli ten będzie chciał jej udzielić i uzna, że w niczym mu to nie zagraża. Dał Jacky'emu paszport na nazwisko Robert Gill i kopertę z trzema zdjęciami. Było to potrzebne Dunajewowi przy załatwianiu wizy do ZSRR. Jacky zgodził się pomóc. Opowiadał potem Stone'owi, że noc spędził u koleżanki, od której zatelefonował do matki, ażeby ją poinformować, że wszystko w porządku. Zadzwoił

też do Dunajewa. W tym czasie, gdy Dunajew załatwiał wizę, Jacky wybrał się po zakupy. Stone dał mu długą listę tego, co należało kupić. Na liście tej znalazł się metalowy grzebień, niezbyt drogi garnitur o rozmiarach odpowiednich dla Stone'a, sweter, buty typu trampki, podróżna torba, przybory do golenia, pasta i szczoteczka do zębów.

Na razie była piąta rano, a straż katakumb, jak poinformował go Jacky, przychodziła dopiero po południu.

Wstał i przespacerował się. Pod stopami chrzęścił żwir. Latarką oświetlił ściany. Zdumiewała ich wymyślna struktura. Tworzyły je symetrycznie poukładane piszczele, czaszki, kości udowe. Ponure zwały szczątków ludzkich. Gdzieś tam poumieszczano napisy informujące, skąd i kiedy przywieziono tu kości. Pierwsza partia pochodziła z cmentarza Les Innocents i przetransportowano ją tutaj w 1786 roku. W kolejnych dekadach nadsyłało dalsze partie z nazbyt zatłoczonych cmentarzy paryskich, zapewne głównie szczątki ludzi ubogich.

Jacky opowiadał mu, że w latach II wojny światowej miał tu swoje kryjówki francuski ruch oporu, Resistance, o czym nic nie wiedzieli naziści buńczucznie paradujący ulicami Paryża. Podświadomie zdał sobie sprawę z tego, że jest śmieszny w porównaniu z tymi ludźmi z ruchu oporu. Przypomniawszy sobie, jak na początku całego łańcucha zdarzeń myślał, że wszystko ujawni, zmusi tych potężnych do przyznania się, do zrehabilitowania jego i ojca. Nadzieje te przysły. Myśl, że musi wybrać się do Moskwy, była przerażająca. Nie miał wątpliwości, że również tam mogą go osiągnąć ręce tych amerykańskich fanatyków. Nie miał jednak wyboru.

Powrócił na miejsce, z którego wstał, wyciągnął się na miałym żwirze, oparł plecami o kolumnę z kości ludzkich i zapadł w głęboki sen.

## Moskwa

Charlotte spacerowała po korytarzu redakcyjnym koło dalekopisów tam i z powrotem. Myślała o korespondencji, nad jaką pracowała, o Charliem, o zbliżającym się szczycie. Zastanawiała się nad różnymi sprawami, a więc na żadnej nie potrafiła się skoncentrować. Aby czymś się zająć, zerwała z dalekopisu taśmę i przebiegła oczami po kolejnych informacjach. Uwagę jej przykuło nazwisko Paula Singer.

Mieszkanca Chicaga znaleziona martwa w swoim mieszkaniu...

Najprawdopodobniej niedopałek papierosa spowodował pożar...

Patrzyła przerażona. Z ust wyrwał się jej krótki krzyk. Inni przebywający w redakcji, kamerzysta, producent, rosyjscy pracownicy, popatrzyli na nią, a Zinaida podbiegła, żeby sprawdzić, co się stało.

Charlotte wiedziała doskonale, że Paula Singer nigdy nie paliła papierosów.

## Paryż

Na twarz padło mu jakieś światło. Stone otworzył oczy, zamrugał i z uczuciem ulgi stwierdził, że to Jacky.

- Która godzina? - zapytał przecierając oczy.

- Dochodzi południe. Musimy się stąd zbierać. - No co?

- Wszystko załatwione. Ambasadę otworzono o dziesiątej, a o 10.30 była już gotowa wiza. Ten Dunajew, kimkolwiek by był, to cwaniak.

- Z pewnością.

- Kupiłem dla ciebie amerykańskie buty - w głosie Jacky'ego wyczuwało się brak

pewności. - Chyba dobrze zrobiłem?

- Doskonale.

Jacky dostał wszystko, co miał wypisane na liście.

Nie mieli zbyt wiele czasu i Stone spieszył się. Zaczął od rozmontowywania pistoletu.

Odbezpieczył go i wysunął magazynek. Sprawdził, czy w komorze nie pozostał nabój.

Zwolnił sprężynę, pociągając za spust. Rozległo się ciche, suche uderzenie iglicy. Trzymając teraz broń za lufę, odciągnął prowadnicę do tyłu, aż nastąpił cichy trzask. Kwadratowy blok zamka odskoczył. Lekcja udzielona mu przez Dunajewa nie poszła na marne.

Nie przestając odciągać prowadnicy, nacisnął dwa czopy znajdujące się po obu stronach lufy. Cała górna część odskoczyła od rękojeści. Podobał mu się ten pistolet marki Glock. Był precyzyjnie wykonany i bardzo lekki. Długi najwyżej na dwadzieścia kilka centymetrów.

Pistolet został rozłożony w ciągu kilku sekund. Poszczególne części położył na torbie, jaką przyniósł chłopak. Był to stalowy prostokąt lufy, prowadnica i sprężyna, magazynek wykonany niemal w całości z plastyku i kolba ze specjalnej, gęstej masy plastikowej.

Obejrzał uważnie kolbę. Wiedział, że nie był to stuprocentowy plastik. W ostatnich latach producenci do polimeru zaczęli dodawać stal. Chodziło o utrudnienie działalności terrorystom. Domieszka metalu była jednak bardzo niewielka, a urządzenia wykrywające mogły zarejestrować najwyżej coś podobnego do klucza. Gdyby włożył pistolet do torby, urządzenia wykrywające na lotnisku zarejestrowałyby kolbę. Wsunął więc ją w kieszeń na piersiach marynarki. Nie będą przecież przeprowadzali rewizji osobistej.

Metalowe części pozostałych składników broni stwarzały trudniejszy problem, ale Rosjanin, stary, zawodowy szpieg, podsunął Stone'owi kilka pomysłów. Lufę, prowadnicę i magazynki z nabojami ułożył więc ciasno obok siebie i całość owinał folią aluminiową. Pakuneczek wyglądał jak płaska sztabka, jak tabliczka czekolady. Szczyrykiem rozciął szef podszewki w torbie i schował tam zawiniątko. Położył na to ubranie, na ubranie metalowe pudełeczko z centymetrową miarą, które z kolei przykrył kurtką.

Rozpakował następnie przyniesione przez Jacky'ego mydło. Pod jedną ze ścian katakumb widział zbiorniczek wody bijącej najprawdopodobniej z ziemi. Przez kilka minut moczył w niej mydło. Potem wcisnął do torebki z przyborami do golenia nieco pasty do zębów. Znajdowały się tam metalowe pudełka do kremów, nożyki do golenia, metalowy grzebień. Rozmoczone i rozmiękłe mydło wrzucił również do torebki mieszając je z resztą znajdujących się tam przedmiotów. To, co zawierała, było teraz lepiącą się masą pachnącą mydłem i kremami.

\*\*\*

Opuścili katakumby inną drogą. Przez chwilę szli jednym z głównych kanałów, aż wyszli przez otwór kanalizacyjny przy rue Rémy Dumoncel, naprzeciwko apteki homeopatycznej z wielkim, zielonym krzyżem na wystawie. Kilku przechodniów przypatrywało się im z ciekawością.

- Co się, do diabła, gapicie! - wrzasnął w ich kierunku Jacky. - Zajmijcie się swoimi sprawami.

O jedną przecznicę dalej stał samochód pożyczony przez Jacky'ego od jego przyjaciela, wielki, czarny chevrolet z końca lat pięćdziesiątych. Na tylnym siedzeniu leżała walizka z rzeczami Stone'a. Ruszyli w kierunku lotniska.

- Wszędzie mnóstwo policjantów - chłopcu podobała się konspiracja, w jakiej uczestniczył. - Popatrz, ile tych glin. Na przystankach, na stacjach metra, wszędzie.

- Co robią?

- Węszą. Czasami zatrzymują ludzi.

- Podobnych do mnie.
- Tak mi się wydaje - chłopak uśmiechnął się. - Twój garnitur jest w strzępach.
- Krawiec sobie z tym poradzi. Czy wiesz, gdzie można kupić perukę?
- Perukę?

Magazyn Les Costumes de Paris, w którym wypożyczają się kostiumy do filmów i teatru, okazał się doskonale zaopatrzony, a Stone wybrał perukę o włosach w kolorze ciemny blond przyprószonych naturalną siwizną. Była doskonała. Włożył ją. Zmieniała go bardzo. Wyglądał teraz na szacownego biznesmena. Spośród dziesiątków strojów wybrał granatowy mundur oficera amerykańskiej marynarki, nieco za luźny, ale budzący respekt. Przypatrywał się sobie w lustrze. Stojący z boku Jacky patrzył krytycznym okiem.

- Nieźle - stwierdził - ale każdy, kto się przyjrzy uważnie, będzie wiedział, że to ty.
- To prawda, ale zawsze mogę zyskać na czasie. Zresztą będą szukali różnych moich wcieleń, tylko nie oficera. A co myślisz o wąsach?
- Czemu nie.

Wybrał jeszcze wąsy, siwiejące podobnie jak włosy na peruce, i uiścił opłatę za wypożyczenie oraz zastaw. Ogromnie dużo pieniędzy za niezbyt elegancki uniform, mierną perukę i wąsy.

Z pierwszej napotkanej na ulicy budki telefonicznej Charlie zadzwonił do Air France. Dokonał rezerwacji na wieczorny lot z lotniska Orly do Waszyngtonu, podając inne nazwisko, do zamówienia użył jednak własnej karty kredytowej. Jeśli szczęście mu dopisze, podstęp powinien się udać. Pomyślał, że popełnił typowy błąd amatora, bilet zamówił na fałszywe nazwisko, zapominając o tym, że jego prawdziwe można odkryć za pośrednictwem numeru karty kredytowej. Chciał, by sądzili, że wrócił do Waszyngtonu. Gdyby nie dali się nabrać... Wolał o tym nie myśleć.

Zadzwonił następnie do kilku linii lotniczych, których samoloty odlatywały z lotniska Charles de Gaulle. Stone był na tyle ostrożny, że nie używał w Paryżu nazwiska Robert Gill. Policja francuska szukać będzie Charlesa Stone'a, który być może ukrywa się również pod innymi nazwiskami. Nie znano jednak nazwiska Gill.

Na lotnisku Charles de Gaulle Stone pożegnał się z Jackym. Uściśnął mu rękę i gdy tamten już odchodził, zatrzymał go:

- Poczekaj sekundę - z kieszeni spodni wyciągnął zgniecioną kopertę.
- O co chodzi?

W kopercie był zwitek banknotów, suma, jakiej zapewne chłopak nigdy w życiu nie widział.

- Nie - Jacky nie chciał przyjąć koperty. - Nic mi do twojej forsy. Nie jest mi potrzebna. - Stone pomyślał, że chłopak musiał tego rodzaju powiedzenie usłyszeć na jakimś filmie.

- Zaryzykowałeś dla mnie ogromnie wiele. Być może uratowałeś mi życie - tłumaczył. Jacky nachmurzył się, ale nie potrafił też ukryć uśmiechu zadowolenia.

- Sądzę, że zwariowałeś - nadal się bronił przed przyjęciem koperty.

- Być może - Stone wcisnął mu ją wreszcie do ręki. - Niech to będzie dla twojej matki. Powiedz jej, żeby przez kilka nocy wypoczywała. Powiedz, że dziękuję za pomoc.

Po chwili milczenia Jacky odpowiedział:

- Mam nadzieję, że ci się wszystko dobrze ułoży.

Stone raz jeszcze uściśnął jego rękę, kładąc mu drugą na ramieniu.

- Dziękuję.

Jacky z wyraźnie smutną miną odwrócił się i odszedł.

Stone wszedł do hali. Nie było żadnych sygnałów zaostżenia czujności. Rozglądając się widział pasażerów i normalną liczbę strażników. "Dziwne - pomyślał - wydawałoby się, że lotniska powinny być właśnie teraz pod szczególną kontrolą".

Podszedł do stanowiska Air France i wykupił bilet na najbliższy lot do Bonn. Samolot odlatywał na pięć minut przed odlotem samolotu Aerofłotu do Moskwy, który go naprawdę interesował. Zapłacił gotówką. Urzędniczka wpisała mu do biletu numer miejsca w samolocie. Podszedł następnie do stanowiska Aerofłotu i wykupił bilet do Moskwy, tu również płacąc gotówką. Na bilecie uwidoczono numer miejsca.

Poszedł teraz do toalety, poprawił na sobie garnitur, wyprostował krawat i przyjrzał się sobie w lustrze. Wyglądał na nieco wymiętego, ale nie bardziej niż oficer zmęczony całonocną podróżą. Nabrał głęboko powietrza w płuca i powrócił do hali. Powoli, bez pośpiechu podchodził do punktu rentgenowskiej kontroli bagażu. Przez głośniki ogłoszono wezwanie do pasażerów odlatujących do Bonn i do Moskwy. Zapraszano ich na pokłady samolotów.

Stał teraz w kolejce do sprawdzania bagażu i poczuł, że serce bije mu szybciej, a twarz i ręce pokrywają się drobnymi kropelkami potu. Jeśli wykryją rozmontowany rewolwer, natychmiast go zatrzymają, zaczną przesłuchiwać, aresztują i wykryją, że człowiek, który usiłował przeszmuglować rewolwer, to ten sam, którego tak zapalczywie ściga połowa paryskiej policji.

Ponownie usłyszał wezwanie do samolotu. Miał niewiele czasu. Tuż za nim w kolejce stanęła liczna rodzina - czterech żywych chłopców i dwie rozgadane dziewczynki, wszyscy poniżej dziesięciu lat, i dwoje zahukanych rodziców. Rozmawiali po niemiecku. Puścił ich przed siebie przekonany, że zrobią wiele zamieszania i przysporzą kłopotów sprawdzającemu personelowi. Stało się tak, jak Stone oczekiwał. Gdy niemiecka rodzina doszła do urządzenia rentgenowskiego, natychmiast powstał rozgardiasz. Niektóre z dzieci usiłowały przenieść przez metalową bramkę bagaż w rękach i dopiero ponury strażnik w błękitnym uniformie wytłumaczył im, że walizy należy położyć na transporter tak, ażeby przejechały pod urządzeniem prześwietlającym. Jeden z chłopców uderzył brata pięścią po głowie, a młodsza z dziewczynek zaczęła ryczeć, czepiając się spódniczki grubej mamy. Stone i młody strażnik operujący urządzeniem do kontroli bagażu wymienili spojrzenia. Obaj ze współczuciem potrząsnęli głowami. Strażnik odpowiedział uśmiechem: co za burdel - wydawał się mówić. Teraz kolej Stone'a. Serce waliło mu jak młot, ale na twarzy nadal miał naturalny uśmiech. Położył swoją torbę na transporter i przeszedł przez metalową bramkę. Zapaliło się zielone światło. Był czysty. Urządzenie nie było aż tak czułe, ażeby wykryć metal zmieszany z plastykiem w kolbie pistoletu.

Już chciał ruszyć, gdy zobaczył, że operator urządzenia pilnie patrzy w umieszczony przed nim ekran. Poczuł ponowny przypływ strachu. Ekran wyraźnie wskazywał, że w torbie musiało być coś metalowego. Operator wyostrzył obraz. Tak, nie było wątpliwości. W torbie znajdował się jakiś nieprzezroczysty przedmiot.

- Chwileczkę - powiedział do pasażera. Stone zrobił zdumioną minę:

- Co się stało?

- Muszę tam zajrzeć do środka.

- Bardzo proszę - Stone usiłował się uśmiechać czując rosnące w nim napięcie. Po plecach spływały mu teraz kropelki potu.

Francuz podniósł torbę, która wyjechała po drugiej stronie urządzenia, położył na stole i rozsunął zamek błyskawiczny. Usunął ubranie, natrafił na torebkę z przyborami do golenia. I otworzył ją. W środku było mokre, rozmiękle mydło, wyciśnięta z tubki pasta do zębów, metalowy grzebień, nożyki do golenia. Zmarszczył nos z niesmakiem. Jego ochota na dalsze grzebanie w rzeczach najwyraźniej niezbyt czystego pasażera zdecydowanie zmaląła.

Szukając dalej, natrafił na coś metalowego. Wyciągnął to i ujrzał metalową taśmę do mierzenia. Zwariowany Amerykanin. Merde - zaklął w duchu, a głośno zapytał:

- Vous etes américain?

- Tak.



- Muszę to raz jeszcze przepuścić przez aparat - zasunął zamek i umieścił torbę na transporterze przed urządzeniem rentgenowskim.

Patrzył teraz na ekran. Widział rozmazane kontury torebki z przyrządami do golenia i tę przekłętą taśmę metalowa. Nic podejrzanego. Amerykanin z całą pewnością nie był terrorystą.

Dunajew słusznie przewidział, że lufa, prowadnica i magazynek zapakowane w folię i umieszczone na dnie torby będą wyglądały jak fragment jej konstrukcji. Personel lotniska przyuczony jest do sprawdzania tego, co znajduje się w bagażach, a nie do zajmowania się ich strukturą. Wiele metalowych przedmiotów w torbie odciąga uwagę. Stone odetchnął i ruszył w kierunku kontroli paszportowej.

Urzednicy kontroli siedzieli w oszklonych budkach umieszczonych przed wejściami do samolotów. "Żeby jeszcze raz dopisało szczęście" - pomyślał ustawiając się w kolejce. Miał niewiele więcej jak minutę.

Kontrola paszportowa, jak na całym Zachodzie, była powierzchowna. Urzędnik rzucił na niego przelotnie okiem, wcale nie zastanawiając się nad tym, że jego wygląd różni się poważnie od fotografii. Przystemplował paszport pieczętką wyjazdu z kraju i przesunął dowód pod szkłem uśmiechając się obojętnie.

- Bon voyage, monsieur.

Odchodząc od budki, czuł, jak opuszcza go napięcie. W tym momencie zauważył człowieka w granatowej marynarce. Stał przy ostatniej budce kontroli paszportowej i przyglądał mu się kilka sekund. O kilka sekund za długo. "Czyżbym stawał się paranoikiem?" - pomyślał. W następnej sekundzie doszedł jednak do wniosku, że człowiek, który wyglądał na funkcjonariusza służby bezpieczeństwa, rzeczywiście go obserwował. Przyglądał się nazbyt uważnie. Badał jego twarz. Był nim wyraźnie zainteresowany. Musiał go rozpoznać. Był tego pewien.

Byle nie iść zbyt szybko. Wszystko musi wyglądać normalnie. Tylko przerażony człowiek ucieka. Trzeba iść szybkim krokiem, jak idzie człowiek, którego samolot ma za chwilę odlecieć.

Tamten ruszył za Stone'em. Charlie zobaczył jego odbicie w szybie jednego z okien korytarza, którym szedł w kierunku wejścia do samolotu. "Idź spokojnie - powtarzał sobie - żadnego nerwowego ruchu".

Wreszcie doszedł. Bramka wejściowa była pusta. Pasażerowie odlatujący do Bonn byli już w samolocie. Przy bramce stało kilka osób personelu. Rozmawiały czekając na spóźnialskich.

Czuł, że tamten idzie za nim. Dlaczego go po prostu nie zatrzymał? Dlaczego to przeciąga?

Pracownicy linii stojący przy bramce z dezaprobatą patrzyli na zbliżającego się Stone'a.

- Już bardzo późno, proszę pana - zawołała jedna z urzędniczek. - Samolot zaraz odlatuje.

Stone machając nad głową, kartą wejścia na pokład puścił się pędem.

- Jeszcze zdążę! - krzyknął.

- Hej, proszę pana! - usłyszał za sobą głos urzędniczki, biegnąc tunelem rękawa prowadzącego do samolotu.

Teraz!

Pokazał kartę pokładową stojącemu w drzwiach stewardowi i wszedł do pełnego podróżnych samolotu. Przebiegł przez cały samolot, odsuwając na bok jakiegoś mężczyznę, który wkładał walizkę do schowka nad siedzeniami. W ciągu kilku sekund znalazł się w tyle samolotu.

Tak! Tylne drzwi nie były jeszcze zamknięte. Właśnie zaczynała to robić stewardesa.

- Panie, co pan robi! - krzyknęła, ale Stone zbiegł już po metalowych schodkach, a w sekundę potem był na betonowej płycie lotniska. Wycie silników odrzutowych było nie do zniesienia. Czas obliczył doskonale. Kolejnym samolotem na płycie był biało-niebieski Il-62 należący do Aeroflotu. Samolot był już gotowy do startu, który miał nastąpić za dwie minuty. Jeszcze zdąży.

Zgubił człowieka, który za nim podążał. Z budynku dworca nie można go było zobaczyć. Zasłaniały go kadłuby samolotów. Wbiegł na schodki przystawione do Iła. Było to wejście służbowe, nie dla pasażerów. Zobaczył zdumione twarze radzieckich stewardes.

Wszedł do samolotu i podał kartę pokładową. Zdumienie zastąpiła dezaprobata.

- Pan się ogromnie spóźnił... - powiedziała po rosyjsku.

Odnalazł swoje miejsce i rozparł się w fotelu. Z pewnym napięciem wyjrzał przez okno. Chyba był bezpieczny. Ci ze służby bezpieczeństwa lotniska byli przekonani, że jest w samolocie lecącym do Bonn. Na pewno opóźnili odlot i zaczynają przeszukiwać samolot. Zanim zorientują się, że go tam nie ma, samolot Aeroflotu będzie już w powietrzu. Stone usłyszał, jak pilot zwiększa obroty silników. W dwie minuty później samolot kołował już po pasie. Jeszcze dwie minuty i start. Stone oparł się wygodnie, zamknął oczy i oddychał z ulgą.

Na północ od Kremla znajduje się plac Czerwony, nazwany tak, jakkolwiek by się to dziś oceniało, na długo przed rewolucją. Na południowej granicy placu, którą wyznaczają północne mury Kremla, znajduje się stosunkowo skromne Mauzoleum Lenina. Zawsze tu stoi kolejka tysięcy wiernych pragnących zobaczyć ciało. W pojęciu przeciętnego Rosjanina został on już kanonizowany. Powiedziano mi, że to zabalsamowane ciało - wyglądające dziś tak samo, jak w dniu śmierci - łączy się ze szczególnym przesądem. Dopóki się tam znajduje, dopóki się nie zmienia, komunizm jest bezpieczny, a nowa Rosja będzie istnieć. Jeśli jednak - szepcze się - wyblaknie lub zostanie zniszczone... o!... Wtedy nadejdą ogromne, smutne zmiany - koniec jego wspaniałych snów.

Theodore Dreiser "Dreiser Looks at Russia" (1928)

Część czwarta  
Mauzoleum Lenina

62. Waszyngton

Prezydent zwołał do sali obrad gabinetu w Białym Domu swoich czołowych doradców ds. polityki zagranicznej. Celem konferencji było omówienie ostatnich przygotowań do spotkania na szczycie w Moskwie. W naradzie uczestniczyli sekretarz stanu Donald Grant, dyrektor CIA Theodore Templeton, doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego admirał Craig Mathewson, jego współpracownik Roger Bayliss oraz szesnastu członków sztabu Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Jedynie około połowy spośród obecnych miało

wziąć udział w podróży do Moskwy. Listę przy udziale admirała Mathewsona ustalił prezydent. Oczywiście, ambicja niektórych została zraniona, chociaż hierarchia w administracji została już dawno ustalona. Dla Baylissa podział był prosty - na takich, którzy mieli jechać do Moskwy, i takich, którzy jechać nie mieli.

Mniej więcej w połowie posiedzenia ze strony prezydenta padła niespodziewana uwaga na temat terroryzmu w Moskwie. Bayliss poczuł zimno w żołądku.

- Z wiarygodnego źródła mam informację - powiedział zdawkowo prezydent - że w tym zjawisku terroryzmu mamy do czynienia z czymś szczególnym.

Bayliss przeniósł wzrok z prezydenta na sekretarza stanu, a potem na dyrektora CIA.

Czyżby już po szczycie? Zapanowała chwila milczenia, zanim zorientowano się, że prezydent swoją wypowiedź zaadresował do Teda Templetona.

Bayliss poczuł, że drętwieje. Czyżby prezydent dowiedział się czegoś na temat istnienia Sanctum? To raczej niemożliwe, ale wykluczyć tego też nie było można. Wszyscy prezydenci mieli własne sieci i źródła informacji. Jeśli się dowiedział, nie ma najmniejszej wątpliwości, że musiał wpaść we wściekłość. Operacja wywiadowcza o takim zasięgu trzymana przed nim w tajemnicy! I nie miał najmniejszego znaczenia fakt, że rezultaty tej operacji zostałyby przyjęte przez prezydenta, i zapewne przez resztę świata, z ogromną radością i ulgą. Prezydent nie mógłby zaakceptować konspiracyjnych metod działania komitetu i tak wszystko by się skończyło. Na marne poszłyby dziesiątki lat pracy i przygotowań.

Nie mógł jednak wiedzieć. Nigdy jeszcze w historii amerykańskiego wywiadu nie było organizacji tak doskonale zakonspirowanej jak Sanctum.

- Jak wiecie - mówił prezydent - nie jestem tchórzem. Odbywałem podróże podejmując takie ryzyko, że oficerowie z ochrony wyłazili ze skóry.

Obecni, znający doskonale skłonność prezydenta do tego, ażeby mieszać się z tłumem i ścisnąć ręce, przytaknęli zgodnie.

“Będą kłopoty” - pomyślał Bayliss.

- Tak więc - kontynuował prezydent zwracając się do dyrektora CIA Templetona - dziś rano otrzymałem interesujące informacje. Informacje budzące niepokój. Właśnie na temat terroryzmu w Moskwie. Co ty na to, Ted?

Bayliss natychmiast zrozumiał, w czym rzecz. Templeton wyglądał na speszzonego, zakaszlał i wiercił się jak uczeń przyłapany przez nauczyciela na czymś nagannym. Prezydent musiał w jakiś sposób otrzymać informacje pochodzące z CIA, które jednak nie przeszły przez Templetona. Prezydent musiał mieć tam swój “prywatny” kanał. Templeton był zaskoczony i zmieszany. Wyglądało na to, że są informacje, których prezydentowi nie przekazuje.

Tak, prezydent w jakiś sposób dowiedział się, że bomby, jakie wybuchły w Moskwie, to nie była domowa produkcja kilku dysydentów montujących ładunki w garażach.

Do produkcji użyto amerykańskich materiałów wybuchowych, amerykańskiego plastyku.

Było zrozumiałe, że sprawa musiała prezydenta zaniepokoić.

- Tak jest, panie prezydencie - Templeton odchrząknął i odgarnął szpakowate włosy z wysokiego, bez mała kwadratowego czoła. - Jeden z naszych agentów w Moskwie zdobył fragmenty dwóch bomb, które ostatnio wybuchły. W naszych laboratoriach ustalono, że był to plastik amerykańskiej produkcji.

Bayliss patrzył zaniepokojony. Templeton miał na twarzy wypieki ze wstydu.

Baylissowi, nie po raz pierwszy zresztą, przyszło do głowy, że Sanctum powinno poinformować prezydenta o swoich działaniach. Szczególnie teraz, kiedy zarysowała się groźba, że prezydent może odwołać szczyt. Oczywiście nie wolno było tego robić. Nie wolno było zrobić nic takiego, co mogłoby zaalarmować kolegów M-3 z Biura Politycznego. Nie wolno było podsycać w nich podejrzliwości.

Prezydent zamilkł i siedział nieruchomy. Zamknął się w sobie. Doradcy nie lubili go takim. Zbijał ich z tropu. Nie wiedzieli, czy jest w nastroju gniewnym, czy jest znudzony, a może zadowolony?

- Panie prezydencie - odezwał się Templeton. - Nie czuję powodów do zaniepokojenia.

- Nie?

- Nie. Rosyjscy terroryści znaleźli dostęp do amerykańskich środków wybuchowych. To jest fakt. Być może są wśród nich byli żołnierze, którzy służyli w Afganistanie i tam w czasie wojny zdobyli materiały amerykańskiej produkcji. - Prezydent potwierdził skinieniem głowy. - Gdybym uważał, że jest w tym coś niepokojącego - kontynuował Templeton - to nie ma chyba wątpliwości, że już dawno poruszyłbym tę sprawę.

- Są uwagi? - prezydent zwrócił się do pozostałych członków sztabu Narodowej Rady Bezpieczeństwa.

- Tak - był to głos sekretarza stanu. - Jeśli o mnie chodzi, to nie wysyłałbym prezydenta w środek wojennej zawieruchy. I z całą mocą będę odradzał wyjazd. Mam przeczucie, że w Moskwie w każdej chwili może nastąpić wybuch, i nie sądzę, ażeby taka podróż właśnie teraz była czymś rozsądnym. Uważam, że szczyt należy odroczyć.

- Tak sądzisz? - burknął prezydent.

- Muszę się z tym zgodzić - włączył się doradca ds. bezpieczeństwa narodowego. - Nie wiem, czy potrafimy tam zapewnić odpowiednie warunki bezpieczeństwa. Być może służba ochrony powinna rzecz zbadać dokładnie?

Prezydent skinął głową i zaciśniętą pięścią pomasaował policzek. Przez następnych kilkanaście minut Bayliss pełen niepokojem przysłuchiwał się dyskusji.

- Czy mogę coś powiedzieć - Templeton powrócił wreszcie do głosu. - Wyraziłem już opinię, że Kreml zapewnia wystarczające warunki bezpieczeństwa. Natomiast należy rozważyć inny element sprawy - pozycję Gorbaczowa.

- Co masz na myśli? - zapytał prezydent.

- Potrzebna mu jest w tej chwili każda pomoc - wyjaśniał Templeton. - Jeśli teraz odroczymy szczyt, nie mam najmniejszych wątpliwości, że jego prestiż w kręgach radzieckich przywódców załame się. A wtedy... - machnął ręką i westchnął - wtedy rzeczywiście będziemy w kłopotach.

- Doskonale - powiedział oschle prezydent. - Jedziemy do Moskwy. Jak więc stoimy z przygotowaniem?

Templeton przekonał go, jak i pozostałych uczestniczących w konferencji. "Zrobił to doskonale" - pomyślał Bayliss. Na razie było po wszystkim. Prezydent podjął decyzję. Obrady trwały, a Bayliss rozważał: "Mam nadzieję, że w czasie szczytu nic się nie wydarzy. Byłoby to w ogóle nie do pomyślenia. M-3 przez dziesięciolecie wykazał, że jest ogromnie, niebywale ostrożny. Teraz musi być tym bardziej".

Człowiek ukrywający się pod kryptonimem M-3 i grupa określająca siebie mianem Sanctum mieli wkrótce dokonać trwałych zmian na świecie.

Moskwa

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy w Białym Domu w Waszyngtonie trwała narada, w Moskwie przed hotel "Nacjonal" zajeżdżała czarna limuzyna czajka. Kierowca, Rosjanin, wysiadł i otworzył drzwiczki przed pasażerem, którego wiozł, przed wybitnym Amerykaninem, dostojnym i arystokratycznie wyglądającym starszym panem nazwiskiem Winthrop Lehman.

W jakąś godzinę później zapukano do drzwi apartamentu zajmowanego przez

Lehmana. Ten podszedł do drzwi i otworzył je trzęsącą się ręką. Przed nim stała niewysoka, wątła kobieta w średnim wieku, której towarzyszył mężczyzna w źle skrojonym seryjnym garniturze, jakie kupowało się w moskiewskich sklepach.

- Ojciec - powiedziała Sonia Kunieckaja po angielsku.

Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo na progu. Potem weszła do pokoju i objęła Winthropa Lehmana. Towarzyszący jej agent cofnął się i grzecznie zamknął drzwi.

- Córeczko - Lehman mówił po rosyjsku. Języka tego nie używał od dawna, ale nadal posługiwał się nim biegle.

Sonia odsunęła się o pół kroku od ojca, ale nie spuszczała oczu z jego twarzy.

- To już wkrótce - powiedziała.

- Mnie już nie będzie - głos miał zachrypnięty.

- Nie mów tak - powiedziała stanowczo.

- Mnie już naprawdę nie będzie - powtórzył.

63.

Stone przyleciał do Moskwy wczesnym wieczorem. Zmęczonym krokiem wraz z liczną grupą turystów, głównie Niemców, wszedł do budynku dworca lotniczego Szeriemietiewo. Hala dworcowa wyglądała ponuro i była słabo oświetlona.

Wybudowany przez Niemców z Zachodu w latach siedemdziesiątych z myślą o napływie turystów na Igrzyska Olimpijskie 1980 roku, lśniący dworzec był tak nowoczesny, jak tylko może być niemiecki produkt. Ogromna przestrzeń ograniczona od dołu wykładaną czarnymi kafelkami podłogą, a od góry wysokim sklepieniem poprzecinanym płataniną metalowych rur. Gdyby zapalono wszystkie światła u sufitu, hala dworcowa lśniłaby. Władze radzieckie, ze względów oszczędnościowych, nakazały jednak wygaszenie większości oświetlenia.

Stone czuł rosnące w nim napięcie. Wiedział, że gdyby urzędnik celny znalazł rozmontowany pistolet, cała eskapada natychmiast by się zakończyła. Wszedł do toalety, otworzył torbę, szybko złożył pistolet i schował go do kieszeni marynarki.

W kilka minut potem siedział w czarnym samochodzie rosyjskiej produkcji, w wóldze.

Na przedniej szybie widniał niebieski emblemat "Inturistu". Kurs z lotniska do hotelu zapewniał "Inturist" bezpłatnie, z tym że nie było innego sposobu dostania się do miasta.

Jechali ciemną autostradą, mijając skarłowaciałe laski i od czasu do czasu jakieś napisy w cyrylicy. Kierowca milczał. Po półgodzinie jazdy znaleźli się na ulicy Gorkiego, jednej z głównych arterii miasta. Wyłonił się Kreml. Skręcili w prawo i zaparkowali przed hotelem "Nacjonal". Budynek pochodził jeszcze sprzed rewolucji i był jednym z nielicznych zachowanych starych moskiewskich hoteli. Stone czytał kiedyś, że w 1918 roku przez kilka miesięcy mieszkał tu Lenin. Pokoje, jakie przygotowywano dla niego na Kremlu, znajdowały się wówczas w remoncie.

Patrząc od strony ulicy był to prosty budynek wykładany brązowymi kamiennymi płytami. Przechodnie w futrzanych czapach i źle skrojonych płaszczach spieszyli przed siebie. Kierowca wyłączył silnik.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedział nieoczekiwanie Stone.

Kierowca odwrócił głowę i spojrzał na niego z wyrazem zapytania na twarzy.

- Gdzie mogę wymienić pieniądze? - zapytał Stone po rosyjsku.

- W biurze "Inturistu". Następna przecznica.

- Czy jeszcze otwarte?

- Jeszcze przez godzinę.

- Proszę mnie tam zawieźć.

Kierowca wzruszył ramionami i zapalił silnik. Jechali ponownie Gorkiego. Stone wymienił nieco pieniędzy na ruble i wrócił do taksówki.

- W porządku, załatwiłem. Przejdę do hotelu pieszo.

Kierowca zmarszczył czoło.

- Może pan robić, co pan chce - mruknął i odjechał.

Stone stał przez kilka minut na chodniku. W pewnym momencie zatrzymała się przed nim zniszczona wołga. Kierowca niewątpliwie rozpoznał cudzoziemca.

Stone siadł i podał adres.

Przejechali obok Kremla, Prospektem Marksa, potem Prospektem Kalinina, mostem nad rzeką Moskwą i mijając hotel "Ukraina" wjechali w Kutuzowski Prospekt. Stone z zaciekawieniem wyglądał przez okno. Moskwę widział po raz pierwszy, a słyszał o niej tak wiele i od tak dawna. W tym, na co patrzył, było coś nierealnego. Było tu smutniej i bardziej szaro, niż tego oczekiwał.

Podjechali pod masywny, nie otynkowany budynek. Przy wejściu stała budka, a w niej umundurowany strażnik. Kierowca zamienił z nim kilka słów, po czym zwrócił się do pasażera:

- Tu musi pan wysiąść. Ja nie mogę wjechać na dziedziniec. Stone zapłacił i wysiadł.

Raz jeszcze sprawdził adres z tym, co miał zanotowane, i zaczął, szukać właściwego wejścia i numeru mieszkania.

Dzwonka nie było, a więc zastukał.

Otworzyła drzwi natychmiast. Zareagował tak, jakby nie był na jej widok przygotowany. Nie zdawał sobie sprawy, że będzie piękna i pociągająca. Światło dobiegające z korytarza odbijało się na blond włosach. Jej kości policzkowe zarysowane były wyraźniej, niż to pamiętał.

- Charlotte, potrzebuję twojej pomocy - powiedział spokojnie cichym głosem.

## 64. Waszyngton

Jako pierwszy głos zabrał dyrektor CIA, Ted Templeton. Z całym rozmysłem przeciągnął spojrzeniem po obecnych. Najpierw po najmłodszych członkach Sanctum, jakimi byli jego zastępca Ronald Sanders i Roger Bayliss z Narodowej Rady Bezpieczeństwa, a następnie - z pełnym szacunku uśmiechem - po członkach-seniorach. Byli nimi Evan Reynolds i Fletcher Lansing, obaj legendarni, najlepsi, najinteligentniejsi.

- Nie potrafię zrozumieć - zaczął - co go opętało i dlaczego z wszelkich możliwości wybrał właśnie Moskwę.

Natychmiast przerwał mu Fletcher Lansing podnosząc swój ostry podbródek:

- Uciekł z deszczu pod rynną...

Przerwał mu z kolei wyraźnie zdenerwowany Evan Reynolds:

- Na Boga, dlaczego was to dziwi? Mnie się to wydaje całkowicie logiczne. Cała jego droga musiała tam właśnie prowadzić, jeśli chciał znaleźć dowody dla zrehabilitowania swojego ojca i siebie. W ogóle nie ma o czym dyskutować.

- Można mieć jedynie nadzieję, że kieruje się motywami osobistymi - stwierdził

Lansing. - Chyba że naprawdę przeszedł do czerwonych, uciekł i sprzeda to, co wie...

- Jeśli jest naprawdę w Związku Radzieckim - dodał Reynolds - to tym bardziej staje się pilne, nadrzędne i konieczne natychmiastowe wykrycie go i zneutralizowanie.

Bayliss rozglądał się ukradkiem po pokoju. Nawet w momencie ogromnego napięcia nie mógł przestać myśleć o tym, że jest nazbyt elegancko ubrany. Powodowało to, że czuł się nieswojo, nie na swoim miejscu. Większość tu obecnych miała na sobie znoszone, niemodne granatowe ubrania, podczas gdy on prezentował modny, drogi, ciemnoszary włoski garnitur,

jedwabny krawat znanej nowojorskiej firmy i eleganckie buty z wężowej skóry, cienkiej jak papier. Miał pełną świadomość tego, że wyglądał jak młody człowiek rozpoczynający doskonałą karierę.

Jak zwykle, kiedy się tu znajdował, uświadamiał sam sobie powody, dla których zaproszono go w skład tego supertajnego ciała. Był jednym z nielicznych członków Narodowej Rady Bezpieczeństwa, którzy otrzymywali nie tylko tajny codzienny biuletyn wywiadu, ale również supertajny, poranny dziesięciostronicowy raport, sporządzany na podstawie meldunków wszystkich agencji wywiadowczych, przeznaczony jedynie dla prezydenta i jego bardzo ścisłego sztabu. Komitet potrzebował człowieka urzędującego w Białym Domu. Potrzebny był im również jako kontakt z Malarekiem, przedstawicielem M-3 w Waszyngtonie.

To zresztą nie wszystko. Bayliss ułatwił przeprowadzenie operacji, w wyniku której Fundacja Amerykańskiego Sztandaru mogła założyć podsłuchy na nie zabezpieczone linie telefoniczne prowadzące do Białego Domu. Chodziło o upewnienie się, czy nie ma przecieku tajemnic państwowych. I co więcej, założono również podsłuch na linię telefoniczną Malareka. Ostrożności nigdy za wiele.

Wiedział, czego będą teraz od niego chcieli. I rzeczywiście, po kilku minutach rozmowy Fletcher Lansing rzucił okiem na Baylissa i powiedział patrząc już w przestrzeń:

- Pan, Bayliss, musi skontaktować się z Malarekiem. Ludzie M-3 wykonają swoją robotę.

- Nie - nieoczekiwana odpowiedź Baylissa wypowiedziana została ochryłym głosem.

Zapadła długa chwila milczenia. Bayliss wyraźnie poczerwieniał

- Chcicie, żebym wydał wyrok śmierci na Charlesa Stone'a.

- Chcemy jedynie powiadomić M-3 o tym, że Stone jest w Moskwie, zakładając, że jego ludzie o tym nie wiedzą - wyjaśnił Lansing miękko, przytłumionym głosem. - To wszystko.

Bayliss czuł skoncentrowane spojrzenia kilku par oczu.

- Jest zbyt wiele rzeczy, o których nie wiem - powiedział z wahaniem. - Wiem, że wy... że my kierujemy pracą kreta ukrytego w Moskwie. OK. Na ile jednak możemy ufać temu M-3?

Bayliss zdawał sobie sprawę, że brutalnie łamie zwyczajowe prawa obowiązujące w Sanctum. Nigdy nie zadaje się pytań, nie podaje się w wątpliwość słuszności działania i mądrości starszych. Długa ciszę przerywał jedynie szum wentylacji.

- Nie sądzę, ażeby należało go zapoznawać ze szczegółami - powiedział Sanders chowając głowę w ramiona, jakby był graczem na boisku futbolowym.

- Jest jednym z nas - powiedział Fletcher Lansing. - To bardzo cenny członek zespołu.

Nie sądzisz. Ted?

- M-3 to największa tajemnica Agencji od czasów Billa Donovana - stwierdził Templeton. - Ogromny sekret. Zbyt wielki, ażeby mogli go poznać pracownicy Agencji. - Zawiesił na moment głos. - M-3 to Andriej Pawliczenko.

Bayliss szeroko otworzył oczy i wyszeptał:

- O mój Boże.

- Sprawa Pawliczenki jest tak tajna, że nie wspomina się o niej w żadnym z programów komputerowych, w żadnym z materiałów znajdujących się w archiwum Agencji - wtrącił Sanders, a Templeton kontynuował:

- Pawliczenko był młodą, wschodzącą gwiazdą radzieckich służb wywiadowczych, kiedy w 1950 roku nawiązał z nim kontakt jeden z naszych ludzi.

- Jak się wam udało nakłonić go do współpracy? - Bayliss nie mógł się powstrzymać od pytania. - Coście na niego znaleźli?

Lansing spojrzał na Templetona i przyzwalająco skinął głową. Templeton wykonał ten

sam gest w odpowiedzi i mówił:

- Dowiedzieliśmy się, że ukrywa swoje pochodzenie i swoją przeszłość. Jego rodzice zostali deportowani i zabici przez ludzi Stalina. On wychowywał się u krewnych. Nigdy by mu nie pozwolono pracować na Łubiance, gdyby ktokolwiek o tym wiedział. Facet szybko awansował i został współpracownikiem Berii. Oczywiście przy naszej pomocy.

- A więc potajemnie sympatyzuje on z ruchem ukraińskim - powiedział Bayliss. - Jest w gruncie rzeczy wrogiem radzieckiego państwa.

- To nie pierwszy wypadek, że ktoś w ten sposób osiągnął wyższe szczeble w radzieckiej nomenklaturze. Przypomnij sobie Petro Szelesta, który występował jako zdecydowany zwolennik dominacji Rosjan nad Ukraińcami i był członkiem Biura Politycznego. Dopiero potem wykryto, że był ukraińskim nacjonalistą - tym razem odpowiadał Evan Reynolds.

- Ukraińiec czy nie - wtrącił Lansing - ważne jest to, że jest zagorzałym przeciwnikiem tego całego, przeklętego radzieckiego systemu. Systemu, który zamordował jego rodzinę. I na to właśnie liczymy. W gruncie rzeczy jego interesy są zbieżne z naszymi.

- A wy podrzucaliście Pawliczenko karmę - Bayliss użył slangu, jakim posługiwano się w wywiadzie. "Karma" oznaczała bowiem informacje podawane zakonspirowanym agentom, zwanym w tym samym slangu kretami.

- Małe kąski, strzępy tego i owego - wyjaśniał Templeton. - Nic takiego, co mogłoby się wydać podejrzane, ale było wystarczająco atrakcyjne, by ułatwić mu karierę. Informowaliśmy go o stanowisku prezydenta w różnych sprawach, jeśli to nie godziło w nasze interesy. Raz na jakiś czas coś poważniejszego. Czasami ostrzeżenia o szykującym się nalocie w Wietnamie. Ujawnialiśmy niektóre nasze operacje. Tak stało się na przykład z Zatoką Świń, kiedy zorientowaliśmy się, że i tak zdążamy do klęski...

- W każdym razie materiał ułatwiający mu pchanie się w górę, ale nic, co by godziło w nasze interesy - dodał Fletcher Lansing. - Po prostu informacje, dzięki którym zyskiwał opinię niebywale przenikliwego.

- A skąd macie pewność, że facet nie okaże się drugim wydaniem Berii?

Lansing splótł palce obu dłoni i odpowiedział:

- Nie zakładamy, że walka o władzę będzie bezkrwawa. To nie będą wybory amerykańskiego prezydenta. Znamy jednak jego wizję, jego plany. Mieliśmy z nim kontakt przez pośredników przez długie lata. Jedynie w kilku ostatnich latach, od czasu kiedy Pawliczenko wszedł do Biura, uznał, że należy rwać wszelkie kontakty.

- Co macie na myśli, mówiąc o jego wizji? - pytał dalej Bayliss.

- Jesteś ekspertem od problemów radzieckich i musisz znać historię Rosji - mówił teraz Lansing. - Słyszałeś o Rusi Kijowskiej?

- Jestem ekspertem od problemów radzieckich, nie od historii Rosji.

Lansing potrząsnął głową z niezadowoleniem i dezaprobatą.

- Trudno zrozumieć cokolwiek, co dzieje się w ZSRR, jeśli się nie zna dokładnie historii Rosji. W pierwszej połowie XI wieku największym i najsilniejszym państwem leżącym na części terytorium współczesnego ZSRR była Ruś Kijowska. Było to państwo narodowe, a rządził nim w tym czasie książę Jarosław, zwany Mądrym. Było to w gruncie rzeczy pierwsze wielkie państwo w tym rejonie. Kijów był centrum wielkiej potęgi, a obecnie jest jedynie stolicą niesuwerennej republiki.

- Oczywiście - potwierdził Bayliss.

- Ruś Kijowska utrzymywała szerokie i przyjacielskie kontakty z wieloma krajami Europy. Tam znajdowało się centrum rosyjskiej kultury i handlu.

- Rozumiem - Bayliss zaczynał faktycznie rozumieć, o co chodziło w tej udzielanej mu lekcji historii.

- Pawliczenko - kontynuował Lansing - jako ukraiński patriota, którego rodzice zostali



zamordowani przez Stalina, przez całe życie marzył o obaleniu obecnego systemu i zastąpieniu go czymś nowym. Sądzę, że sam siebie widzi jako współczesnego Jarosława Mądrego.

- Przecież Gorbaczow rozpoczął już ogromne przemiany - zaprotestował Bayliss. Włączył się Templeton, wyraźnie rozdrażniony, jakby Bayliss był naprzykrzającym się dzieckiem.

- Gorbaczow, o czym dyskutowaliśmy niezliczoną ilość razy, to postać przemijająca. Nie utrzyma się długo, nie może się utrzymać. To sprawa miesięcy, może nawet tygodni... Jego wrogowie rozprawią się z nim. Po nim przyszlaby ekipa skrajnie prawicowych neofaszystów. Byłoby to niebezpieczne. Nie wolno nam tak ryzykować. Nie wolno nam tego popierać.

Bayliss słuchał nieruchomy, jak sparalizowany.

- Mając tam swojego człowieka - podjął temat Sanders - otworzymy lokale McDonalda na ulicy Gorkiego, nowoczesne kurorty wypoczynkowe na Krymie, stacje Exxon na przy nowoczesnych autostradach. Mówimy o powrocie kapitalizmu do Rosji.

- Gdybyśmy dali szansę Gorbaczowowi... - zaczął Bayliss.

Dyrektor CIA odchrząknął.

- Roger, daliśmy mu już tę szansę. Już czas, ażeby jego miejsce zajął nasz człowiek. Jeśli będziemy zwlekać, zostaniemy w tyle, historia pójdzie dalej. Możemy powrócić do zimnej wojny.

- A jak właściwie Pawliczenko planuje przejąć władzę? - pytał Bayliss.

- Nie wiemy, Roger, i niewiele nas to w gruncie rzeczy interesuje. Wszelkie sygnały jednak świadczą, że stanie się to w ciągu mniej więcej sześciu miesięcy. Wkrótce po moskiewskim szczycie. Za kilka godzin niektórzy z nas odlatują do Moskwy. Warto się będzie wszystkiemu dobrze przypatrzeć, gdyż kiedy tam wrócimy, wszystko będzie już wyglądało inaczej. Przy następnej wizycie w Moskwie nasz prezydent będzie tam miał już nowego partnera.

Bayliss przytaknął.

- Zaraz po powrocie do siebie skontaktuję się z Malarekiem - przełknął ślinę i uśmiechnął się do pozostałych członków Sanctum. - Dziękuję wam. Bardzo sobie cenię to, co usłyszałem. - Poprawił mankiety i powtórzył: - Serdecznie dziękuję.

## 65. Moskwa

Charlotte sapała ze złości.

- Co tu robisz? - szeptała chrapliwie. Twarz płonęła jej gniewem. - Co się z tobą dzieje?

- Potrzebuję ciebie, Charlotte.

- Przeklęty. Bożesz ty mój. Przeklęty. Coś ty narobił? Na rany boskie, co zrobiłeś?

Chciał ją wziąć za rękę, ale wyrwała się, patrząc groźnie.

- Masz wspaniałe mieszkanie - rozejrzał się po pokoju przeznaczonym do pracy i wypoczynku. Umieblowała go zgodnie ze swoim smakiem, prosto, a jednocześnie elegancko. Pokryte morelowym materiałem sofa i fotele zgrane były w kolorze z orientalnym dywanem.

- Przypomina to miejsce, gdzie spędzaliśmy miodowy miesiąc. Na pewno zapomniałaś jedynie o sedesie w kształcie serca.

Nawet się nie uśmiechnęła. Patrzyła na niego ostro, wyraźnie podenerwowana.

- Jezu! Charlie, tu nie można rozmawiać - pokazała palcem na sufit. Patrząc na nią, mówiąc do niej, upajał się jej obecnością. Czuł rosnące w nim zdumienie, co zdarzało się już w przeszłości, że ta kobieta była jego żoną. Jak to było możliwe, że mógł jej w przeszłości

wyrządzić krzywdę?

- Gdzie możemy porozmawiać?

- Chodź, pójdziemy na spacer - powiedziała lodowato. Włożyła płaszcz i wyszli.

Przeszli przez podwórze, minęli bramę i stojącego w niej grubego strażnika, który skinął głową Charlotte i uważnie przyglądał się Stone'owi.

Szła pewnymi, dużymi krokami. W jakimś sensie Moskwa była jej miastem i Stone wyczuł to natychmiast, obserwując, z jaką swobodą i pewnością siebie prowadziła go opustoszałymi ulicami. Czas, jaki spędziła sama, wyszedł jej na korzyść. Nabrała jakiegoś wewnętrznego spokoju, jakiego nie miała przedtem. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie wykreśliła go już ze swojego życia. Czyżby było już za późno?

Gdzieniedzie leżały płaty zlodowaciałego śniegu, który spadł przed kilkoma dniami, stopniał i ponownie zamarzał. Niektóre z budynków udekorowane były transparentami, święcąc zbliżającą się rocznicę rewolucji.

- Musisz tu mieć miliony zajęć - przerwał milczenie Stone. - Rocznicą, zbliżający się szczyt.

Wydawała się zadowolona z tego, że mówią o jej pracy. Był to temat bezpieczny, neutralny. Zachowywała jednak rezerwę. Czyżby to były urazy? A może coś jeszcze innego?

- Prezydent przylatuje jutro - mówiła. - Nie będzie z tym wiele zajęcia. Nakręcimy fragmenty przylotu na lotnisku, a ja potem zrobię jakiś mały komentarz. Nie ma wielu konferencji prasowych czy briefingów. No i pojutrze cały kram. Prezydent obok Gorbaczowa na trybunie Mauzoleum Lenina. Szczególna okazja do zrobienia zdjęć.

Poczuł przypływ ciepłych uczuć i objął ją. Zesztywniała.

- Charlotte, dlaczego odłożyłaś słuchawkę?

- Charlie, zastanów się. Oni tu nagrywają wszystkie rozmowy zagranicznych korespondentów.

- Chciałaś mnie chronić?

- Nic innego nie mogłam zrobić.

\*\*\*

Opowiedział jej, co zaszło. Właściwie mówił o wszystkim. Zaczynając od morderstwa na Alfredzie Stonie, kończąc na dzikim pościgu ulicami Paryża. Charlotte przerwała tylko raz, mówiąc, że zdobyła adres Soni.

- To znaczy, że ona żyje - potrząsnął głową i lekko się uśmiechnął. Jego podejrzenia znalazły pełne potwierdzenie.

- Teraz rozumiem, co starała się ukryć - mówiła Charlotte.

Czuła ogarniające ją na przemian przypływy miłości i gniewu. Był przecież jej mężem, znał ją jak nikt inny, a jednak wydawał się ogromnie odległy. Zmienił się w ciągu tych kilku tygodni. Wyglądał na zmęczonego, zaszczutego, przestraszonego i niepewnego. Znaleźli się nad brzegiem Moskwy, na całkiem pustym bulwarze. Charlotte słuchała uważnie, od czasu do czasu rzucając jakieś pytanie.

Wzięła go za rękę i lekko ją uściskała. Oddał uścisk i nie puszczał jej dłoni.

Wydawało się jej, że w uścisku tym znajduje źródło siły. Ogarniała ją jakaś słabość, jakaś ciepła czułość. Wiedziała, że pragnie jego miłości, i to powodowało, że czuła się speszona. Odwróciła się i stanęła z nim twarzą w twarz.

- Czy wiesz, że początkowo nie wierzyłam ci?

- Rozumiem. Wiem, że to wszystko brzmi mało prawdopodobnie. Patrzyła na zarysy hotelu "Ukraina", gmachu w stylu stalinowskiego gotyku.

- Naprawdę nie wierzyłam. Najpierw twój ojciec, a wczoraj rano przeczytałam informację nadaną w serwisie Associated Press... - zamilkła, nie wiedząc, jak powiedzieć mu

prawdę. Wreszcie wyszeptała:

- Charlie, Paula Singer nie żyje.

Stone oparł się o kamienną balustradę i przez chwilę Charlotte przypuszczała, że albo nie usłyszał, co do niego mówiła, albo nie rozumiał. Zorientowała się jednak, że był całkowicie załamany. Osunął się na bruk i twarz zakrył rękami.

- Nie - głos miał przytłumiony. - Byłem tak... tak bardzo ostrożny. Byłem... Musiała coś...

Charlotte nie wytrzymała. Usiadła obok niego i objęła go.

\*\*\*

Jak przez mgłę widział, że Charlotte przebiegła przez jezdnię i weszła do budki telefonicznej. Czuł, że ma ściśnięte gardło, i bardzo pragnął, ażeby była blisko przy nim. Myślał o tym, co mu przed chwilą powiedziała. A mówiła o tym, co Paula odkryła tuż przed swoją śmiercią.

Informacja, jaką usłyszał, miała ogromną wagę. Teraz wszystko zaczynało być bardziej zrozumiałe.

Fundacja Amerykańskiego Sztandaru była organizacją, która wykonywała dla agencji wywiadowczych brudną robotę, taką, której z uwagi na ustawowe zakazy agencje nie mogły wykonywać. Czyżby to oznaczało, że rozpoczęły one polowanie na niego, na jednego ze swoich ludzi? A może oznaczało to jeszcze coś innego?

Charlotte powiedziała wtedy o przecieku, jaki dotarł do niej od kogoś z KGB: CIA ma coś wspólnego z zamachami bombowymi, jakie miały ostatnio miejsce w Moskwie. Jeszcze jeden element do układanki. Charlotte uznała, że trzeba by dowiedzieć się czegoś więcej. Może są jakieś nowe informacje. Musi skontaktować się z Siergiejem. Tkwiło w tym sporo ryzyka... ale będzie tak ostrożna, jak to tylko możliwe. Zresztą nie mieli wyboru.

Widział, jak nakręciła numer, chwilę czekała i odłożyła słuchawkę. Znowu wykrciła numer i z kimś rozmawiała gestykułując poruszona. Potem wyraźnie czymś przejęta rzuciła słuchawkę. Przebiegła przez ulicę, wołając jeszcze z jezdni:

- Charlie! O mój Boże!

- Co się stało?

- On nie żyje.

- Kto?

- Siergiej. O Boże! Mój kontakt. Zatelefonowałam do pracy. Oni często pracują do późna. Zazwyczaj wypowiadałam dwa słowa. Tym razem telefon odebrał ktoś inny.

Wyłączyłam się. Zrobiłam to, czego nie robiłam nigdy. Zadzwoiłam do niego do domu.

Przedstawiłam się jako koleżanka z Litwy, to wyjaśnia mój akcent. Ona powiedziała mi, że on umarł. Zabity w wyniku eksplozji w laboratorium.

- Kiedy?

- Nie wiem. - Zaczęła płakać. - To musiało stać się niedawno. Powiedziałam, że chciałabym pójść na pogrzeb. Po prostu nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Tamta mówiła, że ciało kremowali nie zawiadamiając rodziny. Jednego dnia jeszcze żył, następnego już jego prochy były w urnie.

- Egzekucja - wyszeptał zmartwiałymi wargami.

Charlotte zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła się do niego.

Czuł na policzku jej łzy i ciężki, gorący oddech.

- Wplątano go - wyszeptała. - Tak samo jak Paulę. Te same siły.

Przez jakiś czas trwali w uścisku. Wreszcie Stone zaczął:

- Nie wolno cię w to mieszać.

- A czy mam możliwość wyboru?

- Tak, oczywiście, że masz możliwość wyboru. Znalazłem się w ślepych zaułku. Muszę walczyć. Potrzebuję twojej pomocy, twoich kontaktów, twojej inteligencji. Nie jestem jednak pewien, co ja bym zrobił na twoim miejscu.

- Do diabła, Charlie, oczywiście, że wiesz, co byś zrobił - odparła wyraźnie rozzłoszczona. Złapała go za bary, jakby chciała nim potrząsnąć, ale patrzyła mu jedynie prosto w oczy. - Nie, Charlie, to piekło... nie mam wyboru. Po tym, co zrobili z twoim ojcem... to wszystko zmienia. Zmienia wszystko... rozumiesz? Myślisz, że kim jestem? Czy sądzisz, że mogłabym się od ciebie odwrócić?

Przysunął twarz do jej twarzy, pocałował i wyszeptał:

- Kocham cię, Charlotte.

Patrzyła jakby zaskoczona. Odsunęła się od niego, otarła łzy dłonią i powiedziała:

- To co teraz zrobimy?

Przechylił głowę i patrząc jej prosto w oczy chciał wyszeptać swoje pragnienie.

- Słuchaj, Charlotte...

- Charlie - przerwała mu szorstko, nagle bardzo pragmatyczna, jakby dając do zrozumienia, że chwila sentymentów minęła. - Co mamy teraz zrobić? - powtórzyła.

Odpowiedział po chwili namysłu:

- Córka Lehmana to jeden z kluczy do sprawy. Gdybym tylko mógł skłonić ją do ujawnienia tego, o czym nie chce mówić. Bardziej prawdopodobne jest, że uda się ją namówić do ułatwienia nam kontaktu z innymi, którzy mogą nam pomóc.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Najważniejsze byłoby dotarcie do człowieka, który stoi na czele organizacji starowierców.

- W jakim celu?

- Ponieważ nam... mnie... potrzebna jest pomoc. Nie mogę już dłużej walczyć sam.

- Nie znasz jego nazwiska. Nic o nim nie wiesz.

- I dlatego właśnie potrzebuję ciebie.

- Przecież nie możemy chodzić po ulicy, zaczepiać Rosjan i pytać, czy przypadkiem nie słyszeli o tajnym procesie żołnierzy z lat II wojny światowej i czy nie znają nazwiska człowieka, który do tego procesu nie dopuścił. Charlie, tu się o takich sprawach głośno nie rozmawia. Wprawdzie Moskwa przyjęła na siebie winę za katyńską masakrę, ale byłoby zdumiewające, gdyby ujawnili jakiegokolwiek materiały. Tu, w tym kraju, wszystko stanowi tajemnicę państwową.

- Musi przecież być jakaś droga.

- Kim twoim zdaniem może być ten człowiek? Jakiś dysydent, ktoś taki jak Andriej Sacharow? Może jakiś były dygnitarz partyjny wyrzucony ze stanowiska i obnoszący się ze swoimi urazami?

- Każda wersja jest możliwa. Muszą być jakieś akta. W Fundacji Parnasus trzymano nas zawsze z daleka od wszelkich źródeł. Tu jest zapewne inaczej. Zresztą ty znasz to miasto. Gdybyś ty miała takie zadanie, od czego zaczęłabyś?

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i niespodziewanie uśmiechnęła się:

- Powiedziałeś: akta - zauważyła cicho. Pochyliła się do przodu i pocałowała go w policzek. - Tak, być może jest jakaś droga. Spróbuję zaraz jutro rano.

- Gdyby ci się udało, byłoby wspaniale, ale pamiętaj, że nie mamy czasu.

- Zrobię, co będę mogła.

- Jeśli ktokolwiek mógłby tu coś zdziałać, to zapewne tylko ty.

- Jutro po południu przylatuje prezydent. Poproszę producenta, ażeby poszedł za mnie.

Nie powinno tam być nic ważnego. Zrobi to dla mnie.

Zawrócili i szli teraz w kierunku mieszkania Charlotte.

- Musimy te wszystkie kawałeczki informacji złożyć w jedną całość - powiedział

Stone. - Co więc wiemy? Wiemy, że CIA czy jakaś grupa z tej agencji jest zamieszana w falę terrorystycznych zamachów w Moskwie. Jest więc najprawdopodobniej zamieszana w przygotowania do zbliżającego się przewrotu, w wyniku którego ich agent M-3 ma przejąć władzę. Czy tak?

Potwierdziła skinieniem głowy. Widać było, że słucha z najwyższą uwagą.

- Masz rację - powiedziała. - Te zamachy terrorystyczne zaczynają tu powodować taki zamęt, jaki przed kilkudziesięciu laty zrobiłoby opublikowanie Testamentu Lenina.

- Wiemy, że M-3 miał powiązania z Berią i z Lehmanem za pośrednictwem córki Lehmana. Nie wiemy jednak, jak te kontakty wyglądały.

- A co planuje się obecnie? Jakie wydarzenie, jeśli w ogóle jakieś wydarzenie nastąpi?

- Być może jakąś akcją zbrojną, jakiś militarny atak. Wszystko wskazuje na to, że ma się to wydarzyć w rocznicę rewolucji, w dniach szczytu.

- W czasie obecności prezydenta Stanów? - zapytała Charlotte. - Gdyby się więc cokolwiek wydarzyło, mogłoby to wyglądać na uderzenie skierowane przeciwko prezydentowi, a nie komukolwiek innemu. Czy jest to możliwe?

- Tak, bardzo prawdopodobne.

- Jeśli doszłoby do ataku na radzieckie kierownictwo, to działania musiałyby koordynować ktoś, kto ma władzę, nie sądzisz?

- Oczywiście. Ktoś, kto kontroluje armię, może lotnictwo. Jakiś generał.

- Kto na przykład?

- Takich ludzi jest w ZSRR kilkunastu. Może to być każdy z członków Biura, któryś z dowódców armii - powiedział Stone z zimnym spokojem. - M-3 jest właśnie jednym z takich ludzi.

- Tak sądzisz?

- W 1953 Beria przygotowując przewrót zaplanował swoją nieobecność w czasie jego trwania. Zapewne chciał kierować swoimi siłami. Gdyby był na scenie, nie mógłby zaskoczyć i schwytać innych. Musiał być nieobecny.

- Co z tego wynika?

- Jeśli M-3 naprawdę planuje przewrót na dzień rocznicy rewolucji, to czy nie sądzisz, że właśnie w tym dniu będzie nieobecny?

- Być może, Charlie, ale kiedy stwierdzimy, kogo nie ma na obchodach, będzie już oczywiście za późno.

- Może jednak nie - Stone uśmiechnął się. - Posłuchaj, rocznica rewolucji to największe święto państwowe w ZSRR. W każdym razie do tej pory. Tu nie można się nie pokazać, chyba że się leży na łożu śmierci. Przypominam sobie film z czasów Breżniewa. Wydawało się, że stojący na Mauzoleum Lenina Breżniew ma chwilami wszystkiego dosyć. Mówi się, że stał tam tak długo, aż się zaziębił i potem umarł. Jeśli nie jest się obecnym, to jest to sygnał, że traci się władzę. Nikt więc po prostu ot, tak sobie, nie zostaje w domu.

- Tak, rozumiem.

- Jeśli więc członkowie Biura zobaczą, że kogoś ważnego nie ma na uroczystości, staną się podejrzliwi i być może zaczną sprawdzać, dlaczego ten ktoś jest nieobecny i gdzie jest. Nie sądzisz?

- To twoja dziedzina, Charlie, ja zajmuję się jedynie reportażami.

- Co więc zrobiłabyś, gdybyś nie chciała wziąć udziału w tak ważnym wydarzeniu?

- Zachorowałabym.

- Tak nagle?

- Zapewne nie. Aha, już rozumiem. Chorowałabym od pewnego czasu i wtedy na moją nieobecność nie zwrócono by uwagi.

- Doskonale.

- W czym ta analiza ma nam pomóc?

- Ty jesteś reporterem. Ja jedynie analizuję informacje. Ty powinnaś mi powiedzieć, co robić.
- Akta medyczne - powiedziała.
- Oczywiście - niemal wykrzyknął. - Czy pamiętasz, jak było z Jurijem Andropowem? Umierał, a świat informowano, że jest zaziębiony.
- Tak, cierpiał na niewydolność nerek, ale nikt o tym nie wiedział - przypomniała sobie Charlotte.
- To jest miasto pogłosek. Tak się tu rozchodzą informacje.
- Tak, Charlie, sądzę, że mam źródło.
- Kto?
- Jeden z moich poprzedników miał kontakty z kliniką kremlowską. Z lekarzem, który leczył również Andropowa. Ten lekarz uważał, że jawność jest najsłuszniejszą drogą postępowania. Od niego był przeciek na temat stanu zdrowia Andropowa.
- I zapewne nadal ma dostęp do akt medycznych członków kierownictwa - wyszeptał Stone. - Czy możesz dotrzeć do tego lekarza?
- Charlie, mógłbyś mieć do mnie nieco zaufania. Nie na darmo mam opinię korespondenta o najlepszych kontaktach w Moskwie. Czy sądzisz, że nie odnajdę faceta?
- Jestem pewien, że odnajdziesz.
- Zrobię wszystko, żeby ci pomóc - mówiła. - Przez pamięć twojego ojca... A niech to, również i dla ciebie.

Objął ją i pocałował. Poczuł, że oddaje pocałunek. Odsunął się od niej i powiedział:

- Przyjdzie dzień, w którym i zapomnisz, i przebaczysz.

Popatrzyła na niego uważnie i nic nie odpowiedziała. Oczy jej zasły mgłą. Poczuł ściskanie w gardle, był zakłopotany. Powoli, bardzo powoli przybliżył twarz do jej twarzy, patrząc jej w oczy. Miętko, ostrożnie jego wargi spotkały się z jej wargami. Czekał na jej reakcję, a gdy po chwili wahania nadeszła, wypełniło go podniecenie, a serce zaczęło bić przyspieszonym rytmem.

\*\*\*

Mieć ją po tak długim czasie! Wydawała się jednocześnie kimś dalekim i kimś najbliższym. Jej ciało było całkiem obce, inne, lecz wystarczył jeden ruch, słowo, by powracały znajome reakcje przynoszące pamięć wspólnych dni. Jej opór sprzed kilku godzin podniecał go. Wydawało się, że go odpycha. Kiedyś, przed laty, w jakiejś sytuacji zasłoniła rękami piersi, jakby się ich wstydziła, choć były piękne. Teraz leżała na wznak, wyprężona z rozkoszy, jej piersi nabrzmiałe, okrągłe, sterczały prowokująco. Teraz poddawała mu się, zniknął opór. Pozwalała, by jego ręce błądziły po jej ciele. Pieścił piersi, delikatnie całował nabrzmiałe sutki, poznawał je od nowa. Przywoływał z pamięci miejsca, które wymagały pieszczot, wracała pamięć rytmu miłości.

\*\*\*

Charlotte uważała kiedyś, że Charlie kochał ją jak chłopaczkę. Gwałtowne wejście, szybka kopulacja, nagły orgazm i już było po wszystkim. Teraz było całkiem inaczej. Ogromna bliskość, zrozumienie, harmonia pieszczot, pocałunków, ruchów. Poprzez zasłone rozkoszy i podniecenia słyszała ciche westchnienia Charliego. Poruszała się jak w transie, starając się powstrzymać falę rozkoszy, ale nie mogła nie dać się zniewolić nadchodzącemu orgazmowi rozlewającemu się jak szeroka, gorąca fala obejmująca jej podbrzusze, wreszcie ją całą. Po raz pierwszy od lat czuła się całkowicie bezpieczna.

\*\*\*

Przez długi czas leżeli mocno przytuleni. Potem ona wstała i przyniosła z kuchni butelkę wina. Starali się nie zauważać swojego speszenia. Stone znowu ją całował, a ona zaczęła go delikatnie pieścić ręką.

- Zapomniałam, jakie jest twoje ciało - powiedziała i przeniosła rękę na jego kark. - Wolałabym, ażebyś miał nieco dłuższe włosy - przypatrywała mu się jakby ze zdziwieniem i dodała:

- Jestem szczęśliwa, że tu jesteś.
- I ja jestem szczęśliwy - pocałował ją ponownie.
- Jestem jednak zawstydzona.
- Widzę to dobrze - zaśmiał się.

Czuł jej ciepłe, miękkie ciało. Miał je w dłoniach. Pożądał jej. Opadła na poduszki pociągając go za sobą. Spletli się ciałami, wszedł w nią ponownie. Poruszał się miarowo, powoli, delikatnie. Po chwili ogarnęła ją fala przemożnej rozkoszy.

\*\*\*

Stone obudził się wcześniej rano. Miał okropny, bolesny sen o Pauli, któremu towarzyszyło poczucie winy. Rozejrzał się. Był sam w łóżku. Charlotte gdzieś poszła. Poczul nagły przypływ strachu, ale uświadomił sobie, że miała rano telefonować do któregoś ze swoich informatorów. Zamknął oczy i niemal natychmiast zasnął, powracając do swoich męczących snów.

Wkrótce obudził się ponownie, czując, jak Charlotte powraca do łóżka. Przytuliła się do niego. Objął ją ramieniem i cieszył ciepłem jej ciała. Przytuliła wargi do jego ucha i szeptała:

- Charlie, znam faceta, z którym powinniśmy porozmawiać.
  - Kto?
  - Przypuszczam, że on jest z CIA. Jeśli Saul Ansbach miał rację, to co najmniej kilka osób z Agencji jest w to zaangażowanych. Może warto zaryzykować i porozmawiać z nim. Stone był już w pełni przebudzony, jego oczy stały się czujne.
  - Może dobrze byłoby wykorzystać ten kanał - nadal szeptała mu do ucha. - Porozmawiać z nim. Jeśli dla kogoś pracuje, to natychmiast się zorientujesz.
  - Tak - równie cicho szepnął Stone - ale dla bezpieczeństwa mogę mu powiedzieć jedynie tyle, ile jest konieczne, żeby zorientować się, czy nie jest jednym z nich.
  - “Czy są tu założone podsłuchy? - zastanawiał się. - A jeśli są, to czy na tyle czule, ażeby wychwycić tak cichy szep?” Popatrzył na zegarek:
  - Wydaje mi się, że mamy trzydzieści, najwyżej trzydzieści dwie godziny.
- Zastanawiam się... - zamilkł. Nie chciał jej przestraszyć. - Biorąc pod uwagę środki, jakimi dysponują moi prześladowcy, nie minie wiele czasu, a zorientują się, że jestem w Moskwie.
- Jeśli już nie wiedzą
  - Oczywiście - szeptał - jeśli już nie wiedzą.

66. 5 listopada

Klinika kremlowska zajmuje pięciopiętrowy klasycystyczny budynek, wyłożony czerwonym granitem, z pseudogrecką kolumnadą i kopułą, chroniony wysoką, żelazną kratą. Znajduje się on w centrum Moskwy, niedaleko Kremla i naprzeciwko siedziby Biblioteki im. Lenina. To tu właśnie leczy się radziecka nomenklatura, elita władzy ZSRR. W klinice

wszystko podporządkowano wymogom bezpieczeństwa, a personel lekarski dobierany jest tak starannie, że dyskwalifikuje się wielu spośród najlepszych specjalistów, gdy wątpliwości budzi ich pochodzenie etniczne bądź ich poglądy. Z tych właśnie powodów klinika kremłowska, nadzorowana przez IV Departament Ministerstwa Zdrowia, choć otrzymuje najlepszy i najdroższy sprzęt oraz lekarstwa, nie zapewnia jednak najlepszej opieki. Wielu zatrudnionych tu lekarzy to ludzie bardzo miernego talentu.

Oczywiście było sporo wyjątków. Aleksander Borisowicz Kuzniecowa, internista z kliniki kremłowskiej, dobiegał pięćdziesiątki. Był zręczny i bystry, czym wyróżniał się w gronie kolegów. Trzymał się jednak w cieniu, co powodowało, że nie budził zazdrości i nie drażnił. W pięć lat po zakończeniu praktyki w jednym ze szpitali w Leningradzie wybrano go do pracy w klinice kremłowskiej, gdzie zajmował się leczeniem najbardziej wpływowych ludzi w kraju. Było to ogromne wyróżnienie, co znajdowało wyraz w otrzymywanym wynagrodzeniu, jako że w Rosji przywileje idą zawsze w parze z pieniędzmi. Wiedział też doskonale, że wybrano go nie z uwagi na jego medyczne kwalifikacje, ale dlatego, że uznano go za człowieka politycznie pewnego. Jego ojciec osiągnął średnio wysoką pozycję za Stalina i sam fakt, że utrzymał się na niej lata, był świadectwem jego wierności i ortodoksji.

Aleksander Kuzniecowa był jednak inny. Choć jego przyjaciele i koledzy uważali go za dobrego komunistę, dla tego wszystkiego, co pozostało z radzieckiego komunizmu, czuł jedynie starannie ukrywaną pogardę. Kochał swoją pracę. Z uwagi na poziom zawodowy i przekonanie, że obowiązkiem lekarza jest niesienie pomocy wszystkim, nawet najbardziej obmierzłym, należał do wyróżniających się lekarzy kliniki, a jego praca była bez zarzutu. Były dni, w których zdawał sobie sprawę, że wcale nie czułby się nieszczęśliwy, gdyby nagle zniknęły te wszystkie potworki - członkowie Biura Politycznego i Komitetu Centralnego. Może wtedy nadeszłyby dni, kiedy mógłby leczyć pacjentów - zwykłych ludzi, mógłby z nimi normalnie rozmawiać i rzeczywiście im współczuć.

Po kilku latach pracy w klinice Kuzniecowa znalazł się w gronie lekarzy skierowanych do jeszcze bardziej strzeżonego ośrodka Kunczewo, gdzie wraz z innymi opiekował się umierającym Jurijem Andropowem. Poprzez grono najbliższych przyjaciół, przed którymi nie ukrywał swojego niezadowolenia - chociaż nawet w stosunkach z przyjaciółmi zachowywał ostrożność - spotkał się z kilkoma zachodnimi korespondentami i kiedy nerki Andropowa zaczęły odmawiać posłuszeństwa, przekazał im na ten temat informacje. W ten sposób stał się dla zagranicznych korespondentów źródłem informacji z kliniki kremłowskiej, choć najprawdopodobniej wcale nie jedynym. Zrobił to nie dlatego, ażeby życzył Andropowowi śmierci. Nic podobnego. Był jednak przeciwny metodzie utrzymywania w całkowitej tajemnicy informacji na temat stanu zdrowia ludzi znajdujących się na szczycie władzy. Uważał, że Rosjanie mają prawo do informacji na temat ich przywódców. Zbyt często trzymano społeczeństwo w stanie całkowitej niewiedzy, co było jedynie pożywką dla ustawicznych plotek. Doskonale pamiętał wydarzenia związane ze śmiercią Konstantina Czernienki. Biuro Polityczne nie było w stanie rozstrzygnąć problemu sukcesji i na trzy dni wstrzymało opublikowanie wiadomości o śmierci przywódcy, choć o wydarzeniu tym ćwierkały już wszystkie wróble.

Jednak nawet dla niego prośba Charlotte Harper była czymś niezwykłym.

Zatelefonowała do niego po północy i przedstawiła się jako kuzynka Liza z Rygi. Do niego zwracała się Sasza. Uzgodnili ten swoisty szyfr tak, by dla kogoś postronnego brzmiało to całkiem normalnie. Przedstawiała się jako Łotyszka z uwagi na akcent, choć po rosyjsku mówiła biegle. Sam akcent nikogo nie raził. W Związku Radzieckim mówiono z kilkunastoma różnymi akcentami.

- Spotkamy się więc jutro o piątej w Galerii Trietiakowskiej - mówiła.

I to był również umówiony kod, który dopiero musiał sobie uzmysłwić.

Tym razem nie prosiła go o informacje o stanie zdrowia któregoś z przywódców.



Chciała, żeby przejrzał akta medyczne wszystkich członków i zastępców członków Biura, łącznie dziewiętnastu mężczyzn i jednej kobiety, i sprawdził, czy któreś z nich nie ma poważnych kłopotów zdrowotnych, utrzymywanych w największej tajemnicy. Prośba była dziwaczna, ale jej spełnienie nie powinno było zabrać zbyt wiele czasu. Wyraził więc zgodę. Mógł to zrobić całkiem bezpiecznie, bez zwracania czyjejkolwiek uwagi czy budzenia podejrzeń. Oczywiście potrzebował jakiegoś odpowiedniego pretekstu. W każdym razie spróbuje.

\*\*\*

Na każdym piętrze kremłowskiego szpitala zainstalowane były trzy komputery. Korzystano z nich przy odbiorze wyników badań. Ponadto w salce konferencyjnej dla lekarzy znajdowały się dwa. Z tych korzystać mieli lekarze, ale większość z nich nie znosiła komputerów i nie potrafiła się z nimi obchodzić. Tak więc prawie zawsze stały bezczynnie. Kuzniecowa zdumiewało, że inne szpitale radzieckie, nie posiadające komputerów, mogły w ogóle funkcjonować. Komputery, tak często łączone z Wielkim Bratem George'a Orwella, są w rzeczywistości niczym innym jak nemezis dla państwa totalitarnego. Dzięki komputerom informacje stają się powszechnie dostępne, nie mogą być koncentrowane w rękach rządzących. A informacja to źródło siły. Kuzniecowa był zadowolony, że wszyscy lekarze kliniki mieli swobodny dostęp do komputerów i zastanawiał się, kiedy jakiś inteligentny administrator znajdzie sposób na ograniczenie dostępu do informacji zebranych w pamięci komputera dotyczących stanu zdrowia członków najwyższego kierownictwa. Salka konferencyjna była pusta. Usiadł przed ekranem i wprowadził numer kodu. Ekran przez chwilę był czysty, po czym ukazał się sygnał stacji. Kuzniecowa wystukał na klawiaturze swój numer identyfikacyjny oraz ośmiocyfrowy numer odpowiadający dacie jego urodzenia. Kilka sekund oczekiwania i na ekranie ukazał się wykaz programów. Kuzniecowa wybrał program "Kartoteka akt osobowych" i zażądał przedstawienia kart członków Biura. Operacja niewiarygodnie łatwa. Był pewien, że nikt o nic nie będzie pytał, ale gdyby, to usłyszałby logiczne i niepodważalne wyjaśnienie. Sprawdzał karty medyczne, ażeby stwierdzić, czy nie zbliża się termin okresowych badań, bądź czy któryś z podopiecznych nie wymaga szczególnej uwagi lekarzy. Było to rutynowe i uzasadnione działanie. Należałoby go jedynie pochwalić za pilność. Uważnie czytał kartę po karcie.

\*\*\*

Przy ulicy Bolszaja Pirogowskaja w moskiewskiej dzielnicy Lefortowo, niedaleko Nowodiewiczego Monasteru, w białym budynku znajduje się centralne wojskowe archiwum historyczne. Przy wejściu Charlotte otrzymała przepustkę, którą załatwił jej ktoś zaprzyjaźniony z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Stojący przy głównej bramie milicjant sprawdził przepustkę i wpuścił ją do środka. Klatka schodowa była obszerna i pusta. Na najwyższym piętrze znajdowała się czytelnia. Przez czterdzieści minut szperała w katalogach i rozmawiała z bibliotekarką. Było tak, jak się spodziewała. Potrzebne jej akta znajdowały się w dziale, do którego dostęp był zamknięty. Nie było sposobu, ażeby się tam dostać. Uśmiechnęła się miło do dyżurnej bibliotekarki i wyszła. Zamieniła kilka słów z dyżurnym milicjantem przy bramie i opuściła archiwum.

\*\*\*

Pracując szybko i sprawnie dr Aleksander Kuzniecowa czytał kolejne karty szukając interesującego go zapisu. Wadim Miedwiediew, Nikołaj Ryżkow, Lew Zajkow. Na kartach nic ciekawego, jakieś drobne szmery w sercu, nieważne kłopoty żołądkowe.

Teraz karta Pawliczenki, ale na ekranie dzieje się coś dziwnego. Zamiast karty ukazuje się informacja: "Nie ma dostępu".

"Zdumiewające" - pomyślał doktor. Dlaczego nie ma dostępu akurat do tej jednej karty, podczas gdy bez ograniczeń można mieć wgląd w inne, nawet w kartę Gorbaczowa? Być może dlatego, że Pawliczenko był przewodniczącym KGB, a ta instytucja z Łubianki bez tajemnic żyć nie jest w stanie. To najprawdopodobniej przyczyna zatajania informacji. Spróbował raz jeszcze i ponownie napis na ekranie: "Nie ma dostępu".

Musi jednak być jakaś określona droga dotarcia do tych informacji. Zawsze się znajdzie. Bębniąc palcami po blacie stołu myślał. I wymyślił - krew. Wszystkie karty znajdowały się również w innym programie, dotyczącym typu krwi. Zawierał on informacje o zapasach krwi, jakimi dysponuje klinika. Dane takie mogły być potrzebne w razie wypadku któregoś z członków centralnego kierownictwa.

Wywołał program: "Bank informacji/typ krwi".

Jedna po drugiej karty zdrowia ukazywały się na ekranie. Przebiegał po nich oczami i przesuwał wywołując następną. W pewnym momencie na ekran wpłynęła karta, z której usunięto nazwisko pacjenta. Czytał zawarte w niej informacje: wiek, opis stanu fizycznego, historię chorób, i uświadomił sobie, że jest to karta Pawliczenki. A więc udało się.

Przesuwając kartę stwierdził, że osobistym lekarzem Pawliczenki był oczywiście dyrektor kliniki dr Jewgienij Nowikow. Kiedy jednak Pawliczenko był tu po raz ostatni, badał go wybitny neurolog, dr Konstantin Bielów, człowiek o dwadzieścia lat starszy od Kuzniecowa, którego ten bardzo szanował. Było jasne, że jeśli szef KGB przychodzi na badania, to do najlepszego lekarza. Po co jednak był u neurologa?

Kuzniecowa nacisnął klawisz i na ekran wpłynął raport z wynikiem rentgenowskiego prześwietlenia Pawliczenki. Był normalny, żadnych aktywnych nacieków.

Ale co to... niespodzianka, angiogram tętnicy szyjnej. Tak, na tej podstawie dr Bielów mógł podejrzewać jakieś komplikacje. Być może Pawliczenko nawet przeszedł udar. Czyżby to było możliwe? Angiogram wykazywał, że prawa strona była drożna... wszystko w porządku. Natomiast lewa... badania podawały niedobłą informację. Istotne zwężenie ograniczało przepływ. Tu tętnica szyjna była całkowicie zamknięta. Dopływ krwi do mózgu z lewej strony był poważnie ograniczony. Oznaczało to bardzo duże prawdopodobieństwo udaru lewej półkuli.

Ktoś przeszedł za jego plecami i Kuzniecowa obejrzał się nerwowo. Nie byłoby łatwe wytłumaczenie, dlaczego czyta kartę Pawliczenki, który nie jest jego pacjentem. Nikt się jednak nie zatrzymał i Kuzniecowa powrócił do przerwanej lektury.

Na ekran wpłynął odczyt ostatniego zdjęcia, który jednak nie wykazywał niczego. Nie było obszarów martwicy niedokrwiennej czy poważniejszych zmian chorobowych, jedynie niewielki zanik kory mózgowej. Nie było więc udaru. To oczywiste. Co właściwie było powodem wizyty u lekarza?

Uderzenie w klawisz i na ekranie pojawił się raport z badania z odnotowaną uwagą Bielowa. Pawliczenko nie widzi na lewe oko. Jak to jest możliwe? W jaki sposób została zakłócona funkcja lewego oka, podczas gdy zmiany nastąpiły również w lewej półkuli mózgu? To nie miało sensu. Coś tu było nie w porządku. Być może zamieniono przez pomyłkę zdjęcia - przyszło Kuzniecowskiemu do głowy. Może to w ogóle nie było zdjęcie Pawliczenki, lecz kogoś innego. Tego rodzaju pomyłki są dosyć częste.

Po kilkuminutowym namyśle Kuzniecowa postanowił wyświetlić sprawę. Zszedł na parter do archiwum akt, gdzie przechowywano klisze. Pracujący tu na ogół nie pytali lekarzy,

czego i w jakim celu szukają - Natychmiast po rozpoczęciu poszukiwań stwierdził brak klisz. Odnalazł notatkę, że klisze zabrał dr Bielów. Nie, nie było sensu pytać o cokolwiek dr. Bielowa. To byłby koniec jego kariery w klinice. Już kilka dni potem mógłby zajmować się pacjentami w Tomsku. Można jednak było rozpocząć poszukiwania w innym miejscu. Archiwum zdjęć zakodowanych w pamięci komputera znajdowało się w podziemiach, gdzie urzędował technik Wasia Riazański, młody chłopak, którego Kuzniecowa znał dość dobrze. Kiedyś mu bardzo pomógł. Wyleczył go z rzeżączki, nie odnotowując choroby w jego karcie. Nadszedł czas na zwrot długu wdzięczności. Uczynność opłaciła się. Być może uda się rozwikłać zagadkę.

- O co właściwie chodzi? - zareagował pytaniem Wasia na zainteresowanie lekarza jego stanem zdrowia. - Powiedz, czego właściwie chcesz? - i tu dorzucił jedno z powszechnie używanych rosyjskich przekleństw.

Obaj parsknęli śmiechem.

- No dobrze, Wasia. Musisz mi pomóc. Masz na tym komputerze zapisy wszystkich wykonywanych zdjęć?

- A gdzie miałbym mieć?

- Chciałbym jedno z nich zobaczyć.

- Dlaczego nie pójdziesz do archiwum na górze? Tam znajdziesz łatwiej.

- Byłem tam, ale ktoś wziął to, czego szukam.

- A czego szukacie, towarzyszu doktorze?

Gdy Kuzniecowa wymienił nazwisko, Wasia zrobił wielkie oczy. Pokiwał głową i cicho cmoknął:

- No, no, no, poruszamy się na samym szczycie.

“Niech myśli, że lecę Pawliczenkę” - pomyślał Kuzniecowa, kiedy Wasia wystukiwał nazwisko przewodniczącego KGB na klawiaturze komputera.

- Materiały trzymamy w pamięci około miesiąca, potem wymazujemy. Brak nam dyskieta - głos Wasi nabrał powagi. - Nie wiesz, kiedy zrobiono badania? Ja sobie nie mogę przypomnieć. Może ktoś inny był na dyżurze.

- Sądzę, że w zeszłym miesiącu.

- W porządku. Już mam. Popatrz. Kuzniecowa był zdumiony tym, co zobaczył.

- Wasia, chciałbym zobaczyć realniejsze warstwy. Możesz to zrobić?

- Oczywiście.

Po obejrzeniu poszczególnych warstw Kuzniecowa nie miał już najmniejszych wątpliwości. Na lewej półkuli mózgowej Pawliczenki był wielki obszar martwicy niedokrwiennej.

Jak to było możliwe? Materiały, jakie przeglądał na górze, były dowodem, że stan Pawliczenki był normalny. Teraz oglądał dowód czegoś wręcz odwrotnego, obszernych zmian. Czyżby coś przeoczył?

Coś tu było pokręcone.

W tym momencie odczytał datę umieszczoną w lewym górnym rogu ekranu - 7 listopada. Zgodnie z tą informacją badanie miało być wykonane za dwa dni.

\*\*\*

W pokoju łączności głównego I Zarządu KGB na przedmieściach Moskwy jedna ze stacji komputerowych zaczęła nagle emitować jednostajny sygnał “bip, bip, bip”. Stacja była podłączona do systemu wykrywającego każdą próbę penetracji jednego z kilku strzeżonych systemów komputerowych w mieście.

Na ekranie monitora pojawiła się treść informacji:

**NARUSZONY SYSTEM BEZPIECZEŃSTWA**

CENTRALA KLINIKI KREMLOWSKIEJ  
STACJA 3028

Nastąpiła krótka przerwa. Komputer wyszukiwał informację o numerze kodu tego, kto spenetrował system, i porównywał z listą pracowników szpitala. Po chwili na ekranie wyskoczyła kolejna informacja:  
ALEKSANDER KUZNIECOW.

67.

Restauracja umeblowana była prosto, nawet brzydko. Salę wypełniały niewielkie wysokie stoliki, przy których jadło się na stojąco. Było tu tłoczno i pachniało gorącym tłuszczem. Szyby okienne pokrywała para.

Stali w kolejce, nie rozmawiając ze sobą. Przesunęli się przed bufetem, na którym stały kubki ze śmietaną i talerze z zupą jarzynową. Podeszli do kontuaru, gdzie dwie siwowłose kobiety zsuwały z wielkich tac do pojemnika wypieczone, złotobrazowe pierożki i pielmienie nadziewane mięsem, gotowane na parze. Najbardziej smakowały podawane ze śmietaną. Stone popijał je gorącą kawą, oczywiście nie kawą prawdziwą, ale jakąś namiastką zaprawioną mlekiem.

- Nie mogę pozostać w twoim mieszkaniu - powiedział Stone w czasie posiłku. - Z uwagi na ciebie i na mnie.

- To prawda.

- Czy wiesz, gdzie mógłbym się zatrzymać? U kogoś z przyjaciół?

- Nie możesz ani u naszego kamerzysty, ani u naszego producenta. Gdyby coś się wydarzyło, na pewno właśnie tam by szukano. Znam jednak pewnego Rosjanina, malarza. Mieszka na poddaszu, gdzie urządził sobie pracownię. Tam powinno znaleźć się dla ciebie miejsce.

- Doskonale - przez chwilę jedli w milczeniu. Zjadł swoją porcję pielmieni i powiedział: - A starowiercy...

- Co masz na myśli?

- Nic o nich jeszcze nie wiemy.

- Musisz mi dać czas co najmniej do popołudnia.

- Może być za późno.

- Miejsce, do którego muszę dotrzeć, nie jest zwyczajnie dostępne - popatrzyła na zegarek. - Chyba już czas. Nasz kontakt ma właśnie o tej porze godzinną przerwę obiadową. Klinika jest o jedną przecznicę stąd. Ten człowiek jest nie tylko lekarzem, ale i naukowcem, a więc nie zwraca uwagi fakt, że odwiedza czasami Bibliotekę im. Lenina.

Wyszli z restauracji, przeszli na drugą stronę ulicy i znaleźli się przed gmachem Biblioteki. W szatni zostawili płaszcze. Weszli na pierwsze piętro, gdzie znajdował się wielki pokój wypoczynkowy i palarnie. Siedli na jednej z wolnych kamiennych ław i czekali. W kilka minut potem dołączył do nich mężczyzna w średnim wieku. Usiadł i wyjął z kieszeni paczkę papierosów "Biełomorkanał".

Zwrócił się po rosyjsku do Charlotte:

- Macie zapalki?

Podala mu zapalki, pozornie nie zwracając na niego uwagi. Przyjął je bez słowa i zapalił papierosa.

- Wydaje mi się, że znalazłem to, czego pani szuka - powiedział cicho i szybko Kuzniecowa. Wypuścił z płuc kłęb papierosowego dymu i uśmiechnął się z zakłopotaniem. Najwyraźniej dla postronnego obserwatora odgrywał rolę odtrąconego amanta. W rzeczywistości był przerażony i z trudem zachowywał spokój. Siedzący obok Stone udawał,

że przegląda pozostawiony na stole egzemplarz "Sowieckiej Kultury".

- Jest tam kilka osób, których stan zdrowia mógłby budzić podejrzenia. Ale tylko jeden wypadek zmusza do zastanowienia. Otóż przewodniczący KGB będzie miał udar mózgu - pochylił się w jej stronę, zwracając pudełko zapalek.

- Pawliczenko? - zdumiała się Charlotte. - Będzie miał...?

- Właśnie tak jak mówię. Będzie miał. Jeśli wyniki badań, jakie widziałem, są dokładne, to planuje ten udar na 7 listopada.

Stone poczuł nagle falę ogarniającego go strachu i zrozumiał, że wreszcie natrafił na to, czego szukał. Wiedział, kim jest M-3.

## Waszyngton

Czarny saab turbo posuwał się wzdłuż obwodnicy, autostrady otaczającej Waszyngton. Bayliss spojrzął na zegarek i stwierdził, że Aleksander Malarek już na pewno czeka na niego w umówionym miejscu.

Żuł trzecią tabletkę środka uspokajającego jego kwasy żołądkowe. Nerwy jednak miał ustawicznie napięte. Nie chciał zażywać valium. Uważał, że było na to zbyt wcześnie, a poza tym za kilka godzin wraz z całą ekipą na pokładzie Air Force One odlatywał do Moskwy i chciał zachować możliwie maksymalną przytomność umysłu. Mógł to przecież być wielki moment w jego politycznej karierze.

Od ostatniego spotkania Sanctum znajdował się w stanie nie przemijającego

podniecenia. Powodem było narastające w nim przekonanie, że Sanctum - związek najmądrzejszych i najbardziej doświadczonych - popełnia obecnie ogromny błąd.

W jaki sposób Pawliczenko chciał przejąć władzę? Tego nie wiedzieli. Oczywiście ich plan był sensowny. Usunąć radzieckiego przywódcę, który i tak nie mógłby się długo utrzymać przy władzy, i zastąpić go tajnym agentem, kretem. Agent jako szef radzieckiego imperium. Tak, to miało swój sens. Bayliss był jednak coraz bardziej przekonany, że przewrót nastąpi w najbliższym czasie - w dniach szczytu. Tylko to mogło wyjaśniać pośpiech i nerwowość tamtych i reprezentującego ich Malareka. Na to wskazywały ich przygotowania.

Należało się liczyć z tym, że w Moskwie w dniach szczytu dojdzie do rozlewu krwi. A Bayliss nie miał wątpliwości co do tego, że każdy Amerykanin wplątany w tego rodzaju wydarzenia będzie musiał ponieść ogromne konsekwencje. Musi, w pełnym tego słowa znaczeniu, dbać o własną dupę. Musi powiadomić swojego przełożonego, admirała Mathewsona, doradcę prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego, który nie miał pojęcia o istnieniu Sanctum. Bez poparcia Mathewsona... i jeszcze gdyby przewrót się nie udał, los Baylissa byłby przesadzony. Nie była to zachęcająca perspektywa.

Nie było wątpliwości co do tego, że trzeba było uprzedzić Mathewsona.

Zjechał na pobocze autostrady i zatrzymał samochód. Po przeciwnej stronie była budka telefoniczna. Przejście przez jezdnię w godzinach porannego szczytu nie było manewrem bezpiecznym. Słyszał pisk opon, niektóre samochody zmieniały pas, żeby go ominąć, kierowcy miotali w jego kierunku przekleństwa. Musiał jednak dobrać do budki. Popułnił błąd i trzeba to było teraz naprawić.

Wyszukał w kieszeni monetę dwudziestopięciocentową i wrzucił do automatu. Ze słuchawką w ręku patrzył bezmyślnie na przejeżdżające obok samochody. Serce biło mu gwałtownie, a kwasy żołądkowe wydawały się podchodzić pod gardło. Włożył w usta kolejną tabletkę.

Wreszcie wybrał numer telefonu admirała Mathewsona. Admirał z pewnością będzie wiedział, co należy zrobić.

## 68. Moskwa

Widać było, że młodym człowiekiem wstrząsają emocje. Mówił prosto do kamery. Niewidoczny operator KGB dał jego zbliżenie. Teraz przyglądający się projekcji dokładnie wiedzieli, że młody człowiek był wyraźnie zmuszony do mówienia tego, co słyszeli.

- Dostarczałem grupie terrorystów odpowiedni sprzęt - mówił człowiek na ekranie.

Potem przerwa. Jedno oko drgało mu nerwowo.

- Jak dostawałeś ten sprzęt? - głos dobiegał spoza kamery i nie można było zobaczyć pytającego.

- Amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza i Narodowa Rada Bezpieczeństwa - odpowiadał młody człowiek. - One dostarczały mi sprzęt i materiały wybuchowe.

- Odegrałeś więc rolę pionka amerykańskiego wywiadu?

- Tak.

- Dlaczego zgodziłeś się popełnić takie haniebne przestępstwo przeciwko narodom Związku Radzieckiego?

Na twarzy odpowiadającego odmalowało się niezdecydowanie, tik powieki nasilił się, a w oczach pokazały łzy. Zaczął krzyczeć:

- To kłamstwo! Wyście mnie do tego zmusili! Wypełniałem wasze rozkazy! Nie wezmę udziału w tej komedii, w tym fałszerstwie. Nie zmusicie mnie do kłamstw! Załamał się, zaczął płakać, zwiesił głowę. Po chwili jednak ją podniósł. Oczy miał czerwone, zapuchnięte. Mówił teraz spokojnie:

- Nie jestem przestępcą.

Głos dobiegający spoza kamery był teraz metaliczny i szorstki.

- Czy przypominasz sobie, co zrobił car Iwan Groźny z architektami, którzy nadzorowali budowę cerkwi Wasyla Błażennego?

Człowiek na ekranie odwrócił głowę i patrzył w kierunku niewidocznego inkwizytora.

- Nie...

- Iwan kazał im wyrwać oczy. Przypominasz sobie teraz?

- Nie! Nie, proszę!

Patrzący na ekran wideo siedzieli jak sparaliżowani.

- Czy byłbyś łaskaw powtórzyć swoje zeznanie w sposób bardziej przekonujący? - mówił głos spoza kamery. Czyjaś widoczna przez moment ręka podała młodemu człowiekowi chustkę. Ten przetarł oczy, przełknął ślinę i wykrztusił:

- Tak.

Zaczął powtarzać swoje zeznanie, tym razem z większym przekonaniem.

- Dziękuję ci - dobiegło spoza kamery, gdy skończył.

Młody człowiek zaczął płakać. Nagle ostry huk wystrzału. W środku czoła człowieka na ekranie pojawiła się czerwona plama wielkości monety. Pocięła z niej krew. Otrzymał strzał w tył głowy, a pocisk wyszedł środkiem czoła. W dziwacznie groteskowy sposób osunął się na bok.

Ekran monitora wyłączył się.

- Doskonale - Pawliczenko mówił do dwunastu swoich podkomendnych siedzących wokół stołu w jednym z pomieszczeń w podziemiach gmachu na Łubiance. - Trzeba to natychmiast przygotować do wyemitowania. Oczywiście samo przyznanie się.

Jako pierwszy odezwał się szef V Zarządu:

- Ten człowiek... Fiodorow. Czy mamy taśmy z jego spotkań z terrorystami?

- Tak - odezwał się szef sił milicyjnych Moskwy. - Spotkał się z nimi w opuszczonym garażu, który mu udostępniliśmy. Tam trzymał plastik i wszystko, co mu było potrzebne.

- A terroryści? - zapytał ktoś inny. - Który z nich żyje?

- Ten, który zabił mojego przyjaciela, Siergieja Borisowa - powiedział Andriej Pawliczenko. - Musiałem zresztą podjąć tę decyzję, ażeby na mnie nie padł cień podejrzenia. On też podłożył bomby w metrze i w Teatrze Wielkim. Gdy już będzie po wszystkim, on i jego przyjaciele staną przed sądem, zostaną oskarżeni o dokonanie największego ataku terrorystycznego, za który zresztą nie są odpowiedzialni, zostaną skazani i wykona się natychmiast egzekucję. Będziemy mieli nasze kozły ofiarne.

Pawliczenko nie musiał w tym gronie wyjaśniać, że jeden z terrorystów, stary zek nazwiskiem Jakow Kramer, znany był KGB już od dawna, jeszcze z lat sześćdziesiątych, kiedy grupa jego przyjaciół dokonała zamachu bombowego na ulicy Gorkiego. Pawliczenko, który był wtedy oficerem odpowiedzialnym za prowadzenie śledztwa, powinien był ich aresztować. Postanowił jednak tego nie robić. Wiedział, że może nadejść dzień, kiedy będą pożyteczni.

I nadszedł. Jeden z synów zeka został aresztowany i wsadzony w Lefortowie do jednej celi z tym biedakiem Fiodorowem, ekspertem od materiałów wybuchowych. Fiodorow nauczył młodego Kramera wyrabiania bomb i namówił go do posługiwania się nimi. Drugi z synów zeka został osadzony w szpitalu psychiatrycznym. Plan zadziałał dokładnie tak, jak przewidzieli ludzie Pawliczenki, opierając się na znajomości psychiki wytypowanych osób. Zrobiono z nich terrorystów. Przechwycenie listów wysyłanych przez nich do Gorbaczowa nie stanowiło większego problemu.

Terrorystyci utrzymywali kontakty z córką amerykańskiego arystokraty Winthropa Lehmana. Potężny i bogaty Lehman był gotów na wszystko, byle przed swoją śmiercią wydobyć córkę z ZSRR. I tak, we współpracy ze skrajnie prawicowym skrzydłem amerykańskich fanatyków, terrorystyci usiłowali zniszczyć kierownictwo Związku Radzieckiego.

Pawliczenko chciał, ażeby tak właśnie to wyglądało.

- Towarzyszu przewodniczący.

Podniósł głowę. W drzwiach stał oficer dyżurny.

- Tak? - zapytał Pawliczenko.

- Towarzysz Bondarenko - zaraportował oficer.

- Niech wejdzie.

Iwan Bondarenko z VIII Departamentu I Zarządu był odpowiedzialny za "operacje specjalne". Wszedł, podszedł do przewodniczącego i zaczął meldować:

- Mam wszelkie powody do przypuszczeń, że ten zbuntowany agent amerykański jest w Moskwie.

- Co? - zdumiał się Pawliczenko.

- Urzędnik wydający wize w Paryżu sprawdzał zdjęcia - zamilkł na chwilę, by zaczerpnąć powietrza. - Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie, ale Stone przyleciał do Moskwy pod fałszywym nazwiskiem. W jakiś sposób udało mu się szybko zdobyć wizę. Komputerowa analiza porównawcza zdjęć potwierdza te przypuszczenia.

- To łączy się zapewne w jakiś sposób z przylotem amerykańskiej delegacji -

Pawliczenko był opanowany. - W tej sytuacji musicie zrobić, co tylko możliwe, ażeby go zatrzymać. Potrzebny nam jest żywy albo martwy, obojętnie. Wszedł teraz na nasze podwórze. Znajdziemy go. Głupiec, najprawdopodobniej nie rozumie, że sam wpadł w pułapkę.

69.

Charlotte i Stone wbiegli do siedziby ambasady USA. Przy głównym wejściu machnęli radzieckiemu milicjantowi paszportami i przemknęli przez podwórze. Skręcili w

lewo, do wejścia dla personelu, i schodami weszli na pierwsze piętro, do biura prasowego. Za biurkiem założonym papierami siedział attache prasowy ambasady (i jak sądziła Charlotte - oficer CIA) Frank Paradiso. Rozmawiał właśnie przez telefon. Był to tęgi, śniady mężczyzna, którego łysiejącą głowę przykrywał kosmyk włosów zaczesanych na jedną stronę.

- Hallo, Charlotte - powiedział odkładając słuchawkę. Potem przeniósł wzrok na Stone'a i wstał z fotela. - Nie sądzę, żebyśmy się kiedykolwiek spotkali. Charlotte nie pozwoliła mu dokończyć.

- Frank, rozumiem, że jesteś zavalony robotą. Prezydent przylatuje za kilka godzin. Musimy jednak z tobą porozmawiać. To pilne.

Paradiso kiwnął głową ze zrozumieniem i gestem ręki wskazał fotele ustawione przed biurkiem. Zachowywał się jak gospodarz, do którego na obiad przyszli z dawna oczekiwani goście.

- Nie tu, w pęcherzu - powiedziała Charlotte. - Wiem, że masz do tego dostęp.

- Charlotte, czy to ma być żart?

- Nie, Frank. Jesteśmy śmiertelnie poważni.

\*\*\*

Dr Aleksander Kuzniecowa wrócił do kliniki zaraz po spotkaniu z Charlotte i z jej przyjacielem. Był przestraszony tym, czego się dowiedział, co wykrył i o czym wolałby nigdy nie wiedzieć. Szedł korytarzem w kierunku swojego pokoju i mijając otwarty pokój pielęgniarek zawołał:

- Hej, dziewczęta!

Pielęgniarki lubiły go. Był jednym z nielicznych lekarzy, który rozmawiał z nimi tak przyjaźnie.

- Co jesteście takie ponure!? Czyżby was mężowie zaniedbywali? Idioci, nie wiedzą, jakie mają skarby!

Uśmiechnął się sympatycznie - i już wiedział, że coś jest nie w porządku. Pielęgniarki patrzyły na niego inaczej niż zwykle, wzrokiem pełnym przestachu.

- Głowy do góry, dziewczęta.

Uśmiechnęły się blado w odpowiedzi.

Zdumiony i zaniepokojony ruszył w kierunku swojego pokoju. Otworzył drzwi i ujrzał dwóch oficerów KGB w mundurach. Nagle zrozumiał, o co chodzi.

\*\*\*

“Pęcherzem” nazywano w ambasadzie jedyne pomieszczenie, w którym nie mogło być radzieckiego podsłuchu. Była to komora z pleksiglasu zamontowana w jednej z sal, coś w rodzaju pokoju w pokoju. Wewnątrz znajdował się stół konferencyjny i kilka krzeseł.

Paradiso wpuścił ich do środka i włączył klimatyzację. Stone liczył się z tym, że Paradiso mógł już otrzymać z Langley informację dotyczącą niejakiego Charliego Stone'a i nie podał swojego nazwiska. W kieszeni marynarki czuł twardy przedmiot - pistolet.

Wchodząc przez wejście służbowe do ambasady ominęli urządzenie prześwietlające i wykrywające metal, zamontowane w głównym wejściu. Paradiso, nawet gdyby zidentyfikował Stone'a, nie byłby w stanie aresztować go. Na to musiałby uzyskać zgodę waszyngtońskiej prokuratury. Takie były wymogi prawa. Gdyby jednak Paradiso zdecydował się na złamanie prawa... wtedy pozostawała tylko samoobrona.

- A więc dobrze - Paradiso zajął miejsce po jednej stronie stołu, Charlotte i Stone po drugiej. - Cóż to, do diabła, takiego ważnego?



- Frank - zaczął Stone - potrzebna nam jest twoja pomoc.

- No to mów.

- Frank - włączyła się Charlotte - potrzebujemy ciebie jako łącznika z Langley.

- Obaj jesteście z Agencji, ty i ja - przerwał Stone - co wcale nie znaczy, że musisz wierzyć w to, o czym będę mówił. Słyszałeś o takiej organizacji w Waszyngtonie, która nazywa się Fundacja Amerykańskiego Sztandaru?

- Przykro mi, nie słyszałem.

- Oczekiwałem takiej odpowiedzi - Stone szybko i możliwie jasno przekazał niektóre znane im informacje na temat amerykańskiego kreta M-3 i konspiracji, w jaką zostali wplątani. Paradiso wyglądał na szczerze zdumionego.

- Słuchaj teraz uważnie - Stone kontynuował z przejęciem. - Jeśli ja teraz wyjdę przez te drzwi i pojedę prosto do biura "New York Timesa", być może będą się śmiali z tego, co opowiem, ale rezultatem będzie artykuł w prasie, co nie spodoba się twoim przełożonym. Rząd amerykański poniesie poważną porażkę, jeśli ujawniony zostanie fakt, że pewne ugrupowania w Waszyngtonie zaangażowane są w przeprowadzanie tajnych operacji w ZSRR. Moskwa z całą pewnością zerwie z nami stosunki dyplomatyczne. Szczyt się załamie. Nie mam zamiaru wyliczać dalej, ale rozumiesz mnie doskonale. Wszystko to spada na twoją głowę, zależy teraz od ciebie. Będzie to twoja ostatnia klęska, jeśli do tego dopuścisz. Wzdragam się na samą myśl, że to mogłoby się wydarzyć.

Paradiso popatrzył błagalnie na Charlotte, oczy miał wielkie ze zdumienia i strachu.

- Nie mogę zrozumieć, o czym, do diabła, ten facet mówi.

- Frank - odezwała się Charlotte - właśnie rozmawiałam z kimś, kto jest dobrze poinformowany. Andriej Pawliczenko przygotował sobie fałszywe wyniki badań uzasadniające jego jutrzejszy udar.

Paradiso parsknął ironicznie.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Frank. On właśnie stoi za tym po stronie rosyjskiej. Nasze informacje są ściśle. On nie jest zwykłym amerykańskim agentem. Nie jest kretem kontrolowanym przez Agencję.

- Do diabła, Charlotte... - zaczął Paradiso.

- To jeszcze nie wszystko, Frank - nie dała mu dokończyć. - Od wielu tygodni KGB prowadzi śledztwo w sprawie zamachów bombowych w Moskwie i doszli do bardzo interesujących wniosków.

- Chcesz mi powiedzieć, że i w KGB macie swoje źródła informacji?

Wzruszyła ramionami.

- Ich technicy - mówiła - zbadali fragmenty bomb i doszli do przekonania, że materiały wybuchowe do nich użyte są produkcji amerykańskiej i zostały dostarczone przez CIA.

Frankowi Paradiso opadła szczęka.

- Jezu Chryste! - popatrzył na Stone'a. - Co chcecie właściwie udowodnić? Nie rozumiem, do czego ma to wszystko prowadzić.

- Z tego, co wiemy - zaczął Stone - wynika, że będzie miała miejsce jakaś operacja, być może militarna, albo pozorowana na terrorystyczną. Najprawdopodobniej jutro, w czasie defilady z okazji rocznicy rewolucji.

- Być może, prawdopodobnie, zakładając... Co ja mam z tym wszystkim zrobić?

- Chcę, ażebyś powiadomił Langley. Wyślij pilną depezę. Jeśli ja się myślę, to ty i tak postępujesz słusznie raportując. Jeśli mam rację...

- Wiem - głos Paradiso był pełen niepewności. - Muszę dokonać największego przewrotu w historii amerykańskiego wywiadu.

- Frank - dorzuciła Charlotte - czy zdajesz sobie sprawę, jak ważne jest to, ażebyś

działał natychmiast?

- Charlotte - potrząsnęła głową, oszołomiony, ale najwyraźniej przekonany - nie musisz mi tego tłumaczyć.

Waszyngton

- Muszę z tobą mówić - głos mówiącego był wyraźnie zdenerwowany. Malarek słyszał gdzieś w tle odgłosy ruchu samochodowego. - Będę za czterdzieści minut. To ważne. Malarek natychmiast rozpoznał głos Rogera Baylissa. Wysłuchał uważnie nagrania, wyłączył magnetofon, podniósł słuchawkę telefonu podłączonego do zabezpieczonej linii i wykręcił pewien rzadko wywoływany numer. Telefon z tym numerem znajdował się w niewielkiej księgarni waszyngtońskiej, specjalizującej się w książkach obcojęzycznych. Natychmiast podniesiono słuchawkę.

- Tu wasz przyjaciel z ambasady radzieckiej - mówił Malarek. - Chciałem zamówić dwa egzemplarze Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej, wydanie angielskie. - Natychmiast odłożył słuchawkę. Czekał.

Księgarz, amerykański obywatel radzieckiego pochodzenia, przybył tu jako emigrant przed piętnastu laty. Za niewielką opłatą, jaką otrzymywał z KGB, odgrywał rolę tak zwanego ślepego przekąźnika. Jego zadanie polegało właściwie wyłącznie na przekazywaniu telefonicznych informacji, posługiwał się linią zabezpieczoną przed podsłuchem. Księgarz nie wiedział, kto do niego telefonuje, jak też nie wiedział, do kogo on telefonuje. Tą drogą Malarek omijał zwykłe kanały ambasady.

W trzydzieści sekund później zadzwonił telefon.

- Mamy tu nadzwyczajne wydarzenie - powiedział Malarek. Przekazał kilka szczegółów wydając polecenie i odłożył słuchawkę.

Z metalowego pudełka stojącego na biurku wyjął cygaro i zapalił. Wyciągnął się wygodnie w fotelu i myślał o Rogerze Baylissie. Człowiek ten zrobił wszystko, żeby umocnić swoją pozycję w oczach prezydenta. To był bardzo a bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, że Bayliss był na tyle nierozsądny, że odbył tę rozmowę telefoniczną z Białym Domem na zwykłej, nie zabezpieczonej linii. Rozmawiając z doradcą prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego mówił ogólnikami, tak więc istota tajemnicy nie została ujawniona. Pozostawało wystarczająco wiele czasu na załatwienie sprawy. Uświadomił sobie, że w rzeczywistości nigdy nie lubił Baylissa.

\*\*\*

Roger Bayliss zastanawiał się nad tym, czy ktoś go przypadkiem nie śledzi. Samochód jadący za nim już od jakiegoś czasu trzymał się zbyt blisko. Zmienił więc pas i zjechał na prawą stronę. Zerknął w lusterko i stwierdził, że tamten wciąż jest za nim. Z zaniepokojeniem spojrzął na strome zbocze opadające gwałtownie w dół tuż za balustradą, wzdłuż której jechał, i uzmysłowił sobie, co się dzieje. Malarek kiedyś opowiadał mu, że jego ludzie są ekspertami od reżyserowania wypadków samochodowych.

Nacisnął klakson, ale tamten samochód już uderzył w jego zderzak i gwałtownie spychał go z autostrady. Słyszał zgrzyt metalu ocierającego się o metal. W lusterku zobaczył numer rejestracyjny tamtego samochodu. Był to numer waszyngtoński. I w tym też momencie na przedniej szybie nacierającego samochodu zauważył małą, brązową nalepkę. Szczegół nie mówiący nic nikomu, kto nie słyszał o Fundacji Amerykańskiego Sztandaru. Poczł potężne uderzenie w tył swojego wozu, który został wyrzucony z autostrady. Lecąc w przepaść zdał sobie sprawę, w jaki sposób zginie.

## 70. Moskwa

Wieczór był chłodny, a jezdnie pokryły się lodem. Stone miał trudności z prowadzeniem renaulta Charlotte. Na dodatek wiele ulic było zamkniętych w związku z przygotowaniami do jutrzejszego święta. Całe miasto szykowało się do bliskich uroczystości. W śródmieściu niektóre obiekty otoczone były kordonami policji. Wszędzie wywieszano flagi i wielkie transparenty, na których napisy dumnie informowały o wykonaniu lub przekroczeniu planu.

Po spotkaniu z Paradiso Stone i Charlotte powrócili do jej mieszkania, gdzie uzgodnili plan dalszego działania. Charlotte miała normalnie wykonywać swoją pracę, by uniknąć wszelkich podejrzeń, co mogłoby prowadzić do zdekonspirowania obecności Stone'a. Przede wszystkim jednak powinna zająć się poszukiwaniami człowieka, który mógłby ich doprowadzić do sieci starowierców. Nie zgodziła się jednak ujawnić przed Charliem, jak chciałyby tego dokonać. Umówili się na kontakt telefoniczny.

Stone przez kilka godzin daremnie przerzucał w bibliotece Charlotte książki historyczne, szukając nazwiska człowieka, który mógłby być związany z morderstwem w Lesie Katyńskim. Niczego nie znalazł.

Zrezygnował z dalszych poszukiwań i wyszedł z mieszkania. Celem wyprawy była wizyta u córki Lehmana, którą odnalazła Charlotte. Kobietę tę kiedyś przelotnie na peronie stacji metra w 1953 roku spotkał Alfred Stone.

\*\*\*

Sonia wydała się Stone'owi mała i nieprzystępna. Miała na sobie skromną sukienkę, a na nosie okulary w metalowej oprawce, za którymi kryła się delikatna twarz. Stała zdumiona w otwartych drzwiach.

- O co chodzi? - zapytała.

- Chciałem z panią porozmawiać - odpowiedział po rosyjsku.

Jej oczy zrobiły się duże z przerażenia i zabłyśły w nich łzy.

- Kim pan jest?

- Jeśli pani mnie nie wpuści, będę musiał uciec się do sposobów, których lepiej byłoby uniknąć.

- Nie!

- Sprawa jest naprawdę pilna - wszedł odsuwając ją na bok. "To kobieta, dla której poświęcono mojego ojca" - pomyślał.

Sonia Kunieckaja weszła za nim do pokoju, w którym siedział jakiś mężczyzna.

Później Stone poznał jego nazwisko: Jakow Kramer. Na twarzy miał ogromną bliznę i gdyby nie to zeszpecenie, byłby przystojnym mężczyzną w średnim wieku.

- Pani spotkała mojego ojca - Stone mówił wolno.

- Pan mnie z kimś pomylił - wydawało się, że parskanie śmiechem.

- Nie, nie pomyliłem. Na dowód tego mam zdjęcia. Pewnego dnia, dawno temu, dokładnie w 1953 roku, spotkała się pani z moim ojcem na stacji metra. Dał pani jakąś paczkę.

Na jej twarzy odmalował się przestach i to ja zdradziło.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Wiem, kim pani jest, i wiem, kim jest pani ojciec - powiedział Stone.

- A kim pan jest?

- Charlie Stone. Pani spotkała się z moim ojcem, z Alfredem Stone'em.

Otworzyła usta, jakby chciała krzyknąć, jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. I nagle zupełnie nieoczekiwanie wyciągnęła rękę i dotknęła ręki Stone'a. Jej ręka drżała.

- Nie - wykrztusiła - nie, nie...

Jakow Kramer patrzył na nich zdumiony.

- Musimy porozmawiać - cicho powiedział Stone.

Twarz Soni zmroził paroksyzm lęku. Z oczu płynęły łzy. Potrafiła jedynie wykrztusić z siebie:

- Nie. O Boże, nie! Po co tu przyjechałeś? Czego chcesz ode mnie?

- Wiem, czyją jest pani córką. Wiem, że przyjechał tu pani ojciec, żeby panią zabrać z tego kraju. Zapewniam panią, że jestem gotów do tego nie dopuścić. Niech pani nie ma złudzeń. Chyba że zgodzi się pani mi pomóc.

- Nie! - krzyknęła teraz głośniej, nie odwracając od niego wzroku. - Proszę wyjść.

Panu nie wolno być tu ze mną.

- Kim jest ten człowiek, Soniu? - odezwał się Jakow. - Co on mówi? Wynoś się stąd! - wstał i z wyraźnymi agresywnymi zamiarami zbliżył się do Stone'a.

- Nie - zatrzymała go Sonia. - Niech zostanie. Pomówię z nim - zdjęła okulary i wierzchem ręki wycierała oczy. - Pomówię z nim.

\*\*\*

Air Force One wylądował na lotnisku Wnukowo o siódmej wieczorem. Płyta lotniska oświetlona była jasno reflektorami i udekorowana rzędami trzepoczących na wietrze flag amerykańskich i radzieckich. Jako pierwszy z samolotu wysiadł prezydent w towarzystwie żony. Za nim, też z żoną, siedł sekretarz stanu i reszta amerykańskiej delegacji.

Na płycie stała niewielka grupa witających, w tym członkowie Biura Politycznego.

Scenę powitania radzieccy kamerzyści uwiecznili na taśmie.

Po powitaniu prezydent wszedł do oczekującej go amerykańskiej limuzyny, do kuloodpornego czarnego lincolna, za którego kierownicą siedział amerykański kierowca. Pozostali goście zajęli miejsca w czajkach i samochody z rykiem silników i ogromną szybkością ruszyły autostradą w kierunku Moskwy.

Kierowca prezydenta czuł się początkowo niepewnie, prowadząc wóz z szybkością, jaką narzucili mu radzieccy gospodarze. Po chwili jednak dostosował się do sytuacji, a nawet podobała mu się taka jazda.

- Nigdy nie jeździliśmy tak szybko po Waszyngtonie, panie prezydencie - powiedział.

- I niech ci to nawet do głowy nie przychodzi - odpowiedział prezydent, który wyglądał, jakby miał lekkie mdłości.

Samochody pędziły w kolumnie jeden tuż za drugim, tak że zawsze ostrożny prezydent nabierał pewności, że zaraz wydarzy się wypadek. Po obu ich stronach zręcznie i niebezpiecznie blisko poruszały się samochody z agentami ochrony. Gdy wjechali do miasta, prezydent wyglądał przez okno zafascynowany.

W samochodzie za limuzyną prezydenta, a była to czajka, jechał doradca ds. bezpieczeństwa i kilku jego współpracowników. Craig Mathewson redagował oświadczenie, które wkrótce miała ogłosić ambasada, a w którym prezydent wyrażał żal z powodu nieoczekiwanego zgonu jednego z najbardziej lojalnych członków sztabu Białego Domu, Rogera Baylissa, "... Wyraża żal, że Roger nie może być z nami w tej chwili tryumfu, dla którego tak wiele zrobił".

Mathewson był rzeczywiście zasmucony utratą młodego człowieka. Uważał, że w całej administracji nie było tak ambitnego pracownika jak Bayliss. Był trochę nazbyt gładki i nazbyt dbały o własne interesy, ale z gruntu dobry. Jak mogło dojść do takiego wypadku? Czego właściwie Bayliss szukał, jeżdżąc po mieście w dniu odlotu do Moskwy? A może to

podniecenie zbliżającym się szczytem było powodem chwili nieuwagi, co z kolei stało się przyczyną fatalnego wypadku?

Dlaczego jednak Bayliss tuż przed wypadkiem telefonował do niego i mówił, że ma coś ogromnie ważnego do przekazania? Co mogło być tak bardzo ważne? - Mathewson nie potrafił znaleźć na to odpowiedzi. A może to, co miał do powiedzenia, łączy się w jakiś tragiczny sposób z tym wypadkiem?

Mathewson czuł rosnącą w nim podejrzliwość, nawet niepokój.

Patrzył na przesuwany się szybko za oknami limuzyny obraz miasta. Nawet teraz, po zapadnięciu zmroku, kiedy wszystkie miasta wyglądają pięknie, Moskwa była dziwnie brzydkim miejscem. Zdumiewały go puste ulice. Przecież to wielkie miasto i na dodatek na dzień przed świętem.

Po chwili zauważył, że jego pierwsze spostrzeżenie nie było jednak całkiem trafne. W nie kończącym się szeregu ciągnącym się od lotniska po centrum miasta stali o kilka metrów jeden od drugiego żołnierze. Musiały ich być tysiące. Gospodarze podjęli wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa dla ochrony honorowego gościa.

W czwartym samochodzie za Mathewsonem jechali Michaił i Raisa Gorbaczowowie oraz najbliższy doradca i przyjaciel Gorbaczowa, Aleksander Jakowlew. Gorbaczow siedział cichy, zatopiony w myślach, zapatrzony gdzieś przed siebie. Milczenie przerwał Jakowlew:

- To przystojny mężczyzna.

- Co mówisz?

- Prezydent. Zawsze uważałem, że to przystojny facet - Jakowlew studiował na Columbii i był ambasadorem w Kanadzie, uchodził więc za znawcę Zachodu. - I człowiek bardzo rozsądny - dodał.

Gorbaczow wzruszył ramionami, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Jest przemęczony - powiedziała Raisa, patrząc na męża.

- Wypocznij wieczorem. Jutro mamy trudny dzień - powiedział Jakowlew.

Gorbaczow zwrócił głowę w kierunku doradcy:

- Czy sądzisz, że oni wiedzą?

- Co wiedzą?

- Czy wiedzą - powtórzył z nutą zniecierpliwienia - o tym... no, o tym, że ktoś w jakiś sposób chciałby tu dokonać przewrotu.

- Nie wiem. Niewątpliwie ich wywiad musi się tym interesować. Oznacza to, że być może będą chcieli wykorzystać twoją słabą pozycję. Liczą się z tym, że możesz nie utrzymać się długo. Mogą rozgrywać ten fakt tak, jak Breżniew rozgrywał Nixona, kiedy groził mu sąd kongresowy, wiesz...

- Nie to miałem na myśli - ostro odpowiedział Gorbaczow, odwracając głowę w kierunku okna. - Myślę o tym, czy oni wiedzą, że myśmy na to trafili. Na zaangażowanie CIA i zamach.

- Jeśli sądzisz, że prezydent i jego ludzie są w to zamieszani, jak sugeruje Pawliczenko... Nie wiem, ale dla mnie to absurd. To nie może być prawda.

Gorbaczow pokiwał głową i w zamyśleniu potarł policzek. Nie odpowiedział.

W następnym samochodzie siedział Andriej Pawliczenko. Jechał tylko z kierowcą.

Włożył okulary do czytania i bez większego zainteresowania przeglądał plik raportów wywiadu z Niemiec, Polski i Bułgarii. W rzeczywistości raz jeszcze dokonywał w pamięci przeglądu tego, co miało nastąpić. Wiedział, że jedynie szybkie i radykalne rozprawienie się z radzieckim kierownictwem mogło przynieść pożądane rezultaty. Tego rodzaju operacja natychmiast pograży społeczeństwo w chaosie i zamieszaniu. Władza ustawodawcza, Rada Najwyższa i Zjazd Deputowanych Ludowych, nie będzie w stanie podejmować jakichkolwiek działań. Deputowani oczekiwali, że ktoś za nich zdecyduje się na kroki nadzwyczajne.

Po wydarzeniach na placu Czerwonym stan wyjątkowy ogłosi tych kilku, którzy

przeżyją, wyżsi oficerowie Armii Czerwonej i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, wszystko członkowie Sekretariatu. Żaden z nich nie będzie stał na Mauzoleum Lenina. Nie będzie nawet nigdzie w pobliżu.

Dla świata zniszczenie Mauzoleum będzie kulminacyjnym punktem kampanii terrorystycznej, która ostatnio tak gnębiła Moskwę. Gdy rozpocznie się śledztwo, ujawniony zostanie fakt, że materiał wybuchowy, a więc plastik, dostarczony był przez CIA. Będzie to niezbity dowód udziału Amerykanów w tej całej tragedii. Pawliczenko, powracający do zdrowia po udarze, ujawni działanie małego ugrupowania amerykańskich konspiratorów, którzy sami siebie nazwali Sanctum i postawili sobie za cel likwidację radzieckiego kierownictwa. Jednak ci spośród członków najwyższego kierownictwa, którzy przeżyją - a więc członkowie Sekretariatu - zdekonspirują poczynania Amerykanów, zmierzające do rozbicia Związku Radzieckiego w okresie zachodzących tu przemian. Zniszczenia go w momencie, kiedy Moskwa zaczęła rozluźniać więzy kępujące naród, otwierać drzwi na świat, zbliżać się do Zachodu. Sekretariat wówczas podejmie szybkie działania dla naprawienia tej sytuacji. W przekonaniu, że przywróci wielkość radzieckiemu imperium, Sekretariat ogłosi, że głupia i niebezpieczna polityka Gorbaczowa zostaje natychmiast odrzucona.

Bezpieczeństwo państwa wymaga porządku. I wtedy...

Wtedy Pawliczenko zrealizuje marzenie swojego życia. Wyzwoli Ukrainę. To nigdy by nie nastąpiło ani przy Gorbaczowie, ani przy jakimkolwiek innym przywódcy Rosjaninie. Ukraina, spichlerz radzieckiego imperium, najbogatsza z republik, stanie się wreszcie wolna. W konsekwencji twórz, jaki powstanie na gruzach starego Związku Radzieckiego, rządzony będzie przez Ukraińców, potomków tych, których wymordowała Moskwa. Ukraińcy staną się panami Moskwy.

Ponownie zaczął czytać raporty, ale tak naprawdę nie mógł przestać myśleć o zbliżającym się przewrocie, który zmieni oblicze świata.

\*\*\*

- Pani rzeczywiście była tu zakładnikiem? - zapytał Stone.

Potwierdziła skinieniem głowy, zagryzając dolną wargę. Przed chwilą poprosiła Jakowa, żeby zostawił ich samych. Potem opowie mu wszystko. Wiedziała, że będzie to ogromnie ciężkie, i nie miała pojęcia, od czego będzie musiała rozpocząć.

- Tak - powiedziała wreszcie do Stone'a. - Stalin zmusił mojego ojca do opuszczenia ZSRR. Bez żony i beze mnie.

Oplotła się rękami, jakby jej było zimno lub jakby chciała się odgradzić od całego świata.

- Musiał powrócić do Ameryki, gdzie był jego świat, świat finansów i polityki. Nie mógł jednak sprowadzić kobiety, którą kochał, i córki. Czy rozumiesz? Nie pozwolili na to. Ojciec opowiadał, że polecenie w tej sprawie wyszło od samego Stalina. Matka była całkowicie załamana. Samotna, bezbronna, z małym dzieckiem, bez męża. To była bardzo piękna kobieta. Pracowała u ojca, jako służąca. Nie była kobietą wykształconą, ale ojciec kochał ją. Była bardzo delikatna. Sądzę, że oboje się bardzo kochali.

Ojciec pozostawał z nami w kontakcie. Różnymi tajnymi kanałami przysyłał listy.

Opowiadał mi później, że nie wierzył Rosjanom. Był przekonany, że GPU, obecne KGB, będzie czytało jego listy. Chował więc je w różne rzeczy, jakie przysyłał nam przez swoich przyjaciół odbywających podróże do Rosji. Ojciec był dla mnie zawsze wielkim człowiekiem, tym bardziej że widywałam go tak rzadko.

Sonia opowiadała, że wraz z matką, która umarła w 1970 roku, przeprowadziły się do małego mieszkanka w dzielnicy Krasnaja Priesnia, a matka znalazła pracę w Moskiewskiej Fabryce Bielizny Nr 6. Zarabiała miesięcznie 159 rubli, szyjąc na starej maszynie Singera.

Ludzie uważali, że zostały porzucone przez Amerykanina, a w antyamerykańskiej atmosferze, jaka panowała w Moskwie w latach trzydziestych, obdarzono je współczuciem. Równocześnie się ich bano, gdyż bano się każdego, kto w jakikolwiek sposób miał powiązania z zagranicą.

- Ale pani zezwolono na widywanie ojca? - zapytał Stone.

- Jemu nigdy nie wydano zgody na przyjazd do Moskwy, ale mnie pozwolono dwukrotnie na wyjazd do Paryża. Tylko mnie, nigdy matce. To było straszne. Krótkie spotkanie, i to zawsze w obecności straży.

- Wiem, w 1953 i w 1956. Lehman nie mógł pani porwać, gdyż matka pani żyła w Moskwie.

- Tak.

- Czy zawsze chciała pani opuścić ten kraj?

- Tak. O Boże, tak! - zaczęła płakać. - Matka wręcz desperacko chciała wyjechać.

Marzyła o tym do końca życia. I ja też. Potem spotkałam Jakowa, ale wiedziałam, że i on chce wyemigrować.

- On nie zna prawdy o pani?

- Nie.

- Pani to trzyma przed nim w tajemnicy?

Zagryzła wargi i nie odpowiedziała.

- Dlaczego?

Zaczęła mówić z trudem, pełna bólu.

- Nie mógł wiedzieć. Nikt nie mógł wiedzieć. Jeśli chciałam jeszcze zobaczyć ojca, musiałam trzymać wszystko w tajemnicy.

Stone zastanawiał się przez chwilę.

- Stalin szantażował pani ojca, ale on miał z kolei coś na Stalina.

- Co pan o tym wie? - zapytała ostrożnie.

- Pani ojciec miał pewne kompromitujące dokumenty, a Stalin trzymał panią. Taki rodzaj pata.

Nic nie odpowiedziała.

- Czy pani ma ten dokument?

- Co skłania pana do takich przypuszczeń?

- To były dokumenty, które przekazał pani mój ojciec, czyż nie? Pani ojciec bardzo chciał, żeby to do pani dotarło. Chciał tak bardzo, że był gotowy na wszystko, nawet na zdyskredytowanie i złamanie kariery mojego ojca.

- Nic o tym nie wiem.

- Co to było? Musi mi pani powiedzieć, co to za dokument!

- Nic nie wiem - w oczach Soni ponownie pojawiły się łzy.

- Pani wie. Pani ojciec za pośrednictwem mojego ojca przekazał przecież dokumenty.

Potrząsnęła głową, najwyraźniej nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

Stone był pewien, że jest na właściwym tropie.

- Kiedyś sądziłem, że ten dokument określany był nazwą Testamentu Lenina. To musi jednak być coś więcej. Jakiś dowód tajnej próby przejęcia władzy, próby sprzed lat.

Nazwiska, szczegóły... Coś, co mogłoby ujawnić obecną konspirację.

- Jakże ma pan podstawy, żeby tak twierdzić?

- Ktoś z KGB, kto się z panią kontaktował... Człowiek nazwiskiem Dunajew... Od niego dowiedziałem się co nieco.

- Ja wiem o wiele mniej, niż pan sobie wyobraża. Tylu ludzi z Łubianki kontaktowało się ze mną. Być może i ten, nie wiem.

Stone wstał i zaczął chodzić po pokoju, myśląc na głos:

- Wkrótce ma się odbyć wymiana. W jaki sposób ma się to odbyć? Gdzie?

- Nie mogę...
- Proszę mi powiedzieć! Gdzie ma się ta wymiana odbyć?
- Proszę - wyszeptała Sonia. - Pragnę jedynie umożliwić Jakowowi, jego synowi i sobie wyjazd z kraju. Jeśli pan się teraz w miesza... Błagam... Pan przekreślił moją ostatnią nadzieję.
- Pani ojciec jest teraz w Moskwie? - stał zwrócony twarzą do niej. Obserwował ją. Wszystko zaczynało mu się logicznie układać w głowie. Zaczynał rozumieć.
- Nie mogę - szeptała.
- Nie ma pani wyboru - powiedział ze współczuciem. Rozumiał strach i nieszczęście tej kobiety. - Muszę wiedzieć, jak mogę się teraz, natychmiast skontaktować z pani ojcem. Nagle wstała z krzesła, podeszła do Stone'a, wzięła go za rękę i powiedziała:
- Nie, wszystko pan niedługo zrozumie, ale proszę, teraz niech pan nie interweniuje, nie przeszkadza.
- Uściskała jej rękę, rozumiejąc, co musiała czuć.
- Przykro mi, naprawdę bardzo przykro, ale nie mamy wyboru.

\*\*\*

Rosjanin w średnim wieku o twarzy pokrytej żyłkami wdrapywał się mozolnie na schody zataczając się od ściany do ściany. Był w widoczny sposób zalany. Z kieszeni granatowego płaszcza wystawała sztyka butelki z wódką. Zauważył go nocny wartownik siedzący za małym biurkiem przy aparacie telefonicznym. Właśnie czytał pismo "Za rulom", przeznaczone dla kierowców i samochodziarzy.

- Co tu, do diabła, robisz? - wrzasnął wartownik. - Wynoś się stąd albo cię wyrzucę. Pijak zawrócił w kierunku biurka.
- Pozdrowienia od Wasi - powiedział.
- Od Wasi? - zapytał podejrzliwie wartownik.
- Co jest, masz uszy w dupie? Czy nie jesteś przyjacielem Wasi Korolowa? Wasi Bandyty?
- Strażnik miał minę obrazonego, ale w jego głosie nie było już wrogości.
- Czego chcesz? - zapytał.
- Wasia mówił, że bym przyszedł do ciebie. Wyrzucili mnie dziś z roboty. Przeklęta fabryka samochodów, wykopali mnie. Wasia mówił, że możesz mi tu załatwić pracę sprzątacza - pijak niezgrabnie zwałił się na krzesło stojące obok strażnika. - Nie obrazisz się, że usiądę? - zapytał rozpierając się wygodnie.
- Stary - strażnik nie wiedział, co powiedzieć. - Co, do diabła, chciałbyś usłyszeć... - Jego oczy spoczęły na wystającej z kieszeni przybyłego butelce. - Widzę, że masz nieco zbędnego towaru, miły towarzyszu.
- Pijak rozejrzał się, jakby w obawie, że ktoś może ich podglądać. Wyciągnął butelkę z kieszeni i postawił ją przed strażnikiem, koło telefonu. Wyciągnął przy tym rękę do strażnika, mówiąc:
- Przyklepane.
- Strażnik na widok butelki wyraźnie się ożywił. Przyjął wyciągniętą do niego dłoń i uściskał ją. Równocześnie zapytał:
- Gdzie ci się udało dostać?
- Stolicznaja - wyjaśnił pijany uśmiechając się serdecznie. - Moja kuzynka Lida pracuje w "Bieriozce". Poczęstuj się, ale nie mam szklanki - odkręcił zakrętkę i otwartą butelkę postawił ponownie przed strażnikiem. Ten wziął butelkę i przytknął do warg. Pociągnął dobry łyk i podsunął butelkę przybyłemu.
- Gdybym wypił jeszcze jeden łyk, to wyrzygałbym wszystko na tę twoją



wypielegnowaną podłogę. Ugość się, dołączę za kilka minut.  
Strażnik wychylił jeszcze kilka łyków i schował butelkę do biurka.  
- A więc mówisz, że znasz Wasię? - zapytał.

\*\*\*

Na kilka minut przed rozgrywającą się powyżej sceną Jakow Kramer wrócił do domu. Słuchał i nie był w stanie uwierzyć własnym uszom. Wszystko to wywracało jego dotychczasowe życie, zmieniało sens minionych piętnastu lat. Nie miał pojęcia, co powiedzieć, jak to zrozumieć. Jego szok przeszedł w gniew, potem we współczucie.

- Moje biedactwo - powiedział biorąc ją w ramiona.

- Nie rozczulaj się nade mną - powiedziała Sonia - lecz wybac mi.

- Nie opowiadaj takich rzeczy - obruszył się. - Wydarzają się nam sprawy, których nie jesteśmy w stanie zrozumieć.

Czuł jej gorący oddech na szyi, lzy ściekające po policzkach i w tym momencie zrozumiał, że znajdują się w ogromnym, niewyobrażalnym wręcz niebezpieczeństwie.

\*\*\*

Wszyscy w ambasadzie USA w Moskwie wiedzieli, że w budynku założone są aparaty podsłuchowe. Z wyjątkiem gabinetu ambasadora i "pęcherza", które to pomieszczenia były regularnie przeszukiwane w celu wykrycia podsłuchu, w innych pokojach nie można było prowadzić rozmów dotyczących ważniejszych spraw związanych z narodowym bezpieczeństwem. Mury pełne były elektronicznych przekaźników radiowych, których sygnały odbierano przez stacje podsłuchowe KGB mieszczące się po przeciwnej stronie ulicy. Nie wiadano jednak w ambasadzie, że nawet w "pęcherzu" nie można było bezpiecznie rozmawiać. Wprawdzie pomieszczenie sprawdzano, niemożliwe jest jednak wykrycie urządzeń nie wysyłających sygnałów, a jednocześnie uruchamianych z odległości kilkudziesięciu metrów. Pomimo zwiększonej czujności w połowie 1988 r. KGB udało się spenetrować również i "pęcherz".

Ujawnienie faktu, że kilku żołnierzy z ochrony ambasady wprowadziło do tajnych pomieszczeń Rosjanki, które okazały się oficerami KGB, skończyło się aferą. Mimo to w nogach i pod blatem stołu w "pęcherzu" udało się KGB zainstalować kilka tzw. pasywnych nadajników.

W rezultacie rozmowa Franka Paradiso z Charlotte Harper i Charlesem Stone'em była transmitowana i nagrana przez aparaturę KGB znajdującą się w lokalu po drugiej stronie ulicy Czajkowskiego. Dyżurny technik-kobieta, która dokonała nagrania, działała zgodnie z precyzyjnymi instrukcjami wydanymi przez szefa II Zarządu Piotra Szałamowa. W ciągu dwóch godzin nagranie, przepisane już w trzech kopiach, wysłane zostało z punktu podsłuchowego bezpośrednio do niego. Wkrótce potem Szałamow osobiście położył tekst na biurku przed Andriejem Pawliczenką.

Szef KGB przeczytał uważnie i podniósł głowę. Nie wyglądał ani na zadowolonego, ani na zmartwionego. Po prostu powiedział:

- Znajdźcie Stone'a.

\*\*\*

Stone odjechał kilka przecznic od domu, w którym mieszkali Sonia i Jakow, i zobaczył lokal przypominający mu amerykański bar. Do tej chwili nie widział jeszcze w Moskwie prawdziwego baru, jedynie kawiarnię, z której uprzednio telefonował, i ponury

nocny klub pełen rosyjskich prostytutek. Lokal, do którego wszedł, miał bar z dykty. Za barem barman w wystrzępionej marynarce rozlewał nędzne miejscowe piwo. Przy barze siedziało czterech robotników w waciakach, pociągali piwo i głośno rozmawiali, połyskując metalowymi zębami.

Stone zauważył i innych klientów. Wyglądali na robotników fabrycznych i siedzieli przy małych stolikach. Gdy szedł w kierunku automatu telefonicznego umieszczonego w głębi sali, wszystkie oczy były zwrócone na niego. Rzeczy, które miał na sobie - a Jacky kupił mu w Paryżu wełniany płaszcz, dżinsy, buty na grubej zelówce - zdradzały natychmiast przybysza z Zachodu. Wszyscy patrzący na niego klienci baru wiedzieli, że jest obcokrajowcem, i ich spojrzenia nie były zbyt przyjazne. Tłum na ogół bał się cudzoziemców. Obecność cudzoziemca zapowiadała również obecność policji i agentów KGB, a więc kłopoty.

Wrzucił dwie kopiejki do automatu i ponownie wykręcił numer Charlotte. Próbował już przedtem z mieszkania Soni, choć wiedział, że nie jest to rozsądne. Musiał jednak usłyszeć jej głos, wiedzieć, że jest bezpieczna. Telefon w mieszkaniu nie odpowiadał, podobnie jak w redakcji. Było już po północy. Gdzież, u diabła, mogła być?

Jeszcze raz spróbował do domu i potem do redakcji. Nic.

Boże, jeśli cokolwiek stało się z Charlotte...

\*\*\*

Szczupła kobieta powoli wspinała się po marmurowych schodach prowadzących do budynku jednego z radzieckich urzędów. Miała na sobie wystrzępiony płaszcz, a blond włosy przykrywała opadająca na plecy chusta.

Weszła do obszernego holu i zobaczyła dwóch mężczyzn.

- Doskonale zrobione, Żenia - powiedziała Charlotte.

Żenia siedział rozparty na krześle z rękami splecionymi na brzuchu. Strażnik nocny spał mocno, chrapiąc z twarzą na blacie biurka.

- Idź, Żenia, do domu, ja tu chwilę zabawię. Dziękuję - musnęła wargami jego policzek. Podeszła do biurka i wyjęła z szuflady jeden z kluczy. Otworzyła sobie główne wejście i schodami weszła na pierwsze piętro, gdzie znajdowała się czytelnia. Było ciemno, ale poruszała się bez światła, trzymając się ręką poręczy.

Żenia rzeczywiście popijał, ale był również bezrobotnym aktorem. Należał niegdyś do zespołu Moskiewskiego Teatru Artystycznego. Charlotte spotkała go wkrótce po przyjeździe do Moskwy. Wiedziała, że nie czuje sympatii do radzieckiej biurokracji, i obecnie bez oporów zgodził się jej pomóc.

Do wódki, którą tak wielkodusznie zaoferował strażnikowi, dosypała niemal trzydzieści pastylek środka nasennego, który sama czasami zażywała. Wiedziała, że alkohol jedynie przyspieszy działanie środka, a równocześnie nie zagrozi zdrowiu pijącego. Wiedziała również, że halcion działa szybko, nieraz w dwadzieścia minut po zażyciu, i działać będzie przez kilka godzin.

Będąc tu w czasie dnia zebrała trochę informacji. Dowiedziała się, że strażnik lubi wypić, a więc użycie wódki wydawało się najlepszym sposobem dostania się do archiwum historii wojska.

Weszła do czytelnia, gdzie było całkiem ciemno. Nie mogła zapalić górnych świateł, gdyż byłoby to widoczne z ulicy. Włączyła lampkę stojącą na biurku, przy którym siedział w dzień dyżurny bibliotekarz. Wiedziała dokładnie, gdzie szukać: mikrofilmy akt stosunków polsko-radzieckich 1939-1945. Wiele z nich dostępnych było dla wszystkich naukowców. Te, których poszukiwała, trzymane jednak w oddzielnej, zamkniętej części archiwum. Przed południem powiedziano jej nawet, która to szafa. Bibliotekarka była wyjątkowo usłużna jak

na radzieckiego archiwistę, pokazała jej tę szafę, ale pokręciła głową: Musi pani mieć specjalne zezwolenie - ostrzegła.

“Zezwolenie albo klucze” - pomyślała Charlotte i zauważyła, że klucz trzymano w szafce koło biurka bibliotekarki. Wisiały tu i w tej chwili.

Klucz wszedł gładko do zamka. Przekręciła go i otworzyła drzwi szafy. Na wyciąganych półkach leżały szpule z mikrofilmami. Wzięła kilka i znalazła czytnik. Włączyła go. Płonąca wewnątrz żarówka rozproszyła nieco ciemności zalegające czytelnię. Nie pracowała tak szybko, jak się spodziewała. Po godzinie przeglądania mikrofilmów jeszcze nie natrafiła na temat, którego poszukiwała. Przetarła zmęczone oczy, westchnęła i założyła kolejny mikrofilm. Przeczytała napis tytułowy: Śledztwo w sprawie przestępstwa w rejonie Lasu Katyńskiego. Poczła szybsze uderzenia serca. Sprawnie przeglądała poszczególne dokumenty. W pół godziny później jeszcze nie natrafiła na to, czego szukała. Niektóre z dokumentów były przerażające, niektóre obojętne, ale wciąż nie dawały odpowiedzi na stawiane przez nich pytania. Około drugiej trzydzieści nad ranem przeczytała: Postępowanie w sprawie Sądu Wojennego 19 Kompanii 172 Dywizji Piechoty walczącej na polskim froncie pod dowództwem mjr. A. R. Aleksiejewa.

Dokumentacja składała się z kilkunastu kartek, a otwierała ją lista oskarżonych.

Kapitan W. I. Suszenko, dowódca. Sierżant M. M. Ryżkow, dowódca drużyny. Przedzierała się przez tekst, starając się zrozumieć i wyławiać fakty. Osiemnastu żołnierzy Armii Czerwonej sprzeciwiało się rozkazom wydanym przez NKWD. A rozkaz brzmiał: wejść do dołu i bagnetem przeszyć każdego, kto w jakiś sposób przeżył egzekucję i poruszył się. Było to przerażające, nieludzkie, i rosyjscy żołnierze zbuntowali się, nie usłuchali tych z NKWD. Prokurator zebrał oświadczenia siedemdziesięciu trzech oficerów NKWD, przygotowując oskarżenie przeciwko osiemnastu żołnierzom.

Doszła do ostatniej strony i znalazła to, o czym Charlie dowiedział się w Paryżu - rozkaz wstrzymania postępowania. Była to krótka notatka, w której stwierdzano, że dalsze postępowanie jest zbędne i podjęte zostaną inne kroki. Doczytała do końca. Pod tekstem znajdował się podpis. W pierwszej chwili sądziła, że oczy ją zawiodą. To było niemożliwe. Przetarła oczy i spojrzała ponownie, przybliżając twarz do ekranu. Pod tekstem, u dołu strony widniało nazwisko Walery Czawadze. Człowiek ten był jedną z legend radzieckiej polityki. Jeszcze żył, był stary, od dawna na emeryturze. Gruzin, jeden z najbliższych współpracowników Stalina. Gruzin, jak Stalin i jak Beria. Mieszkał gdzieś pod Moskwą. Był kiedyś zastępcą komisarza, potem komisarzem spraw zagranicznych. Członek Biura Politycznego i, jak Charlotte zawsze przypuszczała, lojalny stalinista.

Czawadze był członkiem najwyższego kierownictwa za czasów Chruszczowa, potem Breżniewa i dopiero w 1984 roku zdecydował się przejść na emeryturę. Jego polityczna kariera była najdłuższą ze wszystkich znanych w ZSRR. W tej chwili był powszechnie szanowanym seniorem, pomimo swojej stalinowskiej przeszłości. Jeśli informacje Stone’a były prawdziwe, to właśnie ten zatwardziały stalinowiec był przywódcą ruchu podziemnego, który nazywany był ruchem Starowierców. Jeśli tak było, to Walery Czawadze był jedynym człowiekiem, który mógł zatrzymać bieg nadchodzących wydarzeń.

71.

Stefan wpadł do mieszkania ojca, nie mogąc złapać oddechu. Nie zdążył się przebrać i miał na sobie uniform technika ambulansu pogotowia. Ojciec domagał się jego natychmiastowego przybycia, a twarz Jakowa zdradzała, że rzeczywiście stało się coś szczególnego.

- Co się dzieje? - zapytał Stefan przekraczając próg mieszkania.

- Obawiam się o nas - głos Jakowa świadczył o jego podenerwowaniu.
- Wykryli nas - Stefan poczuł skurcz w żołądku.
- Gorzej, o wiele gorzej.
- A więc co?

Chodząc po pokoju i zaciągając się dymem z papierosa Jakow mówił:

- Dowiedziałem się dziś czegoś o Soni, czegoś, co mnie przybiło. Moja Sonia... - załamał się i na chwilę zamilkł, starając się opanować wzruszenie. - Moja Sonia żyła w kłamstwie - kontynuował. - Okłamywała mnie. Jest kimś innym, niż myślałem.
- Nie rozumiem tego, co mówisz - Stefan słuchał zdumiony, nie potrafił sobie wyobrazić czegoś tak strasznego.
- Jej ojciec... to bardzo znany człowiek... Amerykanin, Winthrop Lehman. Stefan znał to nazwisko, czytał je w książkach na temat historii ZSRR. Zaśmiał się, przekonany, że ojciec żartuje. Jakow pozostał jednak poważny i Stefan zamilkł.
- Tak. I ja też nie mogłem w to uwierzyć - powiedział wreszcie Jakow.
- Przecież...

Jakow przerwał synowi, a jego głos stał się teraz ostrzejszy:

- Stefan, kim jest ten człowiek, który dał ci materiał wybuchowy, ten twój towarzysz z celi?

Stefan był zaskoczony.

- Mechanik samochodowy, mały złodziejaszek.
  - On jest z KGB.
  - Co?!
  - Stefan, słuchaj. KGB aresztował ciebie i wsadził do swojego więzienia.
  - A kto niby aresztuje ludzi w tym kraju? Sąd Międzynarodowy w Hadze?
  - Nie wygłupiaj się, słuchaj. Jak myślisz, dlaczego właśnie ciebie jednego aresztowano? Było was tam wielu. Czysty przypadek?
  - Tato, o czym ty mówisz?
  - I tak się złożyło, że twój towarzysz z celi był ekspertem od materiałów wybuchowych. Czy to też był czysty przypadek? I przez przypadek miał dostęp do materiałów wybuchowych? A twój brat Awram. I jego też przypadkowo aresztowano i przypadkowo wtrącono do psychuszki? Stefan, na nas zastawiono pułapkę.
  - Nie...
  - Nie mam żadnej informacji na temat Awrama, ani słowa - w głosie Jakowa zabrzmiał ton gorzkiego tryumfu. - Wygląda tak, jakby ich nasze ataki w ogóle nie interesowały, nie dotyczyły. Wygląda tak, jakby właśnie chcieli, żebyśmy dalej robili to, co robimy. Oni wiedzieli o naszej działalności - głos mu się ponownie załamał.
  - Jak to możliwe?
  - Ten Amerykanin powiedział mi o wielu rzeczach. Powiedział mi, że bomby, jakie podkładamy, zrobione są z materiału dostarczonego przez CIA.
- Stefan słuchał zaszokowany.
- Ten Fiodorow - mówił dalej Jakow - wykorzystywał nas, nasz gniew i naszą naiwność. Ten Amerykanin sądzi, że posłużono się nami jak pionkami, i nim też się tak posłużono. On uważa, że KGB chce nas wszystkich zaaresztować i oskarżyć o jakiś niebywały, ogromny akt terrorystyczny, który najprawdopodobniej nastąpi jutro.
  - W czasie manifestacji.
- Jakow przytaknął głową.
- Co więc zrobimy?
  - Amerykanin mówił, że ma pewien plan. Powiedziałem, że zrobimy dla niego wszystko. Być może będą potrzebni jeszcze i inni. Musimy działać bardzo szybko.

Siedząc za kierownicą renaulta Charlotte Stone skręcił w Prospekt Mira, wielką, szeroką autostradę. Po prawej stronie wyłoniła się oświetlona iglica WDNCh - Wystawy Osiągnięć Gospodarki Narodowej. Wyprzedziły go dwa samochody, jadące wężykiem pomiędzy pasami. Niewątpliwie kierowcy byli pijani. Jezdnia była źle oświetlona. Wielka kropla deszczu padła na przednią szybę, potem następna i następna... "Gówno" - pomyślał. Deszcz przemieniał się w śnieg. Zła widoczność, złe warunki jazdy, a czas, jaki im pozostawał, kurczył się coraz bardziej. Konieczne było skontaktowanie się ze starowiercami, a z każdą upływającą godziną możliwość wydawała się coraz odleglejsza. Charlotte mówiła, że postara się ustalić, kim jest przywódca starowierców, ale Charlotte w niewytłumaczalny sposób zniknęła.

Miał nadzieję, że nic się jej nie przydarzyło.

Jedyna droga, jaka mu pozostawała, to Winthrop Lehman. Sonia wreszcie załamała się i ujawniła, że jej ojciec od paru dni znajduje się w Moskwie. Stone podejrzewał zresztą, że tak jest. Lehman był honorowym gościem władz zaproszonym na obchody rocznicy rewolucji, ale rzeczywistym, choć tajnym powodem jego przyjazdu była sprawa uzyskania wreszcie zezwolenia na wyjazd jego dorosłej już córki.

Stone wiedział, że musi teraz zmierzyć się ze swoim ojcem chrzestnym, z człowiekiem, który zdradził jego ojca. Musiał zmusić go do współpracy, jeśli już nie z innych powodów, to dla dobra Soni. Sonia mówiła, że ojciec zatrzymał się w "Nacjonalu", a więc w tym samym hotelu, w którym i on zarezerwował pokój.

Lehman był teraz jego ostatnią nadzieją. Za kilka minut będzie już w hotelu i stanie przed starym arystokratą.

Zatopiony w myślach, jechał bacząc na białe linie oddzielające pasy jezdni. Deszcz się nasilił i musiał włączyć wycieraczki. Nagle jakby jakiś sygnał dotarł do jego świadomości - zdał sobie sprawę, że w ślad za nim podążają światła jakiegoś innego samochodu. Niemal automatycznie nacisnął pedał gazu. Strach i napięcie skłaniały go do przyspieszenia. Światła z tyłu zbliżały się jednak coraz bardziej. Zaczął się orientować, że to nie milicja, lecz dwa wielkie samochody ciężarowe, zresztą odmiennych typów.

Jezu! Były coraz bliżej. Widział je teraz wyraźnie w lusterku wstecznym. Wielkie, masywne samochody ciężarowe. Jeden jechał lewym pasem, drugi prawym, podczas gdy Stone znajdował się na pasie środkowym. Kiedy zorientował się w manewrach tamtych i próbował wjechać na prawy pas, było już za późno. Samochód po prawej stronie blokował mu skręt. Na budzie jednej z ciężarówek widniał wielki napis "Chleb". Samochód drugi był całkiem inny. Takie samochody w Stanach można zobaczyć jedynie na głębokiej, rolniczej prowincji. Zamiast jednolitych ścian miał z boku listwy, poprzez które można było zobaczyć znajdujący się wewnątrz ładunek. Były to klatki z żywymi kurami.

Oba samochody ciężarowe zrównały się teraz z renaultem i zaczęły zbliżać się do centralnego pasa, ażeby zdusić wóz Stone'a między sobą. Głośny, metaliczny trzask. To ciężarówka po prawej uderzyła w bok samochodu Charliego. W ułamek sekundy potem takie samo uderzenie z lewej, od strony ciężarówki z kurami. Stone wcisnął pedał gazu do oporu, ale oba samochody ciężarowe rozwijały taką samą szybkość jak renault. Uderzały teraz - w niego coraz częściej i coraz mocniej. Nie miał wątpliwości, że chcieli go zabić.

Niedaleko powinien być tunel. Przypomniawszy sobie, że w odległości około pół mili trzy pasma schodziły się w dwa i rozpoczął się długi tunel. A może to była mila? Mila oznaczała dla niego sześćdziesiąt sekund. W ciągu tego czasu obaj kierowcy ciężarówek będą musieli wykonać oczywisty manewr, będą musieli go zgnieść, zanim wjadą do tunelu.

Ciężarówki raz z jednej, raz z drugiej strony uderzały w renaulta ciskając nim jak

piłeczką pingpongową. Przy każdym uderzeniu Stone czuł gwałtowne szarpnięcie. Kolejny gwałtowny trzask. To ciężarówka z kurami wybiła w karoserii jego samochodu dziurę po lewej stronie na wysokości tylnego siedzenia. Ostry brzęk szkła. Wyleciała szyba po prawej stronie. Fala deszczu wtargnęła do kabiny.

Panika, jaka go ogarnęła, ustąpiła nagle zimnej determinacji, która zdusiła strach. Do tunelu miał jeszcze czterdzieści pięć sekund. Jedną ręką prowadził, a drugą odkręcił szybę od strony kierowcy. Zimny wiatr niosący strumienie deszczu wypełnił samochód. Wyciągnął lewą rękę i złapał za jedną z listew stanowiących bok samochodu z kurami. Listwy mogły służyć za drabinkę. Ciężarówka po prawej stronie uderzyła w samochód z taką siłą, że rzuciła go na bok sąsiedniej ciężarówki. Bum! Tym razem był to cios z lewej strony. Błotnik ciężarówki z kurami utkwiał głęboko w karoserii samochodu. Renault był teraz zaklinowany między ciężarówkami i połączone samochody pędziły przed siebie. Sięgnął pod kierownicę i rozwiązał sznurówki swoich butów. Potem szybko ściągnął buty z nóg blokując nimi pedał gazu. Samochód pędził do przodu dosłownie nadziany na zderzak ogromnej ciężarówki. Wjazd do tunelu był tuż przed nimi. Osiągnął go za dwadzieścia sekund. Ciągłe trzymając prawą rękę na kierownicy, lewą ponownie złapał za jedną z listew samochodu ciężarowego. Podciągał się do góry, wpierając się nogami w siedzenie. Napięcie dodawało mu siły.

Ręka ześlizgnęła mu się z poręczy. Wiedział, że jeśli się nie uda, za kilkanaście sekund czeka go niechybna śmierć. Podrzucił całe ciało i ponownie złapał się poręczy. Była wystarczająco mocna. Wyciągnął się przez otwarte okno i w kilka sekund potem wylądował na pace ciężarówki. Spojrzał w dół. Jego samochód był prawie całkowicie zgnieciony.

Czyżby nie zauważyli, że jego już tam nie było?

Znalazł się wśród klatek, w których nerwowo gdały zamknięte kury. Pełznąć przesunął się do przodu, w kierunku kabiny kierowcy.

Zgrzyt miazdzonego metalu. Stone ponownie spojrzął w dół. Samochód Charlotte zwinął się pod kołami ciężarówki z prawej strony. W momencie, w którym wpadali w gardziel tunelu, renault z całym impetem wyrzwał w betonową podporę i natychmiast eksplodował, przemieniając się w kulę ognia.

Ciężarówka wjechała w nie oświetlony tunel. Dotarł teraz do kabiny i wychylając się z prawej strony mógł zobaczyć sylwetkę kierowcy w kaszkiecie na głowie. Najwyraźniej nie był świadom, że ten, na którego polował, przeżył katastrofę.

Wilgoć powodowała, że trudno było znaleźć jakieś oparcie na płaskim dachu kabiny.

Przywarł brzuchem do blachy, po czym przekręcił się i zajrzał z drugiej strony. Okno przy kierowcy było otwarte.

Ostrożnie wyciągnął pistolet, zwolnił bezpiecznik.

Kierowca nie zdawał sobie sprawy, że ktoś znajduje się o kilkanaście centymetrów ponad jego głową. Stone wyciągnął rękę z pistoletem i skierował lufę prosto w głowę człowieka, który usiłował go zamordować. Wysunął głowę i zaglądając do kabiny powiedział: - Priwet - w pół sekundy potem nacisnął spust. Kula trafiła w sam środek czoła.

Głowa kierowcy w groteskowym ruchu opadła na kierownicę, jakby ten nagle postanowił uciąć sobie drzemkę. Krew ściekała mu na kolana.

Stone przekręcił się i z nadludzkim niemal wysiłkiem wepchnął do kabiny. Zdażył złapać za kierownicę w ostatnim momencie, by nie dopuścić do zderzenia z murem.

Widoczny był już wyjazd z tunelu i poświata ulicznych latarni. Wolną ręką odepchnął trupa, jego czapkę nałożył na swoją głowę. Chciał przypominać sylwetką zabitego.

Ciężarówka nie zwalniając wypadła z tunelu. Kabinę zalało światło latarni, co spowodowało, że krew, którą było zachlapane wnętrze, wydała się szokująco zielona.

Drugi samochód ciężarowy wyjechał z tunelu tuż za nim. Stone zredukował bieg i dodał gazu. Kierowca drugiej ciężarówki nacisnął klakson. Wyglądało na to, że dawał

koledze sygnał zwycięstwa - wykonaliśmy zadanie, gratulacje! Stone w odpowiedzi również zatrąbił. Przyspieszył, ponownie wrzucił piąty bieg i z Prospektu Mira skręcił w wąskie ulice śródmieścia Moskwy.

### 73. Podolsk, ZSRR

Trzech ekspertów Spiecznaza od materiałów wybuchowych stało na szerokiej, błotnistej równinie. Patrzyli na piramidę z kamieni widniejącą w odległości kilkuset metrów od nich i rozmywającą się w ciemności. Konstrukcję tę wzniesiono z wielkich bloków granitowych. To miała być ich czwarta próba, a trzy poprzednie przeprowadzili z całkowitym sukcesem.

- Zdumiewająco dokładna replika - powiedział jeden z nich.

- Oczywiście - odpowiedział drugi. - Takie same wymiary zewnętrzne i wewnętrzne jak w oryginale. Nawet kamień dobrano tak, by odpowiadał wadze i gęstości rzeczywistej budowli.

Równina, na której stali, znajdowała się około siedemdziesięciu mil na południe od Moskwy, w pobliżu Podolska. Był to poligon wojskowy odebrany armii przez Spiecznaz w 1982 r. Obecnie odbywały się tu wyłącznie próby urządzeń wybuchowych konstruowanych przez Spiecznaz.

Trzej eksperci przylecieli tu helikopterem GRU i mieli powrócić do Moskwy natychmiast po udanym eksperymencie. Zamierzali być w stolicy wcześniej rano w dniu rocznicy rewolucji.

Milczeli teraz, patrząc z ciekawością i napięciem.

Potężny wybuch i fontanna białego płomienia. Kamienna struktura została rozerwana od środka i w ciągu niespełna sekundy legła w gruzach. Czuli drżenie gruntu pod stopami i słyszeli spadające fragmenty budowli.

- Dobra robota - powiedział trzeci z ekspertów, uśmiechając się z zadowoleniem.

### 74. Rocznica rewolucji, 7 listopada, godzina 10.36

Krańcowo zmęczony, podrapany i zakrwawiony Stone starał się wyjechać na przedmieście. Ciężarówka z kurami w centrum miasta musiała rzucać się w oczy. Po zjechaniu z Prospektu Mira jechał okolicą Sadowaja-Spasskaja i tu udało mu się znaleźć telefon.

Ulice były wymarłe i jedynie z daleka widział patrolującego milicjanta.

Wszedł do budki, wrzucił monetę do automatu i wykręcił numer mieszkania Charlotte.

Nadal nikt nie odpowiadał. Zadzwoił do redakcji. Słyszał wielokrotnie powtarzający się sygnał dzwonka, a potem męski głos:

- Słucham.

- Szukam Charlotte, tu przyjaciel - powiedział.

Po dłuższej przerwie usłyszał odpowiedź:

- Przykro mi. Charlotte powinna być tu przed sześcioma godzinami. Nie mam pojęcia, gdzie się podziała. To skandal, mamy tyle roboty.

Nie potrafił się zorientować, z kim rozmawia, zapewne z kamerzystą. Odwiesił słuchawkę i głowę oparł o szybę kabiny. Dostali ją. Przyszli zapewne po niego, a złapali ją. Było już po północy. Nie pozostawało mu nic innego, jak zbudzić tego starego człowieka i zmusić go do współdziałania.

\*\*\*

Stone wpadł na pomysł. W każdym hotelu były wejścia służbowe i rosyjskie hotele nie mogły stanowić wyjątku. Nie mogli przecież od frontu wyładowywać worków z kartoflami i skrzynek z jajkami.

Na zapleczu hotelu "Nacjonal" trzymano wielkie pojemniki na śmiecie pełne śmierdzących, rozkładających się odpadków. Zauważył, że pracownicy kuchni wynoszą śmiecie do pojemników tylnymi drzwiami. A więc i o tak późnej godzinie drzwi te były otwarte.

Szedł szybkim, energicznym krokiem. Nie mógł wyglądać jak Rosjanin, a więc chciał wyglądać jak obcokrajowiec, zdecydowany i spieszący się tak bardzo, że nikt nie powinien ośmielić się zadawać mu pytań. Wiedział, że musi zwracać uwagę, chociażby dlatego, że był bez butów.

Nikt go jednak nie zaczepił.

Będąc już w środku wiedział, że nie może się pokazać w holu. Skierował się więc do tylnej klatki schodowej, używanej przez pokojowe i dyżurne opiekujące się poszczególnymi piętrami. Przed jednym z pokoi stała para butów wystawiona przez gościa z myślą o tym, że zostaną w nocy oczyszczone. Mając poczucie winy Stone wziął buty. Nie był to jego numer, ale mógł w nich chodzić.

Na drugim piętrze bez trudności odnalazł apartament Lenina oznaczony tablicą z brązu. Mieszkali tu honorowi goście państwa, nie dość jednak godni, ażeby ich zakwaterować w willach w Lenińskich Górkach czy na Kremlu.

Nigdzie nie widział nikogo.

Stary człowiek widocznie już spał, gdyż Stone przez dłuższy czas musiał pukać do drzwi. Kiedy otworzył, ubrany był w jedwabną piżamę. Nieruchomym wzrokiem patrzył na przybysza. Nie wydawał się zaskoczony.

\*\*\*

Attaché prasowy ambasady USA w Moskwie i oficer CIA Frank Paradiso rozpoznał Charlesa Stone'a. Kiedyś, w czasie krótkiej przygody z Charlotte, znalazł u niej zdjęcie Stone'a i zapytał o niego. Odpowiedziała coś lakonicznie, zbywając go.

Wiedział, kim był Charlie. Dostał w tej sprawie zaszyfrowaną depeszę z Langley.

Oznaczona była szyfrowym symbolem ROYEL. Symbol ten oznaczał, że chodzi o operację o szczególnym znaczeniu, ściśle tajną, znaną najwyżej kilkudziesięciu osobom. Wraz z depeszą nadesłano rysopis i szkic biograficzny Stone'a. Był pracownikiem Agencji, który popełnił morderstwo i, jak się przypuszczało, uciekł do Rosji. Depesza pochodziła od samego kierownictwa Agencji, a dyrektor CIA wydał polecenie, by ten człowiek został jak najszybciej schwytany.

Natychmiast po rozmowie ze Stone'em i Charlotte Paradiso poinformował o tym Agencję i otrzymał odpowiedź, że odpowiednie kroki zostały podjęte. Człowiek z Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego Agencji przyleciał wraz z ekipą prezydenta formalnie jako pracownik Departamentu Stanu i natychmiast udał się do ambasady.

Nazywał się Kirk Gifford, miał czterdzieści sześć lat i był pulchnym blondynem.

- Czy twoje informacje są wiarygodne, Frank? - pytał.

- W pełni - odpowiedział Paradiso.

- Z jakiego źródła?

Paradiso zawahał się.

- Nie mówmy na razie o źródle. Zajmijmy się raczej...

Gifford uderzył go zniechęcając w kark ciężkim, żelaznym przedmiotem

przypominającym niewielką maczugę i Paradiso nieprzytomny osunął się na stół. Gifford



wprawnym ruchem wbił mu w przedramię igłę strzykawki zawierającej benzodiazepan, środek hamujący funkcję centralnego systemu nerwowego. Środek nosił nazwę versed i był o wiele bardziej skuteczny niż używana uprzednio skopolamina. Versed ma działanie hipnotyczne i powoduje amnezję. Kiedy Paradiso odzyska przytomność, będzie zdezorientowany i oszołomiony, nie przypomni sobie niczego, co wydarzyło się w czasie minionych dwóch dni. Będzie pamiętał pojedyncze szczegóły, jakby fragmenty snu. Drzwi do pokoju otworzyły się i weszło dwóch mężczyzn z noszami.

- Załadować go na najbliższy samolot - rozkazał Gifford. - Obojętnie dokąd. Trzeba go natychmiast zabrać z Moskwy.

\*\*\*

- Wiesz, po co tu przyjechałem? - Lehman usiadł w wielkim fotelu z wysokim oparciem. W tym wielkim apartamencie wydawał się mały, jakby zagubiony.
- Dla Soni. Przekazałeś ludziom Pawliczenki pewne papiery, w zamian za co masz uzyskać zwolnienie córki. Po długim oczekiwaniu. Lehman sprawiał wrażenie, że nie słyszy odpowiedzi Stone'a.
- Przybyłeś tutaj w nadziei, że się zrehabilitujesz, czyż nie tak?
- Mniej więcej.

Wydawało się, że odpowiedź rozbawiła Lehmana.

- Przestań się w to mieszać, Charlie. Sprawa jest o wiele poważniejsza, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.
- Nie jesteś w sytuacji, w której mógłbyś mi odmawiać - powiedział cicho Stone. - Z uwagi na twoją córkę.

Oczy Lehmana rozszerzyły się nieznacznie.

- Nie uciekaj się do gróźb, bardzo cię o to proszę.
- Nie chciałbym komukolwiek opowiadać o czymś, co mogłoby pokrzyżować realizację twoich planów.

Lehman ani chwili nie zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Sądzę, że to ty jesteś w sytuacji nie do pozazdroszczenia.
- Chcę zapewnienia, że razem z Charlotte możemy spokojnie wyjechać z Moskwy. Masz kontakty i wpływy, możesz to załatwić.
- Nie, nie sądzę.
- Nie sądzisz, ażebyś miał kontakty?
- Nie sądzę, by udało ci się wyjechać stąd żywym.

Nie mógł się powstrzymać od podziwiania spokoju, jaki ten starzec potrafił zachować nawet w tak trudnym momencie. Uśmiechnął się i zapytał:

- A co z tobą?

Lehman odpowiedział uśmiechem.

- Ze mną w porządku - wydawał się rozbawiony. - Sądzę, że mnie nie lubisz - głos miał mocny i aksamitny, jak dźwięk oboju.

Stone nie odpowiedział.

- Wiesz przecież, że wyrządziłem ci przysługę. Znalazłem ci doskonałą pracę. Zrobiłem to dla twojego ojca.
- Wiem o tym.
- Sprawy rzadko są takie, jakimi chcemy je widzieć - powiedział przewrotnie Lehman.

Stone patrzył na niego w zamyśleniu.

- Ty zawiodłeś mojego ojca. Myślę o wydarzeniach z 1953.
- Zrobiłem, co mogłem, aby mu pomóc - zaczął gwałtownie kaszleć tym rodzajem kaszlu, który przechodzi czasami w torsję. - To z tego powodu tu jesteś? Lekcja historii? O

tym chciałbyś się czegoś dowiedzieć?

- Po części. On był niewinny?

- Oczywiście, że niewinny - Lehman powiedział to drwiąco. - Jezu drogi, Stone, co ty sobie wyobrazasz? Jesteś jego synem i musisz wierzyć w niewinność ojca.

Stone przytaknął głową i powiedział:

- Pozwoliłeś na to, żeby jego kariera została zniszczona.

Lehman z wolna potrząsnął głową. Kilka razy bezgłośnie poruszył ustami.

- Nie chciałem tego...

- Wiesz, że kiedyś byłem dumny ze znajomości z tobą - Stone wiedział, że w apartamencie musi być założony podsłuch, ale już nic na to nie mógł poradzić.

Lehman nie potrafił powstrzymać drżenia głowy i wydawał się zatopiony we własnych myślach.

- Pozwól, że będę głośno myślał - mówił Stone. - Trzymali do tej pory twoją córkę, prawda? Natomiast ty miałeś coś, czego się obawiali?

- Już bardzo późno...

- Miałeś jakieś papiery, czyż nie tak? Pewna starszka, która była sekretarką Lenina, opowiadała mi o Testamencie swojego szefa, o dokumencie nie znanym światu. Ten dokument przed laty mógł zdestabilizować Związek Radziecki.

- To stare dzieje...

- To jeszcze nie wszystko. Miałeś jakieś inne dowody. Dowód, że Beria z pomocą Zachodu chciał dokonać zamachu stanu.

- Kilkadziesiąt lat temu. Proszę, nie marnuj mojego czasu, nie mam go już zbyt wiele. Nie boję się tego...

- To też stare dzieje, jak mówiłeś, ale nie w całości.

Wydawało się, że Lehman nie jest w stanie się skoncentrować.

- Nie w całości - powtórzył Stone - gdyż w tych dokumentach są nazwiska. Nazwiska pomocników Berii. W szczególności jednego, młodego człowieka, który potem zrobił znakomitą karierę, a który z całą pewnością nie chciałby, ażeby wiadano, że kiedyś spiskował przeciwko ludziom z Kremla. Nie sądzisz?

- Wynos się - zaczął podniesionym głosem Lehman, ale przerwał mu nowy atak kaszlu.

- Tak więc masz dowód, że nowy przewodniczący aparatu bezpieczeństwa jest w rzeczywistości wrogiem państwa. Masz więc go w ręku i to jest powód, dla którego przyleciałeś do Moskwy - patrzył na Lehmana ostro, nieprzyjaźnie.

- Każdy, kto wie... - zaczął Lehman.

- Kto wie o Pawliczence...

- Ja wiem zbyt wiele - ponownie wydawało się, że traci wątek.

- Sam wpadłeś w sidła zastawione przez Pawliczenkę!

- Nie, to absolutnie nieprawda! - Lehman nagle się zdenerwował. - Oczywiście, że mam papiery, mam dokumenty na temat przeszłości Pawliczenki, jego powiązań z nami, naszej pomocy w jego karierze. Są w rękach mojego adwokata w Nowym Jorku. Ich publikację uzależniłem... Gdybym zmarł przed wypuszczeniem Soni... Pozostawiłem adwokatowi odpowiednie instrukcje. Dokumenty te zostaną opublikowane, jeśli Sonia nie otrzyma zezwolenia na opuszczenie Związku Radzieckiego.

- A obecnie? Co będzie obecnie?

- Wiem, że Pawliczenko nie pozwoli mi wyjechać. Nie mogłby się na to zgodzić.

Jestem zbyt ważnym świadkiem. Przed tym się jednak też zabezpieczyłem. Moi adwokaci mają instrukcje opublikowania dokumentów dotyczących Pawliczenki w dniu 10 listopada, chyba że ja lub moja córka Sonia instrukcję tę zmienimy - starał się mówić mocno, z energią i uczuciem, ale wypowiedziane słowa stawały się mało wyraźne. - Pawliczenko o tym wie. To

moja polisa ubezpieczeniowa. Tylko Sonia jest w stanie zatrzymać publikację tych dokumentów, które mogą go zniszczyć. Pawliczenko musi więc zwolnić moja córkę. Tylko ona może wydać polecenia...

Stone zrozumiał w tym momencie, że tamten niczego nie wie. Nie zdaje sobie sprawy z zasięgu planów Pawliczenki. Nie wie, że opublikowanie informacji przez jakąś firmę prawniczą w Nowym Jorku może nie mieć najmniejszego wpływu na człowieka, który zdobywa władzę tak, jak ją w najbliższym czasie ma zamiar zdobyć Pawliczenko. Nie zdradził jednak swoich myśli i powiedział:

- Co masz na myśli mówiąc... tylko Sonia?

Kolejny atak kaszlu Lehmana.

- Ja umieram, Stone.

- Nawet gdybyś miał żyć jedynie kilka lat...

- Ja umieram teraz, tutaj. Patrzysz na człowieka, który wkrótce odejdzie.

Wszystko wskazywało na to, że mówił prawdę. Twarz miał przezroczyście błądą.

Wydawało się, że zaraz zemdleje. Zdumiewało jednak, że nadal był z czegoś dumny.

- Nazywają to cocktail miłosierdzia. Jesteś za młody, żeby myśleć o takich sprawach.

W Anglii znany jest od ponad stu lat - uśmiechnął się. - Morfina i kodeina w płynie, jakieś inne składniki, woda, cukier, kilka kropli dzinu. Tak umarł mój ojciec. Pozwala to uniknąć długiej agonii. Zapakowałem odpowiednią fiolkę przed wyjazdem. Wiedziałem, że to musi nastąpić.

Stone patrzył szeroko otwartymi oczami, oniemiały.

- Wypiłem to przed godziną. Przyjeżdżając tutaj wiedziałem, że już stąd nie wyjadę.

Mechanizm prawniczy został nakręcony i cyka. Nie pozwoliłem na to, ażeby wzięli mnie jako zakładnika, a mogli to zrobić. Zabijam sam siebie i wiem, że to ratuje Sonię. Muszą zezwolić na jej wyjazd - ostatnie zdanie właściwie wykrztusił pełen tryumfu. - Przez lata całe nie mogłem pomóc mojej biednej Soni... i wreszcie... teraz! - uśmiechnął się wyraźnie rozradowany.

Stone nie miał serca powiedzieć umierającemu, co za kilka godzin może się wydarzyć na placu Czerwonym. Nie mógł mu powiedzieć, że materiały przechowywane w szafach pancernych jakiegoś adwokata w Nowym Jorku już nie miały dla Pawliczenki większego znaczenia. Nie mógł tłumaczyć temu starcowi, że jego przedśmiertny gest, być może najbardziej wielkoduszny uczynek jego całego życia, musi się zakończyć niepowodzeniem.

- Lenin został zamordowany?

- Oczywiście - potwierdził Lehman. - Został zamordowany - powtórzył. - Czy wiesz, kim był Reilly, Sidney Reilly?

Reilly, brytyjski superspies, który w 1918 roku usiłował obalić rząd radziecki. Cóż on mógł mieć z tym wszystkim wspólnego?

- Wiem - odpowiedział.

- To musisz też wiedzieć, że w rok po rewolucji Zachód był wściekły na bolszewików za to, że ci podpisali separatystyczny układ pokojowy z Niemcami. Postanowili obalić bolszewicki rząd. Zadusić bolszewickiego noworodka. Wiedzieli, że zaczyna się rodzić kult Lenina, i postanowili obalić bolszewików w jedyny dostępny sposób, eliminując charyzmatycznego przywódcę. I Brytyjczycy wysłali Reilly'ego, by zorganizował zamach na Lenina, ale się nie udało.

- Ale ty... - zaczął Stone, ale Lehman go nie słuchał.

- Warren Harding i Churchill, i wielu innych uważało, że jeśli Lenin zostanie sprzątnięty z drogi, bolszewicy muszą przegrać.

- Nie wierzę - Stone powiedział to na głos, ale sam do siebie. Lehman jednak usłyszał, bo zaśmiał się sucho:

- Nie wierzysz. Oni tak myśleli, nie mówię, że oni to zrobili. Tu zadziałał Stalin. To

Stalin znalazł sposób na zapewnienie sobie współpracy jedyne go cudzoziemca, któremu Lenin ufał. W każdym innym wypadku ci, których ten cudzoziemiec kochał, musieliby umrzeć. Tutaj takie rzeczy zdarzały się często. Po prostu ludzie znikali...

- Cudzoziemca...? - Stone nie rozumiał.

- Balsamowanie nie zawsze się udaje. Szczególnie nie jest możliwe, kiedy organizm przepojony jest trucizną. Ciało zostało skremowane. Zrobili woskową kukłę. Twarz to maska pośmiertna wykonana przez artystę rzeźbiarza. Stalin o tym wiedział. Chciał usunąć Lenina ze swojej drogi tak szybko, jak to tylko było możliwe. To była jego szansa na przechwycenie pełnej władzy. Wiedział, że ja byłem jednym z nielicznych, z którymi spotykał się chory Lenin. - Lehman oddychał ciężko. - Odwiedziłem Lenina. Podano nam herbatę. Obu, mnie i jemu... Lenin pił bardzo słodką. Miałem od Stalina kostki cukru przepojone szybko działającą trucizną. Wszystko, co trzeba było zrobić, to podłożyć kostki cukru. Była okazja.

- Ty?

- Krupska nie zezwoliłaby Stalinowi na wizytę u Lenina. Mógł działać jedynie przeze mnie. Wiedziałem, że Lenin tak czy inaczej umierał. Miał udar i to przyspieszenie nie miało już większego znaczenia. Stalin mnie osłaniał, a ja znałem jego tajemnicę. On dostarczył truciznę. I tak, nie planując tego, umożliwiłem pojawienie się na scenie największego tyrana XX stulecia. On mnie zmusił, zastraszył. Byłem za młody, żeby mu stawić czoło. Jeśli raz znajdziesz się między złodziejami, jesteś jednym z nich. Już na zawsze miał mnie w ręku. Do końca swojego życia, nawet po śmierci.

Lehman mówił teraz bez związku. Oczy miał niemal całkiem zamknięte.

- Twój ojciec przywiózł dokumenty dla Soni. Testament Lenina i inne. Testament... atak na państwo radzieckie... atak jego twórcy... dziś bezwartościowe... może dla kolekcjonerów i historyków... dużo pieniędzy. To i kilka innych dokumentów, które demaskowały Stalina. Berię, Pawliczenkę... wielu innych. Złożone, zalakowane... schowane w obraz Lenina... Twój ojciec to znalazł. Wszystkiemu zagroził. Gdybym umarł, chciałem jej zostawić coś, co by ratowało jej życie. Trzeba to było trzymać w tajemnicy, inaczej Sonia... Nie mogłem dopuścić do tego, ażeby twój ojciec zniszczył życie mojej Soni. Moja Sonia... Teraz będzie mogła wyjechać.

- A więc... ty nie trzymasz niczego przy sobie. Nie masz tu dokumentów.

- Ma je Sonia. Zamiana... zamiana polega... Sonia zamiast mnie.

Stone wstał i wyciągnął z kieszeni magnetofon. Był nie uszkodzony pomimo przejść w samochodzie. Nagrał ich rozmowę. Charlie wyłączył urządzenie. Lehman patrzył, jakby nie rozumiał, że rozmowa została zapisana na taśmie. Otworzył jednak szerzej oczy i powiedział:

- Włącz to. Jeszcze mam ci coś do powiedzenia.

Mówił przez następne dziesięć minut. Potem zamknął oczy. Po raz ostatni. Stone usiadł i siedział przez jakiś czas bez ruchu, przejęty tym, co usłyszał, tym, co potwierdzało jego podejrzenia. Trwało to dłuższą chwilę. Nie był w stanie płakać, logicznie myśleć, nic zrobić.

\*\*\*

Z automatu przed hotelem "Nacjonal" ponownie wykręcił numer mieszkania Charlotte.

- Halo? - usłyszał.

- Charlotte! Dzięki Bogu. Już myślałam...

- Zabrało mi to więcej czasu, niż przypuszczałam, ale znalazłam to, czego potrzebujesz. Nie uwierzysz. Na czele siatki...

Wiedział, że miała na myśli starowierców.

- ...stoi Walery Czawadze - dokończyła.

## 75. Godzina 3.10

Jechał starą, zardzewiałą wołgą, którą ukradł koło Maneżu, łącząc przewody pod kierownicą. Wyjechał z miasta i podążał w kierunku Wnukowa. Okolicę znał z opisu i lektury. To tu właśnie elita radziecka miała swoje dacje. Zjechał z autostrady i znalazł się w porośniętym lasem terenie. Wąska droga wiała się przez las wzdłuż brzegu głębokiego jaru. Nie potrafił się oswoić z myślą, że Walery Czawadze stał na czele antypaństwowej organizacji. Człowiek ze starej gwardii uważany za bastion starego porządku. Jeszcze na początku dekady lat osiemdziesiątych był członkiem Biura. Krążyły nie potwierdzone pogłoski, że odegrał zasadniczą rolę w obaleniu Chruszczowa.

Zapewne chciał, ażeby takim właśnie widział go świat.

A świat uznawał Walerego Czawadze za kwintesencję radzieckiej machiny biurokratycznej. Czyż było możliwe, że ten człowiek potajemnie zdradzał swój własny rząd, siedząc w samym centrum władzy? I czy Czawadze był dość silny na to, by nie dopuścić do tego, co niemal z całą pewnością miało nastąpić za... spojrzał na zegarek... zapewne za osiem godzin?

Ponownie zaczął myśleć o tym, o czym bez przerwy myślał od godziny, a o czym powiedział mu Lehman. Nie mógł się od tego opędzić.

Myślał też o tym, o czym nie mógł Lehmanowi powiedzieć. Starzec, który sam sobie zadał śmierć, nie chciałby słyszeć tego, co byłoby dla niego krańcową ironią, tego, że po kilkudziesięciu latach dokładnych, starannych przygotowań nie uda mu się uwolnić córki. Mistrzowskie uderzenie Pawliczenki było równie przebiegłe, jak i okrutne.

Noc była zimna i ciemna. Mrok rozpraszało jedynie blade światło księżyca. Jechał wzdłuż krawędzi głębokiego jaru. Światła reflektorów wydobywały z ciemności groteskowe sylwetki sosen. Prowadził tak szybko, jak to było możliwe. Wąska droga i głęboki jar po jednej stronie ograniczały szybkość.

Na chwilę oślepiły go reflektory nadjeżdżającego z przeciwnej strony samochodu. W pierwszym momencie, zagubiony w myślach, nie zwrócił na to uwagi. Nagle przednia szyba jakby eksplodowała. Rozpadła się na tysiące kawałeczków trafiona przez kulę. Skierował samochód prosto w jadący z naprzeciwka wóz. Tamten kierowca musiał zahamować, gdyż usłyszał przeraźliwy pisk opon. Gwałtownie zatrzymał swoją wołgę, otworzył drzwi i dał nura w przydrożne krzaki. Samochód toczył się jeszcze przez moment, by zaklinować się pomiędzy brzoźami nad samą krawędzią jaru. Teraz widział, że wóz, z którego go zaatakowano, to też wołga, tyle że czarna. Wyglądała na samochód służbowy.

Znowu polowali na niego.

Chwila całkowitej ciszy i nagle salwa. Kule były w pnie sosen, pod którymi wylądował, skacząc z samochodu. Skulił się za jednym z drzew. Wyciągnął z kieszeni glocka, wycelował i strzelił raz, dwa, trzy razy. Poprzez huk usłyszał krótki okrzyk bólu. Trafił. Stone czuł, jak serce wali mu w piersi. Myśli jak szalone przebiegały przez głowę. Czyżby kolejna pułapka? Czawadze... może nawet Dunajew... Oni ją zastawili, a on w nią wpadł jak dzikie zwierzę.

Metaliczny dźwięk. Ktoś ładował broń automatyczną. Kolejna seria strzałów. Wokół świszczwały kule. Zdaje się, że atakował już tylko jeden napastnik, ale zapewne zawodowiec, przy którym jego szanse były niewielkie. Musiał oszczędzać naboje. Ile mu jeszcze pozostało - może trzynaście? Trzynaście, i one musiały go obronić przed niewidocznym, o wiele zręczniejszym od niego wrogiem.

Usłyszał szum samochodowego silnika. Poczul, że robi mu się zimno. Ktoś nadjeżdżał z tego samego kierunku, z jakiego i on przed chwila przyjechał. A więc koniec. Tamten

otrzymuje posiłki. Nie ma najmniejszych szans w potyczce z kilkoma. Obejrzał się. Las za jego plecami był zbyt gęsty, nie do przejścia. Droga odwrotu była zamknięta. Musi przeskoczyć przez jezdnię i szukać schronienia po przeciwnej stronie. Ratować mogła go jedynie ucieczka.

- Wiktor! - zawołał napastnik do nowo przybyłego. A więc tylko jeden więcej! Szanse nieco rosły.

- Gdzie on jest? - pytał nowo przybyły.

- Tam! Pospiesz się.

- Ja się tym zajmę! - wykrzyknął nowy.

- Mam instrukcje...

- Twoje instrukcje... - przerwał mu nowy i nagle strzał. Wiktor zastrzelił napastnika.

- Hej ty! - krzyknął teraz w kierunku Stone'a. - Starowiec?

\*\*\*

- Tędy proszę - kierowca, szpakowaty mężczyzna po sześćdziesiątce o czerwonej twarzy człowieka nie unikającego alkoholu, wprowadził Stone'a do jasno oświetlonego i jak się okazało, luksusowo umeblowanego domu. Ciemne, lśniące meble, wschodnie dywany na podłodze, perskie dywaniki modlitewne na ścianach. W pokoju, do którego weszli, stał wielki, zabytkowy zegar, obok którego na miękkim fotelu siedział wąty, stary człowiek w znakomicie uszytym ciemnoszarym garniturze. Czawadze.

Gospodarz wstał z pewnym wysiłkiem i wyciągnął do Stone'a rękę.

- Przyjemnie mi, że pan tu dotarł - powiedział. - Opowiadano mi, że spotkał się pan w Paryżu ze starym Dunajewem. - Mówił po rosyjsku z gardłowym gruzińskim akcentem, jaki Stone słyszał na starych dokumentalnych filmach o Stalinie. - Przykro mi, że spotkały pana te wszystkie przygody, a przede wszystkim przykro mi, że tak późno pana odnalazłem. Trwało to zbyt długo.

- Człowiek, który mnie tu przywiózł, nosi uniform KGB. To pański człowiek?

- Mamy swoich również w KGB - odpowiedział gospodarz. - Proszę usiąść.

- Przepraszam, że o takiej porze, ale sytuacja wymagała tego.

- Późna pora? Zapomniał pan, jak żyliśmy, ci wszyscy, którzy pracowali ze Stalinem.

On pracował w nocy, wolał noc, a my musieliśmy się dostosować. W moim wieku tego już zmienić niepodobna. Teraz zawsze pracuję do późnej nocy.

- Pracuje pan? - nie mógł się powstrzymać od pytania.

- Piszę pamiętniki, które raczej za mojego życia nie zostaną opublikowane. Nie szybciej jak za dziesięć, dwadzieścia lat, jeśli zmiany będą postępowały tak szybko jak teraz - końcem języka zwilżył sobie wargi. - Gorbaczow robi wiele dobrego dla kraju, ale również chciałby umocnić swoją władzę, panie Stone. Ustawicznie grozi nam to, że pojawi się jakiś nowy Stalin. Jeśli nie Gorbaczow, to ktoś inny. I właśnie dlatego my jesteśmy potrzebni.

- Podejrzewam, że to wasi ludzie byli w Paryżu na cmentarzu.

W oczach Czawadze zabłysło zdziwienie, a twarz wykrzywiła się w przelotnym uśmiechu.

- Tak. Był tam ktoś od nas. Wiedzieliśmy o pańskim spotkaniu z Dunajewem i słyszeliśmy o tym, gdzie się przygotowuje zamach. Uważaliśmy, że należy pana chronić.

- Nie rozumiem.

- Za chwilę panu wyjaśnię.

- Co oznacza nazwa "starowiercy"?

- Chodźmy do drugiego pokoju, gdzie będzie się pan mógł rozgościć.

Przeszli do niewielkiego, ale komfortowo umeblowanego gabinetu, w którym stały niskie, miękko wyściełane fotele.

- Proszę usiąść - gospodarz wykonał zapraszający gest i zaczął odpowiadać na postawione mu pytania. - Pan wie przecież, kim w rzeczywistości byli starowiercy. To niegdyś wyznawcy Rosyjskiej Cerkwi Ortodoksyjnej, którzy przed trzystu laty poczuli się zdradzeni przez nagłe zmiany zachodzące w Kościele. Wystąpili przeciwko temu, zaczęto ich prześladować i ukryli się w lasach. Wielu dokonało aktu samospalenia. Zresztą pan o tym wszystkim słyszał.

- Starowiercy istnieją do dzisiaj - powiedział Stone. - Nie mogę jednak was zrozumieć. Dlaczego wy macie być starowiercami? Przecież jesteście wyznawcami stalinizmu?

- Wręcz przeciwnie. Chcemy sprawić, ażeby kolejny Stalin nigdy się już nie pojawił.

- Co pan ma na myśli mówiąc "my"?

- Po prostu starą gwardię. Nie można nas nazwać organizacją. To grupa starych ludzi mających liczne kontakty. Szeroko rozgałęziona sieć. Patrzymy i słuchamy, ostrzegamy i doradzamy. Nigdy bezpośrednio nie interweniujemy. Nawet gdybyśmy chcieli, nie mamy na to siły. Wy w Stanach macie swój establishment zajmujący się polityką zagraniczną, macie Radę Stosunków Międzynarodowych. My mamy starowierców.

"Starowiercy" - słowo to wspominał Alfred Stone w swoich notatkach.

- Znowu pan mówi "my". Kim do diabła są ci "my"?

- Jesteśmy patriotami. Kochamy nasz Związek Radziecki. Nie jest idealny, ale i tak o wiele lepszy niż carskie imperium. Wy, Amerykanie, nie pamiętacie o tym, że my, Rosjanie, jesteśmy inni niż wy. Nie chcemy demokracji waszego typu. Nie wiedzielibyśmy, co z nią robić.

- Niech pan da spokój - parsknął drwiąco. - Jesteście starą gwardią, rozumiem.

Gwardią stalinowską. Byliście kohortą odpowiedzialną za tak długo utrzymującą się tyranie. Czyż nie tak?

- Tak, bardzo długo tak - zgodził się Czawadze. - Czy pan wie, że o to samo zapytano kiedyś Chruszczowa na jednym ze zjazdów partii? Był jednym z nas, tak samo winny jak my wszyscy. Padło pytanie, dlaczego, kiedy był w kierownictwie, nie powiedział tego wszystkiego w twarz Stalinowi. A Chruszczow w odpowiedzi zapytał: "Kto to powiedział?" Nikt się nie zgłosił. Wtedy on: "Teraz rozumiecie, dlaczego milczałem?"

- Pan potajemnie nie dopuścił do procesu kilkunastu bohaterskich ludzi, którzy odmówili wzięcia udziału w masakrze w Lesie Katyńskim.

Czawadze przez chwilę milczał.

- A więc pan wie - powiedział. - Sądziłem, że sprawa zaginęła gdzieś w czeluści radzieckich archiwów. Tak, zrobiłem to. To, co się tam działo, było zwykłym, brutalnym mordem. To mną wstrząsnęło. Zmieniło mój pogląd na świat, na mój kraj. Zrozumiałem też, że odwaga w Rosji wymaga nie głośnej reklamy, lecz konspiracyjnego działania. W ten sposób można zdziałać o wiele więcej.

- Dlaczego zdecydował się pan na rozmowę ze mną? - odezwał się Stone. - Czy wie pan, co się dzieje wokół nas?

- Wiem, że wasza CIA ingeruje w sprawy naszego kraju. To chyba jasne.

- A o M-3? Wie pan o nim?

- Oczywiście. Nasz szanowny przewodniczący KGB. To myśmy zaplanowali.

- Jak to - zaplanowali? To przecież amerykański kret, czyż nie? Czyż on nie był... czyż nie jest kontrolowany przez nas?

- Jest wręcz odwrotnie, panie Stone. Odwrotnie! To my was kontrolujemy.

- Co takiego?

- W tym właśnie tkwi genialność pomysłu! To my wykorzystaliśmy obawy i nadzieje rządu amerykańskiego. Z Pawliczenką nawiązał kontakt oficer amerykańskiego wywiadu i ten zgodził się na współpracę. Nie wiem dlaczego, ale dobrze się stało. Mogliśmy w ten sposób manipulować wami, wyludzać informacje. Chcieliście mieć kreta, a więc daliśmy wam kreta.

Był właśnie szczyt potęgi senatora McCarthy'ego i im bardziej wewnątrz siebie rozdrabniał się, zjadaliście jeden drugiego, tym większe było nasze szczęście. Byliśmy słabi, Stalin umarł i u nas zapanował chaos. Edgar Hoover i McCarthy to była nasza wielka szansa. Wykorzystaliśmy ją, wykorzystaliśmy i Hoovera, i McCarthy'ego, i Winthropa Lehmana. W obronie własnych interesów Lehman przekonał Hoovera, że macie swojego agenta w samym centrum władzy w Rosji Stalina. To było wielkie, ale genialne oszustwo. Przykro mi, że pański ojciec padł ofiarą tego wszystkiego, ale mógł ujawnić i pokrzyżować nasze plany. Gdyby McCarthy wiedział, że ratuje Kreml przed katastrofą... - zachichotał sucho. Wszystko to brzmiało straszliwie. "Przykro mi, że pański ojciec padł ofiarą"... Po tym, co usłyszał od Lehmana, który również padł ofiarą... Bezwiednie potakiwał głową całkowicie osłupiały. Wszystko nagle wydało mu się odległe, nierealne, Moskwa, ojciec, jego dom przy Hilliard Street...

Czawadze zaczął mówić dalej:

- Dostrzega pan tę całą ironię?

- Taaak... - powiedział to machinalnie, ciągle jeszcze nieobecny myślami.

- Pański ojciec stał się ofiarą wstrząsu, od którego rozpoczęła się zimna wojna. A pan pada ofiarą wstrząsu, który ją kończy.

- A więc zdaje pan sobie z pewnością sprawę z tego, że Pawliczenko dokona w ciągu kilku najbliższych godzin zamachu stanu?

- Na czym pan opiera to stwierdzenie? - Czawadze potrząsnął głową.

Stone opowiedział wszystko, kończąc szczegółami na temat badania w klinice.

- Jeśli Pawliczenko rzeczywiście powieli plan ułożony niegdyś przez Berię, to znaczy, że za kilka godzin będzie miał udar mózgu. Może to właśnie teraz następuje. Jutro będzie chory i nieobecny. I wtedy coś się wydarzy, jakieś nieszczęście...

Stary Gruzin patrzył zdumiony, jakby dostał w twarz.

- A więc tak... - mówił cicho zastanawiając się. - Były sygnały... Morderstwa, różne posunięcia. Działy się rzeczy zaskakujące. Jakies niezbyt zrozumiałe zmiany kadrowe. Wysunięci przez Pawliczenkę ludzie lokowani w ambasadach i w konsulatach. Miałem sygnały z zagranicy o siatkach emigrantów-morderców kierowanych nie przez KGB. Całkiem jakby powstawały nowe kanały kontroli...

- Mamy bardzo niewiele czasu - ponaglił Stone.

Czawadze przytaknął, ale mówił dalej:

- Śmierć szeregu osób... za każdym razem wydarzenie w jakiś sposób związane z Pawliczenką. Była sekretarka Lenina w Stanach... Człowiek, który brał udział w pewnym obiedzie w dacy u Stalina. Wszyscy zamordowani. I...

- I co? - z wyrazu twarzy starca Stone domyślił się, co tamten chce powiedzieć, i poczuł skurcz w żołądku.

- Twój ojciec.

- Czy wie pan, kto go zabił? - wypowiedział to pytanie zdumiewająco spokojnym głosem.

- Wiem. Jeden z naszych ludzi. Służył u Pawliczenki. Był w jego domu kucharzem.

Założył podsłuch na telefon w jego dacy we Wnukowie. Egzekucję zarządził Pawliczenko. Tyle zdołaliśmy się dowiedzieć.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, po czym Czawadze kontynuował:

- Pawliczenko był jednym z najbliższych i najbardziej zaufanych pomocników Berii.

- I jak Beria, jak jego protektor, planuje przewrót - wtrącił Stone. - W odróżnieniu od Berii jest jednak niezwykle przebiegły i niebywale ostrożny.

Ponownie zabrał głos Czawadze. Mówił teraz powoli, jakby z trudnością wydobywał z siebie każde słowo.

- Nie sądzę, żebyś znał plan przejęcia władzy wymyślony przez Berię.



- Nie, nie znam żadnych szczegółów.
- O mój Boże - cicho jęknął starzec.
- Co?
- Byłem wtedy zastępcą członka Biura i zostałem potem wtajemniczony w plan Berii, oczywiście już po jego egzekucji.
- Jaki to był plan? Czy był to prototyp planu Pawliczenki? Domyślam się... - Stone był wyraźnie przejęty tym, co za chwilę usłyszy.
- Wykorzystując fundusze dostarczane mu przez Lehmana, o których w owych czasach nikt nie wiedział, zakupił znaczne ilości środków wybuchowych - mówił Czawadze. - Wiesz zapewne, że wewnątrz Mauzoleum Lenina przy placu Czerwonym jest pusta komora, używana czasami jako arsenał. Tak sobie zażyczył Stalin, kiedy projektowano budynek...
- To niemożliwe... - wyszeptał Stone.
- Pod wieloma względami był to chytry pomysł. Materiały wybuchowe miały być podłożone pod budowlę, na której w momencie zamachu znajdowałiby się wszyscy rywale Berii. Całkowicie bezbronni. Wszyscy wylecieliby w powietrze.
- Pawliczenko chce zrobić to samo, i to przy użyciu amerykańskiego plastyku dostarczonego przez CIA - Stone zerwał się na równe nogi. - Masowe zabójstwo. Ale przecież nie tylko członkowie Biura Politycznego, ale również amerykański prezydent. Obok Czawadze na stoliku stał telefon. Gospodarz wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę. Wykręcił numer, chwilę czekał i zapytał:
- Kto dziś od rana pełni służbę w Mauzoleum Lenina? Słuchał i ze zdumieniem potrząsnął głową. W pewnym momencie zaklął i ze złością odłożył słuchawkę.
- Przerwali połączenie! Pawliczenko musiał swoimi ludźmi obsadzić centralę telefoniczną Moskwy!
- Usłyszeli więc, o co pan pytał.
- Wyłączyli jednak dopiero potem, jak uzyskałem odpowiedź. A powiedziano mi, że w ostatniej chwili żołnierze służby bezpieczeństwa zostali zastąpieni gwardią przewodniczącego KGB - w oczach mówiącego zapalił się strach.
- Jeśli mamy do tego nie dopuścić, pańskie siły muszą mi pomóc.
- Moje siły? - w głosie starca wyczuwało się gorzką ironię. - Mam ludzi w różnych punktach w Moskwie i w Europie. Mam ludzi w KGB, i to na różnych szczeblach. Mam wielu młodych, którzy przysięgali nam wierność. Tradycja w tym względzie przechodzi z pokolenia na pokolenie. Jesteśmy jednak bezsilni wobec skoncentrowanych sił KGB. Bez telefonu, nie dysponując czasem na zwołanie ludzi, jak miałbym pomóc? Przypuszczam, że operacja Pawliczenki została precyzyjnie przygotowana. Niewiele możemy zrobić. Mój kierowca może pojechać z panem do miasta, może tam uda się wam z kimś skontaktować. Musicie już jechać. Właściwie na nic już nie ma czasu.

## 76. Godzina 3.55

Skonstruowanie bomby jest rzeczą ogromnie prostą. Fakt, że o technice konstruowania bomb większość ludzi nie ma pojęcia, wcale nie jest świadectwem złożoności tego procesu, a jedynie tego, że rzadko komu mogą być przydatne te wiadomości. Ekspert GRU ds. materiałów wybuchowych zaczął montować bombę z przeświadczeniem, że pomści ona śmierć jego rodziców i dosięgnie ich morderców. Takie są dziwaczne koleje losu. Pracował w niewielkim laboratorium, do którego dostęp zapewnił mu Sekretariat. Był całkiem sam. Nie życzył sobie obecności któregokolwiek ze swoich kolegów. Nie należało wzbudzać jakichkolwiek podejrzeń, ale dbać o zachowanie tajemnicy. O tej porze, a była już późna noc, w całym Akwarium panowała ciemność. Pracował powoli,

systematycznie, bez emocji.

Dziwił go fakt, że cały dostarczony mu materiał był produkcji amerykańskiej.

Technologia, jaką mogło dysponować GRU, wcale nie była gorsza od amerykańskiej, i nie widział powodów do korzystania z importu. Nie mógł jednak kwestionować rozkazów.

Używając zestawu jubilerskich narzędzi wyjętych ze skórzanego neseserka ostrożnie przyłączył dwa przewody do małego, czarnego, elektrycznego detonatora wyprodukowanego przez jakąś firmę w Kalifornii. Następnie detonator zamontował do spłonki elektrycznej, a do tego dołączył 9-woltowe radio tranzystorowe z baterią. Elektryczne spłonki zawierały niewielki ładunek, który wybuchał pod wpływem impulsów elektrycznych. Ze spłonki wychodziły dwa długie przewody. Jeden z nich podłączył do detonatora, a drugi do niewielkiej baterii. Detonator włożył następnie w ponad kilową bryłę wybuchowego plastyku. Stwierdził, że plastik był również amerykański. Biała masa o nazwie C-4. Na opakowaniu odczytał numer serii i godło firmy - zakłady wojskowe: Holston Army Ammunition Plant w Kingsport, Tennessee. Zastanawiał się, w jaki sposób Sekretariat mógł otrzymać materiały wybuchowe produkowane dla CIA. I dlaczego.

Nie podłączył drugiego przewodu wychodzącego ze spłonki. Zrobi to tuż przed planowanym wybuchem. W momencie eksplozji gwałtownie wzrośnie ciśnienie, co spowoduje wybuch trzech granatów, wypełnionych białym fosforem poumieszczanym w różnych punktach podziemnego arsenału. Wybuchając wypuszczają chmury gazu. Dostarczono mu je zgodnie z zamówieniem. Z jakichś niezrozumiałych, zapewne biurokratycznych przyczyn granatów takich nie produkowano w Związku Radzieckim. Będą to więc pociski amerykańskie typu M-15, gładkie cylindry nieco mniejsze niż puszki z piwem. Odłączył od granatów ich zwykle detonatory i zastąpił je urządzeniami detonującymi zaopatrzonymi w membrany migawkowe. Będą one działały pod wpływem wzrastającego ciśnienia. Do zmontowanej całości przytwierdził butlę wypełnioną dziesięcioma kilogramami stężonego propanu. Butla wyposażona była w zawór otwierany zegarowym mechanizmem. Zawory takie są reklamowane w katalogach różnych zachodnich firm, gdyż można ich używać do różnych celów. Na przykład do włączenia w biurze pieców gazowych o godzinie piątej rano po to, aby w pomieszczeniach było ciepło, kiedy o dziewiątej przyjdą do pracy urzędnicy. Obliczył, że w podziemiach Mauzoleum Lenina będzie potrzebował dwie minuty czasu. Ustawi zawór tak, ażeby zaczął wypuszczać gaz o 11 rano w dzień rocznicy rewolucji. W ciągu dziesięciu minut podziemna sala wypełniona będzie gazem. Gdyby bomba plastikowa wybuchła o pięć minut za wcześnie lub o pięć minut za późno, zamach byłby nieudany. Wybuch musi nastąpić dokładnie w dziesięć minut po otwarciu zaworu. Wtedy mieszanka propanu z powietrzem wypełniająca pomieszczenie będzie idealna. Robotę skończył dokładnie o godzinie 4.20 rano. Całość nie zajmowała wiele miejsca i można ją było z powodzeniem schować w obszernym tornistrze. Był dumny ze swojego dzieła i pewien, że wykonał znakomitą robotę.

## 77. Godzina 6.32

Wyciągnięty na siedzeniu w samochodzie Stone bronił się przed ogarniającym go znużeniem. Charlotte gdzieś zginęła. Nie było jej w redakcji ani w mieszkaniu. Kilkakrotnie telefonował z automatów. Żadnej odpowiedzi.

W pewnym momencie uświadomił sobie, gdzie mogła być, oczywiście jeśli jej nie aresztowano. W czasie rozmowy wspominała mu o pewnym miejscu w Moskwie, o niewielkim hotelu w samym centrum miasta. Hotel nosił nazwę "Czerwona Gwiazda", a w recepcji pracował ktoś, kogo Charlotte dobrze знаła. Czasami spotykała się tam ze swoimi informatorami. Wtedy, kiedy chciała, by spotkanie utrzymane było w całkowitej tajemnicy.

Szła tam również, gdy potrzebowała samotności, i Stone był pewien, że i teraz tam szukała schronienia.

Kierowca Czawadze zaparkował czarną wołgę w bocznej uliczce koło placu Dzierżyńskiego, a Stone ostrożnie ruszył w kierunku hotelu. Budynek był niewielki, źle oświetlony, a widniejąca na nim czerwona gwiazda - połamana. W recepcji siedział człowiek w średnim wieku, o czarnych włosach i z wielkimi workami pod oczami. Spojrzał na wchodzącego pytającym wzrokiem.

- Szukam kogoś - powiedział Stone.

Twarz urzędnika wyrażała niechęć, ale nagle rozjaśniła się w uśmiechu.

- Sądzę, że znam waszego przyjaciela.

- Charlie! - był to głos Charlotte. Wyszła z jednego z pokoi. Biegła w jego kierunku.

- O dzięki ci, Boże - powiedział Stone, biorąc ją w ramiona.

\*\*\*

Charlotte i Stone siedzieli na tylnym siedzeniu gnającej z szybkością ponad 100 kilometrów na godzinę wołgi. Byli do siebie przytuleni.

- Gdy wychodziłam z domu - mówiła - widziałam samochód milicyjny. Taki sam, w jaki mnie kiedyś zapakowano. To nie mógł być przypadek. Kręciłam się więc po ulicach i po prostu uciekłam. Nie miałam się gdzie ukryć i pomyślałam o tym hotelu.

Stone ucałował ją.

- Jestem naprawdę szczęśliwy, że nic ci się nie stało. Potrzebujemy siebie. Ja ciebie potrzebuję. Ogromnie.

- Dziękuję. A Lehman...

- Nie żyje.

- Co?!

- Wiedział, że już nigdy nie wyjedzie z Moskwy. Poszedłem do niego. Chciałem go prosić o pomoc. Zażył coś.

- Zażył? Co ty opowiadasz?

- Popelniał samobójstwo. Umarł w mojej obecności.

- Lehman nie żyje?

Wziął jej rękę i mocno uściskał.

- Niegdyś był dla mnie kimś bardzo ważnym... - powiedział i zamilkł. Coś w jego głosie sygnalizowało, że nie powiedział wszystkiego.

- I co jeszcze, Charlie?

- Później.

Charlotte przyjrzała się okolicy i zwróciła się do kierowcy:

- Znam skróty, które zaoszczędzą nam dziesięć minut.

Kierowca potrząsnął głową. Nie był przyzwyczajony do tego, ażeby kobieta mu rozkazywała.

- Pani chce prowadzić? - zapytał.

- Nie, tylko proszę jechać tak, jak mówię. Znam wszystkie zaułki w tym przeklętym mieście - i już ciszej dodała: - Wiedziałam, że nadejdzie dzień, kiedy mi się to przyda.

\*\*\*

Jechali całkowicie pustą, boczną ulicą jednej z ubogich dzielnic południowej części Moskwy.

- To tu - powiedział Stone i kierowca stanął. Charlie pocałował Charlotte i wysiadł.

- Spieszcie się - powiedział.

Wołga ruszyła. W ostatniej chwili usłyszał, jak Charlotte krzyknęła: - Bądź ostrożny. Ruszył w kierunku garażu, przed którym stał Stefan Kramer.

- Na co czekasz? Czemu nie wchodzimy? - zapytał.
- Przykro mi, nie możemy.
- Co się stało, Stefan?
- Tego przedtem nie było - Kramer podprowadził Stone'a do drzwi garażu Fiodorowa. Tu jego kolega z celi więziennej trzymał materiały wybuchowe. Lakier, którym pokryte były niegdyś drzwi, niemal całkowicie się złuszczył. W połowie drzwi w nikłym świetle latarni błyszczała wielka, nowoczesna kłódka stalowa.
- Tego tu nie było - wyjaśnił Stefan - musieli to założyć bardzo niedawno. Stone przyjrzał się uważnie kłódce i powiedział:
- Mam doświadczenie w obchodzeniu się z zamkami.

## 78. Godzina 6.57

Dochodziła siódma rano - a był to dzień rocznicy rewolucji - gdy dwóch oficerów GRU wysiadło z samochodu naprzeciwko Mauzoleum Lenina. Plac Czerwony był jeszcze pogrążony w półmroku i prawie pusty.

Samotny milicjant snuł się po zabrukowanej płaszczyźnie. Przed wejściem do Mauzoleum stała nieruchomo warta honorowa.

Młodszy z oficerów, ubrany w błękitny mundur straży kremlowskiej, niósł w wojskowym plecaku urządzenie wybuchowe. Obaj przybyli obeszli Mauzoleum i podeszli do tylnego wejścia. Pełniący tu wartę domyślił się, że to kontrola stanu bezpieczeństwa.

- Dobry dzień, towarzysze - powiedział grzecznie wartownik.
- Dzień dobry - odpowiedział starszy oficer. - Czy dolny arsenał otwarty?
- Nie. Wydaliście polecenie, żeby nikogo tam nie wpuszczać. Jest zamknięty.
- Kto ma klucze?
- Sołowiow, towarzyszu.
- Czy jest na dole?
- Tak jest.

Weszli do środka. Na niższym poziomie spotkali kolejnego wartownika. Wyprężył się w postawie na baczność.

- Dajcie mi klucze od arsenału - polecił starszy.
- Tak jest - wyjął pęk kluczy, wybrał jeden z nich i podał zwierzchnikowi.

Obaj oficerowie weszli do arsenału i zamknęli za sobą drzwi, przekręcając klucz w zamku.

- Do roboty - powiedział generał. Jego głos odbijał się echem od betonowych ścian.

Młodszy oficer położył plecak na ziemi i zaczął z niego wyjmować elementy bomby: cegielkę plastyku, pojemnik z gazem, zapalnik, granaty, baterie i przewody. Był całkowicie opanowany i spokojny, systematycznie rozkładał rzeczy po sali. Granaty umieścił pod ścianami. Ustawił zawór przy zbiorniku z gazem, ustawił zapalniki na godz. 11.10. Wreszcie zamontował przewody elektryczne.

- Wszystko gotowe - zameldował. - Teraz mamy dwanaście minut po siódmej. Biuro Polityczne spotyka się na trybunie na górze o dziesiątej. O jedenastej gaz zacznie się ulatniać ze zbiornika. Powoli wypełniać będzie pomieszczenie bogatą w tlen, wysoce wybuchową mieszanką. W dziesięć minut potem, dokładnie o 11.10, wybuchnie plastik, co spowoduje eksplozję chmury gazowej. Budynek ulegnie całkowitemu zniszczeniu.

- Doskonale - generał sprawdzał połączenia i szczególnie dokładnie przyjrzał się mechanizmowi przy zbiorniku z propanem. Podniósł wreszcie głowę.

- Wszystko w porządku - raz jeszcze rozejrzał się po podziemnej komorze i powtórzył:  
- wszystko w porządku.  
Dochodziła godzina 7.15.

\*\*\*

O 7.00 rano przewodniczący KGB został swoim zilem przewieziony do kliniki kremlowskiej przy ulicy Gronowskiej. Uskarżał się na utratę władzy w prawej połowie ciała. Natychmiast zajął się nim wybitny neurolog dr Konstantin Bielow. Po szybkim wstępnym badaniu dr Bielow stwierdził, że objawy wskazują na udar i zarządził przeniesienie chorego do oddziału kliniki pod Moskwą, gdzie zapewniono odpowiednie warunki bezpieczeństwa. Gdy weszli dwaj sanitariusze z ambulansu, dwaj sympatyczni młodzi ludzie, nie mający najmniejszego pojęcia o tym, co wkrótce ma się w ich kraju wydarzyć, Pawliczenko patrzył i uśmiechał się. Wiedział, że nie powinien pozostawać w klinice kremlowskiej. To nie byłoby bezpieczne. W żadnym miejscu nie może przebywać zbyt długo. Teraz przewiozą go do Kuncewa, potem być może jeszcze gdzie indziej. Najlepszą opieką otoczy go oddział jego własnej ochrony. Za cztery godziny zresztą taka ostrożność nie będzie już potrzebna. Sanitariusze ostrożnie i delikatnie podnieśli go z łóżka i ułożyli na rozkładanych noszach na kółkach, które przynieśli ze sobą. Wyglądali na zdenerwowanych, nawet przełkniętych. Ostatecznie tego rodzaju zadań nie wykonuje się na co dzień. Pawliczenko był zawsze rozbawiony tym, że wywiera takie wrażenie na ludziach. Zastanawiał się, czy ci dwaj znajdą się również wśród setek pracowników służb medycznych, którzy zostaną nagle wezwani na plac Czerwony, by z dymiących ruin Mauzoleum wyciągać szczątki członków Biura. Czy którykolwiek z nich przeżyje? Sądził, że nikt nie miał takiej szansy. Winda zatrzymała się na parterze i wyciągnięty na noszach Pawliczenko wyjechał z kliniki. Było już całkiem jasno. Powietrze było świeże i chłodne. Wstał dzień rocznicy rewolucji.

Godzina 9.00

Ulice udekorowane były czerwonymi sztandarami, ogromnymi portretami Lenina i transparentami, na których widniały hasła oficjalnej radzieckiej propagandy: "DEMOKRACJA, ODBUDOWA, PRZYSPIESZENIE" albo "LENIN WIECZNIE ŻYWY" albo "NAPRZÓD DO ŚWIETLANEJ PRZYSZŁOŚCI KOMUNISTYCZNEGO SPOŁECZEŃSTWA, DOBROBYTU I TRWAŁEGO POKOJU". Przygotowania do rocznicy rewolucji prowadzono od tygodni. Udekorowano wszystkie budynki publiczne. Wszędzie, nawet na samochodach, powywieszano flagi. Około 9.00 przy stacji metra Park Gorkiego zaczął zbierać się ogromny tłum. Stąd pochód wyruszy w kierunku placu Czerwonego. Grupy studentów w kostiumach gimnastycznych wymachiwały czerwonymi szturmówkami. Delegacje moskiewskich fabryk miały transparenty z napisami: "Robotnicy świata jednoczcie się", "Cały wysiłek dla walki o pokój" lub "Naprzód do zwycięstwa komunizmu". Przed wejściem na plac Czerwony ustawiły się grupy etniczne w ludowych strojach. Za Mauzoleum Lenina na murach Kremla wywieszono wielką mapę świata. Na frontonie domu towarowego GUM, po drugiej stronie placu, wielkie portrety Marksa, Lenina i Engelsa. Na ścianach wiktoriańskiego Muzeum Historii, wielkiej budowli z czerwonej cegły, portrety członków Biura i napis: "Chwała leninowskiej polityce zagranicznej ZSRR". W centrum tego wszystkiego, w tej powodzi napisów, flag, szturmówek, portretów i wielobarwnych tłumów, ciemnoczerwone Mauzoleum wydawało się mało ważną

zabaweczką.

\*\*\*

Pawliczenko leżał wyciągnięty na noszach w jadącym ambulansie i myślał o tym, że wkrótce członkowie Biura, każdy z czerwonym kwiatkiem w klapie, będą wchodzili po schodach na trybunę Mauzoleum. A w godzinę później Mauzoleum przemieni się w kulę ognia miotającą w tłumy odłamkami marmuru, granitu i betonu. Zginą zapewne setki ludzi. Leżał nieruchomo. Odgrywał swoją rolę zgodnie ze wskazaniami lekarza i sądził, że robi to przekonywająco.

Przypomniawszy sobie Konstantina Czernienkę stojącego na trybunie Mauzoleum. Był luty 1984 roku i odbywał się pogrzeb Jurija Andropowa. Dzień był mroźny i widział kłęby pary wydmuchiwaną z ust przywódców. Pawliczenko jeszcze nie awansował do Biura i obserwował tę scenę z trybuny dla uprzywilejowanych gości. Niezbyt lotny Czernienko rozglądał się niezdecydowany, nie wiedząc, jak się zachować. I Pawliczenko, a wraz z nim tysiące innych usłyszeli przez głośniki, jak Andriej Gromyko instruuje nowego przywódcę: "Nie zdejmuj czapki".

Takich Rosja miała przywódców.

Sanitariusze ostrożnie wstawili nosze do ambulansu i zamocowali je. W minutę później jechali. Kierowca włączył syrenę. Siedzący na przednim siedzeniu sanitariusze, jeden z nich był kierowcą, oglądali się co chwila nerwowo na przewodniczącego KGB.

Pawliczenko leżał spokojnie i zdawało się, że drzemał.

Kuncewo, dokąd jechali, znajdowało się dwadzieścia pięć kilometrów za miastem przy Szosie Mińskiej. Tam umarł Stalin. W 1953 roku była to dacza Stalina bez żadnych urządzeń medycznych. Wielki Wódz umarł pozbawiony wszelkiej nowoczesnej pomocy. Stawiano mu na skroniach pijawki.

Pawliczenko postanowił, że przez tydzień będzie sprawował władzę ze szpitalnego łóżka. W 1983 roku w ten sposób przez sześć miesięcy rządził Andropow. Przez znaczną część roku Kuncewo było Kreml. Świat nic nie wiedział o stanie zdrowia Andropowa. Członkowie Biura rozmawiali z nim jedynie telefonicznie. Chory przyjmował tylko przewodniczącego KGB - Wiktora Czebrikowa, który odgrywał rolę łącznika pomiędzy przywódcą złożonym niemocą a resztą świata. Natomiast Pawliczenko będzie korzystał z pomocy czterdziestu zaufanych asystentów, gotowych do wykonania każdego rozkazu. Sekretariat natychmiast opublikuje niepodważalne dowody wskazujące na to, że w zamachu uczestniczyły CIA i Narodowa Rada Bezpieczeństwa USA.

Wszystko wydarzy się za kilka godzin.

Ambulans wyłączył syrenę i w chwilę potem zatrzymał się. Czyżby już byli na miejscu? Tak szybko? Ambulans ruszył ponownie, zatoczył koło i zatrzymał się.

Pawliczenko lekko się uniósł na łokciach, chciał zobaczyć mury z drutami kolczastymi, którymi otoczona była dacza w Kuncewie. Okna ambulansu były jednak umieszczone zbyt wysoko. Mógł zobaczyć jedynie uliczne latarnie.

Uliczne latarnie!

To nie było Kuncewo. W Kuncewie nie było ulicznych latarni.

Godzina 9.20

Czarna wołga kręciła się ulicami od ponad godziny, szukając sposobu przedostania się do centrum przez kordony służby bezpieczeństwa. Kwatera główna wywiadu wojskowego GRU była niedostępna. Co kilka metrów stali żołnierze KGB. Zazwyczaj ostre rygory w

rocznicę rewolucji w tym roku były jeszcze ostrzejsze, co powodowała obecność prezydenta USA.

Na plac wpuszczano jedynie członków oficjalnych delegacji, a punkty wejścia były nadzorowane przez strażników z KGB w szarych uniformach z czerwonymi literami "GB" na naramiennikach. Popularnie nazywano ich "WW", co było skrótem od nazwy Wnutriennije Wojska. Służyli w nich jedynie Rosjanie i nie spotykało się wśród nich twarzy azjatyckich. Nie mogli znaleźć sposobu przedostania się w pobliże Mauzoleum. Pozostawało im tylko jedno - negocjacje ze strażnikami. Gdyby udało im się natrafić na ludzi nie z szeregów KGB, może udałoby się przekonać któregoś z żołnierzy, że sprawa jest rzeczywiście pilna i że należy dopuścić ich do dowodzącego oficera. Być może znajdzie się oficer, który będzie miał dość zdrowego rozsądku, by ich wysłuchać.

- Tam spróbujmy - powiedział kierowca, wskazując na grupkę żołnierzy z armii.

- Próbujmy - zgodziła się Charlotte.

Podjechali, kierowca odkręcił szybę i zapytał:

- Gdzie dowódca?

Ktoś odpowiedział, ale nie był to żaden z żołnierzy. Spoza samochodu wyszedł strażnik w mundurze KGB.

- Co macie za interes, towarzyszu?

- Chcę mówić z ich dowódcą - odpowiedział kierowca.

Strażnik podniósł brwi i zapytał:

- W jakiej sprawie?

- Lepiej odjeżdżajmy - szepnęła Charlotte, instynktownie kuląc się na przednim siedzeniu na widok funkcjonariusza KGB. Ten zbliżył się i zajrzał do samochodu. Patrzył uważnie i wydawało się, że kogoś poznawał. Wyprostował się i rzucił rozkaz:

- Zatrzymać samochód, pasażerów aresztować.

- Szybko - szepnęła Charlotte do kierowcy. - Do tej grupy milicjantów.

Kierowca wrzucił bieg i poderwał maszynę do przodu, potrącając człowieka w mundurze KGB, który upadł na bruk. Ktoś strzelił w ich kierunku i kula trafiła w tylną szybę, która była kuloodporna. W kilka sekund znaleźli się przy następnym punkcie kontrolnym, przy którym nie było widać nikogo z KGB. Charlotte odkręciła szybę i patrzyła na stojących tu mundurowych. Byli to wyłącznie milicjanci podlegli MWD, Ministerstwu Spraw Wewnętrznych.

- Proszę mnie aresztować - krzyknęła.

## 79. Godzina 9.40

Przewodniczący KGB sięgnął po rewolwer ukryty w obszernej kieszeni szpitalnego szlafroka.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał kierowcę, a w jego głosie kryło się ostrzeżenie.

Sanitariusz siedzący obok kierowcy odpowiedział: - Poza Moskwą, towarzyszu.

- Co się dzieje? - położył palec na spust. Uważał, że nie musi dalej udawać i wolną ręką rozluźnił pasy, jakimi był przymocowany do noszy. - Nie jesteśmy w Kuncewie - wyciągnął rewolwer i wymierzył w kierowcę. - Macie mnie tam natychmiast zawieźć.

Stefan Kramer i jego bliski przyjaciel Żenia Swietłow, syn jednego z towarzyszy Jakowa Kramera z czasów obozowych, wyskoczyli z szoferki. Spod noszy, na których leżał Pawliczenko, wyczołgał się jeszcze trzeci człowiek. Charles Stone, idąc w ślady tamtych, wyskoczył i zatrzasnął za sobą drzwi.

Pawliczenko usiadł i wystrzelił. Przednia szyba ambulansu pękła, a kula wyrysowała na niej ślad w kształcie pajęczyny.

- Nie radzę więcej strzelać - powiedział po rosyjsku Stone.

Ich trójka rozstawiła się tak, ażeby otaczać samochód i znajdującego się w środku Pawliczenkę. Stone celował w jego kierunku ze swojego glocka. Przyglądał się Pawliczenke, który siedział przy otwartym oknie samochodu. Wyglądał na odprężonego i pewnego siebie. Lufa jego rewolweru zwisała w dół, jakby cała przygoda była drobnym incydentem, który się za chwilę zakończy.

Dla Stefana, pracownika pogotowia, zorganizowanie ambulansu i uniformów było drobnostką. Stone był natomiast zdumiony łatwością, z jaką dostali się do kliniki kremłowskiej bez żadnych dokumentów. Wystarczyło to, że nosili uniformy obsługi ambulansów.

Zanim wyruszyli na tę operację, Stone używając do tego niektórych instrumentów medycznych Stefana otworzył kłódkę zawieszoną na wejściu do garażu. W środku znaleźli detonatory, zapalniki i materiały wybuchowe. Było oczywiste, że zebrane rzeczy miały być dowodami udziału Kramerów w zamachu na placu Czerwonym. Wiedzieli, że dla Pawliczenki przygotowano pokój w Kuncewie, i Stefan domyślił się, że przewodniczący KGB zostanie przewieziony z kliniki ambulansem. Informacje te w pełni potwierdził im Czawadze. Musieli więc zaryzykować i przyjechać do kliniki, zanim pojawi się tam rzeczywisty ambulans.

- Kim jesteście? - z całym spokojem zapytał Pawliczenko. - Ty musisz być obcokrajowcem. Słyszę to - pokazał głową na Stone'a. - Radzę się wam natychmiast poddać. Czy zdajecie sobie sprawę, na co się porwaliście? Uprawdziliście członka rządu radzieckiego. Bądźcie rozważni i odłóżcie broń.

- Ty nie jesteś zwykłym członkiem rządu - odpowiedział Stone. - Jesteś zdrajcą swojego rządu.

Pawliczenko potrząsnął głową i zaśmiał się.

- Jesteście niebezpiecznymi głupcami, na dodatek straszliwie przez kogoś oszukany. Nie gadajcie głupstw - przemknęło mu przez głowę, że jest już tak bardzo blisko celu, a tu... Kim są ci ludzie? Nie są z milicji i chyba nie z GRU.

Pawliczenko od dziesięcioleci nie strzelał z rewolweru. Po raz ostatni, kiedy był w szkole KGB. Uważał też, że należy rozbroić tamtych nie bronią, lecz podstępem. Ci młodzi ludzie nie wyglądali na zawodowców. Być może uda ich się przekonać, oszukać. Był przecież człowiekiem potężnym i musiał na nich robić wrażenie.

- Jeśli upieracie się przy swoim zamiarze, to bardzo proszę - mówił - ale ostrzegam was, że skierujecie przeciwko sobie całą potęgę Związku Radzieckiego. Możecie mnie zgładzić, ale sami nie macie szans przeżycia - trzej napastnicy trwali nieporuszeni na swoich pozycjach, a dwie lufy pistoletów pozostały w niego wymierzone. - Mogę sobie wyobrazić, że terroryzm to kuszące zajęcie. Sądzicie, że jeśli weźmiecie jako zakładników kilku członków Biura, to uda się wam zmienić świat. Pamiętajcie jednak, że uśmiercając mnie nie osiągniecie niczego. Wasz koniec jest przesądzony.

- Wiem, kim jest M-3 - odpowiedział na to Stone. - Wiem, jak pewien młody współpracownik Berii robił karierę. Z pomocą kilku cynicznych Amerykanów, którzy sami nie wiedzieli, jak bardzo są naiwni.

- Zwariowałeś - przerwał przewodniczący KGB. - Kim ty jesteś? Z CIA? Nie rób czegoś, czego twoja Agencja i twój kraj będą żałować.

- To interesujące spotkać cię po tylu trudach - mówił Stone. - Po wielu trudach moich, ale i twoich. Odłóż rewolwer. Mamy przewagę i to jest oczywiste.

Pawliczenko nie opuścił rewolweru. Patrzył uważnie, szukał słabego punktu, oceniał sytuację. Tych idiotów należało jednak traktować poważnie, przekonać. Jeden był obcokrajowcem, zapewne Amerykaninem. Dwaj pozostali chyba Rosjanami. Czy byli z CIA? Chyba tak. Jeśli tym Amerykaninem był Stone, to oczywiste było, że zatrudniała go CIA.



- Imponuje mi twoja odwaga - zaczął mówić łagodnie. - Zastanów się jednak. Porwać przewodniczącego KGB? Nie mam pojęcia, jakie cele wasza Agencja chce osiągnąć, ale musisz chyba rozumieć, jakie to było głupstwo. Brawura tak, ale równocześnie idiotyzm.

- Odłóż broń. Wiemy, co planujecie w Mauzoleum - Stone nie wydawał się przejmować słowami Pawliczenki. - Zaprowadzimy cię do telefonu i odwołasz rozkazy. Jest jeszcze na to czas, jak sądzę. Możemy też zaraz pojechać na plac Czerwony. Co wolisz? Pawliczenko nadal starał się mówić spokojnie, ale w jego głosie odezwały się teraz nuty desperacji.

- Mogę wam zapewnić bezkarność. Zgodzę się, ażeby CIA wywiozła cię ze Związku Radzieckiego. To chyba wielkoduszna oferta.

- Nie zmuszaj mnie do tego, żebym cię zabił - przerwał mu Stone. - Zmuszano mnie już do zabijania i mogę to zrobić ponownie.

Stefan chciał coś powiedzieć, ale uciszyło go spojrzenie Stone'a Umówili się, że ani Stefan, ani Swietłow nie otworzą ust. Rozmawiać będzie jedynie Stone.

- Jest takie stare rosyjskie przysłowie - odezwał się Pawliczenko. - Człowiek, którego pogrzebią przed czasem, będzie żył dłużej.

Mówiąc to, powoli podniósł rewolwer i wymierzył w głowę Amerykanina.

- Doskonale - powiedział Stone. - Połóż rewolwer na siedzenie. Tylko ostrożnie. Każdy szybszy ruch, a strzelamy. Trafisz najwyżej jednego z nas, a sam zginiesz. Odłóżysz broń, my odłożymy naszą. Zgoda?

Pawliczenko skinął głową.

- Czego chcecie? - zapytał.

- Zawieziemy cię na plac Czerwony. To proste - odpowiedział Stone. - Tam wydasz odpowiednie rozporządzenia i my zwolnimy cię.

- W porządku - położył rewolwer na otwartej dłoni i powoli zaczął się pochylać w stronę przedniego siedzenia.

- Ostrożnie - ostrzegł Stone. - Dwa pistolety są w ciebie wycelowane. Chcemy dotrzymać umowy.

- Rzućcie teraz swoją broń - polecił Pawliczenko. Z ulgą zrozumiał, że napastnicy nie są mordercami. Podjęli ryzyko wiedząc, że nigdy nie udałoby się im uciec. Byli głupcami, ale nie wiedzieli, do jakiego stopnia.

- Teraz - powiedział Stone. Stefan położył pistolet na ziemi, a on swój na samochodzie. Pawliczenko rzucił rewolwer na przednie siedzenie ambulansu i wyprostował się.

- No i co teraz? - przewodniczący KGB uśmiechnął się. Wiedział, co stanie się z tymi trzema. Spojrzał na Amerykanina i zdawało mu się, że dostrzegł czerwone światełko. Patrzył uważnie i tak... czerwona iskierka. Amerykanin trzymał w ręce mały, czarny przedmiot. Stacyjkę zdalnego sterowania. Coś, czym można było z odległości spowodować wybuch bomby, na przykład bomby ukrytej w samochodzie.

- Co robisz? - opanowanie Pawliczenki najwyraźniej ustąpiło uczuciu paniki. Głos mu drżał. Amerykanin trzymał palec na małym białym guziku. - Kto wam to dał? Ktoś z mojego aparatu? To urządzenie KGB?

- My wszyscy jesteśmy dla ciebie śmierdzącym gównem. - Palec Stone'a spoczywał nadal na guziku. Patrzył na siedzącego w ambulansie, na jego potężny korpus, nienaturalnie czarne włosy, ziemistą cerę i ostre rysy. A więc to ten człowiek. Ile musiał zapłacić za to, że piał się w górę po śliskiej drabinie kariery?

- My wszyscy, Kramerowie, ja, mój ojciec, wszyscy byliśmy częścią twojego planu, czyż nie tak? Nie znałeś przecież mojego ojca?

- Ktoś, kto ci o tym wszystkim opowiadał, jest zapewne tym samym, który chce wysadzić Mauzoleum Lenina - odpowiedział Pawliczenko. - Czy wiesz, kto to? Możemy go

znaleźć. Jestem chory, ale możecie mi pomóc. Podwieźcie mnie do telefonu, wezwę ludzi. Razem możemy to wszystko zatrzymać - uśmiechnął się. - I nie mam pojęcia, przyjacielu, kim jest twój ojciec.

Charlie wiedział, że to nieprawda. Pawliczenko sam wydał rozkaz zabójstwa i wiedział, że Alfred Stone nie żyje. Wszystko układało się w logiczną całość. Opanowała go wściekłość, ale w sekundę potem Stone poczuł, że staje się zimny jak gład. Pomyślał o ojcu, potem o Pauli, potem o Lehmanie. Wszystkiemu winien jest ten człowiek w ambulansie. Ten szaleniec...

Pawliczenko tymczasem zwrócił się do Stefana.

- Możesz pomóc swojej ojczyźnie, która teraz tego potrzebuje.

I w tym momencie rzucił się do przodu, chwycił rewolwer i nie mierząc strzelił w kierunku Rosjanina po lewej stronie. Kula przebiła szybę w tylnych drzwiach ambulansu nie czyniąc nikomu szkody. Pawliczenko rzucił się do drzwi. Chwycił za klamkę i nacisnął. Były z zewnątrz zamknięte.

- Skąd wiedziałeś, że w Mauzoleum podłożono bombę? Myśmy tego nie mówili - głos Stone'a był zimny i zupełnie spokojny.

Pawliczenko skierował lufę rewolweru na Amerykanina. Stone, głosem załamującym się z emocji, wykrzyknął:

- To za mojego ojca! - i jego palec przycisnął guzik zdalnego sterowania.

Dynamit przytwierdzony do podwozia ambulansu, tuż koło baku z benzyną, eksplodował. Pawliczenko miał uczucie, że oczy zakrywa mu coś czarnego, co zmieniło kolor na czerwony, ażeby przejść w nieskazitelną, oszałamiającą biel.

Była godzina 9.55.

## Godzina 9.56

Sonia Kunieckaja, półprzytomna z przerażenia, wracała do domu. Wyszła chcąc zatelefonować do ojca, ażeby powiedzieć mu o tym, co usłyszała od Charliego Stone'a. Telefon w pokoju nie odpowiadał. Zastanawiała się, czy nie poszedł na plac Czerwony na manifestację. Mówił, że się tam nie wybiera. Gdzież więc mógł być? Musi mówić z ojcem i z Charliem. Powie mu o tym, co na razie obawiała się ujawnić.

Przed domem zobaczyła zaparkowany zielony samochód. Numer wskazywał, że był to samochód KGB. Domyśliła się. Przyjechali po Jakowa, po Stefana... po nią. Poczuła, że nogi się pod nią uginają. Nie była w stanie zrobić kroku. Dowłokła się do drzwi wejściowych i stała oparta o mur.

Z klatki schodowej dobiegały męskie głosy. Zawróciła, przeszła przez podwórze i schowała się za rogiem następnego domu. Stała i patrzyła. W drzwiach wejściowych ich domu pojawiło się kilka postaci. Żołnierze KGB, a pomiędzy nimi Jakow. Na ręce miał założone kajdanki.

Chciała krzyknąć. Chciała biec na ratunek, ale nawet w tym stanie oszołomienia zdawała sobie sprawę, że jest to niemożliwe. Wiedziała, że i ją zaaresztują i będzie po wszystkim. Czy nie złapali Stefana? Chyba nie. Ukryła się za budynkiem.

\*\*\*

Dwa razy w roku radzieccy przywódcy przyjmowali parady na placu Czerwonym stojąc na trybunie Mauzoleum Lenina. Zazwyczaj dostawali się tam wychodząc z bramy w murach Kremla za Mauzoleum, a następnie idąc po schodach wiodących na trybunę. Czasami jednak, przy złej pogodzie lub z uwagi na stan zdrowia któregoś z przywódców, wybierano

inną drogę, prowadzącą podziemnym przejściem od sutereny budynku Rady Ministrów. W ostatnich latach życia Breżniew zawsze wybierał tę drugą trasę. Podziemia były ogrzewane, a ponadto była tam toaleta, urządzenie niezwykle potrzebne w sytuacji, kiedy przez kilka godzin trzeba było stać na zimnie.

W tym dniu przywódcy mieli przejść podziemnym przejściem, nie z uwagi na pogodę czy stan zdrowia, lecz ze względów bezpieczeństwa. Wraz z nimi szli amerykański prezydent i sekretarz stanu. Ostatnio w Moskwie zbyt często zdarzały się wypadki terroryzmu i Biuro Polityczne było zdecydowane dopilnować wszystkiego tak, aby nic nieprzyjemnego nie mogło się wydarzyć. Szczyt już się oficjalnie rozpoczął, choć właściwie rozmowy zaczynały się następnego dnia. Nie wolno było dopuścić do jakichkolwiek perturbacji.

Dwunastu członkom Biura, dziesięciu zastępcom członków i czterem Amerykanom towarzyszyło pięciu oficerów ochrony z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Była godzina 9.57.

W Mauzoleum nie ma windy. Wchodzono schodami wewnętrznymi, które prowadzą na trybunę od strony placu. Wyszli na zewnątrz. Gorbaczow, prezydent, minister spraw zagranicznych i sekretarz stanu zajęli wskazane miejsca w środkowej części trybuny. Przed nimi ustawiony był rząd mikrofonów.

Punktualnie o 10.00 rozległ się głos zegara na Wieży Spaskiej, a zaraz potem tony hymnu narodowego. Uroczystość się rozpoczęła.

Godzina 10.25

Milicjant miał ochotę wybuchnąć śmiechem. W jego kierunku biegła drobna kobieta w okularach, wymachiwała rękami i coś krzyczała. Stał przy wejściu na plac Czerwony koło budynku Muzeum Historii.

Teraz słyszał, co wykrzykiwała:

- Musicie to zatrzymać! Tam wybuchnie bomba! Musicie pomóc!

Milicjant złapał kobietę w momencie, w którym usiłowała przecisnąć się przez barykadę.

- Jak się wam udało tu dostać? - zapytał ostro, wypychając ją poza wejście. -

Wynoście się stąd, bo będzie niedobrze.

- Nie - upierała się Sonia. - Muszę mówić z dowódcą. To bardzo ważne. Musi mnie wysłuchać!

Milicjant poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu. Odwrócił głowę. To był ktoś z KGB.

- Co się dzieje, towarzyszu?

- Ta wariatka coś wykrzykuje.

- Pozwól, że z nią pomówię - zbliżył się do stojącej przed nimi i zapytał: - Proszę mi powiedzieć, co za problemy?

- W Mauzoleum ukryta jest bomba. W każdej chwili może wybuchnąć. Ja nie zwariowałam. To prawda.

- Proszę za mną - powiedział człowiek z KGB. - Pomówicie z moim dowódcą.

Prowadząc ją pod rękę przeprowadził przez linię straży. Weszli w wąskie przejście pomiędzy dwoma budynkami.

- Teraz proszę mi powiedzieć, co słyszeliście, towarzyszeko.

- Dzięki Bogu, pan chce wysłuchać... - i zamilkła. Widziała, jak człowiek w mundurze wyciągnął pistolet i wymierzył do niej. - Nie, proszę... - wyszeptwała.

Patrzyła czując narastający w niej gniew. W myślach zaczęła się modlić: "Boże, ochroń mnie, ochroń Jakowa, ochroń Stefana".

Nie mogła wydobyć z siebie słowa. Stała trzęsąc głową.  
Człowiek z KGB pociągnął za spust i strzelił. Celował prosto w serce. Odgłos strzału zagłuszyła muzyka dobiegająca od strony placu.

\*\*\*

Dokładnie o godz. 11.00 otworzył się sterowany mechanizmem zegarowym mały zawór na zbiorniku z propanem ustawionym pośrodku arsenału w podziemiach Mauzoleum Lenina. Gaz zaczął się z sykiem ulatniać wypełniając pomieszczenie.

80. Godzina 11.02

Ilia Rozanow ze straży kremłowskiej wolałby pełnić wartę przed Mauzoleum. Wypełniał ten obowiązek od wielu miesięcy stojąc nieraz w nocy i na zimnie przed wejściem do grobowca. Szkoda, że i dzisiaj nie otrzymał takiego przydziału. Rocznicą rewolucji, największe święto w roku. Wszyscy w Rosji i w jego rodzinnym Stawropolu będą na ekranie telewizorów oglądać Mauzoleum. Teraz patrzeć będzie cały świat. Po raz pierwszy stanie tu prezydent Stanów Zjednoczonych. Oczywiście mógł dostać jeszcze gorsze zadanie niż warta na tyłach Mauzoleum. A może to nawet dobrze. Może tędy właśnie przechodzić będą w drodze na trybunę członkowie kierownictwa? Może zobaczy z bliska prezydenta? Gwardia Kremłowska, w której służył, nazywana była również Gwardią Pałacową. Byli wyborowym i wybranym oddziałem. Okazywano im największe zaufanie. Było nieprzyjemne zimno i Rozanow po służbie najchętniej ogrzałby się w arsenale pod Mauzoleum, ale z jakichś niezrozumiałych powodów arsenał był od kilku dni zamknięty. Wiele się na ten temat mówiło, a jego przełożony, komendant Kremla, był wściekły. Z jakich powodów Pawliczenko wydał tego rodzaju rozkaz? Czyżby chodziło o bezpieczeństwo? Tak - powiedział wtedy przewodniczący KGB. Komendant Kremla przetrwał już czterech przewodniczących KGB i kilku sekretarzy generalnych. Rozkaz potraktował jako ingerencję w jego gospodarstwo. Arsenał był zawsze używany, szczególnie w dni świąt państwowych. Tu robiono odprawy, składano broń. Tym razem trzeba było robić odprawę przed murami Kremla. Było to coś niesłychanego. Dla strażnika sprawa było o wiele prostsza. Żeby się ogrzać, musiał iść do ubikacji znajdującej się kilka pięter pod Mauzoleum. Było to niewygodne. Względy polityczne i prestiżowe niewiele go interesowały. Pozdrowił gestem dłoni kolegę, który go zmienił na służbie, i tylnymi drzwiami Mauzoleum wszedł do środka. Słyszał, że ktoś przemawiał i słyszał okrzyki zebranych tłumów. Zszedł schodami w dół w kierunku ubikacji i już miał do niej wejść, gdy poczuł jakiś szczególny zapach. Wydawało mu się, że to zapach gazu. Poszedł w głąb korytarza. Im dalej szedł, tym zapach stawał się intensywniejszy. Dolatywał chyba z arsenału. Pachniał jak gaz łatwopalny. Przed drzwiami do arsenału wartę pełnił człowiek z KGB, a nie z Gwardii Kremłowskiej. Rozanow podszedł do niego i zapytał:  
- Czy czujesz to? - i pociągnął nosem.  
Wartownik przyjrzał mu się uważnie i z pewnym wahaniem w głosie zapytał:  
- Czy sądzisz, że to może być trujące? Czuję ten zapach od kilku minut.  
- To gaz - stwierdził Rozanow. - Wydobywa się z tego pomieszczenia - wskazał na drzwi.  
- Nie podchodź - wartownik przybrał wrogą postawę.  
- To musi być trujące - stwierdził z przekonaniem Rozanow. - Może nas pozabijać.  
Trzeba zobaczyć, co się dzieje - zrobił krok do przodu.

- Stój - ostrzegł strażnik. - Mam rozkaz nikogo nie wpuszczać.  
- Towarzyszu - przekonywał tamtego Rozanow - nie kazano ci, żebyś stał jak krety, kiedy stamtąd ulatnia się gaz.  
Wartownik zastanowił się.  
- Musimy zobaczyć. Jeśli znajdziesz wyciek gazu, otrzymasz pochwałę, nawet awans. Pawliczenko lubi ludzi z inicjatywą, szczególnie w momentach zagrożenia.  
Wartownik ustąpił.  
- No dobrze, ale szybko. Ktoś nadejdzie i będzie nieszczęście. Mamy rozkaz zastrzelić każdego, kto wszedłby do tego pomieszczenia - odwrócił się i przekreślił klucz tkwiący w metalowych drzwiach.  
Wewnątrz panowała ciemność rozpraszana jedynie przez światło padające z korytarza. Powietrze - zamglone - było przesiąknięte gazem. Rozanow słyszał wyraźny syk.  
Strażnik wyciągnął rękę w kierunku kontaktu.  
- Nie dotykaj - wrzasnął Rozanow. - Tu pełno gazu. Iskra z kontaktu może spowodować pożar.  
Dostrzegł zbiornik, z którego wydobywał się syk. Potem zauważył przewody, blok plastikowy i granaty. Bomba? Tutaj?  
- Cóż za gówno... - to było wszystko, co zdążył powiedzieć. Inny strażnik z KGB, który stanął na progu pomieszczenia, przebił mu gardło bagnetem.

\*\*\*

Admirał Mathewson zauważył, że to, co działo się na placu Czerwonym, było doskonale zgrane. Ściśnięty w tłumie gości honorowych na trybunie dla dygnitarzy, mógł doskonale obserwować. Wszystko było wyreżyserowane. Na niewielkim podniesieniu przed trybuną stał człowiek, który dyrygował tłumem.  
Przed defiladą na plac wjechały dwie odkryte limuzyny. W jednej jechał dowódca garnizonu Moskwy, w drugiej minister obrony narodowej. Odebrali honory wojskowe szeregów przygotowanych do defilady, a żołnierze jednym głosem krzyknęli: "Hurra!"  
Potem defilowali ruszając się jak roboty.  
Następnie jechały czołgi i wyrzutnie raketowe na grubych, gumowych kołach. W powietrzu unosił się niebieski dym spalin.  
Tłumy były rozradowane, przejęte, zapewne nieświadome rozlicznych środków podjętych dla zapewnienia przywódcom bezpieczeństwa. Mathewson wiedział, że w pobliżu znajdowały się specjalne oddziały wyposażone w broń maszynową. W tłumie były tysiące milicjantów i agentów w cywilnych ubraniach. W uszach mieli małe radiowe słuchawki i broń ukrytą pod marynarkami.  
Mathewson popatrzył na prezydenta. Stał obok Gorbaczowa, uśmiechał się i pozdrawiał defilujących. Po raz pierwszy w historii amerykański prezydent znalazł się tu w takim dniu. Oczywiście było, że zimna wojna definitywnie dobiegła końca.  
Kilka minut po jedenastej grupka małych dziewczynek wbiegła na trybunę i wręczyła stojącym tam przywódcom bukiety czerwonych kwiatów, dostarczone zapewne przez sztab Gorbaczowa.  
Admirał patrzył na członków Biura Politycznego. Wyglądali na nieco znudzonych i automatycznie pozdrawiali defilujących. Stojąca obok doradcy prezydenta Rosjanka, prawdopodobnie żona któregoś z dygnitarzy, szeptała do trzymanego na rękach chłopczyka: - Popatrz, widzisz Gorbaczowa. To Gorbaczow. A ten obok to amerykański prezydent.

\*\*\*

Pułkownik Nikita Własik z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych patrzył na Charlotte szarymi, smutnymi oczami i myślał, że chyba należy uwierzyć w tę niebywałą opowieść, jakiej przed chwilą wysłuchał. To właśnie ten sam oficer przed kilkoma tygodniami zwolnił ją z aresztu. Dał jej przy tym radę, w jaki sposób unikać kłopotów z władzami. Charlotte czuła w nim coś pokrewnego.

Bez uśmiechu, z całą powagą powiedział jej:

- Pani ustawicznie przypomina mi moją córkę. Tylko ona i pani potraficie być takie uparte i tylko wam mogło się udać to, czego pani dziś dokonała, a więc przedrzeć się przez barykadę pilnowaną przez KGB. - Zwrócił się do towarzyszącego mu oficera: - Wania, nie mam ani sekundy do stracenia.

Była godzina 11.03.

\*\*\*

O godz. 11.05 strażnik KGB ponownie zamknął drzwi od arsenału pozostawiając na ziemi skrzycone ciało zabitego. Wykonywał jedynie rozkaz. Wszędzie śmierdziało gazem i stojący przed drzwiami wartownik poczuł, że zaraz będzie wymiotować.

Zegar przy bombie wewnątrz arsenału wskazywał, że do wybuchu pozostawało jeszcze pięć minut. Propan głośno sycząc nadal ulatniał się ze zbiornika.

O godz. 11.08 grupa milicjantów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych niosąc w rękach siekiery, chemiczne gaśnice i ekwipunek do rozbijania bomb wbiegła do środka Mauzoleum tylnym wejściem od strony Kremla. Akcja miała być przeprowadzona bez zwracania czyjejkolwiek uwagi.

Grupa składała się z dziewięciu odpowiednio wyszkolonych ekspertów. Zbiegli schodami do podziemi Mauzoleum i zaczęli poszukiwania. Nie były one długie. Gaz wypełniał korytarze i klatki schodowe, a milicyjni eksperci w ciągu kilkunastu sekund zlokalizowali miejsce, z którego wydobywał się gaz.

Wartownik KGB na widok nadbiegającej w mundurach milicji wyciągnął pistolet i zaczął strzelać. Został zabity na miejscu.

\*\*\*

Na elektronicznym zegarze detonatora wyskoczyła cyfra 11.10.

\*\*\*

Używając siekier policjanci otworzyli drzwi do arsenału. Powietrze było tu tak gęste, że oddychanie było prawie niemożliwe. Pierwszy z ekspertów natychmiast zorientował się w sytuacji. Przeskoczył przez leżące na ziemi ciało i zaczął szukać sposobu rozłączenia materiału wybuchowego od zapalnika. Kaszlał z powodu ilości gazu.

Kilku milicjantów zważyło się na ziemię porażonych propanem. Nie mieli masek. Nie spodziewano się takiej sytuacji. Pozostawały dosłownie sekundy. Ekspert nie potrafił się zorientować w plątaniu kabli. Widział, jak na zegarze mechanizmu detonatora wyskoczyła godzina 11.12. Widział na drugim zegarze czas docelowy. Za kilka sekund rozlegnie się ciche "klik" zamykanego obwodu, co natychmiast spowoduje wybuch plastyku. Wiedział, że musi wyszarpnąć przewody i odsunąć plastyk od źródła prądu. Czy można to zrobić w ciągu ośmiu sekund?

Godzina 11.13. Ekspert wymacał przewód prowadzący do bryły plastyku. Szarpnął, bez żadnego efektu.

Ktoś za jego plecami krzyknął:

- Uciekać!

Zegar odmierzający czas na detonatorze znieruchomiał i w tym samym momencie ekspert szarpnął ponownie, wyrywając przewód. Bomba została rozbrojona.

Jeden z ekspertów milicyjnych spotkał znajomego, również w mundurze milicyjnym. Odeszli na bok i uściśli sobie dłonie. Jeden z nich szepnął cicho hasło:

- Starowiercy.

\*\*\*

Stojący na trybunie prezydenci Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego pozdrawiali maszerujące tłumy. Po ich obu stronach stali członkowie kierownictwa radzieckiego i amerykańskiego. Amerykanie marzli i czuli się nieswojo. Zastanawiali się, jak długo jeszcze przyjdzie im stać na tym zimnie. Ich radzieccy gospodarze przyzwyczajeni do tak długich uroczystości publicznych czuli się wyraźnie lepiej.

Prawie nikt nie zauważył, jak oficer ochrony pilnujący wejścia na trybunę podał niewielką kartkę szefowi ochrony cywilnej, a ten przekazał ją Aleksandrowi Jakowlewowi, który z kolei podał ją Gorbaczowowi.

Gorbaczow przeczytał i ponownie patrzył na tłumy.

- Coś ważnego? - zapytał prezydent.

- Nic szczególnego - odpowiedział Gorbaczow. - Mały problem, ale już rozwiązany.

\*\*\*

Charlotte, chroniona przez dwóch milicjantów z ministerstwa, stała przy wejściu na plac Czerwony koło Muzeum Historii. Odgłosy przeciągającej manifestacji wydawały się wszystko zagłuszać. Zobaczyła, jak po przeciwnej stronie barykady stanęła stara, zardzewiała łada. Czyżby milicji udało się ich odnaleźć?

Pierwszym, którego zobaczyła, był Stefan, za nim wyszedł Swietłow. Przerazona powstrzymała oddech, usiłując czytać z ich twarzy... A gdzie on? I wtedy z samochodu wysiadł, a właściwie wyczołgał się Charlie. Musiał być ranny, wyglądał na chorego, zszokowanego. Co się stało?

Miała ochotę przedrzeć się przez barykadę, objąć go, powiedzieć mu, że wszystko w porządku. Przepelniały ją uczucia napięcia, miłości, obawy. Poczwała, jak łyzy spływają jej po policzkach.

Charlie Stone z trudnością przeszedł przez wejście na plac i ruszył w jej kierunku. Zobaczył ją, jej uśmiech i zrozumiał, co chciała mu powiedzieć. Zanim jednak zbliżył się do niej, wszystko zaczęło wokół niego wirować, świat stał się jakiś jasny, barwny, a potem otoczyła go biała, nieprzenikniona mgła.

Epilog. Nowy Jork: sześć miesięcy później

Minęło kilka miesięcy i wiele problemów zostało rozwiązanych.

Stone budził się powoli i pierwszą rzeczą, jaką sobie uzmysłowił, była obecność Charlotte. Ciepła, miękka, spała mocno do niego przytulona. Promienie porannego majowego słońca przenikające przez zasłony wpadały do pokoju.

Jej bliskość podniecała go. Powoli przesuwając rękę po jej ciele położył dłoń na łonie.

Pieścił włosy, potem palce sięgnęły głębiej. Jeszcze się nie obudziła, ale wyczuwał, że i ją już ogarnia podniecenie. Drugą ręką czule masował jej pierś. Sutki były już wyprężone. Całował ją w szyję, w kark. Otworzyła oczy i westchnęła.

\*\*\*

Przez kilka miesięcy wiele tajemnic pozostawało nie wyjaśnionych.

Wiedzieli, że Sonia zginęła w dniu rocznicy rewolucji. Wiedzieli, że Jakow i jego synowie, za zgodą Biura Politycznego, wyemigrowali do Stanów. W stanie zdrowia Awrama Kramera nie nastąpiła radykalna poprawa i nigdy już nie będzie mógł powrócić do normalnego życia.

Wiedzieli również, że moskiewski szczyt nie zakończył się niczym konkretnym, jak to często dzieje się z tego rodzaju spotkaniami. Prasa amerykańska zgodnie komentowała szczyt jako "wygładzony, ale bez wydarzeń". Z jednym wyjątkiem, jakim była śmierć przewodniczącego KGB. Miał udar mózgu w bardzo niefortunnym momencie. Oczywiście czytając te informacje, nikogo nie wyprowadzali z błędu.

Frank Paradiso został przeniesiony do ambasady USA w Lizbonie. Wkrótce po szczyście dyrektor CIA Ted Templeton i jego zastępca Ronald Sanders złożyli rezygnację z powodów rodzinnych. Obaj oznajmili, że z decyzją tą czekali na odbycie szczytu. Każdy z nich znalazł dobrze płatne zajęcie w prywatnym biznesie. Obaj nie mieli innego wyjścia, jak podanie się do dymisji. Stali przed ewentualnością, że ujawniona zostanie rola, jaką odegrali w nielegalnej aferze szpiegowskiej. Taka groźba istniała zresztą nadal, gdyż najbardziej miażdżące dowody tej działalności strona radziecka znalazła w kasie pancernej w gabinecie Andrieja Pawliczenki.

Stone nie miał pojęcia, że sieć starowierców nadal istniała i działała. Nie wiedział też, że w Stanach została zorganizowana przez Sekretariat tajna siatka tzw. uśpionych agentów. Tajne ugrupowanie, które samo siebie nazywało Sanctum, rozwiązało się. Pozostało jedynie wspomnieniem w pamięci jego znamienitych członków, nadal spotykających się na różnych waszyngtońskich przyjęciach lub dyskusjach w Radzie Stosunków Międzynarodowych.

Charlie nie zdawał sobie też sprawy z tego, że w jednym ze szpitali psychiatrycznych w Moskwie pielęgniarka każdego dnia wykonywała pacjentowi zastrzyk z roztworu halperidolu i koloidalnej zawiesiny sublimatu siarki. Pielęgniarka wiedziała, że zabieg wywołuje u pacjenta wysoką gorączkę i bardzo złe samopoczucie. O pacjencie wiadomo było jedynie to, że diagnoza jego stanu brzmi - kryminalna schizofrenia. Na polecenie najwyższych władz został on w dniu 7 listopada aresztowany i przewieziony z Waszyngtonu, gdzie pracował w ambasadzie ZSRR.

Pacjent nazywał się Aleksander Malarek i był niegdyś wysokiej rangi dyplomata, a równocześnie współpracownikiem przewodniczącego KGB. W szpitalu znalazł się w związku z błędami, jakie popełnił w swojej pracy. Obecnie efektem ubocznym zaaplikowanej mu kuracji było to, że jego poziom intelektualny odpowiadał intelektowi jarzyny.

\*\*\*

Charlie dołał kawy do kubków i usiadł do śniadania naprzeciwko Charlotte. Ta, pogrążona do tej pory w czytaniu "New York Timesa", popatrzyła sponad gazety i powiedziała:

- Charlie, musimy pomówić.

Zmarszczył się, nikt nie "musi pomówić" o sprawach przyjemnych.

- Czy jesteś zadowolony ze swojej pracy w Columbii?

Bezpośrednio po powrocie Stone otrzymał od Uniwersytetu Columbia propozycję prowadzenia zajęć na wydziale studiów radzieckich. Zaproponowano mu stanowisko profesora i związaną z tym pensję, niezbyt wysoką. Nie byli jednak ludźmi ubogimi. Stone otrzymał odprawę z Fundacji Parnassus, a mieszkanie i ekwipunek alpinistyczny mieli



spłacone. Czekał go jeszcze spadek po Lehmanie...

Kończył kolejną książkę o przyszłości Związku Radzieckiego i prowadził wykłady.

- Czy lubię? - powtórzył pytanie Charlotte. - Dlaczego pytasz?

- Czy rozważałeś możliwość zmiany miejsca pracy?

Stone zastanowił się. Odrzucił oferty wielu agencji wywiadowczych, w tym

Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Dość miał pracy w wywiadzie.

- Uwielbiam pracę na uczelni - odpowiedział. - A o co właściwie chodzi, Charlotte?

Co knujesz?

- Kierownictwo zaoferowało mi pracę w Waszyngtonie, i to taką, że nie można jej odrzucić.

- Naprawdę?

- Mam być korespondentem przy Białym Domu.

- Poważnie? - zerwał się, żeby ją uściskać, ale zatrzymał się. - O! O! Waszyngton - wyszeptał.

- Wiem, że nie będziesz zachwycony powrotem do tego miasta.

Patrzył w zadumie na sufit:

- Wyblakłe niebo, tłumy na ulicach, gromady prawników i pracowników Kongresu...

- Charlie...

- Mam nadzieję, że dostanę pracę w Uniwersytecie Georgetown.

- Charlie, przyjmą cię z otwartymi rękami.

Popatrzył na nią i powiedział:

- Tak, myślę, że tak trzeba będzie zrobić. Dlaczego by nie?

\*\*\*

To, co się wydarzyło, rzuciło na nich, szczególnie jednak na Charliego, cień smutku.

W pewnym sensie odnalazł oboje rodziców i równocześnie ich stracił.

Co pewien czas jeździł do Bostonu na grób ojca na cmentarzu Mount Auburn, gdzie składał kwiaty. Na płycie widniało epitafium zaczerpnięte z Borysa Pasternaka, cytat zarówno smutny, jak i niosący nadzieję:

JESTEŚ ZAKŁADNIKIEM WIECZNOŚCI,  
ZNIEWOLONYM PRZEZ CZAS.

\*\*\*

Nie miało to dla Stone'a większego znaczenia do pewnego czasu. Kluczem do tajemnicy było wyznanie Lehmana złożone na kilka minut przed śmiercią:

- Włącz to - powiedział Winthrop Lehman wskazując z trudem na magnetofon w ręce Stone'a. - Jeszcze mam ci coś do powiedzenia.

I tak Stone dowiedział się...

- Widziałeś kamień grobowy na cmentarzu Pere-Lachaise, który ustawiłem, ażeby ukryć fakt, że Sonia żyje. Zezwolono jej dwukrotnie na przyjazd do Paryża, w 1953 i 1956 roku. Wiesz, że twój ojciec był mi wdzięczny za to, że wybrałem go do pracy w Białym Domu. Odnosił się do mnie jak do ojca i bez słowa sprzeciwu pojechał dla mnie do Moskwy. Kiedy go sfotografowali agenci FBI, był gotów raczej pójść do więzienia niż ujawnić prawdę. Stone widział, że Lehman z trudem trzyma oczy otwarte. Sam też czuł szum w głowie i mówił z trudnością. Powiedział:

- Wiem. W jakiś sposób od dawna się domyślałem, choć ojciec nigdy mi nic nie powiedział. Ojciec chciał mnie osłaniać, nie chciał mi odbierać tego, co każdemu jest tak potrzebne... Nie potrafiłem wtedy zrozumieć, dlaczego wbrew wszystkiemu tak był wobec

ciebie lojalny. Sądzę jednak, że od dawna podejrzewałem...

Lehman już najwyraźniej u progu śmierci, próbował się jeszcze uśmiechnąć.

- Moja córka była piękną kobietą. Nie powinienem był być zdumiony, że twój ojciec się w niej zakochał. Gotów był dla niej na wszystko. Gotów był cierpieć w milczeniu, byle tylko umożliwić jej wyjazd. A Sonia była wtedy w ciąży. Nosiła jego dziecko. Nie wiedział, że tamci Soni nie wypuszczą, że jest zakładnikiem. Sonia, moja kochana biedna Sonia nie chciała, ażeby jej dziecko rosło w kraju niewoli. Był to okres szczytowego stalinowskiego terroru. Zrobiła największe poświęcenie w swoim życiu. Nie zgodziła się na to, ażeby jej dziecko rosło jako niewolnik.

Stone powiedział zduszonym głosem:

- Nie mogłeś jej wydostać, ale mogłeś wydostać mnie. To dlatego ojciec w 1953 roku poleciał do Paryża. Po raz ostatni zobaczył Sonię i wziął swojego syna. Dlaczego jednak...

- Musiałem go okłamywać. Musiałem mu powiedzieć, że Sonia wyszła za męża. Nie potrafiliby tego inaczej wytrzymać. Zrobiłem jednak dla niego wszystko, co tylko mogłem.

- Wiem.

- Załatwiłem dla niego... dla ciebie fałszywe świadectwo urodzenia. Na ile mogłem, wspomagałem go finansowo.

- Wiem, jestem wdzięczny.

- Kiedy zobaczyłem cię w moim archiwum, wpadłem w przerażenie, że dowiesz się prawdy, a nie wiedziałem, jak się zachowasz w tej skomplikowanej i delikatnej sytuacji...

- Przed śmiercią ojciec chciał mi wszystko powiedzieć. Już nie miał możliwości. Ja jednak wiedziałem.

Stone podejrzewał coś takiego od wielu lat. Nie miał żadnego logicznego wytłumaczenia, ale już jako dziecko przypuszczał, że Margaret Stone nie była jego prawdziwą matką. Jak to przed laty powiedział Alfred Stone w chwili gniewu? "On przecież nie ma innej matki". Tak. Wybuch gniewu i frustracji, poczucie winy i żalu. Musisz być jego matką, gdyż jego prawdziwa matka...

- Niektórzy z nas... niektórzy... są złapani w pułapkę... nie mogą nic poradzić - szeptał Lehman. - Zimna wojna między supermocarstwami to pułapka. Ja, moja Sonia, twój ojciec... Ty już nie, Charlie...

Starzec zamknął oczy.

Pułapka, zakładnicy. Alfred Stone lubił ten cytat: "Jesteś zakładnikiem wieczności, zniewolonym przez czas".

Charlie przedtem go nie rozumiał. Ojciec nie mówił o polityce. Mówił o swojej prywatnej tragedii, o Soni, o matce jego syna.

## Waszyngton

Niemal dokładnie w rok po pamiętnej rocznicy rewolucji Stone otrzymał list polecony od Jakowa Kramera, który mieszkał w Brighton Beach pod Nowym Jorkiem.

Usiadł w wygodnym fotelu i otworzył przesyłkę. Charlotte ze związanymi z tyłu włosami stała za nim.

Ich nowe waszyngtońskie mieszkanie było w stanie całkowitego chaosu. Na podłodze kubły z farbami, drabina, paki z rzeczami.

Stone ostrożnie wyjmował z koperty poźółkłe dokumenty i oglądał je ze zdumieniem.

Widział je po raz pierwszy, ale po tym wszystkim, co przeżył, co przemyślał, wydawały się dziwnie znajome. Do dokumentów przyczepiony był list, który rozpoczynał się słowami: "Do Biura Politycznego Komitetu Centralnego...", a kończył się podpisem: "W. I. Lenin".

Specjalnie dla Danusi przygotował i wykonał Janusz M.